

Amy A. Bartol

Intuicja

Intuition

przełożyła Anna Esden-Tempska

Tom 2 cyklu **Przecucia**



redakcja: **WUJO PRZEM**

(2017)

*Aprille, mojej siostrze,
która się martwi, że zabraknie jej stron do czytania,
zanim zdążę napisać kolejne.
A także Buns, Brownie i Weitz,
które kocham jak rodzone siostry.*

Recenzje

Kolejny tom, kolejne wyzwania. A im dalej w historię, tym lepiej poznasz bohaterów i zrozumiesz, co w nich siedzi. Gorąco polecam *Intuicję*. Przekonaj się sama, co czeka cię w tym tomie.

**WERONIKA ZAŁUCKA, PRZYCZAJONY HASACZ,
BIGDWARF.WORDPRESS.COM**

Nim sięgniecie po książkę muszę Was ostrzec... *Intuicja* wami zawładnie. Autorka idealnie uderza w czuły punkt każdego romantyka, tworząc powieść pełną miłości i poświęcenia. Powołuje do życia bohaterów, których pokochacie, a im bardziej wkradną się w Wasze serce, tym bardziej poczujecie się zniewoleni. Fabuła funduje większego kaca niż noc sylwestrowa i bije na głowę serię Lux czy Upadli.

**IZABELA DROZDOWSKA, NIEBO-PIEKŁO-ZIEMIA,
NIEBO-PIEKLO-ZIEMIA.BLOGSPOT.COM**

W *Intuicji* dzieje się tak dużo, że doprawdy trudno się od niej oderwać. Tyle emocji i uczuć wpływających z każdej przeczytanej strony. Amy A. Bartol odkrywa kolejne tajemnice ze świata aniołów, ale i jeszcze bardziej wszystko komplikuje. Daj się porwać tej historii – warto!

**IRENA BUJAK, ZAPATRZONA W KSIĄŻKI,
ZAPATRZONAWKSIĄZKI.BLOGSPOT.COM**

Intuicja to książka, która zabiera czytelnika w zupełnie inny świat. Anielskie moce, niebezpieczeństwo czyhające niemalże za każdym rogiem, rodzinne tajemnice, a także przeszłość, która ma ogromny wpływ na teraźniejszość. Wszystko razem tworzy wciągającą, niezwykłą i niezwykle emocjonującą mieszankę. Z niecierpliwością czekam na kontynuację historii!

JUSTYNA ZIEMIŃSKA, LIVINGBOOKSX.BLOGSPOT.COM

Intuicja to kontynuacja zapierającej dech w piersiach sagi „Przeczcucia”. Autorka po raz kolejny stanęła na wysokości zadania, by nie zawieść swoich wiernych czytelników. Pełna gorących emocji i namiętności historia nie z tej ziemi. Wzrusza i rozgrzewa do czerwoności. Polecam serdecznie.

**ANGELIKA SAWICKA, ANGELIKA RECENZJE KSIĄŻEK,
ANGELIKARECENZJEKSIAZEK.BLOGSPOT.COM**

Emocjonalny rollercoaster przed którym trudno umknąć. Historia, która zachwyca oraz emanuje blaskiem od głównych bohaterów. Jeśli polubiliście pierwszy tom z sagi *Przeczcucia* to drugi tom zdecydowanie pokochacie. Gorąco polecam!

**ANNA JĘDRZEJEWSKA, ŚWIAT KSIĄŻKOWYCH RECENZJI,
SWIAT-KSIAZKOWYCH-RECENZJI.BLOGSPOT.COM**

Ciąg dalszy tej niesamowitej historii, w której górują one – piękne i zabójczo niebezpieczne Anioły. Amy A. Bartol stawia na tajemniczość, grozę i totalnie zaskakujące zwroty akcji. Tutaj nic nie jest pewne, a odkrywanie coraz to nowszych faktów sprawia, że nie jesteśmy w stanie odłożyć książki choćby na chwilę.

**EWELINA BARTOCHA, KSIĄŻKOMANIA,
KSIAZKOMANIA-RECENZJE.BLOGSPOT.COM**

Nieuniknione była jedną z najlepszych książek 2016, a ta powieść z pewnością zaliczy się do takowej listy 2017. Reed skradnie serce każdej kobiety oraz wprowadzi ją w wir anielskich, niespodziewanych i zapierających dech w piersiach wydarzeń. Polecam z całego serca i czekam na więcej tomów. <3

KAJA ODOLCZYK, BOOKSHOLICK, YOUTUBE, KANAŁ BOOKSCHOLICK

Jeśli na dźwięk słów: porywający romans, wartka akcja i anielskie skrzydła szybciej bije ci serce – to znaczy, że przeczcucie cię nie zawiodło i trzymasz w rękach właściwą książkę. Zaskakująca, pozbawiająca tchu... Taka właśnie jest *Intuicja*.

DOMINIKA STRZELECKA, PO PROSTU KSIĄŻKI, POPROSTUKSIAZKI.EU

Uroczą kontynuacją serii. Pełna nieoczekiwanych zwrotów akcji, zagęszczenia najróżniejszych emocji i opisów, które bezustannie trzymają poziom. Książka nadal serwuje czytelnikowi przyjemne napięcie, cały czas drażniąc się z nim. Lektura w sam raz dla młodzieży, która dopiero co odkrywa meandry powieści paranormalnych.

**KATARZYNA SZEWIOŁA-NAGEL, POLACY NIE GĘSI,
WWW.POLACYNIEGESI.ORG**

Rozdział 1

SYLWESTER

EVIE

– Dobrze, skarbie, czas wstawać – mówi energicznie Buns, wparowując do mojego pokoju w południe.

Podchodzi do okien, odsuwa kotary i pokój od razu przestaje przypominać jaskinię.

Przez szyby wlewa się światło, aż muszę zmrużyć oczy, żeby patrzeć na przyjaciółkę.

– Buns, co ty tu robisz? – bełkoczę i przesłaniam oczy ręką. Uwielbiam swój pokój w domu Reeda w Crestwood, ale jest zbyt słoneczny. – Czy nie miałaś zostać u Russella do przyszedłego tygodnia? – pytam zaskoczona, siadam na łóżku i opieram się na poduszce.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – Buns bierze się pod boki i taksuje mnie wzrokiem.

Wyglądam jak strach na wróble, nie zdążyłam się nawet przyczesać, więc włosy na pewno sterczą mi na wszystkie strony.

– Oczywiście, cudownie, że jesteś. Brakowało mi Ciebie. Jak tam wakacje na południu? – Pamiętam, jak ciepło i pięknie mówiła w naszych rozmowach przez telefon o rodzinie Russella.

Razem z Brownie pojechała do niego do Karoliny Północnej na ferie zimowe. Miały go ochraniać podczas spotkania z bliskimi. Brownie udawała dziewczynę Russella, a Buns jej siostrę. Nie było im trudno, bo obie mają urodę zwiewnych nimf i są do siebie bardzo podobne. Takie same jasne włosy, niebieskie oczy, łatwo uznać, że łączy je jakieś pokrewieństwo. W każdym razie rodzina Russella na pewno nie mogła podejrzewać, że są aniołami, bo nawet ja się nie połapałam, dopóki nie zobaczyłam ich motyli skrzydeł.

– Było fantastycznie, bardzo miło, świetnie się bawiłam. Scarlett, siostra Russella, jest zupełnie taka jak my. Potrafi w sekundę niezłe narozrabiać. – Buns nadal mierzy mnie wzrokiem.

– Russell też już wrócił? – Siadam prościej na łóżku i przecieram oczy.

– Został jeszcze z rodziną. Jest z nim Brownie. Świetnie sobie radzą. Ściągną za kilka dni, tuż przed rozpoczęciem zajęć. Przyjechałam wcześniej, bo wezwał mnie Reed – wyjaśnia z wyrzutem.

– Tak? Przecież powinnaś zostać z Russellem. Trzeba go pilnować. A jeśli coś się tam stanie? – pytam zaniepokojona. Russell jest tak daleko, a do ochrony ma tylko Brownie. Wiem, że jest silna i dzielnie walczy, ale boję się, bo upadłe anioły potrafią być jeszcze bardziej zawzięte od niej.

– Nic im nie będzie. Mają się dobrze. A ty, niestety, nie. Reed powiedział, że nie wstajesz z łóżka. Martwi się.

W jej głosie słyszę naganę. Patrzy na mnie tak, jakbym ją zawiodła.

– Przecież wcale nie leżę tu non stop. – Marszczę brwi, staram się przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz wstałam. Chyba jakoś wczoraj... A może nie. – Po prostu jestem zmęczona – bronię się.

– Nie, zwyczajnie się poddajesz, tak jak wtedy, kiedy Reed nie chciał z tobą rozmawiać. Drugi raz tego nie zniosę, więc wstawaj, i to zaraz – rozkazuje. Wyciąga mnie z łóżka bez najmniejszego trudu, bo naprawdę jest dziko silna. – I ani słowa, dopóki nie weźmiesz prysznic i się nie ubierzesz. Tracimy czas. Pospiesz się – rzuca bojowo.

– Dobrze już, dobrze! – Uciekam do łazienki.

Ale ta Buns namolna! Myję się, ubieram i wracam do pokoju. Siedzi na łóżku i czeka na mnie.

– Dziś zabierzemy cię gdzieś stąd. Na co byś miała ochotę? – Podchodzi do mnie, kiedy tak tkwię niezdecydowana przy drzwiach szafy.

– Wolno nam wychodzić? – pytam mocno zdziwiona, bo nie wystawiałam nosa za drzwi przez niemal całe ferie.

Buns marszczy brwi.

– Teraz tak, ale jak zobaczą, że są z tym problemy, stracimy okazję. Nic dziwnego, że jesteś taka zdolowana. Siedzisz tu i nic, tylko roztrząsasz to, co się stało. Czy te anioły Mocy nie potrafią tego zrozumieć? – pyta retorycznie. – Będą musiały trochę przyhamować ze swoją potrzebą kontrolowania każdego drobiazgu. Powinny pamiętać, że po części jesteś człowiekiem. Musisz wychodzić, zająć się czymś. Jesteś nastolatką! – Tak jakby to wszystko wyjaśniało.

Byłam praktycznie w areszcie domowym, od kiedy odzyskałam przytomność po zajściu sprzed kilku tygodni. Na samo wspomnienie tamtych zdarzeń przebiega mnie dreszcz, aż muszę się oprzeć o ścianę obok szafy. Trudno mi myśleć o masakrze w 7-Eleven. Od razu ogarnia mnie paniczny lęk. Nie mogę przeboleć, że tak strasznie mnie zdradził dawny przyjaciel Alfred.

– Co będziemy robić? – Marzę tylko o tym, żeby wrócić do łóżka i zasnąć.

– Najpierw pobiegamy, potem ułożymy sobie plany na jutrzejszy wieczór – oznajmia Buns z błyskiem w oku.

– A co takiego jest jutro wieczorem? – dziwię się, bo nie mam pojęcia nawet, jaki mamy dzień.

– Evie, przecież jutro sylwester. Zapomniałaś? – Patrzy na mnie z niepokojem.

– Trochę się pogubiłam, odkąd wyjechaliście. Jakby wszystko stało się jakieś nierzeczywiste. Reed i Zee byli wspaniali. Strasznie mi przykro, że sprawiam im zawód.

– Jaki tam zawód. Po prostu nie kapują, czego ci trzeba. To tak jak wtedy, kiedy nie wiedziałaś, że jesteś aniołem. Reed cię straszył, a ty nabierałaś zdolności, których nie potrafiłaś zrozumieć. Trzeba było odwrócić twoją uwagę od tego wszystkiego. I o to starałyśmy się z Brownie. Żebyś nie miała za dużo czasu na rozmyślanie. – Uśmiecha się do mnie.

– Nadal nie mogę wyjść z szoku, że od początku wiedziałyście, co się dzieje, a ja nie wpadłam na to, że ty i Brownie jesteście Kosiarzami. Mogłyście mnie wtajemniczyć – podkreślam.

– W żadnym wypadku, skarbie, a że naprawdę umiemy niezłe bajerować ludzi, sama nie zgadłaś. – Buns wzrusza ramionami. – Przyjęłabyś to dobrze, gdybyśmy tak po prostu oświadczyły, że jesteśmy aniołami śmierci? Wątpię. Wystraszyłabyś się nie na żarty. Tak to się tu odbiera. Wiedziałyśmy, że jesteś i aniołem, i człowiekiem, ale miałyśmy świadomość, że nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– Dlaczego zdecydowałyście się mi pomagać? – Naprawdę nie rozumiem, czemu są dla mnie takie dobre.

– Już mówiłyśmy, Evie. Jesteś nam bliska. Spontaniczna, trochę szalona, tak jak Brownie i ja. Nie wszystkie anioły są takie, a przynajmniej te Boskie. – Wyjmuje z szafy buty do biegania i mi je podaje. – Poza tym uznałyśmy, że to trochę nie w porządku, że twoja przemiana odbywa się tu, na Ziemi, wśród tych wszystkich pułapek i niebezpieczeństw, a inne anioły, które znamy, ewoluowały bezpiecznie w raju. Żyły sobie jak u Pana Boga za piecem i przechodziły metamorfozę z dala od zagrożeń, bez strachu.

– O, to miło... Nie wiedziałam, że jestem aż taką ofiarą losu – odpowiadam cierpko. Zastanawiam się, jak by to było czuć się całkowicie bezpiecznie.

– Evie, strasznie mi przykro, że ci to mówię, ale gdybyś była Serafinem w niebie podczas metamorfozy, wszyscy by cię rozpieszczali. – Uśmiecha się z zażenowaniem. – Na pewno byłabyś ich oczkiem w głowie.

Patrzę na nią sceptycznie. Wątpię, by mnie tam darzono szczególną sympatią. Przecież nie jestem Serafinem pełnej krwi, ale mieszanką Serafina z człowiekiem.

– Rozpieszczanie jest dobre dla mięczaków – stwierdzam, żeby pokazać, że wcale się nie przejmuję.

– Masz rację! – wykrzykuje radośnie Buns. – No, to tylko powiemy chłopakom, że idziemy pobiegać, a potem zabierzemy się do planowania sylwestra. Podejrzewam, że będziemy musieli spędzić go gdzieś niedaleko, bo wątpię, aby Reed zgodził się na nasz wypad do Londynu czy Paryża. Nowy Jork też pewnie mu się nie spodoba. Ale może go przekonam, żeby pozwolił nam wybrać się choć do Chicago. Byłoby super. – Oczy aż jej się świecą na myśl o wydostaniu się z Crestwood.

– Powodzenia! Ja nie mogłam go nawet namówić, żeby wypuścił mnie dalej niż na podwórko – zaznaczam. Uśmiecham się do niej, ale minę mam niezbyt zadowoloną.

Reed jest naprawdę kochany, ale nieugięty, jeśli chodzi o to, co uważa za niebezpieczne i ryzykowne.

– No to czeka nas trudna rozmowa, bo zamierzam postawić na swoim – oświadcza stanowczo.

Okazuje się jednak, że Reed ma ugodowe nastawienie do żądań Buns. Łapie tylko kurtkę i buty, kiedy słyszy, że chcemy pobiegać, i rusza za nami bez słowa. Jestem zaskoczona. Uświadamiam sobie, że naprawdę musiał się o mnie martwić.

Biegając w kierunku jeziora Arden, mam wrażenie, że po raz pierwszy od wielu dni naprawdę oddycham. Jest dość mroźno, bo to początek zimy, ale to mi nie przeszkadza tak jak dawniej, zanim zaczęłam metamorfozę. Moja skóra staje się odporna, anielska, chroni mnie przed zimnem i przegrzaniem. Ta zmiana dokonuje się niepostrzeżenie, stopniowo, dzień po dniu. Potrwa jeszcze kilka miesięcy, zanim się dopełni. Przynajmniej tak twierdzi Reed.

Dziwna jest ta nowa skóra. Gładsza niż ludzka, bez jakichkolwiek niedoskonałości. Poza tym o ton jaśniejsza od mojej dawnej człowieczej karnacji, ale ma w sobie blask, ledwie zauważalny, nawet dla mnie przy wyostrozonym widzeniu. Nie mogę się jej nadziwić, bo jest mocniejsza, bardziej wytrzymała.

Po jednym okrążeniu jeziora Buns przystaje przy ścieżce, która prowadzi do domu Reeda.

– Muszę wracać, żeby zobaczyć się z Zee, skarbie. Stęskniłam się za nim – mówi z uśmiechem, przenosząc wzrok ze mnie na Reeda. – Chcę też zacząć plany noworoczne. Wy zostańcie... poruszajcie się jeszcze trochę.

– Dobrze – odpowiadam. Obserwuję Reeda.

Buns kiwa głową, po czym w ułamku sekundy już jej nie ma, zostają tylko leciutkie ślady kroków na śniegu.

– Może teraz pospacerujemy dla odmiany? – Reed zrównuje się ze mną na szlaku.

– Dobrze. – Staram się koncentrować na scenerii wokół mnie, żeby nie patrzeć na jego profil. Piękne rysy twarzy Reeda sprawiają, że mam chęć wyciągnąć rękę i go dotknąć.

Bierze moją dłoń i wtula sobie pod ramię. Jakiś czas idziemy w milczeniu. Motylki stale mi fruwać w brzuchu w jego obecności, ale w tej chwili najważniejsze, że czuję się przy nim bezpiecznie. Odwracam się w kierunku jeziora, skąd dociera do nas świeży powiew. Nasze oddechy zamieniają się w białe obłoczki pary. Splatają się nad naszymi głowami niczym kochankowie.

– Przepraszam – odzywam się wreszcie. Mój nerwowy ton przełamuje ciszę spowijającą zasypane śniegiem drzewa.

Reed odwraca się do mnie zdziwiony. Jego zielone oczy przypatrują mi się pytająco.

– Za co?

– Że nie potrafię radzić sobie lepiej – mówię z żalem.

Ścisła mocniej moją rękę i przyciąga mnie bliżej, kiedy idziemy dalej.

– Evie, nie masz powodu się tłumaczyć. To ja powinienem przeprosić. Zamknąłem cię dla twojego bezpieczeństwa, a okazuje się, że ta izolacja cię zabija – wyjaśnia skruszony.

– Nie, to nie tak, naprawdę... po prostu nie za bardzo mam co robić, tylko siedzę i myślę o Alfredzie... albo wujku – szepczę i znów uświadamiam sobie z całą mocą, że nigdy nie zobaczę ukochanego Jima. Alfred już o to zadbał. Postarał się też, by wujek cierpiał przed

śmiercią. – Idziemy dalej kilka kroków, zanim udaje mi się znów wydobyć z siebie głos: – Wydawało się, że najlepiej spać i o niczym nie myśleć. – Mówię tak, jakby nie gnębiły mnie we śnie koszmary. – Pewnie bardzo się martwiłeś, skoro wezwałeś Buns.

Marszczy brwi.

– Nie mam zbyt dużego doświadczenia, jeśli chodzi o ludzkie emocje. To wszystko dla mnie nowe. Staram się zrozumieć twoje uczucia. I własne doznania. Od kiedy cię spotkałem, doświadczam przeróżnych stanów emocjonalnych.

Uśmiecha się i wędrujemy dalej ramię w ramię.

– Na przykład jakich? – Unoszę brwi.

Reed wpatruje się w nasze splecione dłonie.

– Niech się zastanowię... – wzdycha. – Od dawna nie byłem szczęśliwy... a właściwie nigdy, odkąd tu jestem, i nie pamiętam, żebym kiedykolwiek odczuwał to tak mocno. – Kręci głową.

– I co cię tak uszczęśliwiło? – pytam, a on uśmiecha się tak pięknie, że serce mi topnieje i zapiera mi dech w piersi.

– To było wtedy, jak powiedziałaś, że nigdy nic nie będziesz kochać bardziej niż mnie – odpowiada niemal szeptem, a ja aż się rumienię z radości. – Pożądanie też jest silniejsze, bardziej... potężne.

Przytakuję. Wiem, bo i ja pragnę Reeda ponad wszystko na świecie.

Oczy mu ciemnieją, kiedy ciągnie dalej.

– No, anioły Mocy często bywają zazdrosne... ale ja nigdy tego tak głęboko nie zaznałem jak wtedy, kiedy patrzyłem na ciebie z Russellem i myślałem, że będę musiał czekać następnych osiemdziesiąt lat, aż on umrze, żebyś mogła być moja – cedzi przez zaciśnięte zęby. – To było coś więcej niż zazdrość... To był potworny żal.

Teraz to ja ściskam jego rękę. Idziemy właśnie brzegiem jeziora najbardziej odległym od domu.

– I jeszcze te uczucia, których nie chciałbym już nigdy doświadczyć. Ta... męka... – aż jęknął – kiedy myślałem, że umierasz.

Nagle robi mi się duszno. Muszę kilka razy głęboko odetchnąć, by opanować szalone bicie serca. Bardzo go zraniłam, kiedy byłam gotowa oddać duszę, żeby ratować Russella. Ta rana jeszcze się w nim nie zagoiła. Na pewno wie, dlaczego tak zrobiłam, przecież nie mogłam pozwolić, żeby upadłe anioły rozdarły na strzępy mojego przyjaciela, ale zdaję sobie sprawę, że rozum i serce to zupełnie coś innego. Zorientował się, o czym myślę. Przystanął, żeby mnie uściskać. Tracę grunt pod nogami, kiedy lekko mnie unosi.

– A poza tym miłość... – mówi z czułością. – Nie wierzyłem, że coś takiego istnieje. Ale okazuje się, że jest i ma imię... To imię to Evie. – Przytula mnie mocniej. – I nie potrafię już bez niej żyć, odkąd ją znalazłem. Powiedz mi więc, co zrobić, żebyś do mnie wróciła. Zrobię wszystko, co tylko zechcesz.

Obejmuję go za szyję i wtulam się w niego, próbując znaleźć odpowiednie słowa, żeby wiedział, ile dla mnie znaczy.

– Dużo o tobie myślałam i o tym, jak potrafisz słuchać mojego serca. Powiedziałeś, że ono do ciebie śpiewa, nawołuje jak głosy syren żeglarzy na morzu. To dlatego, że twoje samotne serce było otwarte i jestem ci przeznaczona. Nigdzie nie znikam... Bez ciebie bym się poddała. Dzięki tobie przeżyłam. Po prostu brakuje mi wujka – mówię ze ściśniętym gardłem.

– Pomogę ci. Wróciła też Buns. Będzie wiedziała, co robić. Nie miałem racji co do niej i Brownie. One są dla ciebie najlepsze. – Stawia mnie z powrotem na ziemi.

– Nie, ty jesteś dla mnie najlepszy – zapewniam. Biorę go za rękę i ruszam w kierunku domu.

A ja odtąd postaram się też być najlepsza dla ciebie, obiecuję sobie w duchu, bo dociera do mnie, jak bardzo musiał go boleć mój smutek.

Kiedy wracamy do domu, Buns jest już w pokoju do gier i przegląda strony w internecie.

– Hej, skarbie! W Chicago jest jutro sporo imprez! Jedna na nabrzeżu! Mają kilku DJ-ów i puszcza fajerwerki o północy. Opowiadałam ci kiedyś, Evie, o pokazie sztucznych ogni za dynastii Song w dziewiątym wieku? Byłam naprawdę bardzo młoda i dopiero zaczynałam się orientować, że jakoś nie do końca pasuję do otoczenia. – Uśmiecha się, więc nie wiem, czy żartuje, czy mówi serio.

Oglądam się na Reeda. Ma zmarszczone brwi.

– Buns, mogłabyś znaleźć coś nieco... łatwiejszego do realizacji? – pyta.

Kiedy spogląda na niego sceptycznie, do dyskusji postanawia wtrącić się Zefir, który siedzi obok niej.

– Buns, to kiepski pomysł. Wiesz, ilu Upadłych przyciągnie taka impreza? Reed ma rację, to teren, na którym łatwo zostać osaczonym, co by mi pasowało, gdybyśmy nie mieli ze sobą Evie. Może ty i ja wybierzemy się tam w przyszłym roku i zobaczymy, ilu Upadłych zdołamy załatwić do końca imprezy – dodaje zadowolony z siebie, a Buns od razu się rozchmurza.

– Ale wyjedziemy gdzieś z Crestwood. Tego nie odpuszczę – stwierdza stanowczo.

– Zgoda, byle unikać tłumów. Wybierzmy coś, gdzie będzie mniej ludzi, dobrze? – proponuje Zefir.

Widzę, jak kąciki ust Reeda unoszą się lekko, kiedy przysłuchuje się negocjacom przyjaciela z Buns, która aż pali się do szumnego celebrowania sylwestra.

– Wiadomo, że w planowaniu rozrywek nikt nie może się z tobą równać, ale chodzi o Evie, rozumiesz.

Naprawdę jest niezłym strategiem. Muszę słuchać uważniej jego wykładów na ten temat.

– Skoro to dla dobra Evie – godzi się lekko nadąsana i znów odwraca się do ekranu komputera. Przegląda błyskawicznie kolejne strony. – Fajnie, to może coś bardziej rekreacyjnego?

Zefir i Reed są zaintrygowani.

– Rekreacyjnego? – Zefir przysuwa się do Buns i zagląda w ekran.

Reed kładzie mi dłoń na ramieniu i je gładzi.

– Snowboard? – rzuca Buns i uśmiecha się do nas szelmowsko. – Mam tu kilka pagórków, gdzie będą działać wyciągi w sylwestra. Na pewno przy jednym z nich coś urządzają. Moglibyśmy tam sobie pojeździć na nartach albo deskach, a potem w schronisku wznieść toast za nowy rok – kończy zadowolona, bo po minie Zefira widać, że pomysł mu się podoba.

– Brawo! – Zefir porywa ją na ręce i wiruje, aż miga w oczach, zanim stawia ją na podłodze.

– Poszalejemy sobie trochę, skarbie – zwraca się do mnie Buns. – Co ty na to?

– Super – przyznaję.

– Jesteś niezrównana, Buns – chwali ją Reed, pochyla się i całuje ją w czoło, a ona uśmiecha się jeszcze szerzej. – Wybierzmy teraz miejscowość, żebyśmy z Zefirem zdobyli kilka zdjęć satelitarnych i zastanowili się nad strategią. Potem zaplanujemy szusy na stoku.

Staram się nie dać nic po sobie poznać, ale toczę wewnętrzną walkę. Z jednej strony bardzo chcę wyrwać się z domu i zacząć żyć od nowa, z drugiej – śmiertelnie się boję tego, co może się stać, kiedy opuszczę bezpieczne terytorium. Serce musiało mnie zdradzić, bo Reed obejmuje mnie mocno i przytula do siebie.

– Będzie dobrze – zapewnia. – Nic ci nie grozi. – Przyciska policzek do mojego.

Ogarnia nas ciepło, od którego kręci mi się głowie.

– Wspaniale. Nie mogę się doczekać. Cudownie będzie zobaczyć, jak anioły zdobywają góry – szepczę mu do ucha i czule ocieram się o niego policzkiem.

– Jestem stworzony, by zdobywać – odpowiada z uśmiechem, od którego zamiera mi serce.

– Znalazłam! – woła dumnie Buns i odwraca się do nas. – Pięciogwiazdkowy ośrodek, parę godzin jazdy stąd na północ. Piszą, że na święta mają komplet, ale wiemy, co to znaczy. – Śmieje się i obraca z powrotem do ekranu.

Patrzę na Reeda, potem na Zefira – obaj najwyraźniej rozumieją, co ma na myśli.

– No zaraz, Buns, to znaczy, że nie możemy tam pojechać? – pytam zdezorientowana.

– Nie, skarbie, oczywiście, że możemy. Chodzi o to, że zostały im już tylko naprawdę luksusowe, najdroższe apartamenty. Rezerwowane dla VIP-ów.

– O... a my jesteśmy VIP-ami? – staram się nie wyjść na totalną idiotkę.

Zefir zaśmiewa się, jakbym powiedziała dowcip. Popatruje na mnie z iskrą w oku. Czeka, aż zaraz dodam jeszcze coś zabawnego?

Buns uśmiecha się lekko.

– Przecież wiesz. Reed, wyrób jej czarną kartę.

– Zrobione. Ale ona jeszcze nie miała okazji z niej skorzystać – odpowiada.

– O czym wy gadacie? – pytam podejrzliwie.

Chyba zaczynam łapać, o co chodzi, bo widziałam czarną kartę kredytową Buns, która używa jej tak, jakby miała fabrykę pieniędzy.

– Załatwiłem ci kartę. Nie zamierzam się w najbliższym czasie z tobą rozstawać ani na chwilę, ale możesz ją nosić i kupować sobie, co zechcesz – informuje mnie Reed i marszczy brwi, bo widzi moją osłupiałą minę. – Co ja takiego powiedziałem?

– Nie mogę wydawać twoich pieniędzy...

– Dlaczego? – dziwi się zmieszany, twarz mu nagle spochmurniała.

– Bo to nie w porządku.

– Czemu?

– Bo są twoje – argumentuję.

Czy on naprawdę nie rozumie, że przyjmowanie od niego pieniędzy byłoby czymś obrzydliwym?

– Ale przecież jak ci dam tę kartę, będzie twoja. – Uśmiecha się do mnie, bo sądzi, że to logiczne.

– Buns, mam nadzieję, że ty kapujesz, dlaczego nie mogę przyjąć od niego pieniędzy, prawda? – Szukam wsparcia u przyjaciółki.

– Nie... to przecież tylko kasa. – Wzrusza ramionami, a ja zaczynam podejrzewać, że może oni naprawdę gdzieś sobie tę forszę drukują.

– Mam swoje pieniądze, Reed. Ale dziękuję – mówię zakłopotana.

– Evie, masz kilka tysięcy dolarów. Co to za suma? To tylko... – urywa, bo zauważa, że spuszczam głowę, żeby nie widzieli, jak się czerwienię zażenowana.

Mój dom rodzinny jest wystawiony na sprzedaż, ale jakoś nikt nie wykazuje zainteresowania kupnem, bo poprzedni właściciel został tam okrutnie zamordowany. Większość naszych rzeczy przewieziono do przechowalni. Będę musiała za to zwrócić Reedowi, kiedy sprzedam dom. Choć obawiam się, że on nie przyjmie ode mnie pieniędzy. Przygotowanie pogrzebu wujka też pewnie sporo kosztowało, ale nie chcą mi powiedzieć, ile i kto to finansował.

– Przepraszam, czy powiedziałem coś złego? – Reed stara się złapać ze mną kontakt wzrokowy.

– Nie... Muszę tylko poszukać w internecie różnych loterii, żeby się odkuć – odpowiadam, bo w tej chwili nie mam specjalnych możliwości, żeby zarobić. Na moją duszę poluje anioł morderca, Alfred, więc nie zdobędę, a już na pewno nie utrzymam, dobrze płatnej pracy.

– Evie, możemy to uznać za pożyczkę, jeśli poczujesz się z tym lepiej. Oddasz mi później. – Unosi moją brodę i zagląda mi w oczy.

– A niby kiedy zdołam to zrobić, sponsorze? – pytam zmartwiona.

Widzę, jak jego zmysłowe usta powstrzymują uśmiech. Ale dostrzegam, że nie żartuję.

– Pozwól mi się sobą zaopiekować – mówi. – Nic więcej nie chcę.

Wzdycham.

– Teraz nie mam innego wyjścia, jak korzystać z twojej pomocy, ale karty kredytowej nie wezmę – oświadczam stanowczo.

– Evie... – Stara się mnie ułagodzić.

– Reed – przerywam mu, koniec dyskusji.

– Co z tym sponsorem? – Śmieje się na widok mojego jeszcze ciemniejszego rumieńca. – To nie był komplement, co?

– Nie – rzucam krótko. – Kiedy wyjeżdżamy, Buns? – próbuję zmienić temat.

– Zatelefonuję do nich i wszystko ustalę. A wam ile czasu potrzeba, żeby wszystko zaplanować? – zwraca się do Zefira i Reeda.

– Parę godzin. Do wieczora będziemy gotowi – oświadcza Zefir, a Reed przytakuje.

– Super! Możemy wieczorem wyjechać i już rano po śniadaniu śmigać na stoku! – Buns kipi radością. W ułamku sekundy wyskakuje z pokoju, żeby złapać telefon i zrobić rezerwację.

– Idę się pakować. – Znowu czuję, jak ogarnia mnie entuzjazm, a zarazem przerażenie. Jak najszybciej zmykam do siebie, żeby myśleli, że jestem tylko podekscytowana.

Po chwili wyjmuję walizkę z szafy. Kiedy ściągam ją z górnej półki, spada coś, co tam leżało, a czego nie zauważyłam. Przykucam, żeby to podnieść, i zamieram. To drewniane pudełko z ważkami wyrytymi na wieczku. Ktoś musiał przynieść je z akademika, kiedy zabierali stamtąd moje rzeczy. Drżącymi dłońmi sięgam po szkatułkę.

Dotykam jej lekko, przesuwam palcami po drewnie, wyczuwam misterne rzeźbienia. To Freddie dał mi ją na urodziny, myślę i jak oparzona cofam dłoń. On w ten sposób powiedział mi, kim jest, tylko że wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Jest upadłym aniołem, Kosiarzem, jego opalizujące skrzydła są bardzo podobne do tych przedstawionych na wieczku. Przebiega mnie dreszcz na wspomnienie, jak dotknęłam tych cieniutkich jak papier, szeleszczących, wibrujących z podniecenia skrzydeł.

Ale ja jestem głupia. Jak mogłam dopuścić do tego, co się stało? Ogarnia mnie poczucie winy i wstyd. Unoszę wieczko i patrzę na małą srebrną puderniczkę w środku. Zdobí ją piękna ważka, tors ma z opali. Kamienie połyskują złowieszczo w mroku przy szafie.

Nie zorientowałam się, kim jest, i ucierpiało wielu ludzi. Stracili życie, tak jak mój wujek, myślę, a dłonie same zaciskają mi się w pięści. Ten prezent jest namacalnym dowodem mojej głupoty. Przypomina, że odtąd muszę inaczej patrzeć na wszystko. Nie wolno mi pozwolić sobie na bezmyślność i naiwność, bo mogą na tym ucierpieć ci, których kocham. To gorzka rzeczywistość. Biorę puderniczkę i przyciskam ją z rozpaczą do siebie. Nie mam prawa nigdy więcej zawieść, cena jest zbyt wysoka.

Czuję pod palcami maleńki zamek puderniczki, obracam nią powoli, przyglądam się. Naciskam. Otwiera się z cichym kliknięciem, uwalniając obłoczek powietrza zamknięty w środku. Odchylam wieczko, odkrywam lusterko. Przez moment widzę tylko swoje oczy; patrzą na mnie z odbicia. Wyglądam na udręczoną, przytłoczoną wspomnieniami. Ale nagle mam wrażenie, że dostrzegłam w lusterku jakiś ruch. Zaskoczona oglądam się przez ramię, żeby sprawdzić, co się dzieje. Ale nic tam nie ma. Znowu patrzę w gładką małą taflę. Ciekawe, moje odbicie jest jakby ciemniejsze, mniej ostre.

Coś tu się rusza, ale to jest w samym szkiełku, jakiś niewyraźny cień. Im dłużej się w niego wpatruję, tym bardziej się zbliża i przybiera konkretną formę... tak jakby biegł ku mnie długim korytarzem w tym lustrze, co na pewno nie jest odbiciem żadnego z wnętrza tego domu. A właściwie to nie jest cień, to rój much – przybiera kształt męskiej sylwetki.

Opamiętuję się i próbuję szybko zatrzaskać puderniczkę, ale zacięła się, nie daje się zamknąć. Ciskam ją jak najdalej od siebie, uderza o podłogę. Z lusterka dochodzi syk, a w powietrzu unosi się znajomy smród. Modliłam się, żeby nie poczuć go już nigdy w życiu. Czarna chmara much wlatuje wysoko w górę i tworzy dziwaczne esy-floresy, aż wreszcie układa się w obraz człowieka-cienia. Jest jak ten, którego widziałam w Coldwater z Freddie. Duch złowieszczo szczyrzy zęby i rzuca się, by mnie zabić.

Rozdział 2

W DROGĘ

W mgnieniu oka orientuję się, że jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Cień staje naprzeciwko mnie. Ciemny kształt faluje, jest coraz wyższy. Mroczny, oderwany od niego duch krąży, oplata go – wygląda jak kochanka, która obejmuje demonicznego mężczyznę. Sparaliżowana jego widokiem nie jestem w stanie uciekać. Chwyta mnie za gardło i porywa w górę. Żelazny uścisk jeszcze kilka tygodni temu pewnie skręciłby mi kark, ale od tamtej pory ewoluowałam, teraz trudniej mnie zabić. Demon uświadamia to sobie, w jego twarzy widzę złość, wyciąga drugą rękę, by złapać mnie jeszcze mocniej. Czarne plamki tańczą mi przed oczami, kiedy rozpaczliwie rozglądam się po pokoju, szukając czegoś, co pomogłoby mi się uwolnić.

Dociera do mnie jakiś szum – w pierwszej chwili sędzę, że to życie ze mnie uchodzi, ale kiedy odrywam wzrok od wściekłego grymasu potwora, widzę za oknem chmurę ważek. Układają się w ciemną sylwetkę mężczyzny. Stopniowo wyłania się z nich dobrze mi znana postać. To Alfred. Unosi się tuż za szybą. Jego błyszczące niebieskozielone skrzydła poruszają się szybko, by utrzymać go w powietrzu. Obserwuje scenę rozgrywającą się w sypialni. W kącikach jego ust pojawia się uśmiech satysfakcji.

Bezradnie wymachuję w powietrzu nogami. Próbuję się uwolnić z uścisku cienia i rozpaczliwie wykrzyczeć imię, które bezgłośnie wypowiadam raz za razem: Reed. W panice jeszcze mocniej wierzgam, żeby kopnąć potwora przede mną. Szczyrzy zęby, warczy dziko i kuli się, kiedy wreszcie trafiam go stopą tak mocno, jak tylko potrafię. Wiem, że to wystarczy. Cień właśnie przypieczętował swój los tym jednym małym odgłosem.

W jednej chwili drzwi otwierają się z impetem i zanim jeszcze odbiją się od ściany, zostają wyrwana ze stalowego uścisku cienia, który mnie dusił i unosił w powietrzu. Ciało mężczyzny wraz z jego cieniem upada ciśnięte daleko ode mnie. Krztusząc się, biorę

pierwszy wdech. Powietrze pali mnie, zanim trafi do płuc, bo pokój przesiąkł ohydny odorem. Kruczoczarne skrzydła Reeda rozpościerają się szeroko, kiedy wyrzuca demona na korytarz, gdzie łapie go Zefir. Groteskowe szeleszczące trzaski, kiedy drze intruza na strzępy, cichną, w miarę jak odciąga go coraz dalej od moich drzwi. I zaraz już Reed trzyma mnie w ramionach.

– Al-fred – sapię, próbując mu wskazać postać za oknem.

Obracam się, ale tam za szybą już nikogo nie ma. Tchórz znowu uciekł, kiedy tylko zobaczył, że na ratunek przybywają mi anioły Mocy.

– Nic ci się nie stało, Evie? – pyta zaniepokojony Reed. Przygląda mi się, żeby sprawdzić, czy nie odniosłam jakichś obrażeń.

Kręcę głową, kaszlę i nerwowo łapię oddech.

– Nie – chrypię.

Reed delikatnie unosi mi dłonią brodę. Ogląda sińce na szyi. Na pewno przez kilka godzin, zanim dojdę do siebie, będą wyglądały okropnie.

– Nie rozumiem, jak on się do nas dostał, Evie. Zefir i ja nie mieliśmy pojęcia, że tu jest. Jakim cudem przeniknął tutaj bez naszej wiedzy? – Reed zaciska zęby. Przytula moją twarz do swojej obnażonej piersi. Słyszę potężne bicie jego serca, skrzydła drżą mu z emocji.

– Alfred też tu jest – mówię schrypniętym głosem i znów pokazuję na okno.

W jednej chwili Reed porywa mnie i zanosz do łazienki przy moim pokoju. Szczelnie zamyka drzwi. Zostaję sama. Patrzą w lustro. Człowiek-cień rzeczywiście zostawił po sobie ślad – wielgachne ciemne pręgi, które jeszcze nie nabierają fioletowego odcienia. Podchodzę bliżej i jestem zaszokowana widokiem swoich oczu. Białka są całkiem czerwone. Musiały mi popękać naczynka. Wyglądam teraz dziwniej niż potwór z horroru, szczególnie że w jakimś momencie, kiedy się broniłam, wyskoczyły mi na plecach moje szkarłatne skrzydła. Teraz luźno zwisają po bokach.

Drzwi otwierają się z takim impetem, że aż podskakuję ze strachu. W mgnieniu oka jest przy mnie Buns. Obejmuje mnie mocno.

– Co się stało, skarbie? – Odsuwa się i przypatruje mojej szyi. Zagryza wargę, marszcząc brwi. – Jak do tego doszło? – pyta ze zgrozą.

– Człowiek-cień próbował mnie udusić.

– Co za człowiek-cień? Nic nie słyszałam. Nic nie zauważyłam. Jak się tu dostał? – rzuca gniewnie i delikatnie gładzi moje włosy.

– Jakaś opętana dusza. Wyskoczył jak diabeł z pudełka. – Odwracam się do umywalki, żeby nalać sobie szklankę wody. Biorę mały łyk, chcę ochłodzić palące do żywego gardło. – Gdzie się podziali Reed i Zee? – szepczę trochę bełkotliwie. Trudno mi uwierzyć w to, co się stało.

– Przed sekundą wypadli stąd, jakby mieli gonić stado demonów. A mieli? – Wsuwa myjkę pod kran i przykładą mokrą do mojej szyi.

– Alfred... za oknem. Pewnie czekał na moją duszę, chciał ją porwać, jak ona opuści ciało – wyjaśniam krótko. Chłodny okład przynosi mi ulgę.

– Alfred! – prycha Buns, a z pleców wyskakują jej złote, zwiewne motyle skrzydła. Wzburzona zaczyna chodzić po łazience. Wygląda jak dobra wróżka. – Alfred nie pozwoliłby tej kreaturze cię zabić. Pewnie chciał, żeby tamten prawie cię wykończył, wtedy sam zmusiłby cię, żebyś oddała mu duszę. Nie sądzę, by mógł ją wziąć bez twojego przyzwolenia – ciągnie. – Oby go wreszcie dopadli i zniszczyli. Mam go już serdecznie dość. Mówisz, że jakiś opętany duch wyskoczył z pudełka?

– Z puderniczki. Jest w pokoju. Rzuciłam ją na podłogę, kiedy zobaczyłam, że coś leci do mnie z lusterka. Nie mogłam zatrzasnąć wieczka z powrotem. Nie dawało się zamknąć – mówię zrozpaczona. – I po chwili to coś było u mnie w pokoju i złapało mnie za gardło. Nie mogłam nawet krzyknąć.

Znieczulenie szoku mija. Ręce mi drżą, krzyżuję je na piersi, żeby mi tak nie latały. Buns znika na moment – drzwi łazienki zostawia otwarte – i wraca z puderniczką w dłoni. Wieczko jest szczelnie zamknięte.

– O, już po nim, niech no tylko dorwę tego Alfreda. Nie lubię zabijać. Brownie i ja uważamy, że to poniżej naszej godności. I robię, co w mojej mocy, by tego unikać, ale to będzie zaszczyt zlikwidować takiego łajdaka. – Znow zaczyna chodzić tam i z powrotem.

– Nie szukaj go. Trzymaj się od niego z daleka. Naprawdę jest świrnięty i zły. Nie chcę, żebyś miała z nim do czynienia. – Oczami wyobraźni widzę, jak Alfred odrywa złociste skrzydła z pleców mojej przyjaciółki.

Buns przewraca oczami.

– Błagam... Alfred? – prycha z przekąsem. – To totalny kretyn, Evie. Mogę mu nieźle skopać tyłek. Przecież dlatego stale napuszcza innych, żeby odwalili za niego brudną robotę, bo sam jest słaby i nieudolny – kończy stanowczo, a ja mam ochotę jej uwierzyć, ale zaraz staje mi przed oczami scena, jak wbijał nóż w Russella, i aż się wzdrygam.

– Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś ci się stało, Buns. – Na samą myśl o czymś takim ściska mnie w dołku.

– Skarbie, jak Alfred chce, może sobie próbować, ale bardzo ciężko za to odpokutuje – zapewnia Buns. – Zaraz, czy on dał ci może coś jeszcze? Klejnot, perfumy, coś do jedzenia?

Marszczę brwi i się zastanawiam.

– Jest tylko drewniane pudełko, w którym była puderniczka. Leży w szafie.

Znow w ułamku sekundy znika. Wraca z pudełkiem.

– Co to jest? – pytam, bo teraz wiem, czym nie jest. Na pewno nie prezentem, raczej koniem trojańskim.

– Ma wiele zastosowań, ale głównie to portal.

Muszę mieć zdezorientowaną minę, bo wyjaśnia dalej.

– To jak brama. Kiedy otworzyłaś pokrywkę, to razem z nią kanał, tunel dla tego, kto ma dostęp do bramy po drugiej stronie. Alfred dał drugą puderniczkę opętanemu, który

obserwował i czekał, kiedy przejście zostanie otwarte. Skorzystał z okazji, wyskoczył tutaj i trafił na ciebie – mówi, dotykając mojej szyi. – Niektóre demony używają tych kanałów, żeby uciekać aniołom Mocy. Zostawiają jeden otwarty w bezpiecznym miejscu, a drugim wędrują. W razie czego wskakują do kanału i zmykają do swojej przystani. Tam niszczą portal, zanim ruszy za nimi pościg.

– Jak można wejść do lustra, zwłaszcza tak małego? – pytam zaskoczona.

– Przez transfigurację – odpowiada po prostu.

– Aha... – Udamę, że łapię. Zaraz jednak próbuję doprecyzować: – Dokonuje się metamorfozy?

– Tak. – Uśmiecha się do mnie.

– Potraficie to zrobić? To pokaż – domagam się prowokująco, gdy widzę, że potakuje. – Podpieram się pod boki. Mam poczucie, że oni wszyscy mnie zwodzą.

Wzrusza ramionami.

– Jak chcesz.

Podchodzi do blatu, odkłada tam puderniczkę i pudełko. Odwraca się do mnie i uśmiecha wesoło, a jej ciało zaczyna migotać w świetle. W kilka sekund zmienia się na moich oczach w chmurę cudownych złocistych motyli, a na podłogę, tam gdzie stała, opada z niej ubranie. Motyle latają po całej łazience, nie układają się w żaden szczególny kształt, fruują sobie bezładnie, jak to motyle. Wtem się gromadzą i tworzą sylwetkę przypominającą moją przyjaciółkę. I nagle znów stoi przede mną dawna Buns.

– Ale cuda... – mamrocze z podziwem.

– No właśnie! – Ubiera się, cały czas uśmiechając do mnie.

– Czy ja też...? – Nie mogę dokończyć pytania.

– Jasne. Przynajmniej tak sądzę. Pewności nie mam, bo jesteś i aniołem, i człowiekiem, ale skoro wszystko inne rozwija się u ciebie jak u aniołów, to przypuszczam, że zdolność metamorfozy też się wykształci.

– Możesz zmieniać się, w co tylko zechcesz?

– Nie, tylko tak jak teraz – rzuca, jakby to było nic takiego. – Z Brownie jest tak samo. Nie doskonaliliśmy tej zdolności, bo prawie nigdy jej nie wykorzystujemy. Przydaje się, kiedy chcę uniknąć ludzi, a gdzieś mnie osaczają, ale zwykle mogę im po prostu uciec lub odlecieć.

Nerwowo pocieram czoło.

– No dobrze. Chyba czas, żebyśmy zaczęły prywatne lekcje anielskich umiejętności. Muszę być przygotowana na te wszystkie pułapki, w które stale dają się złapać. – Zirytowana spaceruję tam i z powrotem. – Bo teraz zastanawiam się, czy krzesło w pokoju obok to naprawdę krzesło, a nie jakiś zły anioł, który czyha, żeby mnie zabić, jak tylko na nim usiądę.

– Evie, musimy się zmieniać w coś ożywionego. Krzesło jest bezpieczne. – Stara się stłumić śmiech ubawiona.

Piorunuję ją wzrokiem.

– No, świetnie! Za to każda muszka, którą zobaczę, może być groźna, tak?

– Jakoś specjalnie nie martwiłabym się robaczkami. Chyba że pojawi się ich cała chmara. Wtedy może być kłopot. Jak zauważyłaś, zmieniałam się w mnóstwo motyli, nie w jednego.

– Czyli ważna jest ilość?

– Tak – przyznaje. – A jeśli chodzi o prywatne lekcje... – dodaje i urywa.

– To co? – pytam podejrzliwie.

– Wiesz, dyskutowaliśmy sobie o tym, co ci powiedzieć, a czego nie. Reed słusznie zauważył, że nie możemy po prostu wypaplać ci wszystkich sekretów rajy i piekła. Prawo zabrania nam wtajemniczać ludzi, a skoro jesteś po części człowiekiem i masz duszę, musimy być ostrożni. – Widzi, jak rzędzie mi mina. – Nie zrozum mnie źle, kiedy tylko coś się zdarzy, jestem gotowa zaraz ci to wyjaśnić. Chodzi o to, że jeśli twoja dusza opuści ciało, chcę być pewna, że trafi do rajy, bo nie zniosłabym myśli, że nigdy już cię nie zobaczę. – Głos jej się lekko załamuje. – Ani mi się śni negocjować w sprawie twojej duszy, gdybym przechyliła szalę na ich korzyść przez to, że wygadałam coś, co pozwoliłoby ci nie polegać wyłącznie na wierze.

– Buns, z pleców sterczą mi skrzydła, czy może być jakiś bardziej oczywisty dowód? – pytam poważnie.

Uśmiecha się.

– Może tylko zwariowałaś, a ja to wszystko zmyślam.

– No dobrze. Wiem, że jestem wariatką, ale to wszystko się dzieje raczej naprawdę.

– No właśnie. „Raczej”... ale... nie na sto procent. Więc wierzysz w Boga i w to, że jestem Boskim aniołem, i to chcemy utrzymać. Nie pozwolę ci pokutować w piekle za to, że powiedziałaś za dużo. Ale uwielbiam, jak Alfred coś mać, bo wtedy mogę zdradzić ci więcej. – Uśmiecha się porozumiewawczo.

– To nie fair, Buns – oponuję. Nie chcę przyznać jej racji.

– Wiem, ale pomyśl, jak ja się czuję. Znam tyle sekretów, którymi chciałabym się z tobą podzielić, ale mi nie wolno. Naprawdę ciężko mi z tym – stwierdza z żalem, że musi to w sobie tłamsić.

Rozumiem, że powinnam jej odpuścić, bo pamiętam, jak się czułam miesiąc temu, kiedy nie mogłam powiedzieć Russellowi, co się dzieje. Czy rzeczywiście minął zaledwie miesiąc? Wydaje mi się, że lata, tak jakbym wtedy była o wiele młodsza, a teraz dużo, dużo starsza. Chwilami odnoszę wrażenie, że mam setki lat i nic nie jest już dla mnie nowością.

– Myślisz, że go dopadną? – szepczę. Zdaję sobie sprawę, że chcę śmierci Alfreda i nic mnie nie ukoi, dopóki nie zostanie unicestwiony. Pragnę jego krwi, pragnę pomścić wujka. Ale jednocześnie nie mogę pogodzić się z tym, że przeze mnie Reed tak się naraża, ścigając tego demona. Choć wszyscy mówią, że ryzyko jest minimalne, gnębi mnie strach, że coś się stanie i stracę Reeda na zawsze.

Buns wzrusza ramionami.

– Nie wiem, skarbie.

– To jak, jest już bezpiecznie? Chcę się spakować, żebyśmy mogli jechać, jak tylko wieczorem wrócą. – Podchodzę do drzwi łazienki.

– Naprawdę sądzisz, że Reed pozwoli ci teraz dokądkolwiek jechać?

– Musimy się stąd wyrwać, Buns! Nie wytrzymam tu dłużej – mówię zrozpaczona. – Nie mogę usiąść u siebie w pokoju po tym, co właśnie się stało, gapić się w ścianę i zastanawiać, kiedy wreszcie Alfred mnie dopadnie. – Przekręcam gałkę w drzwiach. Wychodzę z łazienki i wpadam wprost w ramiona Reeda. Jest smutny, w wyrazie jego twarzy widzę skrywany żal.

– Nigdy cię nie dostanie. Proszę, zaufaj mi. Nie dopuszczę do tego, żeby cię porwał – szepcze mi do ucha.

– Reed, nie wiedziałam, że już tu jesteś... Nic ci się nie stało? Co poszło nie tak? – pytam spanikowana, bo ściska mnie tak mocno, że musiało coś się zdarzyć. – Gdzie Zee?

– Jest cały i zdrowy. Alfred nam uciekł – cedzi wolno, jakby te słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

Oddycham głęboko, wdzięczna, że ci, których kocham, są już bezpieczni.

– Świetnie... czyli wszystko dobrze się skończyło – stwierdzam z ulgą.

– Nie dla mnie – odpowiada, a mnie znów ogarnia przerażenie. Nie zauważyłam, żeby był ranny, ale może coś mi umknęło.

Jestem bliska obłądu, kiedy pyta:

– Jak ten demon zdołał się tu dostać? Dlaczego nic nie zauważyłem?

– Och – wzdycham ciężko. – To moja wina. Nie wiedziałam, że puderniczka, którą dał mi na urodziny Freddie... to znaczy Alfred, to taki dinks z bramą. A tu bach! Otwieram wieczko i wypuszczam potwora.

Mam straszne wyrzuty sumienia, że coś takiego zrobiłam, choć przecież... Skąd mogłam wiedzieć?

Reed puszcza mnie i bierze z blatu puderniczkę i pudełko. Oglądam się na Buns, żeby pomogła mi wszystko wyjaśnić, ale wyszła.

– To jest to? – pyta Reed; takim gniewnym tonem nigdy się do mnie nie odzywał.

Wzdrygam się lekko, opieram o gałkę przy drzwiach łazienki i przytakuję.

– Czy kiedykolwiek dał ci coś jeszcze?

Nadal nie bardzo potrafi opanować złość. Blednę i kręcę głową. Reed miażdży puderniczkę, zostaje z niej kulka metalu w jego dłoni. Niszczy też pudełko.

Zaczynam dygotać.

– Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że takie rzeczy istnieją. To znaczy może w bajkach tak, ale nie w życiu. Nic przed tobą nie ukrywałam. Po prostu znalazłam to w szafie. Spadło z półki, kiedy zdejmowałam walizkę... – paplam jak nakręcona. – Jestem głupia i tyle. Stale robię coś nie tak...

Przestaję, bo Reed kładzie mi palec wskazujący na wargach.

Przyglądam się jego twarzy. Chcę się zorientować, czy moje usprawiedliwienia go przekonały.

Nadal mam wrażenie, że się gniewa.

– To nie twoja wina, tylko moja – stwierdza. – Skąd mogłaś wiedzieć, co się stanie, kiedy to otworzysz. Nie mogłaś przewidzieć, że wyskoczy z tego demon i zacznie cię dusić. Proszę, nigdy więcej nie mów, że jesteś głupia – kończy i zdejmuje palec z moich ust. Odwraca się i rusza do drzwi. – Pakuj się. Wyjeżdżamy – dodaje przez ramię.

W pół godziny zbieram wszystko, co może mi być potrzebne podczas wycieczki w góry. Reed i Zefir decydują, że lepiej jechać dwoma autami niż jednym. Buns i Zefir ruszą przodem w czarnym range roverze. Ja z Reedem za nimi w czerwonym, który dostałam na gwiazdkę. Domyślam się, że chcą w razie czego zmylić wroga, a mnie odwieźć w bezpieczne miejsce drugim wozem.

Reed ładuje moje rzeczy do bagażnika i rzuca mi kluczyki. Łapię je i przez chwilę patrzę na niego pytająco, zanim z uśmiechem wsiadam od strony kierowcy. Zapinam pasy i włączam silnik – budzi się z groźnym pomrukiem, kiedy dotykam stopą pedału gazu. Reguluję ustawienie lusterka i przez moment widzę w nim odbicie własnych oczu. Są prawie takie jak zawsze, tylko w kącikach pozostały bardziej czerwone. Oddycham z ulgą, że nie wyglądam już jak dziwadło. Unoszę brodę i odsuwam na bok szalik. Sprawdzam, czy sińce na szyi też schodzą. Względnie. Są teraz ciemnożółte. Z powrotem zakrywam je szalikiem. Siedzący obok Reed obserwuje mnie bez uśmiechu.

Odpinam pasy i gramolę się do niego na kolana. Obejmuję go za szyję, przyciskam czoło do jego czoła i zaglądam mu w oczy.

– Dziękuję – mówię łagodnie. – Wiem, że ten wyjazd to dla ciebie stres. Pewnie walczysz ze sobą, żeby nie złapać mnie i nie zanieść z powrotem do domu, a przynajmniej samemu sięść za kierownicą, by mieć pewność, że nic mi się nie stanie.

Widzę leciutki uśmiech na jego ustach.

– Niesamowite, jak ty dobrze mnie znasz. Gdybym tylko potrafił tak rozumieć ciebie. Mam wrażenie, że czytasz mi w myślach. A ja zwykle nie mam pojęcia, co ty za chwilę zrobisz.

– Nieprawda... Na ogół nie wiem, co myślisz, ale ostatnio skupiasz się na jednym. Chodzi o przestrzeganie „Zasad bezpieczeństwa Evie”, tyle że chyba nie bierzesz pod uwagę minusów takiego postępowania. Tylko same „za”. – Przytulam się do niego mocniej i całuję go czule pod uchem.

– Nie ma żadnych minusów – szepcze mi we włosy i przez chwilę mu wierzę. Delikatnie skubię zębami płatek jego ucha.

– A teraz? – Uśmiecham się na jego jęk.

– No dobrze, jest jeden minus, ale już niedługo na pewno nie będzie tego problemu. – Ma na myśli to, że nie wolno nam poddać się požądaniu, dopóki nie zyskam dość odporności, by wyjść z tego bez szwanku. – Zefir chyba chce, żebyśmy już ruszyli – przypomina mi, że wstrzymujemy całą wycieczkę.

Wyglądam do przodu – Zefir opuścił szybę po stronie kierowcy i cierpliwie czeka.

– Oj! – Czerwienię się. – Czas jechać.

Przesuwam się z powrotem za kierownicę, zapinam pasy. Ruszam za czarnym range roverem. Skręcamy na drogę prowadzącą do kurortu.

– Za ile tam dotrzemy? – pytam Reeda, patrząc przed siebie na szosę.

– Zależy, jak szybko będziemy jechać. Pewnie za trzy godziny, jeśli będziemy przestrzegać przepisów – mówi zdawkowo.

Zgaduję, że dla niego wolna jazda to strata czasu. Bez ryzyka nie ma zabawy. Widzę, że Zefir wyznaje tę samą filozofię, bo muszę wduszać gaz niemal do dechy, żeby za nim nadążyć.

– Mówisz, że znam cię tak dobrze. W pewien sposób tak, ale z drugiej strony nic o tobie nie wiem – odzywam się po dłuższej chwili.

A Reed delikatnie ujmuję moją dłoń. Nie ma pojęcia, jaki jest idealny.

– A co byś chciała o mnie wiedzieć? – pyta ostrożnie.

Pewnie sądzi, że zamierzam wydobyć jakiś dotyczący jego specjalności sekret, którego nie wolno mu zdradzać. A mnie wcale nie o to chodzi.

– Spokojnie, nie proszę, żebyś mi tłumaczył, dlaczego archeolodzy znaleźli kości dinozaurów, skoro historia stworzenia jest prawdą – zapewniam i uśmiecham się do niego. Patrzę, jak unoszą się kąciki jego warg i w końcu uśmiech wędruje do jego oczu. Uwielbiam to. – Nie. Opowiedz coś ze swojego życia.

– Już ci mówiłem, Evie. Tak naprawdę moje życie zaczęło się dopiero wtedy, kiedy cię poznałem.

Przewracam oczami. Nie kupuję tego.

– Nie wierzysz mi? – Przypatruje się mojej twarzy.

– Nie. Jesteś artystą. Widziałam, jak pięknie rzeźbiłeś, i wiem, że w twoim życiu musiało być coś przedtem – argumentuję.

– Rzeźbiłem głównie wtedy, gdy siedziałem w jakiejś odludnej dziurze i czekałem na swoją ofiarę. – Zerka na przesuwaną się za oknem krajobraz. – Dzięki temu miałem coś do roboty, kiedy nie byłem już w stanie czytać kolejnego sonetu, którego nie rozumiałem, bo brakowało mi odniesienia do opisywanych w nim emocji. Podróżuję przez ludzkie cywilizacje, trzymając się na uboczu.

Co i raz spogląda na mnie, pewnie próbuje się zorientować, jakie wrażenie robi na mnie to, co mówi. Próbuję nie zdradzać wyrazem twarzy tego, jak bardzo boli mnie serce na myśl o jego samotnej egzystencji.

Na chwilę milknie, zanim odzywa się znowu.

– Głównie obserwuję, jak rodzą się i upadają cywilizacje. Od czasu do czasu staram się jakoś włączyć, jak ostatnio tutaj, ale to nie moje zadanie. Muszę uważać, żeby nie zapomnieć, kim jestem. Mógłbym opowiedzieć ci o swoich wrażeniach ze Sparty, o wojownikach, którzy zostali rozgromieni, gdy ich cywilizacja ginęła. Mógłbym opowiadać o hiszpańskiej inkwizycji i okrucieństwach popełnianych rzekomo w imię Boga, ale jestem tylko

obserwatorem ludzkich dokonań. Nie mogę za bardzo się w nie mieszać, nawet jeśli uznałbym, że niektórych okrutników należałoby zetrzeć na proch. – Uśmiecha się ponuro, a mnie przebiega dreszcz na myśl o okropnościach, jakich musiał być świadkiem. – Czasami po tym, co widziałem i co wytrąciło mnie z równowagi, musiałem odpocząć trochę od ludzi.

Gorączkowo próbuję wyobrazić sobie, co mogło być tak straszne, że aż przerosło wytrzymałość anioła, którego celem jest zabijanie i rozrywanie na strzępy innych aniołów. Ze wstydem uświadamiam sobie, że potrafiłabym wymienić kilka przykładów, i to z niezbyt odległej przeszłości.

– Zdarzało mi się po kilkadziesiąt lat trzymać z dala od społeczności ludzkich. Teraz o to trudniej, ale nie jest to całkiem niemożliwe. A kiedy już udzielam się wśród ludzi, nie potrafię nawiązywać z nimi trwalszych przyjaźni. Choć niektórzy lgną do mnie z jakiegoś powodu. – Urywa, żeby zerknąć na mnie. – Weź na przykład takiego JT i Pete’a. Nie wiedzą, czemu mnie lubią, ale po prostu tak jest. – Uśmiecha się, choć opisuje ponure życie. – Ale będę mógł się z nimi widywać najwyżej kilka lat. Bo w końcu zauważą, że ja stale mam dziewiętnaście lat, a oni się starzeją. – Wybuchła wcale nie wesołym śmiechem. – Przenieś się więc dokądś i zacznę nowe życie gdzie indziej... ale teraz mam ciebie. Możesz wędrować ze mną. Dokądkolwiek nam się zamarzy, dokąd tylko zechcesz. – Unosi moją dłoń do ust i całuje.

Przykładam ją do jego policzka. Patrzę, jak Reed zamyka oczy, upajając się moim dotykiem.

Kontakt... niezaspokojona potrzeba... nic dziwnego, że na początku naszej znajomości zawsze wydawał się tak zagubiony, kiedy był blisko mnie. Czuł się zagubiony... a ja go odnalazłam... i zostanę przy nim na zawsze, żeby nie wiem co – myślę.

– Kocham cię. Możemy jechać, dokąd tylko chcesz, byle razem – wyznaję krótko, żeby nie było między nami nieporozumień. I zmuszam się, żeby oderwać wzrok od jego promiennego uśmiechu, nie chcę spowodować wypadku.

– To takie dziwne, gdzie wędrują teraz moje myśli... siedzę i marzę o tym, co może nigdy się nie spełni – mówi.

– To znaczy? – pytam zaskoczona.

Patrzy na mnie przez chwilę tak, jakby powiedział za dużo. Jakby zdradził wstydlivy sekret. Mam wrażenie, że mi nie odpowie.

– Potrafię teraz godzinami marzyć o wszystkich tych miejscach, do których mogę cię zabrać, i myślę o tym, jak ci się spodobają. A potem o tym, co byśmy robili, gdybyśmy się tam znaleźli, ale zawsze zostawiam sobie jedno miejsce na następne marzenia... Jestem taki szczęśliwy – mówi niemal przepaszająco.

– Twierdzisz, że marzysz o mnie tak, jakbyś śnił na jawie? – Czerwienię się lekko, kiedy uzmysławiam sobie, że w ten sposób myśli o mnie nieugięty wojownik.

– Tak – potwierdza, obserwując mnie. – Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie robiłem. Kiedy coś planuję, to czysta strategia, tak jak to, gdzie znajdę najpodlejsze kreatury. Albo jak wykorzystać teren, by najskuteczniej osaczyć wroga. Jak napuścić na siebie nawzajem swoich

przeciwników. Jak zawrzeć najbardziej zabójcze przymierza – wylicza pewnie. – A teraz nagle łapię się na tym, że myślę, jak sprawić, by Evie się uśmiechnęła, lub jak zareagujesz na widok piramid w Gizie. A jak będą wyglądały twoje włosy na poduszce dziś w nocy w twoim pokoju... – urywa.

Mój rumieniec staje się jeszcze ciemniejszy.

– Reed, to fajne, podniecające... – Staram się powstrzymać uśmiech.

– Serio?

– Mhm, bardzo.

– No... to dobrze. Już myślałem, że coś ze mną nie tak. – Moja reakcja wyraźnie go cieszy.

– No co ty! Mnie też się to zdarza. Myślę, jakie to byłoby super całować cię i całować bez przerwy.

– Masz rację, to fajne – mruczy, muskając moje włosy.

– Widzisz?

– O czym jeszcze marzysz? – pyta łagodnie. Temat mu się spodobał.

Odchrząkuję i zastanawiam się chwilę.

– Hmm... na przykład dziś rano, kiedy zdecydowaliśmy się na tę wycieczkę, pozwoliłam sobie trochę pofantazjować, jak bym rozplanowała nocleg, gdybym miała taką możliwość.

– Tak? – Unosi brwi.

– Mhm. A kiedy się pakowałam, chyba dorzuciłam kilka rzeczy, w razie gdybyś unieważnił surowy zakaz uwodzenia.

– To niewyobrażalne, co potrafisz ze mną zrobić samymi słowami. – Kręci głową.

Uśmiecham się, bo nagle czuję swoją siłę. Staram się to ukryć, rzucam okiem za okno. Minęliśmy już wszystkie główne miasta w tym rejonie i teraz jedziemy przez wioski w kierunku jeziora Michigan i kurortu, w którym zamierzamy się zatrzymać. Po obu stronach dwupasmowej drogi rośnie gęsty jodłowy las. Na gałęziach leży śnieg, przez co panuje niemal absolutna cisza. Pięknie to wygląda o zmierzchu, kiedy kolory nocy wypierają blask zachodzącego słońca. Zaraz zrobi się tu naprawdę ciemno, bez latarni i świateł miasta, od których jarzyłby się horyzont. Ale to nie szkodzi, bo teraz świetnie widzę w ciemności, przecież mam anielski wzrok. Pewnie nie musiałabym nawet włączać reflektorów, ale robię to, żeby inni mnie widzieli.

Dzwoni telefon w kieszeni Reeda. To Zefir. Przypomina, że w tym miejscu planowali tankowanie. Podjeżdżamy na stację benzynową z małym sklepem. Parkuję obok dystrybutora. Buns z Zefirem wysiadają ze swojego auta i podchodzą do nas, rozglądając się uważnie. Reed pochyla się między siedzeniami i całuje mnie. Jego wargi muskają moje usta jak szept, zanim wysiada, żeby nalać benzyny. Otwieram drzwi i wysiadam, żeby rozprostować nogi.

– Skarbie, chodź, kupimy sobie coś na przekąskę – proponuje Buns i bierze mnie pod ramię. – Mam chęć na cukierki z lukrecji, a ty?

Idziemy parę kroków razem.

Za oknami minimarketu jarzeniowe lampy dziwnie migocą, rzucając niesamowitą poświatę na regały ze słodyczami. Staję jak wryta i próbuję się wyrwać Buns. Ogarnia mnie panika, zlewam się zimnym potem.

– Nie... zostaw mnie! – protestuję cicho, a ona natychmiast mnie puszcza. – Ze strachu cała się trzęsę, cofam się.

– Co się stało, skarbie? – dociera do mnie głos Buns, ale nie mogę oderwać oczu od drzwi znajdujących się przede mną.

W każdej chwili mogą stanąć otworem i poczuć ten ohydny odór, od którego zbiera mi się na wymioty. A w środku będzie czekał na mnie Gaspard.

Nie myślę racjonalnie, odwracam się i uciekam ze stacji. Pędzę tak szybko, jak tylko nogi poniosą. Nie zastanawiam się, dokąd tak gnam ani czy ktoś to widzi. Przecinam jezdnię, o włos mijam się z ciężarówką załadowaną do połowy ogromnymi jodłami. Kierowca pewnie nawet mnie nie zauważył, bo przy tej prędkości jestem dla niego niemal niewidoczna. Biegnę do lasu po drugiej stronie drogi. Wspinam się na strome wzgórze; lawiruję między drzewami tak zwinnie, że nie potrącam ani jednej gałązki. Przeskakuję spore skały, ale w ogóle nie zwalniam, nie potykam się, nie czuję zmęczenia. Pędzę dalej tak, jakbym miała nigdy się nie zatrzymać.

Z oddali ktoś woła moje imię. Lecę coraz dalej i szybciej. Głębokie zaspasy śniegu to nie problem. Mocniej poruszam nogami, z łatwością pokonuję opór. Przeskakuję ze skalnej półki na półkę. Nawet przez chwilę nie wątpię, że moja stopa bezpiecznie wyląduje dokładnie tam, gdzie trzeba w tym zdradliwym terenie. Znowu słyszę za sobą wołanie. Przystaję.

Dokąd ty biegniesz? Próbuję się opamiętać. Uciekam przed 7-Eleven... do Reeda, odpowiada serce. Zamieram w bezruchu. Nie da się od tego uciec. To już się stało. Weszłam do sklepu z Alfredem, odmieniłam życie Russella na zawsze – na wieczność – i przyczyniłam się do śmierci wujka. Zrobiłam to i nie mogę już tego cofnąć, myślę i czuję rozdzierający ból. Znowu słyszę wołanie, tym razem bliżej. Odwracam się. Wiem, że to Reed mnie dogania.

Wypada spośród drzew. Ma przerażenie na twarzy. Zatrzymuje się, gdy zauważy, jak stoję na półce skalnej tuż nad nim. Pewnie wyglądam strasznie. Kurtka rozdarła się na strzępy, kiedy wyskakiwały skrzydła. Został cienki sweter, który przystosowała dla mnie Buns. Nie rozpruł się, tylko rzep z tyłu puścił.

– Evie, dokąd tak biegniesz? – pyta Reed łagodnym tonem, podchodząc do mnie ostrożnie.

Rozglądam się. Patrzę na drzewa i śnieg, bo nie wiem, co odpowiedzieć.

– Uciekałam przed... 7-Eleven... szukałam ciebie.

Jest dezorientowany, dopiero po chwili dociera do niego, o co chodzi. Nie próbowałam umknąć Alfredowi, kiedy zorientowałam się, że ma Russella i go zabije. Podporządkowałam się mu. Reed zaciska szczęki, nie odrywa ode mnie wzroku. Podchodzi do mnie ostatnie kilka kroków i bierze mnie w ramiona. Sięga do kieszeni po komórkę i wciska szybkie połączenie.

– Dogoniłem ją, nic jej nie jest, zaraz wracamy. Czekaście przy drodze.

Chowa telefon. Bierze mnie na ręce i znosi ze stromego wzgórza, po którym biegłam tak, jakby to była płaska piaszczysta plaża. Milczę przez całą drogę do auta, czuję masę sprzecznych emocji. Kiedy już mamy wynurzyć się z lasu, Reed zdejmuję kurtkę i okrywa mnie, żeby nikt nie zobaczył skrzydeł. Zefir zdążył już podprowadzić nasz samochód na pobocze, gdzie jest ciemno. Reed sadza mnie na miejscu pasażera. Zefir natychmiast jest przy nim, a Buns pojawia się przy drzwiach od mojej strony.

– Skarbie, nie wiem, jak mogłam pomyśleć, że zechcesz tam wejść – mówi skruszona i dotyka mojej ręki przez otwarte okno.

– Buns, naprawdę nie mam pojęcia, co się stało. To nie twoja wina, że spanikowałam. Ogarnął mnie taki lęk, że musiałam... – próbuję wyjaśnić, ale nie potrafię.

– Weszłam do sklepu, kiedy dostaliśmy wiadomość, że nic ci nie jest, kupiłam wodę, a właściwie po jednej rzeczy z wszystkiego, co mieli – mówi z nerwowym uśmiechem i wskazuje na ogromną torbę słodczy na tylnym siedzeniu auta.

Cieszę się jak dziecko, kiedy widzę górę pyszności wysypujących się z torby.

– Jesteś dla mnie za dobra.

– Żartujesz? Brownie nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby coś się stało naszej przyjaciółce.

– Pochyla się, żeby mnie uściskać.

– Gotowa do dalszej jazdy?

– Tak. Do zobaczenia w schronisku. – Patrzę, jak wraca do czarnego range rovera zaparkowanego przed nami.

Do okna podchodzi Zefir.

– Fajnie ci się biegało? – pyta z uśmiechem.

Unoszę lekko brodę.

– Tak. Orzeźwiająca przebieżka.

Szczerzy zęby w uśmiechu i całuje mnie w czoło.

– Przy tobie nuda mi nie grozi, to pewne. – Chichocze i odchodzi do swojego auta.

Podnoszę szybę, Reed wsiada. Nie rusza przez chwilę, tylko wpatruje się we mnie. Staram się ukryć, jak bardzo jestem roztrzęsiona.

– Chyba trzeba będzie wymyślić jakiś znak, żeby nie musiała stale powtarzać „przepraszam”. Nie wiem, jak ty to znosisz. A może naucz mnie, jak to się mówi po anielsku. W waszym języku wszystko brzmi dużo lepiej.

– U nas nie ma takiego słowa – odpowiada Reed.

Muszę powstrzymać łzy, kiedy dowiaduję się o tym drobiazgu. No pewnie, za co miałyby przepraszać istoty tak doskonale – myślę ze smutkiem.

– Poza tym jestem bardzo szczęśliwy, że to mnie szukałaś. – Nie spuszcza ze mnie oczu. – Nie musisz mnie przepraszać. Nigdy. Kierujesz się sercem, nawet jeśli to sprzeczne z logiką. A twoje serce mówiło ci, żeby mnie znaleźć, dokonać innego wyboru niż poprzednim razem.

– Włącza silnik i wyjeżdżamy za Zefirem na drogę. – Mogę cię o coś spytać? – rzuca po chwili.

Kiwam głową, nadal boję się odezwać.

– Jak sądzisz, co by się stało, gdybyś uciekła, nie podporządkowała się Alfredowi, który chciał, byś oddała mu duszę za Russella? Gdybyś nie weszła z nim do sklepu?

Wzruszam ramionami i patrzę w okno po swojej stronie, bo nie chcę, żeby dostrzegł łzy w moich oczach.

– Na ile to zmieniłoby bieg wypadków? – nie ustępuje.

– Może powstrzymałbyś Alfreda – odpowiadam cichutko.

– Nie – stwierdza stanowczo. – Gdybyś wtedy uciekła do mnie do domu, to jedyna różnica polegałaby na tym, że byłabyś bezpieczna, ale Russell by nie żył. Alfred zabiłby go od razu, a potem pognąłby zamordować twojego wuja. Wpadłby do niego, żeby zemścić się za twoje nieposłuszeństwo. Nie zorientowalibyśmy się, co się dzieje, zanim byłoby za późno. Alfred nie czekałby tu beczynn timer, żebym go zabił, gdybyś mu się wymknęła.

– Czasami myślę, że można umrzeć z żalu – szepczę.

– Czego ty masz żałować? – drąży dalej.

– Gdyby nie ja, Russell byłby już w raju. To przeze mnie stał się zwierzyną łowną, która wymaga ochrony – mówię z goryczą.

– Pomogłaś mu stać się bytem wyżej rozwiniętym. Uczyniłaś z niego Serafina, najwyższy gatunek anioła w raju, nadal jest twoją bratnią duszą. Należy do ścisłej elity – tłumaczy Reed i kręci głową. – Russell powinien całować ci stopy za taki awans.

– No rzeczywiście, uciekanie przed demonami i aniołami to fantastyczne życie, naprawdę jesteśmy elitą – prychem.

– Wymyślimy coś, żeby nie zawsze tak było. Zefir i ja mamy kilka pomysłów, jak przedstawić was w naszych sferach bez narażania na niebezpieczeństwo.

– Planujecie akcję PR? – rzucam zaczepnie.

– Możliwe. – Patrzy na mnie zniewalającym wzrokiem. – Mogę cię spytać o coś jeszcze?

– Oczywiście. Nie mam przed tobą tajemnic. – Ciekawi mnie, co to może być.

Jego uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– Dlaczego nagle przestałaś biec dalej w las?

– Zdałam sobie sprawę, że uciekam do ciebie, a ty jesteś gdzieś za mną, a nie gdzieś tam z przodu.

– Nie byłaś zmęczona, nie brakowało ci sił?

– Nie, w żadnym wypadku. A czemu pytasz?

– Bo nie mogłem cię dogonić, byłaś dla mnie za szybka.

– Serio? – Chyba sobie żartuje. To anioł Mocy. Jest szybki jak błyskawica, silny, wytrzymały... czysta potęga. – Niemożliwe! – mówię i aż otwieram buzię ze zdumienia.

– Chciałem podlecieć, żeby cię znaleźć, bo za bardzo mnie wyprzedziłaś. – Uśmiecha się. – Kierowałem się twoimi śladami i nie mogłem uwierzyć, jak wielkimi susami skakałaś po skałach. I widziałem, że ani razu się nie poślizgnęłaś, nie zawahałaś. Byłem pod wrażeniem, a teraz, kiedy wiem, że nic ci się nie stało, mogę powiedzieć, że to nawet bardzo seksowne. Zee

wspominał, że jesteś naprawdę szybka, wiesz, po tym, jak cię gonił, ale nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak bardzo.

– Naprawdę? Ciekawe... – Przyglądam mu się uważnie.

– To twoja sekretna broń, Evie. Jeśli trafisz na wroga, uciekaj jak najdalej tak prędko, jak potrafisz. Nie oglądaj się, tylko biegnij. Zadbamy, żebyś zawsze miała ze sobą komórkę. Kiedy zrobi się bezpiecznie, zadzwonię albo ty będziesz mogła się ze mną skontaktować i wtedy gdzieś się umówimy – mówi tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Czyli mam uciekać? Jak jakiś tchórz? – pytam urażona, że mi narzucił taką strategię.

– Evie, uniki a tchórzostwo to dwie różne rzeczy – stwierdza spokojnie.

– No tak. Jedno znaczy, że się chowasz, drugie, że nie masz kręgosłupa. Ani to, ani to mi nie pasuje...

– A co z dyscypliną i stosowaniem się do poleceń? – rzuca zaczepnie.

– Mam być po prostu posłuszna? Hmmm, nie za bardzo to lubię – obstaję przy swoim.

– Chodzi o poszanowanie zasad, nie podporządkowywanie się – podkreśla rzeczowo. – Pamiętaj i respektuj to, że znam się na taktyce.

– Nie masz chyba wątpliwości, że cię szanuję – zapewniam, zastanawiając się, dlaczego spieramy się o strategię.

– To mnie słuchaj – prosi łagodnie.

– A co ty będziesz robił, kiedy ja będę uciekać? – pytam przygnębiona.

– To, do czego jestem stworzony. Z aniołami sobie poradzę. Ale nie zniosę życia bez ciebie, więc musimy znaleźć sposób, żebyś była bezpieczna.

– Dlaczego moje bezpieczeństwo ma liczyć się bardziej niż twoje? – Próbuję go przekonać, że to błąd.

– Sądzisz, że miałabyś jakieś szanse w starciu z dojrzałym aniołem Mocy, Evie? Podczas walki byłabyś dla mnie bardziej obciążeniem niż pomocą. Kiedy tylko anioł Mocy zorientowałby się, jaka jesteś dla mnie ważna, mielibyśmy wielki problem.

– Czyli jestem kulą u nogi – podsumowuję cicho. Przyglądam się swoim dłoniom, żeby na niego nie patrzeć. – I tak już pewnie zostanie, prawda?

Reed ciężko wzdycha, bo widzi, jak bardzo uraziły mnie jego słowa.

– Tylko na razie. Pewnego dnia staniesz się niesamowicie silna, jeśli nadal będziesz się rozwijać jak dotąd. Wtedy będę musiał odszczekać wszystko, co powiedziałem.

– Obiecujesz, że to zrobisz, kiedy nadejdzie czas? – pytam nieco zawstydzona, bo wiem, że ma rację, choć nadal wydaje mi się nie do pomyślenia, że mam go zostawić i trzymać się z dala, gdyby musiał walczyć na śmierć i życie.

– Słowo – mówi, biorąc mnie za rękę i przyciągając ją do ust.

Aż zagryzam wargi. Ta pieszczota jest tak zmysłowa.

– A ty obiecujesz słuchać mnie i uciekać, kiedy każę? – Całuje wnętrze mojej dłoni raz jeszcze.

Wiercę się niespokojnie, trudno mi się wywinąć.

– No dobrze – godzę się z westchnieniem.

Przygląda mi się uważnie, a po chwili nachmurza się i pochyla głowę, aż grzywka opada mu na oko.

Tak naprawdę nie powiedziałam, że obiecuję. Myślę, że to zauważył, odpinam więc pas i odgarniam mu włosy z czoła, po czym obracam się i grzebię w torbie ze słodyczami na tylnym siedzeniu.

– Chcesz batona? – pytam przez ramię.

– Tak.

Wyciągam podwójne opakowanie i coś do picia. Odpakowuję i podaję jednego Reedowi.

– Zastanawialiście się więc, jak powiedzieć o mnie innym aniołom? – zagajam, żeby zmienić temat.

– Tak.

– Ale jeszcze nic nie ustaliliście?

– Nie.

– Boisz się, że jak raz wypuścisz dżina z butelki, to już koniec? – W zadumie przeżuвам batona.

Zerka na mnie podejrzliwie.

– Evie, jesteś niebezpiecznie bystra.

– Pociesz się, że mamy teraz nową broń w arsenale: ucieczkę. – Z niesmakiem akcentuję ostatnie słowo.

Zaraz jednak robi mi się weselej, bo Reed wybucha takim śmiechem, jakbym powiedziała najzabawniejszy dowcip w życiu.

Rozdział 3

KURORT

Miejsce, które wybrała Buns, jest zjawiskowe, przynajmniej dla mnie. Na aniołach nie robi wrażenia, ale pewnie bywały w tak wielu różnych miejscach, że wszystko widzą z innej perspektywy. Lobby hotelowe jest ogromne. Przypomina bawarską leśniczówkę. Z dużych okien roztacza się widok na zbocza. Po obu stronach są masywne kamienne kominki, a w każdym ułożono tyle drewna, że mogą palić się całą noc bez dokładania. Podchodzę do okien, kiedy Buns nas melduje. Góry nie są zbyt okazałe, nie tak jak w większości kurortów na świecie. W końcu to nie Alpy. Ale świetne miejsce, żeby oderwać się od gnębiących mnie myśli, a tego teraz najbardziej mi trzeba.

Wyglądam na zewnątrz – grupa nastolatków zjeżdża na snowboardach. Spotykają się na dole. Ich bez troskie śmiechy, kiedy nawzajem gratulują sobie zjazdu, są dla mnie niemal szokujące. Prawie zapomniałam, że coś takiego istnieje, że są ludzie, dla których jedyny

problem to nauczyć się nowej sztuczki, żeby zaimponować kolegom. Podchodzę bliżej do szyby. Wydaje mi się, że jeden z chłopaków mówi coś o zdradzieckim podmuchu, który go lekko znosił. Odpinają deski i idą w kierunku światła przy wyciągu. Ja też się przesuwam. Wodząc palcem po zimnym szkłe, zbliżam się do tylnej części holu, aż wreszcie okna się kończą i tamci znikają mi z pola widzenia.

Jestem rozczarowana. Są pewnie w moim wieku, ale nie czuję się tak młoda jak oni. Chciałabym za nimi pobiec, błagać, żeby nauczyli mnie znów być młodą, bo już zapomniałam, jak to jest. Młodość przeleciała mi między palcami i nie wiem, jak ją odzyskać. A może wcale nie o to chodzi – może po prostu zapomniałam, jak to jest być człowiekiem, tylko człowiekiem. Nawet nazywam ich teraz istotami ludzkimi, jakbym sama nie należała do ich rodzaju. I nie należę, już nie – i pewnie nigdy nie będę należała. Zaskoczona uświadamiam sobie, że smuci mnie utrata części człowieczeństwa, choć tak się cieszę, że się rozwijam, bo dzięki temu mogę podążać za Reedem, teraz kiedy go znalazłam.

Od tyłu obejmują mnie silne ramiona, widzę odbicie Reeda w szybie i opieram się o niego.

– O czym myślałaś? – Wtula nos w moją szyję.

– Kiedy? – rzucam wymijająco.

– Przed chwilą. Wyglądałaś na taką... zagubioną – dodaje łagodnie.

– Nigdzie się nie zgubiłam. Znalazłeś mnie, prawda? Zastanawiałam się tylko, jak bardzo dam ci popalić na tych trasach. Możesz mieć kłopoty, przygotuj się na najgorsze – paplam jak najęta, by ukryć swoje myśli.

– Chyba żartujesz, Evie. – Uśmiecha się.

– Wcale nie. Nie masz szans – mówię, opierając głowę na jego piersi.

– Racja, w starciu z tobą nigdy nie miałem szans – odpowiada, wywołując mój uśmiech.

– No widzisz – kwituję i słyszę, jak się śmieje.

– W porządku, wszystko załatwione – woła Buns. Unoszę głowę z piersi Reeda i oboje obracamy się do niej. – Chata czeka. Musimy podjechać tam według tej mapki.

– Nie zatrzymujemy się w hotelu? – pytam zmieszana.

– Nie. Pomyśleliśmy, że lepiej wynająć coś bardziej kameralnego – wyjaśnia Buns, kiedy wychodzimy, żeby wsiąść z powrotem do aut. Ruszamy, trzymając się wskazówek mapy, prywatną dróżką, która wiję się serpentynami przez las. Docieramy do niesamowitej chaty na odludziu. Położona tuż przy jednym z najpiękniejszych wzgórz wygląda bajkowo. Kryty cedrowym gontem dach pokrywają warstwy świeżego śniegu. Wszystkie drzwi i okna są zaokrąglone na górze. Okiennice osadzone na kutyh zawiasach. Każdy pokój ma swój osobny taras, jest też jeden wspólny w tylnej części domu, z zewnętrznym kominkiem.

Reed wyłącza silnik, a ja siedzę chwilę niezdolna się ruszyć.

– Jak tu pięknie – szepczę, bo ta chata jest idealna. Nie potrafiłabym sobie wyobrazić bardziej romantycznej scenerii.

– Evie, sprawiasz, że chciałbym pokazać ci świat. Jeśli takie wrażenie robi na tobie wypad do małego schroniska w lesie, to co powiesz na widok Wersalu? – pyta czule.

– Nie wiem, Reed, ale tu jest wyjątkowo uroczo – mówię z uśmiechem.

Drzwi czarnego range rovera stojącego przed nami się otwierają. Zefir wysiada i doskakuje do drugiej strony auta, żeby wyciągnąć Buns. Całuje ją namiętnie i zarzuca sobie na ramię. Robię wielkie oczy ze zdumienia, kiedy tak niesie ją do chaty i znika w środku.

– Wiedziałaś, co się święci? – pytam Reeda.

– Tak.

– Ojej. A ja nic nie zauważyłam.

– Masz tyle na głowie – odpowiada, biorąc mnie za rękę i podnosząc ją do ust.

– Myślałam, że anioły Mocy raczej się nie zadają z Kosiarzami. – Próbuję jakoś to sobie poukładać.

– No, zwykle niezbyt się lubimy, bo większość lasek z Kosiarzy jest strasznie wkurzająca.

– Zaczynam się śmiać na te słowa, a on uśmiecha się i ciągnie: – Taka prawda. Chcą paplać o tęczach, słoneczku, radosnych uczuciach. Anioły Mocy raczej nie doświadczają tak pozytywnych emocji. W końcu, jeśli jesteśmy dłużej skazani na ich obecność, mamy ochotę rozszarpać je na strzępy. Ale Buns to zupełnie co innego. Z nią jest fajnie. Potrafi rozmawiać o strategiach i taktyce, i nawet nie wspomni o tęczach – tłumaczy Reed.

Wybucham śmiechem.

– Żartujesz, prawda? Buns nigdy nie nawijałaby o tęczach, a Brownie tym bardziej... to już wykluczone. Nie chciałoby się jej otwierać ust w sprawie tak trywialnej.

– Nie, wcale nie żartuję. Buns i Brownie to najdziwniejsze anioły z zastępu Kosiarzy, jakie kiedykolwiek poznałem. Jakby z innej gliny. Nie są tak wkurzająco radosne i szczebiotliwe. Aż się czasem zastanawiam... – mówi tak, jakby miał z tym jakiś problem.

– Myślisz, że coś przed nami ukrywają? – pytam z niepokojem.

– Wiesz, Zee zwykle prędzej powyrywałby Kosiarzowi skrzydła, niż usiedziałyby z nim w jednym aucie dłużej niż minutę. Ale z Buns... Ona i Brownie są wyjątkowe – stwierdza. – Ale w końcu my wszyscy zachowujemy się dziwnie w twoim towarzystwie. Może to reakcja na ciebie.

– Ciekawa z nas paczka, co? – Widzę, jak pytająco unosi brew, więc dodaję: – Popatrz... mamy dwa anioły Kosiarze, które nie zachowują się za bardzo jak Kosiarze. Jest anioł Mocy, Zee, który doskonale zna się na strategiach i sztukach walki. Ja i Russell jesteśmy mieszkańcami rangi wysokiej, czyli Serafinów, i niskiej, czyli ludzi. No i jeszcze ty, najdoskonalszy anioł, jaki kiedykolwiek został stworzony, który potrafi kontrolować ludzi i wywierać na nich wpływ.

– Evie, nie jestem ideałem. – Reed się nachmurza. – Ale masz rację, dziwaczna z nas zbieranina – przyznaje cicho.

Wysiada i podchodzi do drzwi z mojej strony, żeby mi je otworzyć. Zanim zrobię ruch, bierze mnie na rękę i niesie do chaty aż za próg.

Całuje mnie namiętnie, potem uwalnia moje nogi i pozwala mi powoli osunąć się po swoim ciele, nim stopy dotkną ziemi. To wyrafinowana tortura czuć jego bliskość, kiedy wiem, że do niczego więcej pomiędzy nami na razie nie może dojść. Jego ogromna siła pogruchotałaby mi kości, gdyby nie był w największym stopniu ostrożny.

Stoimy w holu. To przytulny domek z trzema sypialniami. Jasna klonowa podłoga jest surowa, w rustykalnym stylu. Kominek w dużym pokoju otaczają polne kamienie w kolorach delikatnych szarości, są poukładane aż do sufitu z widocznym belkowaniem. Na gzymsie – z takiego samego surowego drewna jak podłogi – stoją szklane misy. Świece w środku – zapalone – oświetlają to nieduże wnętrze. Jest tu też mała otwarta kuchnia, a w niej szafki z klonowego drewna, sprzęty z kutego żelaza, kamienne blaty i porcelanowy zlew.

Podchodzę do kominka i obserwuję, jak płomienie liżą polana w palenisku. Przemyka mi przez myśl, że dałabym wszystko, byle zostać tu z Reedem na resztę życia. To by mi wystarczyło, czułabym się bezpieczna, chroniona. Moglibyśmy udawać, że nie jesteśmy aniołami i że nikt nie chce mi zrobić krzywdy. Zapomnieć o Alfredzie i zemście. Nigdy by nas nie znalazł. Wątpię, by ściągało tu wielu Upadłych, szukają atrakcyjniejszych miejsc. Ale nie możemy zostać w tym domku na zawsze, nawet gdyby tu było najlepiej na świecie. Wreszcie ktoś zauważyłby, że się nie starzejemy, i musielibyśmy wyjechać. Żadne miejsce nie może być dla nas na stałe. Ciężko wzdycham, kiedy uświadamiam sobie tę gorzką prawdę i muszę porzucić słodkie marzenia.

– Co się stało? – pyta Reed.

– Nic. Tylko tak bardzo chciałabym zostać tu z tobą na zawsze.

– Ja też właśnie o tym myślałem – przyznaje z leciutkim uśmiechem. – Chyba nic nie brakowałoby mi już do szczęścia.

Uśmiecham się do niego. Nagle z któregoś z pokoi dobiega jakiś łomot. Zamieram na chwilę, zanim słyszę stłumiony śmiech Buns i zdaję sobie sprawę, że nic im nie jest. Czerwienię się lekko, kiedy znów patrzę na Reeda.

– Głodna? – pyta szybko.

– Och, jak wilk – potwierdzam, bo to dobry powód, żeby gdzieś wyjść, byle dalej od sypialni.

– Na szczycie wzgórza jest restauracja, można tam wpaść na luzie. Musimy tylko wsiąść do wagonika i wjechać kolejką – proponuje, kiedy w głębi domu znów słychać hałasy. Zee i Buns mówią coś do siebie po anielsku i po minie Reeda widzę, że akurat teraz lepiej, że nie znam tego języka.

– Skoczę po bagaże – oferuje i znika.

Wybieram pokój sąsiadujący z tym Zefira i Buns. Reed zajmuje ostatni, obok mojego, po drugiej stronie. Biorę szybki prysznic, układam włosy i ubieram się w sweter i dżinsy. Wkładam sznurowane botki do kolan i wracam do głównego pokoju. Reed siedzi na sofie, słucha czegoś z iPod'a.

Zdażył przebrać się w robiony na drutach sweter i dżinsy. Zarzucam na siebie ciepłą kurtkę, okręcam szyję szalikiem.

– Gotów? – pytam, a on poznaje, co mówię, po ruchu warg, kiwa głową i ostrożnie wyciąga słuchawki z uszu.

Wkłada kurtkę, bierze mnie za rękę i wychodzimy. Ruszamy oświetloną ścieżką, która wiję się między drzewami i prowadzi do zboczy. Gęste sosny pną się wysoko ku niebu. Tak pewnie musi wyglądać Czarny Las. Jest bardzo cicho. Pośród ciemności nocy słychać tylko skrzypiący śnieg pod nogami. Przez chwilę czuję się jak Łucja, która wślizguje się do szafy i odkrywa Narnię. Wychodzimy z lasu na zasypaną śniegiem polanę, skąpaną w świetle wysokich latarni. Wyciąg z wagonikami jest blisko miejsca, dokąd zaprowadziła nas ścieżka. Podchodzimy i stajemy w kolejce snowboardzistów, którzy cierpliwie czekają, żeby znów wjechać na górę.

Wsiadamy do gondoli, napierający z tyłu tłum spycha nas w sam róg. Amatorzy zjazdów przesuwiają się i manewrują, żeby się pomieścić. Wkrótce wagoniki są pełne. Przypomina to trochę jazdę metrem w godzinach szczytu, tylko że tu wszyscy ze sobą wesoło rozmawiają. Do środka wciska się jeszcze paru deskarzy i wreszcie drzwi się zamykają, a liny zaczynają podciągać wagonik. Przyciśnięta mocno do Reeda, czuję, że motylki w brzuchu dosłownie wariują. Aż mi głupio.

Pożądanie sprawia, że oblizuję wargi, a moje palce błędzą po wełnianym swetrze Reeda. Chciałabym wsunąć je pod spód, dotknąć opuszkami nagiej piersi. Zmuszam się, by opuścić ręce, i zaciskam pięści. Przygryzając dolną wargę, wpatruję się w zielone oczy Reeda. Pachnie jak sosny, wśród których przed chwilą szliśmy, i jest w tym jeszcze nuta czegoś niesamowicie męskiego, kwintesencja Reeda. Potrafiłabym już pewnie rozpoznać go z zawiązanymi oczami po samym tym zapachu – myślę, kiedy opieram się o niego mocniej.

Gondola lekko kołysze. Muszę przytrzymywać się Reeda dla równowagi. Na moment zamykam oczy, upajam się jego bliskością. Kiedy je otwieram, usta Reeda są niebezpiecznie blisko moich. Moje oczy zapamiętują każdy szczegół zmysłowego zarysu warg. Mam wrażenie, że narasta we mnie ból. Bliskość takiego piękna to rozkosz, ale i rodzaj męki, jakiej nigdy bym sobie nawet nie potrafiła wyobrazić, gdybym jej nie doświadczała.

Gondola znów mocniej kołysze, ale tym razem to Reed na mnie napiera. Wciska mnie w ścianę, opierając ręce po obu moich stronach. Jestem w potrzasku. Jego twarz zbliża się do mojej. Unoszę brodę, kiedy jego policzek delikatnie ociera się o mój. Z jego skóry emanuje ciepło. Reed wdycha zapach moich włosów. Jedną ręką przesuwa po mojej talii i powoli coraz wyżej po plecach, jakby chciał zakodować sobie kształt ciała. Serce wali mi jak oszalałe.

– Evie – szepce mi do ucha.

Tak bardzo go pragnę, że to staje się nie do zniesienia.

Jak my to przetrwamy? – zastanawiam się rozpaczliwie. Odrywam od niego dłonie, żeby chwycić za poręcz przy ścianie za mną. Ściskam ją mocno, chłodna stal miękko ustępuje pod

moimi palcami. Dociera do mnie chrzęst metalu, tak jakby ktoś gniótł puszkę. Oczy robią mi się okrągłe, na chwilę zamieram, rozluźniam dłoń na poręczy – palce zostawiły na niej wyraźne zagłębienia.

Reed też nieruchomieje na widok mojej zszokowanej miny. Przesuwa dłoń ze ściany na poręcz, żeby sprawdzić, co się stało, i odnajduje ślady palców.

– Przepraszam, moja wina – szepczę.

Rozglądam się dokoła, czy któryś z pasażerów nie słyszał, jak zgniatam poręcz, ale nikt nie zwraca na nas uwagi.

Kiedy znów patrzę na Reeda, na jego twarzy odbija się jeszcze większe pożądanie niż przed chwilą.

– Evie – mówi bardzo cicho. – To byłby wyczyn wysoko punktowany dla każdego anioła.

– Chcesz powiedzieć, że pogięcie poręczy to coś ekscytującego? – szepczę mu do ucha, zahipnotyzowana utkwionym we mnie spojrzeniem pociemniałych oczu.

– Szalenie – odpowiada seksownym tonem.

Wagonik dociera już do stacji. Pasażerowie kręcą się i przepychają, żeby mieć lepszą pozycję do wyjścia.

Na kilka sekund wstrzymuję oddech, bo widzę, jak Reed się rozpromienia. Tak jakby był ze mnie dumny. To chore, bo przecież właśnie pogniotłam palcami metalową poręcz. Teraz musimy to jakoś ukryć, żeby nikt się nie zorientował, że jestem aż tak silna.

Drzwi się otwierają, do wagonika wdziera się podmuch zimnego powietrza. Podróżni jeden przez drugiego rzucają się do wyjścia. Zasłaniam poręcz tak długo, jak to możliwe, aż wreszcie Reed pociąga mnie lekko, żeby wysiąść. Obejmuje mnie ramieniem i wolnym krokiem ruszamy od kolejki jakby nigdy nic, po czym wychodzimy ze stacji. Restauracja jest dokładnie naprzeciwko, na szczycie wzgórza, z widokiem na światła miasteczka pod nami. Cieszę się, że wieje chłodny wiatr, bo to pomaga choć trochę ostudzić żar, jaki ogarnia mnie i Reeda.

W restauracji wita mnie ciepło i uroczy nastrój bawarskiej chaty. Pięknie pobielone ściany, ciemne belki pod stropem wysoko nad głowami. Reed prowadzi mnie głębiej i szepcze coś kierownicze sali na temat stolika. Następuje szybkie przekazanie gotówki. Rumieniec młodej kobiety za kontuarem mówi jednak, że dałaby mu wszystko, czego by zapragnął, bez łapówki. Staram się nie złościć na nią za tę reakcję, bo jak można mieć jej to za złe? Ale jestem zazdrosna i miałabym ochotę jej napyskować. Co we mnie wstąpiło?

Kilka minut później jesteśmy już prowadzeni do ładnego dwuosobowego stolika przy oknie, które wychodzi na zbocza i migocące w dole światła miasteczka. Spoglądam na nocne niebo. Gwiazdy połyskują niczym magiczna mapa prowadząca do miejsc, o których nic jeszcze nie wiem.

– Jestem coraz silniejsza. – Patrzę na Reeda, jak zareaguje.

– Najwyraźniej – potwierdza z uroczym uśmiechem i bierze mnie za rękę.

– Czy to znaczy, że możemy unieważnić ten zakaz uwodzenia zawarty w naszej umowie?
– rzucam tak lekko, jak tylko potrafię.

– Nie – stwierdza.

– Dlaczego? – Ciężko wzdycham.

– Musisz pytać? – prychna na mnie, a kiedy kiwam głową, dodaje: – Człowiekowi-cieniowi, który atakował cię dziś rano, prawie udało się ciebie udusić. Jestem nieskończenie silniejszy od niego, a on zostawił ci sińce, które utrzymały się przez trzy godziny i pięćdziesiąt dwie minuty.

– Aleś ty drobiazgowy. Liczyłeś też sekundy? – drażnię się z nim, ale rzędnie mi mina, kiedy okazuje się, że jak najbardziej liczył.

Podchodzi do nas kelnerka. Przedstawia się jako Katie, pyta, czego życzymy sobie do picia. Reed bierze kartę win. Patrzę, jak dziewczyna bawi się koniuszkami swoich prześlicznych blond włosów, okręca je sobie wokół palca. Pochyla się, by polecić te trunki, które sama lubi. Palcami lekko muska Reeda, gdy pokazuje mu coś w karcie. A kiedy on podnosi wzrok, laska uśmiecha się do niego promiennie, odsłaniając idealne zęby.

Wpatruję się w nich jak zaczarowana, a przez głowę przebiegają mi gorączkowe myśli, jak by tu ją zabić. Zdumiona swoją przesadzoną reakcją biorę menu, które położyła przede mną, i unoszę, żeby na nich nie patrzeć. Próbuję opanować gniew, kiedy kelnerka nawet nie sprawdza jego prawa jazdy, tylko idzie po wino, które dla nas zamówił.

– Sympatyczna – cedzę, nie unosząc wzroku znad menu.

– Tak – zgadza się Reed i sięga po drugą kartę, którą zaczyna pilnie studiować.

– Chyba dobrze zna się na winach – dorzucam jakby nigdy nic. Staram się wybadać, jakie zrobiła na nim wrażenie.

– Mhm – potwierdza w roztargnieniu i dalej czyta.

Dziewczyna wraca i nalewa mu wina, a mnie rzuca takie spojrzenie, jakby taksowała rywalkę. Potem całą uwagę skupia na Reedzie. Pochyla się przy nim, by polecić mu jakieś przekąski. Widzę, jak rumieni się zmysłowo, wdychając jego zapach. Po chwili jej ręka niby przypadkiem znów go muska. Nie mogę oderwać od nich oczu.

Gdzieś w środku mnie odzywa się niski pomruk. Jest tak cichy, że tylko Reed go słyszy. Unosi wzrok i zatrzymuje na mojej dłoni, która drga na nożu przy moim nakryciu. Błyskawicznie kładzie na niej rękę i mocno przytrzymuje przy blacie. Patrzy mi w oczy.

– Ja poproszę łososa – mówi, przerywając kelnerce w pół słowa. Cały czas nie spuszcza ze mnie wzroku. – A ty, na co masz ochotę, Evie? – Nadal blokuje moją dłoń.

– Na to samo – odpowiadam krótko. Staram się nie patrzeć na kelnerkę, by nie ulec pokusie i nie rzucić się na nią z pazurami.

– Świetnie. Czyli dwa razy łosos – podsumowuje szybko Reed; nie zdejmuje ręki z mojej dłoni, póki kelnerka nie odchodzi na bezpieczną odległość.

Nalewa mi kieliszek wina i przygląda się mojej twarzy, kiedy unoszę go do ust. Unikam jego wzroku, wyglądam za okno. Czuję, że totalnie się pogubiłam.

– Evie? – odzywa się zatroskany.

– Nie wiem, co się przed chwilą stało, Reed, ale powiem ci, że jeśli ona jeszcze raz cię dotknie, to skończy z widelcem w brzuchu – próbuję mu wyjaśnić, ale nadal uciekam spojrzeniem.

– Poważnie? – W jego głosie słyszę coś dziwnego.

Zerkam na niego – kąciki ust unoszą się leciutko w uśmiechu, co bardzo stara się ukryć. Najwyraźniej pochlebia mu moja zazdrość.

– To ciebie śmieszy? – pytam półgłosem, piorunując go wzrokiem. – Pewnie nim minie kwadrans, ona tu wróci i znów się o ciebie otrze. Powinnam natychmiast wyjść, bo inaczej zrobię jej coś złego. – Wstaję od stolika.

– Evie, proszę, siadaj. – Powstrzymuje mnie szybko. – Zajmę się tym. Już mnie nie dotknie.

Patrzy, jak ostrożnie z powrotem zajmuję swoje miejsce. Czuję w sobie furję, która lada moment może wybuchnąć. To uczucie jest mi tak obce, że muszę wziąć kolejny łyk wina, żeby się uspokoić.

– Co mnie napadło? – Może Reed rozumie, o co w tym chodzi. – Jestem taka drażliwa... Miałabym ochotę roztrzaskać coś w drobny mak.

Wzrusza ramionami, ale cień uśmiechu nie schodzi mu z ust. Ich kąciki wciąż się unoszą, co zdradza, że jakkolwiek to widzi, to na pewno nie sprawia mu to przykrości.

– Jesteś Serafinem – mówi, jakby to wszystko wyjaśniało.

– No i co z tego?

– Dlatego zrobiłaś się nadopiekuńcza, a nawet zaborcza, jeśli w grę wchodzi twoje uczucia.

– Uczucia? – pytam zaskoczona.

– To instynkt, potrzeba bronienia swojej własności – tłumaczy łagodnie, przypatrując mi się z uśmiechem.

Ogarnia mnie przerażenie, kiedy uświadamiam sobie znaczenie tych słów.

– Twierdzisz więc, że to była naturalna reakcja na to, że ktoś naruszył moje terytorium? – Czuję, że czerwienię się ze wstydu.

– Nie, miałem na myśli dużo więcej – oświadcza zadowolony.

– O ile więcej? – Biorę kolejny łyk wina.

– Dużo, dużo więcej. – Nie potrafi ukryć, że rozpiera go duma. – Chciałem przez to powiedzieć, że mnie kochasz.

– No... przecież sama już ci to wyznałam – bąkam, patrząc na niego zbita z tropu.

– Tak, i wierzyłam ci, kiedy po ludzku mówiłaś mi, że mnie kochasz, ale jeszcze nigdy nie powiedziałaś mi tego po anielsku.

Zupełnie mnie zatkało.

– To tak się mówi po anielsku „kocham”? – pytam z niedowierzaniem.

Po tym, jak odchyła się w krzesło i bawi kieliszkiem, poznaję, że wprost nie posiada się z radości.

– To jeden ze sposobów – wyjaśnia. – Zaznaczyłaś, że jestem twoją miłością, należę do ciebie. W raju taki pomruk byłby wystarczającym ostrzeżeniem dla innych aniołów, że nie zamierzasz się dzielić.

– Poważnie?

– Śmiertelnie poważnie – potwierdza. – A skoro jesteś Serafinem, to jeśli żaden inny Serafin nie wyzwie cię na pojedynek, jestem twój.

– Ale ty chyba też masz tu coś do powiedzenia? Prawda? Przecież nie mogłabym sobie tak po prostu rościć do ciebie praw, co? Masz wolną wolę? – Ten nowy strzępek informacji całkowicie miesza mi w głowie.

– Evie, nie mam wolnej woli, odkąd cię spotkałem. Ale tak, teoretycznie nie musiałbym być twoją miłością, gdybym nie odwzajemniał tych uczuć. – Znow bierze mnie za rękę i splata nasze palce.

– Ktoś mógłby się ze mną o ciebie bić? – Ogarnia mnie przerażenie, że mogę stracić Reeda przez innego anioła.

– Zgadza się, ale to ja mam ostatnie słowo, więc się nie martw, kochanie – pociesza mnie łagodnie. – I to rzadkość, żeby Serafin walczył o anioła Mocy – dodaje, nie owijając w bawełnę.

– Ja bym o ciebie walczyła – odpowiadam bez namysłu, bo byłoby to dla mnie tak naturalne jak oddychanie. Jest mój i nigdy nie przestanę go pragnąć.

W jego oczach znowu pojawia się ten zmysłowy cień.

– Wiem. Bardzo finezyjnie zademonstrowałaś to przed chwilą.

– Chyba przeżywam szok kulturowy, Reed. To, o czym mówisz, wydaje się tak prymitywne... a właściwie... pierwotne.

– Mhm, pochodzi z bardzo dawnych czasów... jest zwierzęce w swojej prostocie.

Wzdycham ciężko i unikam jego oczu, kiedy proszę:

– Moglibyśmy porozmawiać o czymś innym?

– Czemu?

– Bo warczę na kelnerkę, Reed. Tam, skąd pochodzę, uznano by to co najmniej za brak dobrych manier, a niektórym wydałoby się mocno podejrzanym. Czasami mam dość tego bycia w połowie aniołem. – Upijam następny łyk wina.

Reed jest wyraźnie zdziwiony.

– Dlaczego, Evie? – Śmieje się.

– Bo anioły potrafią myśleć logicznie, wnikliwie analizować sytuację, ale mają ograniczoną skalę emocji i kierują się instynktownym pociąganiem. – I jednym tchem dodaje: – A do tego ta kastowość, która wcale mi się nie podoba. Po co te wszystkie rangi i podziały? Daj spokój...

– A co w tym złego, że każdy ma swoje zadanie i wie, jak je wykonać? – odparowuje Reed.

– No nic, teoretycznie nic, ale kiedy mówisz, że Serafin nie walczyłby o anioła Mocy, to ten porządek boski mi nie odpowiada. Nie widzę powodu, dlaczego ktoś taki jak ja nie chciałby walczyć o kogoś takiego jak ty – argumentuję zawzięcie. Chyba zaniemówił. Patrzy na mnie dłuższą chwilę bez słowa.

– No rzeczywiście, nie widzisz powodu – odzywa się w końcu. – Naprawdę tego nie rozumiesz? – pyta. – Dla ciebie wszyscy jesteśmy jednakowi. Buns to nie Kosiarz, ale anioł. Zefir to nie przedstawiciel Mocy, ale anioł. Jedyne, co widzisz, to podział na dobrych i złych. Brownie jest dobra. Alfred zły.

– Masz rację, poza jeszcze jednym rozróżnieniem – zaznaczam.

– Jakim? – pyta zdezorientowany.

– Jest jeszcze mój anioł – odpowiadam. – I tu chodzi o ciebie. Mówię ci to tak na wszelki wypadek, gdyby mój pomruk ci jeszcze tego nie uświadomił.

– Jesteś najbardziej niebezpieczną istotą, jaką spotkałem – stwierdza. Sący wino, ale wydaje się zadowolony, może nawet pochlebiamu moje słowa.

Przewracam oczami.

– Mówisz tak, jakbym była drapieżnikiem, a ty moją ofiarą.

Ze zdumieniem patrzę, jak nagle podrywa się od stolika.

– Przepraszam na chwilę, ale wraca kelnerka. Nie chcę, żebyś musiała mnie przed nią bronić.

I szybko odchodzi.

Katie przynosi nasze dania. Rozczarowana spogląda na puste miejsce Reeda i stawia talerze.

– Smacznego – mamrocze bez przekonania.

Obserwuję Reeda, który zbliża się do stolika po odejściu Katie. Nie potrafię przestać zachwycać się tym, jak zgrabnie się porusza, niczym drapieżny kot w dżungli. Ale nie tylko ja go tu podziwiam, jak się orientuję, biorąc znów mały łyk wina. Sporo kobiet w różnym wieku się za nim ogląda. Niektóre nawet przerywają rozmowy, tracą wątek. Żadna nie jest na niego odporna. Kiedy znów siedzi naprzeciwko mnie, taksuję go wzrokiem, biorę widelec i zaczynam jeść w milczeniu.

Przygląda się mi badawczo.

– Co się stało, Evie? – pyta po chwili.

– Nic – odpowiadam wymijająco.

– Jesteś zmartwiona, widzę przecież.

Grzebię widelcem w jedzeniu. Wzruszam ramionami.

– Proszę, powiedz – nalega.

Tak trudno mu się oprzeć, kiedy mówi tym swoim seksownym tonem. Muszę mu ulec i dopuścić go do swoich myśli.

– Po prostu zdałam sobie sprawę z kilku rzeczy i teraz widzę, że jestem z góry skazana na porażkę. – Reed przestaje jeść, robi się czujny. Ciągnę więc szybko dalej: – Uświadomiłam sobie, że kochać kogoś to ogromne ryzyko. Najprawdopodobniej, wcześniej czy później, coś się wydarzy i koniec. – Kiedy widzę, jak marszczy brwi, żałuję, że w ogóle dałam się namówić na zwierzenia. – Reed, powinnam bronić się przed tobą, ale tego nie zrobiłam i teraz żyjesz tu, we mnie. – Przykładam dłoń do piersi. – Nigdy nie zdołam uciec od miłości do ciebie. Twoje imię jest zapisane w moim sercu, nic tego nie zmieni i gdyby coś ci się stało, tak jak mojemu wujkowi, zginę.

– Evie, jesteś silniejsza, niż myślisz. Przeżyłabyś – zapewnia czule.

– Nie sędzę, Reed, ale nieważne, już za późno. Ta walka powinna rozegrać się dawno temu. Teraz cię kocham i jestem stracona – stwierdzam.

– Witaj w moim świecie, Evie. – Uśmiecha się do mnie smutno. – Ty mieszkałaś w mojej głowie i moim sercu, odkąd tylko cię poznałem. Nie potrafię przestać o tobie myśleć. Stale zastanawiam się, co zrobisz albo co powiesz. Ja też ryzykuję. Muszę konkurować z twoją bratnią duszą, mężczyzną, który nadal może ci być pisany – dodaje bez uśmiechu. – Kiedy przypomnę sobie chwilę, jak byłaś bliska śmierci, przeszywa mnie ból nie do opisania. Czasami mam wrażenie, że wymyśliłem sobie ciebie, żeby się zadręczać, a czasami wiem, że musisz być prawdziwa, bo nie umiałbym sobie wymarzyć kogoś równie idealnego.

Teraz to ja jestem zaszokowana. On ryzykuje o wiele więcej niż ja. Jak mogłam o tym zapomnieć? Nadal nie mamy pojęcia, czy pomagając mi, w pewien sposób nie pomaga Upadłym. Mógł na początku odpuścić, odejść, a pewnie i teraz powinien, tymczasem siedzi tu ze mną.

– Russell jest dla mnie jak rodzina i zrobię wszystko, żeby go chronić, bo go kocham. Kocham, ale... nie tak jak ciebie. – Kręcę głową. – To tak jakbyś ty wypełniał przestrzenie, które dla niego nie są dostępne – próbuję mu to wytłumaczyć.

Chyba mi się udało, bo znów się rozpromienia i wygląda idealnie – anielski w każdym calu. Jak mogłam nie dostrzec tego wcześniej? Dlaczego nie zdałam sobie od razu sprawy, kim jest? Przecież jego niezwykłe przymioty są teraz dla mnie tak oczywiste, że aż nie rozumiem, jak inni mogą tego nie widzieć. Jakim cudem udało mi się zdobyć uczucia tej niebiańskiej istoty?

– Obiecuj mi coś, Reed – proszę pod wpływem nagłego impulsu.

Uśmiecha się.

– Wszystko, czego chcesz – zapewnia bez wahania.

– Nigdy nie zwątpisz w moją miłość. Możesz myśleć o mnie różne rzeczy, ale nigdy nie strać wiary, że kocham cię bardziej niż cokolwiek na tym albo innym świecie.

Prostuje się w krześle i przez chwilę przygląda mi się badawczo. Nie wiem właściwie, dlaczego to dla mnie takie ważne, żeby złożył mi tę przysięgę, ale tak po prostu jest. Muszę mieć pewność, że wierzy w prawdziwość moich słów, potrzebuję tego bardziej niż cegokolwiek.

– Jak mógłbym wątpić, skoro warczysz na kelnerkę, która za bardzo się do mnie zbliżyła?

– Trochę drażni się ze mną.

– Reed – proszę bez tchu.

– Dlaczego tak ci zależy, żebym to obiecał? – Nagle robi się bardzo poważny. Zastanawiam się, jak mu to wyjaśnić.

– Pamiętasz, jak powiedziałeś mi, że nie jesteśmy w jeziorze, ale w wielkim oceanie, w którym taka rybka jak ja może zwabić rekiny? – Wspominam jego słowa z tamtego dnia, kiedy zapisywaliśmy się na zajęcia.

– Tak – potwierdza i wstrzymuje oddech wyczekująco.

– Chciałabym, żebyś miał się czego przytrzymać, jeśli jakieś złe prądy zniosą mnie daleko od ciebie – tłumaczę i widzę, jak blednie.

– Obiecuję – wypowiada uroczyście.

– Dziękuję. – Uśmiecham się do niego.

– Czy rozumiałaś coś więcej ze swoich przeczuć? – pyta cicho.

Po wyrazie jego twarzy poznaję, że już wcale nie jest w nastroju do żartów. Obserwuje mnie groźny i uważny, nie umknie mu nic, co wyraża moje ciało, żaden najmniejszy gest.

– O, to tylko zły sen – ucinam stanowczo, starając się nie myśleć o ciemnościach z koszmaru, który nawiedził mnie ostatnio. – Ale nie. Po prostu dręczy mnie chorobliwy lęk i... – urywam.

– I? – nie daje za wygraną, jego ton dowodzi, że chciałby wypytać mnie o to, ale jednocześnie stara się za bardzo nie naciskać.

– To uczucie... jakbym umierała z głodu – przyznaję zmartwiona.

– Teraz ty mi coś obiecaj – prosi.

– Co tylko chcesz – zgadzam się od razu.

– Jeśli prądy sprzysięgną się przeciwko nam, pamiętaj, że cię znajdę... Nigdy nie przestanę cię szukać – zaręcza.

– Na to liczę – odpowiadam szczerze. – Jesteś wszystkim, czego pragnę. Tylko ty i ja... na zawsze. – Patrzę mu w oczy i widzę to, co chciałam zobaczyć: brak wątpliwości.

– Kelnerka znów do nas idzie. Chodźmy, zanim skusi cię, żeby udekorować ją czymś z zastawy. – Reed śmieje się i rzuca pieniądze na stół.

Na zewnątrz przekonuję się, że większość wyciągów jest już pozamykana na wieczór. Niedawno oświetlone stoki spowija ciemność. Tylko kilka wagoników nadal kursuje – zwozi gości i pracowników restauracji.

Bez namysłu obracam się do Reeda i wołam:

– Ścigamy się.

Nawet nie czekam na to, co zrobi, tylko ruszam pędem przez ciężkie zasy do chaty.

Już prawie na dole zerkam przez ramię, czy Reed jest gdzieś za mną, ale nikogo nie widzę. Zadowolona z siebie biegnę w kierunku drzew, gdzie jest ścieżka prowadząca do domku. Kiedy mijam pierwsze zarośla, ktoś nagle zastępuje mi drogę. Nie mogę się

zatrzymać i wpadam prosto na Reeda. Delikatnie przytrzymuje mnie w talii i przytula do siebie ze śmiechem.

– Mam cię! – Za jego nagimi plecami rozpościerają się kruczoczarne skrzydła.

– Oszust! Poleciałeś! – oskarżam go i splatam ręce na jego szyi.

– Mówiłem ci, że biegnąc, nie mam szans cię dogonić. Musiałem uciec się do innych sposobów.

Trudno mi zebrać myśli, bo widzieć go w tej postaci to coś niebywałego. Dlatego nie myślę, tylko działam. Przyciskam usta do jego warg i całuję go lekko. Nie szkodzi, że jest silny i może zrobić mi krzywdę. Z chęcią zniosę ten ból, bo na pewno nie byłby gorszy od tego, co bym poczuła, gdybym odepchnęła go teraz od siebie. Ale Reed nie pozwala mi się zapomnieć, nie chce ryzykować.

– Evie... – Odsuwa się ode mnie.

– Wiem, mam być grzeczna, ale naprawdę chcę być niegrzeczna – szepczę mu do ucha. Czuję, jak przyciska mnie do siebie mocniej.

– Musimy odwrócić od tego swoją uwagę. – Pochyliła się, żeby podnieść sweter i kurtkę rzucone za drzewem. Podaje mi je i pyta: – Gotowa?

– A... na co?

Uśmiecha się tylko i łapie mnie na ręce. W kilka sekund wzbijamy się ponad czubki drzew, śmigamy obok gałęzi i omijamy je o włos. Aż jęknęłam ze zdumienia na widok nocnego nieba nade mną. Przywieram do piersi Reeda; patrzę, jak szybko bije skrzydłami, by utrzymać nas oboje w powietrzu. Nocne niebo, z tą ciemną nieskończoną głębią, jest tak piękne, że nawet jego lazuruowy błękit na Karaibach nie mógłby się z tym równać.

– Reed, ty lataasz... my latamy! To niesamowite – szepczę, niezdolna ubrać w słowa, jakie to niezwykle, że jestem w jego ramionach wysoko nad ziemią. – Umiesz latać – wołam z podziwem, nie jestem w stanie się powstrzymać.

– Evie, przecież już od jakiegoś czasu o tym wiesz – upomina mnie, jakbym postradała zmysły, co zresztą całkiem możliwe, bo to wszystko jest tak nierealne, że znów zdaje mi się, że wariuję.

– No, można wiedzieć, ale nie wiedzieć – mówię i patrzę w dół na szczyty drzew przesuwających się szybko pod nami niczym zielony ocean. Musimy być jakieś kilka pięter nad ziemią, myślę, przytrzymując się Reeda mocniej i wsłuchując w dźwięk, jaki wydają jego potężne skrzydła, kiedy uderzają powietrze, pozwalając nam zaprzeczyć sile ciężenia i lecieć wysoko, a potem upajam się ciszą, w której poświstuje tylko wiatr, gdy łapiemy prądy i szybujemy po niebie.

– Dlaczego jeszcze nigdy tego nie robiliśmy? – pytam, czując, jak wiatr targa mi włosy, które powiewają za mną, kiedy tak lecimy coraz szybciej.

– Dla mnie to tylko sposób przenoszenia się z punktu A do punktu B, a dla ciebie to frajda? – Ta myśl wyraźnie go bawi.

– Tak... nie pamiętasz swojego pierwszego lotu? Nie czułeś podniecenia, nie byłeś trochę przerażony i nie miałeś... no nie wiem... wrażenia, że to cud, ten wiatr pod tobą, ta moc i siła, która pozwala ci dokonać czegoś tak... magicznego?

– Ty tak to właśnie odbierasz? – dziwi się, jakbym to ja była tajemniczą wróżką, która czyni czary. Kiwam głową, a on dodaje: – Kiedy patrzy się twoimi oczami, wszystko wygląda zupełnie inaczej. Dorastałaś, nie mając o nas pojęcia i dla ciebie to niesamowite. – Uśmiecha się szeroko. – Dla mnie był to po prostu rytuał przejścia do dorosłości, tak chyba można to najlepiej określić, ale nie było w tym żadnej magii, bo wszyscy, których znałem, to potrafili.

– O, jaka szkoda, że nie doznałeś tego wielkiego zachwytu i uniesienia – mówię, kiedy zaczynamy szybko schodzić niżej. Boję się, że możemy roztrzaskać się i spłonąć, zaciskam więc mocno powieki. Zapach sosen ostrzega mnie, że jesteśmy już w lesie. Uchylam powieki i widzę śmigające obok nas w zawrotnym tempie drzewa. Natychmiast znów zamykam oczy, bo dreszczyk emocji zmienia się w totalne przerażenie.

Ale kiedy lądujemy, nie chcę otwierać oczu, bo nie chcę, żeby to się skończyło. Moje stopy są na ziemi, ale ja nadal nie unoszę powiek.

– Dziękuję – mówię, ściskając Reeda.

Delikatnie gładzi moje plecy.

– Magia jest w tobie, nie we mnie. Dziękuję, że pokazałaś mi to, czego wcześniej nie dostrzegałem – mówi.

Otwieram oczy i z zaskoczeniem widzę, że jesteśmy pod drzwiami naszej chaty w lesie. Chciałabym, żeby ta chwila pozostała w mojej pamięci na wieczność, żebym zawsze miała przed oczami to, jak teraz Reed na mnie patrzy, tak jakbym była ósmym cudem świata.

Drzwi stają otworem, w progu stoi Buns.

– O, jesteś, skarbie! – woła wesoło, podskakując z radości. – W samą porę, zaraz ruszamy na rundkę.

– Buns, myślę, że spóźniłaś się trochę, jeśli chciałaś dziś pojeździć – mówię, wchodząc do chaty i ściągając kurtkę. – Wyciągi w nocy nie działają.

Kiedy Zefir to słyszy, zaczyna chichotać, jakbym znów powiedziała coś przezabawnego.

– Skarbie, my nie potrzebujemy wyciągów – stwierdza Buns i dla wyjaśnienia wypuszcza skrzydła. Wygląda zupełnie jak jakaś leśna wróżka. – A w dzień nie możemy poszaleć sobie tak swobodnie jak po ciemku. W nocy, przy powyłączanych reflektorach, nikt nas tam nie wypatrzy. Będzie super, zobaczysz – obiecuje, prowadząc mnie do mojego pokoju. – Szykuj się. Szybko.

Mijając ich sypialnię, rzucam okiem do środka i aż mnie zatyka z wrażenia. Wszystkie meble są powywracane, poza łóżkiem, które zresztą też wydaje się dość brutalnie potraktowane. Pokój jest w kompletnym nieładzie. Czerwienię się lekko i idę dalej, szepcząc pod nosem: – Zabawiacie się tu w gwiazdy rocka czy co?

Na co z tyłu rozlega się gromki śmiech. Zefir i Reed najwyraźniej usłyszeli moją uwagę.

Szybko przebieram się w strój do jazdy na desce i wkładam miękkie botki. Kiedy wychodzę z pokoju, zastaję anioły przy kominku. Są już wyszykowani i spokojnie czekają na mnie. Mają na sobie koszule z długimi rękawami i sportowe luźne spodnie. Tylko Buns ma sweter podobny do mojego w kroju, który pozwala na wypuszczenie skrzydeł.

– No dobrze, zapowiada się interesująco – rzucam, trochę zaniepokojona, że chyba pochopnie przechwalałam się swoimi umiejętnościami.

– Nie martw się, będzie fajnie – dodaje mi odwagi Reed, prowadząc mnie do drzwi chaty. Za progiem przekazuje nasze deski Zefirowi. – Masz, przynajmniej na coś się przydasz.

– Buns, powiedz mu, jaki potrafię być przydatny. – Zefir znacząco porusza brwiami.

– Skarbie, dla mnie jesteś bardzo przydatny – zapewnia z promiennym uśmiechem Buns. Bierze swoją deskę. W jednej chwili rozkłada połyskliwe złociste skrzydła motyla, wzbija się w powietrze i znika nam z pola widzenia.

– Słyszałeś? Jestem bardzo przydatny... – powtarza Zefir. Ściąga koszulę i przewiązuje ją sobie w pasie. Mruga do mnie i też wypuszcza skrzydła. Potężne, jasnobrązowe, silne. Bierze nasze deski i, tak jak Buns przed nim, w ułamku sekundy wlatuje w powietrze. Znika.

Oglądam się na Reeda, obserwuję, jak zdejmuje koszulę i też wiąże ją sobie w tali.

– Gotowa? – Pochyliła się nade mną. Jego oddech muska moją szyję. Natychmiast cała płonę.

– Mhm – zdążam odpowiedzieć, a Reed od razu wlatuje wysoko, trzymając mnie w ramionach.

W ciemnościach nocy wydaje się, że lecimy nawet szybciej niż przedtem, omijając drzewa wzdłuż ścieżki, którą szliśmy parę godzin temu. Aż pisnęłam, kiedy nagle zobaczyłam tuż przed nami wysoką sosnę, o pniu szerokim co najmniej jak terenówka. Reed ominął ją w ostatniej chwili.

– Spróbujmy nie straszyć półczłowieka, dobrze? – mówię, kiedy odzyskuję głos.

Śmieje się.

– Przepraszam.

W jednej chwili docieramy na wzgórze i zastajemy czekających tam na nas Buns i Zefira. Mają już przypięte deski. Rynny, drążki, progi i inne hopki dla snowboardzistów są naprzeciwko. Rozglądam się nieco skonsternowana, bo nie musimy manewrować ani polować na dobre pozycje. Jesteśmy kompletnie sami.

Buns jako jedyna z nas ma prawą nogę przypiętą do deski z przodu, ale to dla mnie super, bo w drodze do rynny możemy jechać twarzą do siebie i porozumiewać się bez odwracania się. Nasze deski są przystosowane do jazdy w obie strony.

– Ale sprzęt, Buns. Reed naprawdę zna się na rzeczy, co? – zauważam.

– Kochana, Mocne mają mnóstwo czasu do zabicia. Muszą znaleźć sobie jakiś sposób, żeby go wypełnić, kiedy nie czatują na ofiary. Trzeba się czymś zająć, żeby się nie nudzić.

Stoję obok Reeda przy krawędzi rampy i patrzę na płaskie dno rynny.

– Śnieg jest tu chyba kuloodporny – stwierdzam, bo wygląda jak skała.

– Rzeczywiście... to gwarantuje zawrotną szybkość – potwierdza z satysfakcją. – Gotowa... jak to ujęłaś... dać mi popalić? – Patrzy na mnie z góry i wiem, że czeka mnie ciężka przeprawa, ponieważ pewnie jest w tym mistrzem.

– Tak... Zaczynamy. Tylko weź pod uwagę, że ja mam jedynie ręce i nogi, a ty jeszcze parę skrzydeł. Muszę radzić sobie mimo defektu.

– Słusznie, odnotowane. No to jazda! – I znów się uśmiecha.

– Dobra. – Ruszam w rynnę. Wykonuję kilka zwrotów tak tylko, żeby wyczuć śnieg, dopiero za trzecim razem wybijam deskę mocno, żeby szybko się rozpędzić. Kiedy sięgam pionu i wylatuję w powietrze, robię sztuczkę: chwytam za przód deski i podciągam ją do piersi. Opadając po skoku w rynnę, muszę się skulić, żeby nie upaść i nie wylądować twarzą na lodzie. Kiedy tylko czuję, że łapię równowagę, Reed, który goni mnie po płaskim dnie rynny, porywa mnie w ramiona.

– Potrzebujesz podwózki na górę? – Stara się nie zdradzić swojej przesadnej reakcji na to, że o mało nie skończyłam jako mokra plama na dole.

– Pewnie. Ale pamiętaj, że wcześniej też jakoś sobie radziłam. Przeżyję, nawet jeśli upadnę – mówię z uśmiechem, kiedy podfruwa ze mną na górę rynny.

– Ty może tak, ale ja nie – zaznacza. – Niezła sztuczka. Jak się nazywa?

– Japonia. Ale chciałabym zobaczyć trik raj. Pokażesz mi, jak to się robi? – Podnoszę na niego wzrok, kiedy mnie stawia na śniegu.

– Z przyjemnością – mówi z łobuzerskim uśmiechem.

Przyznam, że wiele się spodziewałam, obserwując go rzucającego się w rynnę. Ale to, co wyprawia, przerasta moje wszelkie oczekiwania. Nie do wiary, bo na te ewolucje nie ma nawet żadnych nazw. Chyba w pewnej chwili zrobił zmodyfikowaną wersję McTwista, ale z taką liczbą obrotów, przynajmniej o 1440 stopni, że nie jestem w stanie ich policzyć.

Kiedy podlatuje do mnie z powrotem, mam wrażenie, że patrzę na boga snowboardu, nie anioła.

– Naprawdę, Reed, już nigdy nie będę się przed tobą tak głupio przechwalać. To niesamowite, co potrafisz zrobić.

Musiła spodobać mu się ta pochwała, bo łapie mnie w ramiona i przytula.

– Evie, on to jeszcze nic, patrz na mnie! – woła Zefir, wskakując do rynny. I znowu kompletnie dębieję, bo sztuczki Zefira zdają się przeczyć prawom fizyki. W jego obrotach i saltach objawia się potworna, niebywała wprost siła.

Buns reprezentuje kompletnie inny styl. U chłopaków widać moc i precyzję, wykonują mordercze akrobacje, Buns to sam wdzięk i subtelność. Jej ewolucje są jakby w zwolnionym tempie. Lekka jak piórko zawisa w powietrzu, z gracją unosząc ręce. Jej gibkie ciało przybiera wymyślne pozy, jakby tańczyła. Chciałabym się też tego nauczyć, ale nie wiem, czy to osiągalne, bo jej skrzydła szybują, gdy moje zdają się stworzone do bardziej prymitywnego poruszania się i nabierania prędkości. Przypominają w tym bardziej skrzydła aniołów Mocy.

– Buns, to był absolutny odjazd. Balet na desce. – Nie przychodzi mi do głowy żadne lepsze określenie tego, co potrafi robić.

Siedzimy razem na krawędzi rynny, obserwując Reeda i Zee, których wyczyny przeczą sile ciężenia.

– Skarbie, kiedy nauczysz się używać swoich skrzydeł, będziesz tu tak śmigać, że przy tym nasze popisy zbledną – zapewnia Buns.

– Wątpię, ale dzięki.

– Nie, Evie, to nie moja opinia, ale fakt. Jesteś Serafinem, będziesz niesamowita we wszystkim, nie tylko w tym. – Muszę mieć sceptyczną minę, bo dodaje: – Serafiny to osobista straż Boga. Są uosobieniem szybkości, siły, zręczności, mocy i sprytu. Każdy anioł chciałby być Serafinem, a ty jesteś jeszcze kimś więcej. Masz duszę, jesteś jednym z dzieci Boga.

– Jeśli jestem taka cudowna, to dlaczego, z wyjątkiem ciebie i Brownie, każdy anioł, którego spotkam, chce mnie zabić?

– Stanowisz pewne tabu, jak zakazany owoc. Masz coś, czego zawsze pragnęli Upadli – tłumaczy. Widzi moje zaskoczenie, więc wyjaśnia dalej: – Niektórzy domagali się duszy, żeby być jak ludzie, jak dzieci Boga. W raju anioły opiekują się duszami, ale Upadli uznali, że powinniśmy pozbyć się ludzi i odebrać im dusze, żebyśmy to my mogli być dziećmi Boga.

Dostają gęsiej skórki na rękach, kiedy zaczyna do mnie docierać znaczenie jej słów.

– Ale byli też inni. O wiele gorsi. Pragnęli stanąć ponad Bogiem. Rządzić Nim i Jego Królestwem, jego Dominium.

– Czyli niektórzy mogą myśleć, że mnie udało się to, czego nie zdołali osiągnąć Upadli. Albo... że Upadłym się powiodło, a ja to dowód ich sukcesu. – Aż się wzdrygam.

– Tak. Jesteś dla aniołów zagadką, wywołujesz przeróżne myśli. Ale chciałabym, żebyś rozumiała jedno. Wydajesz się nam niesamowicie pociągająca, a jednocześnie niebezpieczna. Nie odpychająca, przeciwnie, jesteś ideałem, perfekcyjnym wzorem. Niektórzy mogą się zastanawiać, co stanie się z nami, pozbawionymi duszy, jeśli to ty jesteś nowym standardem bytu – mówi cicho.

– Chyba rozumiem, co chcesz powiedzieć. Anioły już muszą konkurować z ludźmi o uczucia Boga. Co się stanie, jeśli do wyboru będzie jeszcze ktoś taki jak ja? – podsumowuję i padam plecami na śnieg. Stopy dyndają mi z krawędzi rynny.

Patrzę na gwiazdy nade mną, próbuję jakoś poukładać sobie to wszystko, ale nie potrafię. W razie dyskusji na ten temat jest tyle samo powodów, żeby mnie zniszczyć, ile tych, by mnie chronić. Może nawet więcej przemawia za tym, by się mnie pozbyć – myślę i ogarnia mnie lęk. Dziwne, ale nie tyle boję się o to, co się stanie ze mną, ile o to, co może spotkać tych, którzy są gotowi za mnie walczyć. Na myśl o ogromie problemu, z jakim mam do czynienia, opadam z sił. Jak ja zdołam uchronić ich wszystkich przed niebezpieczeństwem? – zastanawiam się.

Ziewam; staram się to ukryć przed Buns, ale na próżno.

– O, skarbie, jesteś zmęczona, prawda? – Podrywa się z krawędzi. – Powiem aniołom Mocy, że już musisz wracać.

Wskakuje w rynnę, by ich zawołać, zanim zdołam skłamać, że nie ma potrzeby przerywać im zabawy.

Prawie natychmiast pojawia się nade mną Reed – zasłania mi gwiazdy.

– Cześć. – Uśmiecham się do niego.

– Zapominam, że potrzebujesz więcej snu od nas. Zabiorę cię do chaty, żebyś odpoczęła. – Reed podnosi mnie z ziemi i otrzepuje ze śniegu, jakbym była dzieckiem.

Uśmiecham się do niego i myślę, że nie ma nic takiego na świecie, czego bym dla niego nie zrobiła.

Leci ze mną do domu. W jego ramionach jestem szczęśliwa. Czuję taki błogostan, że zasypiam po drodze. W progu mojego pokoju nie mam już sił na nic więcej niż pocałunek na dobranoc. Potem chwiejnym krokiem wchodzę do środka, przebieram się, padam na miękkie łóżko i otulam miękką kołdrą.

Rozdział 4

NA STOKU

Otoczające mnie anioły sprawiają, że czuję się dziwnie. Przypominają agresywne, śmiertelnie groźne osy. Mam wrażenie, jakbym utknęła w ich gnieździe. Sprowokowane przez intruza, czyli mnie, anioły nawet nie próbują ukryć wrogości. Ale czegoś brak – dźwięku, który powinien towarzyszyć tej scenie. Nie ma bzyczenia – ono zdradzałoby, czym naprawdę jest to miejsce: przerażającym gniazdem roju zabójców.

Kroczę naprzód, serce mi wali, a strażnik za mną ponagla, żebym szła za prowadzącymi nas aniołami Mocy. Posuwają się wolno. Wytrącone z równowagi moją obecnością rzucają mi upiorne spojrzenia. Jednemu z nich wymyka się niski gniewny pomruk, kiedy spogląda za siebie, by sprawdzić, czy podążam za nimi. Trudno mu pogodzić się z faktem, że coś takiego snuje się jego śladem. Jestem ponad to, nie przejmuję się, co o mnie myślą, więc go ignoruję i oszczędzam wszystkie siły na to, co mnie czeka. Na egzekucję.

Prowadzą mnie dalej salą urządzoną z przepychem w renesansowym stylu. Przed nami są podwójne drzwi. Te wrota, jak się zdaje, zawiodą nas w głąb „gniazda”. Rozglądam się – wewnątrz przypomina muzeum, dostrzegam ogromne piękne lustro w złożonych ramach. Kiedy widzę w nim swoje odbicie, przystaję. Nie wyglądam już tak jak ja – w lustrze nie widać dziewczyny, ale Serafina o szkarłatnych skrzydłach, płomiennie rudych włosach i surowym wyrazie twarzy anioła zemsty.

Budzę się z tego koszmaru tak przerażona jak jeszcze nigdy w życiu. Tego strachu nie da się porównać z żadnym, którego dotąd doświadczyłam. Choć w tym śnie nie lała się krew,

mam tak dojmujące poczucie straty, nieodwracalnej, nieubłaganej, że po prostu tonę w żalu... pomieszany z wściekłością.

Niezdarnie wstaję z łóżka i chwiejnym krokiem człapię do kuchni nalać sobie wody z kranu. Pijąc, pocieram dłonią czoło. Chcę wymazać z pamięci tę koszmarną wizję, która nadal stoi mi przed oczami. Zastanawiam się, jak po takim śnie zdołam znowu zasnąć.

– Aż tak źle, co? – słyszę głos Reeda.

Zaskoczona upuszczam szklankę. Ale nie tłucze się, bo w jednej chwili jest przy mnie Reed. Łapie ją, zanim szkło zdąży uderzyć o podłogę. Nie wylała się ani kropelka.

– Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że śpisz. – Jestem wstrząśnięta tym, jak znów zaprzecza wszelkim prawom fizyki.

– Już się zdrzemnąłem, ale ty spałaś tylko cztery godziny dwadzieścia siedem minut. To znaczy, że powinnaś wrócić do łóżka – oznajmia i stawia szklankę na blacie.

– A ile ty spałaś? – Uśmiecham się, bo tak dokładnie policzył mój czas.

– Dwie godziny trzynaście minut. Trochę za długo, ale naprawdę byłem bardzo zmęczony – odpowiada całkiem serio.

Uśmiecham się jeszcze szerzej i kręcę głową. Miło byłoby uważać dwugodzinną drzemkę za nadmiar snu.

– Buns i Zefir jeszcze śpią? – pytam, bo w chacie panuje dziwna cisza, z sypialni w głębi nie dochodzą żadne odgłosy.

– Nie, już poszli pojeździć.

– Och, trzeba było iść z nimi, a nie siedzieć tu i czekać, aż się obudzę.

Podchodzę do kanapy i siadam twarzą do kominka. Biorę jedną z poduszek, przytulam do siebie, żeby się uspokoić, i wpatruję się w tańczące płomienie. Reed siada obok, twarzą do mnie.

– Po co miałbym gdzieś chodzić, skoro ty tu jesteś? – mówi bardzo serio. – No to opowiesz mi o tym, czy będę musiał cię ciągnąć za język?

– Tym razem to był nowy sen. Nie ten co zawsze.

– Kto w nim był? – Reed nachyla się i wpatruje we mnie wyczekująco.

– Nie jestem pewna. Nikt, kogo bym rozpoznała. Tylko ja i ze dwadzieścia, a może więcej... – urywam, bo nie chcę mu powiedzieć.

– Kogo? – drąży.

– Aniołów Mocy – mówię niechętnie.

– Upadłych? – dociska od razu.

– Może. Nie mam pewności, ale... nie było tego obrzydliwego zapachu, wiesz, jak przedtem, kiedy mi się śnili. Nie, tym razem było inaczej. – Zastanawiam się, jak mu to opisać. – Czułam się jak pszczoła, która wpadła do gniazda os. Wiadomo, że to koniec, tylko nie ma pewności, kiedy i skąd uderzy żądło.

Cofa się lekko na te słowa.

– Ja tam byłem?

Jest wyraźnie spięty. Potrząsam głową i patrzę, jak coraz bardziej się nachmurza i zaciska zęby.

– Opowiedz mi, jak to wyglądało. Tamto miejsce. Miałaś dostęp do jakiejś broni? Byłaś w jakiś sposób skrupowana? – zarzuca mnie pytaniami z szybkością karabinu maszynowego.

– To była sala w renesansowym stylu, jakieś kryształowe żyrandole, wszystko w złoceniach. Na błyszczących marmurowych posadzkach leżały przepiękne dywany. Ciężkie stopy z brokatu. Plafony, przy których freski Kaplicy Sykstyńskiej wydawałyby się rysunkami dziecka. Żadnej broni, o ile pamiętam. Nie byłam skrupowana. – Staram się niczego nie pominąć. – I...

– I? – rzuca szorstko.

– I oczywiście boję się, czuję przerażenie, ale nie tylko, bo jestem potwornie wkurzona – dodaję, a w moim głosie odzywa się złość, kiedy wracają emocje ze snu.

– Wkurzona? – pyta, jakby nie rozumiał tego słowa.

– Tak jak tylko może się wkurzyć anioł zemsty. – Wpatruję się w niego. – Jakbym zastanawiała się, ile z nich uda mi się zabrać ze sobą na tamten świat. – Znowu czuję echo tamtego gniewu.

– Znam to uczucie. – Zamyśla się.

Powiedział to tak szczerze, że znowu się uśmiecham, choć temat jest ponury.

– Można stamtąd uciec? – ciągnie. – Gdzie są wyjścia? Ktoś ich pilnuje?

Staram się znowu dokładne przypomnieć sobie tamtą scenę.

– Wszędzie są anioły... Nie sądzę, żeby była jakaś droga ucieczki. Strażnicy idą przede mną i za mną. Jestem pod eskortą. Nieprzyjazną eskortą.

– Eskortą? – dziwi się. – Dokądś cię zabierają?

– Raczej prowadzą, bo idę z własnej woli.

– Dokąd?

– Nie wiem, ale...

– Ale?

– Chcę iść. I wolałabym szybciej. Mam wrażenie, że się tak wloką, bo stale oglądają się na mnie. Patrzą jak na miejsce katastrofy. Bez przerwy się na mnie gapią, nie mogą przestać. – Staram się zrozumieć wyraz twarzy aniołów z mojego snu.

– Dlaczego tam jesteś? – Mimo wysiłków Reed nie daje rady ukryć gniewu w swoim głosie.

– Nie wiem – wyznaję szczerze.

– Evie, ta wizja totalnie mi nie pasuje do przyjętej przez nas strategii – mówi z wyrzutem.

– Jakiej strategii?

Nie rozumiem, o co mu chodzi.

– Przecież masz uciekać jak najdalej od wszystkich aniołów – przypomina. Kładzie nacisk na każde wolno wypowiedziane słowo.

– A, prawda, przepraszam, chodzi ci o „strategię zdrajcy”, bo powinnam przede wszystkim chronić siebie, stawiać swoje dobro ponad wszystkich i wszystko, tak? – zauważam z przekąsem.

– Evie! – powtarza Reed, jakby coś nakazywało mu ciągle wypowiadać moje imię.

Nie chcę się z nim kłócić, więc tylko przesuвам się na kanapie, żeby oprzeć się o niego. W jednej chwili Reed oplata mnie ramionami. Przytula mocno do siebie.

– Musisz uciekać, jeśli tylko masz szansę. Potrafię sobie ze wszystkim poradzić, jeśli będziesz bezpieczna – mówi, a ja zamykam oczy, zastanawiając się nad znaczeniem jego słów.

– Reed, ucieczka to dla mnie wyjście pod warunkiem, że wszystko nie skrupi się na tobie. Nie zostawię cię z czymś, co miało grozić mnie, a nie tobie – tłumaczę uczciwie.

– Jestem aniołem Mocy, jestem stworzony do ryzyka, potrzebuję go. Mam je we krwi. Dlatego tak świetnie do ciebie pasuję. Ty przyciągasz niebezpieczeństwa, a ja się nimi zajmę – mówi poważnie.

Aż mnie to ubodło.

– Zakochałeś się we mnie, bo działałam jak magnes na niebezpieczeństwa?

– Nie, kocham cię za to, kim jesteś. Najbardziej niezwykłą istotą, jaką kiedykolwiek poznałem. Ryzyko to tylko bonus.

– To chore, szalone i wcale nie w pozytywnym sensie.

– Dlaczego chore? Coraz wyraźniej widzę, że jestem dla ciebie stworzony. Chodzi o to, że potrafię cię chronić. – Przygarnia mnie do siebie.

– A jak ja mam chronić ciebie? – Wtulam się w jego pierś.

– Myślałem, że to już ci wyjaśniłem. Ja nie potrzebuję ochrony – stwierdza dobitnie.

– No dobrze już, daj spokój... nie gniewaj się. Jesteś najstraszniejszym aniołem, jakiego w życiu widziałam, i nikt nie musi stawać w twojej obronie. Zadowolony? – pytam zirytowana.

– Tak, dziękuję. – Całuje mnie w czubek głowy.

– Więc pociąga cię niebezpieczeństwo? Ciekawe, bo mnie też. – Przesuwam palcem po nadruku jego bawełnianej koszulki.

– Widzisz, jesteśmy idealną parą – kwituje zadowolony.

Bije od niego ciepło, a ja uśmiecham się sennie na myśl, że nie muszę już dłużej przekonywać Reeda, że jest mi przeznaczony. Bierze mnie na rękę i niesie do mojego pokoju.

– Musisz się teraz przespać. Jak znam Buns i jej zamiłowanie do balowania, czeka nas huczna impreza.

– To przecież sylwester! – podkreślam, choć czas przestał się dla mnie liczyć, bo już mu nie podlegam. Odkąd wiem, że jestem wieczna, poprzestawiały mi się priorytety i zmieniło pojęcie o tym, co naprawdę ważne.

Reed kładzie mnie na wielkim łożu w moim pokoju, a ja od razu się posuwam, żeby zrobić dla niego miejsce.

– Szybciej zasnę, jak ze mną zostaniesz.

Uśmiecham się, gdy chwilę się waha. W końcu ulega mojej prośbie i kładzie się do łóżka. Przytulam się do jego boku.

– Tylko jeśli obiecasz, że będziesz spać. Buns nie odpuści, jeśli chodzi o wieczorne szaleństwa. Musisz być gotowa na wszystko – ostrzega z uśmiechem.

Jestem więc grzeczna i usypiam.



– Skarbie, wstawaj i chodź do kuchni. Przywieźli nam śniadanie i musisz wybrać strój na wieczór. – Buns wpada do mojego pokoju.

– O czym ty mówisz? – Przecieram oczy.

– Zobaczysz. – Podaje mi filiżankę kawy, po czym wychodzi.

Wstaję, biorę prysznic i układam włosy. Idę do kuchni. Tam czekają na mnie owoce i croissanty. Kiedy jem, Buns pcha w moją stronę stojak z masą sukienek. Zdumiona patrzę pytająco na przyjaciółkę. Zefir chichocze. Siedzi w głównym pokoju z Reedem i obaj z zaciekawieniem mi się przyglądają.

– Co to takiego? – Wstaję, żeby obejrzeć, co jest na wieszakach. Mam przed sobą z kilkadziesiąt markowych sukienek, zwiewne jedwabiste dzieła sztuki.

– Musisz sobie coś wybrać na dzisiejszy wieczór. W schronisku jest impreza z szampanem o północy. To nie to co sztuczne ognie na nabrzeżu, ale na razie musi nam wystarczyć – mówi Buns jakby nigdy nic.

– Kiedy zdążyłaś to wszystko kupić? – Lekko przesuwam palcami po kreacjach.

Buns wznosi oczy do nieba, ale zaraz się uśmiecha.

– Nie musiałam nic kupować. To dodatkowa usługa dla VIP-ów. Z recepcji przysłali. Powiedziałam tylko, czego mi trzeba. Po prostu wybierz sobie, którą chcesz. – Patrzy, jak delikatnie dotykam wykwintnych strojów.

– Naprawdę jesteście rockandrollowcami – szepczę prawie bezgłośnie, ale kiedy Zefir znów wybucha śmiechem, przypominam sobie, że oni przecież i tak wszystko słyszą.

Przełądam sukienki. Wszystkie śliczne. Kiedy unoszę wzrok, widzę, że Reed nie spuszcza ze mnie oczu.

– A tobie która się podoba? – pytam ciekawa, czy ma na ten temat zdanie.

Wydaje się zaskoczony, że pytam go o opinię.

– A co ja wiem o damskiej modzie? – Dziwi się i staje obok mnie przy wieszaku.

– No... byłeś mężczyzną, kiedy ostatnio sprawdzałam, to może przynajmniej wiesz, czy coś ci się podoba. Widzisz tu coś takiego? – naciskam i czekam.

Przebiega wzrokiem po sukienkach. Na jednej zatrzymuje się nieco dłużej. Jedwabna, w kolorze szampana, z gorsetem bez ramiączek i długą powłóczytą spódnicą, która na pewno oblepi moje kształty aż do podłogi.

– Ta? – Wyciągam ją i unoszę, żeby mógł się przyjrzeć.

Na moment zamiera w bezruchu. Po chwili wzrusza ramionami, jakby nic go to nie obchodziło. Jednak coś w jego zachowaniu mówi mi, że ta sukienka zrobiła na nim wrażenie.

Uśmiechając się sama do siebie, idę z nią do swojego pokoju.

– Buns, przymierzę ją, pomożesz mi? – wołam przez ramię.

– Jasne, skarbie.

Rusza za mną. Wkładam sukienkę i zaskoczona patrzę na swoje odbicie w lustrze. Elegancka i wytworna. Wyglądam w niej na starszą, niż jestem. Jej kolor jest tylko lekko ciemniejszy od mojej cery i nie kłóci się z ognistym odcieniem włosów.

– Chyba już nie warto mierzyć innych, skarbie. To jest to – stwierdza Buns. – Ale nie musisz mi wierzyć na słowo. Idź, pokaż się Reedowi – dodaje z uśmiechem.

Wychodzę z sypialni do głównego pokoju, gdzie Zefir z Reedem rozmawiają ścisłym tonem o środkach ostrożności na dzisiejszy wieczór w schronisku. Siedzą blisko kominka. Kiedy podchodzę do nich, Reed podnosi wzrok i urywa w pół słowa, jakby zapomniał, co miał właśnie powiedzieć Zefirowi.

– Ładna kiecka – chwali Zefir.

Reed pomrukuje na niego groźnie, na co, jak ze zdumieniem dostrzegam, Zee uśmiecha się szeroko.

– Stwierdzam tylko oczywisty fakt – mówi.

– A tobie się podoba? – pytam Reeda, kiedy powoli wstaje z kanapy i zaczyna krążyć wokół mnie jak drapieżnik, który z chłodną precyzją osacza ofiarę. Najwyraźniej jest spięty, stara się opanować. Aż mnie przebiega dreszcz.

– Wyglądasz pięknie... i delikatnie. – Zbliża się do mnie od tyłu. Czuję promieniujące ku mnie ciepło jego ciała i oddech na szyi. – Jesteś zbyt krucha, na swoje szczęście – szepcze.

– Uważasz mnie za jakąś porcelanową lalkę? – Zagryzam dolną wargę, kiedy leciutko przesuwa palcem po moim ramieniu.

– Nie, mówię, że jesteś w niebezpieczeństwie – wydusza z siebie spiętym tonem i gwałtownie cofa dłoń.

– Twoim zdaniem to ryzykowna kreacja? – Drażnię się z nim trochę. – Czy Serafiny zawsze puszczają ci płazem takie odzywki, czy tylko wykorzystujesz okazję, bo mam dobre serce?

– Z Serafinami nigdy nic nie wiadomo, ale próbować warto – odpowiada.

Buns wzdycha.

– Oj, nie mogę się doczekać, kiedy się w pełni przekształcisz, to już nie do wytrzymania.

Odciąga mnie od Reeda, który najwyraźniej nie ma ochoty stracić mnie z oczu.

– Jesteśmy umówione w SPA w schronisku i tego nie odpuszczę. Popilnuję Evie, a wy, chłopaki, zajmijcie się tymczasem, czym chcecie – mówi Buns tonem nieznoszącym sprzeciwu i zabiera mnie z powrotem do mojego pokoju, żebym się przebrała.

Później wskakuje za kierownicę i jedziemy do schroniska na umówioną wizytę w SPA. Szorują nas, nacierają, oskubują, woskują i peelingują, po czym siadam obok Buns w wielkim

miękkim fotelu i patrzę, jak manicurzystka nakłada mi drugą warstwę ciemnoczerwonego lakieru na paznokcie stóp. Buns wybrała sobie kolor złoty. Nagle przychodzi mi do głowy pytanie.

– Więc JT nigdy nie miał u ciebie szans?

– Biedny JT. Taki milutki, ale trochę zbyt kruchy jak dla mnie – mówi z uśmiechem. Dobrze rozumiem, co ma na myśli. JT jest dla niej zbyt ludzki. – Poza tym pojawił się Zee i nie miałam już żadnych wątpliwości – dodaje, opierając głowę o pluszowe poduchy fotela.

– Wiedziałam, że podoba się tobie i Brownie, ale nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak. – Na wspomnienie ich ekstrawaganckich wyczynów w sypialni lekko się czerwienię.

– Czemu miałyby się nie podobać. W końcu to Mocny... prawdziwy facet – stwierdza. Zerka na kobietę, która maluje jej paznokcie. Stara się mówić enigmatycznie, żeby nas nie zdradzić. – I te oczy. Widziałaś kiedyś tak błękitne?

Kręcę głowę. Pamiętam, jak pierwszy raz je zobaczyłam. Uciekłam przed aniołami z siedziby bractwa Deltę do domu Reeda i znalazłam się sam na sam z Zee. Wtedy pomyślałam, że jest niesamowicie piękny... jak na zabójcę.

– Nie martwisz się o niego? To znaczy, wiesz, jak będziecie trzymać się ze mną, to może... wszystko się posypać... – Ostrożnie dobieram słowa, żeby nie powiedzieć zbyt wiele przy obcej kobiecie.

Buns wznosi oczy do nieba.

– Częściowo właśnie dlatego tak go lubię. Rozumie, ile dla mnie znaczysz.

– Jak to?

– Jesteś dla mnie jak siostra, skarbie. Ty i Brownie. Ale sądzę, że w rodzinie będziemy musieli zrobić też miejsce dla Russella, Zee i, mhm... choć trudno mi to przyznać... dla Reeda. Przyzwyczaiałam się do niego. Nie jest takim nudziarzem, jak przypuszczałam, chyba dzięki tobie trochę się podciągnął – dodaje niechętnie.

– Tak, jesteśmy rodziną – przyznaję, a oczy zachodzą mi łzami.

– Sporo czasu mi zabrało, żeby odnaleźć kogoś takiego jak wy. Byłam sama przez wieki. Nie zrezygnuję z was bez walki – zapewnia. – Pamiętaj o tym, ty z tymi swoimi smutnymi oczami – przybiera matczyzny ton. – Może kiedy trochę się już otrząsniesz po tym, co się stało, zrozumiesz, że to dopiero początek, nie koniec.

– Czy kiedykolwiek przedtem miałaś rodzinę? – pytam ze ściśniętym gardłem, bo przecież Charlie i Elise to nie są prawdziwi ludzie.

Buns wszystko zmyśliła, żeby nie nabrała podejrzeń, że jest aniołem.

– Nie. Zawsze miałam jakieś zadanie i to mi wystarczało, aż do teraz. Brownie i ja poznałyśmy się w Crestwood i od razu złapałyśmy ze sobą kontakt, jakbyśmy znały się od dziecka, a potem pojawiłaś się ty i przypadłaś nam do serca. – Przy tym mruga do mnie, bo to mało powiedziane. – Mam wrażenie, jakby moje życie nabrało nowego sensu.

Pomalowane paznokcie muszą teraz wyschnąć. Manicurzystka idzie do innych klientek.

– Czy to nie wydaje ci się dziwne? – Przypominam sobie, co mówił mi w aucie Reed. – Reed twierdzi, że nie zachowujecie się jak inne anielice Kosiarze.

– Bystry chłopak... ciekawe, jak na to wpadł. Prawdę mówiąc, w towarzystwie aniołów z mojego zastępu zawsze czułam się jak ryba wyciągnięta z wody. Często dziewczyny są aż za wesołe. Czasami zastanawiam się, czy naprawdę miałam być aniołem śmierci, czy też jest mi przeznaczone coś innego – mówi zamyślona, po czym uśmiecha się do mnie. – Ale spotkałam Brownie i okazało się, że jesteśmy do siebie bardzo podobne. Spontaniczne. Podejrzewam, że zostałyśmy tu wysłane, żeby cię chronić. Brownie też tak sądzi. Może obie mamy być twoimi aniołami stróżami, kiedy zajdzie taka potrzeba? Nie wiem na pewno, bo nikt z raju nie kontaktuje się z nami bezpośrednio. Nikt nas nie wezwał, żeby poinformować, jaki jest wobec ciebie plan.

– To jak to działa, Buns? Jak przekazujecie dusze do nieba, jeśli się nie komunikujecie? – pytam zaciekawiona.

Wyciąga rękę i poklepuje mnie po głowie.

– Nie mogę ci tego zdradzić, ale któregoś dnia sama zobaczysz – zapewnia.

Przypominam sobie wszystkie dusze, które wpadły w zasadzkę z Russellem i ze mną w 7-Eleven kilka miesięcy temu, i przebiega mnie dreszcz.

– Poczekam. Nie pali mi się – mówię cicho. – Byłaś więc sama przez długi czas, zanim pojawiła się Brownie i ja? Jak wyglądało twoje życie?

– Och, jak jedna wielka przygoda. Czasami czuję się jak obieżyświat. Jestem bardzo młoda w porównaniu z większością aniołów. Spędziłam tu zaledwie tysiąc lat z niewielkim okładem. Zee i Reed są dużo dłużej... – urywa zamyślona.

– Jak sądzisz, od kiedy? – Staram się nie dać po sobie poznać, że jestem porażona jej wiekiem: ponad tysiąc lat!

– Naprawdę nie wiem. To zabawne, ale w raju czas nigdy nie miał dla mnie specjalnego znaczenia i kiedy tu przybyłam, trudno mi było przywyknąć do koncepcji czasu. Ale słyszałam, że według ludzi, naukowców, Ziemia ma około czterech i pół miliarda lat – odpowiada.

Dech mi zapało, robię wielkie oczy i wpatruję się w nią z niedowierzaniem.

– Nie rób z tego jakiejś wielkiej sprawy.

Widzę, że stara się ukryć uśmiech. Kiwam głową, bo jak pomyślę o takiej otchłani czasowej, to dostaję zawrotu głowy.

– Skarbie, nauka nie zawsze jest ściśle... no właśnie, naukowa. – Stara się mnie uspokoić.

– Przecież całkiem niedawno dowodzono, że Ziemia jest płaska.

– Mówisz więc, że się mylą?

– Nie. Tylko że mogą nie mieć racji. – Uśmiecha się, kiedy kręcę z frustracją głową. – Spytaj Reeda, ile ma lat. Pewnie wie – podsuwa z entuzjazmem.

Co za idiotyczne stwierdzenie.

– Czy kiedykolwiek ktoś odpowie na takie pytanie szczerze? – Marszczę brwi. – Na przykład sąsiadka mojej mamy. Kłamie na temat swojego wieku, kiedy tylko nadarzy się okazja. A ma jakieś czterdzieści pięć lat. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś chciał się przyznać, że stuknęły mu cztery miliardy...

– Wątpię, żeby był w tym wieku, Evie. Mieszkał jakiś czas w raju, zanim został tu wysłany, musi być więc o wiele starszy – szczebiocze miło jakby nigdy nic.

– Buns, przestań. Nie chcę już wiedzieć nic więcej – ucinam. Wachluję kartką paznokcie, żeby szybciej wyschły.

– Teraz kapujesz, jaka jesteś wyjątkowa, Evie? – Buns obserwuje mnie ze swojego fotela.
– Wyobraź sobie wszystkie stwory, które od zarania dziejów zamieszkiwały Ziemię wraz z ludźmi. A ty jesteś najbardziej niezwykłą istotą, jaką którykolwiek z nas napotkał.

– Jakie znowu stwory? – dopytuję się, bo nie całkiem rozumiem.

– Powiedzmy, że niektóre bajki nie są wyłącznie wymysłem wyobraźni... – Przebiera palcami, sprawdza, czy paznokcie wyschły i czy może włożyć sandały.

– Co takiego? – Unoszę się w fotelu, żeby lepiej jej się przyjrzeć. – Które bajki są prawdziwe? – drążę.

– Właściwie wszystkie – rzuca lekko. – Nie panikuj, Evie. Sporo tych stworzeń już wyginęło, a część z nich pochowała się gdzieś na końcu świata. – Teraz ona dmucha na paznokcie, żeby je szybciej dosuszyć.

– Wymień kilka tych, które wyginęły – upieram się, próbując dociec, czy przypadkiem mnie nie podpuszcza, ale nie wyczuwam, że żartuje.

– No zaraz... gorgony. Mam prawie pewność, że już ich nie ma, ale widziałam ostatnio dość szkaradne baby, którym przydałaby się wizyta w SPA. – Chichocze, dopóki nie dostrzeżę, że ja się nie śmieję.

– Gorgony... jak Meduza? Kobiety, które potrafią wzrokiem zamienić cię w kamień?

– Tak. Ale nie było ich już, kiedy tu przybyłam. – Wzrusza ramionami.

– Co jeszcze? – Nie odpuszczam.

– No... Myśleliśmy, że chupacabry wyginęły, ale chyba kilka ich przetrwało, bo niedawno chodziły o tym słuchy w Puerto Rico.

– Masz na myśli te podstępne stworzenia, co niby przybyły z innej planety, jak sądzą niektórzy? – Rozglądam się, czy aby nikt nas nie słyszy.

– Tak. Ale to nie kosmici. Były tu przez jakiś czas – mówi beztrasko.

– A co nie wyginęło? – Dostaję gęziej skórki na rękach.

– No, druda już spotkałaś – wylicza, a kiedy rzuca na mnie okiem i orientuje się, że nie rozumiem, dodaje: – To takie władcze demony z folkloru niemieckiego. W Afryce Środkowej nazywają je mbwiri. Człowiek-cień.

Przebiega mnie dreszcz na myśl o wczorajszym starciu.

– Niemcy i Duńczycy wspominają też o erlkingach, złych elfach zamieszkujących lasy. Te stworzenia zwodzą zbłąkanych wędrowców i są zdolne doprowadzić do ich śmierci... No a

Upadli? – ciągnie Buns. – Wyobraź sobie, co kilkaset lat temu powiedziałby ktoś, kto by został zaatakowany w lesie przez Alfreda z rozłożonymi skrzydłami. Uznałby, że napada go jakiś czarnoksiężnik o skrzydłach ważki – tłumaczy, a ja czuję przejmujący lęk. – La mojana to z kolei, o ile wiem, kolumbijskie duchy wodne zmieniające kształty... Powiedzmy sobie, że lepiej nie pić tam wody.

– Zmieniające kształty! – wrywa mi się i natychmiast wszyscy w SPA się na nas oglądają.

Buns podaje mi żurnal i sama podnosi jeden z magazynów, żeby ukryć twarz przed innymi klientami. Ścisza głos tak, żebym tylko ją słyszała.

– Evie, rozumiem, że to dość szokujące. Ale wiesz, anioły istnieją i jak się spojrzy na legendy z różnych stron świata, wszędzie są do tego odniesienia. Zastanów się nad tym, a zobaczysz podobieństwa w wierzeniach ludowych różnych kultur i w postaciach, jakie się w nich pojawiają od wieków.

– Jak możesz mówić, że jestem najbardziej niezwykłą istotą, skoro istnieją takie, które dowolnie zmieniają swoje kształty?

– Evie. Tyle to i ja potrafię. Widziałas, jak to robię... tamte motylki, pamiętasz? – pyta, a ja milknę, wspominając, co pokazała mi wczoraj, i rumienię się, bo rzeczywiście byłam świadkiem, jak przyjaciółka rozplywa się w chmurę motyli, ale nie przyszło mi do głowy, że to jest to. – Coś ci się stało, skarbie? – pyta zaniepokojona moją miną.

– Pozwól, że ci coś wyjaśnię. Do niedawna wierzyłam, że jestem zwyczajnym człowiekiem. Jako taki uważałam, że należę do najpotężniejszego gatunku na Ziemi. No chyba że trafi się na niedźwiedzia, pumę, krokodyla czy rekina, których jednak dość łatwo się wystrzeżać. Właściwie mogłam bać się jedynie innych ludzi.

– Skarbie, powinnaś też brać pod uwagę klęski żywiołowe, w końcu to zjawiska naturalne i epidemie zmiotły z powierzchni Ziemi więcej cywilizacji niż rekiny – wtrąca Buns. Kiedy widzi, że marszczę brwi, dodaje: – Co? Mówię tylko, że bakterie też nie są przyjacielem człowieka.

– A teraz – ciągnę swój wywód, jakby wcale mi nie przerwała – okazuje się, że może gdzieś tu czyha olbrzym, który zmieli moje kości i upiecze sobie z tej mąki chleb – nawiązuję do jednej ze starych baśni.

Buns marszczy nos.

– Kiedy ja cię pilnuję, wykluczone! – zapewnia. – Poza tym jesteś szybsza niż jakikolwiek olbrzym. Niedługo naprawdę trudno będzie cię doścignąć czy przytrzymać. Będiesz umiała latać, biegać, zmieniać kształty i zyskasz siłę, która może się równać z tą, jaką mają anioły Mocy. Chciałabym zobaczyć olbrzyma, który próbowałby cię złapać.

– Czyli mówisz, że takie olbrzymy naprawdę istnieją. – Wzdrygam się.

– Spokojnie, Evie, nie martw się na zapas – upomina. Opiera się wygodniej i bierze łyk mrożonej herbaty, którą jej wcześniej podali.

– Mam być spokojna? O, jestem całkiem spokojna. Opowiedz tylko o tym Russellowi. Zobaczymy, jak zareaguje – rzucam nerwowo.

Na myśl o Russellu ogarnia mnie taka tęsknota, jakiej nigdy bym się po sobie nie spodziewała. Brak mi go. Zapomniałam, że mam kogoś, z kim mogę dzielić to wszystko, bo przecież płyniemy na tej samej łodzi... On jest jedyną osobą we wszechświecie taką jak ja. Zastanawiam się, jak przyjmie wiadomość, że bajki to prawda. A może już to odkrył? Ciekawe, jak znosi tę zmianę w swoim życiu. Czy chciałby się z tego wyrwać? Czy przechodzi gładko... na wyższy poziom?

Dopadają mnie wielkie, przytłaczające wyrzuty sumienia, które udawało mi się tłumić, od kiedy wyjechaliśmy z Crestwood. Nie zatroszczyłam się o Russella. Pozwoliłam, by zajęli się nim inni, a ja pogrążałam się w smutku. Nagle znów czuję się strasznie stara, ale nie mądra. W głębi duszy wiem, że gdyby sytuacja była odwrotna, on by się sprawdził. Zadbąłby o mnie.

Nie wolno mi go porzucić. To jedno pewne. Nadal stoi mi przed oczami scena, jak klęczę na zimnej, twardej terakocie w 7-Eleven przy nieruchomym ciele Russella, a jego dłonie sinieją, gdy on traci coraz więcej krwi. Pamiętam, jak modliłam się do Boga, żeby mi go nie zabierał. Russell to moja rodzina, podobnie jak wujek Jim. Tyle że Russell jest nią od zawsze. Moja miłość do wujka Jima nie jest ani trochę mniejsza niż do Russella, ale mam wrażenie, że kochałam Russella dłużej... nieskończenie dłużej. To bratnia dusza. Gdziekolwiek się znajdzie, cząstka mnie zawsze będzie chciała go odszukać.

Buns szczypie mnie w rękę.

– Aua! Co ty wyprawiasz?

Uśmiecha się do mnie.

– Jesteś gotowa, skarbie?

– Tak. Ale mnie nie szczyp. – Rozcieram bolące miejsce.

– Bujałaś myślami gdzieś bardzo daleko, musiałam sprowadzić cię na ziemię. Obiecałam Reedowi, że będziemy z powrotem po południu, bo chciał z tobą pojeździć na desce, zanim zaczniemy się szykować na wieczór. Pewnie już krąży niespokojnie po chacie i nie może się ciebie doczekać.

Buns zbiera wszystko, co tu kupiła. Uśmiełam się, kiedy dała sobie wcisnąć krem przeciwzmarszczkowy, ale może w ten sposób pomaga ludziom, bez pakowania się w kłopoty.

– A o czym właściwie myślałaś?

– O Russellu – przyznaję, choć staram się nie zdradzić swoich uczuć.

– Ach tak. Znów miałaś ten smutek w oczach. – Buns przygląda się mi uważnie. – Nic mu nie będzie, nie martw się. Jest Serafinem, to twardy typ. Przywyknie.

– Obyś miała rację.

– Wiem, że mam. Musi się dostosować, a jak nie, to podrzucimy go syrenom. – Buns bierze kosmetyki i idzie do drzwi.

Otwieram usta ze zdumienia; dopiero po chwili otrząsam się i ruszam za nią. Kiedy docieramy do chaty, Reed może nie chodzi w tę i we w tę, ale wita nas z wyraźną ulgą.

– Jak było w SPA? – pyta, gdy kładę pakunki na blacie w kuchni.

– Bardzo pouczająco. Wiedziałaś, że Ziemia ma około czterech i pół miliarda lat, a baśniowe stwory istnieją naprawdę? – Biorę się pod boki i przyglądam się jego cudownej twarzy. Wygląda na dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia jeden lat. A do tego ma idealną sylwetkę.

– Naprawdę? – Idzie za mną do kuchni i obejmuje mnie w pasie. – I co z tego według ciebie wynika? – Jego usta leciutko muskają moje wargi, bardziej je pieszczą, niż całują.

– To znaczy, że jesteś potwornie stary – szepczę, opierając się o jego silne, muskularne ciało.

– To prawda. – Wtula nos w moją szyję. – Wiekowy ze mnie gość.

– Relikt – drażnię się z nim; przebiega mnie dreszcz pożądania. – W tym wieku powinieneś już mieć dość rozumu, żeby nie zadawać się z kimś takim jak ja.

– Jesteś jedyna w swoim rodzaju – mruczy i całuje mnie, a wszystko, co mnie gnębiło, gdzieś się ulatnia, kiedy obejmuję go za szyję. – Może powinniśmy teraz pójść trochę pojeździć na deskach. Mam wrażenie, że Zefir stęsknił się za Buns, kiedy was nie było.

Odsuwa się i całuje mnie w policzek.

– Szykujemy się. – Prowadzi mnie w kierunku mojego pokoju.

Wskakuję w inne ciuchy i spotykamy się w salonie. Wkrótce z sypialni obok rozlegają się łomoty. Przewracam oczami i rzucam wymowne spojrzenie Reedowi.

– Nie mogę się doczekać, kiedy my będziemy robić taką demolkę.

– Nie masz nawet pojęcia, co nawyprawiamy. Musimy znaleźć jakieś miejsce, do którego nie będziemy chcieli wracać przez sporo lat, aż wymieni się obsługa i nikt już nie będzie nas pamiętał – mówi z uśmiechem, popatrując na mnie z góry.

Idziemy przez las ramię w ramię, a mnie znów uderza majestatyczne piękno tego miejsca. Stare drzewa tworzą baśniowy nastrój i kiedy zagłębiamy się w krętą ścieżkę, łatwo mi uwierzyć w to, co mówiła wcześniej Buns, że mityczne stwory istnieją naprawdę.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że są jeszcze inne istoty poza ludźmi? – odzywam się wśród tej leśnej ciszy.

– Bo trudno ci było zaakceptować nawet obecność aniołów, nie chciałem pogarszać sprawy, obarczając cię zbyt dużą ilością informacji naraz – tłumaczy i się nachmurza. – Evie, mam potrzebę, żeby cię chronić; sam tego do końca nie rozumiem. Muszę być pewien, że jesteś gotowa na takie wiadomości, zanim ci je zaszerwuję.

– No tak. – Zastanawiam się chwilę. – To logiczne. Ale czasami mam wrażenie, że wszyscy coś przede mną ukrywają. Chyba wołałabym o czymś wiedzieć, zanim się na to zniecka natknę. Weźmy na przykład ciebie. Bardzo by mi pomogło, gdybym od razu, kiedy cię poznałam, zdawała sobie sprawę, że jesteś aniołem.

– Masz dość zmartwień. Nie trzeba ci już niczego dokładać. Ile koszmarów sennych zniesiesz? – pyta z troską.

– Sądzę, że od nadmiaru wiedzy nic by mi się nie stało. Ale nie przekonamy się, dopóki nic mi nie mówisz. – Staram się go przekonać.

– Wiele baśni powstało, by wyjaśnić istnienie aniołów Boskich i tych Upadłych. W każdej kulturze i w każdym języku na świecie jakoś się nas nazywa. Są też inne stworzenia, prawda, ale najgroźniejsze są anioły. U Czirokezów są różne określenia na Upadłych. Kruk Prześmiewca to demon, który potrafi skraść ludzką duszę i pożreć ją, by zyskać nieśmiertelność. Nie całkiem chwycili, w czym rzecz, ale przyznaj, że byli blisko, prawda? – pyta, kiedy wychodzimy z lasu na polanę oświetloną ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

– Dlaczego nazwali go Kruk Prześmiewca? – Ksywka wydaje mi się dość dziwna.

– Bo anioły nigdy się nie starzeją i nie umierają, więc nigdy nie stają się zerem dla kruków – wyjaśnia.

– Rozumiem, czyli można powiedzieć, że my sobie kpimy z tych ptaków.

Docieramy do kolejki i wsiadamy do wagonika przed grupą dziewczynek. Mają nie więcej jak trzynaście, czternaście lat. Każda trzyma swoją deskę. Siadają naprzeciwko nas. Gondola powoli pnie się w górę. Reed trzyma mnie za rękę. Widzę, że nastolatki gapią się na nas, chichoczą i osłaniając usta dłonią, szepczą między sobą, jaki Reed jest cudowny. Pochyliam głowę i przygryzam wargę, żeby się nie roześmiać, a Reed robi coraz większe oczy na ich wygłupy. W końcu jedna z dziewczynek zdobywa się na odwagę, żeby nas zagadnąć.

– Czy wy nie jesteście przypadkiem jakimiś modelami czy co?

– No nie. – Staram się nie wybuchnąć śmiechem, bo nie chcę jej urazić.

– Na pewno? – pyta podejrzliwie, mierząc nas wzrokiem. – Bo twój chłopak jest nawet fajniejszy od takiego jednego, z którym wjeżdżaliśmy ostatnio.

Ściskam dłoń Reeda. Urocza ta dziewczynka. Przezabawna.

Jej koleżanka szturcha ją łokciem i wznosi oczy do nieba.

– Daj spokój, Stacy.

Ale Stacy nic sobie z tego nie robi i dalej gapi się na nas.

– Naprawdę? Tak sądzisz? Bo ja myślę, że jest najprzystojniejszym facetem, jakiego w ogóle w życiu spotkałam – mówię z tajemniczym uśmiechem i widzę, jak oczy dziewczynek znów wędrują do Reeda.

– Wyjdiesz za niego? – pyta mnie śmiało Stacy, niechętnie przenosząc wzrok na mnie.

Znów chichoczą i przypatrują się Reedowi.

– No... – jąkam się, bo na takie pytanie zupełnie nie byłam przygotowana. Rzucam okiem na Reeda. Patrzy uważnie i czeka na moją odpowiedź. – Hm, cóż... jeszcze mi się nie oświadczył, a zgodnie z tradycją inicjatywa powinna wyjść od mężczyzny. Poczekam, a potem zobaczymy – wyjaśniam zadowolona, że już docieramy na górę, co oszczędzi mi dalszych niezręcznych pytań.

Moja nowa przyjaciółka od serca podbiega do Reeda.

– Poprosisz ją o rękę? Bo ten drugi przystojniak, z którym jechałyśmy, naprawdę jest superfajny. Powiedział, że jest modelem – szczebiocze, a ja duszę się, żeby tylko nie parsknąć śmiechem.

– Nie, Stacy. Mówił, że jest aniołem – poprawia ją jedna z koleżanek.

Po prostu mnie замуrowało. Kątem oka widzę, że Reed też skamieniał.

– No tak, ale w tej reklamie bielizny czy czegoś tam oni są zrobieni na anioły, prawda? – mówi Stacy.

Reed wstaje i obserwuje szczyt wzgórza. Ja siedzę na swoim miejscu w nadziei, że tym laskom coś się pomyliło. Reed znów się do nich obraca.

– Ożenię się z nią, ale musicie mi pomóc. Nie chcę, żeby tamten koleś ją zobaczył. Jest taka piękna, jeszcze mi ją odbije. Pomożecie? – pyta swoim seksownym głosem.

Godzą się od razu.

– Kiedy otworzą się drzwi, wyskakujcie z wagonika, a jak tylko zauważycie tego anioła, to pobiegnijcie do niego z piskiem i proście o autograf, jakby był waszym idolem, gwiazdą pop. Zgoda?

Dziewczynki zaśmiewają się, jakby to był najlepszy dowcip na świecie.

Cicho, tak że tylko ja go słyszę, Reed dodaje:

– Musimy wypróbować naszą nową broń. Kiedy dotrzemy na górę, poczekaj, aż wysiądą dziewczyny i ja, a potem ruszaj w odwrotną stronę. Biegnij najszybciej, jak potrafisz. Nie wracaj do chaty. Nie wiem, czy nas śledzili, czy to czysty przypadek.

Wtyka mi swój telefon komórkowy do przedniej kieszeni sportowych spodni, a potem przyciąga mnie do siebie tak mocno, że mało mnie nie połamie, i całuje w czoło.

– Poszukaj bezpiecznego miejsca, żeby się schować. Znajdę cię. Rozumiesz? – Odsuwa się ode mnie lekko, żeby spojrzeć mi w oczy.

– A ty? – Nie chcę, żeby wszystko skrupiło się na nim. A jeśli to zasadzka i zostawiam go na śmierć?

– Evie, wykonasz polecenie, jasne? – szepcze znów bardzo cicho, tym razem tonem, jaki znam z czasów, kiedy dopiero go poznawałam. To znowu chłodny, uprzejmy, trzymający dystans Reed.

– Mhm – zgadzam się i umieram z rozpaczy, bo jeszcze raz przeze mnie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Przez samo to, że istnieję.

Docieramy do szczytu, wagonik wjeżdża na stację.

– Teraz, moje panie, pokażcie mi tego niesamowitego modela, którego widziałyście – mówi Reed, rzucając mi uśmiech na pożegnanie, po czym rusza do wyjścia.

Wysiadam chwilę po nich i idę w przeciwną stronę. Nie mogę się powstrzymać, by nie zerknąć za siebie. Próbuję zobaczyć, co się dzieje. Reed obserwuje dziewczynki, które do kogoś biegną. Odwracam się od nich i już mam zerwać się do ucieczki, kiedy spostrzegam, że ktoś stoi mi na drodze.

– Przepraszam – mówię odruchowo i spuszczam głowę, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Próbuję ominąć intruza, żeby rzucić się z góry i zniknąć, zanim ktoś mnie zauważy, ale kiedy robię krok w bok, to samo robi ta postać i nadal mnie blokuje.

Czuję, jak ogarnia mnie przerażenie, kiedy podnoszę wzrok i widzę bardzo szykownie ubraną kobietę sylwetkę. Nigdy nie spotkałam takiego anioła jak ona. Uświadamiam sobie, że musi należeć do zastępu Mocy. Na to wskazywałoby to, co mówił mi o nich Reed. Choć jest zdecydowanie rodzaju żeńskiego, wygląda tak, jakby potrafiła gołymi rękami zerwać z nieba Słońce. Ma ciemne włosy, ostrzyżone krótko, prawie na jeża, co pewnie jest praktyczne podczas walk z Upadłymi – nie mają za co złapać. Jest wzrostu Reeda, ale choć piękna, o idealnej cerze, błyszczących jak klejnoty orzechowych oczach i niezwykle regularnych rysach, ma w sobie coś androgenicznego. Może to przez sylwetkę wojownika wydaje się mało kobieca. Albo to ten kpiący wyraz twarzy sprawia, że wygląda jak urodzony zabójca. Dostaję gęziej skórki na rękach, kiedy słyszę jej szept:

– Nefilim.

Rozdział 5

UCIECZKA

Jest tylko jeden sposób, by wymknąć się tej amazonce, anielicy Mocy – myślę, kiedy mrozi mnie lodowatym wzrokiem niczym śmiertelnego wroga. Muszę wyczekać odpowiedniego momentu – mówię sobie. Ze skroni spływa mi kropla potu. Mija ledwie jedna ósma sekundy, ale dla mnie to wieczność, kiedy patrzę w oczy istoty, która pewnie ocenia moje najsłabsze strony i układa sobie plan, jak mnie zabić.

W jednej chwili wszystkie moje zmysły zostają postawione w stan pogotowia. Wiem, co czuje antylopa, kiedy staje oko w oko z lwicą. Dziki lęk przyspiesza bicie serca, zapach tego anioła zapisuje się we mnie na zawsze, a moje mięśnie spinają się do ucieczki, do której zerwę się, gdy tylko uznam, że nadszedł czas. To wszystko wprawia mnie w oszołomienie.

Zdaję sobie sprawę, że ludzie wokół mnie na trasie zjazdowej nie mają pojęcia, że tuż obok nich rozgrywa się taki dramat. Słyszę wesoły gwar i gromkie śmiechy. Wszyscy cieszą się wycieczką w towarzystwie przyjaciół i bliskich. Nie są świadomi chaosu, w jakim pogrążył się mój świat.

W ułamku sekundy, jaki jest mi dany, obmyślam strategię. Z gry w hokeja na trawie pamiętam, jak zmylić przeciwnika. Próbuję pokazać jej wzrokiem, w którym kierunku ma się spodziewać mojej ucieczki. Zerkam w jej prawą stronę. Tamtędy mogłabym zbiec do miejsca, gdzie wsiedliśmy do kolejki. Kiedy słyszę za sobą piski i krzyki dziewczynek, nie waham się ani chwili. Pochyliłam się i rzucam w przeciwnym kierunku. Niespodziewane wrzaski

nastolatek na moment odciągają jej uwagę ode mnie. Potem instynktownie wraca wzrokiem tam, gdzie wskazywałam.

A ja bez namysłu uciekam ze szczytu. Koncentruję się tylko na tym, by biec najszybciej, jak potrafię. Dopiero po kilkuset metrach dociera do mnie, że na odkrytym zboczu widać mnie jak na dłoni. Koryguję to, kiedy dostrzegam obok gęsty sosnowy zagajnik. Wpadam między drzewa pokryte śniegiem, który tłumi dźwięki. Z początku słyszę tylko swoje szybkie lekkie kroki i równy oddech. Chwilę później dobiega mnie trzask łamanych konarów nade mną. Tuż za mną opada z nich śnieg. Oglądam się na moment i dostrzegam anioła – leci tuż nad koronami.

Na trzask łamanych tak blisko gałęzi ogarnia mnie panika. Anielica zaraz mnie dopadnie. Czuję się osaczona. Coś z łomotem łąduje za mną, ale nie tracę czasu, nie oglądam się, żeby sprawdzić, co to.

Nagle słyszę ostry świst w ciszy lasu, coś przelatuje mi koło ucha i wbija się w drzewo tuż po prawej. To jakaś gałąź, odarta z igiełek i użyta jako strzała, która miała mnie przebić na wylot.

Serce podchodzi mi do gardła, aż wydaję z siebie głośny jęk. Z pleców wyskakują mi skrzydła, rozdzierają kurtkę, która opada w strzępach na ziemię. Muszę jej utrudnić pościg – myślę, kiedy zauważam, że po mojej lewej jest jakby ciemniej. Skręcam, bo tam drzewa są gęstsze i trudniej atakować z góry. Poza tym gorzej mnie będzie widać, co może zmusi ją, żeby biec po ziemi. W locie ryzykuje, że zgubi trop.

Moja taktyka dobrze się sprawdza. Wiem to, bo w końcu nadal żyję. Aż tu nagle słyszę, jak ze sto metrów za mną zostaje wyrwane z korzeniami jakieś wielkie drzewo. Ktoś ciska nim na sosny po mojej prawej stronie. Lasem wstrząsa ogłuszający huk, kiedy ogromne gałęzie zderzają się z innymi i łamią je niczym zapałki. Ogromne sosny kładą się jak kostki domina. Muszę zrobić ostry zwrot w lewo, żeby nie zmiażdżyła mnie upadająca korona jednego z takich drzew. Przerazona przyspieszam. Ale anielica mnie raczej nie widzi i rzuca na chybił trafił, bo gdyby zdawała sobie sprawę, gdzie jestem, ta sosna by mnie zmiażdżyła, zginęłabym na miejscu.

Minimalnie zwalniam, kiedy słyszę za sobą wrzask. Tak wściekły, że aż mnie zmraza, a po plecach przebiega dreszcz. Jakiś kobiecy głos nawołuje z oddali, a z każdym moim krokiem staje się coraz bardziej odległy.

– Znajdę cię, Nefilimie, i wyrwę to twoje podłe serce! – drze się co sił w płucach, ale potem już nic nie rozumiem, bo to po anielsku, a słowa rozpływają się w powietrzu, gdy znów przyspieszam i biegnę naprzód.

Potem nie pozwalam już sobie myśleć o niczym innym, tylko o terenie, jaki mam przed sobą. Kiedy muszę przeskoczyć przez półki skalne czy strumień, robię to bez wahania, bez namysłu czy lęku. Skupiam się na jednym – uciekam. Nie wiem, jak długo biegnę bez oglądania się za siebie, ale jest ciemno, kiedy znów sprawdzam, czy ona jest za mną. Nadal ukryta pod gęstymi koronami drzew, zwalniam, żeby się zorientować, gdzie jestem. Słyszę

cichy szum. Jadące auta. Gdzieś daleko, kilka kilometrów przede mną. Jeśli pobiegnę wzdłuż drogi, może trafię na miejsce, w którym zdołam choć na trochę się ukryć. Sprawdzę dokładnie, gdzie się znajduję, i zadzwonię do Reeda, żeby mnie stąd zabrał. Jeśli nic mi się nie stało. Na tę ostatnią myśl robi mi się niedobrze. Musi być cały i zdrowy, inaczej to koniec.

Biegnę dalej, kieruję się odgłosami jadących samochodów. W końcu docieram do zaśnieżonej dwupasmówki. Nie opuszczam schronienia wśród drzew, ale brnę dalej przez las, wzdłuż drogi. Zaczyna mi być zimno. Obejmuję się rękami, żeby mniej marznąć. Mam teraz grubszą skórę, co ratuje mnie przed mrozem i hipotermią, ale nie jest miło tu być tak bez kurtki, która się rozdarła i została gdzieś daleko.

Światelka przede mną oznaczają miasteczko. Pozostaję wśród drzew, póki nie jestem całkiem blisko. Muszę zdecydować, czy ryzykować i wyjść z lasu, żeby znaleźć kryjówkę, czy zostać tu i dalej wędrować lasem. Ręce mi się trzęsą. To przesądza sprawę. Trzeba szybko znaleźć jakieś schronienie, żeby się rozgrzać. Muszę też zorientować się, gdzie jestem, żeby skontaktować się z Reedem. Ostrożnie wychodzę z lasu, podejrzliwie się rozglądając. Nadal jednak trzymam się z dala od szosy, wreszcie trafiam na pierwsze zabudowania i znak: Witamy w Ames, Domu Szczęśliwych Ludzi i Drużyny Drwali, która wygrała stanowe mistrzostwa w 1994 roku. W innych okolicznościach to by mnie rozbawiło, ale w tej sytuacji tylko patrzę na tablicę w odrętwieniu.

Kiedy zbliżam się do pierwszej latarni, zdaję sobie sprawę, że moje skrzydła nadal są widoczne, więc przystaję, żeby się zastanowić, co dalej. Jakoś muszę je schować, zanim ktoś z Ames mnie zobaczy i zaalarmuje media. Niepokój mi nie pomaga. Tak bardzo martwię się o Reeda i o to, co zaszło pomiędzy nim a tamtym aniołem, że trudno mi oddychać. Wyciągam jego telefon z kieszeni i dostrzegam od razu, że nie jest włączony. Wyłączył się w którymś momencie podczas ucieczki. Dotykam przycisk. Rozbłyskający ekran rozświetla mi twarz. Trzydzieści trzy nieodebrane połączenia.

Przeglądam je. Sporo z mojego telefonu. Może Reed wrócił do chaty, wziął moją komórkę i z niej dzwonił. Jest też dużo połączeń od Buns i Zefira. Od dawna próbują się ze mną skontaktować. Sprawdzam, która godzina. Dochodzi dwudziesta pierwsza. To znaczy, że biegłam przez las przynajmniej cztery godziny.

Muszą się strasznie martwić – myślę, natychmiast wybierając swój numer. Reed odbiera po pierwszym sygnale.

– Evie?

Jego głos brzmi jakoś inaczej.

To on, ale w jego tonie odzywa się coś, co przypomina mi moment, kiedy obudziłam się po tym, jak Alfred omal mnie nie zabił.

– Reed, nic ci nie jest? – pytam, bo przeraża mnie ból, który wyczuwam w jego głosie.

Na chwilę zapada cisza.

– Nie. Wszystko w porządku. A co z tobą? – odzywa się z niepokojem.

– Też dobrze. Jestem w Ames. Dddopiero cccco tu dddotarlałam. Stoję pppod miasteczkiem, bbbo nie mmmogę ppporradzić sssobie ze skrzydddłammi. Tttrochę mi zzzimno – dzwonię zębami.

Reed powtarza komuś nazwę „Ames”. Najprawdopodobniej Zefirowi i Buns.

– Jesteś sama? – upewnia się rzeczowo.

– Tttaaak – odpowiadam, drżąc z zimna.

– Dlaczego nie odbierałaś? – Jego głos pomału odzyskuje swoją zwyczajną barwę.

– Bbbył wwwyłączony. Nie wiedziałam, że pppróbujecie się dododzwonić. – Zaciskam zęby, żeby opanować to szczękanie.

– Jesteś pewna, że to Ames? – rzuca Reed.

– Tttak. Mmmiasteczko szszszczęśliwych lludzi – dodaję z ironią, rozglądając się za kimś szczęśliwym, ale nie widać żywej duszy, może dlatego, że panuje straszny ziąb.

– Co takiego? – Reed nie rozumie, ale brzmi dużo lepiej niż przed sekundą.

– Nnniewwważne, zzzobaczysz na mmmiejssscu. Kiedy będziesz?

– Już ruszamy. Zefir i ja jedziemy twoim autem. Za nami drugim Buns. Według naszej mapy Ames jest sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Nie ma bezpośredniej drogi. Dojazd zajmie nam więc co najmniej godzinę. Masz się gdzie schować i poczekać na nas, tak żeby nie wzbudzać podejrzeń?

Z minutę trwa, zanim dociera do mnie, co powiedział.

– Jessstem ssto pppięćdziesiąt kilometrów oood wwwas?

– Tak.

– Aż tyle przebiegłam? – Szybko liczę, ile mi to zajęło...

– Coraz lepiej wykonujesz moje polecenia. Kazałem ci biec i mnie nie zawiodłaś – mówi, jakby był ze mnie dumny. – Tylko następnym razem włącz telefon, żebym wiedział, że żyjesz – dodaje, a w jego głosie znów odzywa się ta nuta niepokoju.

– Oczzczywiście – zgadzam się osłupiała, że tak daleko zagnałam, żeby wymknąć się goniącemu mnie aniołowi. Założę się, że na płaskim terenie mogłoby to być nawet trzysta kilometrów. Porażające.

– Evie, widzisz tam jakieś miejsce, gdzie byś spokojnie się rozgrzała? Słyszę, że szcękasz zębami. – Reed wyraźnie się martwi.

Rozglądam się dokoła.

– Nnno, mmmam pppewien ppproblem. Nnie ppotrafię ssschować skrzydeł. – Przekładałam telefon do drugiej dłoni, żeby prawą wsunąć pod pachę i trochę ją zagrzać.

– Musisz się po prostu rozluźnić – poddaje mi mało przydatny w tej chwili sposób.

– Ach tak – bąkam, bo coraz trudniej mi się skupić na tym, co mówi. – Dddobrze, mmmoże, jjak sssobie chwilę sssiadę...

– Nie! Nie siadaj! – prawie krzyczy do mikrofonu. – Słuchaj. Nie wolno ci siadać. Bo jeszcze bardziej się wyziębisz – dorzuca ostro.

– Dobrze – zgadzam się, bo czuję, jak lodowaty wiatr owiewa mi gołą skórę.

Jest tu zimniej niż w lesie. Z mozołem ruszam naprzód, do Ames, starając się trzymać z dala od świateł latarni.

– Już się rozluźniłaś? – pyta Reed.

– Nie wiem. Zzzaraz ssspróbuję. – I robię to, ale moje skrzydła ani drgną.

– Evie? – odzywa się po chwili Reed.

– Ccco? – bąkam skołowana.

– Zadziałało?

– Nnnie.

– Trudno. Po prostu znajdź jakieś miejsce, gdzie się zagrzejesz, a ja zaraz tam przyjadę i przekonam ludzi, że nic nie widzieli – poleca nerwowo.

– Ppprzecież mi nnnie wolno – bardziej bełkoce, niż mówię. Słowa się zacierają.

– Evie, znajdź coś. Natychmiast! – Ponagla mnie tak ostro, że aż się wzdrygam.

– Dddoob... – cedzę i się rozłączam.

Jestem zdezorientowana i nie chcę, żeby ktoś na mnie wrzeszczał, więc słusznie, że przerwałam rozmowę. Idę w kierunku światła, które widzę dalej na ulicy, ale kiedy do niego docieram, okazuje się, że to sklep spożywczo-przemysłowy. Fosforyzujący neon jarzy się trupim blaskiem. Zaczyna mi się kręcić w pulsującej od bólu głowie, ogarnia mnie paniczny lęk. Muszę stąd odejść, więc ruszam dalej, pozostając w cieniu po drugiej stronie ulicy.

Mijam budynki z piaskowca o świątecznie udekorowanych fasadach. Latarnie w Ames zostały okręcone sznurami migocących białych lampek, a na górze przystrojone wiankami. Nad ulicami rozwieszono girlandy zdobione złotymi dzwoneczkami, co tworzy baśniowy korytarz wiodący przez miasto. Od czasu do czasu muszę chować się w cieniu wejścia do jakiegoś nieczynnego sklepu, żeby nie zauważył mnie ktoś z przejeżdżającego samochodu. Wszystko pozamykane na noc. W końcu to sylwester i szczęśliwi ludzie gdzieś się bawią.

Dzwoni telefon. Niech ktoś wreszcie odbierze, to nie do wytrzymania – myślę otumaniona, posuwając się w kierunku centrum. Musiałam dojść do jakiegoś urzędu, bo przed nim stoi ogromna haubica z czasów drugiej wojny światowej, a obok szopka bożonarodzeniowa, gigantyczna menora i buddyjski znak szczęścia. Podchodzę do anioła w szopce. Nie przypomina żadnego z tych, których znam. Powinni dać jakiegoś podobnego do Reeda. Ale wtedy ktoś by go ukradł... Ja na pewno.

Jakieś rytmiczne dudnienie w oddali odwraca moją uwagę od tej świątecznej mieszanki w duchu różnych kultur. Idę i odkrywam, że na końcu ulicy jest klub, gdzie gra muzyka. Podświetlony na żółto napis głosi: „Witajcie, kowboje i kowbojki! Do północy wejście za dolara”.

Chowam się w przesmyk obok baru w ostatniej chwili, bo właśnie zza rogu wyłania się roześmiana para i zmierza do wahadłowych drewnianych drzwi. Kiedy mężczyzna uprzejmie je przytrzymuje dla swojej towarzyszk, czuję bijącą ze środka falę przyjemnego ciepła. Z wewnątrz dobiegają zmysłowy niski głos i zniewalająco słodkie dźwięki gitary. Jakiś

mężczyzna śpiewa o tym, jak uciekał, żeby już nie musieć się ukrywać. Nie da się złapać, o nie.

Kiwam głową, w milczeniu zgadzam się z nim. Tak dobrze go rozumiem.

– Masz rację, stary – mruczę. – Ja też nie chcę, żeby mnie złapali.

Kołyszące się drzwi wracają na swoje miejsce, tłumią słowa piosenki.

Odwracam się od baru i przemykam na tyły, na parking. Coś dobrze pachnie – myślę. Idę dalej na drugą stronę tonącego w ciemnościach placyku. To zaplecze restauracji. Tylne drzwi są uchylone. Chowam się za zaparkowaną tu furgonetką, obserwuję, jak jeden z pracowników wnosi kilka dużych czarnych worków. Kiedy je wrzuca do pojemnika, słyszę brzęk szklanych butelek. Mężczyzna wyciąga i zapala papierosa. Szybko kilka razy się zaciąga i ciska go daleko od siebie. Jarzący się ogień szybuje w powietrzu.

Facet wraca do środka i woła do kogoś:

– To ja już spadam, do zoba, gamonie, w przyszłym roku... Szczęśliwego nowego roku, Daryl, szczęśliwego nowego roku, Karen... No to nara, nara!

Śmieje się, wychodzi i rusza za róg do swojego auta. Odpala starego pontiaca i wytacza się z placyku. Za luźny pasek klinowy protestuje przenikliwym świstem.

Kiedy mężczyzna odjeżdża, podchodzę do drzwi, które zostawił uchylone. Czuję z nich powiew nagrzanego powietrza. Cudowne doznanie. Pociągam i otwieram je szerzej. Uderza mnie ciepło, zapach tłustego, pysznego jedzenia. W brzuchu mi burczy. Wchodzę i rozglądam się niespokojnie, czy aby ktoś nie zawędrował na zaplecze. To jakiś składzik, najwyraźniej nikogo tu nie ma. Kiedy jestem w środku, opieram się o drzwi i zamykam je za sobą.

Grill skwierczy parę metrów ode mnie, kiedy ktoś przerzuca szpatułką coś, co tam się podpieka. Mam chęć podejść od frontu i poprosić o trochę frytek. Jednak nie ulegam pokusie – mam ważne powody, choć chwilowo nie pamiętam jakie. Po prawej stronie widzę drzwi, podchodzę do nich. Sąsiednie pomieszczenie to taki pokój socjalny dla pracowników. Są tu szafki, duży stół z laminowanym blatem, na którym stoi kilka popielniczek, składane krzesła. Przy przeciwległej ścianie jest mała kanapa. Kiedy wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi, natychmiast zaczyna dzwonić komórka.

Muszę ją uciszyć, naciskam więc na oślep.

– Ciii!

Wreszcie przestaje hałasować. Gaszę światło i chwilę czekam, żeby oczy przywykły do mroku. Kiedy widzę już wyraźnie, siadam na kanapie, podciągam kolana do piersi, obejmuję je rękami i skulona próbuję się rozgrzać. Strasznie się trzęsę. Zachłystując się, głęboko wdycham ciepłe powietrze i pomału je wypuszczam. Dopiero po chwili orientuję się, że ktoś coś mówi w telefonie, który trzymam w ręce. Przykładam go do ucha. To Reed. Ale nie rozumiem, bo mówi po anielsku, swoim najseksowniejszym tonem. Wsłuchuję się w jego głos – jest jak hipnotyzujące nuty kojącej kołysanki.

Reed nagle urywa.

– Ccco ty móóówiwiszsz? – Wstrząsają mną dreszcze.

– Evie!

Słyszę, że Reed oddycha głęboko, jakby kamień spadł mu z serca. Nic nie odpowiadam.

– Jesteś tam? – pyta.

– Mhm.

Tylko tyle z siebie wyduszam, bo dostaję kolejnego napadu dygotek.

– Gdzie jesteś?

– Nanajpierw ty odpowiedz na moje pytanie...

– Mówiłem ci, dlaczego tak bardzo cię kocham – rzuca szybko. – Gdzie jesteś?

– W ressstauracji. Zazakradłam się na zazaplecze.

– Ciepło tam?

Mam wrażenie, że się ucieszył.

– Tttak.

– Już jadę. Nie ruszaj się stamtąd. Znajdziemy cię, zrozumiałaś?

– Mhm. – Kiwam głową.

– Nie wyładuje ci się bateria?

Rzucam okiem na ekran i widzę, że jest prawie na wyczerpaniu.

– Zozostała jjjedna kkkreska.

– To teraz się rozłączmy. Przyda się na później – mówi zmartwiony. – Tylko nigdzie nie odchodź, dobrze? Już jadę – powtarza i wiem, że pewnie to dla niego gorsze niż dla mnie, bo on jest bezpieczny, a ja nie.

– Czeczekam. Dddo zozobaczenia...

– Zmarzłaś, słońce? – pyta nagle jakiś kobiecy głos tuż obok mnie.

Podskakuję ze strachu, zrywam się z kanapy i oglądam, kto to. Przez moment myślę, że dogoniła mnie tamta anielica Mocy, ale przecież ona nie zaczynałaby żadnych rozmów. Od razu by mnie zabiła.

– Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć, kochanie. Spokojnie, siadaj, nic ci nie zrobię.

Naprzeciwko siebie widzę uśmiechniętą starszą panią. Właściwie jest pewnie dopiero po pięćdziesiątce. Brązowe włosy poprzetykane siwizną ma upięte w kok. Jest ubrana jak pracownica restauracji. Czarna bluzka, a na niebieskich džinsach przewiązany krótki czarny fartuch z kieszeniami na notesy do zapisywania zamówień.

Patrzę na nią oniemiała. Znow łagodnie się uśmiecha i poklepuje miejsce obok siebie. Niczego bardziej nie chcę niż tam usiąść, bo nogi mi się trzęsą i robi mi się słabo.

– Jesteś aniołem – mówi i jest to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Przytakuję.

– Poznaję po skrzydłach. – Wskazuje moje szkarłatne pióra, których nie potrafię ukryć. – Rzadko miewamy takich gości – mówi z wesołym błyskiem w piwnych oczach, co mnie trochę uspokaja. – W ostatniej szafce z prawej strony powinien być koc. Weź sobie.

Korzystamy z niego, kiedy bierzemy podwójną zmianę, a przez jakiś czas nie ma nic do roboty i można się zdrzemnąć. Przy okazji, mam na imię Brenda.

Chwiejnie podchodzę do wskazanej szafki i znajduję na górnej półce złożony koc. Ściągam go, opatulam się nim. Pachnie frytkami, od czego znów burczy mi w brzuchu.

– Przypominasz mi moją córkę Jenny. Też tu pracuje i też nigdy nie ubiera się odpowiednio do pogody. Mówię, że nie powinna wychodzić bez kurtki, ale ona... jak to młodzi... – Brenda wzdycha tylko i bezradnie wzrusza ramionami. – Chodź, siadaj, zanim upadniesz, słońce.

Posuwa się, robiąc mi więcej miejsca. Ostrożnie przysiadam obok niej.

– Masz jakoś na imię? – pyta żartobliwie.

– Evie. – Otulam się szczelniej kocem.

– Ładnie – stwierdza. – Nigdy nie znałam żadnej Evie. Mój były mąż lubił imię Jenny... Myślę, że tak nazywała się jego dawna dziewczyna. Niezły był z niego wariat. – Brenda znów wzrusza ramionami. – Ale co tam. Mnie Jenny też się podoba. A ty masz jakiegoś byłego chłopaka?

– Nie – udaje mi się bąknąć bez szczekania zębami. Wreszcie zaczynam się rozgrzewać.

– To twój facet? Ten, który dzwonił?

Kiwam głową.

– Przyjedzie po ciebie? – rzuca z troską.

Znów potwierdzam.

– Dlaczego znalazłaś się tu sama w taką noc, jeśli wolno spytać?

Jest serdeczna, naprawdę się o mnie martwi.

– To właściwie przypadek. Po prostu stało się. – Co za ulga, że już nie szczękam zębami.

– Mam pewne problemy – dodaję szczerze.

– A kto ich nie ma, kochanie? – Popatruje na mnie ze zrozumieniem. – Czy ten twój chłopak to część problemu, czy raczej pomaga ci się z tym problemem uporać?

– Próbuje, ale... – urywam.

– Ale co? – Zdziwiona unosi brwi.

– Nie wiem, czy da radę. Może to ponad jego siły i on się przeze mnie za bardzo naraża.

Niesamowite, że tak się zwierzam obcej osobie. Łzy napływają mi do oczu. Przypominam sobie, jak Reed wysiadał z wagonika, żeby zmierzyć się z zabójcą, który witałby go z otwartymi ramionami, gdyby nie ja. To przeze mnie ma wrogów. Przeze mnie podejrzewają go o najgorsze.

– Nie wierzę, że to ty sprawiasz kłopoty – oponuje uprzejmie Brenda.

– Ale to prawda – szepczę. – Wiem, co powinnam zrobić, żeby go chronić, ale nie jestem pewna, czy się na to kiedykolwiek zdobędę.

– To znaczy?

– Powinam go zostawić. Ukryć się gdzieś, gdzie mnie nie znajdzie, żeby go nie narażać. Sam nigdy nie pozwoli mi odejść. Musiałabym od niego uciec – mówię bardzo cicho i na samą myśl o tym robi mi się słabo. Nie wiem, jak się z tego podniosę.

– Jak go rzucisz, to będzie dla niego lepiej?

Próbuje się upewnić, czy dobrze zrozumiała.

– Tak. Przynajmniej nie zginie. Ale nie wiem, czy to przeżyje.

Jeśli Reed choć w połowie czuje do mnie to, co ja do niego, może nie umrze, ale już nigdy nie będzie żył naprawdę.

– Słońce, nie znam dokładnie twojej sytuacji, ale jeśli chcesz mojej rady, starałabym się przygotować na każdą ewentualność. Może nie będziesz musiała podejmować tak trudnej, bolesnej decyzji, ale gdyby nadszedł dzień, kiedy nie da się jej uniknąć, lepiej mieć plan i trzymać się go, żeby ratować tego, kogo kochasz.

Wyciąga rękę, żeby pociesząco poklepać mnie po kolanie, ale czuję tylko dziwny chłód, gdy jej dłoń niczym cień przeslizguje się po mojej nodze. Gapię się na nią osłupiała.

– Próbowałam tak postępować, no wiesz, na końcu. Ale nie uprzedziłam Jenny o swoich planach i nie dowiedziała się o nich przed moją śmiercią – wyjaśnia. – Spisałam testament i zostawiłam jej dom, ale mój drugi mąż jej o tym nie powiedział. Zatrzymał dom, a jej kazał się wynosić.

Aż mnie zatyka, kiedy uświadamiam sobie, co mówi. Brenda to duch. Nie żyje. Jak mogłam tego nie poznać? Naprawdę muszę być nieprzytomna. Teraz obserwuję ją bacznie. Oczywiście to duch. Siedzę w ciemnościach i rozmawiam z kimś, kto w innym przypadku by mnie nie widział. Zorientowała się, że jestem aniołem, ale nie zrobiło to na niej większego wrażenia. Pewnie widywała takie istoty już przedtem.

– Nie zorientowałaś się, że nie żyję, co, kochanie?

Kręcę głową.

– Jesteś tam nowa? – pyta ze współczuciem.

Tym razem potwierdzam.

– Masz gdzieś kopię tamtego testamentu? – rzucam, starając się otrząsnąć z szoku.

– Tak. Nie ufałam mężowi po tym, co przeszłam z pierwszym. Miałam drugi egzemplarz. Schowałam go w swojej szafce tutaj, w tym pokoju. – Nerwowo wskazuje na jedną z szafek w rogu. – Nie znaleźli go, kiedy ją opróżniali, bo utknął za półkami. Teraz trzyma tam swoje rzeczy Crystal. Zamyka ją na kłódkę. Pewnie nie uda ci się otworzyć – dodaje zrezygowana.

Wstaję z kanapy i powłócząc kocem, podchodzę do wskazanej szafki. Kłódka ma szyfr.

– Znasz numery? – pytam.

Z żalem kręci głową.

– No trudno, Crystal chyba będzie musiała wybrać się do sklepu po nową. – Pociągam. Zatrząsk puszcza, nie stawiając większego oporu.

Otwieram dłoń. Resztki kłódki wyglądają żałośnie. Uśmiecham się lekko. Naprawdę zrobiłam się silna. Otwieram szafkę i sięgam do środka. Po chwili udaje mi się wymacać róg

jakiejs kartki. Ostrożnie ją wyciągam, żeby nie podrzeć. Widzę, że to dokument potwierdzony notarialnie, ostatnia wola Brendy Wilson.

– Która szafka należy do Jenny?

Brenda wskazuje mi tę kawalek dalej.

– Powinniśmy coś dopisać? – Rozglądam się za długopisem; jest kilka w plastikowym kubku na stole.

Odwracam kartkę z testamentem i wyczekująco patrzę na Brendę, która obserwuje mnie w napięciu. Czekam, aż coś mi podyktuje.

– Napisz, proszę: Kochana Jenny, mama kocha cię, zawsze, od pierwszego dnia, kiedy się pojawiłaś. Na tym świecie i tym drugim.

Kończę pisać, podchodzę do szafki dziewczyny i wsuwam kartkę przez szczelinę nad drzwiczkami. Oglądam się na Brendę.

– Dziękuję – mówi z promiennym uśmiechem.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Niech cię Bóg błogosławi, Evie – szepcze. – Teraz muszę już iść. Wzywają mnie.

Słyszę jakieś chóralne szepty w języku anielskim. Ich melodyjny słodki rytm sprawia, że robi mi się lekko na duszy, jakbym unosiła się na falach tych dźwięków. Kusi mnie, żeby podążyć za tą muzyką, ale ona jest wszędzie wokół mnie, spowija mnie swoim łagodnym brzmieniem.

Postać Brendy to pojawia się, to znika, jak obraz z zacinającej się w projektorze taśmy filmowej. Na moment rozbłyśka i zaraz się rozmywa. Jej ciało z przodu wygląda zwyczajnie, ale kiedy przechyliłam głowę, orientuję się, że jest płaskie, już nie trójwymiarowe. Jej rysy się zacierają, ale sylwetka pozostaje, tak jakby utkana z gwiazd i galaktyk wirujących i migających w ciemności, niczym nocne niebo o kształcie, który dawniej należał do Brendy. Powoli wygasa, niknie i pozostaje tylko ciemność. Zapada cisza, ale w powietrzu czuję jeszcze ten zapach, jak po gwałtownej burzy. Świeży, dodający energii, niczym wiosenny wieczorny powiew.

Już nie słyszę tej pięknej melodii, od której rozpięła mnie radość. Teraz ogarnia mnie przygnębienie, czarna rozpacz. Doświadczylam odrobiny tego, co inni nazywają rajem, a poczucie utraty sprawia, że serce mi krwawi. Jakże muszę być pospolita i niechciana, że porzucono mnie tu jak jakiś śmieć.

– Evie? – W progu stoi Reed.

Chcę coś odpowiedzieć, ale z żalu aż brak mi tchu. Zdumiona uświadamiam sobie, że leżę na podłodze i patrzę w sufit.

– Evie...? – Bierze mnie na rękę.

– Czujesz to, Reed? – pyta ponuro Zefir, węsząc w powietrzu. – Pachnie transcendencją. Czy to możliwe?

– Z Evie wszystko jest możliwe. Przyniósłbyś wodę i trochę cukru? – prosi Reed też wyraźnie przygnębiony. Sadza mnie na kanapie i podnosi mi głowę, żeby zajrzeć w oczy.

W kilka sekund Zefir jest już z powrotem ze szklanką wody i cukiernicą.

– Ile tego cukru? – Dosypuje hojną ręką.

– Wystarczy. – Reed przystawia mi szklankę do ust. – Wypij to, Evie.

Trochę się bronię. Czuję się bezradna. Chciałabym tylko, żeby zostawili mnie w spokoju. Może jak zamarznię, powrócą tamte cudowne głosy, żeby mnie zabrać.

– Musisz to wypić, kochanie – nalega, zanim odzywa się do mnie w tym pięknym języku, który zna tak dobrze. Odwracam się do niego i piję posłuszenie ze szklanki, którą podnosi mi do ust. – Tak, świetnie, do dna – zachęca.

Kiedy kończę, znów bierze mnie na ręce i w jednej chwili jesteśmy na zewnątrz, pod rozgwieżdżonym niebem. Reed ostrożnie sadza mnie na przednim fotelu w aucie i przypina pasem. Z wentylacji leci ciepłe powietrze. Cały nawiew jest skierowany na mnie. Reed naradza się szybko z Zefirem, który zaraz wsiada do samochodu z Buns zaparkowanego tuż za nami. Zanim się spostrzegam, jesteśmy już poza miastem. Pędzimy tak prędko, jak tylko się da, z wyłączonymi światłami, żeby nas nikt nie zauważył.

Czuję na sobie wzrok Reeda. Patrzę na niego, kładąc na jego ręce swoją dłoń. Bierze ją, ściska, podnosi do ust i mocno całuje.

– Czy w tamtym pokoju jakaś dusza odeszła do wieczności? – Wpatruje się we mnie, z napięciem czekając na odpowiedź.

Kiwam głową. Na moment zamyka oczy.

– Jak to się stało? – pyta, a ja wzruszam ramionami. – Evie, nie jest łatwo być świadkiem takiego przejścia. Kosiarze są tacy radośni i żywiołowi, żeby wytrzymać poczucie straty, kiedy nie dane jest im podążyć za duszą, która odchodzi w zaświaty. Ty znalazłaś się zbyt blisko tego. To jak patrzeć w otwierającą się czarną dziurę, ona wciąga, wysysa z ciebie energię. Było ci smutno?

Muszę uciec wzrokiem, żeby nie widział, jak bardzo jestem zdruzgotana tym, że nie pozwolono mi wejść do krainy szczęśliwości, do której zajrzałam. Kiwam głową, bo nie potrafię się zdobyć na słowa.

– Nawet ja czułbym smutek, gdybym tam był. Masz wrażenie, że cię porzucono, uznano za niegodną wezwania. To normalne. Ale to jeszcze nie twój czas, żeby odejść... Po prostu. I błogosławię ten fakt – przyznaje.

Znów popatruję na niego w milczeniu.

– Jasne, to samolubne z mojej strony, ale przyznam, nie wiem, co bym zrobił, gdybyś dzisiaj odeszła.

Widzę, jak mocno ściska kierownicę, tak jakby naprawdę było mu wstyd, że tak do tego podchodzi. Odpinam pas, przysuwam się do Reeda i delikatnie całuję go w policzek. Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

– Nie chcę się nigdzie wybierać bez ciebie – mówię szczerze.

Ale mam wyrzuty sumienia, bo zdaję sobie sprawę, że gdybym odeszła z Brendą, to pewnie byłoby to dla niego najlepsze. Już nie groziłyby mu niebezpieczeństwa, no w każdym

razie nie bardziej niż zwykle, kiedy walczy z Upadłymi. Nie miałby przeciwko sobie Boskich aniołów na dodatek.

– To dobrze – stwierdza z ulgą. – A czego chcesz? – pyta poważnie.

– Ciebie i porcji frytek – odpowiadam równie serio, bo w brzuchu mi straszliwie burczy. – I jeszcze koktajlu czekoladowego.

Pragnę jednak o wiele, wiele więcej. Żeby Reed był bezpieczny. I żeby mnie też nic nie groziło. Chciałabym mieć chatkę w lesie z Reedem, może nawet dzieci, i życie przed sobą albo wieczność, i żeby Zefir i Buns, i Brownie zawsze byli z nami, podobnie jak... Russell. A teraz, kiedy zaznałam raj, tego też rozpaczliwie pragnę. Ale gdybym musiała wybrać tylko jedno, wybrałabym Reeda.

Moja odpowiedź jest tak zaskakująca, że Reed zaczyna się śmiać.

– Jesteś głodna?

Kiwam głową. Wyciąga z kieszeni moją komórkę i dzwoni.

– Musimy zrobić nieplanowany postój... Frytki... – rzuca.

– I koktajl czekoladowy – przypominam.

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– I koktajl czekoladowy. Zamówisz sobie, co tylko chcesz – obiecuje.

Znajdujemy bar szybkiej obsługi. Reed przystaje, kiedy Zefir z Buns podjeżdżają do okienka dla kierowców. Z anielską przesadą Zee kupuje mi więcej, niż prosiłam. Przynosi różne burgery, kanapki, ciastka i sześć dużych porcji frytek. Dostaję też swój wymarzony koktajl, za co jestem naprawdę wdzięczna. Nie czekamy z odjazdem, ruszamy natychmiast, kiedy tylko Zefir wsiada do drugiego auta. Proponuję Reedowi frytki. Przypatruje się im nieufnie, zanim bierze parę i zjada.

– Dokąd jedziemy? – pytam, bo jestem raczej pewna, że nie zamierzamy wnieść toastu szampanem w schronisku.

– Do domu.

– Czy to dobry pomysł? – Dziwię się, a na wspomnienie wrogiej anielicy, która groziła, że wyrwie mi serce, przebiega mnie dreszcz.

– Nie wiedzą, kim jesteśmy. Zefir i ja wszystko zaplanowaliśmy. Nie używaliśmy kart ani prawdziwych dokumentów. Płaciliśmy tylko gotówką i podaliśmy fałszywe nazwiska.

Myślę o tym przez moment i o tym, co zdarzyło się na wzgórzu. Reed jakoś dziwnie unika tego tematu. Pogryzam frytki, obserwując go.

– Co to jest „Nefilim”? – pytam po chwili.

Samochód trochę zwalnia. Reed musiał zdjąć nogę z gazu. Nie patrzy na mnie, ale prosto przed siebie, w ciemność, a krew odpływa mu z twarzy. Wydaje się wściekły.

– Coś ty powiedziała? – pyta cicho.

Przestaję żuć frytki i z trudem przełykam, bo przecież nie miałam nic złego na myśli, a najwyraźniej coś palnęłam. Milczę.

– Gdzie słyszałaś to słowo?

– Ta anielica Mocy tak mnie nazwała. A potem wołała, że wyrwie mi to złe serce – mówię z nadzieją, że to go jeszcze bardziej nie rozżłości.

– Anielica Mocy? Gonił cię ktoś taki?

Suniemy po drodze coraz wolniej. Dzwoni telefon, ale Reed najwyraźniej nie ma zamiaru odebrać. Zjeżdża na pobocze, hamuje.

Teraz naprawdę zaczynam się bać. On jest potwornie zdenerwowany, na swój spokojny sposób, więc i ja zaczynam odchodzić od zmysłów.

– Mhm – udaje mi się wybąkać. – Pewnie dlatego pobiegłam aż tak daleko. Nie chciałam, żeby wyrwała mi złe serce.

– Twoje serce nie jest złe! – ucina tak ostro, że aż się wzdrygam, zwłaszcza że nagle dostrzegam Zefira.

Staje tuż za oknem przy Reedzie i zagląda do środka.

Reed opuszcza szybę.

– Jakiś problem? – pyta Zee.

– Evie nie przebiegła tak po prostu tych stu pięćdziesięciu kilometrów. Polowali na nią – oznajmia opanowanym tonem Reed.

Zefir daje znak Buns i w jednej chwili oboje zajmują miejsca na tylnym siedzeniu w naszym aucie.

Oglądam się, żeby spojrzeć na przyjaciółkę, a ona rzuca mi się na szyję, żeby mnie uściskać, i dopiero po chwili puszcza.

– Jesteś niesamowita, skarbie. Sto pięćdziesiąt kilometrów na zimnie, przez śnieg, podziwiam cię, naprawdę.

– Ja też. Polowali na nią. Kto cię gonił? – pyta rzeczowo Zefir.

– Myślę, że anielica Mocy. Wyglądała na wojownika, ale wyraźnie rodzaju żeńskiego. Niech pomyślę. Atrakcyjna na swój sposób, tak jak te androgeniczne modelki. Krótkie ciemne włosy, orzechowe oczy, ciemnobrązowe skrzydła, niesamowicie silna. Wyrwała drzewo i rzuciła we mnie, jakby to był jakiś chwast – tłumaczę i przypominam sobie tamten świst, kiedy lecąca sosna kosiła las obok mnie. Reed aż jęknął, ale nie patrzy na mnie, tylko na wprost przed siebie, za szybę. – Nie da się powiedzieć, że rzuca jak dziewczyna – dodaję, żeby go trochę rozbawić.

Wcale się nie uśmiecha.

Buns wyraźnie blednie.

– Jak udało ci się uciec? – pyta oszołomiona.

– Biegłam i się nie zatrzymywałam. Wybierałam najgęstszy las, żeby trudno jej było wypatrzeć mnie z góry. Biegłam, aż wreszcie musiałam się zatrzymać. Bardzo zmarzłam.

– Ale jeśli nawet ją prześcignęłaś, co oczywiste, skoro dotarłaś do miasteczka, jakim cudem jeszcze żyjesz? – pyta Zefir.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – mówię zaskoczona.

– Przecież ona by nie zrezygnowała. Goniłaby cię i tropiła dalej. Co jeszcze było otwarte w miasteczku? – pyta opanowanym tonem Reed. – Zauważyłaś?

Staram się przypomnieć sobie, jak wchodziłam między zabudowania.

– Jakiś mały market, ale nie mogłam się zmusić, żeby tam wejść. – Spuszczam głowę, bo wstyd mi, że nie umiem opanować lęku przed takimi miejscami. – I chyba bar na rogu, taki w westernowym stylu, ale skrzydła nie chciały mi się schować, więc nie szłam między ludzi, zresztą bary i tawerny miały być zakazane.

– Ona nie zachowuje się jak zwyczajna ofiara – stwierdza nagle Zefir i uśmiecha się do mnie zachwycony.

– Tak. Szukalibyśmy jej w barze, pewni, że działa jak inne Upadłe. Ale tak nie jest, więc jeśli ta anielica Mocy trafiła do miasteczka, to w pierwszej kolejności musiała rzucić się do tamtego lokalu – domyśla się Reed. – Ten bar był blisko restauracji?

– Tyły baru chyba wychodziły na ten sam parking co restauracji. Każdy lokal miał swoją stronę placyku. – Staram się przypomnieć sobie układ zabudowań, ale nie pamiętam dokładnie, bo w tamtej chwili byłam rozkojarzona.

Reed obraca się do Buns.

– Myślisz, że anioł Mocy wyczuje odchodzącą duszę z takiej odległości?

– Skarbie, pomogłaś tamtemu duchowi, prawda? – pyta wyraźnie dumna ze mnie Buns. Przynajmniej, a ona odwraca się z powrotem do Reeda. – Czy anioł Mocy zaprzętałby sobie głowę czymś takim, kiedy poluje?

Zefir i Reed popatrują na siebie nawzajem i jednocześnie stwierdzają:

– Nie.

– To byłoby poniżej waszej godności, co? – rzuca zirytowana.

Obaj milczą. Można się tylko domyślać odpowiedzi.

– To jak, ryzykujemy? Może nas nie zauważyła i nie zwoła kumpli? Ilu ich było na tym wzgórzu? – dopytuje naburmuszona.

Pewnie złości ją lekceważący stosunek aniołów Mocy do aniołów śmierci.

Reed ignoruje jej zaczepny ton.

– Co najmniej siedmiu, kiedy dojechaliśmy tam z Evie. Trzymali się razem. Jeśli tamta skontaktowała się z nimi, będą wykonywać jej rozkazy, bo ona prowadzi akcję. Musimy działać tak, jakby widziała, że zabieramy Evie do auta i ruszamy. Załóżmy, że miała telefon i jest gotowa przelecieć za nami każdą odległość. Trzeba jechać dalej czymś innym. Jaki samochód byś wybrała, żeby uciec aniołowi, Evie? – Reed przygląda mi się ze swojego fotela.

Jestem zaskoczona, że radzi się mnie w sprawach strategii. Przecież to ich domena. Ale nie chcę go rozczarować, zastanawiam się więc nad opcjami. Jedna narzuca mi się jako najlepsza.

– Minivan.

– Co takiego? – prychnął Zefir, jakby nie dosłyszał.

– Zdobądź minivana – powtarzam.

– Dlaczego? – dziwi się, jakbym kazała mu skrać rowerek trzykołowy.

– Bo dla was jazda czymś takim jest nie do pomyślenia. To świetny kamuflaż – mówię.

– No tak, ale jeśli nas odkryją, nie mamy prawie żadnych szans na ucieczkę. To może okazać się śmiertelną pułapką. Będziemy zmuszeni podjąć walkę albo zginiemy – wyjaśnia i rozumiem, jaki to dla nich dylemat.

Tym razem nie walczyliby z Upadłymi, ale aniołami takimi jak oni sami. Jednak z jakiegoś powodu wiem, że mam rację i muszę bronić swojego zdania.

– Jesteście perfekcjonistami, robicie wszystko według waszych anielskich standardów i dlatego to się sprawdzi. Bo minivany to coś bardzo ludzkiego. Nigdy nie zwracacie na nie uwagi. Dla was życie człowieka to nudy na pudy, więc w takim aucie będziemy dla nich niewidzialni – wyjaśniam. Kilka miesięcy byłam z aniołami Mocy, więc to i owo już o nich wiem. – Jesteś naprawdę dobrym kierowcą, Zee, dasz sobie radę i może nawet ci się to spodoba.

Urywam, zanim mi się wymknie, że skoro matki mogą podwozić dzieciaki na zajęcia sportowe takim autem, to i on raz może spróbować. Bez przesady.

Reed wyciąga mapę.

– Spotkamy się tam za pół godziny. – Pokazuje jakiś punkt Zefirowi i dodaje: – Podpal auto. Zerwij tablice i zniszcz numery identyfikacyjne.

– Do zobaczenia za pół godziny, skarbie. – Buns jeszcze raz mnie przytula i znika z Zefirem w czarnym range roverze.

Reed włącza silnik i rusza. Stale popatruje w lusterko, czy ktoś nas nie śledzi.

Nie odzywam się. Rozmyślam, co oznacza „Nefilim”, że Reed tak gwałtownie na to zareagował. Kiedy rzucam okiem na jego profil, widzę, że nadal coś go niepokoi. Zaciska szczęki, palce wpijają się w kierownicę. Domyślam się, o co chodzi, ale nie wiem, jak z nim o tym rozmawiać.

– Nie wyjaśniłeś mi, co to znaczy „Nefilim” – mówię wreszcie cicho, kiedy jedzie pełnym gazem po pustym odcinku drogi.

– Nie musisz wiedzieć. – Sprawdza boczne lusterko, po czym popatruje na niebo przez przeszklony dach.

Ciężko wzdycham.

– Proszę...

– Nie jesteś Nefilimem, więc to nieważne – ucina surowo.

– No dobrze, nie jestem, ale co to znaczy? – pytam przymilnym tonem, bo nie chcę odpuścić.

Skoro ktoś tak mnie nazwał, to chcę przynajmniej wiedzieć, dlaczego powinnam czuć się urażona.

– Evie... – Teraz i Reed wzdycha. – Dlaczego tak się upierasz?

Nie ustępuje. Naprawdę nie chce o tym mówić. To musi być coś okropnego, myślę, widząc, jak pociera dłonią czoło. Milknę więc. Może nie czas, by drażnić temat. Może na razie wystarczy, żebyśmy przetrwali ten dzień, doczekali nowego roku. Zamykam oczy i dziękuję Bogu, bo nie chcę nic więcej. Jestem tu z Reedem, nic mu się nie stało i tylko to się liczy. Otwieram oczy. Reed przygląda mi się z niepokojem.

– Masz rację. Nie muszę natychmiast wszystkiego wiedzieć. Powinam być wdzięczna, że twój plan tak dobrze się sprawdził. – Czule kładę dłoń na jego ramieniu.

– O czym ty gadasz? W żadnym razie nie przewidywałem, że będziesz ścigana przez anielicę Mocy, zdana na samą siebie – stwierdza sucho. – Przegapiłem ją i nie rozumiem, jak to się mogło stać. Żyjesz nie dlatego, że przyszedłem z pomocą, ale dzięki temu, że jesteś nieprawdopodobnie szybka, sprytna i dzielna, i... nieprzewidywalna, co nas myli – dodaje ze złością.

– Reed, w Ames nie wstałam z podłogi sama. Ty mnie podniosłeś. Gdyby nie ty, nadal bym tam była i ona wcześniej czy później by mnie znalazła. Zresztą już tam na wzgórzu weszłabym prosto na nich, gdyby nie ty. To byłby koniec. Zastanów się, gdyby nie ty, człowiek-cień by mnie zabił i Alfred miałby teraz nową błyszczącą duszyczkę do zabawy. Wymieniać dalej? – Myślę też o tym, jak chciał mnie porwać Sebastian. – Wszystko zawdzięczam tobie. Spróbuj spojrzeć na to z tej perspektywy.

– Jakiej tam perspektywy? – odparowuje zniecierpliwiony.

– Może po prostu powinieneś cieszyć się, że możemy tak teraz rozmawiać. Ja się cieszę. Jestem szczęśliwa, że cię widzę, że mogę cię dotknąć. – Kładę dłoń na jego szyi. – Mam znów szansę z tobą pobyc. Wiem, że to samolubne, bo kiedy z tobą jestem, stajesz się celem ataku jak ja. Wstyd mi za siebie, ale nie potrafię przestać cię pragnąć.

Reed skręca gwałtownie na pusty parking przy drodze i zatrzymuje samochód. Odpina mi pasy i bez trudu wciąga mnie sobie na kolana.

– Tak, to wielkie szczęście – szepcze mi w usta, zanim z niepohamowaną namiętnością wpija w nie wargi.

Przywieram do niego mocno, obejmując go udami. Reed sięga za mnie, wyrywa kierownicę z deski rozdzielczej i ciska ją na tylne siedzenie.

Pociąga klamkę drzwi po swojej stronie i zgniata ją w dłoni. Przyciskam usta do jego szyi, a potem wędruję nimi do koniuszka ucha i leciutko je gryzę. Moje palce wbijają się w jego talię, kiedy próbuję przygarnąć go do siebie jeszcze bliżej.

– Kocham cię – szepczę mu do ucha i słyszę, jak pojękuje niczym w nieznośnej męce, kiedy sięga za fotel obok i wyrywa go z mocowań.

– Ja ciebie też, Evie, jesteś moja – mówi takim głosem, jakby stracił kontrolę nad sobą, co w zasadzie nigdy mu się nie zdarza.

Nie zwracam uwagi na to, jak demoluje auto, tylko dalej go całuję. Podnosi dłoń i popycha dach. Szyba pęka – do środka razem z kaskadą okruchów szkła wpada zimne powietrze.

– Na zawsze – dodają cicho.

Zaciska zęby i popycha jedną ręką drzwi od swojej strony. Wyskakują z zawiasów i lecą na ziemię. Natychmiast jest już na zewnątrz, z szeroko rozpostartymi skrzydłami.

Siedzę na jego miejscu. Patrzę przez chwilę, jak chodzi tam i z powrotem, starając się opanować. Jest niesamowity, z tą nagą piersią i kruczocarnymi potężnymi skrzydłami, w pełnej krasie. Nie sądziłam, że to możliwe, ale teraz pragnę go jeszcze bardziej. Tak zmysłowo się porusza, jak pantera w klatce, szukająca drogi ucieczki. Odwracam się od niego, żeby się pozbierać. Opieram dłoń na dźwigni automatycznej skrzyni biegów pośrodku. Sfrustrowana ściskam ją mocno i pociągam.

Reed obserwuje mnie. W jego oczach nadal czai się to mroczne pożądanie.

– Evie, nie rób tego – prosi cicho.

– Czemu? Przecież i tak już zniszczyłeś to auto – odpowiadam zaskoczona. Plastik w mojej dłoni kruszy się na kawałki.

– Bo próbuję się uspokoić, a to takie... podniecające, że jeszcze bardziej cię chcę.

– Poważnie? – Uśmiecham się gorzko. Powoli kiwa głową. – Ale ja naprawdę mam ochotę coś miażdżyć.

– Znam to uczucie. – Uśmiecha się lekko i spuszcza głowę. – Chcesz mi pomóc pozbyć się samochodu? – pyta już trochę bardziej normalnym tonem.

– A tak mi się podobał – wzdycham z żalem, patrząc na fotel pasażera odrzucony do tyłu.

– Kupię ci inny. Tym razem możesz nawet sama sobie wybrać – zapewnia szybko, jakbym była rozkapryszonym dzieckiem, które trzeba uspokoić.

Nie chcę go martwić.

– Nie ma sprawy. Tylko trochę mi przykro. Jest taki ładny i nowy.

Wysiadam i opieram rękę na wsporniku po wyrwanych drzwiach.

– Jak oceniasz moją siłę? – pytam, gdy wyciąga niektóre nasze rzeczy z bagażnika, a potem zrywa tablice i kładzie na walizkach.

– Dobre pytanie... – Sięga w głąb kabiny i odblokowuje maskę silnika.

Jest tak blisko. Bezwiednie nachyliłam się do niego, jakby przyciągał mnie jakiś magnes.

Reed w skupieniu usuwa numery identyfikacyjne samochodu, nawet te, o których istnieniu zwykle nie ma się pojęcia. Kiedy kończy, cofa się, łapie obiema dłońmi za maskę i pochyla głowę. Jego mięśnie naprężają się mocno pod gładką idealną skórą. Jak można mu się oprzeć?

Czuję tak wielkie pożądanie, że nie wiem już, co robić. Popycham samochód z całych sił, dwa koła po mojej stronie się unoszą. Mocno zapieram się stopami i po chwili auto leży już na dachu, jak odwrócony żółw na skorupie. Kiedy to też nie przynosi mi ulgi, biorę zamach nogą i kopię swój piękny wóz.

Coś mnie napada, nie mogę się opanować.

– Chcę! – krzyczę, kopiąc stalową karoserię range rovera. Potrzebuję, tęsknię, pragnę, jestem tu, istnieję. Mam do tego prawo, wołam w duchu. – Niech no tylko ona tu się pojawi!

– Nadal walę rękami w auto. – Niech mnie znajdzie, a już ja się postaram, żeby poczuła taki ból jak ja. Chciałabym mieć siłę, by wyrwać drzewo i nim rzucić. Łamać gałęzie i przebijać nimi jej serce. Zniszczę każdego, kto chciałby mnie z tobą rozdzielić. Rozniosę ich, przysięgam. – Odwracam się do Reeda, który patrzy na mnie w milczeniu. Moje skrzydła widoczne w całej okazałości poruszają się szybko, a ja aż dyszę z wysiłku, łomocąc w blachę gołymi pięściami.

– Kiedy myślę, że nie mógłbym już pragnąć cię bardziej, podnosisz poprzeczkę jeszcze wyżej – stwierdza Reed, wpatrując się we mnie. – Nie rób już tego więcej, bo nie wiem, czy wytrzymam.

– Lubisz mściwe anioły? – pytam zaintrygowana, bo przecież nie może chodzić tylko o mnie.

– Mhm – przyznaje zboląły.

– Dlaczego?

– Już wcześniej cię pragnąłem za to, jaka jesteś, taka inteligentna, dzielna, delikatna i piękna. Ale teraz masz też w sobie moc i siłę. Niebezpieczeństwo, twoje imię to Evie. Jesteś jak marzenie i chciałbym tylko... – urywa.

– Chciałbyś tylko co?

– Zawsze być z tobą – odpowiada, a potem odwraca się w stronę drogi, bo słychać, jak do parkingu zbliża się jakiś samochód.

Podjeżdża do nas minivan. Obluzowana rura wydechowa grzechocze, kiedy koło wpada w małą wyrwę w asfalcie. Zefir ma okropnie ponurą minę, za to Buns robi wrażenie, jakby się świetnie bawiła. Wyskakuje z auta i rzuca się mnie ucałować.

– Szczęśliwego nowego roku, Evie!

Puszcza mnie, żeby z tej samej okazji uściskać Reeda. Na ten widok Zee wydaje niski pomruk. Buns zerka na mnie i robi wielkie oczy, podobnie jak ja. Zefir ją kocha!

Rozpromieniona odrywa się od Reeda i uśmiecha do mnie.

– Cóż, nie będziemy mieli prawdziwych fajerwerków, ale zawsze możemy sobie urządzić autoognisko. Gotowi? – Spogląda na nasz wóz, oceniając stopień zniszczenia. – Już sobie trochę poświętowaliście, co?

Reed pakuje na tył minivana nasze walizki, tablice i numery. Chwilę potem wraca do range rovera i wyrzywa przewód paliwowy – benzyna ścieka na wrak.

– Evie, ty już wsiadaj do vana – wydaje polecenie.

Odsuwając drzwi, widzę, jak Zefir z niesmakiem zrywa hawajski wianek ze sztucznych kwiatków wiszący przy lusterku i wyrzuca przez okno obok siebie. Potem ciska w kierunku Reeda paczkę zapalek. Buns wsiada i zasuwa za sobą drzwi, a ja cofam się na kanapę za kierowcą. Czekamy. Reed zapala zapalną i rzuca ją na asfalt nieopodal range rovera. Płomień wędruje po cieczy, a Reed szybko wskakuje do nas i zamyka drzwi. Wyjeżdżamy z parkingu, kiedy auto z hukiem wybucha ogniem.

– Włącz światła i zwolnij, Zefir – mówi Reed, siadając obok mnie. – Nastaw tempomat, jeśli musisz, byle nie przekraczać dozwolonej szybkości, jedź jak człowiek.

Przewracam oczami, bo przecież ludzie też często jeżdżą za szybko.

Po dwudziestu minutach powieki same mi opadają, choć z całych sił staram się nie zasnąć. Jak przez mgłę słyszę, że Zefir mówi coś o zbliżającym się bmw. Ma wyłączone reflektory. Mija nas tak, jakbyśmy nie istnieli, nie zwalnia ani na chwilę. Anioły patrzą na mnie jak na jakiegoś jasnowidza. Gestem daję im znak „a nie mówiłam?” i przytulam się do Reeda. Delikatnie gładzi mnie po włosach. A potem nachyla się i szepcze mi do ucha:

– Co ty tak sobie nuczisz?

Nie zdawałam sobie sprawy, że podśpiewuję. Muszę się chwilę zastanowić.

– To coś, co grali w barze, obok którego przechodziłam. Nie znam tej piosenki, pewnie jest stara. Facet śpiewał coś o uciekaniu, żeby go nie dogonili... że stale już musi być w drodze... – mówię, starając się przypomnieć sobie słowa.

Reed obejmuje mnie mocniej.

– Nie zawsze tak będzie, Evie. Obiecuję – zapewnia, żeby mnie pocieszyć.

Kładę głowę na jego ramieniu.

– Na pewno. Masz rację – szepczę. – Przecież to nie może trwać wiecznie.

Rozdział 6

BRATNIE DUSZE

RUSSELL

Świat mi się zawalił. Dech mi zapiera, kiedy Evie jest tak blisko. Muszę się stąd wynosić. Nie ułatwia mi życia to, że nawet z tej odległości czuję jej perfumy – myślę, patrząc na Evie z fotela w bibliotece Reeda. Leży na kanapie z otwartą książką w dłoniach. Przerzuca kartki, jakby ją tylko przeglądała, ale wiem, że zapamiętuje każde słowo. Jej anielski umysł stale się doskonali. Jest taka zgrabna, przybrała pozę niczym kot. Pamiętam, jak trzymałem to doskonale nagie ciało w ramionach, choć nie w tym życiu, ale w poprzednich. No tak, sama myśl o „poprzednim życiu” powinna wystarczyć, by wątpić, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Jak ja przeżyję to, że ją utracę? Może gdybym na jakiś czas wyjechał, pobyl sam, zdołałbym się pozbierać. Albo gdyby Zee dał mi jeszcze większy wycisk, skupiłbym się chwilę na innym bólu – takim, z którym sobie poradzę.

– A ty, Russell, dokąd? Skończyłeś już to, co miałeś zrobić? – pyta Evie i uśmiecha się do mnie z kanapy. Przeciąga się, odchyła ręce do tyłu, wygina plecy i przyjmuje kolejną kuszącą pozę.

– Jeszcze nie, ale szósty czy siódmy raz czytam to samo zdanie i nic nie rozumiem, więc chyba muszę zrobić sobie przerwę. – Pakuję książki do torby.

– Czy zajęcia wydają ci się już coraz łatwiejsze? – pyta zaciekawiona.

Jesteśmy w połowie drugiego semestru w Crestwood, a ja nie mogę się doczekać końca. Studia zeszyły na drugi plan, stały się nieważne w porównaniu z tym wszystkim, co dzieje się w moim życiu. Właściwie studiowanie straciło dla mnie sens, ale jakoś ciągnę tę naukę, bo Evie czuje się z tym lepiej.

– Taaak, na matmie rozumiem wszystko, zanim jeszcze prof to wytłumaczy. A nigdy nie byłem w niej dobry. Wiedziałem, że będą też plusy tej całej sytuacji – silę się na żartobliwy ton.

Moje słowa wywołują jednak odwrotny skutek. Ściąga brwi. Pewnie czuje się winna, że teraz i ja ewoluuję w dziw natury, półaniola takiego jak ona.

– Hej, egzemplarzu numer jeden, przestań się zamartwiać o egzemplarz numer dwa. Radzę sobie. Patrz, nie muszę już nawet używać zatyczek do uszu. – Odwracam głowę. Chcę jej pokazać, że nauczyłem się bronić przed nadmiarem bodźców dźwiękowych, które wyłapuje mój wyostrzony słuch.

Zatyczki są mi teraz potrzebne wyłącznie wtedy, jak zaczynacie gadać z Reedem, ile dla siebie nawzajem znaczą. O tak, w takich sytuacjach bardzo się przydają – dopowiadam w duchu. Biorę torbę, żeby zanieść książki z powrotem do swojego pokoju. No w każdym razie tego, który tu zajmuję, póki nie dopadniemy Alfreda.

Ogarnia mnie wściekłość na myśl o tej gnidzie. Nie mogę się doczekać, kiedy moja ewolucja całkiem się zakończy, żeby móc zapolować na tego karalucha. Alfred! Chciałbym, żeby to mnie wpadł w ręce, żeby to ja go zabił, unicestwił na zawsze. Zefir wyjaśnił mi, jak to jest. Alfred uniknie piekła, jeśli dostanie, czego mu trzeba, czyli duszę Evie. A teraz wystarczyłoby mu moja, bo ja też zacząłem przeistaczać się w hybrydę, pół anioła, pół człowieka. Jednak on może nie zdawać sobie sprawy, że nadal żyję, więc pewnie znów zaatakuje Evie. Najwyraźniej spodobała mu się myśl, że może pojąć jej duszę. Kiedy tylko go złapiemy, odejdę. Nie będę tu tkwić i patrzeć, jak bardzo Evie i Reed pragną siebie nawzajem. Nie jestem w stanie tego znieść, bo odkąd o mało nie umarłem kilka miesięcy temu, wróciły mi dawne wspomnienia.

Co za męka! Przypominam sobie każde swoje życie z Evie. Jak ją poznawałem, jak pierwszy raz się całowaliśmy, i każdą z tych chwil, kiedy wreszcie pozwalała mi dotknąć tego swojego doskonałego ciała... Oczywiście w poprzednich egzystencjach nie zawsze była dziewczyną, więc staram się odpychać od siebie niektóre sceny, bo trudno to wszystko ogarnąć.

– Russell, opowiedziałbyś mi jeszcze jakąś historię? No wiesz, coś o nas? – Evie zamyka książkę i patrzy na mnie wyczekująco z tym seksownym uśmiechem, od którego aż mnie skręca.

– Miałem zamiar zajrzeć do Zee, może zechce mnie trochę potrenować. Muszę nauczyć się walczyć jak oni...

Jeśli zdołam przeżyć trening – dopowiadam w myśli, a Evie od razu to wyczuwa, bo czarujący uśmiech znika i po jej minie poznaję, że znowu ma wyrzuty sumienia.

– Nie jesteś jeszcze dość odporny, Russell. A jeśli Zee zrobi ci krzywdę? – Z niepokojem przygryza dolną wargę.

– No przecież poproszę, żeby obchodził się ze mną delikatnie, to chyba wystarczy?

Staram się lekko traktować fakt, że jeszcze nie mam skóry przypominającej zbroję jak to anioły. Dzięki niej wytrzymują wiele urazów, które zabiłyby człowieka.

– Zee nie za bardzo rozumie, co to znaczy „delikatnie” – stwierdza z przekąsem Evie.

– Zauważyłem – zgadzam się, pocierając brodę, bo Zefir złamał mi szczękę parę dni temu, kiedy próbował mnie uczyć, jak trzymać gardę. W kilka godzin wszystko się zagoiło, ale jakoś wydawało się, że i tak nie dość szybko.

– No, opowiedz mi o którymś z naszych wcieleń. Obiecuję, że potem dam ci na jakiś czas spokój – prosi.

Oczy jej błyszczą, nie może się doczekać kolejnej historii. Wie, że nie potrafię jej odmówić.

– No dobrze, ale tylko o jakimś jednym... – zaczynam, ale mi przerywa.

– O jednym, jeśli to będzie ładna historia. Nie opowiadaj mi takich jak ostatnio, że mieliśmy dziewięcioro dzieci, mieszkaliśmy w rybackiej chacie, a ja zginęłam na morzu i zostawiłam was na pastwę losu. Dziewięcioro dzieci... – Marszczy nos.

– To nie moja wina, że nigdy nie miałaś mnie dość. Jak sądzisz, jak się czułem, kiedy urodziłem ich tyle, a potem musiałem zejść się z wdowcem z sąsiedztwa, żeby je jakoś wykarmić po twojej śmierci – bronię się.

– Masz rację, przepraszam. Ale może opowiedziałbyś mi jakąś historię, w której nie było nam aż tak strasznie ciężko... coś weselszego, bez tylu cierpień – prosi z nadzieją. – O, i wybierz taką, w której jestem dziewczyną, bo jakoś trudno mi sobie wyobrazić siebie jako wysmaganego słonymi wiatrami żeglarza ze słabością do whisky... – Uśmiecha się nieco zażenowana.

– To było dopiero pod koniec, na początku naszej znajomości byłaś uroczym facetem i... – próbuję jej tłumaczyć.

– Russell! – Śmieje się, że tak jej bronię... czy jego... wszystko jedno.

– No dobrze, wezmę to pod uwagę... niech pomyślę... – Zastanawiam się nad różnymi wspomnieniami. Próbuję wybrać coś romantycznego, żeby była zadowolona. – Nie... nie, to było fajne, ale... no nie... nie... nie... no dobra, to... nie, jednak chyba nie... – mamrocę i dalej gorączkowo przerzucam wspomnienia.

– Co się stało, Russell? Coś nie tak?

– Mhm, po prostu zawsze pięknie się zaczyna, ale potem... no wiesz... jedno z nas umiera, bo takie jest życie albo takie było, bo teraz... sam nie wiem. Pewnie już nie umrzemy... przynajmniej nie śmiercią naturalną.

Dobrze, że jesteśmy w pokoju sami i nie muszę się obawiać, że ktoś nas podsłucha. Oczywiście, uznałby mnie co najwyżej za wariata, nic więcej, ale lepiej, że ta rozmowa pozostanie między nami. Nie licząc aniołów. One zawsze wiedzą, o czym mówię.

– No dobrze, chyba znalazłem jedną, która ci się spodoba. Byłaś prześliczną dziewczyną... miałaś na imię Aoibhe, co po gaelicku znaczy „piękna”, więc dobrze się złożyło, że naprawdę byłaś taka ładna, bo inaczej bardzo by ci dokuczali. Mieszkałaś w górach w Szkocji w roku Pańskim tysiąc sto czterdziestym siódmym... eee... w każdym razie wtedy tam cię poznałem. To działo się za czasów panowania króla Dawida I, w Szkocji budowano liczne opactwa, więc nie brakowało pracy dla utalentowanych ludzi, takich jak twój ojczulek.

– Fajnie to powiedziałeś: „ojczulek”, zupełnie jakbyś żył w tamtych czasach – zauważyła.

– Przecież żyłem, Ruda... i ty też. To wspomnienia, nie bajka – zaznaczam, lekko zawiedziony, bo widzę, że nadal nie przyjmuje do wiadomości, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

– Masz rację, przepraszam... ale zabrzmiało to tak, jakbyś na chwilę stał się dwunastowiecznym Szkotem, jakby to działo się teraz. Znasz gaelicki?

– No chyba. W każdym razie ten średniowieczny. Ale zaraz, na czym to ja stanąłem?... Pochodziłaś z rodu Campbellów, słynnego klanu z samego środka górzystych terenów Szkocji. Ja z Duncanów. Nic ci to nie mówi, ale to był zamożny ród z nizin. Jako trzecie dziecko bogatych rodziców zostałem wysłany do rodziny mojej matki. Należeli do niej także Campbellowie. Wiesz już, dokąd zmierzamy? – pytam, widząc, jak na jej zmysłowych ustach pojawia się lekki uśmiech.

– Jak to wysłany?

– Do innego klanu. Służyłem jako giermek, żeby uczyć się walczyć i z czasem zostać rycerzem – wyjaśniam.

– Byłeś rycerzem? – W jej oczach pojawia się błysk, a kąciki ust lekko się unoszą. – Takim w błyszczącej zbroi?

– Nie, wtedy zbroje były inne, nie błyszczące, nie było w nich za dużo metalu – odpowiadam sam trochę ubawiony. – Bardziej przypominaliśmy żołnierzy.

Kręci głową, trudno jej to sobie wszystko wyobrazić.

– I jak się poznaliśmy?

– Zaraz do tego dojdę, chwila... No tak, wysłano mnie do Campbellów w górach, kiedy miałem jakieś szesnaście lat. Nie byłem z tego specjalnie zadowolony, bo zostawiałem w rodzinnych stronach dziewczynę, którą, jak mi się wtedy zdawało, kochałem. Była bardzo ładna, ale nie tak jak ty. Ty przypominałaś siebie teraz, tylko miałaś jeszcze bardziej ognistorude włosy, a oczy bardziej niebieskie niż szare. I więcej piegów, bo nie słuchałaś taty, kiedy upominał cię, żebyś osłaniała głowę podwijką. Byłaś małą dzikuską. Ale nie od razu tak pięknie wyglądałaś. Poznałem cię, kiedy miałaś tylko dwanaście lat.

– Russell! Co ty, uwodziłeś dwunastoletnią dziewczynkę? – Evie jest najwyraźniej zgorzowana.

– Ja się za tobą nie uganiałem! To ty zagięłaś na mnie parol! Nie mogłem się od ciebie opędzić. Wiecznie za mną łąziłaś... zawsze coś dla mnie robiłaś i zmuszałaś mnie, żebym to od ciebie przyjął. Omal szalu nie dostałem. – Aż śmiać mi się chce na wspomnienie jej jako tamtej dwunastolatki.

– No dobrze... to trochę łatwiej zrozumieć – stwierdza z ulgą. – A co to takiego podwijka?

– Chusta, która okrywała włosy i którą przytrzymywało się metalową przepaską, takim wiankiem. – Po wyrazie jej twarzy widzę, że stara się wyobrazić sobie to nakrycie głowy.

– Ciekawe. No dobrze, opowiadaj dalej. – Uśmiecha się.

– I pewnego dnia postawiłem sprawy jasno. Powiedziałem ci, żebyś przestała się za mną włościć i że już na pewno nic od ciebie nie przyjmę. Wszyscy moi kumple widzieli twoje zaloty, no wiesz, i to mnie strasznie krępowało. Umilkłaś, a po dłuższej chwili powiedziałaś: „Ale ja ciebie kocham”. A ja, jak to podły szesnastolatek, odparłem, że nigdy nie odwzajemnię twoich uczuć – opowiadam szczerze i ze zdziwieniem widzę, że Evie patrzy na mnie jak na jakiegoś ogra.

– No nie, nie powiedziałaś czegoś takiego dwunastolatce! Byłbyś bez serca! – mówi z wyrzutem.

– Ależ powiedziałem, jak najbardziej. A wiesz, co ty na to, Aoibhe? „Leandrze Duncanie”, bo tak wtedy miałem na imię, Leander, „dobrze, nie dam ci już nic więcej, póki mi nie wyjawisz, że mnie miłujesz”. Uciekłaś i więcej się do mnie nie odezwałaś – wyznaję cicho, przypominając sobie tamtą zacierzewaną śliczną dziewczynkę.

– I co się potem stało? – ponagla Evie, kiedy przez chwilę milczę.

– No, minęło parę lat, odjechałem do domu, do rodziny, więc kiedy cię znów zobaczyłem, miałaś szesnaście lat czy coś koło tego i, o mój Boże, byłaś najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem. – Uśmiecham się ze smutkiem, gdy robi triumfalną minę.

– Cha, cha, dobrze ci tak, Leandrze! Opowiedz mi wszystko ze szczegółami!

– Zgoda. Wybrałem się z mamą w odwiedziny do jej kuzynów, na coś w rodzaju zjazdu klanu Campbellów, jak to było wówczas w zwyczaju. Zobaczyłem ciebie z twoim tatą, który, co istotne, był kowalem i miał bicepsy grubości moich ud. Wyglądał wręcz nieprawdopodobnie groźnie – ciągnę. – I był wyższy niż ja teraz. Możesz sobie wyobrazić. Nikt by mi nie zarzucił tchórzostwa, ale twój ojczulek naprawdę robił piorunujące wrażenie. – Patrzę, jak Evie stara się poukładać sobie w głowie tamte sceny. – W każdym razie pojawiłaś się ze swoim tatą, a kiedy tylko mnie dostrzegłaś, zrobiłaś taką minę, jakbyś spróbowała zepsutej baraniej wątróbki albo czegoś w tym stylu. Pobladłaś, zacisnęłaś zęby i unikałaś mojego wzroku.

– I co zrobił Leander? – Evie siada na kanapie.

– No, przez jakiś czas tylko się na ciebie gapiłem. Zresztą wszyscy młodzieńcy ci się przypatrywali. Każdy taniec tańczyłaś z innym kawalerem, ale wydawało się, że żaden cię specjalnie nie zainteresował. Uznałem więc, że zaryzykuję i też poproszę cię do tańca. Ale kiedy to zrobiłem, odmówiłaś. Tak po prostu. Bez wyjaśnienia. Zapytałem: „Zatańczymy?”, a ty powiedziałaś: „Nie”. I ruszyłaś w tany z następnym młodzieńcem, który do ciebie podszedł. – Widzę, jak błyszczą jej oczy, kiedy opowiadam to, co zapamiętałem. – Podczas kolacji siedziałem z kilkoma kolegami, panny podawały tace z jedzeniem. Ty niosłaś chleb do mojego stołu, ale kiedy doszłaś do mnie, ominęłaś mnie, potraktowałaś jak powietrze. Dałem ci znak, że mnie przeoczyłaś, a wtedy wiesz, co powiedziałaś? – Śmieję się na samo wspomnienie.

– Nie, a co powiedziałam? – Evie unosi brew.

– Dobrze cię widzę, Leandrze, ale nie proponowałam ci chleba, bo mówiłaś, że już nigdy nic ode mnie nie przyjmiesz. Poza tym wiesz co? Ja już nigdy nic ci nie dam.

– Brawo dla mnie! – śmieje się Evie. – No i co ty na to?

– No, w końcu rzuciłaś rękawicę, prawda? – Zacieram dłonie na wspomnienie, co zrobiłem potem. – Musiałem się przekonać, jak bardzo jesteś uparta, więc na początek zacząłem przychodzić z kwiatami. Nie miałaś skrupułów, żeby mnie z nimi odprawiać. Potem zafundowałem ci chustę na włosy. Ten prezent też odrzuciłaś. To przyniosłem trzewiki z koźlącej skóry. Nie chciałaś ich przyjąć, więc doszedłem do wniosku, że nie dasz się przekupić – podsumowuję.

– To w takim razie co? – pyta zaciekawiona.

– No, musiałem wymyślić jakiś fortel. Śledziłem cię, kiedy wybrałaś się do siostry w sąsiednim miasteczku. Weszłaś do jej domu, a ja spłoszyłem twojego konia i czekałem, aż wyjdiesz – przyznaję ze spuszczoną głową, trochę zawstydzony tym, co zrobiłem ponad osiemset lat temu.

– Russell! – woła oburzona.

– Wiem, to okropne. Ale doprowadziłaś mnie do rozpaczony tym swoim uporem. W każdym razie jak wyszłaś, udałem, że jestem zaskoczony twoim widokiem. Zaproponowałem, że cię odwożę, ale nie chciałaś. Musiałem więc zsiąść z konia i iść za tobą przez całą drogę powrotną. Miałem straszne wyrzuty sumienia, że zrobiłem ci coś takiego. Później wyjawiałaś, że od razu się połapałaś, dlatego specjalnie szłaś bardzo wolno, żeby mnie ukarać. – Uśmiecham się. – Taka byłaś złośliwa!

– Ja złośliwa? Przecież to ty pogoniłeś mojego konia – protestuje ze śmiechem.

– W każdym razie wtedy tak za tobą szalałem, że nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca. Już wcześniej nieraz wydawało mi się, że jestem zakochany, ale żadne z tamtych uczuć nie mogło się równać z tym, co czułem do ciebie. Weź więc pod uwagę, że byłem zdesperowany. Może lepiej oszczędźmy sobie dalszego ciągu tej historii. – Wstaję, podnoszę torbę.

– A ty dokąd? Nie puszczę cię, póki nie powiesz, co mi zrobiłeś! – Chwyta jedną z poduszek z kanapy i rzuca we mnie.

Bez trudu łapię poduchę i przytulam do siebie. Wdychając ślad perfum Evie na materiale, z powrotem siadam w fotelu.

– No dobrze, ale pamiętaj, tamten facet był zdesperowany. Zakochany w tobie bez pamięci. I na próżno szukał sposobu, żebyś przestała się od niego odwracać. Pojechałem więc za tobą nad jezioro, gdzie prałyście ubrania, potem inne dziewczyny sobie poszły, a ty zostałaś, żeby umyć włosy. Miałaś na sobie tylko płócienną koszulę, która, jak namoknie, nie pozostawia nic wyobraźni. A ja zabrałem ci wełnianą suknię, którą zostawiłaś na brzegu, i usiadłem z nią pod drzewem. Czekałem... – opowiadam, bawiąc się rogiem poduszki.

– I co, i co się stało, jak się zorientowałam? – dopytuje niecierpliwie.

– O, wypadłaś z wody jak burza. Podparłaś się pod boki, rzuciłaś mi pełne pogardy spojrzenie i ruszyłaś do domu. Przeparadowałaś w mokrej koszuli przez środek miasteczka, gdybym ci nie zagroził drogi. – Uśmiecham się. – Choć fajnie było patrzeć na ciebie od tyłu... – dodaję i zręcznie łapię kolejny pocisk w postaci poduszki. – W każdym razie powiedziałem, że musisz wziąć ode mnie sukienkę, zanim ktoś cię zobaczy. A ty na to: „Nigdy nic od ciebie nie przyjmę, wolę już przejść goła przez miasteczko”. Na co ja: „Przecież cię kocham”. – Na chwilę milknę, by spojrzeć na Evie. Patrzy na mnie, wsłuchując się w każde słowo. – A ty na to: „Dobry Boże... nareszcie! Już myślałam, że będę musiała iść przez miasteczko oblepiona mokrą kiecką, a ty za nic mi tego nie powiesz”. – Uśmiecham się smutno. – A potem, no, pocałowałaś mnie... i to było takie słodkie i niewinne, i podniecające zarazem.

– I Aoibhe wyszła za Leandra? – pyta cicho, zagryzając dolną wargę.

– Taaak – wzdycham, bo znów dystansuje się od moich wspomnień, traktuje je jak jakąś bajkę. – Już nawet kazałaś ojczulkowi zrobić obrączki. Czekałaś tylko, kiedy wypowiem te słowa: „Kocham cię”. Zawsze wyprzedzałaś mnie o krok. – Zbieram się do wyjścia.

– I co się potem stało z Aoibhe i Leandrem?

Przystaję przy drzwiach, niepewny, czy powinienem jej to mówić.

– Kilka lat po naszym ślubie ciężko zachorowałem. Zaraza gardła. Błagałem, żebyś mnie zostawiła i wróciła do ojca, ale byłaś uparta, nie chciałaś słuchać. Pielęgnowałaś mnie. Ja zacząłem wracać do sił, ale wtedy ty... zachorowałaś... i nie wyzdrowiałaś – ledwo dopowiadam, bo ściska mnie w gardle, kiedy przypominam sobie, jak Aoibhe umierała w moich ramionach. Tamten smutek do dziś ciąży mi na sercu. – Widzisz, jaki powtarza się schemat, Ruda? – pytam z żalem. – Oddawałaś za mnie życie.

– Nie pamiętam, jak byłam Aoibhe.

– Wiem, ale ona jest... w tobie... Całowałem ją na plaży, a kilka miesięcy temu chciała oddać za mnie duszę. Nie pamiętasz, ale jesteś nią, a ona tobą, a to, co teraz przeżywamy, to najdziwniejsze, co nam się dotąd przydarzyło – stwierdzam, przeciągając palcami po włosach.

– Jedno twoje słowo i skończę to. Będiesz mógł przejść do następnego wcielenia. – Reed, jak to on, pojawia się obok ni stąd, ni zowąd.

Nigdy nie słyszę, jak się zbliża. To wkurzające, bo przecież powinienem, skoro mam teraz tak wyczulony słuch.

– W odpowiednim czasie dam ci znać. Na razie zamierzam trochę tu pobyc, przynajmniej zanim wezwą cię z powrotem do nieba. Nie chciałbym stracić ani minuty z tobą. – Staram się nie dać mu podejść zbyt blisko.

– Reed... zachowuj się, proszę. – Evie sili się na surowy ton, zresztą na próżno, bo jak zwykle w końcu uśmiecha się do Reeda.

– Do zobaczenia, Ruda. Idę. Sprawdzę, czy Zee znajdzie chwilę, żeby mnie potrenować. Może do nas dołączysz? Na pewno mógłby pouczyć cię walczyć i się bronić, a wcześniej czy później musisz się za to zabrać – namawiam.

Chcę, by zdała sobie sprawę, że anioły nie zawsze będą przy niej, żeby jej pomóc. Powinna sama to wiedzieć, w końcu oboje ledwie przeżyliśmy przygodę w 7-Eleven. Evie powinna przynajmniej umieć bronić się przed Kosiarzem takim jak Alfred, bo on nadal czyha, żeby ją dopaść.

– Ona jeszcze nie jest na to gotowa, Russell. Nie przeszła pełnej transformacji. Jest za krucha na trening – mówi Reed i siada na kanapie obok Evie.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, Reed, ale jakoś nie widzę, aby Upadli zamierzali czekać, aż Ruda będzie gotowa. Powinniście zacząć naukę teraz, od podstawowych chwytów, żeby miała jakieś szanse, w razie gdyby zaatakowali ją, kiedy nie będzie was w pobliżu, by jej bronić – tłumaczę, trwając stanowczo przy swoim zdaniu.

– Dlaczego miałoby żadnego z nas przy niej nie być? – pyta spokojnie, nie patrząc na mnie, ale na Evie.

– Masz przeogromne doświadczenie, przeszedłeś wszystkie możliwe szkolenia i nie potrafisz sobie wyobrazić takiej sytuacji, że Evie musi sama stawić czoło tym zwariowanym upadłym kanibalom? No nie mów! – Musiałem go trafić w czuły punkt, bo słyszę ostrzegawczy pomruk.

– Jej mocne strony to siła perswazji i szybkość. Na razie gwarantują jej przeżycie. Najpierw musi próbować uciekać, a potem, gdyby to było niemożliwe, starać się przekonać do siebie anioły, jest w tym dobra. – Bierze ją za rękę.

– Nie zaszkodziłoby trochę ją dozbroić. Nie rozumiem cię, stary. Mówisz, że kochasz Evie, a nie próbujesz jej pomóc. – Kiedy tylko kończę to zdanie, Reed stoi przy mnie z zaciśniętymi pięściami. Niesamowite, jak szybko, w ułamku sekundy, potrafi się przemieszczać.

– Nigdy nie podawaj w wątpliwość moich intencji, jeśli chodzi o Evie. To, co proponujesz, to na razie niepotrzebne ryzyko – syczy mi do ucha.

Naprawdę się stara, ale coraz trudniej mu opanować furję. Wiem to, dlatego naciskam dalej.

– Czego się boisz, Reed? Martwisz się, że Evie mogłaby już nie potrzebować twojej obrony? – pytam cicho, nie spuszczać wzroku z jego oczu, choć instykt podpowiada mi,

żebym uważał. – Nie, to nie to... – dodaję, obserwując przez chwilę jego twarz. – Boisz się, że coś jej się stanie, nie potrafisz znieść myśli, że coś ją zaboli. – Słyszę jego pomruk i wiem, że zbliżam się do cienkiej granicy. – Tracisz zdolność logicznego myślenia, generale – cedzę przez zęby. – A trzeba być gotowym na każdą ewentualność, czy nie to powtarza zawsze Zee? – Zaglądam mu w oczy.

Evie jest już blisko, próbuje nas rozdzielić, co zdarza się coraz częściej.

– Dobra, ale mam z wami zabawę, chłopaki! Co ja biedna zrobię, jak się to wszystko skończy, pewnie umrę z nudów – mówi z przekąsem. – Racja, Russell, czas, żebym zaczęła uczyć się bronić.

Patrzę ponad nią na Reeda – grymas wściekłości wykrzywia mu twarz.

– Ćwiczymy w jadalni, bo Reed już zaczął ją do tego przystosowywać, kiedy wracałaś do zdrowia. Jest niemal idealna do tego celu, z wysokim sklepieniem i drewnianą podłogą. Moglibyśmy dorzucić kilka mat, gdybyś zdecydowała się dołączyć – zwracam się do Evie.

– Nie, nic nie dorzucimy, bo ona nie będzie trenować z tobą i Zefirem – oznajmia Reed, marszcząc brwi.

– A właśnie, że będzie – upieram się przy swoim. Zanim spostrzegam, co się dzieje, wylatuję w powietrze i ląduję po drugiej stronie biblioteki, przyparty do ściany przez Reeda, który miażdży mi pierś przedramieniem. Nogi bezwładnie zwisają mi w powietrzu.

– Chciałbyś widzieć, jak umiera czy co? Bo wystarczy chwila nieuwagi Zefira, a skończy rozerwana na pół. – Świdruje mnie wzrokiem.

Evie znów do nas doskakuje i ciągnie Reeda za rękę.

– Zostaw go, natychmiast!

Posłusznie puszcza mnie i cofa się kilka kroków. Nie patrzy jednak na nią, ale na mnie.

– Reed, słuchaj, bo nie będę tego powtarzał. Ja też ją kocham. I chcę, żeby przeżyła, może nawet bardziej niż ty – wyjaśniam zirytowany, odgarniając palcami włosy. – Ale boję się jednego. Przecież komuś w niebie może nagle przyjść do głowy, że Evie albo ja, albo my dwoje poradzimy sobie świetnie bez aniołów i wezwie was wszystkich z powrotem, żeby sprawdzić swoją teorię. Jeśli nadejdzie taki dzień, nie wolałbyś, żeby jej los nie zależał tylko od łaski czy niełaski następnego Upadłego, który stanie na jej drodze? – pytam w nadziei, że zrozumie. – Obawiam się, że ja sam nie na wiele się zdam, przynajmniej dopóki nie rozwiną mi się skrzydła, bo wtedy, kto wie... – stwierdzam z żalem. Szkoda, że nie mam pojęcia, kiedy przemiana się dopełni i wreszcie będę mógł skopać tyłek pewnemu aniołowi. – Ale zamierzam zrobić wszystko, co tylko możliwe, żeby być gotowy do pomocy, i w razie potrzeby oddam za Evie życie.

– To nie będzie konieczne, bo nauczę się sama bronić, żeby nikt nie musiał za mnie ginąć – ucina surowo Evie, popatrując to na mnie, to na Reeda. – Sama poproszę Zee, żeby nie było nieporozumień.

– Musimy porozmawiać o twoim bezpieczeństwie... – zaczyna Reed, ale Evie mu przerywa.

– Chodzi o moje bezpieczeństwo, Russell ma rację – stwierdza stanowczo. – Nie mogę liczyć na to, że zawsze będziecie mnie ochraniać. Muszę sama się bronić, na ile to możliwe.

Najwyraźniej do tego wniosku musiała dojść już wcześniej.

– Tak, zgoda, kiedy się wzmocnisz, to będzie miało sens, na razie jednak... – próbuje dalej oponować Reed, ale ona znów mu przerywa.

– Nie mogę dłużej zaprzeczać faktom. Muszę sama zatroszczyć się o siebie. Nie wolno mi zrzucać wszystkiego na was. – Kładzie dłoń na twarzy Reeda i zmusza go, żeby na nią spojrział.

– Nie ma potrzeby, żebyś to robiła – zapewnia ją Reed.

– Słuchaj, szok, że nadal żyję, minął. Teraz muszę zadbać o to, by nie dać się zabić. Kiedy ćwiczycie, Russell?

– Zee? – wołam niezbyt głośno.

W niecałe dwie sekundy Zefir jest już z nami w bibliotece. Mija nas i podchodzi do okien.

– Mógłbyś pouczyć Rudą samoobrony? – pytam.

– Zastanawiałem się, kiedy do tego dojdziemy. Evie, jesteś gotowa do lekcji? – Zefir wpatruje się w nią przenikliwym wzrokiem.

– Nie, nie jest – odpowiada Reed.

– Znam twoje zdanie w tej kwestii. Teraz pytam Evie. Chcę wiedzieć, czy naprawdę już się pozbierałaś? – zwraca się do niej spokojnie Zefir.

– Co masz na myśli, Zee? – Evie spuszcza wzrok. Stara się ukryć, że chyba jednak rozumie, o czym on mówi.

– Rzecz w tym – tłumaczy Zee – że masz w sobie morze smutku i przez to większość czasu chodzisz półprzymknięta. Jeśli mielibyśmy ćwiczycie, chciałbym, żebyś rozerwała ten kokon, jakim się otoczyłaś, bo inaczej niechętnie zrobię ci krzywdę.

– No tak. Myślałam, że lepiej mi idzie skrywanie emocji, ale chyba udawało mi się okłamywać tylko samą siebie. Pójdę się przebrać. Spotkamy się w jadalni, czy też od dziś powinniśmy nazywać ją salą ćwiczeń?

– Jesteś pewna, Evie? – pyta Zefir.

– Obudziłam się, żyję, Zee, i zamierzam żyć nadal. – Prostuje plecy i bojowym krokiem rusza do drzwi biblioteki.

Brawo, tak trzeba, Ruda – gratuluję jej w duchu i uśmiecham się, gdy wychodzi, ale dostrzegam niebezpieczny błysk w oku Reeda i uśmiech od razu znika mi z ust.

– Wiesz, od jak dawna zabijamy? – pyta Reed. Nadal srogo marszczy brwi.

– Nie.

– Od tak dawna, że uznałbyś to za wieczność – stwierdza, patrząc na mnie surowo.

– Ach tak – rzucam i staram się nie okazać, że robi to na mnie jakieś wrażenie.

– A wiesz, jak trudno zabić jednego z nas? – kontynuuje z groźbą w głosie.

– Jaasne. Zee wyjaśniał, że trzeba by rozerwać was na strzępy. – Staram się za bardzo nie wymądrzać, bo to w tej sytuacji specjalnie mi nie pomoże.

– Zgadza się. Chciałbyś zobaczyć, jak Evie rozrywa jakiegoś anioła? Naprawdę sądzisz, że jest na to gotowa? – prychna Reed.

– Jeśli usprawiedliwiłyby to okoliczności, na pewno sobie z tym poradzi. Nie doceniasz jej, stary. Jest spontaniczna i silna, a przez wieki wykształciła w sobie stalową wolę, nawet jeśli nic z tego nie pamięta – tłumaczę. – Jeszcze nie przyjrzałem się nawet połowie swoich wspomnień, ale już to wiem.

– Co chcesz osiągnąć, opowiadając jej te wszystkie historie z przeszłości? Ona nie pamięta tamtych wcieleń, kiedy byliście razem.

– Nie wiem, Reed. Może próbuję osiągnąć to, czego, jak masz nadzieję, nie osiągnę – mówię z westchnieniem i zirytowany pocieram szyję, bo zdaję sobie sprawę, że słuchał, jak opowiadałem Evie o jej życiu jako Aoibhe. To bardzo osobiste. Wtedy była moja i nie zamierzam się dzielić tamtą nią, nami, z nim.

– To jej nie pomaga – stwierdza zmartwiony.

– Mylisz się, nie pomaga jej przekonanie, że nic jej nie grozi. A ty w tym przekonaniu ją utwierdzasz. Obaj natomiast wiemy, jaka jest prawda – odpowiadam z niesmakiem, bo to niemiłe mówić na głos o zagrożeniu.

– Sądzisz, że ona nie zdaje sobie z tego sprawy? Ale chcę, żeby czuła się tu bezpiecznie. Żeby doszła do siebie, a to się nie uda, jeśli stale będzie się bać. Wiesz, co się dzieje z nią nocami? Ciągle nawiedzają ją koszmary – argumentuje powoli i dobitnie, jakbym nie miał dość rozumu, żeby ogarnąć sytuację.

– Myślę, że to nie tylko przez tamtą traumę. Po części chodzi o to, że Alfred nadal grasuje, a ona ma złe przeczucia – tłumaczę.

– Tak. Zdaję sobie z tego sprawę. – Ton Reeda jest spokojny. – Dlatego nie wyjechaliśmy z Crestwood. Zee i ja obmyślamy, jak sprowokować Alfreda. Gdyby miał wrażenie, że rozluźniliśmy szeregi, może zaryzykować i zrobić nieostrożny ruch, ale nie chcę używać Evie jako przynęty – mówi. – Musimy uśpić jego czujność, bo właśnie stracił sporo popleczników. Upadli już go nie posłuchają. Prawdopodobnie teraz też na niego polują. To działa na naszą korzyść, bo jeszcze bardziej zależy mu na duszy Evie. To jego jedyna nadzieja na przeżycie.

– Dlaczego nie ruszamy, żeby go złapać? – pytam sfrustrowany, bo myślę, że w ten sposób dajemy draniowi czas, żeby zdobył nowych sojuszników i przygotował atak na Evie.

– Mamy przewagę. Nasza siła polega na tym, że nie jesteśmy podzieleni. Jesteśmy zorganizowani, a on nie. Poczekamy na niego, bo mamy to, czego on chce. Pojawi się tu i zginie – odpowiada Reed, jakby nie mógł się już doczekać dnia, kiedy Alfred postanowi wyjść z ukrycia.

– Obyś się nie mylił, Reed, bo inaczej wszyscy za to słono zapłacimy. – Wychodzę z biblioteki, żeby się przebrać i iść trenować z Zee.

Rozdział 7

TRENING

Bardzo szybko okazuje się, że trenowanie nie będzie łatwe. Kiedy tylko Zefir podczas ćwiczeń robi zamach w kierunku Evie, Reed nie wytrzymuje i kończy się to tym, że przez kilka minut walczą ze sobą, aż wreszcie dziewczynom udaje się ich rozdzielić... Na obronę Zee trzeba dodać, że nie tyle bił się, co nie dawał się zabić. Ale to wszystko pokazało jeszcze wyraźniej, że jeśli chodzi o Evie, Reed traci zdolność logicznego myślenia. Dlatego ma zakaz wchodzenia do sali ćwiczeń, kiedy Evie trenuje. Nie jest z tego zadowolony. W końcu to jego dom. Kiedy Evie proponuje, że w takim razie poćwiczymy gdzie indziej, podporządkowuje się i tylko krąży pod drzwiami, czekając, aż skończą się zajęcia.

Zefir na początek uczy Evie i mnie podstaw samoobrony i pewnych chwytów, żeby oswoić nas z walką wręcz. Pracuje z nami miesiąc, zanim zaczyna wprowadzać nas w tajniki używania broni. Ćwiczymy z długimi kijami przypominającymi oszczep, które pozwalają wyrównać szanse w starciu z aniołami potrafiącymi latać. Ponieważ żadne z nas na razie tego nie umie – Evie, bo jej skrzydła nie są jeszcze wystarczająco mocne, a ja, ponieważ do tej pory ich nie mam – kije mogą się przydać do odpierania ataków z powietrza. Nie jestem pewien, gdzie mielibyśmy sobie znaleźć tak długie tyczki w razie nagłej napaści, ale do tego jeszcze nie doszliśmy.

Przystaję, kiedy obrywam raz i drugi, bo Zee bez trudu wrywa mi kij i uderza mnie nim, żebym zrozumiał błąd.

– Zee, do cholery, to boli! Chyba złamałeś mi palec... jesteś wredny jak siostrzyczki w St. Vincent. – Rozcieram kostkę, żeby złagodzić ból.

Zee chichocze, unosząc się nade mną. Ogromne skrzydła biją powietrze, czuję na twarzy powiew, kiedy pochylam się nad obolałą dłonią.

– Pozwoliłeś mi się rozbroić, Russell, musisz to odpokutować – mówi Zefir i się uśmiecha. – Boli?

– Okropnie.

– To dobrze. Może teraz będziesz bardziej uważał. – Podfruwa bliżej i podaje mi z powrotem kij.

– Wiesz co, Zee, ludzie chyba nic z tego wszystkiego nie rozumieją, prawda? – Nadal przytrzymuję obolałą dłoń.

– Z tego, co zauważyłem, to rzeczywiście, choć nie bardzo wiem, do czego zmierzasz – odparowuje, robiąc unik w bok, gdy Evie próbuje przebić go oszczepem.

Jest szybka, o wiele szybsza niż ja, i ma wrodzony talent do wyczuwania słabych stron jego obrony. Tak prędko wymachuje oszczepem, że ledwie nadążam za jej ruchami. To anielskie tempo sprawia, że jest śmiertelnie niebezpieczna i skuteczna. Biorę pod uwagę, że jej ewolucja jest bardziej zaawansowana niż moja, ale mimo wszystko wydaje się, że Ruda

ma to we krwi, albo może musi przeżyć – takie jej przeznaczenie. Tymczasem mnie nic nie przychodzi łatwo, muszę się starać, wyciskać z siebie siódme poty.

– Chodzi mi o to, jak ludzie widzą anioły, jak je idealizują... wieesz, uważają, że wszystkie są takie życzliwe i dobre. A wy jesteście zwyczajnie podli i mściwi – mówię, próbując rozprostować palce.

– Nie przyszło ci kiedyś do głowy, że to, jak nas widzicie, jest obraźliwe? Nigdy, przenigdy nie wyglądałem na dziecko, nie mówiąc już, żebym przypominał bobasa, a jednak wszędzie maluje się te infantylne pyzate aniołki. To uwłaczające – stwierdza Zefir i zaraz musi uskoczyć, bo Evie udaje się dziobnąć go oszczepem w skrzydło.

– Świetnie, Ruda! – chwałę ją, kiedy pióro ze skrzydła Zee majestatycznie opada na podłogę.

Muszę się opanować, żeby nie klepnąć jej po plecach jak kumpla z drużyny piłkarskiej, bo mógłbym marnie skończyć, przebity na wylot oszczepem.

– Rozpraszasz go, Russell. To nie fair – mówi, ale widzę, jak kąciki jej ust unoszą się w uśmiechu.

– Naprawdę nigdy nie byłeś dzieckiem? To jak wyglądałeś, kiedy zostałeś stworzony? – Najwyraźniej mało wiem o ich gatunku, jeśli można to tak określić.

– Mniej więcej tak jak teraz, tyle że z początku nie miałem skrzydeł. Wyrastają później, tak jak to się dzieje u ciebie. – Robi kolejny unik, bo Evie bierze zamach i znów uderza oszczepem.

– Nie ma więc tych małych cherubinków, co? – drązę.

– Nie, ale jest rodzaj aniołów bliskich rangą Evie, czyli Serafinom, zwany Cherubinami. Mimo wszystko one też nie przypominają bobasów ze skrzydełkami. Ciekawe jednak byłoby zobaczyć, co by z tobą zrobili, gdybyś ich do nich porównał – podkpiwa sobie Zefir.

– No i co z tymi Cherubinami? Czym się zajmują? – Chcę zyskać na czasie, żeby palec przestał tak strasznie boleć, zanim znów wezmę swój kij.

– Są opiekunami dusz w raj. Pilnują drogi do drzewa życia i prowadzą dokumentację – rzuca w roztargnieniu, bo koncentruje się na postępach Evie. – Poznałbyś ich po kolorze. Niebieskie skrzydła. No i jeszcze... Cherubiny są takie lwie.

Evie opuszcza oszczep i patrzy zdumiona na Zefira.

– Jak to? – pytam.

– Są podobne do lwów – odpowiada powoli Evie, nie spuszczając wzroku z Zefira.

– Czyli Cherubiny są lwami o niebieskich skrzydłach. Bronią dusz w niebie i zajmują się dokumentacją? – Staram się podsumować. – Jaką dokumentacją?

– Grzechów. – Zefir uśmiecha się do mnie ciepło, ale od tych słów po plecach przebiega mi dreszcz.

– Jak pomocnicy Świętego Mikołaja, co? – żartuje Evie, na co Zefir wybucha śmiechem, a ona rzuca w moim kierunku: – Więc na wszelki wypadek bądź grzeczny.

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy, a Zefir dodaje:

– Ale nie powiedziałbym, że wyglądają tak jak lwy. Mają cechy i lwów, i aniołów.

– Można się tu na nie natknąć? – pytam, nadal niespecjalnie zachwycony, że gdzieś tam w niebie jest jakiś podobny do lwa anioł, który podlicza moje grzechy.

– Zdarza się, ale raczej nie na jednego z tych z rajy, prędzej już z Szeolu – wyjaśnia Zefir. Dostaję gęziej skórki.

Wiem, że Szeol oznacza to, co siostry w St. Vincent nazywały piekłem. Zakonnice wielokrotnie mnie ostrzegały, że pewnego dnia mogę tam trafić, a ja tak bardzo chciałbym wierzyć, że się myliły. Świadomość, że to miejsce naprawdę istnieje, nadaje zupełnie inną wagę słowu „grzech”.

– Po czym poznać, czy ktoś należy do Upadłych, czy nie? – nie odpuszczam, bo dobrze byłoby się zorientować, że się zbliżają, zanim one wypatrzą mnie, choć widok człekopodobnego lwa sam w sobie powinien mnie zaalarmować.

– Upadłe są naznaczone... brudne, jakby wymazane czymś ciemnym. Ale nawet bez tego, kiedy tylko osiągniesz wyższy poziom rozwoju, będziesz poznawał je od razu. Wydzielają paskudny zapach, pali w płucach jak kwas – stwierdza.

Widzę, że Evie wie, o czym on mówi, bo po tym opisie robi się biała jak chusta.

– Niektóre potrafią maskować odór, jeśli od lat nie wzywano ich do Szeolu, ale jeśli niedawno tam były, to od razu się czuje.

– Ten ciemny ślad... to jak aura albo coś w tym rodzaju? – próbuje sprecyzować Evie.

– Nie, to raczej jak zabrudzenie, tak bym to ujął. Anioły nie mają aury, to cecha ludzka, cecha duszy – wyjaśnia Zefir. Patrzy, jak Evie zastanawia się głęboko nad tym, co właśnie powiedział.

– Więc nieźle się wyróżniamy w tłumie, co? – odzywa się Evie po chwili. Aż się przygarbiła, bo rozumie już coś, co do mnie jeszcze nie dociera. – Anioł z aurą musi być jak migający neon. Wybryk natury. Znak ostrzegawczy, zapala się i gaśnie, jak światełko sygnalizujące wolne miejsce.

– Świeący znak, no może, ale żeby zaraz wybryk natury... – mówi Zefir i nagle urywa.

– No to co oznacza ten sygnał? – ponagla go Evie.

Cieszę się, że o to pyta, bo to ważne, żeby wiedzieć, jak dla nich wyglądamy.

– „Uwaga, niebezpieczeństwo”.

Evie upuszcza oszczep. Odwraca się, żeby wziąć wodę. Chce ukryć lęk, który widać w jej oczach.

Szukam w myśli czegoś, co mogłoby ją rozśmieszyć.

– No, to chyba już lepsze niż „uwaga, ofermi”.

– Nie, Russell, niestety – mamrocze Evie. – W tym wypadku daliby nam spokój. „Niebezpieczeństwo” to coś, obok czego żaden anioł, Boski czy zły, nie przejdzie obojętnie.

– Jest tyle innych powodów, dla których nas przyciągacie, że to już drobiazg – mówi Zefir, lądując na podłodze i składając skrzydła za sobą.

Evie unosi pytająco brwi.

– Jakie inne powody?

– Jesteście do nas bardzo podobni, jako anioły, ale działacie zupełnie inaczej niż my. Tak jakoś zabawnie. To, jak myślicie, jak odczuwacie, co wydaje się wam najważniejsze i co was zdumiewa... to zupełnie inna bajka – tłumaczy, chichocząc pod nosem.

– Ach tak, zaraz, zaraz... odnosisz wrażenie, jakbyś rozmawiał z pięcioletnim dzieckiem? Och, jak ono nic nie wie o świecie, jak bardzo brak mu doświadczenia... to takie urocze. Zgadza się? – odparowuje Evie.

– Możliwe. Nie znam się na dzieciach. Ale wątpię, czy którekolwiek można by uznać za niebezpieczne w jakikolwiek sposób – zaznacza. – I nie widzę nic „uroczego” w Russellu – dodaje, marszcząc nos.

– Do ciebie też trudno byłoby mieć słabość, generale. – Udaję obrażonego. – Dziewczyny jakoś nie widzą problemu. Brownie i Buns uważają, że jestem fascynujący.

– No, fakt. One są przyzwyczajone do duszyczek, bo wrywanie ich to dla nich niemal codzienność – odpowiada Zefir bardzo z siebie zadowolony.

– Ciekawe, nie sądziłem, że to moja dusza tak je interesuje. Myślę, że podobają im się też moje anielskie walory – odpowiadam z beczelnym uśmiechem i zaraz instynktownie przykucam w pozycji obronnej, słysząc niski, ostrzegawczy pomruk Zefira. Na chwilę zapomniałem, że jest wyczulony na punkcie Buns. Zresztą, jak się zdaje, z pełną wzajemnością. – Daj spokój, Zee. Nie miałem nic złego na myśli! Mówię tylko, że nie uważają mnie za tak odrażającą kreaturę, jak wszyscy inni tutaj.

Zefir pociąga nosem. Najwyraźniej rozważa moją wypowiedź. Patrzę na Evie. Ta z kolei przygląda się badawczo Zefirowi, starając się odgadnąć jego reakcję.

– Jesteś zazdrosny, Zee? – pyta ostrożnie, a jej oczy uśmiechają się lekko, choć usta nie zdradzają żadnej wesołości.

– Nie bądź śmieszna – odparowuje szybko Zefir, na co Evie ogląda się na mnie i unosi brew z powątpiewaniem.

Zefir bierze oszczep, który upuściła, i zaczyna nim wywijać na przemyślny sposób tak szybko, że obraz zupełnie mi się zamazuje.

– Zee, gdybyś mógł, zamieniłbyś się miejscami z Russellem? – pyta w zamyśleniu Evie, jakby nie była pewna, czy dalej drążyć temat, ale widzę, że nie odpuści, nawet jeśli to zaboli.

– Miałbym zamienić się miejscami z Russellem? – Zefir aż się zachnął. Na moment przestaje kręcić oszczepem. – To niemożliwe. Zresztą na co mi dusza? – Robi powątpiewającą minę i znów zaczyna wywijać młynki. – Choć może by się przydała, ta wasza dusza, jako przynęta na Upadłych. Ciągnęliby do mnie jak ćmy do ognia. Nie musiałbym wiecznie ich tropić i uganiać się za nimi. Nie mogliby się oprzeć pokusie: duszy w anielskiej postaci i niebezpieczeństwa, jakie to stwarza – mówi po namyśle.

– To by ci odpowiadało? – pyta Evie.

– Jasne. Jestem zabójcą. Miałbym dodatkowy atut w swoim arsenale. Byłbym dla nich śmiertelną pułapką. Nie potrafiliby jej ominąć – odpowiada zamyślony.

– Nie bałbyś się, że stale będą próbowali cię zabić?

– No nie, na tym polega zabawa, musieliby próbować, prawda? – Uśmiecha się szeroko.

– O rany, Zee! Ale z ciebie wariat, nieźle ci odbiło. – Ruda marszczy brwi.

– Wcale nie. Po prostu jestem naprawdę dobry w tym, co robię. Poluję na Upadłych. A w ten sposób bez trudu bym ich przywabiał – odpowiada bez żenady.

– Ale kumple z twojego rodzaju też by się denerwowali. Jak byś sobie radził i z nimi? – Evie przypatruje mu się uważnie.

– Potrafię być niezwykle przekonujący. Russellowi pewnie wyrosną skrzydła Serafina, jak tobie. Takie coś bardzo by pomogło w negocjacjach – mówi, jak gdyby nie robiło na nim wrażenia to, że mógłby się komuś nie podobać. – Ale nie dla mnie takie luksusy, nawet gdybym zabrał mu duszę. Musiałoby mi wystarczyć, że jestem aniołem Mocy z duszą.

– A gdybyś miał zamienić się z Russellem na wszystko, z tym etapem rozwoju, na jakim jest teraz, bez siły, mocy i umiejętności walki, jakie posiadasz?

– Wykorzystałbym to najlepiej, jak potrafię. Pewnego dnia on będzie bardzo potężny, może równie silny jak ja – oznajmia Zefir wyniośle i się uśmiecha. Nie potrafię się powstrzymać i też się uśmiecham, ubawiony jego arogancją. – A już na pewno będzie wyższy rangą ode mnie, ale zginie, jeśli kiedykolwiek spróbuje to wykorzystać. Bo to ja go trenuję i będę znał wszystkie jego słabości.

Zna je wszystkie, a na razie jest ich aż nazbyt wiele, żeby próbować wyliczać. Skłonny zgodzić się z nim, rzucam okiem na Evie. Robi się coraz bledsza. Podnosi pręt, który upuściłem, a wyraz jej twarzy jest zacięty, morderczy. Nigdy jej takiej nie widziałem. Wygląda jak Reed, kiedy chciał zabić Sebastiana. Zabójcze spojrzenie. Trzyma oszczep przed sobą i wywija nim, naśladując to, co z taką łatwością robił przed chwilą Zefir. Zbliża się do niego i przykłada mu ostry koniec oszczepu do gardła.

Przytrzymuje go tak, że jeśli Zefir tylko drgnie, nabije się na ostrze, i pyta lodowatym tonem, od którego aż ciarki przechodzą po plecach:

– Dlaczego nam pomagacie? Co wam to da?

– Wątpisz w moje dobre intencje? – rzuca lekko Zefir, jakby zupełnie się nie przejął.

– Odpowiedz – syczy Evie, ale nie daje rady dłużej zachować spokoju. Jej dłoń lekko drży.

– Evie? – wtrącam, bo to wszystko tak bardzo nie pasuje do dziewczyny, którą znam. Jestem zdumiony, nie wiem, co myśleć.

– Nie ma nic za darmo, Russell – fuka na mnie i marszczy brwi. A potem zwraca się do Zefira: – Co spodziewacie się zyskać, pomagając nam? Bo jeśli kiedykolwiek postanowisz zabrać mu duszę, skończę z tobą, przysięgam.

Ręce jej się trzęsą, kiedy wpija się wzrokiem w twarz Zefira. Przyciska ostrze mocniej i zszokowany widzę, że patrzy na swojego nauczyciela surowo jak na wroga.

Jej groźba go zaskoczyła, ale Zee nie próbuje się wyrwać ani ruszyć. Mierzy wzrokiem jej twarz, która jest blisko, tuż przy jego twarzy.

– Obiecuję, że nigdy się nie skuszę, żeby zabić Russella dla jego duszy. Ona nie jest mi przeznaczona, zostawię ją na jej miejscu. Nie jestem zły. Ja to nie Alfred.

Mam wrażenie, że Evie rozpaczliwie chce mu wierzyć. Poluzowuje chwyt na oszczepie i odsuwa ostrze, żeby nie skaleczyć Zee, ale jeszcze nie rzuca broni.

– Dlaczego? – pyta.

– Bo muszę wam pomagać. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Nie byłem w stanie cię zabić, kiedy zetknęliśmy się ze sobą po raz pierwszy. Spośród ofiar ty jedna uszłaś ze spotkania ze mną z życiem. Coś takiego nigdy dotąd mi się nie zdarzyło. To moja pierwsza niewypełniona misja. Przeżyłaś, bo jesteś, jaka jesteś, i muszę się przekonać, co będzie dalej... a poza tym...

– urywa.

– Co? – szepcze.

Teraz już emocje całkiem biorą górę. Ręce jej się trzęsą ze zdenerwowania.

– Po raz pierwszy mam coś w rodzaju rodziny, czegoś takiego się nie spodziewałem. A chyba członkowie rodziny powinni być dla siebie dobrzy, prawda? – dorzuca lekko kpiącym tonem.

Evie zaczyna trząść się broda, oczy zachodzą łzami. Idę, żeby ją przytulić, ale Zefir powstrzymuje mnie ruchem dłoni.

– Wiem, że nie jesteś Alfredem – odzywa się cicho Evie. – Przepraszam, Zee... Ale nie mogę sobie pozwolić na to, żeby znów popełnić błąd.

Opuszcza oszczep.

– To przewróciło mi świat do góry nogami. Tak bardzo się myliłam co do Alfreda. Myślałam, że to mój przyjaciel, a on nigdy nim nie był... ale ty byłeś taki dobry dla mnie, dla nas – mówi Evie, wskazując na siebie i na mnie. – Po prostu... po prostu... – urywa.

Zefir przyciąga ją do siebie i pozwala jej wypłakać się na swojej piersi.

– Alfred dał ci okrutną lekcję. Zło potrafi się świetnie maskować. Upadli to urodzeni oszuści – stwierdza spokojnie. – Musisz po tym wszystkim ochłonać.

– Alfred skaził moje myśli, pozostawił mnie z uczuciem, że nie wolno mi wierzyć nikomu i w nic, bo wtedy on wygra – szepcze Evie, z twarzą nadal wtuloną w jego pierś.

Zefir rzuca mi ponure spojrzenie.

– Trudno przeżyć zdradę. Ale trzeba się z tym uporać, bo poddawanie się uczuciom może wiele kosztować. Musisz umieć patrzeć na różne sprawy obiektywnie, inaczej ryzykujesz, że podejmiesz niewłaściwe decyzje – tłumaczy łagodnie, poklepując ją po plecach. – Weź za przykład to, co się przed chwilą stało. Dałem ci się zaskoczyć, bo oswoiłem się z tym, kim według mnie jesteś. Zapomniałem, że potrafisz być nieprzewidywalna, i kiedy wydałem ci się niebezpieczny, zareagowałaś w sposób, na który nie byłem przygotowany. Nie zdawałem sobie sprawy, że możesz uznać moje słowa za groźbę. Tak jak wcześniej mówiłem, nie działasz jak anioły, nie pasujesz do żadnego schematu.

– Tak mi przykro, Zee! – szepcze Evie ze smutkiem.

– Evie, to był komplement. Jestem z ciebie dumny. Dostrzegłaś słabą stronę i to wykorzystałaś. Zarąbiście. – Zefir uśmiecha się zadowolony, że użył słowa, którego go uczyłem, żeby lepiej wtapiał się w środowisko ludzi. – Postaram się nie świrować, że przywaliła mi nastolatka – dodaje i unosi brew, niepewny, czy dobrze to powiedział. Kiwam głową i przybijamy żółwika, mocniej, niż bym chciał, bo połamana kostka jeszcze boli. – Teraz będę się bardziej pilnować.

– Zee, ile ty czasu spędzasz z Russellem, bo zaczynasz mówić zupełnie jak on? – Evie prostuje się i ociera łzy wierzchem dłoni.

– Stanowczo za dużo, masakra – odpowiada i wszyscy wybuchamy śmiechem. – Chcesz spróbować czegoś nowego, Evie? Mam wrażenie, że jeśli chodzi o oszczep, to chwyciłaś, co trzeba. Czas na inne wyrównywanie szans. Pokażę wam, co macie robić – mówi Zefir i ciągnie nas na środek pokoju. – Nie wchodźcie mi w drogę, bo będę biegł.

Podchodzi do ściany, opiera dłoń o mur ponad drewnianą boazerią i rusza pędem dookoła sali. Z każdym okrążeniem nabiera prędkości. Kiedy jego obraz zamazuje mi się w oczach, zaczyna wbiegać na ścianę, zaprzeczając sile ciężenia. Okrąża teraz salę środkiem ścian. W końcu odskakuje od nich i bijąc skrzydłami, na moment zawisa w powietrzu, po czym lekko ląduje na podłodze. Szczęka mi opada, zbaraniałem, totalnie baranieję.

– Evie, jesteś szybsza ode mnie, więc nie powinnaś mieć z tym problemu. Będę unosił się pośrodku. Biegnij i staraj się rzucić na mnie, jakbyś miała atakować. Złapię cię – wydaje polecenie Zefir.

Evie mruga do mnie najseksowniej, jak można to sobie wyobrazić, i zajmuje pozycję przy ścianie. Zefir daje znak skinieniem głowy, a ona rusza tak szybko, że nie nadążam za nią wzrokiem. Obraz mi się zamazuje. Jest dużo szybsza od Zefira, gdy tak pędzi dookoła po ścianach bez żadnego trudu. Serce podchodzi mi do gardła, kiedy patrzę, jak robi coś, co dotąd nie wydawało mi się w ogóle możliwe. Ale Evie jest nadgorliwa, robi więcej, niż kazał Zefir. Pewnie nudzi ją zwykłe bieganie środkiem ściany, bo zmienia kierunek, rusza na sklepienie sufitu, a potem po nim przeskakuje na sąsiednią ścianę, zbiega, żeby śmignąć przez salę i wbiec pionowo z powrotem do góry.

Kiedy znów znajduje się w połowie ściany, rzuca się na Zefira i oplata go w pasie nogami. Rękami łapie go za głowę, pokazując nam obu, że z łatwością, gdyby tylko chciała, jednym ruchem mogłaby skrócić mu kark. A potem uśmiecha się i całuje go w policzek. Myślę, że jest tak samo zaskoczony jak ja, bo aż zaniemówił.

– Niebezpieczny z ciebie zawodnik, Evie – wydusza z siebie po chwili i z Evie na rękach ostrożnie opuszcza się na podłogę.

– Chciałam złapać cię nogami w pasie i szarpnąć, żebyś stracił równowagę, ale się rozmyśliłam. Uznałam, że lepiej byłoby skrócić ci kark. Tak szybciej bym cię zabiła, prawda? – pyta.

Zefir kiwa głową; wygląda jak najdumniejszy tata na świecie.

– Spróbujmy jeszcze raz, Evie, ale teraz zaatakuj mnie od tyłu – mówi. Stawia ją z powrotem na podłodze.

Evie znów biega po ścianach i sklepieniu, co jakiś czas rzucając się na Zefira niczym na upatrzoną ofiarę. Przypomina to jakiś powietrzny taniec śmierci. Na ten widok dech mi zapiera i nie wiem, co ze mnie zostanie, kiedy ona w końcu wymknie mi się na zawsze.

– Twoja kolej, Russell. – Evie uśmiecha się, siadając obok mnie pośrodku sali. Podnosi butelkę i bierze łyk wody.

Krzywię się lekko.

– Taak, chciałbym. Mam nadzieję, że już niedługo. Fajnie byłoby biegać szybko jak wiatr. To musi być dobra zabawa, w dodatku nie widać, żebyś dostała zadyszki – odpowiadam. – Ale na razie nie bardzo wiem, co robić. Czuję się jak jakaś klasowa oferma, której nikt nie chce wziąć do drużyny przy grze w zbijaka. A przecież nigdy nie byłem takim dupkiem.

– Wyobrażam sobie. Pewnie zawsze byłeś kapitanem – mówi Evie i uśmiecha się do mnie. – Może dlatego to wszystko. Przez zbijaka. Wreszcie dopadł cię pech – żartuje i trąca mnie biodrem. – Nie martw się. Zaopiekuję się tobą.

Ścisła mnie w sercu. Tak bardzo tego pragnę, że aż mi żal. Chcę, by się mną opiekowała, i sam chciałbym się nią opiekować.

– Jak tam twoja rodzina? Przyzwyczajają się pomału? – W geście pocieszenia kładzie mi dłoń na plecach.

– Chyba nadal są w szoku. No bo jak można się czuć, kiedy twój syn widział masakrę w markecie? Myślą, że zostałem objęty programem ochrony świadków. Sądzą, że przewieziono ich w nowe miejsce i dostali dokumenty na inne nazwiska dla bezpieczeństwa. Pieniądze zrobiły swoje – przyznaję, spuszczać głowę. – Słyszałem od mamy, że Melanie zupełnie odbiło. Są teraz bogaci. Anioły wyłożyły dla nich sporo kasy. A moja rodzina wierzy, że to 7-Eleven stara się zadośćuczynić za to, co się stało. Forsy jest tyle, że nawet wnuki mojej siostry nigdy już nie będą musiały pracować.

– Skoro mają nowe dokumenty, Alfred już im nie zagraża. To najważniejsze. – Evie spuszcza oczy i widzę, że znów ma wyrzuty sumienia. Chciałbym sam siebie kopnąć za tę swoją szczerłość. Ale nie potrafię jej kłamać. Jest mi bliższa niż ktokolwiek inny, w tym życiu i pozostałych zresztą też. Jeśli już nie może być dla mnie kimś więcej, to i tak jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Przypomnij mi, jak się teraz nazywają?

– Robert i Hannah Buckinghamowie, a ich dwie urocze córki to Sasha i Megan. – Mam wrażenie, że mówię o kimś, kogo wcale nie znam. – Dla mnie moje siostry zawsze będą Scarlett i Melanie. – Zastanawiam się, kiedy je znów zobaczę. Nieprędko. Nie wolno mi ich narażać. Nie pojedę do nich, dopóki nie będę miał pewności, że potrafię je chronić.

– Wiesz, gdzie są? – pyta Evie.

Wzruszam ramionami.

– Celowo nie pytałem. Skoro nie wiem, to nie zdradzę ich przez przypadek. – Albo gdyby torturował mnie ktoś taki jak Alfred. – Mam tylko ogólne pojęcie i to mi póki co wystarczy. Znam ich nazwiska. W razie potrzeby odnajdę ich za jakiś czas.

Evie kiwa głową. Lepiej niż ktokolwiek inny rozumie, że takie informacje trzeba chronić.

Chyba zastanawia się nad tym, co jej powiedziałem, bo przez chwilę milczy. Odzywa się dopiero, kiedy już mam zamiar wstać i uznać, że na dziś koniec.

– Zefir, masz może jakieś miecze? – Patrzy na mnie, jakby sprawdzała, co ja na to.

– Mnóstwo. Ale żadnego tu nie przywozłem. Za to Reed ma ich jeszcze więcej niż ja. Pod tym względem należy do starej szkoły – dodaje.

– Sądzisz, że znajdzie się tu taki, z którym mógłby być obeznany ktoś z dwunastowiecznej Szkocji? – pyta Zefira, ale nadal nie spuszcza wzroku ze mnie.

– Niech pomyślę, claymore'y weszły do użytku trochę później, ale w górach szkockich zawsze posługiwano się szerokimi mieczami, dłuższymi niż gdzie indziej. Tamtejsi rycerze mieli budowę, która pozwalała im dobrze nimi władać. Taką jak Russell – mówi Zefir, rzucając na mnie okiem.

– Myślę, że Russell świetnie by sobie radził z takim mieczem. Jest może jakiś, którym mógłby poćwiczyć? – pyta Evie i zaczynam rozumieć, do czego zmierza.

– Zaraz sprawdzę, zaczekaj – mówi Zefir i zostawia nas samych.

– Co ty kombinujesz? – zwracam się do Evie.

– O, nic takiego. Ale pomyślałam o tym, o czym opowiadałeś mi w bibliotece, o Leandrze i Aoibhe. Mówiłeś, że byłeś żołnierzem w górach Szkocji. – Przypatruje się mojej twarzy. – Pewnie co nieco umiesz, wystarczy, że to odświeżysz. Spróbuj przypomnieć sobie, jak byłeś Leandrem. Może skorzystasz z jego umiejętności i zastosujesz je na naszych treningach.

Czuję, jak rozpiera mnie radość.

– Więc jednak mi wierzysz... – Uśmiecham się, starając się nie zdradzić uniesienia.

– Oczywiście. Po twoich oczach widzę, że to prawda. Nie wiem tylko, co z tym zrobić – odpowiada.

Trudno jej to wszystko ogarnąć. Chciałbym jej pomóc. Zaznała już dość bólu.

– Nic nie rób. Jest, jak jest, albo było, nieważne. Powiedzieć ci, na czym polega ironia losu?

– No, ironii to miałam ostatnio aż zbyt wiele. Dam sobie radę jeszcze z tym? – sili się na żartobliwy ton, ale czuję, że się trochę boi.

– Tak sądzę. Kiedy byłaś Aoibhe, kazałaś ojcu zrobić dla mnie ślubny prezent, który podarowałaś mi wieczorem po tym, jak przysięgliśmy sobie wierność. To był piękny miecz, a twój ojciec jeszcze trochę nad nim popracował. Piękną rękojeść zdobiły misternie rzeźbione celtyckie węzły, które się splatały ze sobą jakby bez końca.

– W prezencie ślubnym dałam ci miecz? Bardzo średniowieczny pomysł – stwierdza Evie z seksownym uśmiechem, od którego mięknie mi serce.

– Taaak... Twój ojciec wyrył na ostrzu napis, którego nigdy nie zapomnę... nigdy, przenigdy nie zapomnę. – Staram się nie zatracić w jej uśmiechu.

– Co takiego było tam napisane?

Widzę, że naprawdę jest bardzo ciekawa.

– No, to było po gaelicku, ale tłumacząc tak na szybko: „Oby to, co jest przed tym wojownikiem lub za nim, nigdy nie odebrało mi tego, co jest w nim, bo to należy do mnie” – recytuję i znów widzę, jak oczy zachodzą jej łzami. Kiwa głową, próbując nie poddać się tłumionym emocjom.

– Na taką miłość zasługujesz, Russell. Jestem zapisana w twoim sercu, tak jak ty w moim. Nigdy nie przestanę cię kochać, ale się zmieniliśmy. Zawsze możesz na mnie polegać. Ale jest też coś więcej. Nie jesteśmy już tylko ludźmi, a anielska część mnie domaga się czegoś innego niż dusza i... – urywa, by otrzeć wierzchem pięści łzę, która spływa z kącika oka. – Przepraszam, tak mi przykro.

– Taaak. Mnie też. – Odwracam wzrok, bo nie chcę patrzeć na jej ból, który jest odbiciem mojego.

Wraca Zefir z parą mieczy. Wyglądają groźnie. Opiera je o ścianę sali ćwiczeń. Pod pachą trzyma też jakieś drewniane, niemal tej samej długości jak te, które odstawił. Rzuca mi jeden, uśmiecha się przewrotnie i mówi:

– Jak ci pasuje do ręki?

– Jakbym nigdy się z nim nie rozstawał, Zee – odpowiadam lekko zaskoczony, że to szczerą prawdą.

Ta broń, choć drewniana i przeznaczona do ćwiczeń, wydaje mi się dobrze znajoma. Zdumiony czuję, że moja dłoń chwyta miecz tak zręcznie, jakbym posługiwał się nim od zawsze. Zamykam oczy, skupiając się na swoim życiu jako Leander. Przypominam sobie szczegóły. Mam wrażenie, że czuję zapach powietrza, które on... czyli ja... wówczas wdychałem. Otwieram oczy: Evie i Zefir przyglądają się, jak wywijam mieczem na przeróżne sposoby, atakuję niewidzialnego wroga.

Drewniane ostrze poświstuje, tnąc powietrze. Potrafię posługiwać się zarówno prawą, jak i lewą ręką, śmiało przerzucam miecz z jednej do drugiej, wypróbowując swoją sprawność. W jednej chwili odzyskuję pewność siebie, której tak bardzo mi brakowało, od kiedy zaczęła się ta udręka. I nie jest to złudne. W pełni panuję nad tą bronią. Wyrobiłem to w sobie... choć nie w tym życiu.

– Nieźle – mówi Zefir, biorąc drugi miecz i naśladując esy-floresy, które rysują w powietrzu.

Kiedy na mnie naciera, jestem na to gotowy. Przewidziałem atak, instynkt podpowiedział mi, że nadchodzi i jak go odeprzeć. Moje usta rozciągają się w lekkim uśmiechu, kiedy blokuję jego zamach. Udaje mi się cofnąć na tyle, że siła, z jaką uderzył, popycha Zee trochę naprzód, a ja klepię go w bok mieczem.

Zefir jest wyraźnie zde gustowany, kiedy odzyskuje równowagę i obraca się twarzą do mnie.

– Ty to ćwiczyłeś – stwierdza z wyrzutem.

– Przez wiele, wiele lat, Zee. A może spróbowalibyśmy z prawdziwymi, jak sądzisz? – Uśmiecham się, odrzucając mu drewniany miecz. Widzę, jak oczy Evie błyszczą, i gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że jest ze mnie dumna. – Do licha, Evie, jak ty to wszystko umiesz przewidzieć.

To miał być komplement, ale znów moje słowa odnoszą odwrotny skutek.

– Nie do końca, ale pracuję nad tym, Russ – mówi ze smutnym uśmiechem, a w jej oczach jest coś, co mnie przeraża. Już to kiedyś widziałem. Znam to spojrzenie. Wpatrzony w nią przypominam sobie wyraz twarzy Aoibhe, kiedy kazałem jej wracać do ojca, bo byłem chory i myślałem, że umieram. Wtedy wyglądała tak samo... Podobnie jak kiedy odzyskałem przytomność w 7-Eleven, po tym jak Alfred dźgnął mnie nożem w nogę. Poznaję to spojrzenie. Jest gotowa poświęcić się bez reszty.

– Co ty znów kombinujesz, Ruda? – pytam z wyrzutem.

Odpycham dłoń Zefira, który podsuwa mi miecz, i podchodzę z groźną miną do Evie.

– O co ci chodzi? – broni się Evie, a w wyrazie jej twarzy widać poczucie winy.

Popatruje szybko na Zefira, żeby zorientować się, czy się czegoś nie domyśla. Ona układa sobie jakiś plan i nie chce, żeby on to wyczuł. Ucieka wzrokiem i nie patrzy mi w oczy. Już mam jej to wytknąć, kiedy rzuca mi błagalne spojrzenie i lekko kręci głową, nim znów zerka na Zefira, który uważnie się jej przygląda.

– Zastanawiałam się tylko – odchrząkuje – czy z naszych poprzednich wcieleń pamiętasz jakąś broń, którą ja bym się dobrze posługiwała.

Nie kłamie. Myślała o tym, ale też cały czas coś ukrywa. Znam ją. Już nie potrafi mnie zwodzić. Jest dla mnie jak otwarta książka, bo znam ją tak długo, dłużej, niż sama pamięta. Pewnie dlatego i przedtem nie potrafiła mi wmówić nieprawdy, zawsze wiedziałem, kiedy oszukuje.

Zefir wpatruje się w nas z niepokojem. Patrzy przenikliwie na Evie, żeby nie przegapić czegoś, co mogło wywołać u mnie taką reakcję, ale wątpię, żeby odgadnął. Jestem tego pewien, bo ona dla aniołów jest jedną wielką zagadką. Bez wątpienia coś kombinuje, ale może nie powinno się jej teraz dociskać. Nie w obecności Zefira.

– Nieźle strzelałaś z łuku jako Aoibhe, dużo celniej ode mnie, i uwielbiałaś mi o tym przypominać – odpowiadam. – Zaraz... mogłabyś też spróbować sztyletu, bułatu, procy, czakramu...

– A co to czakram? – Evie odsapuje z ulgą, że dałem się złapać na przynętę i przestałem drążyć.

– Takie kółko do rzucania z ostrymi krawędziami – odpowiada jej Zefir.

Ale dalej ma nas na celowniku, bo podchodzi bliżej, żeby słuchać, czy powiem coś więcej. Evie obraca się do niego.

– A masz jakieś sztylety?

– Jeśli jakaś broń istnieje, to Reed ma ją na pewno – oświadcza. – Wybiorę coś, żeby Evie mogła poprobować. Później pokażę wam magazyn broni i uprzedzę o środkach ostrożności, do których musicie się stosować, żeby tam wchodzić.

W mgnieniu oka znika. Patrzę na Evie, która jakby nigdy nie podnosi jeden z mieczy zostawionych przez Zefira. Waży go w dłoni, ja biorę drugi.

– Pokaż mi, jak prawidłowo go trzymać – prosi, podchodząc do mnie.

Unoszę miecz, a kiedy ona naśladuje moją pozę, przesuwam się za nią, koryguję ułożenie dłoni, żeby mogła lepiej ścisnąć rękojeść i nadrobić to, że jej ręka jest krótsza od męskiej.

Z jedną dłonią na jej talii, a drugą na wyciągniętej ręce mówię:

– Musisz trzymać miecz pewnie, ale swobodnie, żeby szybko reagować. Jeśli ściskasz go za mocno, będziesz miała zbyt sztywne ruchy. A jeśli za słabo, ryzykujesz, że stracisz panowanie nad bronią... Co ty kombinujesz, Ruda? – Przytrzymuję jej rękę mocniej i nachylam się nad nią, żeby zajrzeć jej w twarz.

– Cicho, Russell! – szepcze i na moment zamyka oczy. Po czym ogląda się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma jakiegoś anioła. Nie widzi nikogo, więc dorzuca: – Musimy pogadać, ale nie tutaj. Na osobności... tylko ty i ja. Przyjdę do twojego pokoju wieczorem, dobrze?

Patrzy na mnie błagalnie.

– No dobra – zgadzam się.

Coś planuje, i to poważna sprawa, śmiertelnie poważna, bo najwyraźniej jej zależy, żeby anioły o tym nic nie wiedziały.

– Dzięki, Russell. – Wzdycha z ulgą.

Jej ręka lekko drży, więc kładę na niej swoją dłoń, żeby ją uspokoić.

Naprawdę czymś się martwi, myślę, obserwując, jak dzielnie stara się opanować.

Wraca Zefir. Zaczynam znów ćwiczyć z mieczem, a Zee pokazuje Rudej, jak walczyć długimi sztyletami. Daje jej po jednym do każdej ręki. Powoli instruuje ją, jak się nimi posługiwać, ale już po kilku minutach Evie groźnie nimi wywija, jakby robiła to całe życie. Obawiam się nawet, że Zefir może mieć z nią problemy, kiedy widzę, jak ona kręci nimi młynki, a potem zatrzymuje je jednym lekkim ruchem nadgarstka. Potem trenują starcia. Szybko zmieniając pozycje, żeby wymknąć się Zefirowi, Evie kontratakuje, nie daje mu szans na to, żeby zadał jej śmiertelne pchnięcie.

Kiedy Zefir zapędma ją w kąt, ucieka z pułapki, przeskakując mu nad głową, i teraz to ona przypiera go do muru. Jest zabójczo groźna. Nawet jeśli nie pamięta swoich poprzednich wcieleń, najwyraźniej nie straciła zdobytych w nich umiejętności. To jedyne wytłumaczenie, jakie znajduję dla tego, że walczy jak wojownik, choć nie uczyła się tej sztuki w obecnym życiu.

Jest niezrównana w szybkości posługiwania się tą bronią. Potrafi zadawać ciosy szybciej niż Zee, mimo jego ogromnej wiedzy i doświadczenia. Myślę, że on zaczyna to sobie

uświadamiać, bo coraz bardziej marszczy brwi. Evie naciera, Zee nie spodziewał się, że tak nagle osaczy go w kącie, do którego wcześniej ją zagnał. Biorąc zamach, Evie stara się wyhamować uderzenie w ostatniej chwili, ale Zefir unosi rękę, żeby się osłonić, i Evie trafia go ostrzem. Tryska krew, a na twarzy Evie maluje się przerażenie.

– O raju, Zee! Przepraszam! – Upuszcza sztylety. Z łoskotem padają na podłogę.

Zanim Zefir czy ja możemy zareagować, rzuca się naprzód i przyciska dłoń do rany Zefira. Światła nad naszymi głowami zamigotały. Podnoszę wzrok, by spojrzeć, co się dzieje, a kiedy go opuszczam, słyszę ciche westchnienie Evie. Dłoń przyciśnięta do rany Zefira emanuje blaskiem. Nogi uginają się pod nią. Przed upadkiem ratuje ją Zefir, łapiąc ją drugą ręką.

Ostrożnie kładzie ją na podłodze i siada obok, jakby już nie mógł ustać ani chwili dłużej.

– Evie? – jęczy.

Rozumiem, co się dzieje. Evie leczy Zefira. Wiem to, bo pamiętam, jak uzdrowiła mnie po tamtym ciosie w pierś nożem. Pamiętam ogień, który mnie palił, gorętszy niż lawa, i słabość, która mnie ogarnęła, kiedy żar przenikał mnie na wskroś.

Przyklękam przy nich.

– Nie broń się, Zee – mówię szybko. – Nie sądzę, żeby mogła przestać.

Zefir zaciska powieki, z pewnością wstrząsa nim rozdzierający ból. Ale nie tyle martwię się o niego, co o Evie, bo on odzyskuje siły, jego rana goi się na moich oczach. To przez Evie ogarnia mnie paniczny lęk. Zaczyna straszliwie krwawić, krew leje się z rozcięcia, które pojawiło się na jej przedramieniu. Do sali wpada Reed. Przyklęka obok Evie. Z zaciętym wyrazem twarzy stara się oderwać dłoń Evie od Zefira. Ciepło od promieniowania między nimi musi go parzyć, ale on uparcie próbuje ich rozłączyć.

– Evie... kochanie, słyszysz mnie? – pyta łagodnie. Jej twarz obraca się ku niemu. – Puść Zefira – przekonuje Reed, ale ona nie odsuwa dłoni, tylko kręci głową.

– Nie mogę – udaje jej się wymamrotać.

Blask jej dłoni nie jest już tak intensywny. Po ranie Zefira nie ma śladu, więc pewnie to już prawie koniec. Przynajmniej dla niego.

Kiedy tylko dłoń Evie odrywa się od Zefira, Reed łapie Rudą na rękę i wynosi z sali ćwiczeń. Przykucam obok Zee, podaję rękę, żeby pomóc mu usiąść. Opiera się plecami o ścianę. Wydaje się osłabiony, jakby Evie wyssała z niego całą energię.

– Nie chcę, żeby jeszcze kiedykolwiek mi coś takiego zrobiła – oświadcza, cedząc każde słowo, i rozciera rękę.

– Taak, głupie uczucie, co? – zgadzam się z nim; dostrzegam, że dłonie mi drżą. – Sto razy lepiej patrzeć na coś takiego, niż przechodzić samemu, ale to też żadna frajda.

– Ona jest niebezpieczna – stwierdza Zefir, dalej masując przedramię. – To jakieś czary, co ona wyprawia. Widziałeś, jak wywijiała tymi sztyletami? – pyta oszołomiony.

Czuję wilgoć w oczach.

– Jaasne, mogła ci dać niezły wycisk – rzucam tak lekko, jak to możliwe. – Uczyła się tej sztuki walki dawno temu. W Egipcie.

Zefir unosi brew, spoglądając na mnie badawczo.

– Należała do straży faraona? – pyta całkiem serio.

– Na swój sposób. Była jego konkubina. Bardzo ją kochał. Zrobił z niej swoją ulubioną zabaweczkę i dla rozrywki wyćwiczył w walce na sztylety. Była w tym naprawdę dobra. Potem spotkała mnie i namówiłem ją do ucieczki... To nie najbardziej udane z naszych wcieleń. Złapali nas i stracili – przyznaję, starając się nie myśleć o tym, jak strasznie umierała. – Ale szkoda, że jej wtedy nie widziałeś. Te same rysy, choć jej skóra miała odcień miodu, była tak gładka... włosy czarne jak heban. Nie można było się jej oprzeć.

– Mnie podobają się jej skrzydła – wyznaje Zefir, a ja się uśmiecham.

To logiczne, że jemu bardziej atrakcyjne wydają się atrybuty anielskie niż ludzkie.

– Sądysz, że nic jej nie będzie? – pyta, marszcząc brwi, i próbuje wstać.

Kiwam głową.

– Tak. Jest tylko ranna. Przeżyła z dziurą w piersi, więc to cięcie, które ci zadała, to chyba dla niej małe piwo. – Pomagam mu się podnieść. Dziwnie widzieć go w tym stanie. Robi wrażenie kompletnie wypranego z sił. – Chodź, sprawdzimy, jak się czuje.

Reeda z Evie znajdujemy w kuchni. Reed właśnie kończy opatrywać jej rękę. Owija ją bandażem. Przystaję w progu, kiedy Zee podchodzi do Rudej, przykłęka przy krześle i zagląda jej w oczy.

– Ani się waż jeszcze kiedyś mi coś takiego robić. Zdecydowanie wolę rany fizyczne od tego, co teraz przeszedłem – informuje surowym żołnierskim tonem.

Evie spuszcza głowę w poczuciu winy. Reed zabezpiecza plastrem bandaż i odstępkuje od Rudej.

– Pamiętaj, co powiedziałem – dodaje Zee. Obejmuje Evie, podnosi ją z krzesła i mocno przytula. – Dziękuję, że próbowałaś mi pomóc.

– Przepraszam, nie chciałam cię skaleczyć – mruczy Evie, odwzajemniając jego uściski.

– Ona cię zraniła? – pyta zaskoczony Reed, jakby nie zrozumiał.

– Tak. – Zefir opuszcza Evie z powrotem na krzesło.

– Jak to? – Reed patrzy na niego badawczo.

Zee uśmiecha się krzywo.

– Sztylety. Russell twierdzi, że ona była w Egipcie... konkubina faraona.

Zee opowiada, czego się ode mnie dowiedział.

Widzę, jakie wrażenie to robi na Reedzie, jeszcze zanim wydobywa się ten jego ostrzegawczy pomruk.

Nie podoba mu się wizja, że ktokolwiek inny posiadał Evie. Tak, wyobraź to sobie dokładnie, chłopie. Zaboli bardziej niż zwyczajne wspomnienia, myślę wkurzony.

– Pokaż mi – prosi Reed Evie.

Evie chce się wykręcić.

– Nie. Nie chcę nikomu zrobić krzywdy – mówi, dotykając lekko przedramienia.

Reed z Zefirem rzucają sobie porozumiewawcze spojrzenie. Po czym Reed przyklęka, żeby zająrzeć Evie w oczy.

– Musisz. Nie wolno ci utrwalić urazu. Musisz to przezwyciężyć, żebyś w przyszłości nie zawahała się, gdyby naprawdę trzeba było skorzystać z tych umiejętności – mówi, gładząc jej włosy.

Zaciskam pięści, żeby nie rzucić się na niego za tę poufałość.

– Pokaż, jak to robisz – prosi Reed, podając jej dłoń.

Evie niechętnie ją bierze. Cofam się, a Reed prowadzi Rudą korytarzem z powrotem do sali ćwiczeń. Razem z Zefirem ruszamy za nimi.

Na miejscu Reed podnosi sztylety, które upuściła, i ściera krew z tego, którym zraniła Zefira. Podaje je Evie.

Strach. Ona się boi – myślę, kiedy widzę wyraz jej twarzy. Reed bierze drugą parę noży, którą posługiwał się Zefir. Wygląda jak morderca. Przebiega mnie dreszcz grozy, kiedy staje naprzeciwko Evie. Nie bawi się, wygląda śmiertelnie poważnie.

– Jestem twoim wrogiem, powstrzymaj mnie – mówi cicho i rzuca się na nią z dzikim warknięciem.

Evie ledwie udaje się uskoczyć przed ciosem, od którego aż zaświszczało w powietrzu. Ostrze mija jej brzuch ledwie o parę centymetrów. Wyskakuję, żeby powalić Reeda na ziemię, ale przytrzymuje mnie Zefir.

– Nie podchodź – szepcze mi do ucha. – Zabije cię.

Szarpię się z Zee, ale odzyskał już trochę sił, a to wystarczy, żeby mnie powstrzymać. Zaciskam zęby, kiedy Reed naciera na Evie i tylko czeka na szansę, by uderzyć. Ona mu jej nie daje. Trzyma się na dystans, ale też sama go nie atakuje, a przecież powinna być agresywna. Reed najwyraźniej też zdaje sobie z tego sprawę, bo zmienia taktykę. Zamiast patrzeć na Evie, kieruje wzrok na mnie. Na jego twarzy pojawia się uśmiech, kiedy odwraca się i zbliża do mnie. Evie w jednej chwili zastępuje mu drogę.

– Nie... – szepcze ostrzegawczo.

Nie zwraca na nią uwagi. Nie spuszcza ze mnie oczu, aż ona uświadamia sobie, że on zrobi wszystko, byle tylko zmusić ją do walki.

– Tak... – rzuca złowieszczo.

Evie usztywnia się, stawia opór, teraz skupiona bez reszty na nieuniknionym starciu. Odcina Reedowi dostęp do mnie i ciska w górę jeden z noży. Podbiega do ściany, zanim jeszcze szybujący sztylet zaczyna opadać. Odbija się od niej, łapie sztylet w powietrzu i spada na Reeda jak burza. On w ostatniej chwili robi unik, dzięki czemu ostrze nie ląduje w jego piersi. Evie upada, ale zaraz wstaje i w przysiadzie natychmiast obraca się w jego stronę.

Jeśli jest zaskoczony, dobrze to ukrywa, ale Evie nie daje mu zbyt wiele czasu do namysłu, co robić dalej. Znowu rzuca się na niego jak skoczek-akrobata, zaprzeczając prawom fizyki. Reed łapie ją za stopę, którą chciała pchnąć go w pierś, i ciska nią w przeciwnym

kierunku. Jestem zdumiony, ale ona najwyraźniej właśnie tego chciała. Siła odrzutu sprawia, że Ruda jest niemal w stanie dosięgnąć sztyletami szyi Reeda. On pojmuje jej zamiar w ostatniej chwili i cofa się, gdy ostrza już muskają mu skórę. Widać na niej małe czerwone linie, ale nie ma większego krwawienia. W rewanżu Reed robi wymach nogą i kopniakiem w brzuch odrzuca od siebie Evie. Ona upada, ale od razu staje na nogi, pędzi do ściany i biegnie po sklepieniu, a ja wypuszczam powietrze, bo wstrzymałem oddech, przerażony, że od tego ciosu coś jej się stało.

Rzuca się z góry, zanim orientuję się, co robi, ale Reed zamiast się odsunąć upuszcza noże. Wyskakują mu skrzydła, podrywa się i łapie Evie w powietrzu. Ona oplata go nogami i też rzuca sztylety. Wbijają się z łoskotem w podłogę pod nimi. Evie przytula się do Reeda, obejmuje go czule za szyję, a on zamyka jej usta w namiętym pocałunku. Aż mnie całego zmraża.

– No nie, mam tego dość – mruczę; czuję, jak Zefir powoli mnie puszcza.

Odwracam się i próbuję go odepchnąć, ale szybko odzyskuje formę i tylko śmieje się z moich wysiłków.

– Miałaś nadzieję, że ona go zabije? – pyta.

– No, tak jakby – bąkam i słyszę jego chichot, kiedy wychodzę z sali.



– Russell... Russ... – szepcze Evie, podkradając się do mnie w ciemności.

Leżę bezsennie z szeroko otwartymi oczami, ale nie odpowiadam, bo nadal jestem wściekły przez to, co się wydarzyło dziś w sali ćwiczeń. W nadziei, że sobie pójdzie, jeśli udam, że śpię, zamieram w bezruchu. Podchodzi na palcach do mojego łóżka, przystaje i przygląda mi się. Uświadamiam sobie, że widzi mnie wyraźnie pomimo ciemności. Patrzę na jej sylwetkę. Podpiera się pod boki. Ma takie seksowne biodra.

– Wiem, że nie śpisz, Russell – mówi po chwili. – Przecież masz otwarte oczy.

– Czego chcesz? – rzucam opryskliwie.

Nie staram się mówić szeptem. Mam gdzieś, czy anioły nas usłyszą.

– Ciii! – Podchodzi bliżej i przysiada na brzegu łóżka obok moich stóp. – Przyszłam, bo musimy pogadać. Chcę ci powiedzieć, co się stało podczas przerwy, jak byłeś na feriach u rodziców. Chcę wyjaśnić... – urywa, głos jej się załamuje; na moment ucieka wzrokiem.

Od razu przytomnieję i skupiam się na niej. Naprawdę się martwi.

Siadam i zapalam lampkę nocną. Widzę ból w twarzy Evie. Widać, że ze złamanym sercem szepcze:

– Myślałam, że będziemy mieć więcej czasu. Że zostaniemy do egzaminów, ale nie możemy. Musimy jak najszybciej stąd odejść, Russell. Słyszałam rozmowę aniołów, szukają mnie wszyscy z Dominium. Musimy uciec, zanim oni ich zabiją. Uznają ich za zdrajców. Sądzą, że jesteśmy Nefilimami.

Szepcze tak szybko, że połowy z tego nie rozumiem. Co za Dominion? Jakimi znowu Nefilimami? Kto chciałby zabić anioły? Zastanawiam się gorączkowo.

Wstaję z łóżka, podchodzę do biurka, wydaję rysik i rysik. Wracam. Siadam obok Evie i piszę.

Co jest, do cholery?

Bierze ode mnie rysik i odpowiada.

Musimy stąd wyjechać, Russell. Tylko ty i ja.

Czytam i przypatruję się jej twarzy. Chciałbym krzyknąć. Mam tyle pytań. Ale po kolei.

Dlaczego?

Marszczę brwi na widok jej smutnej miny.

Znów próbuje wyjaśnić.

Kiedy wyjechałeś na przerwę, Buns, Zee, Reed i ja pojechaliśmy w góry pojeździć na snowboardach. Wpadliśmy na jakieś anioły Mocy. Zauważyli mnie. Uciekłam, ale jedna z nich zaczęła mnie gonić. Dość jasno określiła, co mi robi, jak mnie złapie. Nazwała mnie Nefilimem, ale kiedy potem pytałam o to anioły, zaparły się i nie chciały zdradzić, co to znaczy. Udawali, że to nic takiego i że ona nie ma szans nas odnaleźć, ale na ile ich znam, nie mówią mi prawdy. Anioły Mocy nigdy nie odpuszczą swojej misji. Nigdy się nie poddadzą. Dla niej będę porażką, póki mnie nie dopadnie i nie zniszczy.

Biorę rysik z dłoni Evie i piszę:

O rany, Evie! Dlaczego nikt mi nie powiedział? Prawda, one nie odpuszczają, ni cholery. Są jak zwariowani terminatorzy. Nie dadzą ci spokoju, dopóki cię nie zabiją. Dlaczego jeszcze jesteśmy w Crestwood?

Rzucam jej rysik z powrotem. Słyszę, jak w emocjach mój oddech staje się coraz szybszy.

Próbowałam to zrozumieć. Reed i Zee udają, że chodzi im o zwabienie Alfreda, ale sądzę, że jego sprawa zeszła na dalszy plan. Wczoraj w nocy podsłuchałam ich rozmowę. Zbudziłam się i szłam do kuchni, żeby napić się wody. Byli w bibliotece. Brownie, Buns, Zee i Reed. Zee miał wywieźć się, co Dominion ustali w mojej sprawie. Okazuje się, że wszystkie anioły Mocy zostały postawione w stan gotowości. Wiedzą, że w tym rejonie pojawiły się Nefilimy.

Co to jest „Dominium?” – skrobię i oddaję jej rysik.

Myślę, że coś w rodzaju wojskowej centrali aniołów Mocy. Tak wynika z rozmowy, ale nie mogłam spytać, bo nie powinnam tego słyszeć. Jeśli to naprawdę sztab wojskowy Mocarzy, jestem w poważnych tarapatach – pisze Evie i patrzy na mnie oczami pełnymi lęku. Rzeczywiście ma się czego bać.

Skoro te anioły na nią polują, to mogła, dla mnie też, bo jesteśmy tacy sami, i ona, i ja. Rozglądałam się po pokoju, patrzę na wszystkie te ogromne cienie, które padają na ściany od światła nocnej lampki. Staram się zrozumieć znaczenie jej słów. Jeśli Dominion to dowództwo wojskowe, to mogą zmobilizować legiony aniołów do poszukiwania Evie. Biorę rysik z jej ręki, bo nasuwa mi się kolejne pytanie.

W takim razie, co to jest Nefilim? Ogarnia mnie lęk, nie jestem pewien, czy chciałbym znać odpowiedź.

Pisze: Mogę się tylko domyślać. Jak wspomniałam, anioły nie chcą nic mówić, kiedy o to pytam. Reed musiał uprzedzić Zee i dziewczyny, bo wszyscy upierają się, że nie jestem Nefilimem, kiedy tylko wracam do tematu. Trzymają buzie na kłódkę. Szukałam w internecie. Odkryłam, że Nefilim to potomek synów Boga, czyli aniołów, i córek Człowieka, zwyczajnych kobiet. Anioły, które spłodziły Nefilima, są zwane „obserwatorami”, inaczej Grigori.

Wygląda na to, że to dokładnie twój przypadek, Evie – odpowiadam.

Oczy zachodzą jej łzami, kiwa głową.

Wiem. Ale mam nadzieję, że jednak tak nie jest.

Dlaczego? – odpisuję.

Bo podobno Nefilimowie są potomstwem kobiet i Archaniołów, którzy zostali wysłani na ziemię, by czuwać nad ludźmi. Nie mieli łączyć się z nimi w pary, a kiedy to robili, z tych związków rodziły się ogromne złe potwory, zwane Nefilimami, które Bóg musiał zniszczyć powodzią, tak bardzo były nikczemne.

Potopem? – odpisuję. Jak wtedy, kiedy budowano arkę? Widzę, jak kiwa głową. Ogarnia mnie paniczny lęk. Przecież ona nie może być Nefilimem. Nie darowaliby jej życia, gdyby tym była. Ręka mi drży: Reed wiedziałby, gdybyś była Nefilimem. I od razu by cię zabił. Niemożliwe też, żeby Zee ci odpuścił. Powinniśmy im wierzyć, skoro mówią, że nie jesteś czymś takim.

Tylko kilka technicznych drobiazgów wskazywałoby, że nie jestem Nefilimem. Zauważa moje pytające spojrzenie. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, co może nie pozwolić traktować nas jako uosobienia zła. Evie wyjaśnia:

Są trzy rzeczy. Nie mamy białych skrzydeł jak Archanioły. Moje są czerwone i myślę, że tobie też takie wyrosną. Najwyraźniej więc pochodzę od Serafinów. Nie jesteśmy też olbrzymami. Ja nie mam nawet metra osiemdziesięciu wzrostu, a tamte istoty są podobno gigantyczne. I wreszcie – mamy dusze. Nefilimy ich nie miały, nie mogły dostąpić zbawienia.

Przychodzi mi do głowy jeszcze jeden argument: Nie jesteśmy źli. Podkreślam to zdanie.

Wyjmuje mi z ręki rysik i dopisuje:

Podśluchałam, jak Zee mówił Reedowi, że odkrył imię tamtej anielicy, która prowadzi misję przeciwko mnie. To Poganka. Wiesz, czemu tak ją nazywają? Bo z wielkim upodobaniem karała pogan, dawno temu. Kiedy ją ostatni raz widziałam, przysięgała, że wyrwie moje złe serce, a chwilę przedtem złapała ogromne drzewo i cisnęła nim we mnie, jakby nic nie ważyło. Ona się nie podda. Ma to całe Dominium za sobą. Zee mówił Reedowi, że pewnie będą musieli nas niedługo gdzieś przenieść, bo Poganka pojawiła się w okolicy i mnie szuka. Mieli nadzieję, że uzna, że już nas tu nie ma, ale jakimś cudem podeszła bliżej, niż się spodziewali. Poganka nie może mnie znaleźć z Reedem czy Zee. Buns coś wtrąciła, że Dominium zarządzi ich egzekucję, jeśli zostaną uznani za zdrajców. Dominium może postawić Reeda i Zee przed sądem za zdradę, gdyby pomagali Upadłym.

Ręce jej drżą, kiedy pisze ostatnie słowa. Delikatnie wyjmuję z jej dłoni rysik.

Nie jesteście Upadłymi. Staram się ją uspokoić.

I uważasz, że udałoby się nam przekonać o tym tłum wrogich aniołów Mocy? Zwłaszcza że jeden z nich już doniósł, że jesteście Nefilimami. Myślisz, że dadzą nam czas, żebyśmy mogli się wytłumaczyć, zanim wyrwą nam serca? A co stanie się z Reedem i Zee? Czy zdołają przekonać inne anioły Mocy, że nie jesteście źli, zanim ich też zabiją?

Tym pytaniem Evie kończy swój gorączkowy wywód.

Przemyślała to. Wie, że prawdopodobnie nie mielibyśmy ani sekundy, żeby wysunąć jakiegoś argumenty. Od razu rozszarpia nas na strzępy. Bez sądu. Będziemy martwi.

On nigdy nie pozwoli ci odejść – piszę. Patrzę, jak determinację w jej twarzy zastępuje udręka. Ona przecież to wie.

Nie mogę zostać i patrzeć, jak zabijają Reeda. Nie, jeśli mam szansę go uratować. Nie potrafiłabym przetrwać, gdyby zginął. Muszę wiedzieć, że gdzieś tam jest, że żyje, inaczej będzie to mój koniec. Musisz ze mną uciekać, dla ich dobra, bo Poganka ciebie też uzna za Nefilima. Proszę. Nie możemy już oczekiwać od nich ochrony. Przykro mi, Russell, szkoda, że nie miałeś czasu bardziej ewoluować, że natychmiast muszę cię wyrwać spod klosza, ale jeśli Poganka nas znajdzie, wszyscy zginieją. Nie dopuszczę do tego. Gdybyśmy zostali, to byłoby morderstwo, jakbyśmy sami ich zabili. Upuszcza rysik i ukrywa twarz w dłoniach. Jest strasznie zrozpaczona.

Przytulam ją do piersi. Tak dobrze mieć ją znów w ramionach. W pewnym sensie moje największe marzenie się spełnia, jestem tak szczęśliwy, że trudno mi się pohamować. Ponad wszystko na świecie pragnę mieć ją tylko dla siebie. To jedyny sposób, żeby ją odzyskać, zrobię wszystko, żeby mieć tę szansę. Wszystko – mówię sobie w duchu, przytulając ją mocno do siebie.

– Kiedy ruszamy? – szepczę. Czuję wilgoć jej łez na swojej nagiej piersi, kiedy płacze trochę z ulgi, że się zgadzam, a trochę z rozdzierającego żalu, że musi zostawić Reeda.

– Niedługo. Od jakiegoś czasu to planuję, odkąd wróciliśmy. Z początku to była tylko jedna z opcji. Ktoś powiedział mi, że powinnam się na coś takiego przygotować – odpowiada też szeptem.

– Dokąd pojedziemy? – Mam nadzieję, że to już zaplanowała, bo jeśli nie, to nasza podróż nie potrwa długo. Reed jest jak pies gończy, jeśli chodzi o Evie. Nie spocznie, póki jej nie odzyska.

– Na północ – mówi, a ja wzdrygam się lekko, bo już teraz wydaje mi się, że jestem aż za daleko na północy.

– Czyli? – pytam, potem słucham jej planu.

Rozdział 8

DECYZJA

Ucieczka od aniołów, które chronią mnie od kilku miesięcy, nie wymaga ode mnie specjalnej finezji. Buns, Zee i ja mamy wspólne zajęcia z nauk politycznych. No, zresztą na wszystkie ćwiczenia chodzimy razem, ale Ruda ma rację, że moje zadanie będzie proste. Zee i Buns są tak w sobie zapatrzeni, że mają klapki na oczach i niczego poza sobą nie widzą.

Parkujemy na kampusie, Zee bierze torbę Buns i ruszamy do głównego budynku uczelni. Sprawdzam godzinę. Nie mam dużo czasu na ucieczkę. Muszę się zwijać w piętnaście minut. Bo jeśli wcześniej odkryją, że Evie zniknęła, mogą nabrać podejrzeń i zacząć mnie wypytywać. Wchodzimy do sali, siadamy na swoich miejscach. Przez chwilę grzebię w torbie, jakbym czegoś szukał.

– O, kurde, Zee... – Uśmiecham się kwaśno. – Zostawiłem podręcznik w aucie. Dawaj kluczyki, skoczę. – Wyciągam dłoń po kluczyki do nowego chevroleta tahoe, którym podjechaliśmy do szkoły.

– Może ja podbiegnę, będzie szybciej? – rzuca, arogancko podkreślając swoją przewagę.

Uśmiecha się niczego nieświadomy, a ja czuję, jakby mnie ktoś walnął w brzuch. Okropnie mi przykro. Jesteśmy dla siebie jak bracia. W te kilka miesięcy nawiązała się między nami silna więź, a teraz czuję się jak Judasz, kłamiąc mu tak w żywe oczy. Muszę przypomnieć sobie, że przecież próbuję go ratować. Żeby nie został przez swoich uznany za zdrajcę.

– Nieee, jeszcze zajrzę po drodze do toalety. Trochę się spóźnię, trudno. – Wyczekująco trzymam dłoń.

– Skarbie, masz moją książkę, ja już to przerabiałam – proponuje usłużnie Buns.

Jest śliczna jak baśniowa wróżka. Zdaję sobie sprawę, że już nigdy kogoś takiego nie spotkam. Za nią też będę tęsknił i za tym, jak mi matkuje, odkąd zostałem odcięty od swoich bliskich.

Nie myśl o tym teraz – nakazuję sobie. Chciałbym podziękować jej za to, co dla mnie zrobiła, kiedy wszystko tak mi się spieprzyło. Napisałem do nich listy – usprawiedliwiam się w duchu. Są w torbie, którą tu zostawiam. Na pewno je znajdą, kiedy zniknę. Ale do Reeda nie potrafię napisać. Oczywiście jestem mu wdzięczny za pomoc. Bez niego moja rodzina na pewno wpadłaby w łapy Alfreda, ale skradł serce mojej dziewczyny, więc jesteśmy kwita. Jednak jemu też coś zostawiam. Tablet, na którym razem z Evie pisaliśmy tamtej nocy. To wyjaśnia, dlaczego ona go opuszcza. Chyba tyle jestem mu winien.

– Robię sobie notatki w książce, żeby ich nie zgubić – wyjaśniam, gdy Zefir podaje mi klucze. – Dzięki, Zee.

Ostatni raz oglądam się na nich, starając się zapamiętać ich twarze, potem obracam się i wychodzę z sali w nadziei, że nie popełniam największego błędu w życiu. No, jeśli nawet to

pomyłka, to nie pożyję dość długo, żeby jej żałować. Biegnę do samochodu i wskakuję za kierownicę.

Wycofując się z parkingu, wyciągam z kieszeni mapę, którą wydrukowała mi Ruda, i rozkładam ją, gdy opuszczam kampus. Mamy się spotkać na dworcu w Coldwater. Zostawimy chevroleta na parkingu pod stacją. Ruda zarezerwowała dwa bilety do Chicago ze swojej karty kredytowej. Dostała ją od wujka, jak jechała do Crestwood. To ostatni zakup z tej karty, bo już nie będzie Genevieve Claremont. Skontaktowała się z prywatnym detektywem, Ryanem jakimś tam, który pracował z Jimem. Powiedziała mu, że człowiek, który zabił wujka, na pewno ją śledzi, a ona nie wierzy, że policja ją przed nim ochroni. W zasadzie nie kłamie. Alfred poluje na nią i pewnie tak będzie, dopóki go nie zabiję, co zrobię natychmiast, kiedy tylko się przeistoczę i znajdę tę gnidę.

Ryan z kolei zna faceta, który robi paszporty i fałszywe dokumenty za kasę. Nie pytałem, ile to kosztowało ani skąd wzięła pieniądze, żeby kupić nam nowe nazwiska, ale mam wrażenie, że wydała na to sporo z tego, co zostawił jej wujek. Wreszcie ma za co pochwalić Klub Matek z Crestwood. Wycięła nasze zdjęcia z książki teleadresowej pierwszego roku i wysłała Ryanowi do nowych paszportów i innych dokumentów. Teraz nazywa się Lillian Francis Lucas. Poćwiczyłem sobie w myślach, żeby się z tym oswoić, i zdecydowałem, że będę mówił do niej po prostu Ruda, póki nie przywyknę do nowego imienia. A może ta Lillian się przyjmie, zobaczymy. Nie mogła sama wybrać sobie nazwiska, bo, jak sądzę, wzięli je po kimś niedawno zmarłym. Chyba tak to działa. Dali jej numer ubezpieczenia społecznego Lillian i sfalszowali metrykę. Zmienili datę urodzenia, żeby miała osiemnaście lat.

Nie znoszę swojego nowego imienia – myślę, uważnie popatrując w lusterko, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie nie śledzi. Zee na bank już zauważył, że dziwnie długo nie wracam. Telefony pewnie się rozdzwoiły, jeśli Rudej też udało się wymknąć. Nie widzę za sobą żadnego auta, koncentruję się więc na drodze przed sobą.

Mówi się, że los kpi sobie z nas. Teraz wiem, że to prawda. Jak tylko dostałem nowy paszport, Evie żartowała sobie ze mnie, z mojej karmy. Henry David Grant. Matka byłaby zdumiona, gdyby się dowiedziała. Co za przypadek: Grant, a dorastałem z dwiema siostrami o imionach Scarlett i Melanie. Pewnie mam szczęście, że nigdy nie będę mógł się skontaktować z mamą, żeby jej to powiedzieć. Biorąc pod uwagę, jak Reed potrafi urabiać ludzi, to wykluczone. Gdybym zdradził jej, jak się nazywam, to koniec. Następnego dnia stałby już w progu. Nie mogę do nich nawet zadzwonić albo wysłać im esemesa czy maila, bo Reed potrafi to wytropić. Tak twierdzi Evie. Powiedziała, że musimy zniknąć z sieci, aż zdobędzie dla nas nowe telefony i nowy komputer. Pewnie Reed znalazłby nas nawet po IP laptopa, który jej podarował.

Dobrze, że Ruda o tym wszystkim wie. Jest w tym prawie tak dobra jak on.

Henry Grant, powtarzam sobie w myśli i oddycham głęboko, żeby mniej doskwierała mi ta zbitka. Właściwie nie chodzi o nazwisko, jeśli mam być szczery. W końcu to tylko

nazwisko. Gdyby Ruda nadała mi najświetniejsze, jakie mógłbym sobie wymarzyć, i tak byłoby do bani, bo nie byłoby moje. Ale cudze. Rezygnuję z tego, co przynależne mi z racji urodzenia. Russell Marx. Ja. To tak, jakbym oddawał swoje człowieczeństwo. Bo jako Russell byłem po prostu człowiekiem. Teraz mam być Henrym, a to jakiś pieprzony półanioł. Miałem tysiące imion w tysiącu różnych wcieleń, ale z jakiegoś powodu to właśnie z tym, Russellem Marxem, najtrudniej mi się rozstać. Może dlatego, że nie umieram i nie przechodzę do kolejnych wcieleń. No nie wiem, ale to strasznie boli. Kurczowo ściskam kierownicę, przejeżdżając przez senne miasteczka między Crestwood a Coldwater z większą szybkością, niż powinienem.

Sprawdzam prędkość i odpuszczam pedał gazu, kiedy przychodzi mi do głowy następna myśl. Może sam siebie oszukuję? Gdybym miał być całkiem szczery, musiałbym przyznać, że część Russella umarła kilka miesięcy temu na posadzce tamtego marketu. Coś przeżyło, ale to nie do końca ja. Nie, teraz jestem inny. Czuję to. Moje przeznaczenie jest inne, Russell nie byłby w stanie mu sprostać, nie ten w swojej dawnej postaci. Zmieniam się, bo muszę. Zerkając, czy nie pojawiają się za mną jakieś znajome samochody, trafiam na swoje odbicie w lusterku. Nawet wyglądam inaczej – myślę, bo ledwie się rozpoznaję. Kiedy Evie mnie uzdrawiała, nastawiła mi nos krzywo zrosnięty po złamaniu. Poza tym moja skóra zaczyna nabierać tego anielskiego blasku, który mnie trochę przeraża. Tak jakby mnie ktoś podświetlał od środka czy co. Aż mnie przechodzi dreszcz.

No tak, zmieniłem się zdecydowanie. Miałem osiemnaście lat. Teraz jestem o wiele, wiele starszy. Umierałem jako osiemnastolatek, a odzyskałem przytomność jako wiekowy facet, który pamięta to, czego nie widział tymi oczami. Raz jeszcze spoglądam w lusterko na swoje piwne oczy. Umieję orać pole pługiem zaprzężonym w wołu. Potrafię robić alkohol z miodu i wiem, ile trzeba nalać do każdej beczki. Jak się dobrze zastanowić, to zмайstruję nawet same beczki. Potrafię tkąć. Pleść kosze i wyrabiać świece. Rozpalać ogień bez zapalek.

Właściwie zbudowałbym wszystko, co mi przychodzi na myśl. Od glinianej chaty, poprzez maszyny, aż po iglice katedr. Potrafię podnosić żagle i żeglować, posługując się sekstantem. Znam mnóstwo języków, niektóre z nich już nawet nie istnieją. I umiem zabijać. Kulami, mieczem, szablą, strzałami z łuku, toporem, czakramem, nożem, sztyletem, z procy, kamieniem i całą gamą różnych typów broni, o których nawet nie chce mi się wspominać.

W Coldwater jeszcze raz sprawdzam mapę, potem kieruję się znakami, które prowadzą prosto na dworzec. Ruda mówiła, żebym stanął na parkingu i czekał tam na nią. Wyraźnie zaznaczyła: mam nie wysiadać i nie wałęsać się bez niej. Z początku uśmiełem się z tego, ale opowiedziała mi o człowieku-cieniu, którego spotkała, kiedy była w tutejszej kawiarence podczas ostatniego semestru. Kiedy się o tym dowiedziałem, jeszcze bardziej zrobiło mi się wstyd, że tak paskudnie się zachowałem. To niewybaczalne, że rozwalilem wtedy ten cholerny firewall, który z takim trudem dla mnie zdobyła. Aż mi się robi niedobrze na myśl, że przez cały ten czas była zdana jedynie na tego podłego świra Alfreda.

Widzę już dworzec. Wjeżdżam na parking i znajduję miejsce w głębi. Wyłączam silnik. Wypatruję Rudej, ale kręcą się tu tylko jacyś uśmiechnięci ludzie z bagażami. Wyglądają na szczęśliwych. Ciekawe, dokąd się wybierają. Może do Chicago. Podążam wzrokiem za parą podróżnych – spieszą na peron, żeby zdążyć na pociąg, który zabierze ich tam, gdzie naprawdę chcą jechać. Na moment ulegam zazdrości, zaciskam zęby i pięści. Już prawie nie pamiętam, jak to jest być w pełni człowiekiem i nie mieć pojęcia o tym, że anioły naprawdę istnieją. Ha! Nawet jeśli w nie wierzyłem, wyobrażałem je sobie zupełnie inaczej. Jak mogłem dać się nabrać na te wszystkie słodkie bajki? Powinienem uważniej słuchać zakonnic, kiedy ostrzegały, że grzesznicy będą się smażyć w ogniu piekielnym, zepchnięci w otchłań przez mściwe anioły. To bardziej w stylu tych skrzydlatych stworów. No, w każdym razie aniołów Mocy. Anielice Kosiarze są miłsze... przynajmniej te Boskie.

Jeszcze raz patrzę na zegarek, żeby sprawdzić, czy nie jestem za wcześnie, ale nie – zdążyłem idealnie na czas. Gdzie się podziewasz, Ruda? – pytam w duchu, podrygując nerwowo kolanem. Zaglądam w lusterko, bo może ona jest gdzieś tam z tyłu. A może nie dała rady? Czuję, jak ogarnia mnie fala niepokoju. To jedyna szansa, żeby przyjęła mnie z powrotem do serca. Przy Reedzie to wykluczone. Jest dla niej jak narkotyk. Będzie świrować, kiedy go zabraknie.

Jestem na to gotowy. Muszę tylko pomóc jej przebrnąć przez pierwsze miesiące, potem jakoś się z tego otrząśnie. W ostatnim semestrze było już prawie dobrze, kiedy pocałowałem ją nad jeziorem. Odpowiedziała na ten pocałunek, przynajmniej z początku, choć potem mnie odepchnęła, ale przecież w pierwszej chwili go odwzajemniła. Nie wiedziałem wtedy, dlaczego tak się zachowuje, ale teraz wiem. Jej dusza mnie pragnie, nie Reeda, ale mnie. Musi być sposób, żeby znów na mnie reagowała. A jeśli jest, na pewno go znajdę. Muszę zaryzykować. Dla niej warto narazić się na wszystko, bo nie wyobrażam sobie, żebym ją sobie odpuścił, tak jak ona nie potrafiła postawić na mnie kreski, kiedy umierałem w jej ramionach.

Coś musiało się stać – myślę. Ściągam ponuro usta, gdy znów zerkam na zegarek. Spóźnia się. Ale jej dużo trudniej uciec – tłumaczę sobie. Musi zmylić Brownie i Reeda. Z Brownie powinno pójść w miarę gładko. Ona ufa Rudej i nie stara się chronić jej przed każdym drobiazgiem, który może spowodować jakieś kłopoty. Ale Reed nie odrywa od niej oczu... zresztą pewnie rąk też – dodaję w duchu, marszcząc brwi. Nie powiedziała mi, jak planuje mu się wymknąć. Kiedy pytałem, stwierdziła, że nie da się tego zaplanować, bo to ma wyglądać jak najbardziej naturalnie, a od przetwarzania w głowie wariantów robi jej się słabo.

Z miejsca na parkingu widzę, jak ze stacji wyjeżdża pociąg, i robię się coraz bardziej niespokojny. Obserwuję migające światła na niedalekim przejeździe, serce mi przyspiesza. Szlabany opadają powoli, zatrzymując ruch, a głośny sygnał ostrzega przed pociągiem, który się zbliża i z łoskotem przetacza między szlabanami. Tutuk, tutuk, tutuk. Wagon po wagonie, spomiędzy nich przebłyскуje na mnie słońce. Przecież to nie mój pociąg odjeżdża –

uspokajam sam siebie. W ogóle nie zamierzamy podróżować koleją. Chcemy tylko, żeby anioły tak pomyślały.

Ruda naprawdę popracowała nad tym planem. Ma kupić bilety do Chicago, ale ruszymy przez miasto na dworzec autobusowy i wsiądziemy w autobus jadący na północ. Mówiła, że musimy zyskać na czasie, żeby tam dotrzeć. Oni pewnie będą usiłowali dogonić pociąg, zwłaszcza że zmierza do Chicago, co na pewno przerazi i zmyli Reeda. A według niej nie wolno nam jechać do Chicago, bo to zbyt ryzykowne. Jeśli Reed uwierzy, że się tam wybieramy, będzie nas ścigał jak wariat, bo uzna, że wpadniemy prosto na Upadłych.

Ruda próbowała nauczyć mnie, jak myśleć strategicznie, kiedy ma się do czynienia z aniołami. Mówi, że aby na nich nie trafić, trzeba trzymać się małych sennych miasteczek, unikać luksusów i wszystkiego, co zabawne. O dziwo, takie życie wydaje mi się teraz bardzo pociągające. Nuda będzie miłą odmianą po tym szaleństwie, które przeżywaliśmy w ostatnich miesiącach. Sto razy wolę nudę od Upadłych.

Znów sprawdzam czas, kiedy po torach naprzeciwko mnie przetacza się ostatni wagon. Teraz jest już naprawdę spóźniona – zaczynam się martwić o nią na dobre. W najlepszym przypadku Reed przejrzał plan i ją zatrzymał. A w najgorszym, o czym nawet nie chcę myśleć, Alfred. Ogarnia mnie paniczny lęk. Włączam silnik, zanim zdaję sobie sprawę z tego, co robię. Przez chwilę siedzę niezdecydowany, starając się uspokoić i pomyśleć logicznie. Czy powinienem jechać jej szukać? Zadzwoić do Zefira i zdradzić, co robimy? Czy czekać i z powodu drobnej obsuwki nie zawalić planu, który układała od miesięcy? Kolano mi podryguje już na całego, nerwowo pocieram dłońmi o dzinsy.

Musimy ruszać jak najszybciej, jeśli chcemy zdążyć na autobus do Mackinaw. Tam już czeka na nas samochód, który załatwił nam Ryan. Ruda uprzedziła, żebym zbyt wiele się nie spodziewał, bo to będzie jakiś gruchot, coś kompletnie innego niż luksusowe wozy, do których przywykliśmy w ostatnich miesiącach. Spodziewam się lekkiego szoku pod względem komfortu, bo nasze warunki życia gwałtownie się zmieniają, nie będziemy już VIP-ami. Muszę przyznać, że podobały mi się te wszystkie ciuchy, którymi zasypywały mnie Buns i Brownie, kiedy dla rozrywki szalały po sklepach. Ale musiałem to zostawić, wracam do swojego starego sposobu ubierania się w bawełniane koszulki i dzinsy. Mam nadzieję, że znajdę odpowiednio duże rozmiary, kiedy dotrzemy do jakiegoś marketu... Staram się trzymać ustaleń i nie wycofać gazem z parkingu, żeby szukać Rudej.

Bezwiednie wyciągam smartfona z numerami wszystkich naszych aniołów. Palec mi drży nad przyciskiem. Wpatruję się w niego z wahaniem, czy włączyć. Jeśli to zrobię i zadzwonię do Zee, przekreślę nadzieje na odzyskanie Rudej. Ale jeśli wpadła w kłopoty i nie dam im znać, to przeze mnie może zginąć. Aż mnie skręca w żołądku, kiedy dotykam przycisku i widzę, jak rozbłyскуje ekran. Telefon natychmiast zaczyna dzwonić. Patrzą, kto się wyświetla – Zee. Już przesuwam palec, żeby odebrać, gdy słyszę ciche pukanie w okno. Podnoszę wzrok: z drugiej strony szyby patrzą na mnie najpiękniejsze oczy na świecie. Wyłączam

komórkę i otwieram drzwi. Nie zwracając uwagi na smutek Rudej, podnoszę ją i ściskam z ulgą.

– Oj... dusisz mnie... – sapie, próbując się wyswobodzić.

Posłusznie trochę odpuszczam, ale to trudne.

– Musimy jak najszybciej zdobyć inne telefony – szepczę jej do ucha. – O mało nie zadzwoniłem do Zee, bo się o ciebie martwiłem, a wiedziałem, że nie masz przy sobie komórki.

– Ty też nie powinienesz zabierać swojej – upomina mnie, kiedy stawiam ją na ziemi. Pochyla się do auta i bierze telefon, który teraz pika. – Mogą sprawdzić przez satelitę, gdzie się logował twój smartfon. W ten sposób będą mniej więcej wiedzieli, gdzie jesteśmy. Nie możemy zabrać ze sobą tego telefonu. – Wyłącza go i rzuca na tył auta.

– Wiem, złościsz się na mnie, ale wziąłem komórkę na wszelki wypadek. Gdyby coś poszło nie tak i musielibyśmy zrezygnować z planów – tłumaczę, przypatrując się jej twarzy. Wygląda marnie, jakby miała trudności z oddychaniem. – Spóźniałaś się, a ja już wyobrażałem sobie różne potworne rzeczy, które mogły cię spotkać. Dlatego chciałem dzwonić do aniołów.

– Nie wolno ci tego robić, Russell – mówi cicho. – Nawet gdyby stało się coś złego. Od teraz musimy radzić sobie sami. Tylko ty i ja. Nie możemy się z nimi kontaktować, bo nie powinni już za nas odpowiadać... przynajmniej do czasu, kiedy uda się nam znaleźć sposób, żeby nikt nie uznał ich za zdrajców przez to, że nam pomagają. Jeśli coś wykombinujesz, żebyśmy mieli taką pewność, natychmiast wrócimy, ale dopóki nie... – urywa, stara się ukryć przede mną, jak bardzo to ją boli.

– Czyli ruszamy. Jesteś na to gotowa? – Mam na myśli porzucenie Reeda.

Chyba wie, o co mi chodzi, ale puszcza moje pytanie mimo uszu.

– Muszę jeszcze kupić bilety, żeby anioły uwierzyły w naszą podróż pociągiem – mówi. – Chciałam tylko zostawić listy w aucie. – Wyciąga koperty z małego plecaka i kładzie je na siedzeniu kierowcy. – Zaczekaj tu. Skoczę do kasy, a potem pójdziemy do autobusu.

– Idę z tobą. – Nie chcę spuścić jej z oka ani na moment.

– Nie. Muszę się pospieszyć. Jesteśmy spóźnieni. Za sekundę wracam – obiecuje, patrząc mi w oczy. Musiała zauważyć, jak bardzo się o nią martwię, bo uśmiecha się lekko i dodaje: – Dam sobie radę, Russell... to znaczy, Henry. Twarda ze mnie sztuka. – I w jednej chwili znika.

Odwracam się, żeby wziąć swój plecak, który wcześniej wrzuciłem do tahoe. Mam tam jedną zmianę ubrań i kilka zdjęć rodziny, ale to właściwie wszystko, z czym zaczynam nowe życie. Zamykam bagażnik i wracam do przodu zabrać kluczyki i zostawić je pod fotelem kierowcy, zanim zatrzasknę drzwi. Koperty leżą na siedzeniu przede mną. Zaadresowana do Reeda na wierzchu. To ostateczne pożegnanie Evie z Reedem. Podnoszę kopertę. Wiem, że nie powinienem otwierać, nawet kiedy zaczynam już czytać jej list, ale z jakiegoś masochistycznego powodu nie umiem się powstrzymać.

Kochany Reedzie!

Szkoda, że nie nauczyłeś mnie swojego pięknego anielskiego języka. Mogłabym wtedy opisać, jak bardzo Cię kocham, by zabrzmiało to jak muzyka z Twojego świata. Ale ja do niego nie należę i może to nie będzie mi już dane. Nigdy nie uświadamiałam sobie tego równie mocno jak teraz, kiedy muszę przeprosić za sytuację, w jakiej Ty i pozostałe anioły znaleźliście się z mojego powodu. Wiem o Pogance i Dominium. Podśluchałam Waszą rozmowę w bibliotece tamtej nocy. Nie dopuszczę do tego, żebyście zginęli za to, że istnieję. Nie pozwolę, żeby przeze mnie Boskie anioły uznały Was za zdrajców. Jedyne, co mogę zrobić, żebyście byli bezpieczni, to odejść. Nie zrozum mnie źle. Nie chronię Ciebie, bo wiem, że nie potrzebujesz mojej ochrony. Chronię siebie, bo nie byłabym w stanie żyć, gdyby Ciebie zabrakło. Zrobię więc wszystko, co trzeba, żeby Cię uratować. Moją jedyną nadzieją na przetrwanie jest świadomość, że Ty gdzieś tam istniejesz na tym świecie, pod tym samym słońcem, tymi samymi gwiazdami.

Gdybym umiała znaleźć słowa, by wyrazić, co czuję, na pewno uwierzyłbyś, kiedy mówię, że Cię kocham, ale obawiam się, że zaczniesz w to wątpić, jak odejdę. Chyba najlepiej ujął to Szekspir:

Wątp, czy gwiazdy lśnią na niebie;

Wątp o tym, czy słońce wschodzi;

Wątp, czy prawdy blask nie zwodzi;

Lecz nie wątp, że kocham ciebie^[1].

Teraz modłę się tylko o jedno – żebyśmy pewnego dnia znów się spotkali. Będę trzymać się tej nadziei, dopóki prądy się nie odmieniają, żebym mogła do ciebie wrócić. Niech Cię Bóg błogosławi. Do zobaczenia, mój Aniele.

Twoja zawsze i na zawsze,

Evie

Wsuwam list z powrotem do koperty i kładę na innych. Robi mi się niedobrze. Napisała to szczerze. Co do słowa. Moja zazdrość o Reeda sięga zenitu. Jak on zdołał tak bez reszty zawojować jej serce w kilka miesięcy? Tyle razy z nią żyłem i to jakby się nie liczy! Ciskam kluczyki pod siedzenie, po czym blokuję i zatraskuję drzwi. Opieram się o tahoe i zamykam oczy. Czas. Czas jest po mojej stronie. Im więcej czasu z nią spędzę, tym większa szansa, że ją odzyskam. Ona daje mi czas i muszę go wykorzystać. Zegar poszedł w ruch, każda chwila to okazja, która jemu nie będzie dana – myślę i niemal uśmiecham się, wyobrażając sobie dzień, kiedy Ruda się podda i zechce przyjąć mnie z powrotem.

– Gotowy? – Zjawia się ponownie.

Nawet nie usłyszałem, jak się zbliża. Chodzi, jakby się skradała, zupełnie jak Reed. Są jak koty, w jednej chwili ich nie ma, a w następnej nagle wyrastają tuż przed tobą i mierzą cię wzrokiem.

– Taaak, to daleko? – pytam, kiedy ruszamy biegiem przez parking.

– Jakieś cztery i pół, może sześć kilometrów stąd. – Bez trudu dotrzymuje mi kroku.

Pewnie byłaby na miejscu w niecałą minutę, ale nie zostawia mnie w tyle, a ja staram się utrzymać dobre tempo. Nie jest mi trudno przebiec taki kawałek, bo nadal jestem w niezłej formie, w końcu grałem w futbol. Ale jej nawet nie pocieknie kropelka potu, kiedy lekkimi susami podskakuje i niemal frunie obok mnie.

Na dworcu kupujemy bilety do Mackinaw. Płacimy gotówką. Pasażerowie już wsiadają, pędzimy więc do autobusu. Znajdujemy dwa miejsca obok siebie w tyle pojazdu, plecaki wsuwamy pod fotele przed nami. Evie lituje się nade mną – sama zajmuje fotel przy oknie, a mnie pozwala się przy przejściu, żebym mógł swobodnie postawić swoje długie nogi. Strasznie tu ciasno. Nie chcę nawet myśleć o tym, jaki będę obolały, kiedy dotrzemy do Mackinaw za jakieś sześć godzin.

Autobus wytacza się z parkingu. Patrzę na Rudą, łyzy ciekną jej po policzkach. Odwraca ode mnie twarz, żeby je ukryć. Podnoszę podłokietnik, który nas dzieli, i obejmuję ją ramieniem. Przytulam mocno do siebie i gładzę po włosach, kiedy płacze. Nic więcej na razie nie mogę zrobić.

Wreszcie, po jakichś dwóch godzinach jazdy, usypia. Patrzę na krajobraz za brudnym oknem. Moja głowa wystaje ponad szczyty foteli, mam więc dość dobry widok na to, co się dzieje w autobusie. Jesteśmy tu raczej bezpieczni. To żaden cud, że nie ma tu aniołów. Upadłych czy Nieupadłych. Żalony sposób podróżowania. Jesteśmy ściśnięci jak sardynki. A siedzenia wyglądają tak, jakby ktoś się na nie wyrzygał co najmniej kilka razy. Zresztą w ogóle przydałoby się, żeby ktoś porządnie wyszorował ten pojazd. Nie chodziłem jeszcze do toalety, ale zapaszek dolatujący z tyłu sprawia, że chyba cierpliwie poczekam na jakiś mały postój.

Rozumiem, dlaczego Ruda postanowiła wybrać autobus. Nie potrafię sobie wyobrazić Zefira jadącego czymś takim. Za nic nie wsiadłby do tego środka lokomocji. Wolałby śmierć. Opowiadał mi o tym, jak prowadził minivana – zupełnie jakby to było traumatyczne przeżycie. Trochę śmieszne to jego marudzenie. Mówił mi też, jak kiedyś siedział po pas w błocie, w rowie, podczas pory monsunowej. Polował wtedy na Upadłego i czekał, aż tamten wpadnie w jego sidła. No ale jazda minivanem to dopiero prawdziwa niedola! Pewnie jak się poluje, to niewygody mniej straszne. Przebiega mnie dreszcz na myśl o tym, co słyszałem o Pogance. Ciekawe, w jakiej dziurze gotowa jest się przyczaić, byle tylko nas dorwać.

Autobus robi pierwszy postój na stacji benzynowej z małym sklepem, w jakiejś wsi. Zastanawiam się, czy nie wysiąść i nie rozprostować nóg, ale nie chcę budzić Rudej. Muszę też przyznać, że jakoś nieswojo się czuję w pobliżu jakichkolwiek marketów. Nikomu o tym nie mówiłem, ale nie jestem w stanie wejść do żadnego, od tamtego koszmarnego wieczoru z Alfredem.

Na przystanku dosiadają się do nas dwie pasażerki – nastolatki, mniej więcej w naszym wieku. Ale one wyraźnie cieszą się tą wyprawą. Z tego, co słyszę, jadą do Mackinaw, żeby załatwić sobie wakacyjną pracę na wyspie. Niedługo maj, jest coraz cieplej, za parę tygodni zaczynałyby się nasze egzaminy, gdybyśmy mogli zostać w Crestwood. Ale pewnie i tak

byśmy do nich nie podeszli. Ruda jest przekonana, że anioły szykowały się do przeprowadzki, żeby Poganka nas nie znalazła.

Nie mam problemu z tym, że rzucam studia. To już po prostu nie wydaje mi się ważne. Wiem, że może w końcu będę musiał wrócić do nauki, jeśli chcę lepiej zarabiać, ale mam na to jeszcze całą wieczność albo w ogóle nic a nic czasu, więc za bardzo się nie przejmuję. A poza tym w jakiej ja pracy się utrzymam, jeśli co chwilę będę się oglądał, czy do biura nie wparowuje jakiś anioł, żeby mnie zarznąć? Nieee, pewnie będę musiał złapać jakąś robotę, gdzie ma się niewiele kontaktów z ludźmi, a najlepiej wcale. Coś, co robiłbym na zapleczu albo w odosobnieniu. Mógłbym na przykład rozładowywać produkty. Pracować nocą, kiedy sklep jest zamknięty, żeby nikt mnie nie zaskoczył. Witajcie, płace minimalne – myślę ponuro.

Nastolatki, które siedzą kilka rzędów od nas, rozmawiają tak głośno, że dociera do mnie każde ich słowo. Poprawiam się w fotelu nieco skrępowany, bo mnie zauważyły i zaczynają wymieniać też jakieś uwagi szeptem. Sądzą, że ich nie słyszę, ale przy moich wyostrzonych od niedawna zmysłach nie ma zmiłuj. Szkoda, że nie zabrałem zatyczek do uszu, bo to żenujące, że tak sobie o mnie gadają. Niektóre ich fantazje można by nawet uznać za karalne.

– Masz adoratorki, Henry. – Ruda poprawia się w fotelu i wyciąga ręce nad głowę, żeby się rozprostować, bo spała cały czas w jednej pozycji. Aż się wzdrygam na dźwięk mojego nowego imienia.

– Czy jest jakieś zdrobnienie od Henry? – Staram się odwrócić jej uwagę od tego, co gadają te dziewczyny przed nami.

– Francuzi wymawiają to „Ari”. – Uśmiecha się i wierci, żeby pogimnastykować plecy.

Wydaje się bardziej odprężona i wygląda seksownie z włosami potarganymi od snu.

– Nie, to obciachowo – oponuję i odpowiadam uśmiechem na jej uśmiech.

– Może Hank? – zastanawia się dalej.

– Mocne. Pasowałoby do wykidajły w barze na prowincji. Hej, Hank, wywal stąd tego gościa! – mówię z bardzo południowym akcentem, żeby wypróbować swoje imię.

– Przecież jesteś twardzielem, Hank. Dziękuję, że pojechałeś ze mną. Bez ciebie nie dałabym rady.

– Ty i ja, tak było od zawsze. – Uśmiecham się, biorę ją za rękę i leciutko ściskam.

Kiwa głową, jakby przyjmowała moje stwierdzenie. Ale po chwili marszczy brwi.

– Słuchaj, muszę ci teraz opowiedzieć o wszystkim, co starałam się zrobić, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. – Przybiera napięty wyraz twarzy. Doskonale rozpoznaję tę minę: Ruda martwi się i denerwuje. – Od tej pory musimy być bardzo ostrożni, więc chciałabym wyjaśnić ci kilka zasad, których powinniśmy się trzymać, żeby unikać złego towarzystwa.

– Dobra, zamieniam się w słuch. Nie musisz zasuwać z tym milion kilometrów na godzinę, mamy mnóstwo czasu, wierz mi. Nie sądzę, żeby ten autobus choć raz przekroczył dozwoloną prędkość, odkąd ruszyliśmy. – Staram się ją trochę uspokoić, niech się tak nie stresuje.

– Racja. Jestem chyba za bardzo nabuzowana. – Bierze kilka głębokich oddechów. – Pierwsze, co chcę ustalić, to tajny sposób porozumiewania się, gdybyśmy zostali rozdzieleni... – Obserwuje moją reakcję. Kiwam głową, ale jej nie przerywam, więc ciągnie dalej: – Założyłam na Facebooku profil, który możesz sprawdzić, gdybyś musiał mnie znaleźć. Poszukaj Aoibhe Campbell. Moje hasło do logowania się to „Leander”. Stworzyłam też twój profil. Leander Duncan. Hasło: Aoibhe – wyjaśnia, a ja uśmiecham się, że jest taka sprytna. – Możesz robić na swoim jakieś wpisy, co chcesz. Gdybyśmy się rozdzielili, w ten sposób dasz mi znać, gdzie jesteś, a ja cię znajdę. Sprawdzaj na moim, czy ci coś przekazuję. Na końcu każdego wpisu dam uśmiechniętą buźkę, będziesz więc wiedział, czy to na pewno ja. Gdyby takiej buźki nie było, to znaczy, że tego nie pisałam i że to pułapka. Rozumiesz?

Przytakuję.

– W razie niebezpieczeństwa możesz pójść do jakiejś biblioteki i użyć komputera. Wiesz, jak się wchodzi na Facebooka?

– No jasne. Nie jestem tumanem – zapewniam ją z uśmiechem.

– Wiem – mówi szybko, jakby się bała, że mnie urazi. – Musimy unikać wszystkiego, co lubią Upadli. Czyli na przykład barów. Jeśli jacyś kumple będą chcieli wyciągnąć cię na drinka, musisz się wykręcić, bo nie możemy ryzykować.

– Nie mam już fałszywego dowodu tożsamości, Ruda, no w każdym razie takiego, który pozwoliłby mi kupić alkohol. Henry dopiero co skończył dziewiętnaście lat – przypominam jej, że mam gotowe usprawiedliwienie w razie zaproszenia na drinka.

– No tak. Zostawiłeś tamte fałszywe dokumenty w Crestwood. – Przygryza dolną wargę, a ja znów kiwam głową. – Dobrze... – Stara się otrząsnąć ze smutku. – Mmm... musimy też unikać wielkich uroczystości czy tego, co robią bogaci ludzie. – Mam pewnie głupią minę, bo dodaje: – No, to nie takie proste, bo trzeba działać na czuja. Na przykład gdyby organizowano pokaz sztucznych ogni z okazji czwartego lipca czy coś w tym rodzaju. Nie powinniśmy tam iść, bo anioły lubią fajerwerki. Żebyś ty widział Buns, jak o nich opowiadała. Jakby to było coś najbardziej ekscytującego na świecie. Pewnie dlatego, że anioły rodzą się z ognia – dorzuca ot, tak, mimochodem.

– Że co? – pytam.

– Ale co „co”?

– Anioły rodzą się z ognia?

– Zgadza się. Reed kiedyś o tym wspomniał, a Buns też się wysnęło. Nie wiem, czy to trzeba rozumieć dosłownie, czy to raczej przenośnia, ale stawiałabym na to pierwsze, bo Buns nie ma skłonności do metafor.

– A z czego w takim razie my jesteśmy stworzeni? – pytam, próbując zrozumieć.

Wzrusza ramionami.

– Z ziemi... „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”, jak to jest napisane w Biblii.

– A teraz jesteśmy połączeniem ziemi i ognia?

– Mhm. Jeszcze tylko wiatru brakuje, a bylibyśmy zespołem Earth, Wind and Fire^[2] – rzuca żartem. – Ale o czym to ja mówiłam... no tak, staraj się nie robić nic, co robią bogaci ludzie.

– A niby co takiego oni robią? – Uśmiecham się ironicznie.

– No nie wiem... nie pływaj jachtami – wymienia niepewnie, a ja nie umiem powstrzymać śmiechu.

– Czy coś takiego w ogóle wchodzi w rachubę tam, dokąd jedziemy?

Ruda też się uśmiecha.

– Tak. Będziemy w Houghton. To miasto portowe na Górnym Półwyspie, położone nad przesmykiem Partage, który przecina półwysep Keweenaw na Jeziorze Górnym – recytuje powoli, jakby chciała przytoczyć dokładnie to, co wyczytała. – To miasto uniwersyteckie, ale podobne do Crestwood, na tyle małe, żeby nie interesować Upadłych, a na tyle duże, żebyśmy zachowali w nim anonimowość, wtopili się w tłum zwyczajnych ludzi. Ogólnie nic specjalnego. Sprawdziłam dokładnie. Dawniej były tam kopalnie miedzi.

– Fajnie, może zostanę górnikiem. – Żaden anioł na pewno nie szukałby mnie głęboko pod ziemią.

– Nie – ucina, ściągając brwi. – Pójdiesz na kurs jako Henry Grant, a potem zaczniesz studia techniczne w Houghton. Zdobędziesz wykształcenie, Hank – stwierdza surowo, jakbym sam nie miał tu nic do gadania.

– Coś takiego! A niby jak za to zapłacę? – Poza tym możemy nawet nie dobrać do pierwszej sesji egzaminacyjnej, zanim znów będziemy musieli się przeprowadzić. Powinniśmy być mobilni, gotowi do wyjazdu w jednej chwili. Nie wolno nam podejmować zobowiązań, a już na pewno bez sensu jest wyrzucać tysiące dolarów na edukację, której być może nie zdołam kontynuować aż do zdobycia dyplomu.

– Ja to sfinansuję – rzuca szybko.

– Jakim cudem? – pytam podejrzliwie.

– Przepisałam dom wujka na Ryana. Dał mi za to czek na przyzwoitą sumę. Z tego mam na opłaty i nasze utrzymanie przez jakiś czas – wyjaśnia, przypatrując mi się uważnie.

– Ruda, nie zgadzam się, żebyś mi coś fundowała – stwierdzam oburzony.

– Bez dyskusji. Pójdiesz na studia i koniec kropka. – Wyraźnie się usztywnia i odwraca wzrok, patrzy w okno.

– Wykluczone! – protestuję, jakby totalnie jej odbiło.

– Zrobisz, jak mówię – powtarza uparcie i znów się odwraca. Widzę, że nie ustąpi. Szykuje się do starcia. Chce kłótni, to proszę. – Musisz się uczyć. Nie mogę żyć z tobą, jak będziesz górnikiem, który całymi dniami pracuje głęboko pod ziemią. Musisz zdobyć wykształcenie. Nalegam.

– Ale dlaczego? – W głębi jej oczu widzę, jak bardzo jest zdesperowana. Kiedy uparcie milczy, dodaję: – Lepiej mi powiedz, o co chodzi, Ruda, inaczej się zaprę i do niczego mnie nie zmusisz.

– Bo skradłam ci przyszłość, Russell. Odebrałam ci imię, pozbawiłam cię twojego życia. Jak możesz tu siedzieć i patrzeć na mnie jak na ósmy cud świata, skoro to ja ciebie zniszczyłam? – Po policzkach spływa jej coraz więcej łez. Wyciera oczy zaciśniętymi pięściami, jakby była zła na siebie za to, że znów płacze.

– Ruda, przecież nic takiego mi nie zrobiłaś – próbuję ją pocieszyć, patrząc, jak pochyla głowę i unika mojego wzroku. – Mówię poważnie. Ty mi tego nie zrobiłaś.

– A niby kto? – szepcze tak cicho, że ledwie ją słyszę.

– Hej, tu Henry, do ciebie, Lillian. – Nie zwracam uwagi na jej skrzywioną minę. – Ruda, to musiało być postanowione na długo przed tym, zanim poznałem cię w Crestwood. Myślisz, że to wszystko przez ciebie? – pytam, a ona kiwa głową. – No to chyba zgłupiałaś, przeceniasz swoje możliwości.

– Wielkie dzięki, Hank, od razu mi ulżyło – mruczy pod nosem.

– Taka prawda. Jeśli sądzisz, że mogłaś spowodować to sama, bez pomocy nieba, to chyba ci odbiło. Tak miało być. Czuję to. Wyznaczono mi tutaj pewną misję i czy nam się to podoba, czy nie, ty jesteś w to zamieszana. Nie mam na razie pojęcia, jakie jest nasze zadanie, ale chwila próby się zbliża, to na pewno, czy tego chcemy, czy nie. Będzie ciężko, paskudnie, trochę poboli – przemawiam do niej, jakby była dzieckiem, a ja dorosłym.

Jestem dorosły. Mam tysiące lat i w przeciwieństwie do niej pamiętam je wszystkie.

– Naszą jedyną misją, Hank, jest przeżyć do jutra. A jutro naszym zadaniem będzie przeżyć do następnego dnia. I tak dzień po dniu – mówi przygnębiona.

– Dobra, myśl sobie, co chcesz, ale sama zobaczysz – odpowiadam, nie okazując współczucia. – Ja tymczasem będę wypatrywał znaków, co dalej.

– Może potrzebna ci do tego kryształowa kula? Załatwić ci jakąś? – prycha urażona.

– Nieee, wystarczysz mi ty. I tyle – rzucam lekko.

– To pójdziesz na studia? – wraca do sedna.

– Zobaczymy.

Ani mi się śni poddać się jej władczyim zapędom.

– Będę cię namawiać tak długo, aż się zgodzisz – deklaruje, jakbym jeszcze tego nie wiedział.

– Pewnie, pewnie – ja dalej swoje.

Ona jest wewnętrznie rozbita, poraniona – myślę, kiedy siedzi cicho, wpatrzona w krajobraz za oknem. Jest taka smutna, że byłbym gotów obiecać jej wszystko na świecie, byle tylko poczuła się trochę lepiej.

Do Mackinaw City docieramy o zmierzchu. Kiedy autobus wreszcie się zatrzymuje, podrywam się i wyciągam rękę do Rudej, żeby pomóc jej wyjść spomiędzy foteli, a potem biorę nasze plecaki i kładę dłoń na jej talii, popychając ją naprzód do wyjścia. Co za ulga wy dostać się wreszcie z tego gruchota. Aż chce mi się krzyczeć z radości. Ale patrzę na Rudę i widzę, że robi się jej niedobrze.

Ucieka z przystanku i w mgnieniu oka znika za rogiem budynku. Rzucam się ją gonić przerażony, co się dzieje. Znajduję ją za rogiem. Zaciska palce na pojemniku na śmieci. Wstrząsają nią skurcze, ale nic dziś nie jadła, więc niczym nie wymiotuje. Po jakimś czasie rozluźnia się i ociera usta wierzchem dłoni.

– Muszę wracać, Russell – szepcze, kiedy jest w stanie wydobyć z siebie głos. – Nie czuję go już – dodaje, trzymając się za brzuch, jakby ją bolał. – Pomyśli, że go zdradziłam. Muszę wracać – powtarza i cała się trzęsie jak ćpunka na głodzie.

– Nie zdradziłaś go. On tak nie pomyśli. Będzie wiedział, dlaczego to zrobiłaś. Zostawiłem mu to, co pisałaś, żeby przekonać mnie do ucieczki. Reed to przeczyta. Zrozumie – przekonuję ją też ściszym głosem.

Jęczy i jeszcze kilka razy dostaje skurczy z podobnym skutkiem jak poprzednio, tyle że teraz zaciśniętymi palcami odłamuje brzeg metalowego pojemnika na śmieci. Rozglądam się, czy aby nikt tego nie widzi, bo przecież nic na to nie mogę poradzić.

– On na pewno szaleje z przerażenia. Co zrobi, kiedy nie będzie mógł mnie znaleźć? – pyta, wpatrując się we mnie dzikim wzrokiem.

– Nie wiem. – Chciałbym jej pomóc, ale nie mam pojęcia jak. – Przynajmniej, jeśli pojawi się ta Poganka, nie będzie cię tam, więc nie uzna go za zdrajcę. Zobaczają, że ci nie pomagają, i zostawią go w spokoju.

Kiwa głową i lekko się prostuje.

– Nie mamy szans, Russell – mamrocze z ponurym wyrazem twarzy.

– Mam na imię Henry i sądzę, że damy radę. Jesteś twardzielką, a kiedy mnie wyrosną skrzydła, nie odpuszczę żadnemu Upadłemu. Każdy, którego spotkam, zginie. A teraz chodź, zwijamy się, póki ktoś nie zwróci na nas uwagi – nakazuję, przejmując dowodzenie. Ona jest w rozsypce i im szybciej wsadzę ją do auta, tym lepiej. Biorę ją pod łokieć. – Czego szukamy?

Sięga do plecaka i wyjmuje pomarańczowy klucz do skrytki. Znajduję skrzynkę, a w środku dwa komplety kluczy i list. Biorę klucze, list podaję Rudej. Czyta, po czym podnosi na mnie wzrok.

– Jeep cherokee sport, czterodrzwiowy, biały.

– Cudnie – cieszę się, szczerze. Bałem się, że będę musiał się wciskać do jakiegoś małego hatchbacka, a po niewygodach jazdy autobusem jeep cherokee wydaje się kawałkiem rajy. – Musimy wysłać Ryanowi kosz z owocami w podzięce.

Popycham Rudą w stronę parkingu, gdzie po krótkich poszukiwaniach odnajdujemy jeepa. Otwieram Evie drzwi po stronie pasażera i pomagam jej wsiąść, potem okrążam wóz i zajmuję miejsce za kierownicą. Włączam silnik. Czekam, aż się rozgrzeje. Patrzę na Rudą. To czas na decyzję. Wiem, że to dramatyczna chwila dla Evie, ale powinniśmy powiedzieć sobie wprost: jedziemy dalej czy wracamy? Musimy to uzgodnić wspólnie albo odpuścić sobie wszystko.

– Kim my jesteśmy, Ruda? – pytam wreszcie, spoglądając przed siebie.

– Co? – rzuca nieprzytomnie.

– Evie i Russell? Czy Lillian i Henry? – mówię łagodnie. Czekam na jej odpowiedź. Obserwuję przechodniów, którzy mijają nasze auto roześmiani, zadowoleni ze swojej ludzkiej egzystencji.

– I to, i to – stwierdza głosem bez wyrazu.

– Nie. Jedno albo drugie – nalegam cierpliwie. – Musisz zdecydować. Teraz. Żebym wiedział, dokąd jechać. Na północ czy południe.

Bardzo długo milczy. Już myślę, że nie zdoła udzielić mi odpowiedzi.

– Jestem Lillian Lucas, a ty Henry Grant – duka wreszcie, a w jej głosie jest tyle smutku, że te słowa niemal więzną jej w gardle.

– No dobrze. – Oddycham głęboko, wrzucam wsteczny i ruszam na autostradę.

Skręcam na północ i od razu wjeżdżamy na ogromny most Mackinac, który łączy Dolny Półwysep z Górnym. Jest zimno jak diabli.

– Co to za jezioro pod nami? – pytam, nie potrafię się powstrzymać.

– Michigan – mruczy Evie.

Oboje jesteśmy pod wrażeniem mostu, który się unosi wysoko w powietrzu nad ciemnoniebieskimi wodami.

– Taaak? Piękne. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Jezioro Górne. Fajnie się tam pływa? – pytam, a jej usta drgają, niemal jakby się miała uśmiechnąć.

– Jasne. Jeśli lubisz być lodem na patyku.

– Czyli jest tam za zimno? – Unoszę brwi i się uśmiecham.

– „Zimno” to mało powiedziane. Musiałbyś mieć skórę anioła, żeby próbować się tam teraz zanurzyć. Ciepłejsze jest Huron – informuje.

Płacę za przejazd po drugiej stronie mostu i według znaków jadę na zachód do Escanaba. Mamy zamiar zmierzać dalej aż do Iron Mountain, a stamtąd na północ do Houghton.

Przez jakiś czas mkniemy dwupasmówką, która wije się przez kilka turystycznych miejscowości, a potem nagle otwiera się przed nami widok na zachód słońca nad jeziorem Michigan. Odnoszę wrażenie, że patrzę na ocean. Woda zdaje się tak czysta, piasek na plaży niemal biały, spośród fal tu i ówdzie wyłaniają się ogromne głazy. Krajobraz tak dziewiczy jak w dniu stworzenia. Dookoła ani śladu żywej duszy. Jestem zdumiony. Nie do wiary, że nie roi się tu od turystów spragnionych piękna natury.

– Gdzie się podziali wszyscy ludzie, Ruda?

– Nie wiedzą o tym miejscu. – Wpatruje się w granatową toń. – Tu jest tak dziko. Sądzę, że większość lubi trochę cieplejszą wodę i więcej atrakcji dla wczasowiczów.

– Taaak, ludzie są dziwni – odpowiadam, popatrując na wodę, zanim wreszcie znika nam za gęstym sosnowym lasem.

Nagle uzmysławiam sobie, że od śniadania nic nie jedliśmy.

– Jesteś głodna? – pytam, ale kręci głową. – Widzę, że stale ogłaszają się tu jakieś „paszteciki”. Wiesz, co to takiego?

Uśmiecha się lekko.

– Mięso w cieście. Są różne rodzaje. Można zamówić sobie z serem i warzywami, ale te tradycyjne są z mięsem.

– Brzmi dobrze. Zatrzymajmy się i kupmy sobie kilka. Umieram z głodu.

Podjeżdżam pod mały budynek z pustaków. Szyld głosi „Świeże paszteciki”. Oboje idziemy skorzystać z toalety, ale potem Ruda od razu wraca do auta, a ja zamawiam jedzenie na wynos. Dziewczyna za ladą jest rozmowna. Wypytuje, skąd jestem, zaciekawiona moim akcentem. Kłamię, że z Alabamy, choć wcale nie mam tamtejszej wymowy. I tak się nie zorientuje, bo dla nich wszyscy z południa mówimy tak samo. Zabieram posiłek do auta, wsiadam i podaję Rudej owinięty srebrną folią pasztecik i butelkę wody. Bierze go ode mnie, ale nie wygląda na to, żeby zamierzała jeść.

Wzdycham ciężko. Wolałbym nie podejmować teraz tej rozmowy, ale nie mogę tak tego zostawić.

– Musisz jeść, Ruda. Przepraszam, że to nie owsianka, ale nic lepszego na razie nie dostaniemy.

– Nie jestem głodna, Hank – mamrocze.

– Och, wcinaj. Zrozum, potrzebuję ciebie. Nie mogę pozwolić, żebyś się zagłodziła, bo ci smutno. Przykro mi to mówić, ale jesteś silniejsza ode mnie, więc gdyby wytropił nas jakiś anioł, będę zdany na twoją pomoc – tłumaczę, zanim biorę pierwszy kęs. Potem uśmiecham się, bo to naprawdę pyszne.

Zajadając, patrzę, jak odgryza kawałek ciasta i powoli, metodycznie przeżuwa. Udaje mi się pochłonąć trzy bułki, kiedy Ruda kończy zaledwie połowę jednej, ale nie robię jej awantury, bo naprawdę się stara.

Żadne z nas nie odzywa się już aż do Escanaby. Wyczerpuje się benzyna. Będziemy musieli zatrzymać się i zatankować. Nie mamy karty kredytowej, musimy płacić gotówką. Żołądek podchodzi mi do gardła. Może znajdzie się jakaś z pełną obsługą albo taka, przy której nie ma marketu. Rozglądam się po mijanych ulicach. Wiem, to głupie bać się zwykłej stacji benzynowej, ale na myśl, że mam wejść do czegoś, co przypominałoby 7-Eleven, w którym Upadłe rozdierały na strzępy ludzi, aż mnie mrozi.

Już zapada zmrok, lampka kontrolna sygnalizuje, że nie ma na co czekać, podjeżdżam więc do stacji samoobsługowej i wysiadam, żeby zatankować. Wkładam dozownik do wlewu paliwa, wracam do samochodu i zaglądam do środka.

– Pewnie nie mamy nic poza gotówką, żeby zapłacić, hm? – pytam jakby nigdy nic.

Potakuje, a ja krzywię się lekko.

– Kurde... – Ocieram wilgotne dłonie o dzinsy. Ona też pobladła. – Niezła z nas para, co? – pytam z wymuszonym uśmiechem, a na dystrybutorze migają cyferki z ceną za pobrane paliwo, jakby odliczały ostatnie sekundy mojego życia. – Oboje panicznie boimy się neonowych świateł i regałów z przekąskami.

– Nie znoszę też szklanych lodówek i automatów z kawą. – Próbuje żartować.

– Wyobrażam sobie – kwituję.

Buns mówiła mi, jak Alfred rzucił Rudą przez szklane drzwi jednej z takich lodówek w 7-Eleven, zanim powlókł ją do mnie. To wtedy połamał jej skrzydła. Kiedy leżała nieprzytomna, Reed musiał je znów łamać i poskładać na nowo, bo źle się zrosły. Pytałem Buns, skąd wie, co się tam działo. Powiedziała, że od jednej z dusz. Te dusze wszystko widziały. Przecież też tam były. Przebiega mnie dreszcz.

– Nie martw się. Zajmę się tym. – Słyszę charakterystyczne kliknięcie dystrybutora: gotowe. Mój czas się skończył.

W tym momencie coś mnie muska po plecach. Dziwne. Oglądam się. Ale nic nie widzę.

Delikatnie zamykam drzwi i wracam, żeby wyjąć końcówkę dystrybutora z wlewu. Strach zżera mnie żywcem, kiedy z powrotem nakładam nakrętkę i zamykam klapkę. Obchodzę auto i ruszam do podwójnych szklanych drzwi. Pot spływa mi po twarzy, kiedy je lekko popycham. Wchodzę do sklepu ze spuszczoneym wzrokiem.

– O, do diabła! – Przypominam sobie posadzkę umazaną krwią.

Już w środku muszę chwilę odczekać, żeby złapać równowagę, bo wszystko wiruje mi przed oczami. Zaciskam zęby, żeby się skupić – muszę dojść do sprzedawcy. W kolejce stoi kilka osób. Podchodzę do nich i przebieram nogami, żeby nie rzucić się do ucieczki.

– A widziałeś ten mecz bejsbolowy w szkole średniej, Joe? – pyta sprzedawca klienta. Nie spieszy się z podliczaniem leżących przed nim zakupów. Pogaduszki sobie urządza jak na prozowanej herbatce czy co?

Joe opiera się wygodnie o ladę. Wyraźnie zamierza zagrzać tu miejsce na dłużej.

– Nie, jak się chłopaki spisały?

Idę między regałami na tył sklepu i nagle jakiś ból rozdziera mi plecy, aż się muszę przytrzymać półki obok. Rozglądam się dokoła, ogarnia mnie coraz większa panika, bo nie widzę nigdzie w pobliżu wyjścia.

– A, dobrze. Eskimosi jakiś czas przegrywali, ale potem odrobili straty, nie wiedziałeś? – mówi powoli sprzedawca i drapie się po brodzie, patrząc na reakcję na twarzy Joe.

Kolejny rozdzierający ból i uprzytamniam sobie, że pochodzi on z wnętrza, nie z zewnątrz. Widzę, że jestem blisko toalety. Udaje mi się skręcić i wbiec do niej, zanim słyszę groteskowe ni to eksplozje, ni trzaski. Zamykam za sobą drzwi, gdy coś wyrzywa mi się z pleców. Brakuje mi tchu, mam wrażenie, jakby uszło ze mnie całe powietrze. Przekręcam zamek i oglądam się. Kurtka i koszula leżą w strzępach na podłodze. Z miejsca, gdzie stoję, patrzę wprost w lustro. Na widok własnego odbicia ledwie powstrzymuję okrzyk. Boże! Co ty mi teraz robisz?

Jaskrawoczerwone skrzydła spowijają mnie niczym peleryna matadora. A ja stoję jak oniemiały, gapiąc się na swoje odbicie w lustrze i nie wierząc własnym oczom.

– Jestem Serafinem, nie da się ukryć – szepczę pod nosem i kręcę głową.

Moje skrzydła nie są tak wielkie jak Reeda czy Zee, ale zdecydowanie większe niż Rudej. Próbuję poruszyć tym swoim szkarłatnym wyposażeniem, ale ani drgną.

– Ooo, nie! Nie, nie, nie, nie, nie... – mówię i znów ogarnia mnie panika, bo uświadamiam sobie beznadziejność swojego położenia.

Utknąłem w łazience marketu w samym sercu Górnego Półwyspu, kiedy właśnie uciekamy od aniołów. Jest późno, Ruda czeka na mnie samiuteńka w aucie, a gdzieś tam w niebie zwariowane Cherubiny mają ubaw po kokardę, podliczając moje grzechy.

Odkręcam kran, wkładam ręce pod chłodną wodę i ochlapuję twarz, starając się uspokoić. Wszyscy zawsze mówili Rudej, że skrzydła nie znikną, dopóki panikuje albo się czymś martwi. Muszę więc tylko wyluzować – pouczam sam siebie i podskakuję trochę, żeby pozbyć się adrenaliny. Po jakichś piętnastu minutach krążenia po łazience zaczynam się nieco uspokajać, chwytam więc obiema dłońmi blat przed sobą, pochylam się i skupiam na tym, żeby schować skrzydła. Podnoszę wzrok z nadzieją, ale nadal tam są, kiedy napotykam wzrokiem swoje odbicie.

– A niech to, no dobrze – mówię, wznosząc oczy do góry na sufit. – Przydałaby mi się jakaś pomoc. Bardzo, bardzo proszę.

Od razu rozlega się pukanie do drzwi i słyszę zza nich nerwowy głos Rudej.

– Hank, jesteś tam?

Rzucam się do drzwi i odryglowuję. Uchylam je tylko na tyle, żeby wciągnąć ją za rękę do środka. Potem natychmiast je zatrzaszukuję i znów zamykam.

Jest błada jak płótno, pewnie dlatego że musiała przełamać się, żeby wejść do sklepu, ale to nic w porównaniu z szokiem, jakiego doświadcza na widok moich skrzydeł.

– Russell, cholera jasna, jesteś aniołem! – wydaje stłumiony okrzyk, a jej dłoń drży, kiedy sięga, by dotknąć mojego skrzydła, które zaczyna leciutko trzepotać pod jej palcami.

– Taaak, ciekawe, po czym poznałaś. – Oddycham głęboko, bo nie spodziewałem się, że to może być takie miłe, kiedy je gładzi. – Jednak mamy mały problem. Nie umiem ich schować z powrotem.

Marszczy czoło.

– O rany! – szepcze, bo od razu rozumie, z czym muszę się uporać. – No dobra. Mnie też kilka razy coś takiego się zdarzyło. Niech pomyślę – mówi, dalej gładząc moje skrzydło, żeby mnie uspokoić. – Powiedziałaabym, żebyś się zrelaksował, ale wiem, to nic nie pomaga – stwierdza i zastanawia się chwilę. – Poczekaj. Zaraz wracam. – Otwiera drzwi. Znika i jest z powrotem, zanim zdążam wypuścić powietrze. – Masz. – Podaje mi zapieczętowaną butelkę whisky.

– Skąd to? – Odkręcam korek i podnoszę flaszkę do ust. Biorę spory łyk, palący płyn rozchodzi mi się po gardle.

– Zwinęłam zza lady – wyjaśnia, na co aż się nieco krztuszę drugim łykiem. – Nie martw się, ten facet nic nie zauważył.

– Pewnie, ale teraz Cherubiny będą miały na ciebie kolejnego haka – odpowiadam i pociągam znowu.

– Zaryzykuję – mówi zadziornie. – Zostawiłam pieniądze przy kasie.

– I whisky ma mi pomóc schować te skrzydła? – Aplikuję sobie jeszcze trochę alkoholu, który pali już mniej niż na początku.

Na jej twarzy widzę wahanie.

– Nie do końca – przyznaje. – Częściowo. Pij, a za parę minut zdradzę ci resztę – dodaje tajemniczo. – Co się stało?

– Powiedzmy, że wyprawa tu okazała się bardziej stresująca, niż się spodziewałem – odpowiadam wymijająco.

– Tak... Odchodziłam od zmysłów, czekając na ciebie. Pomyślałam, że natknąłeś się na Gasparda. – Robi się jeszcze bledsza.

Podsuwam jej flaszkę. Bierze mały łyk, krztusi się i oddaje mi butelkę.

– Sądziłem, że najpierw nauczę się szybko biegać, a dopiero potem wyrosną mi skrzydła – mówię, starając się zająrzeć jej w oczy.

Przygryza dolną wargę.

– Nie wiem, Russell... Hank. Może już umiesz biegać tak jak ja, tylko musisz się wystarczająco przestraszyć, żeby to odpalić. U mnie zaskoczyło, kiedy zwiewałam z siedziby bractwa Delta. Tobie wyskoczyły skrzydła, bo się przeraziłeś. Może chcesz później wypróbować ze mną, jak to jest z tym bieganiem? – pyta nerwowo.

– Jasne, dobra – zgadzam się, zanim znów wlewam w siebie trochę wody ognistej.

– Naprawdę jesteś niesamowity. – Obchodzi mnie dokoła, jakby była ze mnie bardzo dumna. – Zazdroszczę ci, masz dużo większe skrzydła od moich.

– I dzięki Bogu. Wyglądałbym idiotycznie z takimi skrzydełkami jak twoje. Do ciebie pasują idealnie, ale na mnie, przy mojej ciężkiej budowie... proszę cię, groteska. Naprawdę to szczęście. Skoro już muszę je mieć, przynajmniej są proporcjonalne do reszty ciała.

– Próbowałam sobie wyobrazić ciebie ze skrzydłami. Zabawne, bo bardzo do ciebie pasują, jakby zawsze tam były.

Zachwyca się czy co? Wzruszam ramionami.

– Będę zadowolony, jak zaczną działać i nauczę się z nich korzystać. Na razie są jak wrzód na tyłku – burczę, ale jednocześnie bardzo się cieszę, że jej się podobają. Dzięki temu lepiej się z nimi czuję. Biorę kolejny spory łyk whisky. Evie stoi obok i bawi się jednym z moich piórek. To najdziwniejszy widok na świecie, nie mówiąc już o odczuciach.

– No dobra, dość tego. – Usztywnia się i ucieka wzrokiem. Cofa dłoń od mojego skrzydła, przysiada na blacie pod lustrem. Wyciąga rękę: – Daj mi tę whisky.

Podaję jej butelkę. Upija mały łyk, potem stawia ją obok siebie.

– Chodź – szepcze, wpatrując się we mnie swoimi pięknymi szarymi oczami.

– Po co? – pytam zaskoczony, ale robię krok naprzód.

Zdaje się przestraszona i zażenowana, kiedy bierze mnie za rękę i kładzie ją sobie na tali, po czym przyciąga mnie do siebie, tak że znajduję się między jej nogami.

Serce zaczyna walić mi w piersi, kiedy czuję ciepło jej skóry pod bluzką. Ujmuje moją drugą dłoń i kładzie ją sobie na drugim boku. Delikatny zapach jej ciała uderza mnie niczym

fale gorąca. Moje palce tężeją, przytrzymują ją mocniej. Powoli podnosi ręce, obejmuje mnie za szyję i delikatnie przyciąga do siebie. Ledwie mogę oddychać, kiedy jej usta muskają moje. Są takie miękkie i słodkie. I nagle coś we mnie pęka, jakby puściła tama, którą stawiam sobie w jej obecności. Podnoszę Evie i przyciskam do siebie, pozerając jej usta. Chcę ją posiąść, sprawić jej rozkosz, czuć każdą cząstkę jej ciała na swoim.

Odsuwa na moment usta, żeby szepnąć mi do ucha:

– Przytul mnie mocniej, Russell.

W zapamiętaniu namiętnie całuję jej szyję. Czuję, jak drży w moich ramionach. Przyciągam ją do siebie i przyciskam jej plecy do ściany, zanim znów odnajduję jej usta. Coś w tym, jak wypowiedziała moje imię, sprawia, że chcę usłyszeć to znowu.

Przesuwam dłonią w dół po krągłościach jej ciała. Wyrzywa mi się cichy jęk, kiedy cofając rękę z powrotem na biodro, trafiam na gołą skórę, odsłoniętą przez bluzkę, która trochę się podciągnęła. I kiedy mam już zerwać z Rudej ten cholerny ciuch, ona zaczyna się ode mnie odsuwać. Spoglądam na nią i widzę, że oszołomiona przyciska palce do spuchniętych warg.

– Udało się. Idziemy – mówi.

– Co takiego? – Nie puszczam, kiedy delikatnie kładzie dłonie na mojej piersi i stara się mnie odepchnąć.

Odchrząkuje.

– Twoje skrzydła – wyjaśnia, nie patrząc mi w oczy. – Już się schowały. Chodźmy. Pójdę zapłacić za paliwo i kupię ci nową koszulkę. – Popycha mnie silniej, niż mogłem się spodziewać, i wyrzywa się z moich objęć. Patrzę, jak prześlizguje się przez drzwi i delikatnie je za sobą zamyka.

Obracam się, spoglądam w lustro. Skrzydła znikły. Znów wyglądam jak zwyczajny człowiek. Jak, u diabła, to się stało?

Serce dalej mi wali, kiedy podchodzę do umywalki, odkręcam kran, ochlapuję twarz zimną wodą i znów zerkam na siebie w lustrze. Dostrzegam butelkę na blacie, łapię ją i pociągam jeszcze jeden długi łyk. Dobry Boże, to nie do wytrzymania – myślę. – Być tak blisko niej i musieć to przerwać to gorsze, niż gdyby się nigdy nie zaczęło. Cholernie boli. Czuję się wypalony... spalony na popiół w środku.

A potem przypominam sobie, jak całowaliśmy się przed chwilą, i krew znów zaczyna burzyć mi się w żyłach. Mam wrażenie, że mógłbym podnieść auto i rzucić nim lekko jak piłką, czuję, że jestem w stanie zrobić wszystko, co dawniej wydawało mi się niemożliwe. Podskakuję, kiedy Ruda zagląda nagle na moment do łazienki i ciska mi bawełnianą koszulkę z długim rękawem.

– Przykro mi – mówi. – Nic innego nie mieli. Spotkamy się w samochodzie.

Łapię T-shirt. Ma nadruk z mapą półwyspu i napisem: „Jak nie jesteś yooper, jesteś nikim!”. O co chodzi? Jaki znowu „yooper”? Wbijam się w nową koszulkę. Trochę ciasna w ramionach i na bicepsach, ale poza tym w sam raz.

Podnoszę swoje podarte ubrania z podłogi. Jeszcze jeden rzut oka na łazienkę i decyduję, że butelka zostaje. Wychodzę ze spuszczoną głową. Staram się oddychać powoli. Widzę, że Ruda usiadła za kierownicą. Silnik już na chodzie. Ładuję się więc od strony pasażera i zmuszam, żeby nie pochylić się, nie porwać jej znowu w objęcia i nie pocałować raz jeszcze. Evie nie patrzy na mnie, kiedy w milczeniu wyjeżdżamy ze stacji.

– Dzięki – mówię.

Rzuca na mnie szybkie spojrzenie, potem ucieka wzrokiem, patrzy na drogę.

– Mogła być tylko ta koszulka albo z napisem: „Górny Półwysep? Jestem na tak”.

Udaje, że nie rozumie, za co dziękuję.

– Nie. Chodziło mi o to, że mi pomogłaś. Wiem, że niełatwo ci to przyszło. – Widzę, jak bardzo się stara, żeby tylko się nie rozkleić.

Wzrusza ramionami, jakbym mógł się nabrać, że to nic takiego.

– Też zrobiłbyś to dla mnie.

– Jasne. – Martwi mnie, że jest aż taka przybita. – Mogę cię o coś spytać?

Aż się kuli. Nie chce rozmawiać o naszym pocałunku w łazience. To jasne jak słońce. Dociera do mnie, że zrobiła to tylko po to, żebym zdołał schować skrzydła. Rozczarowanie jest druzgocące. Ale przecież odpowiedziała na mój pocałunek. Domyślam się, że od początku traktowała to jak poświęcenie, ale czy rzeczywiście, kiedy ją całowałem, nie było w tym czegoś więcej?

Coraz mocniej ściska kierownicę.

– A o co?

– Co to takiego ten yooper?

Jej twarz się odpręża, wraca dobry humor.

– To ktoś z Górnego Półwyspu, Upper Peninsula, U.P. – wyjaśnia z lekkim uśmiechem. Te inicjały brzmią „jupi”.

– Będziemy więc yooperami? – O, jakże pragnę, żeby nie przestawała się uśmiechać.

Przez chwilę wydaje się jeszcze bardziej ubawiona.

– Niekoniecznie. Pewnie uznają nas raczej za trooperów. Rzecz w tym, że dla nich każdy, kto pochodzi z południa od mostu Mackinac, to troll. A jeśli troll przenosi się na Górny Półwysep, staje się trooperem – wyjaśnia.

– Tak? To jak z tymi wkurzającymi turystami, którzy osiedlają się w Asheville. Mówimy o nich „śnieżne ptaszki”. – Śmieję się.

– Yooperzy mają inną nazwę na turystów... zaraz... „trzaskacze bagażnikami”, krówkarze...

– Krówkarze? – dziwię się ubawiony. – A to niby dlaczego?

– Oni robią tam najlepsze krówki... Hank. Kupię ci trochę, będą ci smakować.

Muszę odwrócić wzrok, bo uśmiecha się tak pociągająco, że znów mam nieodpartą ochotę jej dotknąć.

– Co jeszcze wiesz o yooperach? – Usiłuję odwrócić swoją uwagę od pokusy.

– Niewiele więcej. Głównie to, co wyczytałam w internecie, kiedy sprawdzałam różne miasta.

Znów zaczyna się nachmurzać, próbuję więc wymyślić jakieś kolejne pytanie.

– Mieszka tam pewnie wielu fanów Lionsów?

Po jej minie poznaję, że znów jest ubawiona.

– Nie. Jesteśmy bliżej Green Bay niż Detroit. Większość yooperów kibicuje Packersom.

– Poważnie? To kraina „serowych głów”? – mówię zaskoczony i patrzę, jak przytakuje. – Kupię ci taki kapelusz w kształcie sera, Ruda, będziesz zachwycona – drażnię się z nią, bo wiem, że woli Detroit.

– O, nigdy nie zmusisz mnie do noszenia tej ohydy.

– Ruda? – Zerkam na nią znowu.

– Taak?

– Wiem, że nie chciałaś oddać mojego pocałunku tam na stacji benzynowej. – Kiedy wracam do tego tematu, znów robi zmartwioną minę. – Ale... posłuchaj: jeśli kiedykolwiek zapragniesz mnie pocałować... to ja nie mam nic przeciwko temu – dodaję. Staram się, żeby to nie zabrzmiało zbyt niezręcznie.

Spogląda na mnie. W jej oczach widzę bezbrzeżny smutek. Na pewno myśli, że już nigdy nie wygoi swoich wewnętrznych ran.

– Nie miej takiej nadziei, Russell. Nie mogę ci dać tego, czego potrzebujesz... czego chcesz. Po prostu nie jestem w stanie – odpowiada z autentycznym żalem w głosie, a łzy płyną jej po policzkach.

– Nie płacz, Ruda. Jesteś teraz yooperką, a oni podobno są twardzi, prawda? Czego teraz szukamy? – Łapię mapę i znajduję punkt, w którym jesteśmy. – Chcesz jechać na Marquette czy Iron Mountain? Obie drogi wydają się mniej więcej tej samej długości.

– Powinniśmy trzymać się z dala od Marquette. Tam jest dla nas niebezpiecznie – rzuca szybko.

Podnoszę wzrok, marszczę brwi.

– Dlaczego? – Coś w tonie jej głosu sprawia, że dostaję gęsiej skórki na rękach.

– W Marquette jest więzienie. Upadli uwielbiają więzienia, dla nich to jak sklep z cukierkami. Musimy ominąć Marquette – wyjaśnia, ocierając łzy.

– Dobra. Jedźmy do Iron Mountain i po drodze obgadajmy wszystko, co wiesz o aniołach i tym, co może być dla nas groźne. Zróbmy sobie małe szkolenie – zarządzam i zamieniam się w słuch. Evie przez kilka godzin wykladała mi, czego dowiedziała się o aniołach przez ostatnie kilka miesięcy.

Kiedy urywa, żeby napić się wody kupionej na stacji, jestem spocony i zirytowany.

– Czyli bajki mówią prawdę? – Nie potrafię ukryć, jak bardzo mnie to niepokoi.

– Reed wypowiadał się dość zdecydowanie na temat Serafinów. Kiedy w pełni ewoluujemy, będziemy najpotężniejszymi aniołami... ale równie silne są Serafiny Upadłe, więc bierz to pod uwagę – ostrzega. A potem patrzy na mnie i dodaje: – Słuchaj, zrobiłam

pewne rozeznanie. Zajrzałam do wszelkich dostępnych źródeł, poszperałam w internecie i bibliotekach. Przeanalizowałam wszystko, co wiadomo o Houghton, tamtejszej uczelni i okolicach miasta. Starłam się myśleć jak mój wróg i wyobrazić go tam sobie. I wszystko wskazuje na to, że w tym miejscu będzie bezpiecznie. Powinno być, ale nie wiem na pewno. Nie mam kogo wysłać na przeszpiegi. Nie dam rady sprawdzić, czy nie ładujemy się w jakieś totalne problemy.

Mówi, jakby przepraszała, jakby nie dokonała właśnie czegoś zupełnie nieprawdopodobnego – przecież wywiodła w pole cztery wiekowe, superinteligentne anioły. Przecież to ona obmyśliła cały ten niesamowity plan, który od początku naszej ucieczki doskonale się sprawdza.

– Kiedy dojedziemy, znajdziemy mieszkanie, które wynajął nam Ryan. To niedaleko uczelni. Będziemy trzymać się razem, póki nie poczujemy się dobrze w nowym miejscu.

– Wierz mi, zamierzam trzymać się ciebie jak guma do żucia podeszwy – przyrzekam uroczyście.

Nie będę czuć się dobrze, jeśli nie będę jej widywał, przynajmniej od czasu do czasu.

– Muszę ci powiedzieć coś jeszcze – podejmuje Ruda z powagą. – Wpłacę trochę pieniędzy na wspólne konto w banku, ale większość gotówki musimy schować gdzieś w bezpiecznym miejscu. W razie problemu bierz pieniądze i znajdź miasteczko, które ma mniej niż dziesięć tysięcy mieszkańców i gdzie nie dzieje się nic ciekawego, co mogłoby przyciągać Upadłych. Masz sam sobie czegoś takiego poszukać, ale mnie o tym ani słowa. Jeśli coś się stanie, zabieraj pieniądze i jedź tam, jeśli tylko zdołasz. Gdybyś potrzebował nowych papierów, poszukaj w internecie, nie zwracaj się już do Ryana.

Marszczę brwi.

– O czym ty mówisz, Ruda? – Robi mi się niedobrze. Szybko sięgam po wodę z uchwytu na kubek obok mnie. – Dlaczego nie wolno mi tobie nic powiedzieć?

– Chodzi o to, że gdyby coś się ze mną stało, masz natychmiast wyjechać. Nie zostawaj tu ani chwili, zwłaszcza gdybym zaginęła – wyjaśnia bez emocji. Jest jakby odrętwiała, na autopilocie. – Nie chcę wiedzieć, dokąd pojedziesz, żeby nikt nie wyciągnął ze mnie tej informacji. Mogę nie wytrzymać bólu i zacząć sypać... Będę się bardzo starała nie zdradzić, ale im mniej wiem o twojej strategii ucieczki, tym lepiej.

– Przecież cię nie zostawię. Jeśli mamy ginąć, to razem. Ty i ja – cedzę przez zaciśnięte zęby, żeby na nią nie krzyknąć.

– Russell, a jeśli złapie mnie jakiś Upadły, to co? – pyta ponuro. I wpatrzona w drogę przed sobą stwierdza rzeczowo: – Będziesz musiał uciekać. Nie zdołasz mnie uratować. Jeszcze nie.

– Ruda, możesz mi wierzyć albo nie, ale ja nie jestem tak całkiem do niczego. Przynajmniej mogę wezwać posiłki. – Staram się ją przekonać.

To ją natychmiast otrzeźwia.

– Nie kapujesz, że nie ma mowy o żadnej pomocy? – wrzeszczy jak opętana. Nigdy jeszcze nie widziałem jej tak rozzłoszczonej. – A jeśli porwie mnie Poganka? Jak wezwiesz Reeda, zacznie wojnę ze swoimi, żeby mnie ratować, i to go zniszczy. – Nerwowo przeczesuje palcami włosy. – Jesteśmy teraz zdani tylko na siebie. Bez siatki zabezpieczającej. Rozumiesz? – pyta, jakbym nic nie załapał z tego, co mi do tej pory mówiła, i może ma rację, może nie potrafię przyjąć do wiadomości, że nie wolno mi wzywać żadnej pomocy.

Wreszcie zaczyna docierać do mnie, jak bardzo czuje się zagubiona i samotna. Wie, że przez jakiś czas nie na wiele się zdam w razie starcia. Według niej to ona ma mnie teraz ochraniać, ale nie ma nikogo, kto zatroszczyłby się o nią. Ja nie jestem jeszcze dość silny, by pokonać innego anioła.

– Racja, nie mogę ich zawiadomić. Rozumiem. Ale to nie znaczy, że cię zostawię – podkreślam.

Nie chcę się kłócić, ale za nic nie pozwolę jej myśleć, że jestem gotów tak ją zdradzić. Nie ma mowy.

– Zrób mi tę grzeczność... – wyciąga do mnie dłoń, a ja natychmiast ją biorę w swoje dłonie – poszukaj sobie takiego miasta. Na wszelki wypadek, gdyby nie było po co zostawać... Jeśli zginę, to nie będzie zdrada. Chcę, żebyś przeżył, musisz przeżyć, dla mnie. Obiecujesz? – Ścisną moją rękę.

Dławi mnie w gardle i muszę odwrócić się do okna po swojej stronie. Nie ma dla mnie życia bez niej, uświadamiam sobie. Ale posłusznie kiwam głową, bo nie ufam swojemu głosowi na tyle, żeby się odezwać.

Ścisną mi dłoń jeszcze mocniej.

– Już dawniej musiałeś jakoś dawać sobie radę beze mnie. Co robisz, kiedy ja umieram wcześniej? – pyta cicho. – Co zrobił Leander?

– To co zawsze. Podjął walkę, której nie miał szans wygrać – Patrzę na gwiazdy i czuję się tak, jakby sznur zaciskał mi się na szyi.

Nagły ból w plecach i w ułamku sekundy znów wyskakują mi skrzydła. Strach i smutek bywają zabójczym połączeniem – przekonuję się o tym boleśnie, lecąc twarzą na deskę rozdzielczą przed sobą.

– Ja pie... – krzyczę i w ostatniej chwili gryzę się w język. Oddycham płytko, bo płuca mam ściśnięte, odgarniam skrzydła do tyłu i opieram się wygodniej. – A niech to. Zostawiłem resztę whisky na stacji. Chyba tym razem będzie mi musiała wystarczyć wyłącznie druga część zabiegów, żeby z powrotem schować te skrzydła. – Rozcieram sobie czoło, bo niezle rąbnąłem w szybę, kiedy rzuciło mnie do przodu.

Ruda od razu prostuje się i zmienia ton. W jej głosie nie brzmi już rozpacz, ale determinacja.

– Masz rację, Hank. Jestem twardzielką. Damy sobie radę. Kiedy tylko dotrzemy do swojego nowego lokum, poszukamy miejsca, gdzie będziemy mogli ćwiczyć, nie wzbudzając

podejrzeń. No i musimy wykazać się kreatywnością. Może ty nauczysz mnie jakichś sztuczek z boiska piłkarskiego. Zaczynaj myśleć, co dałoby nam przewagę w starciu. Możemy też sobie pościągać jakieś filmy. Na przykład z Bruce'em Lee albo z walkami Muhammada Alego.

– Może też reality show promujące mieszane sztuki walki – zapalam się. – O, i *Człowieka z blizną*.

– Z blizną? – Marszczy nos.

– Musimy też zdobyć broń, a czego nie uda się dostać, zrobię sam – postanawiam.

– Na przykład co? – pyta zaciekawiona.

– Ruda, przecież wyrabiałem broń od tysięcy lat. Zdziwisz się, ile możliwości daje coś takiego jak proca i mały kamień, zwłaszcza że teraz jesteś silniejsza i szybsza niż dawniej.

– W każdym razie, Hank, przydadzą nam się wszystkie sztuczki, jakie tylko zdołasz sobie przypomnieć. Największym problemem jest czas. Musimy jakoś zapewnić go sobie trochę. Im więcej zdążymy poćwiczyć, im dalej zajdzie transformacja, tym lepiej dla nas. Czas będzie działał na naszą korzyść albo zdecyduje o naszej klęsce – szepcze w zamyśleniu.

– No to chyba pora, żebym wszedł do gry. Dość tego niańczenia mnie, zanim dojdę do formy. Zaczynam natychmiast – decyduję. Układam sobie w myślach listę tego, co mogę zrobić od razu, i tego, czego muszę poszukać.

Przez moment Ruda jest zaskoczona, jakby nie brała pod uwagę, że mogę być naprawdę przydatny w strategii obrony. Podnoszę jej dłoń i szybko przyciskam do ust.

– Jeszcze tego nie rozumiesz, ale ja nie jestem osiemnastolatkiem... Mam za sobą tyle lat życia, że na pewne rzeczy, jakie potrafię, nie ma nawet współczesnej nazwy. Coraz więcej wiem, a im bardziej zagłębiam się we wspomnienia, im dłużej je analizuję, tym więcej sobie przypominam. Jestem istną kopalnią wiedzy. Ty działasz instynktownie, ja natomiast mam świadomość tego, co umiem.

Odwraca wzrok od drogi i przypatruje mi się, jakby zobaczyła mnie w zupełnie nowym świetle.

– Będę nad tobą czuwał, muszę tylko nabrać sił. Zaufaj mi, że mnie też będzie niezły twardziel.

– Wierzę. Jesteś moim najlepszym przyjacielem – wyznaje bez cienia wątpliwości.

– Tak jak ty moim, na zawsze – odpowiadam.

Rozdział 9

HOUGHTON

Powiedzieć, że przez pierwsze dni w Houghton Ruda była przygnębiona, to jakby nic nie powiedzieć. Właściwie zupełnie zgasło w niej światło. Próbuje to ukryć przede mną, robi wszystko co trzeba, żeby się zadomowić, ale jest zgaszona, straciła cały blask. Do swojego

nowego lokum docieramy w środku nocy – i dobrze, bo w ciemnościach wygląda ono mniej paskudnie niż za dnia. Zresztą dla Rudej to bez różnicy, bo świetnie widzi w ciemnościach.

Kwaterna składa się z dwóch pokoi na piętrze bliźniaka. Musieli gnieździć się tu jacyś kawalerowie – plamy na tapecie w kwiatki, nieposprzątane po wyprowadzce. Nie sądzę, by poprzedni lokatorzy odzyskali kaucję. Na nasze szczęście podłoga drewniana. Wolę nie wyobrażać sobie, w jakim stanie byłaby wykładzina.

Wejście jest z boku domu. Wewnątrz trzeba się wdrapać wąskimi stromymi schodami na piętro. Idąc na górę, cały czas muszę pochylać głowę, bo nie przewidziano, że może tu mieszkać ktoś, kto ma metr dziewięćdziesiąt sześć wzrostu. Kiedy się chce wejść do pokoju, trzeba się cofnąć stopień niżej, bo drzwi otwierają się na zewnątrz. Mimo to zamek jest po stronie mieszkania. Pewnie uznali, że łatwiej go przenieść, niż odwrotnie obsadzić drzwi. Chyba niedługo będę musiał się tym zająć, bo strasznie mnie to wkurza.

Pierwsza noc – koszmar. Nie ma mebli, kładziemy się więc skuleni obok siebie na podłodze. Brak nawet koca. Musiałem być naprawdę zmęczony, bo na chwilę jednak przysnąłem. Obudziłem się, kiedy Rudą zaczął dręczyć jeden z jej potwornych snów. Nie chce mi powiedzieć jaki. Ten musiał być straszny, bo długo nie mogła potem zasnąć. Ja zresztą też. W końcu sam wypilem pół butelki whisky na stacji benzynowej i dają mi się we znaki skutki wlanego w siebie alkoholu.

Rano sprawdzamy, kto mieszka na parterze. Okazuje się, że malutka starsza pani. Nazywa się Estelle Strauss, ale upiera się, by mówić do niej Stella, kiedy przychodzimy się przedstawić. Ma kotkę Śnieżkę, z którą rozmawia jak z człowiekiem. Smutno jej, że studenci z góry się wyprowadzili. Od czasu do czasu jej pomagali, kiedy czegoś potrzebowała. Najwyraźniej nie słyszała, jak balowali, bo widzę, że podczas naszej rozmowy kilka razy podkręca głośność w aparacie słuchowym. Wydaje się miła. Obiecuję, że na mnie też może liczyć, zawsze jej pomogę.

Każdą rzecz dokładnie planujemy. Nawet najbardziej powszednie czynności muszą być rozpisane. Omawiamy parametry i warianty, wszystko wymaga wcześniejszego rozpoznania.

Pierwsze zadanie: trzeba kupić jedzenie i środki czystości. Musimy doprowadzić mieszkanie do jakiegoś takiego porządku, żeby dało się tam żyć. Zahaczamy o fast food dla kierowców, z auta kupujemy kawę i kanapki na śniadanie. Potem jedziemy do spożywczego. W Houghton jest kilka sieciówek, takich jak wszędzie. Ale wybieramy mniejszy, lokalny sklep, bo ma duże okna, przez które wszystko widać. Zatrzymujemy się na parkingu i zaczynamy zbierać strategiczne dane, zanim którekolwiek z nas wejdzie do środka.

Ruda patrzy przez szyby wystawowe i orientuje się, jak są rozplanowane alejki. Omawiamy, czego potrzebujemy i jak to zgarnąć, żeby czym prędzej wyjść z zakupami. Przyglądamy się pracownikom. Odnotowujemy, kto jest na której zmianie, układamy plan czasowy. Wiemy, która kolejka posuwa się najszybciej – to zależy od sprawności kasjerki i jej skłonności do pogawędek z klientami.

Przez dwa dni prowadzimy obserwacje, zanim decydujemy, że można wejść bezpiecznie. Ruda uważa, że na razie tylko jej wolno robić zakupy. To z początku strasznie mnie wkurza, bo wolałbym sam natknąć się na jakiegoś drania, niż ją na coś takiego narażać, ale wysuwa słuszny argument, że na razie nie kontroluję skrzydeł. Przekonuje, że lepiej, abym czatował przy wejściu i dał jej znać w razie zagrożenia. Nie mamy jeszcze telefonów komórkowych, Ruda wpada więc na świetny pomysł, jak ją ostrzec, gdyby zbliżał się jakiś anioł. Wyciąga z klapki przeciwsłonecznej po stronie pasażera lusterko i mi daje – mam puścić zajęczka na szybę wystawową, jeśli zauważę coś niepokojącego.

– Pamiętaj, w razie czego nie wysiadaj z auta. Błyśnij w szybę i jedź. Wracaj do mieszkania i czekaj na mnie. Jeśli nie wrócę w ciągu godziny, uciekaj z miasta. Nie zwlekaj. Po prostu natychmiast się zabieraj. Możesz zatrzymać się potem w jakimś miasteczku i sprawdzić, czy jest ode mnie wiadomość na Facebooku. – Patrzy na mnie uważnie, żeby zorientować się, czy się nie zbuntuję.

Mierzę ją wzrokiem. Wydaje się taka krucha w fotelu jeepa. Ma na sobie dzinsy i prostą bawełnianą koszulkę, którą przerobiła na wypadek, gdyby nie potrafiła zahamować pojawienia się skrzydeł. Wygląda mi na kogoś, kogo lepiej wziąć za rękę przy przejściu przez ulicę. Robi wrażenie istoty niezwykle delikatnej, a przecież widziałem, że potrafi być zabójczo groźna, jeśli trzeba.

– Czy naprawdę musimy to robić, Ruda? – Z panicznym lękiem wyobrażam ją sobie w sklepie, zdaną tylko na siebie.

– Zdecydowanie. Kończy się nam papier toaletowy, który znalazłam pod umywalką w łazience, i już dłużej nie zniosę tego brudu w mieszkaniu. Poza tym kolejnego posiłku z fast foodu nie przelknę. – Stara się nie okazać, jak bardzo denerwuje ją sytuacja, w której tkwimy od kilku dni. – Muszę się wykapać i umyć włosy. Miło byłoby też mieć odżywkę i dezodorant – ciągnie. Zerka na mnie.

Muszę przyznać, że i mnie brakuje tych luksusów.

– Mamy jeszcze trochę pieniędzy? – pytam znowu i aż mnie skręca, bo to przecież jej kasa.

Z moich zasobów nic nie zostało. Najpaskudniejsze uczucie w świecie. Ta zależność chyba najbardziej mi teraz doskwiera. Ruda powtarza, że forsa jest tak samo moja jak jej, bo to pieniądze wujka Jima, a on chciałby dać je nam obojgu. Mimo wszystko to boli.

– Taaak, stać nas na to, a potem może nawet na materac, ale niedługo musimy uporać się z tym kontem bankowym. Trzeba gdzieś bezpiecznie ukryć gotówkę, żeby w razie czego szybko stąd uciec.

– Może od tego zacznijmy – wtrącam bardziej dlatego, że nie chcę, by wysiadała, niż żeby zależało mi na tej czy innej kolejności.

Chyba przejrzała mój plan, bo mówi:

– Zaraz wracam. Nie widzieliśmy tu żadnych aniołów. Tylko samych ludzi. Jest czysto. Załatwię wszystko najszybciej, jak to możliwe.

Otwiera drzwi i już prawie wychodzi, kiedy wołam:

– Ruda!

Zatrzymuje się, ogląda na mnie.

Obejmuję ją mocno i przez kilka sekund nie puszczam. Pozwala mi tak się tulić, a kiedy rozluźniam ramiona, uśmiecha się. Wysiada z auta na rozświetlony słońcem parking, wkłada ciemne okulary i bierze swoją małą torebkę. Patrzę, jak idzie w kierunku sklepu, potem wyciąga metalowy wózek spod wiaty. Znika za automatycznie rozsuwającymi się drzwiami, a po chwili widzę ją znowu, jak pcha wózek między półkami, sięga po owoce i jarzyny – szybko, bez wahania, niczym wprawna w robieniu zakupów pani domu.

Odrywam od niej wzrok, żeby mieć oko na to, czy nie podkrada się tu jakiś anioł. Oboje wiemy, że ryzyko jest znikome, nawet jeśli w okolicy jakieś przebywają. Sądząc po tym, jak wyglądało nasze życie z Reedem i Zee, one uważają robienie codziennych zakupów za coś poniżej ich godności. Nie wiem, jak to widzą Upadli, ale domyślam się, że sklepy spożywcze traktują z podobną pogardą. Jednak jeśli się mylę, skutki mogą być tragiczne.

Zerkam znów na sklep – Ruda wraca inną alejką. Skupia się na swojej liście, ale nie udaje się jej nie zwracać na siebie uwagi. Każdy, kogo minie, ogląda się za nią. Nawet kobiety. Może to przez ten zmysłowy sposób poruszania się, jakby tropiła szczególnie płochą zwierzynę. A może po prostu jest najseksowniejszą istotą, jaka pojawiła się w tych stronach. Nieważne. Jednak na pewno nie wtapia się tu w tłum. Aż jęknąłem na widok chłopców rozkładających towar, którzy gapią się na jej tyłek.

Rzuca okiem przez ramię, raz czy dwa, i orientuje się, że za nią idą. Szybko chwytą, co się dzieje, jest bardzo bystra, ale nie wiem, czy rozumie, dlaczego ją śledzą. Chyba nie. Nie ma pojęcia, jaka jest atrakcyjna. Zielonego.

Chłopaki wkrótce mają konkurenta – Evie przechodzącą obok lady dostrzega kierownik sklepu. To facet w średnim wieku. Wygląda zza kontuaru i omal nie upada, szamocząc się, żeby jak najszybciej otworzyć klapę i wydostać się na zewnątrz. Podciąga spodnie, żeby nie opadały z pokaznego brzuszyska. Potem przeczesuje palcami przerzedzone brązowe włosy, poprawia krawat, przygląda koszulę i czeka, aż przepiękna dziewczyna wróci następną alejką. Kiedy Ruda nadchodzi, facet opiera się jakby nigdy nic o szafkę z napojami, lekko wciąga brzuch i coś zagaduje.

Evie uśmiecha się do niego, przystaje, uprzejmie odpowiada i rusza dalej. Pan szef znajduje sobie coś pilnego do zrobienia we wszystkich alejkach, które na koniec odwiedza Evie. Wirywa mi się kolejny jęk, bo widzę, jak brzuchaty koleś odprawia chłopaka, który brał się do pakowania jej zakupów przy kasie szybkiej obsługi. Sam chce jej pomóc. Drżącą ręką już sięgam klamki. Przebiegam parking i w jednej chwili zaczynam krążyć pod oknami sklepu. Nawet nie wiem, jak się tu znalazłem. Ale jestem i patrzę, jak ten podstarzały Romeo pożera wzrokiem moją dziewczynę.

Ruda natychmiast mnie dostrzega i to ją chyba przestrasza. Rozgląda się po parking, wypatrując potencjalnego zagrożenia, które mogło sprawić, że zachowałem się niezgodnie z

planem. W roztargnieniu podaje pieniądze kasjerce. Upycha do torby resztę rzeczy, popatrując nerwowo to na mnie, to na parking.

Kierownik znów się do niej odzywa, potem robi coś niebywałego. Kładzie dłoń na jej ręce. Wpadam do środka, zamierzam sprasować faceta na naleśnik. Przemykają mi przez głowę pomysły, co by mu zrobić i jak go zabić. Na mój widok Ruda odchodzi od kasy. Najwyraźniej wie, co się ze mną dzieje, bo staje przed kierownikiem i ciężko wzdycha.

– W samą porę, Hank. Pomóż mi zanieść zakupy do auta.

Obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie. Trzyma mnie w żelaznym uścisku, nie jestem w stanie się wyrwać, żeby dopaść tego zboka za jej plecami, ale on najwyraźniej po mojej minie widzi, co się święci. Cofa się kilka kroków, popatrując na boki, rozpaczliwie szuka dróg ucieczki.

Spoglądam na Rudę. Gromi mnie wzrokiem, marszcząc brwi.

– Chyba możemy już iść, prawda?

Zaślepiony wściekłością nie rozumiem, o co chodzi.

– Że co?

– Skończyłam. Idziemy – nakazuje.

Puszcza mnie i sięga po wózek wyładowany zakupami... Bierze mnie za rękę i wyprowadza wózek ze sklepu. Wychodzimy. Wszystkie oczy zwrócone są na nas.

Za drzwiami ogarnia nas ciepło rozgrzanego powietrza. Ruda obserwuje mnie bacznie przez całą drogę do auta. Dostrzega, jak oglądam się przez ramię na sklep. Zaciska mocniej palce na mojej ręce, tak że aż boli.

Otwiera tył auta.

– Pomóż mi załadować zakupy – mówi.

Podnoszę jedną torbę i patrzę na Evie, bo nadal trzyma mnie za rękę.

– Możesz już puścić. Tylko poprzekładałam te rzeczy – zapewniam, a kiedy nie reaguje, dodaję: – Słowo.

Cofa dłoń, ale nie rusza się z miejsca. Stoi pomiędzy sklepem a mną. Kiedy kończę, czeka, aż wsiądę do samochodu, dopiero potem odprowadza wózek. Wraca do auta. Siada na miejscu pasażera i milczy, gdy wyjeżdżam z parkingu. Przygryza nerwowo wargę, jakby chciała mi coś powiedzieć, ale nie wiedziała jak.

Jestem wkurzony i mam wyrzuty sumienia. Zupełnie zapomniałem, co powinienem robić, kiedy zobaczyłem, jak ci wszyscy kolesie łażą za nią po sklepie. Nie zauważyłbym żadnego anioła, nie mógłbym jej ostrzec, bo za bardzo skupiłem się na ludziach.

– Słuchaj, ja... no nie wiem... ten gość cię dotknął swoim łapskiem, tamci za tobą chodzili, nie mogłem tak siedzieć i... – Trudno mi zebrać myśli. Przeczesałem palcami włosy, staram się uspokoić, bo już czuję ruch w plecach, a to zły znak. Chyba jedyne, co by mi pomogło, to wrócić i sprać na kwaśne jabłko tego cholernego kierownika.

– W porządku, Russell. – Widzi, że nie mogę się opanować. – To instynkt. Trudno go kontrolować.

Nachmurzam się.

– Instynkt? To znaczy? – rzucam totalnie rozstrojony.

– Nie wiem, co widziałeś z parkingu, ale pewnie uznałeś, że ktoś za bardzo się do mnie zbliżył. Najwyraźniej uważasz, że jestem twoja. – Ostatnie zdanie wypowiada z trudem, jakby te słowa nie chciały jej przejść przez gardło. – Mówili mi, że my, Serafiny, jesteśmy bardzo zazdrośni o swoje terytorium, nie znosimy dzielić się tymi, którzy nam się podobają, ani tym, co uznajemy za swoją własność.

Przypatruję się jej uważnie. Po chwili dociera do mnie, o co w tym chodzi, i trochę się uspokajam. Podjeżdżamy pod dom. Wyłączam silnik. Przez moment siedzimy bez ruchu.

– Nie zmartwiłeś się zbytnio tym, co ci powiedziałam – odzywa się wreszcie.

– Nie. Teraz to wszystko wydaje się całkiem logiczne.

Zdziwiona marszczy brwi.

– Jestem facetem – dodaję. – A faceci już tak mają, tyle że zazdrość... zaborczość staje się silniejsza z anielskim DNA.

Najwyraźniej to jej nie w smak.

– Niespecjalnie się przejąłeś – mówi z wyrzutem.

– Nie. Muszę tylko się postarać bardziej to kontrolować. Ale takie uczucia nigdy nie były mi obce. Jak mówiłem, dla facetów to normalka. – Wyskakuję z auta i otwieram tył, żeby zgarnąć torby z bagażnika.

Kiedy podchodzi z drugiej strony, żeby też coś wziąć, ma ponurą minę.

– Co? – pytam z uśmiechem.

– Nic. – Patrzy na mnie, jakby mi odbiło.

Otwiera wejście do domu i wspina się po schodach. Na samej górze cofa się stopień niżej, żeby nie walnęły w nią drzwi. Potem kieruje się wprost do kuchni i stawia zakupy na blacie. Od razu rozpakowuje torby, wyjmując środki do czyszczenia, otwiera lodówkę i zaczyna przecierać ją gąbką nasączoną pianą.

– Ruda? – zagaduję, odpakowując rzeczy, które przyniosłem.

Wzdycha.

– No dobrze! Jakim cudem ty to wszystko tak łatwo przyjmujesz? – daje upust frustracji. – Bo kiedy ja to odkryłam, byłam wstrząśnięta. Omal nie nadziałam kelnerki na widelec.

– Chciałaś zabić kelnerkę? – Ciekawi mnie, co ją mogło tak zezłościć. Musiała być z Reedem, to pewne. Na samą myśl o tym znów bym komuś przywalił. Ale dalej krzątam się jakby nigdy nic, żeby nie zobaczyła, jak to na mnie działa. Wzruszam ramionami i kończę rozpakowywać torby. – Mówiłem ci, pewnie tak ma być. Nic nie dzieje się przypadkiem. Może mnie ma być łatwiej niż tobie, nigdy nie przyszło ci coś takiego do głowy? – pytam, bo przydałaby się jej dobra kłótnia, żeby wyładowała trochę tłamszonych emocji.

– Niby dlaczego tobie miałyby być łatwiej? Urodziłam się jako półanioł – atakuje. Przyjmuje waleczną pozę.

– Taaak, ja za to musiałem najpierw umrzeć, żeby stać się po części aniołem – odparowuję.

Sięgam po jedną z gąbek. Maczam ją w mydlinach i biorę się do przecierania półek w szafkach.

Nie chwyta przynęty i nie daje się wciągnąć w kłótnię, ale znów zaczyna szorować i widać, że myśli nad tym, co przed chwilą powiedziałem.

– Ty umarłeś? – pyta po chwili. Nie podnosi wzroku, skupia się na robocie.

– Mhm, tak myślę. Nie pamiętam, żebym cię opuścił, ale jestem raczej pewien, że odchodziłem, choć modliłem się do Boga, żeby pozwolił mi zostać i ci pomóc – przyznaję, dalej pucując półki.

– Aleś ty uparty. Wiem, że byś został.

Uśmiecham się, Evie tak dobrze mnie zna. Jestem pewien, że ona też by została. Kończymy sprzątać kuchnię i rozkładać zakupy. Ruda podaje mi lokalną gazetę, którą dorzuciła w sklepie, i prosi, żebym poszukał, gdzie można kupić materace i stelaże. Znosi do łazienki przybory toaletowe i kilka nowych ściereczek. Nie mamy jeszcze ręczników, na razie to musi nam wystarczyć.

Przeoglądam ogłoszenia. Przychodzi mi do głowy, co by się nam przydało. Na przykład narzędzia do przemontowania drzwi i zreperowania szafek z obluzowanymi, skrzypiącymi zawiasami. Materace, pościel, ręczniki, naczynia, garnki, patelnie, kosz na śmieci... wszystko to, czego nawet nie zauważasz, jak mieszkasz w zagospodarowanym domu, a czego brak doskwiera od razu, kiedy tego zabraknie. Marzy mi się też telewizor.

Chciałbym mieć kablówkę, żeby oglądać mecze bejsbola i, kurde, w ogóle różne programy sportowe. Kiedy patrzę na rozgrywki, czuję się jak człowiek. Udało mi się nawet wciągnąć w to Zee. Oglądał ze mną transmisje zawodów w golfa. Z początku kręcił nosem, bo niby po co ktoś chce trafić małą piłeczką do dołka, ale kiedy zabrałem go do hali, gdzie się gra, złapał bakcyła. Musiałem go ostrzec, żeby nie rozwalił piłeczką znaku „500 metrów”. Zaznaczyłem, że przerazi ludzi, jeśli do każdego dołka trafi przy pierwszym podejściu, więc powinien choć kilka razy chybić. Brakuje mi go. Szkoda, że poza Rudą nie mam nikogo, żeby popytać, co się ze mną dzieje.

Po zmroku zaczynamy buszować po „Festynie materaców”. To tutejszy sklep ze wszelkiego rodzaju łózkami i pościelą.

– Ciekawe, skąd taka nazwa, nie? – zagaduję Rudą. Siedzimy na parkingu, jemy jabłka i winogrona, które zabrała dla nas w małej torbie.

– Może chcą, żeby wszyscy myśleli, że wybieranie materaca to świetna zabawa – mówi bez przekonania.

– No tak, ale mnie to się kojarzy z występami kłownów i byłbym ostrożny z zakupami, bo bałbym się, że jeszcze z łózka wyskoczy mi jakiś błazen.

Zaczyna tak się śmiać, że aż się krztusi.

– Co? – Uśmiecham się do niej zadowolony, że ją rozbawiłem. – Ty chciałabyś znaleźć jakiegoś kłowna pod kołdrą?

Z kącików jej oczu płyną łzy, nie może się opanować.

– Russell, przestań – prosi, próbując złapać oddech.

Nie może na mnie spojrzeć, bo za każdym razem znów zaczyna się skręcać ze śmiechu. Wreszcie, po kilku małych łykach wody, uspokaja się nieco i ociera oczy.

– Może zamierzają zapewnić klientów, że czekają ich łóżkowe akrobacje – mówi, kiedy jest w stanie coś wykrztusić.

– E tam. – Kręcę głową. – Mnie od razu staje przed oczami jakiś upiorny kłown. Coś straszego. Aż ciarki przechodzą.

Przewraca oczami.

– No to jakie łóżka kupujemy? – pytam tak obojętnie, jak to możliwe.

– Nie mam wielkich wymagań. Pojedynczy materac i stelaż wystarczą. W reklamie pisali, że jeśli kupimy materac, metalową ramę dostaniemy za darmo. – Zerka na mnie. – Ale tobie jest potrzebne przynajmniej podwójne łóżko, prawda? Mam nadzieję, że znajdą w magazynie jakiś dłuższy materac dla ciebie – dodaje zatroskana.

– Nie martw się. Jestem przyzwyczajony, że stopy mi wystają za łóżko.

– Albo weźmy materac dwuosobowy, jak będziesz spał na skos, to się zmieścisz – proponuje. Chce dla mnie jak najlepiej.

– Może to dobre rozwiązanie – bąkam. Najchętniej kupiłbym jedno naprawdę szerokie łóżko, w którym spalibyśmy razem, ale nie mówię tego, bo ona po raz pierwszy, odkąd opuściliśmy Crestwood, się śmieje, więc po co to psuć. – Tym razem idę z tobą. Ci sprzedawcy materaców to podejrzane typki – dodaję. Obserwuję ich, jak krążą przy wejściu w oczekiwaniu na klientów.

– Chyba dałabym sobie z nimi radę. – Zerka na mnie znacząco.

– Wiem, ale przy mnie nawet do głowy im nie przyjdzie próbować, bo wyglądam groźniej niż ty, choć mogłabyś jednym palcem położyć nas wszystkich na łopatki – stwierdzam ugodowo.

Nie spiera się ze mną, ale dalej obserwuje front sklepu. Patrzy, kto się pojawia, wylapuje najdrobniejsze sygnały mowy ciała. Zgaduje na głos, jakie łóżka komu się najbardziej podobają. Każdego potrafi rozszyfrować. Zwraca też moją uwagę na to, że jeśli jakaś para kupuje łóżko, to o wyborze zwykle decyduje kobieta. Wybucham śmiechem.

– Też mi odkrycie!

Pytająco unosi brwi.

– Ale że co? – pyta z uśmiechem.

– Faceci naprawdę nie zwracają uwagi na to, jak wygląda łóżko. Obchodzi nas tylko to, co będzie w łóżku.

– Czyli kto będzie z nimi spał? – Chce się upewnić i lekko się rumieni.

Rany, jaka ona jest naiwna. Totalnie mnie rozwała. Na pewno wie, że chodzi mi o seks, ale nie ma jeszcze tego typu doświadczeń, w każdym razie w tym życiu, więc nie umie sobie tego wyobrazić.

– Mogę cię o coś spytać, Russell?

To musi być dla niej ważne, bo przygryza wargę, czekając, co powiem.

Jestem zaintrygowany.

– Jasne.

Kręci głową.

– Zresztą nie, odpuśćmy.

Zapada cisza.

– No, nie! Lillian! Nie doprowadzaj mnie do szału! – Uśmiecham się i jestem ciekaw, czy użyciem tego fałszywego imienia sprowokuję ją do dalszej rozmowy.

Najwyraźniej to działa, bo Evie rzuca nieśmiało:

– Dlaczego Candace?

Zastanawiam się nad tym chwilę. Czy potrafię wyjaśnić, czemu spotykałem się z Candace, kiedy podczas pierwszego semestru w Crestwood Ruda oznajmiła, że chodzi z Reedem? Wiem, o co naprawdę pyta. Candace to nieprzeciętnie ładna laska i Evie chce wiedzieć, czy dlatego z nią byłem.

– No, nie zamierzam kłamać, Candace bardzo mi się podobała. Przyjemnie na nią patrzeć. Amerykańska uroda, krew z mlekiem – przyznaję. Obserwuję reakcję Rudej. Udaje, że to jej nie rusza, ciągnę więc dalej: – Pewnie powodów znalazłoby się więcej. Mogę wymieniać jej walory fizyczne, ale chyba nie dlatego ją wybrałem – tłumaczę. Widzę, że to chyba jednak robi na Evie wrażenie. Dostaje lekkich kolorów, jakbym ją zdenerwował.

– No to czemu? To jedna z najbardziej podłych osób, jakie znam. – Stara się trzymać emocje na wodzy.

– Ona zachowywała się podle głównie wobec ciebie, Ruda, bo nie znosi, jak jakaś dziewczyna jest od niej ładniejsza. – Uśmiecham się, widząc, jak gromi mnie wzrokiem. Nie wierzyła, kiedy mówiłem jej, że jest od Candace ładniejsza, ale przecież taka prawda. Bez specjalnych zabiegów. Nie ma się z kim ścigać. – Daj spokój, zanim cokolwiek powiesz, posłuchaj. Byłem z Candace, bo jej nie kochałem.

– A to dobre! To po co z nią chodziłeś, skoro się nie zakochałeś? – pyta takim tonem, jakbym zupełnie ześwirował.

– Bo nie mogłem być z dziewczyną, którą kocham – odpowiadam szeptem. A kiedy zamyka usta, dodaję: – Poza tym wiedziałem, że ona mnie też nie kocha. Najbardziej na świecie wielbi samą siebie. Nie zabolaloby jej zbytnio, gdyby się zorientowała, że nie odwzajemniam uczuć. Nie chciałem chodzić z kimś, kto by cierpiał, kiedy odkryje, że mi specjalnie nie zależy, bo i tak zawsze będę kochał kogoś innego.

– A nie lepiej pobyć samemu, póki się nie spotka właściwej osoby? – pyta cicho, jakby naprawdę wierzyła, że gdzieś tam istnieje ktoś mi pisany.

– Jest tylko jedna właściwa osoba – ucinam jej dywagacje.

– Skąd wiesz? – protestuje słabo.

– Bo żyłem tysiące lat i zawsze byłaś tylko ty, Ruda. Tylko ty – stwierdzam ponuro.

– No pewnie, że byłaś tylko ja – próbuje oponować. – Bo z głupoty wybierasz sobie takie jak Candace, kiedy ze mną nie jesteś. Gdybyś znalazł sobie kogoś miłego, zdolnego do miłości, może byś się przekonał, że nie jestem jedyną istotą we wszechświecie, w której możesz się zakochać – wybucha.

Niesamowite, że aż tak ją to wkurza.

– Może. Ale najpierw musiałabyś zwrócić mi serce, które skradłaś. Wtedy pewnie spróbowałbym od nowa.

– Jak to zrobić? – pyta ze smutkiem w oczach.

– Nie wiem – odpowiadam szczerze.

Milknie, a ja siedzę i zastanawiam się nad jej słowami, kiedy tak obserwujemy pracowników „Festynu materaców”, którzy oprowadzają klientów po sklepie. Ruda zauważa, że najlepiej byłoby trafić na tego łysego, bo kiedy zapada decyzja, działa najszybciej. Błyskawicznie załatwia towar z zaplecza i obsługę do pomocy przy załadowywaniu wszystkiego do auta.

– Ruda, mogę cię o coś spytać? – zagaduję. Nie spuszczam wzroku z łysego sprzedawcy biegnącego po sklepie, żeby zebrać rzeczy, które ktoś sobie wybrał. Rzeczywiście szybki, Evie ma rację.

– Mmm? – pomrukuje jakby nigdy nic, ale nie daję się nabrać, bo widzę, jak się lekko napina.

– O czym jest ten straszny sen?

Od razu widzę, że to pytanie się jej nie podoba – znowu przygryza dolną wargę.

– Który? – rzuca, nie patrząc na mnie.

– Może opowiesz mi o tym, co ci się śniło pierwszej nocy, jak tu przyjechaliśmy. Ten sen musiał być ważny.

Wpatruję się w jej twarz, co i raz rozświetlaną to czerwoną, to żółtą poświatą migającego na wystawie neonu.

– On nie ma związku z rzeczywistością. To raczej jakiś koszmar niż sen proroczy – odpowiada szybko.

– Dlaczego tak sądzisz? – drążę.

– Bo był strasznie dziwny – wyjaśnia spokojnie.

Naprawdę chce w to wierzyć, ale czy jej się to udaje, to już zupełnie inna sprawa.

– Dziwny? W jakim sensie? Bo chyba wszystko, o czym rozmawiamy, jest dość dziwaczne.

Chciałbym, żeby szczegółowo wytłumaczyła mi, o co chodzi.

– No dobrze, chcesz wiedzieć dokładniej, proszę. Niosą mnie przez komnatę, taką jak z jakichś podań o dworze króla Artura. Jest ogromna, z kilkoma rzędami korynckich kolumn,

wiesz, z takimi rzeźbionymi liśćmi, wszystko z tego samego ciemnego kamienia, którym wyłożone są ściany. Sklepienie tonie wysoko w górze, a jedyne źródło światła to ogień w ogromnych kominkach, tak wielkich, że można byłoby do nich wejść bez pochylania głowy. I jeszcze w żyrandolach palą się świece.

Nie patrzy na mnie. Mam wrażenie, jakby była gdzieś w tamtym miejscu, które mi opisuje.

– Jest coś dziwnego w tych ścianach. Są zielone, ale trochę poszarzałe, jakby z wapienia, ale inne... a w powietrzu unosi się słodkawy nieznany mi zapach.

Dotyka szyby, jakby to była ściana tamtej sali. Przebiega ją dreszcz.

– Jest tu bardzo pięknie. Tak trochę surrealistycznie, magicznie, niczym w pałacu czarodzieja Merlina. – Rozgląda się nieobecny wzrokiem.

– Jest noc czy dzień? – Staram się to sobie wyobrazić.

– Nie wiem. Nie ma tam okien.

– Powiedziałaś, że cię niosą?

– Taak, strasznie się szarpie... walczę, ale nie za bardzo mi wychodzi, bo jestem związana.

Widzę, jak dostaje gęziej skórki na rękach. Czuję w plecach gwałtowny ruch.

Zaciskam powieki, z całych sił próbuję uspokoić przyspieszony rytm bicia serca.

– Zaczekaj. Nie opowiadaj mi więcej – proszę.

Wiem, że jeśli się nie opanuję, zaraz wyskoczą mi skrzydła, polecę do przodu i wycisnę pocałunek na kierownicy. Biorę kilka głębokich wdechów. Usiłuję się rozluźnić. Kiedy myślę, że już sobie z tym poradzę, otwieram oczy.

– Dobra, dalej.

– Nie ma wiele więcej do powiedzenia. Rzucają mnie na ozdobne, rzeźbione krzesło przy czymś, co można określić jako średniowieczny stół konferencyjny, i wygląda na to, że na kogoś czekamy – ciągnie już bardziej bojowo.

Marszczę brwi, bo podejrzewam, że specjalnie dla mnie udaje. Chce mi pomóc zapanować nad skrzydłami, żeby nie wyskoczyły.

– Niosą cię, rzucają, niby kto taki? – cedzę przez zęby.

– Nie wiem. Są naprawdę silni i szybcy... szybcy jak anioły – odpowiada, jakby przypominała sobie coś, co się nie stało... jeszcze.

– Cholera! Miałem nadzieję, że to jacyś bandyci, zwyczajni ludzie. A to anioły. Upadłe czy Boskie? – Z zapartym tchem czekam, co odpowie.

Nie wiem, czemu to dla mnie takie ważne. Jak wpadniemy w łapy jednym czy drugim, to po nas, jesteśmy martwi na amen.

Zastanawia się chwilę.

– Niestety, Russell, nie mam pojęcia – stwierdza otwarcie.

– Jak to?

– Nie... nie wiem nawet, czy to anioły – mówi wolno, a ja twardo ładuję gębą na kierownicy, kiedy wyskakują mi skrzydła i wypychają mnie naprzód.



Jak już mamy załatwione najbardziej podstawowe sprawy – założyliśmy konto w banku, kupiliśmy łóżka i pościel – zaczynamy rozglądać się po mieście. Robimy dokładne rozpoznanie miejsc, w które zamierzamy się wybrać, takie jak biblioteka, kampus uczelni. Wypatrujemy aniołów, szczególnie Mocy albo Upadłych, ale albo spieprzyliśmy zwiad, albo to miasto całkowicie ich nie kręci, bo przez trzy tygodnie podchodów nie wypatrzyliśmy żadnego wroga.

Houghton opustoszało od czasu, kiedy się tu pojawiliśmy. Wielu studentów wyjechało na wakacje. Za to napływają turyści, więc mój południowy akcent na szczęście już tak bardzo nie zwraca niczyjej uwagi. Ogólnie Ruda osiągnęła swój cel. Wyszukała dla nas bezpieczne, nudne miasto, gdzie da się jakiś czas pożyć. To powinno cieszyć, ale im mniej nam zagraża, tym bardziej jest przygnębiona.

Znajdujemy miejsce do trenowania. To odludna polana kilka kilometrów od szlaku turystycznego Nara. Piękna okolica. Tak wyobrażam sobie dzikie zakątki w raju. Za rosnącymi gęsto ogromnymi drzewami widać falujące wzgórza. Bystry potok niesie lodowate wody z gór. Niektóre drzewa są w pełnym rozkwicie. Derenie konkurują z judaszowcami kanadyjskimi. Są tu też bzy – kolorowe, pachnące. Na łące z długich traw wychylają się polne kwiaty. Zdjęcie stąd byłoby przepiękną pocztówką, gdybym miał kogoś, do kogo mógłbym ją wysłać.

– No dawaj – mruczę do ucha Rudej, kiedy bierze kolejną kolorową kulkę, żeby wystrzelić ją z procy, którą dla niej zrobiłem z kawałków skóry i mocnej gumy. – Wiem, że potrafisz. Musisz się tylko skoncentrować na celu.

Uczę ją. Pokazałem jej różne sposoby korzystania z tej broni. Zaczynamy od kulek jako amunicji. Może powinienem na początek wziąć piłki do golfa, myślę. Kulka po raz drugi wypada ze skórzanego uchwytu.

Evie wzdycha zniechęcona.

– No dobrze, słuchaj, jesteś naprawdę silna, wystarczy ci jeden sposób naciągania. Zobacz, który ci najbardziej odpowiada: górny, dolny, boczny... albo... już wiem, zobacz... ten trochę przypomina ósemkę. Lubię go, bo daje dobre wybicie.

Biorę jedną z kilkuset kulek, które kupiłem w sklepie „wszystko za dolara”. Pokazuję, jak strzelić, i trafiam do celu ponad sto metrów dalej. Puszka po prostu eksploduje, kiedy kulka ją przebija. Przez moje wargi przemyka lekki uśmiech. O ile łatwiej się to robi teraz, kiedy mam dużo lepszy wzrok.

Bez trudu widzę wszystko na odległość. Tydzień temu obudziłem się, a mieszkanie, które tak długo szorowaliśmy, wydało mi się jeszcze brudniejsze niż przedtem. Powiedziałem o tym Rudej. Od razu zorientowała się, w czym rzecz. Przyjęła z ulgą, że mam już wzrok

aniola, jakby się martwiła, że to się opóźnia czy coś w tym rodzaju. Podejrzewam, że nie jest pewna, czy w razie czego zdoła mnie obronić.

Namówiłem ją na wieczorny spacer pod gwiazdami. Mam wrażenie, że mógłbym ich dotknąć, bo wydają się teraz dużo bliższe. Poza tym to kompletny odjazd widzieć wszystko w ciemnościach. Musiałem sobie przypominać, że przecież nie mogę tak po prostu sięgnąć w górę i ściągnąć do siebie nieba.

Teraz widzę wszystkie pyłki unoszące się w powietrzu i powoli osiadające dookoła. Ruda patrzy na mnie z kwaśną miną.

– Co? – pytam, ale nie umiem przed nią ukryć, że rozpira mnie duma. Wreszcie jestem w czymś od niej lepszy. Kiepskie uczucie, jak się nie nadaża, do bani, co, Ruda? – myślę, chwytając kolejną kulkę i znów bezbłędnie trafiając.

– Nieźle, Hank. To może teraz dla odmiany poćwiczymy trochę Bruce’a Lee? – proponuje zirytowana.

Kupiliśmy używany telewizor z ogłoszenia w gazecie i byle jaki odtwarzacz płyt DVD, żeby sobie puszczać filmy, które mogłyby nas nauczyć czegoś o sztukach walki. Ruda jest wyjątkowo dobra w naśladowaniu ruchów Bruce’a Lee. Szczerze mówiąc, przy niej Bruce to małe piwo. Evie to bardziej japońskie anime niż sztuki walki. To, co potrafi zrobić, jest możliwe tylko w kreskówkach.

– Nieee, Ruda, chciałbym, żebyś się nauczyła. To broń, którą najłatwiej zrobić z byle czego – tłumaczę z frustracją, bo zdaje się, że jej to wszystko kompletnie nie obchodzi.

– A dlaczego nie mogę po prostu wziąć kamienia i rzucić nim we wroga?

Wyraźnie nie ma do tego serca.

– Bo twój wróg jest potwornie szybki i potrzebujesz przyspieszenia, które zapewnia proca, żeby ich przygwoździć – tłumaczę, patrząc, jak jedną ręką podparta pod biodro z ociąganiem bierze procę. Jest ostatnio cięta jak osa. Wiem, to dlatego, że cierpi. Próbuje zamykać się w sobie, chowa za murem, który buduje wokół siebie. Nie pozwalam jej zostawać za nim zbyt długo, bo nie mogę znieść, kiedy siedzi zapatrzona w przestrzeń, jakby już nie żyła.

– Jeśli nie masz nic innego, wystarczy, że znajdziesz kawałek materiału i zrobisz dziurki po obu stronach. Potem przywiąż do jednej gumę nieco dłuższą niż twoje przedramię, a do drugiej drugą. – Pokazuję jej, jak zrobiłem proce. – Pewnie niedługo będziesz w stanie strzelać z tego kulkami szybciej niż z karabinu maszynowego – mówię trochę bardziej kąśliwie, niż powinienem, ale naprawdę mnie wkurza.

– Się robi! – odburkuje. Cofa się do torby i bierze następną kulkę.

– Czekaj. Pójdę ustawić ci cel. Zaraz wracam. – Sięgam po dwie puste puszkę po napojach, które tu zabrałem, i biegnę tam, gdzie stały poprzednie.

Pochyliam się, ustawiam je na skale. Słyszę świst i czuję przeszywający nagły ból. Kolano ugina się pode mną. Padam, łapię się za nogę. Kulka trafiła w sam środek uda. Zaciskam zęby i oglądam się przez ramię. Ruda trzyma rękę na ustach. Ma oczy okrągłe ze zdumienia. W jednej sekundzie jest już przy mnie.

– Uciekaj – warczę, zanim może w ogóle się odezwać.

– Tak mi przykro, Russell! – mamrocze przerażona. – Nie sądziłam, że naprawdę mogę cię trafić... zezłościłam się strasznie, bo jesteś w tym taki dobry... – urywa.

Koszula na mnie rozrywa się i w strzępach opada na ziemię, a z pleców wystrzelują mi skrzydła. Wstaję z ziemi i obracam się do Evie.

– Lepiej zmywaj się stąd, Ruda... – ostrzegam, zaciskając pięści, żeby na nią nie krzyknąć.

Udo pali mnie żywym ogniem i naprawdę mam chęć w coś walnąć, a chwilowo tylko ona jest pod ręką.

Obronnie unosi dłonie, kiedy chwiejnym krokiem zbliżam się do niej, nadal trzymając się za nogę.

– Chyba nie myślisz, że naprawdę chciałam ci coś zrobić? Ja tylko...

– Uciekaj! – wrzeszczę.

Utrzymuje dystans, ale nie zwiewa.

Rzucam się na nią. Ledwie mi się wymyka. Odwraca się i biegnie na szczyt wzgórza, ale kiedy pod koniec zwalnia i się waha, już depczę jej po piętach. Widzę szok w jej twarzy, kiedy dostrzega mnie tuż za sobą. Ucieka dalej. Biegnie aż do strumienia, przeskakuje go, przystaje po drugiej stronie i ogląda się na mnie.

– Przepraszam! – krzyczy. Widzi, że wciąż za nią gnam.

Pędzę co sił w nogach, tempo jest zawrotne, nigdy nie spodziewałbym się, że stać mnie na taką szybkość. Aż wiatr poświsztuje mi w uszach, ale nie w pełni to do mnie dociera, bo zaślepia mnie wściekłość. Mam w głowie tylko jedno – dopaść Rudą.

Na brzegu strumienia nie przystaję ani chwili, przeskakuję na drugą stronę, gdzie stoi Evie. Z mojej twarzy na pewno wyczytuje mordercze zamiary, bo znów rusza pędem, jakby ją diabeł gonił, a teraz to nie jest tak dalekie od prawdy.

Robi zmyłki, przemykając między drzewami, ale bez trudu dotrzymuję jej kroku. Kiedy na moment tracę Rudą z oczu, nie martwię się, że ją zgubię, bo czuję jej zapach. Nie muszę swojego celu widzieć, inne zmysły wszystko rekompensują.

Zwiększa dystans. Zyskuje przewagę, więc robię to, co trzeba, żeby nie dać jej zwiąć. Na swojej drodze widzę wysokie sosny. Wdrapuję się na szczyt jednej z nich szybciej niż jakikolwiek człowiek. Z najwyższej gałęzi przeskakuję na drugie drzewo kilka metrów dalej. Szybuję na skrzydłach, łapię konar i wybijam się z niego, by przelecieć do kolejnej grupy drzew. Wykorzystuję powietrzne prądy i chwytam się gałęzi, jakbym to robił całe życie. Nad niczym się nie namyślam. Chcę tylko dorwać Rudą i skrócić jej kark.

Miga mi coś czerwonego pod drzewem, na którym jestem. To Evie. Pewnie ze strachu wypuściła skrzydła. Zorientowała się, że nie żartowałem, kiedy kazałem jej uciekać. Rzucam się do kolejnej kępy drzew, łapię gałąź, potem puszczam się jej i zeskakuję na ziemię z wysokości co najmniej pierwszego piętra. Przyklękam, jednym susem doskakuję do Rudej i łapię ją w tali, kiedy próbuje się wymknąć.

– Dlaczego? – krzyczę, wpatrując się w jej twarz.

Jest blada, wyczerpana po biegu. Nie zdaję sobie sprawy, jak bardzo ją przeraziłem, dopóki mocno nie kuli się w sobie. Rozpaczliwie próbuje mi się wyrwać. Serce wali jej jak oszalałe, ale ja nie puszczam. Zwija się w kłębek, żeby bronić się przed spodziewanymi ciosami. I ten jej strach mnie otrzeźwia. W jednej chwili się uspokajam.

– Cholera! Co ja wyprawiam? – krzyczę. Totalnie mi odbiło. Przytulam Rudą do siebie. – Evie, wybacz... Chyba tylko... nie wiem, co mnie napadło... – urywam, kiedy przytula się do mnie.

– Przepraszam, Russell, nie chciałam cię zranić... Już więcej tego nie zrobię – słyszę jej szept, głos jej się łamie. Przyciska policzek do mojej piersi. – Mam wrażenie, że umieram. Nie mogę już być aniołem. Muszę choć trochę побыć człowiekiem. Dobrze? Możemy znów stać się zwyczajnymi ludźmi? Proszę... – błaga, jakbym miał moc, żeby to sprawić.

Gdybym tylko potrafił, zgodziłbym się bez namysłu. Dałbym jej wszystko, o co prosi, wszystko, czego tylko zechce.

– Cicho, cicho... już dobrze. Ochłońmy chwilę.

Czuję, jak drży w moich ramionach. Powinienem sobie dokopać za to, co jej zrobiłem. Ni z tego, ni z owego całkowicie straciłem panowanie nad sobą. Tak mi wstyd. Wiem, że za nic bym jej nie skrzywdził, ale ona najwyraźniej nie jest tego pewna. Mój pościg za nią na pewno był przerażający, szczególnie że zachowywałem się jak te inne anioły, które się na nią natknęły. Wszystkie poza Reedem. On nie ścigał jej jak pospolitego przestępcy. Czasem trochę jej groził, ale nigdy jej tak nie gonił.

– Szybki jesteś – szepcze.

Jeszcze się trzęsie, nadal jest w szoku po tym, co się stało.

– Biegając, nie mogłem cię dopędzić, więc musiałem spróbować innego sposobu – wyjaśniam. – Nie wiem, co mi się stało, to było tak, jakby kierowało mną coś obcego. Naprawdę się wściekłem, że mnie trafiłaś tą kulką. Jakby część mnie dała się sprowokować – tłumaczę pospiesznie, żeby nie miała wątpliwości, że to był instynkt, odruch, a nie rozważony wybór. – Agresja wzięła górę i chciałem... – Próbuję sam zrozumieć swoje zamiary.

– Co? Co takiego chciałeś mi zrobić?

– Mnóstwo rzeczy – bąkam, bo nie wiem, od czego zacząć, i nie jestem też pewien, czy w tej chwili dam radę zdobyć się na zupełną szczerłość.

– Słucham?

Wzdrygam się lekko.

– O kurde, Ruda, nie mam pojęcia. Mówiłaś, że u aniołów funkcjonuje jakiś system kastowy, tak? – Staram się pomyśleć o tym wszystkim logicznie.

– Zgadza się.

– A my niby jesteśmy na szczycie tej piramidy? – upewniam się.

– Prawda. – Odsuwa się od mojej piersi, żeby na mnie spojrzeć.

– No to chyba miałem takie wrażenie, jakbyś mnie prowokowała, żeby ustalić hierarchię, czy coś w tym stylu. Że pokazujesz mi... eee... nooo... kto tu rządzi. – Śledzę wyraz jej twarzy, żeby się przekonać, czy rozumie, o czym mówię. – W ten sposób dawałem ci odczuć, że mną nie rządzisz.

– Ach tak.

Patrzy na mnie swoimi smutnymi oczami.

– I co jeszcze? – pyta po chwili zastanowienia.

Kilka razy przeczesuję palcami włosy, potem opuszczam wzrok na swoje buty do górskich wędrówek. Kupiłem je niedawno na pchlim targu razem z kilkoma bawełnianymi koszulkami, bo zdieram je teraz szybciej, niż mogę uzupełnić zapasy w zwykłym sklepie.

– No, reszta to tylko takie męskie sprawy – mruczę pod nosem, grzebiąc podszwą w ziemi. Nie podnoszę oczu na Rudą.

– Męskie sprawy?

Z zakłopotaniem pocieram czoło.

– Tak właśnie, męskie sprawy – powtarzam. Rozglądam się po terenie, żeby się zorientować, gdzie jesteśmy w stosunku do miejsca, gdzie ćwiczyliśmy strzelanie.

– Nie rozumiem, co za męskie sprawy? – drąży zdezorientowana.

Naprawdę to do niej nie dociera. Och, chętnie wylałbym na nią cały swój żal. Jak może tego nie kapować?

– Chodzi o to, co chciałem z tobą zrobić, kiedy cię złapałem. Nie wszystko byłoby bolesne. – Staram się wyjaśnić, że miałbym ochotę zderzyć z niej te obcisłe szorty, przycisnąć ją do najbliższego drzewa i kochać się z nią tak długo, jak tylko dam radę, czyli pewnie niezbyt długo, bo tak dawno już nie trzymałem jej w ramionach w ten sposób... To było... w innym życiu.

– No tak... – Wreszcie łapie, w czym rzecz.

Widzę, że lekko się rumieni i skruszona pochyla głowę. Ciężko wzdycham na tę jej reakcję. Ostatnie, czego bym sobie życzył, to wpędzić ją w poczucie winy po tym szaleńczym pościgu przez las.

– Nie przejmuj się, Ruda. To mój problem, nie twój.

– Rozumiem, co mówisz. Potrzebne ci towarzystwo. Powinieneś mieć też innych przyjaciół, swoje życie. Ja zresztą też. – Wpatruje się we mnie. – Unikanie śmierci nie może być naszym jedynym celem, bo to nas zabija – dodaje. Obejmuje się ramionami, tak dla pociechy, bo przecież jest dość ciepło, nawet w cieniu drzew.

Chcę już powiedzieć, że poza nią nikt nie jest mi potrzebny, ale widzę, że teraz to nie rozładuje napiętej atmosfery.

– Co sugerujesz? – pytam, kiedy ona zaczyna chodzić tam i z powrotem tuż przede mną.

– A może znajdziemy sobie jakąś dorywczą pracę? Nic specjalnego, tylko tak po prostu, żeby wyjść między ludzi. – Zapala się do tego pomysłu. – Moglibyśmy zrobić sobie listę

miejsce, gdzie się zgłosimy, i przygotować strategię ucieczki w razie, gdyby coś poszło nie tak. Co ty na to?

– Uważasz, że to dobry pomysł? – odpowiadam pytaniem na pytanie, kiedy przystaje naprzeciwko mnie, widząc mój sceptyczny wyraz twarzy.

– Tak – stwierdza bez wahania. – Musimy coś zmienić. Zaczynam strzelać do ciebie z kulek, a ty ganiasz mnie po lasach, jakbyś chciał mnie zabić. Czy naprawdę powinniśmy żyć tak dalej?

Nie owija w bawełnę.

– Pewnie nie – przyznaję z ociąganiem, choć na samą myśl, że znajdzie się gdzieś sama i nie zdołam jej wtedy pomóc, ogarnia mnie paniczny lęk. A jeśli trafi na Upadłego anioła, a mnie przy niej nie będzie? Przebiega mnie zimny dreszcz.

– Przepraszam – mówi raz jeszcze ze skruszoną miną. – No, za tę kulkę.

– Przynajmniej to był świetny strzał. Trafiłaś prosto w nogę. – Dotykam miejsca, gdzie oberwałem.

Czuję, że przez jakiś czas będzie tam solidny ślad. Podchodzę do niej, biorę ją za rękę i pociągam w dół wzgórza, w kierunku, z którego przybiegliśmy.

– Nie taki znowu świetny. Nie celowałam w nogę. – Uśmiecha się słodko, a ja przypominam sobie, że się schylałem, kiedy mnie trafiła.

– Aleś ty okrutna. Na pewno zostało w tobie coś z człowieka? Jesteś tak samo wredna jak Zefir ze swoim oszczepem – drażnię się z nią.

– Nie wiem, ile jest jeszcze we mnie czegoś ludzkiego, Russell. Dlatego tak mi na tym zależy. Muszę przypomnieć sobie, jak to jest być człowiekiem, zanim umknie mi to raz na zawsze – mruczy.

Ja też zaczynam uświadamiać sobie coś podobnego. Im bardziej ewoluuję, tym trudniej mi utożsamiać się ze światem wokół mnie. Tak jakbym wcale nie był już człowiekiem, jakbym już tu nie pasował. I nie pasuję. Dowodem są moje jaskrawoczerwone skrzydła, ale tak samo jak Ruda rozpaczliwie pragnę zachować w sobie resztki człowieczeństwa. Jeśli to tylko możliwe. Anielska natura próbuje mnie zdominować, tak jakby miała całkowicie wyprzeć to, co ludzkie.

– Dlaczego mnie posłuchałaś? – pytam, kiedy idziemy między drzewami. Widzę, że nie rozumie, więc dodaję: – Dlaczego ze mną nie walczyłaś, tylko uciekłaś? Przecież jeszcze jesteś ode mnie silniejsza.

– Nigdy nie będę się z tobą bić – oburza się, jakbym powiedział coś bardzo głupiego.

– Czemu nie? Myślałaś, że zrobię ci coś złego? Mogłaś mi się postawić – stwierdzam. Przypominam sobie, jak się skuliła, jakbym miał ją zaraz uderzyć. Znowu robi mi się potwornie wstyd.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem – mówi, jak gdyby to wszystko wyjaśniało.

– Tak, ale bałaś się, że cię skrzywdzę. Można powiedzieć, że byłabyś w pełni usprawiedliwiona. – Stawiam sprawę jasno.

– Nie. Nigdy nie będę z tobą walczyć naprawdę. Przenigdy. Możemy razem ćwiczyć, ale nie potrafię patrzeć na ciebie jak na wroga. To niemożliwe – oznajmia stanowczo.

– Więc pozwoliłabyś raczej, żebym cię pobił, nawet byś się nie broniła? – pytam. Chyba oszalała.

– Tak.

– Dlaczego? – drążę, bo muszę zrozumieć jej motyw, zanim jej powiem, że to bzdura.

– Bo jesteś moją bratnią duszą. Kocham cię – tłumaczy jak jakimś tępakowi.

– To nie powód, żeby pozwolić się bić – oponuję oburzony.

– Rozsądek i miłość nie mają ze sobą wiele wspólnego – wyjaśnia, kiedy tak idziemy dalej. – Ale może dlatego cię nie zaatakowałam, że pamiętam, jak się czułam, kiedy umierałeś. Wiem, jak to jest prawie cię stracić... i gdybym kiedykolwiek jeszcze raz zrobiła ci coś złego... – nie kończy myśli, pozostawia ją w zawieszaniu, a ta unosi się w powietrzu między nami.

– Nic mi nie zrobiłaś. Z boską pomocą uleczyłaś mnie, przestań się zamartwiać. – Wzdycham rozszłoszczony i znów przeczesuję palcami włosy. – A jeśli jeszcze kiedyś próbowałbym cię gonić z morderczym zamiarem, proszę, daj mi taki wycisk, żebym nie wstał – dodaję całkiem serio. – Nie wiem, co mnie napadło, ale to przerażające.

Wzrusza ramionami.

– Jesteś teraz aniołem. Instynkty mogą brać w tobie górę. Znam to już trochę. Też zdarzały mi się takie chwile, kiedy zaślepiła mnie dzika wściekłość. Boję się tego – przyznaje. Przez chwilę milczy, po czym nieśmiało dorzuca: – A tak do twojej wiadomości, nie mogłabym być twoją partnerką w tym sensie. Przynajmniej na razie.

Zatrzymuję się i zmuszam ją, żeby na mnie spojrzała.

– Nie rozumiem?

Znów się czerwieni i spuszcza oczy.

– Mówię tylko, że zrobiłabym ci krzywdę, gdybyśmy próbowali jakichś intymnych zbliżeń. Połamałabym cię.

Coś we mnie aż skacze z radości. Nie przez te słowa, ale dlatego, że w ogóle o czymś takim pomyślała, tak jakby w przyszłości to jednak było możliwe.

– Wydaje mi się, że nie miałbym nic przeciwko takiemu łamaniu.

Widzę, jak jeszcze bardziej się czerwieni. Boże, jaka ona piękna.

Znów biorę ją za rękę i prowadzę dalej przez las.

– Chcesz spróbować pobiegać? Sprawdzić swoją szybkość? – pyta mnie nagle. A potem przystaje i ogląda się na mnie z oczami okrągłymi ze zdumienia. – Russell, ty... latałeś?

– Nieee. Tylko wskakiwałem na drzewa i szybowałem między nimi. Nie zdołałem poruszyć skrzydłami, ale rozłożyły się na tyle, że działały jak lotnia i mogłem przelatywać z jednej kępy drzew na drugą.

– Jak latająca wiewiórka?

– Pewnie tak. – Uśmiecham się.

Nieźle porównanie.

– Nauczysz mnie?

To miłe, że prosi mnie o pomoc. Zwykle to ona wszystko mi tłumaczy.

– Jasne.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu się uśmiecha.

– Skoro już wiemy, że potrafię poruszać się jak anioł, poćwiczysz ze mną Bruce’a Lee? To niesamowite, jakie akrobacje wykonujesz, te zwroty, skoki, jakbyś mogła pokonać każdego.

– Pewnie. Ścigamy się! – woła i nie czekając na odpowiedź, śmiga naprzód, prędką jak wiatr.

Ruszam za nią i po chwili ją doganiam, pędzimy ramię w ramię, a ziemia ucieka nam spod stóp.



Ruda od razu zabiera się do szukania pracy, która by wyciągnęła ją z domu. Nadal trochę się denerwuję, wolałbym nie spuszczać jej z oczu ani na chwilę, ale ma rację, nie możemy zamknąć się w czterech ścianach. Musimy żyć.

Ja zamiast szukać etatu, idę najpierw do tutejszego liceum i sprawdzam, czy są tam drużyny koszykówki. Wiem, to nie całkiem fair, żeby ludzie musieli mierzyć się w grze ze mną, ale przecież trzeba jakoś funkcjonować, prawda? I tak dostaję fuchę na lato jako asystent trenera. Płaca gówniana, godziny pracy też do niczego, ale dzięki temu kilka razy w tygodniu wychodzę z domu i uczę dzieciaki. To nawet fajne, bo przypomina mi, że częściowo jestem człowiekiem. Ruda i ja omawiamy wszystko i uznajemy, że ryzyko jest minimalne, bo z jakichś powodów młodzież szkolna niespecjalnie interesuje Upadłych. Może dlatego, że zwykle dusze nastolatków są czyste.

Praca, którą znalazła sobie Ruda, trochę mnie niepokoi. Samo zajęcie jest w porządku. W bibliotece uniwersyteckiej. Ma być tak zwana „półkowa”. Głównie odkłada książki na miejsce i pomaga wyszukiwać potrzebne pozycje. Ale wzięła sobie wieczorną zmianę. Coś okropnego. Biblioteka uczelni jest czynna w tygodniu do północy, a Evie musi zostać jeszcze dłużej, żeby pozanosić książki na półki po wyjściu czytelników. Wynajduję różne preteksty, żeby po nią podjeżdżać, ale od razu mnie rozszyfrowuje i upiera się, że będzie wracać sama piechotą, bo to przecież niedaleko domu. Wiem, że żaden człowiek nie może być dla niej groźny, ale mimo wszystko nie potrafię przestać traktować jej jak dziewczynki, którą trzeba chronić przed światem. Wydaje się, że jest w lepszym stanie psychicznym niż wtedy, kiedy gonilem ją po lesie. Nie czuje się jeszcze dobrze, to pewne, ale wydobyła się już trochę z czarnej otchłani rozpacz, w której zdawała się pogrążona bez reszty po naszym przyjeździe.

Wyposażyła nas w nowe telefony komórkowe, mogę więc już do niej dzwonić, ale każe mi przysiąc, że nie sprawdzę wiadomości zostawionych w skrzynce głosowej na moim starym

numerze. Boi się, że Reed w jakiś sposób to śledzi i może wytropić nasze nowe numery, gdybym się logował. Pytam, jak by to było możliwe.

– Jeśli policja umie to robić, to Reed na pewno też – odpowiada.

Kusi mnie, żeby mimo wszystko spróbować, bo strasznie tęsknię za rodziną i bardzo chciałbym usłyszeć ich głosy, choćby przez moment. Myślę, że Ruda czuje to samo, bo przyłapuję ją kiedyś, jak trzyma swój telefon przy ustach, zapatrzona w okno.

– O czym myślisz? – pytam po chwili, kiedy obserwuję, jak tak stoi bez ruchu niczym posąg.

– O szybkości dźwięku – odpowiada, nie patrząc na mnie. – Zastanawiałam się, ile sekund trzeba, żeby wybrać numer i usłyszeć głos z tamtej strony – szepcze w rzadkiej chwili zwierzeń.

Chyba przez zaskoczenie tak się otwiera.

Marszczę brwi.

– Pewnie tylko kilku. Zależy, gdzie byś dzwoniła. – Nie do końca rozumiem, o co jej chodzi.

– No właśnie. – Uśmiecha się smutno, podchodzi do mnie i podaje mi telefon. – Weź go, proszę.

– Mam swój, Ruda, a tobie jest potrzebny, żebyś w razie czego mogła zadzwonić.

Nachmurzony próbuję jej oddać komórkę.

– Przetrzyмай go dla mnie choć dzisiaj. I nie oddawaj do jutra. Dobrze? – prosi i nie bierze telefonu, który staram się wcisnąć z powrotem do jej dłoni.

– Dlaczego?

– Bo teraz, w tej chwili, nie wolno mi go mieć – mówi i kiedy patrzę na nią pytająco, próbuje wyjaśnić: – Kilka sekund, tak twierdzisz. Trzy, cztery... Możesz sobie wyobrazić, jaka to pokusa? Wiedzieć, że gdybym wybrała numer, w trzy lub cztery sekundy złagodziłabym, choćby na chwilę, ten ból, który noszę w piersi? Że za trzy albo cztery sekundy mogłabym odetchnąć głęboko, przerwać to dławiące odczucie, że tonę. – Jej głos drży, kiedy podnosi dłoń, jakby chciała ukoić kołatanie serca. – Proszę, zabierz mi ten telefon, żebym nigdzie nie zadzwoniła.

Zaciskam ponuro usta.

– Przetrzymam go dla ciebie, ile tylko trzeba. Powiesz mi, kiedy ci go oddać. – Widzę w jej oczach cierpienie.

Myślałem, że już jej lepiej, ale chyba byłem w błędzie. Może czuje się coraz gorzej.

Rozdział 10

ODNALEZIONA

– Słuchaj, Lillian... Zastanawiałam się... no, Lynnette i ja chciałyśmy spytać, czy nie miałabyś nic przeciwko temu... bo to czwartek, do weekendu jeszcze trochę, a my jesteśmy zaproszone na taką jedną imprezkę, nie pozamykałabyś dziś sama, bez nas, co? – Autumn zatrzymuje się przy kantorku, za którym siedzę z jakimś sfatygowanym tomikiem poezji w dłoni.

Nie potrafi się opanować, nerwowo bawi się swoimi długimi brązowymi włosami – wyciąga pasma z tyłu i je rozprostowuje. Cały czas zerka na Lynnette, która gapi się na nas od półek z czasopismami.

Nie podnoszę wzroku na Autumn. Nie muszę, bo już wszystko przemyślałam. Rozważyłam opcje i choć nie mam zamiaru robić grzeczności tym dwóm złośliwym dziewczuchom, akurat tę prośbę chętnie spełnię, byle tylko uwolnić się od niechętnych spojrzeń Lynnette przez resztę wieczoru. W dodatku nie będę musiała wysłuchiwać ich paplaniny, a to warte każdej ceny. Zwykle na wieczornej zmianie pracuje ze mną Fran, ale zachorował jej mąż, więc dziś nie przyszła.

– Nie ma sprawy – zgadzam się od razu.

Autumn oddycha z ulgą, obraca się do Lynnette i zadowolona klaszcze w ręce. Rzucam okiem na Lynnette, ta szybko odwraca wzrok. Nie chce przyznać, że wyświadczam jej przysługę. Zabawna jest ta Lynnette. Nie cierpi mnie od samego początku, odkąd tu przyszedłam. Chyba nigdy się nie dowiem czemu. Niespecjalnie się tym przejmuję. Dawniej pewnie bym się martwiła, ale teraz przywykłam do tego, że niektórzy nienawidzą mnie od pierwszego wejrzenia. Może laska ma nawet jakiś ważniejszy powód niż anioły. Wątpliwe, ale kto wie. Z początku byłam wobec niej nieufna, zastanawiałam się, czy nie jest Kosiarzem, choć nic nie wskazuje na to, żeby była aniołem. Po dłuższej obserwacji doszłam jednak do wniosku, że po prostu ma wredny charakter.

W każdym razie bez nich wszystko zrobię dużo szybciej. Jak będę sama, przebiegnę przez bibliotekę i odłożę książki z anielską szybkością. Więc ostatecznie mnie też to pasuje.

– Dzięki... Kupimy sobie zgrzewkę piwa i wypijemy nad rzeką, zanim pójdziemy na tę imprezę – zwierza mi się w rzadkiej chwili poufałości Autumn.

Musiało wypaść jej z głowy, że mnie nie lubi, podobnie jak mojego „trollowego” akcentu, ale mimo to lekko się do niej uśmiecham.

– Zapowiada się fajnie – mówię.

– No tak, słuchaj... Myślałyśmy, że może już się zwolnimy, musimy się wyszykować, co? – Wskazuje kciukiem za siebie.

– Jasne. – Co za ulga, że sobie pójda.

Wniebowzięta Autumn leci do kumpelki z dobrą nowiną. Krzywy uśmieszek na ustach Lynnette wskazuje, że ta grzeczność nie przełamie lodów między nami. Raczej wręcz przeciwnie. Ma triumfującą minę, jakby pomyślała, że chcę się jej przypodobać, co jest śmiechu warte, bo przecież strasznie boję się zawierania prawdziwych przyjaźni. Przyjaźń ze mną może zagrażać zdrowiu i życiu, wystarczy spytać Russella... czy Reeda.

Serce ściska mi się boleśnie na wspomnienie o Reedzie. Biorę kilka płytkich wdechów. Wiem, że nie wolno mi pozwolić myślom wędrować do niego, chyba że jestem sama. Próbuję jakoś odwrócić swoją uwagę, więc sięgam po zbiorek wierszy Edgara Allana Poe, które czytałam, zanim ta wkurzająca Autumn mi przerwała. Wertuję pogniecione strony i trafiam na wiersz *Kruk*. Kilka początkowych wersów czytam szybko, potem zwalniam, gdy dochodzę do porażającego fragmentu – trafia w samo sedno.

*Wtem powietrze się zamgliło, jakby wkoło się dymiło
Sto anielskich trybularzy, tchnących słodką wonią róż.
Bóg na bóle, co trapiły serce, lek ci zsyła miły –
Zawołałem – zbierz swe siły i wspomnienia ciężkie zgłusz,
Wdychaj lek ten i wspomnienia o Lenory stracie zgłusz!
Kruk zakrakał: Nigdy już!^[3]*

Czytam zwrotkę raz za razem, chłonąc każde słowo. Tak jak bohater wiersza pragnę cudownego eliksiru, który w jednej chwili mógłby wyzwolić mnie od bolesnych wspomnień o Reedzie. Zamykam książkę i odkładam na wózek, żeby odwieźć ją później na półkę.

Wyglądam zza kantorka. Widzę, jak młoda kobieta, która zajmuje się teoriami czarnych dziur, wstaje i zaczyna zbierać swoje rzeczy. Notatki wsuwa do torby. Kiedy pomagałam jej wybrać odpowiednie pozycje, powiedziała, że ma na imię Erin. Temat przydzielił jej na lato profesor, ale ona ma już chyba tego trochę dosyć. Chciałabym jej pomóc, ale niewiele wiem o czarnych dziurach.

Kiedy Erin pakuje się, żeby odejść od mahoniowego stołu oświetlonego lampami do czytania, przychodzi mi do głowy, że mogłabym opowiedzieć jej, jak to jest znaleźć się blisko duszy wstępującej do nieba... O tej niesamowitej tęsknocie i strasznym bólu, których doświadczyłam, kiedy zostawałam tu, by nadal żyć daleko od raj. Zastanawiam się chwilę, czy podobnie jest, kiedy się zagłębia w czarną dziurę. Chyba nie, bo zostałam odepchnięta, a nie wessana do środka. Tyle że to odrzucenie było bardzo bolesne. Wiem jednak, że nie powinnam z nikim o tym rozmawiać, bo ludzie mogliby mnie uznać za wariatkę. Więc lepiej trzymać język za zębami.

Kiedy Erin kończy zbierać książki, przynosi je do mnie. Wstaję i bez trudu przejmuję od niej opasłe tomszcza.

– Uwaga, to sporo waży! – ostrzega i śmieje się, kiedy szybko odkładam je na kontuar.

– Chcesz je wszystkie wypożyczyć? – Biorę skaner i wyrównuję stertę.

– Mmm, nie wiem, no zaraz. Będzie mi potrzebna ta i ta. – Podnosi dwie książki z wierzchu i przysuwa do tych, które już wcześniej zostały odłożone. – A ta... za nudna. Tej nie chcę... – stwierdza z uśmiechem i ustawia trzeci stos z tych odrzuconych.

Podaje mi swoją kartę biblioteczną. Erin Adams. Zaczynam skanować książki, które wybrała, reszta trafia na wózek. Potem rozwiózę je na odpowiednie półki.

– Musisz zwrócić te pozycje w ciągu dwóch tygodni. Gdybyś potrzebowała więcej czasu, możesz przez internet przedłużyć wypożyczenie – wyjaśniam, podając jej wydruk z tytułami i numerami kilku pozycji.

– Wielkie dzięki – mówi z uśmiechem.

– Nie ma za co – odpowiadam, ale nie jestem w stanie odwzajemnić uśmiechu.

Nie wiem, czy to wyraz mojej twarzy, czy coś innego sprawia, że Erin przystaje.

– Słuchaj, jestem tu nowa, ale moja współlokatorka zna wszystkich. Wybieramy się dziś wieczorem do baru. Miałabyś chęć pójść z nami? – Wsuwa z powrotem kartę biblioteczną do portfela.

Nie ma akcentu prawdziwej yooperki, musi być z innego stanu.

– Nie da rady – ucinam szybko. – Mam dopiero osiemnaście lat, żadnego alkoholu mi nie sprzedadzą. Ale dzięki za zaproszenie.

– Szkoda. – Patrzy na mnie rozczarowana. – Zresztą nie musimy iść do baru. Mogłybyśmy tak po prostu się spotkać. Tu nie ma specjalnie nic ciekawego, ale jak mówiłam, moja koleżanka zna sporo ludzi, zaprosiłybyśmy parę osób... – dodaje z nadzieją.

Wydaje się naprawdę miła. Brakuje mi przyjaciółki, takiej zwyczajnej, nieobdarzonej siłami nadprzyrodzonymi. Kogoś, z kim można pogadać o filmach albo o książce czy o nowych butach, a nie tylko o tym, co robić, kiedy ktoś chce mnie zabić czakramem.

– Przepraszam. Dziś nie mogę. Muszę pozamykać i obiecałam, że zaraz po pracy wrócę do domu. Może innym razem? – mówię, bo to byłoby głupie i samolubne z mojej strony, gdybym zawarła ludzką przyjaźń. Dość już ofiar, nie powinnam wciągać w to jeszcze jednej niewinnej istoty.

– Jasne, w porządku – wzdycha. – Ale jeśli przyjdzie ci ochota na jakąś kawkę albo coś w tym rodzaju, daj znać. Przez ten artykuł często będę tu zaglądać. Jeszcze raz dzięki za pomoc.

Zabiera wybrane książki i wychodzi z biblioteki.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy jestem tu sama. Nie, poprawiam się, w ogóle po raz pierwszy zostałam sama od czasu przyjazdu na Górny Półwysep. Wychodzę zza kontuaru.

Idę po wyłożonej terakotą podłodze przed rejestracją, patrząc w ogromne okna z przodu biblioteki. Spokój, martwa cisza. Chyba miejscowi biorą bardzo serio zwyczaj, żeby w oczekiwaniu na weekend zabawić się w czwartek, bo jest dopiero jedenasta trzydzieści, a w pobliżu nie widać żywej duszy. Nasłuchuję, czy z górnych poziomów nie dobiega jakiś oddech albo szelest. Po kilku minutach jestem pewna, że w budynku poza mną nikogo nie ma.

Decyduję, że zacznę zamykać. Toczę wózek obok stanowisk do czytania i zbieram leżące byle jak na blatach książki. Przy jednym z najbardziej oddalonych miejsc znajduję na podłodze telefon. Częściowo schował się pod biurkiem. Przykucam i go podnoszę. Nie jest włączony. Kładę go na wózek i dalej obchodzę bibliotekę. Rozglądam się, gdzie są jeszcze książki do zabrania. Po sprawdzeniu parteru wjeżdżam windą na piętro, porządkuję porzucone tomy, odstawiam na półki atlasy i mapy. Zaglądam też do osobnych sal – pusto.

Popycham wózek z powrotem do windy, żeby wjechać piętro wyżej. Przypatruję się telefonowi na górnej półce wózka. Ciekawe czyj – zastanawiam się, czekając, aż drzwi windy się otworzą. Cichutki dzwonek oznajmia, że jestem na drugim piętrze. Wózek lekko zahacza o próg windy i z łoskotem wyjeżdża na zewnątrz. Od razu biorę się do pracy. Odkładam na miejsce książki w anielskim tempie i w niespełną minutę jestem gotowa. Wracam do wózka i na chwilę zamieram wpatrzona w telefon.

Podnoszę go, włączam. Ożywa natychmiast. Szukając niecierpliwie jego numeru, widzę, że zaczyna się kierunkowym 289. Biegnę do schodów. Na dole jestem w pół sekundy. Rzucam się do działu z komputerami, wchodzę na wyszukiwarkę i sprawdzam, co oznacza ten kod. Telefon musi należeć do kogoś z Ontario lub samego Toronto w Kanadzie.

Czy taki telefon można tu wytropić? Pewnie tak. Jeśli Reed śledzi mój poprzedni numer, to raczej potrafi sprawdzić, kto łączył się z moją pocztą głosową. Albo zhakuje operatora telefonii komórkowej, albo przekupi jego pracownika, by wydobyć takie informacje. Gdybym użyła tego telefonu, żeby wejść na swoją pocztę głosową, wytropi go, ale skoro to numer kanadyjski, czy nie uzna, że jestem w Kanadzie? Czy zdoła sprawdzić, w którym nadajniku logował się ten telefon, i zlokalizuje mnie na Górnym Półwyspie?

Niespokojnie szarpię wargę; rozważam ryzyko związane z tym, co tak bardzo chciałabym zrobić. Chcę użyć tego telefonu, żeby sprawdzić swoją pocztę. Chcę usłyszeć Reeda, tak jakby tu był teraz ze mną. Chcę przez moment mieć wrażenie, że mogłabym dotknąć jego miękkich włosów i idealnie gładkiej skóry. To tak kusząca fantazja. Ręce zaczynają mi drżeć. Minęły aż trzy miesiące. Może on już sobie odpuścił – myślę i robi mi się tak ciężko na sercu, że to nie do zniesienia. Tonę w oceanie smutku, nie mam już sił się opierać. Jestem zmęczona walką o przeżycie.

Jeśli zadzwonię, mogę w jednej chwili zrujnować wszystko, co z takim trudem zaplanowałam... Ale... z drugiej strony... telefon mnie uratuje, nie da mi utonąć w rozpacz. A jeśli to najgorsze, co mogłabym teraz zrobić? Czy wytrzymam, jak jeszcze raz usłyszę jego głos, czy to mnie zabije?

Bezwiednie wybieram trzy pierwsze cyfry poczty głosowej, a potem ciskam komórkę na blat. Cofam się wolno, odwracam i biegnę do drzwi biblioteki, żeby je pozamykać. Potem siadam przy biurku. Sprawdzam czas – ekipa sprzątająca pojawi się tu nie wcześniej niż za godzinę.

Mam wrażenie, jakby moje życie już się skończyło, jakby wszystko, czym dotąd byłam, gdzieś przepadło. Nie przewidziałam, ile będzie mnie to kosztować, kiedy postanowiłam opuścić Reeda. Myślałam, że starczy mi siły, żeby to zrobić dla niego, ale okazuje się, że jestem jeszcze słabsza, niż mi się zdawało. Jedyne, o czym potrafię myśleć każdej minuty każdego dnia, to on. Dzięki swoim nowym możliwościom potrafię widzieć wszystko jaśniej. Jeśli kiedykolwiek sądziłam, że zdołam choć trochę zapomnieć o Reedzie, bardzo się myliłam. Część mnie nie przyjmuje do wiadomości, że zagrożenie było realne, i uważa to, co robię, za okrutne. Gdyby Reed mnie opuścił, nieważne z jakiej przyczyny, czy ja bym to

przeżyła? Zaczyna do mnie docierać, że już nigdy nie będzie lepiej. Inaczej już bym o tym wiedziała, prawda?

Podnoszę telefon, wybieram numer swojej poczty głosowej i czekam na połączenie. Wprowadzam hasło. Automatyczna sekretarka informuje, że moja skrzynka jest pełna. Sekunda ciągnie się w nieskończoność, po czym słyszę coś najpiękniejszego w świecie – aż robi mi się słabo. Głos Reeda. To musi być pierwsza wiadomość, którą zostawił po moim zniknięciu z Crestwood. Jest tylko lekko zaniepokojony, kiedy pyta:

– Gdzie jesteś, Evie? Brownie powiedziała, że kiedy wyszedłem, źle się poczułaś, a jak wróciła do sali, ciebie tam nie było. Wszystko w porządku? Znalazłem twój naszyjnik. W swoim łóżku. Pewnie zatrzask się otworzył, kiedy spałaś. Nie zgubiłaś go, nie martw się. Oddzwoń. Jestem w holu, pod salą.

Wzdrygam się na wspomnienie, jak mu skłamałam. To było po tym, kiedy usiedliśmy w sali. Udałam, że właśnie zauważyłam brak naszyjnika, który podarował mi na urodziny. Bez trudu sprawiałam wrażenie przerażonej, bo panikowałam i czułam się okropnie, że tak go zwodzę. Zaproponował, że pojedzie do domu go poszukać, uśmiechnął się, bo przecież co to za problem, że zniknęła bezcenna biżuteria. Bardziej przejął się moją reakcją niż tym, że zgubiłam klejnot.

Wstał z miejsca obok mnie, ale natychmiast złapałam go za rękę. Pociągnęłam go z powrotem, żeby usiadł. Pochyliłam się, pocałowałam lekko w usta i wyszeptalam: Kocham cię.

– Martwisz się? – spytał z uwodzicielskim uśmiechem.

– Tak – odparłam szczerze i serce ścisnęło mi się z żalu.

Uśmiechnął się do mnie. Jego zielone oczy wpatrywały się w moje, kiedy się nachylił, by dotknąć czołem mojego czoła.

– Nie przejmuj się, znajdę go – obiecał i znów wstał.

Nie puszczałam jego ręki. Popatrzył na moją dłoń w swojej, na zaciskające się mocno palce. Uniósł pytająco brwi i jeszcze raz badawczo na mnie spojrział.

– Cześć – wydukałam, zmuszając się, aby pozwolić mu odejść.

Jak tylko zniknął, łatwo przekonałam Brownie, że źle się czuję. Musiałam na kilka minut oprzeć na blacie głowę, bo wszystko mi wirowało przed oczami. Przyjaciółka szybko pobiegła przynieść mi trochę wody, a wtedy uciekłam.

Nogi mi się trzęsą. Słucham mechanicznego głosu, który pyta, czy chcę zachować wiadomość. W odrętwieniu naciskam, że tak. Automatyczna sekretarka mówi: Następna wiadomość.

– Evie, gdzie jesteś? – pyta ostro Reed.

Tym razem jest zdenerwowany. Potem chwila przerwy, jakby spodziewał się odpowiedzi, ale następne słowa rozpraszają to wrażenie.

– Russell też zniknął. Jest z tobą?

Najwyraźniej boi się, że wystraszy mnie informacją o zaginięciu Russella.

– Zadzwoń, kiedy tylko odbierzesz tę wiadomość.

Muszę usiąść – mówię sobie w duchu. Podchodzę na miękkich nogach do foteli, które stoją przy półkach z gazetami i magazynami, przodem do okna. Siadam, serce mi wali jak oszalałe. To nagranie też zachowuję.

– Następna wiadomość – oznajmia automatyczny beznamiętny głos.

– Genevieve Ava Claremont! – krzyczy Reed do słuchawki, że aż mnie podrywa. – Cokolwiek sobie umyśliłaś, musisz natychmiast dać temu spokój! Wracaj! To zbyt niebezpieczne, nie możesz być zdana na samą siebie. Pomyśl o Russellu. Jest totalnie bezbronny. Oboje potrzebujecie kogoś, kto będzie was chronił – podkreśla surowo, jakby przemawiał do nieposłusznego dziecka, które trzeba zdyscyplinować. Ale zaraz jego ton diametralnie się zmienia, zdradza rozpacz. – Nie czuję cię... Nic ci się nie stało? Nie rób tego, Evie! Błagam...

Dłonie mam mokre od potu, kiedy znów zgodnie z instrukcją naciskam, by zachować to nagranie. Kołaczę mi gdzieś myśl, że sama się torturuję, że to wcale mi nie pomoże. Powinnam się rozłączyć, ale nie potrafię.

– Następna wiadomość.

– Evie – odzywa się Zefir, ale sama nie wiem, czy przyjmuję z ulgą, że tym razem to nie Reed, czy jestem zdruzgotana. – Pewnie to, co usłyszałaś z naszej rozmowy w bibliotece, trochę cię przeraziło. Ale nie jest tak źle. Naprawdę.

Jego głos brzmi spokojnie. Zee musiał przeczytać, jak przekonywałam Russella, żeby ze mną uciekł. Russell powiedział, że zostawił tablet. Specjalnie, żeby Reed znalazł ten sprzęt i zrozumiał, dlaczego znikliśmy.

– Mamy plan. Za kilka dni wyjeżdżamy. Chcieliśmy powiedzieć o tym tobie i Russellowi jutro. Chyba niepotrzebnie zwlekaliśmy. Evie, jesteś nieprzewidywalna, uwielbiam to, ale tym razem pozwalasz, żeby emocje zmały ci jasność myślenia. Najlepsze, co możesz zrobić, to jak najszybciej zadzwonić i powiedzieć nam, gdzie jesteście. Przyjedziemy po was. Z nami będziecie bezpieczni... jesteście naszą rodziną – dodaje, a mnie ściska w dołku i przez chwilę nie mogę oddychać.

– Następna wiadomość.

– Słuchaj, nie wkurzaj mnie, dobrze? – odzywa się gromkim głosem Brownie. Tak wrzeszczy, że aż muszę odsunąć słuchawkę od ucha. Chciała, żeby to zabrzmiało groźnie, ale nie potrafi do końca ukryć, że się boi. – Zadzwoń do nas natychmiast! Bez jaj! Chicago to naprawdę bardzo, bardzo zły pomysł!

Kupili to. Czuję jednocześnie i ulgę, i wyrzuty sumienia, że tak ich wykołowałam. Od tych skrajnych emocji kręci mi się w głowie. Odruchowo zachowuję wiadomość. Nie szkodzi, że Brownie na mnie krzyczy, chcę wiedzieć, że w razie potrzeby mogę usłyszeć jej głos.

– Następna wiadomość.

– Skarbie... – mówi Buns. Na moment zamykam oczy, wyobrażam sobie jej twarz. – Wszyscy bardzo się o ciebie martwimy. Chcę, żebyś natychmiast wróciła. Pojedziemy na

wyspę Zefira. To bardzo odludne miejsce. Kupiłam ci fantastyczny kostium kąpielowy. Będiesz wyglądać naprawdę seksownie. Reed ci się nie oprze, nie ma takiej opcji. Powiedz Russellowi, że załatwimy, żeby przyleciała jego rodzina. To się zobaczą. Nie możemy jechać bez was. Wracaj do domu... Proszę.

Słyszę, jak głos jej się załamuje, kiedy próbuje mnie przekonać. To nagranie też zachowuję.

– Następna wiadomość.

– Evie... gdzie jesteś? Potrzebuję... potrzebuję ciebie... Nie jestem w stanie funkcjonować bez ciebie... musisz do mnie wrócić. – W głosie Reeda brzmi niewyobrażalny ból.

Nic nie widzę przez łzy, które napłynęły mi do oczu. Odruchowo zachowuję wiadomość, ale nie sądzę, żebym dała radę jeszcze kiedyś tego odsłuchać. Nie zniosłabym drugi raz tego, co czuję w jego głosie.

– Następna wiadomość.

Znowu Reed. Tym razem mówi po anielsku i to brzmi inaczej niż kiedykolwiek dotąd. Tyle w tym melancholii, tyle smutku, że zaczynam szlochać.

Co ja najlepszego zrobiłam? – pytam samą siebie. Nie mogę złapać tchu. Niech Bóg ma w opiece tych, którzy naprawdę mnie kochają. Kiedy wiadomość urywa się po dłuższym czasie – a to jakby trwało wieczność – automatyczna sekretarka ponagla, żebym zachowała tę wiadomość, ale kasuję ją. Nie przeżyłabym, gdybym kiedykolwiek wysłuchała tego od nowa.

– Następna wiadomość.

– Skarbie – ze słuchawki płynie łagodny głos Buns. – Musisz wrócić do domu. Kiedy Reed odkrył, że nie ma cię w pociągu... dosłownie oszalał. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Ani żadnego anioła Mocy. Zachowuje się jak ciężko chory. Nie śpi, nie je, analizuje wszystkie szczegóły z dnia poprzedzającego wasze zniknięcie. Próbuje trafić na coś, co mu podpowie, dokąd pojechałaś. Wiemy, że wsiedliście w autobus. Dostał nagrania z kamer, ale w Mackinaw trop się urywa. Jeśli choć trochę ci na nim zależy... nie ma znaczenia, co zrobi z nim Dominion. Gorzej niż teraz, po tym, co sama wymyśliłaś, już być nie może... – Bierze głęboki wdech i dodaje: – Ale jeśli zdecydujesz, że nie możesz wrócić, to chcę ci powiedzieć, że ja też zawsze będę cię kochała.

Mam wrażenie, że płacze.

– Brownie i Zee są ze mną, od nich mam ci powiedzieć to samo. Kochają cię. Nigdy nie przestaniemy cię szukać, skarbie.

Kiedy wiadomość się kończy, tę zachowuję.

– Następna wiadomość.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że czasami wydajesz mi się nierzeczywista? Że chyba sobie ciebie wymyśliłem po to tylko, żeby się zadręczać? – odzywa się cicho Reed i śmieje się gorzko, bardzo niewesoło. – Teraz wiem, że musisz być prawdziwa. Taki ból nie byłby możliwy, gdybyś była tylko wytworem wyobraźni. – Jego głos brzmi zmysłowo, mam

wrażenie, że Reed jest tak blisko, na wyciągnięcie ręki. – Wiem, że istniejesz, ale jesteś teraz dla mnie jak zachód słońca. Piękny i daleki. Żebym nie wiem jak szybko leciał, to cię nie dogonię. Pozostajesz na horyzoncie, a ten stale się oddala – mówi ze smutkiem. Ścisła mnie w gardle, niewiarygodny ból przeszywa mi serce. – Powiedz, gdzie cię znaleźć. Dotrę do ciebie, gdziekolwiek jesteś. Będziemy razem. Tylko ty i ja. Przysięgam. Nie musimy narażać nikogo więcej, załatwimy to tak, żeby Buns, Brownie i Zee byli bezpieczni. Tylko ty i ja, przysięgam... Powiedz tylko, gdzie i kiedy... A ja... – Wiadomość się urywa. Nie mogę się ruszyć, jestem jak sparaliżowana. Po kilku wezwaniach, bym zachowała wiadomość, automatyczna sekretarka sama ją utrwala.

– Nie masz więcej wiadomości – mówi głośno, a ja powoli odsuwam telefon od ucha.

Nie wiem, jak długo tu siedzę, ale nagle dociera do mnie, że ktoś dobija się do drzwi biblioteki. Oglądam się odrętwiała. I widzę przy nich Russella. Patrzy na mnie z zewnątrz przerażony. Zastanawiam się, od jak dawna tam tkwi i próbuje zwrócić moją uwagę.

Jak we śnie, wstaję, strasznie mi słabo. Łzy płyną mi po policzkach, ale jestem niemal zaskoczona, kiedy odkrywam, że dłoń, którą ocieram twarz, robi się mokra. Chwiejnym krokiem podchodzę i otwieram drzwi. Russell wpada do środka, łapie mnie za ramiona i przyciąga do siebie.

– Co się stało? – pyta nerwowo i obejmuje mnie aż za mocno.

Mam wrażenie, że umarłam. Że jeśli mu powiem, co usłyszałam, rozpadnę się na kawałeczki i nie zostanie we mnie nic, co można byłoby pokochać. Nijak nie zdoła mnie pocieszyć... nie ma szans, że poczuję się lepiej.

– Mów, Ruda, cokolwiek się dzieje, damy sobie radę – szepcze mi do ucha.

– Znalazłam telefon – mamroczę. Unoszę rękę i odsuwam się od jego piersi.

Otwieram dłoń, pokazuję srebrną komórkę. Bierze ją i patrzy na mnie zdziwiony. Nie wytłumaczę mu tego, co usłyszałam.

– Połączyłam się ze swoją skrzynką głosową – oznajmiam więc tylko.

– Ruda...

Zamyka oczy, jakbym go zawiodła. Zaciska palce na metalowej obudowie i w kilka sekund ją miażdży. Otwiera oczy i patrzy na mnie zaskoczony tym, co zrobił. Ja się nie dziwię. Wiedziałam, że to nastąpi. Staje się równie silny jak ja i ta myśl to jedyny jaśniejszy punkt w tym wszystkim.

– Chcę wrócić do domu – szepczę, a on wyraźnie smutnieje.

Wie, co przez to rozumiem. Że dla mnie dom to Crestwood, a nie nasze licejskie mieszkanie na Górnym Półwyspie.

– Rozumiem. Tyle że nie możemy tam jechać, póki nie upewnimy się, że nie narażamy ich na śmierć.

– Ale... ja już nie jestem w stanie oddychać. – Znów się rozklejam, płacząc, przykładając dłoń do ust.

– Wytrzymaj, jeszcze trochę... postaraj się, Ruda, będzie dobrze. – Znów przyciąga mnie do siebie. – Dzwoniłaś gdzieś jeszcze? – W napięciu czeka na odpowiedź.

– Nie.

Wyraźnie się odpręża.

– Chodź. Idziemy. W nocy robi się tu upiornie. Nic dziwnego, że dzwonisz na swoją skrzynkę głosową. Dlaczego zostałaś tu sama? – pyta gniewnie.

Wzruszam ramionami. Nie mogę zebrać myśli. Nadal dźwięczy mi w głowie głos Reeda; to, jak mówi w swoim języku, z tym smutkiem, który jest dla mnie torturą. Pozwalam się prowadzić Russellowi do kontuaru po torebkę. Bierze ode mnie klucze, otwiera i przytrzymuje mi drzwi, a potem je za nami zamyka. Mijając kosz na śmieci, wrzuca do niego zgniecioną komórkę.



Następnego dnia prawie nie wychodzę z pokoju. Słyszę, jak Russell tłucze się po mieszkaniu, ale mam tylko chęć naciągnąć poduszkę na głowę i nigdy się spod niej nie wynurzyć. Pewnie czeka, żebym wytłumaczyła mu, dlaczego wzięłam telefon i omal nie zrujnowałam nowego życia, które tu z takim trudem budowaliśmy. Nie ma jednak wyjaśnienia, które by go nie zabolalo. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak strasznie będzie brakować mi rodziny, na której przyzwyczaiłam się już polegać. Jak mogłabym mu o tym powiedzieć? To nigdy się nie skończy, ta tęsknota za Reedem. Russell jest zdecydowanie silniejszy ode mnie. On też stracił kontakt z bliskimi, ale się nie załamuje. Stara się przystosować do nowej sytuacji. Podziwiam go za to. Jest naprawdę dzielny, mogę być z niego dumna. I bardzo chciałabym, żeby on też był dumny ze mnie.

Pozwala mi przeleżeć jeden dzień w łóżku, ale potem udaje mu się skusić mnie na dwa dni wspólnego treningu. Potrafi sprawić, żebym zrobiła to, na co nie mam ochoty. Tak dobrze mnie zna. Wie, jakie guziczki nacisnąć, żebym się podporządkowała. To trochę upokarzające. Uczę go więcej z Bruce'a Lee, a on mi pokazuje, jak przeskakiwać z drzewa na drzewo. Idzie mi średnio, bo moje skrzydła nie dorównują jego skrzydłom. Miałam kilka dość przerażających akcji, zanim się zorientowałam, że nie dam rady szybować tak jak mój przyjaciel.

Russell dostał zapasowe klucze do sali gimnastycznej w szkole, żeby otwierać, kiedy trener się spóźnia. Zaczynamy chodzić tam późnymi wieczorami i ćwiczymy. Znów pokazuję mu, jak biegać po ścianach. Szybko to chwyta z wrodzoną sobie zręcznością. Wykorzystuje szybkość, by pokonywać prawa ciężenia i bez większego trudu wbiega coraz wyżej na ściany. Kiedy pierwszy raz mu się to udaje, odbija się mniej więcej w połowie wysokości i ląduje tuż przy mnie. Porywa mnie w ramiona i kręci mną dookoła jak szmacianą lalką. Rozpiera go radość, jest tak podekscytowany, że aż... skacze po ścianach.

Udało mu się zdobyć kilka mieczy na targach broni palnej i białej, które organizowano w okolicy kilka tygodni temu. Zaopatrzył się w różne cuda, a kiedy pytam, skąd je ma,

informuje mnie, że Górny Półwysep to prawdziwa kopalnia skarbów pod tym względem. Podobno mówi się, że ten rejon to raj dla sportowców. Nie wiem, jaki sport wymaga użycia potwornie ostrych samurajskich mieczy, ale chyba po prostu muszę przejść nad tym do porządku dziennego.

Russell z mieczem jest zabójczo groźny. Ma też cierpliwość. Po mistrzowsku potrafi zapędzić mnie w kozi róg. A potem, kiedy jest jasne, że łatwo mógłby mnie zabić, zatrzymuje się, pokazuje krok po kroku, gdzie popełniłam błąd, i stara się to skorygować. Posługuje się bronią, jakby to było coś najprostszego w świecie. Jest coś przerażającego w tym, kiedy idzie naprzód jak burza i coraz bardziej się zbliża z niesamowitą prędkością. A jednocześnie w pełni panuje nad sytuacją, wie, że jeśli zechce, w mgnieniu oka rozpląta mnie na dwoje. Ale nigdy się nie zapomina, nie daje się ponieść emocjom. Myślę, że dobrze zapamiętał, co się stało, kiedy trafiłam go kulką, i teraz wie, jak niewiele trzeba, by stracić trzeźwość myślenia.

Kiedy nadchodzi poniedziałek, nerwowo obserwuje, jak szykuję się do pracy.

– Wiesz co, Ruda, może lepiej dziś nie idź. Nie podoba mi się, że możesz zostać tam sama. Nigdy nie wiadomo, co one znów wykombinują. – Ma na myśli Lynnette i Autumn.

Naprawdę się wkurzył, kiedy dowiedział się, że kazały mi kryć ich nieobecność i wyszły wcześniej popić sobie przed imprezą.

– A, co mi tam... – Wzruszam ramionami. Te dziewczyny są wkurzające, prawda, ale raczej nieszkodliwe, bo w rzeczywistości nie obchodzi mnie, co o mnie myślą.

– Mimo wszystko, czemu nie znajdziesz sobie czegoś innego? Jakiejś pracy dziennej, w normalnych godzinach? – pyta.

– A po co? Przecież to nie tak, że w środku dnia Upadłe nie grasują, podobnie zresztą jak inne anioły – argumentuję. Zerkam na niego, sprawdzam, czy dał się przekonać.

– Niby racja. Ale nie umiem patrzeć na ciebie inaczej niż na dziewczynę, którą trzeba chronić przed typowymi zagrożeniami. Nie potrafię tego przeskoczyć – tłumaczy z lekkim uśmiechem. – Zawsze musiałem biec po Scarlett, kiedy miała wracać po zmierzchu od koleżanki. Mama nie chciała, żeby moja siostra chodziła sama wieczorami. Stare nawyki trudno wykorzenić.

Wyobrażam go sobie, jak odprowadza młodszą siostrę do domu, i nie potrafię pohamować uśmiechu. Russell jest kochany, taki dobry. W tym wszystkim, co się dzieje, zachował ten swój wdzięk. Szlachetny w każdym calu i nie da się go z tego odrzeć, bo w środku ma samo dobro.

– Współczuję człowiekowi, który próbowałby mnie napaść. Daj spokój. – Unoszę nóż, którym smarowałam sobie chleb masłem orzechowym na kolację.

Kiedy Russell patrzy na mnie sceptycznie, rzucam nożem przez kuchnię i trafiam muchę, która denerwowała mnie tu od rana. Nóż kaleczy przeciwległą ścianę. Na zniszczonym murze powstaje nowy odprysk.

– Znowu kozakujemy, co? – mruczy, a ja spuszczam oczy lekko ubawiona. – Hej, zastanawiałem się, czy wybrałabyś się gdzieś ze mną w środę. Rodzice jednego z naszych

młodych zawodników z drużyny urządzają małe przyjęcie dla wszystkich opiekunów i trenerów. Taka koktajlowa impreza z małymi przekąskami. Będzie Blake ze swoją żoną Angie. Chyba powinienem się tam pojawić.

Blake to trener, który zatrudnił Russella. Spotkałam go kilka razy po meczach. Zabawny gość, zawsze gwizdże na mój widok, jakby nie mógł się pohamować. Angie tylko przewraca na to oczami. Wiem, że on robi to ot, tak. W każdym razie nie ma nic złego na myśli.

– A w co się trzeba ubrać na taki koktajl?

– Dobre pytanie... w coś seksownego... – odpowiada z uroczym uśmiechem.

Wznoszę oczy do nieba.

– Zadzwoń do Angie i się dowiem – mówię.

Russell lekko marszczy brwi. Nadal nie oddał mi telefonu, a ja o to nie proszę. Najwyraźniej nie jest zachwycony pomysłem, żebym znów miała w ręku komórkę. Z przykrością muszę przyznać mu rację.

– Może sam podpytam Angie. Powiem ci, co radzi – proponuje i patrzy na mnie z niepokojem.

– Fajnie. – Pakuję kanapkę w woreczek plastikowy i wkładam ją do małej torby-lodówki, którą zabieram do pracy.

– Wpadnę dziś po ciebie, jak skończysz – rzuca jakby nigdy nic.

Martwi się o mnie – uświadamiam sobie. I sama jestem sobie winna.

– Dobrze – wzdycham, bo pewnie trochę potrwa, zanim odzyskam jego zaufanie.

Trochę się uspokaja. Idę się przebrać do pracy. Wkładam wąską czarną spódnicę tuż nad kolano, białą bluzkę, którą przerobiłam ze względu na skrzydła, i czarne szpilki. Kiedy je noszę, Russell zawsze się na nie gapi. Najwyraźniej bardzo mu się podobają.

W drodze do pracy myślę o przyjęciu. W bibliotece z rozczarowaniem dostrzegam, że Fran nadal ma wolne i znów jestem skazana na dyżur z Autumn przy kontuarze. Tego wieczoru jakoś dziwnie mało mówi. Tylko siedzi i obserwuje mnie badawczo, kiedy pomagam czytelnikom wyszukiwać książki. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej podejrzane wydaje mi się jej zachowanie. Coś jest nie tak. Zwykle gada jak najęta i rzuca głupawe uwagi, jakby nigdy nie wychyliła nosa poza Houghton albo przynajmniej nie dotarła dalej na południe niż do mostu. Ale teraz robi wrażenie skrępowanej. Jest zdenerwowana. Ma szkliste oczy. Zastanawiam się, czy dziewczyny nie zaaplikowały sobie czegoś więcej niż zgrzewki piwa, kiedy poszły nad rzekę.

Po jakimś czasie widzę, że od strony fotokopiarki przygląda mi się również Lynnette. Wygląda niezbyt zdrowo. Ma tak rozszerzone źrenice, że jej oczy wydają się niemal czarne. Najwyraźniej się naćpały – dochodzę do wniosku. Małostkowo kwituję, że widocznie zapracowały sobie na ten wykrzywiający rysy odjazd w krainę chochlików.

Jednak mniej więcej w połowie zmiany mam już naprawdę tego dość. Autumn łązi za mną krok w krok, nawet do toalety. Muszę zatrzaskać jej drzwi kabiny przed nosem, bo inaczej weszłaby chyba ze mną. Zostaje na zewnątrz, ale słyszę, jak po drugiej stronie nerwowo

gryzie paznokcie. Trochę mi lżej, kiedy wracając do kantorka, zauważam Erin. Wchodzi do holu z dwoma kubkami.

– Lillian! Przyniosłam ci kawę. To taka niezbyt subtelna łapówka. – Stawia kubek przede mną. Wyciąga przemycone w kieszeni śmietankę i cukier i kładzie na wieczku razem z plastikowym mieszadłem. – Znow potrzebuję twojej pomocy. Potrzebuję więcej informacji do swojej pracy.

– Z chęcią ci pomogę. Nie musisz mnie przekupywać, ale miło, że pomyślałaś. Uwielbiam kawę. – Patrzę z ulgą na życzliwą twarz.

Autumn nadstawia uszu i słucha naszej rozmowy tak zaaferowana, że to aż krępujące.

Erin orientuje się, że mamy widownię, popatruje na Autumn, potem na mnie i robi taką minę, jakby dawała do zrozumienia, że tamta laska wydaje się jej dziwna.

– Muszę mieć coś więcej o tym, jak wyliczyć promień Schwarzschilda przy użyciu równania odnoszącego się do prędkości światła.

– Niezła zagadka. Zobaczmy, co uda się znaleźć. – Wychodzę zza kontuaru. Muszę przystanąć, bo czuję, że Autumn znów wlecze się za mną jak cień. Oglądam się przez ramię. – Autumn, mogłabyś tu podyżurować do czasu, aż wrócę? Muszę poszukać czegoś dla Erin.

Dziewczyna przenosi wzrok to na Erin, to na mnie. Powoli kiwa głową, z westchnieniem wraca na miejsce i siada. Cały czas gryzie paznokcie i nie spuszcza ze mnie oczu.

– Naćpała się czy co? – pyta Erin szeptem, kiedy odchodzimy w kierunku komputera z biblioteczną wyszukiwarką.

– Nie wiem. Ale dziwnie się zachowuje – odpowiadam, starając się nie wdawać w domysły.

– Hej, chciałam ci powiedzieć, że w zeszłym tygodniu wiele nie straciłaś. Wiesz, kiedy poszliśmy do tego baru. Nudy na pudy – mówi konspiracyjnie, kiedy wpisuję jej pytanie w komputer. – Ale w sobotę wieczorem spotkało mnie coś niesamowitego! – Upija mały łyk kawy.

– Tak? – Unoszę brew i uśmiecham się, bo wyraźnie aż się pali, żeby mi o tym opowiedzieć.

– Tak. Poznałam fantastycznego faceta! Niesamowite ciacho. Poprosił mnie o numer telefonu! Dlatego już nie tknęłam swojej pracy – mówi i widać jak na dłoni, że naprawdę zawrócił jej w głowie.

– A ten fantastyczny facet ma jakoś na imię? – pytam rozbawiona jej rozmarzoną miną.

– Tak... nazywa się Finn Graham. I ma taki niesamowity irlandzki akcent. Jest boski, może go poznasz, bo obiecał, że pewnie wpadnie tu ze swoim bratem Brennusem – dodaje, nieźle naśladując irlandzką wymowę przy imieniu „Brennus”. Cała płonie z podekscytowania.

– Coś takiego... ale historia – rzucam, żeby okazać zainteresowanie.

Czuję się niezręcznie, bo od dłuższego czasu nie przyjaźniłam się już z żadnym człowiekiem niezorientowanym w mojej sytuacji.

– No! – Aż popiskuje z radości, a ja się uśmiecham, bo to takie urocze... dziewczyńskie.

Wynajduję jej więcej książek i pomagam je porozkładać na jednym ze stołów głównego piętra biblioteki.

Kiedy wracam do rejestracji, nie zastaję tam Autumn. Typowe – myślę. – Pewnie zagapiła się w wirujące drobinki kurzu w pokoju rekreacyjnym.

Zaczynam porządkować wózek z książkami, które trzeba poodkładać na miejsce pod koniec zmiany, ale kiedy biorę jedną z nich, moja dłoń nagle zastyga w powietrzu. Przenika mnie zimny dreszcz, dostaję gęziej skórki. Czuję, że coś jest nie tak. Błyskawicznie rozglądam się po parterze biblioteki, żeby wychwycić zagrożenie.

Nieruchomieję zmrożona, kiedy mój wzrok pada na drzwi wejściowe, w których stają dwóch mężczyzn. Idą po wykafelkowanej posadzce do rejestracji. Poruszają się zwinnie niczym skradające się czujnie lisy. Ma się wrażenie, że ich uwadze nie umyka żaden szczegół otoczenia, ale jednocześnie są całkowicie wyluzowani i arogancko pewni siebie. Dla mnie to zły znak. Sięgam do szuflady po nożyk do otwierania poczty i chowam go w dłoni, kiedy się zbliżają.

Szklane drzwi zamykają się za nimi, posyłając w moim kierunku lekki powiew, a z nim coś słodkiego, czegoś takiego nie czułam jeszcze nigdy w życiu... jak jakieś kwiaty... może maki? Mam chęć potrzeć nos, żeby pozbyć się tego natrętnego zapachu. Serce mi przyspiesza. Skrzydła zaczynają ruchy pod skórą, staram się nie dopuścić, by wyskoczyły. Co robić? – zastanawiam się gorączkowo. Jeśli to anioły, wiedziałabym, co dalej – wyskoczyłabym stąd w jednej chwili, ale to nie anioły... i nie ludzie. Czy poznają, że nie jestem człowiekiem? Zadaję sobie to pytanie, kiedy ten niższy, który ma co najmniej metr osiemdziesiąt parę wzrostu, opiera się z nonszalancką elegancją o blat rejestracji.

Rozgląda się po bibliotece przed sobą, na mnie właściwie nie patrzy. Jego krótkie czarne włosy są supermodnie przystrzyżone, przez co facet wygląda bardzo sztywnie, podobnie jak ten wyższy. Obaj mają regularne rysy i wyraźnie zarysowane kości policzkowe, co jest charakterystyczne dla aniołów. Kiedy to sobie uświadamiam, robi mi się słabo.

Ten wyższy jednak mnie poświęca całą uwagę, kiedy bezceremonialnie nachyla się nad kontuarem. Jestem pewna, że musi podobać się kobietom. Przenikliwe zielone oczy nie mają tego szmaragdowego odcienia jak u Reeda. Są jaśniejsze. Ich kolor przypomina mi wodę i morską pianę. Przy jego bladej karnacji robi to niesamowite wrażenie.

– Brat i ja chcemy dostać karty biblioteczne. Możesz nam pomóc? – odzywa się z silnym obcym akcentem, unosząc pytająco ciemną brew.

Irlandczyk – uświadamiam sobie przerażona. Oglądam się na Erin, która z zapalem studiuje książki i nie dostrzega tych dwóch. Ścisnąc mocniej nożyk do otwierania listów, patrzę na faceta przed sobą. Ze strachu skręca mnie w brzuchu.

– Oczywiście – mówię cicho. Nie podchodzę bliżej, tylko dalej trzymam się metr czy dwa od kontuaru. – Poproszę prawo jazdy albo legitymację studencką – dodaję, siłąc się na swobodny ton.

Powoli na jego przystojnej twarzy pojawia się uśmiech. Prostuje się i sięga do tylnej kieszeni spodni po portfel. Jest ubrany na sportowo. Ciemny T-shirt i dżinsy. Ale, tak jak anioły, wygląda w tym elegancko. Niemal wytwornie. Mam chęć rzucić się do drzwi i uciekać.

Wyciąga dokument, potem cierpliwie czeka, żeby brat podał mu swój, ale ani na chwilę nie spuszcza ze mnie wzroku. Wyciąga rękę z dokumentami. Unoszę hardo głowę i zmuszam się, żeby podejść. Nieufnie sięgam po nie, a kiedy moja dłoń zbliża się do jego, czuję chłód emanujący od jego skóry. Serce bije mi coraz szybciej. Starając się ukryć drżenie, uważnie obserwuję Irlandczyka, kiedy moje palce zamykają się na chłodnym plastiku. Chcę wziąć dokumenty, ale on ich nie puszcza, tylko mi się przypatruje, jakby był mną zafascynowany.

Pociągam mocniej.

– Muszę sprawdzić, czy tu mieszkacie albo studiujecie, żeby móc wam wyrobić karty biblioteczne. – Zasycha mi w ustach.

– O, proszę wybaczyć – mówi pieszczotliwie, a jego druga dłoń muska wierzch mojej, zanim oddaje mi dokumenty i opuszcza rękę.

Zdumienie i strach toczą bój z moimi zmysłami, które rejestrują, że ten dotyk był lodowaty, tak jakby facet właśnie przyszedł skądś, gdzie jest potwornie zimno, a przecież to lato.

Nie chcę być za blisko tych gości. Cofam się kilka kroków, zaczytuję ich dane dosłownie w ułamku sekundy, żeby nie spuszczać z oczu tej upiornej pary. Nie jestem pewna, kim są, ale instynktownie się ich boję, a przecucie mnie nie myli. Oni nie są dobrzy. Ogarnia mnie przerażenie, kiedy dociera do mnie, jak się nazywają. De Graham... Finn i De Graham... Brennus.

Erin znalazła sobie jakiegoś podejrzanego chłopaka. Według prawa jazdy Brennus, ten wyższy, ma dwadzieścia cztery lata, a jego brat dwadzieścia trzy. To wydawałoby się prawdopodobne, ale przecież Reed wygląda na dziewiętnaście, a jest dużo starszy – dużo, dużo starszy. Lokalny adres w prawie jazdy, muszą mieszkać razem gdzieś na kampusie, bo to ulica Townsend, a tam jest większość akademików.

Tak naturalnie, jak tylko potrafię, podchodzę i kładę dokumenty na brzegu kontuaru, potem zaraz się cofam.

– Dziękuję. Jeśli chcecie, rozejrzyjcie się trochę, a ja przygotuję wam karty. Będą gotowe za kilka minut. Możecie je odebrać przy wychodzeniu.

Finn, ten niższy, odwraca się i skupia teraz na mnie. Jest bardzo podobny do brata. Obaj mają jedwabiste czarne włosy, jasną cerę, a ich oczy są w tym samym odcieniu opalizującej zieleni. Patrzy na mnie tak intensywnie, że aż przebiega mnie dreszcz, czego staram się nie okazać. Jest coś pierwotnego w tym, jak węszy w powietrzu. Stara się złapać mój zapach, określić go, tak jak ja już określiłam jego. Mam coraz bardziej wyraźne wrażenie, że na mnie polują, bo nie odrywają ode mnie wzroku, choć powiedziałam jasno, że mogą iść się rozejrzeć.

Koncentruję się na Finnie, bo chyba chce coś powiedzieć, ale się wstrzymuje, patrzy na brata, jak adiutant wyczekujący sygnału dowódcy... Od razu przenoszę wzrok na Brennusa. Jeśli coś się stanie, to będzie jego decyzja – na jego rozkaz.

On wlepia we mnie pożądlive spojrzenie.

– To jak masz na imię? – pyta.

Chce mi się krzyczeć ze złości, bo ostatnie, na co mam ochotę, to wdawać się w rozmowy z tymi oblechami.

– Lillian. – Unoszę dumnie brodę, żeby nie sądzili, że się ich boję, choć serce wali mi jak szalone, aż dudni mi w uszach.

– To teraz tak się nazywasz? – pyta seksownym tonem i nie jestem pewna, czy to jego stała zagrywka, czy też nie wierzy w kit, który mu wciskam.

Wyraz twarzy wskazuje, że Brennus dobrze się bawi, bez względu na to, co sobie o mnie myśli.

Przytakuję.

Uśmiecha się znacząco, jakby przejrzał sekret.

– Piękne imię, ale nie całkiem do ciebie pasuje. Lilia jest miękka i słodka, delikatna. A ty jesteś zupełnie inna, prawda? – ciągnie uwodzicielsko, bawiąc się dokumentami, które mu oddałam.

Silę się na profesjonalny ton, taki jaki przybiera Fran, kiedy któryś z czytelników sprawia kłopoty.

– Jeśli coś jeszcze byłoby potrzebne, służę pomocą, ale teraz jestem zajęta. Proszę wybaczyć, muszę wracać do pracy.

Brennus robi wielkie oczy, zaskoczony, że tak go splawiam. A potem wybucha gromkim śmiechem. Brat patrzy na niego ze zdziwieniem.

– Słyszałeś to, Finn? Ja się jej chyba wcale nie podobam – stwierdza ubawiony.

Uśmiecha się do mnie, pokazując idealny garnitur białych zębów. Chciałabym natychmiast wywalić ich za drzwi. Ale już zagiął na mnie parol i po pełnej niedowierzania minie Finna widzę, że obaj są bardzo zaintrygowani.

– Brenn, zdarzyło ci się już kiedyś coś takiego? – pyta rozbawiony Finn.

– Nooo, nie przypominam sobie. – Nadal nie odrywa ode mnie wzroku ani na chwilę. – Chyba umrę z rozpacz. Idź, poszukaj swojej dziewczyny... Ja swoją znalazłem.

Marszczę brwi.

– Ale ja już mam chłopaka – mówię.

Finn ze zdumienia wybałusza oczy.

Brennus wygląda jak chmura gradowa.

– Pokaż mi tego rywala, będę się o ciebie bić. – Śmiertelnie poważny ton nie pozostawia wątpliwości, że koleś nie żartuje.

Rytm mojego serca trzykrotnie przyspiesza, a skrzydła aż się wyrrywają, żeby wyskoczyć. Wstrzymuję oddech, staram się nad nimi zapanować.

Zaciskam zęby.

– Ja sama o siebie walczę, bo to, z kim jestem, to mój wybór.

– No ale jak mam się z tobą bić o twoje uczucia? To bez sensu, choć może raz mógłbym spróbować. Czyli mówisz, że jak wygram walkę, to jesteś moja?

Mam wrażenie, że wyzywa mnie na pojedynek. Jakby rzucił niewidzialną rękawicę.

– Nie. Mówię, że ty i ja nigdy nie będziemy parą – ucinam dyskusję w nadziei, że powstrzymam, cokolwiek planuje, ale widzę po jego oczach, że trybiki już poszły w ruch. Wydaje się podekscytowany, a istoty nadnaturalne nie odpuszczają, jeśli trafią na jakieś urozmaicenie. Czemu nie potrafisz być nudna?

– Amerykanki bywają uparte – mówi Finn do Brennusa, ale lekko mi się skłania, jakby okazywał mi szacunek, co jest dla mnie zaskoczeniem.

Może to dowód uznania, a może pozdrowienie dla prawdziwie przeklętych. Czekam, co zrobi Brennus, wygląda groźnie i czuję, jak nożyk do listów wpija mi się w skórę, lekko kalecząc dłoń, kiedy szykuję się na najgorsze.

– Nie rób tego, Lillian. Nie chcę, żebyś krwawiła... na razie – mówi Brennus, a mnie kompletnie zatyka, jakby uderzył mnie prosto w brzuch.

– Kim ty jesteś? – pytam bez tchu.

– Twoim przeznaczeniem – odpowiada łagodnie i pochyla się, żeby dotknąć mojej twarzy. Cofam się szybko, żeby mnie nie dosięgnął. – Potrzebujesz ochrony, a ja jestem bardzo potężny i wpływowy – mówi rozczarowany, a może i nieco rozzłoszczony tym, że nie pozwoliłam mu się do siebie zbliżyć.

– Nikt ci nie mówił, że jeśli musisz przechwalać się tym, jaki jesteś mocny, to znaczy, że wcale nie masz żadnej siły ani władzy? – Ostrożnie zwiększam dystans, gorączkowo zastanawiam się nad najlepszą drogą ucieczki.

– Raz czy dwa coś takiego słyszałem, ale to chyba głównie stosuje się do pań. – Marszczy brwi. Patrzy na mnie ponuro. – Zarzucasz mi, że kłamię?

– Ale skąd, przepraszam.

Liczę, że to go uspokoi, bo z jego spojrzenia wyczytuję, że chyba niewielu ludzi... czy jakichkolwiek istot mu się ostatnio postawiło. Finn wygląda tak, jakby był pod wrażeniem – a to bardzo, bardzo niedobrze.

– Może powinnam powiedzieć po prostu „nie, dziękuję”, mam już ochronę.

Brennus powoli kręci głową.

– Nie, nie masz. Czy tobie całkiem odbiło? Wszyscy cię szukają. Naprawdę wszyscy... – mruczy, a mnie ogarnia coraz większy lęk, coraz trudniej mi trzeźwo myśleć. – Nie masz żadnej ochrony od, no... od kiedy byłaś w Crestwood, prawda, Genevieve?

Nieeeee! Przyszli po mnie! Koniec gadania... Już ani słowa. Zwiewaj, natychmiast! – woła mój wewnętrzny głos. Już nie jestem w stanie utrzymać schowanych skrzydeł, same wyskakują mi na plecach. W mgnieniu oka przesadam stojący obok mnie wózek z książkami, jednym płynnym ruchem zrzucam szpilki i ląduję na bosych stopach. Pędzę do

tylnego awaryjnego wyjścia z biblioteki, ale zaraz hamuję, czując stamtąd mróz. Przy drzwiach stoi potulnie Lynnette z dwoma bladymi panami. Jeden z nich gładzi ją po ręce, jakby byli kochankami. Ma niesamowite ognistorude włosy. Wtula twarz w jej szyję. Wzrok drugiego mężczyzny skierowany jest na mnie. Trąca łokciem rudowłosego kolegę, kiedy dostrzega mnie w holu. Ta głupia Lynnette wpuściła ich tylnym wejściem – uświadamiam sobie i rozpaczliwie rozglądam się za inną drogą ucieczki.

Co i raz zerkam za siebie – Brennus i Finn idą za mną z recepcji. Całkiem na luzie, jakby spacerowali po parku. Tamci dwaj ruszają mi naprzeciw z drugiej strony. Obok mnie jest włącznik alarmu. Dźgam nożykiem do rozcinania poczty w szybkę i pociągam za rączkę. Z każdego kąta biblioteki rozlega się przejmujące wycie syreny. Wszyscy ludzie korzystający z czytelnicy podrywają się z miejsc i biegiem rzucają się do wyjścia, ich tłum odgradza ode mnie te zimne, dziwaczne stwory. Wpadam do sali konferencyjnej po prawej stronie i zatraskuję za sobą drzwi. Łapię jedno z krzeseł, ciskam nim w szybę. Byle wydostać się na zewnątrz, potem mnie nie dogonią.

Pędzę do okna, kiedy drzwi do sali się otwierają. Wchodzi Brennus z Finnem, a tamci dwaj za nimi.

Finn unosi brwi.

– Cwaniara, co? – mówi z podziwem.

– No, fakt. – Brennus uśmiecha się lekko. – Genevieve, nie zamierzasz chyba wyskoczyć? Mamy tam naokoło swoich ludzi. Czekają na ciebie.

– Zaryzykuję. Na razie. – Pokazuję im środkowy palec, odwracam się i rzucam z okna.

Miękko ląduję na trawniku w pewnej odległości od budynku. Kiedy dotykam stopami ziemi, zrywam się do biegu, słyszę już świst wiatru, ale nagle koniec. Rozlega się potężny huk i płatanina czegoś krępuje mi nogi. Padam twarzą na trawę, uderzając w nią mocno głową. Widzę, jak zbliżają się do mnie jakieś mroczne sylwetki.

Szamoczę się bezradnie z czymś, co przypomina nylonową siatkę. Linki brutalnie wrzynają mi się w skórę, łapię się trawy. Usiłuję za wszelką cenę się podnieść i uciekać dalej. Tamci lodowaci goście nie podchodzą do mnie, gromadzą się tylko wokół mnie i przypatrują moim rozpaczliwym próbom uwolnienia się z sieci.

Brak mi tchu z wysiłku i przerażenia, kiedy nożem do papieru atakuję zaciskające się linki. Kilka udaje mi się rozciąć, ale nagle zamieram, bo słyszę nad sobą głos Brennusa.

– Och, patrzcie na to biedne stworzonko – mówi z troską i uświadamiam sobie, że to mnie ma na myśli.

Sztywnieję i piorunuję go wzrokiem, choć widzę tylko na jedno oko, bo drugie podpuchło po tym, jak uderzyłam twarzą o ziemię.

– Pokrzyżowaliśmy ci plany ucieczki? – Kręci głową i z powagą przyklęka obok mnie.

A ja leżę związana jak indyk przygotowany do pieca w Święto Dziękczynienia.

Chyba nie jestem w stanie trzeźwo myśleć, bo daję się sprowokować jego słowami. Ściskam mocniej nóż. Zanim zdaję sobie sprawę z tego, co robię, wbijam mu tępe ostrze w

stopę. Myślę, że to go zabolalo, bo krzywi się, kiedy je wyciąga. Ze złością ociera je z krwi o spodnie. Teraz moja kolej na krzyk – Brennus jednym pewnym ruchem przecina mi ścięgno Achillesa nad prawą piętą.

Łapie za moją bluzkę i przyciąga do siebie.

– To, żebyś nam nie uciekła – dyszy.

Ledwie go słyszę. Robi mi się niedobrze. Ostatnie, co widzę, to jego pięść, która zadaje mi cios prosto w twarz.

Rozdział 11

KOPALNIA MIEDZI

Złudzenie. To oznacza fałszywe przekonanie lub mylne wyobrażenie. To coś innego od zaprzeczenia, które polega na tym, że nie chcemy przyjąć do wiadomości nieprzyjemnego faktu lub istnienia czegoś, co nam nie odpowiada. Przy złudzeniu ani na chwilę nie dociera do nas coś, w co nie wierzymy. Żyłam złudzeniem, że udało mi się niepostrzeżenie wymknąć z Crestwood. Ale złudzenie to chyba istotny problem wszystkich, których ostatnio spotykam. Wierzą, że mogą mnie przerobić na swoją modłę. A to nie tylko złudzenie, ale totalny nonsens.

Budzę się w potwornym bólu. Głowa łapie mnie nie tylko od upadku twarzą na trawę przy największej prędkości, ale i od ciosu pięści Brennusa. To jednak nic w porównaniu z bólem przeciętego ścięgna. Natychmiast zaczęło się goić, ale minie jeszcze wiele godzin, zanim zdołam stanąć na tej nodze, co skutecznie pozbawia mnie atutu, który dawałby mi jakąkolwiek szansę ucieczki. W dodatku mdli mnie od otaczającego mnie zapachu. Jest lepki, duszący, jakbym utknęła w butelce po starych perfumach. Przy tym wniosku chyba jęknęłam, bo Finn zaniepokojony ogląda się na mnie z przedniego siedzenia.

– Genevieve, będziesz rzygać?

– Co? – pytam słabym głosem, bo jakoś trudno mi zrozumieć, co mówi.

– Wymiotować. Zbiera ci się na pawia? – rzuca zniecierpliwiony, po czym zwraca się do Brennusa, który prowadzi. – Dopiero co zdobyłem tę cholerną beemkę. Czemu te wszystkie twoje bity nie rozumieją po angielsku? – Brennus nie odpowiada, więc Finn znów ogląda się na mnie.

– Musisz mi powiedzieć, co to znaczy „bity” – cedzę przez zaciśnięte z bólu zęby.

– Ty jesteś „bitka”, kobitka, laska. – Sfrustrowany kreśli w powietrzu kształt, żeby nie było wątpliwości.

– Kobiety? – upewniam się.

– Mhm.

– Nie znam waszego slangu. Od dawna tu jesteście? – Staram się zorientować, kim są i kiedy się pojawili w tej okolicy.

– Dłużej niż ty – odpowiada Finn.

– Wiesz, kiedy tu przyjechałam? – pytam przerażona.

– Wiem – stwierdza.

– A skąd?

– Mały ptaszek nam powiedział. – Uśmiecha się tajemniczo.

– Finn, to nie jest odpowiedź.

– Jest – rzuca i zdecydowanie kiwa głową.

– A właśnie że nie.

Wsadzam sobie palec do gardła i zarzyguję jego nową beemkę.

– Genevieve! Zapaskudziłaś mi całe auto! Ty diablico! – mówi z niesmakiem i cofa się do swojego fotela.

Brennus jednak jest wyraźnie ubawiony, kiedy popatruje na mnie w lusterku błyszczącymi oczami, tak jakby spodobało mu się, co zrobiłam.

Poklepuje brata po ramieniu.

– Twoja bita może ci je wyczyścić – uspokaja Finna, który otwiera okno, by wpuścić do auta trochę powietrza.

Dzięki Bogu, mogłabym nie powstrzymać dalszych torsji w tym smrodzie od wymiotów i tych gości siedzących z przodu – myślę, głęboko wdychając ciepły powiew, by trochę oprzytomnieć. Musimy być dalej od wody. Zapach sosen i ziemi wskazuje, że to jakiś górzysty teren. O, nie! Dociera do mnie, że skoro wiedzą, od jak dawna tu jestem, to pewnie wiedzą też o Russellu. Ale nie zapytam o niego, bo może jednak nie wiedzą. Kładę głowę na siedzeniu, zastanawiam się, kiedy Russell odkryje, że zaginęłam. Czy będzie trzymał się planu i wyjedzie z miasta? Boże, błagam, chroń go – modlę się w duchu, ale ból sprawia, że znów zapadam się w ciemność.

Kiedy odzyskuję przytomność, Brennus wyciąga mnie z tylnego siedzenia beemki. Teraz jest delikatny, jakby udzielał pomocy rannemu. Co za ironia – myślę rozgoryczona. – Nienawidzę tych gwałtownych przemian u istot nie z tego świata. Nie umiem się w tym odnaleźć. Niewiele brakuje, a poprosiłabym Brennusa, żeby mnie nie zostawiał, bo jest taki dobry.

Ale zaraz się opamiętuję i natychmiast zaczynam się bronić, kiedy Brennus bierze mnie w swoje zimne ręce i przygarnia do jeszcze zimniejszej piersi. Widzę, że zmierzamy w kierunku wejścia do jakiejś przepastnej jaskini, staram się jak najlepiej zorientować, gdzie jesteśmy. Jednocześnie próbuję się uwolnić. Pieczarę częściowo przesłania ogromny głaz, który nie mógł spaść z góry. Wygląda na to, że został tu celowo umieszczony, żeby zamaskować wejście. Usiłuję wyjrzeć zza ramienia Brennusa, by dojrzeć, co zostawiamy za sobą.

– Nie wyjdiesz już stąd – warczy. – Nie ma znaczenia, czy będziesz wiedziała, co tu jest.

Nie odpowiadam, tylko z całej siły walę go czołem w nos. Głowa eksploduje mi jeszcze większym bólem, ale nie szkodzi, bo z satysfakcją słyszę trzask łamanego nosa. Brennus nawet nie pisnął, ale rzuca mnie Finnowi. Ten łapie bez trudu, a Brennus rusza przodem do jaskini. Finn patrzy na mnie zszokowany.

– Rety, Genevieve, naprawdę niezłe z ciebie ziółko, ale mądra to ty za bardzo nie jesteś!

– A co? I tak mnie zabijecie. Pomyślałam, żeby skończyć z tym już teraz – mówię, a Finn daje znak, żeby przejęły mnie towarzyszące nam „chłopaki” i zanosły do środka.

– Ja cię nie zabiję. Dziwię się, że on w ogóle pozwala nam cię tknąć. Ale masz rację. Niedługo pozbawi cię życia, a potem będziesz miała wiele, wiele lat, żeby mu to wynagrodzić – oznajmia Finn.

Idzie przed nami, a ja się szamoczę i uderzam każdego, kto mi się nawinie.

Nie wyjaśnia, co ma na myśli, bo zaraz po wejściu do jaskini znika w głębokiej dziurze. Otwór przypomina szyb kopalni. Jest kwadratowy, jakby wykuty przez człowieka, a nie siły przyrody. Nie mam czasu na dywagacje, bo ci, którzy mnie niosą, też wskakują w otwór i opadamy kilka pięter niżej. Ten, kto mnie trzyma, niezłe się spisuje, przyjmując na siebie wstrząs lądowania. Jest przykre tylko dlatego, że odczuwam je w spuchniętej pięcie, która pulsuje bólem. Mam wrażenie, że zaraz znów zacznę rzygać. No, w końcu spadaliśmy z wysokości kilku pięter, byłam pewna, że zostanie z nas tylko mokra plama.

Miejsce, gdzie się znalazłam, od razu wydaje mi się znajome, jakby to była sceneria filmu, który widziałam, tyle że nie w telewizji, ale w prześladowającym mnie koszmarze. To pałac czarodzieja Merlina z legend o królu Arturze, przepastne sale z moich snów. Wykute w kamieniu... Niezwykłe szare ściany zachodzące zielenią to skały nasycone miedzią... zmatowiały jak na starej jednocentówce. Ziemista zieleń tu i ówdzie pobłyskuje świeżo odkrytym kruszcem. Jego żyły nadają ścianom niesamowity wygląd, jakby były z marmuru. Szare kamienne korynckie kolumny wysokie niczym sosny sięgają ginącego w oddali sklepienia. Są cudowne, gładkie i symetryczne, ale zdaje się, że zostały wyrzeźbione w tej samej skale co ściany, bo w nich też są żyłki miedzi. Z sali w różnych kierunkach prowadzą kamienne schody. Niektóre w górę, do kolejnych pomieszczeń, a niektóre w dół. Moją uwagę przykuwają te, które wiodą do góry. Nie mam ochoty sprawdzać, co mieści się jeszcze niżej, pod nami.

Nigdzie nie widać Brennusa, kiedy tamci niosą mnie do długiego, prostokątnego drewnianego stołu. Robi wrażenie, jakby pochodził ze średniowiecza. Wokół niego stoją bogato rzeźbione krzesła. To całkiem tak jak w moim proroczym śnie, powinnam się domyślić. Finn cały czas jest z nami. Przygląda się mi, kiedy siadam na krzesło, niezdarnie podkulając nogi. Nadal krępuje je sieć, którą zarzucił na mnie ktoś przy bibliotece.

– Wyglądasz fatalnie, Genevieve – stwierdza Finn i ma na tyle przyzwoitości, by zrobić zmartwioną minę.

Dziwne – myślę. – Co go to obchodzi? Zwariowany potwór... nie powinien brać mojej strony.

– Dzięki za komplement, Finn. – Staram się nie zdradzić, jak bardzo jestem przerażona. – Za to ty wyglądasz świeżo niczym poranek. Z kolei twoja beemka...

Uśmiecha się krzywo na mój kpiący ton.

– Trochę się już uspokoiłaś, co? – pyta.

Marszczę brwi. O co mu chodzi? Przecież wcale nie płaczę.

– Rozetnę ci te pęta, jeśli obiecasz, że mnie nie kopniesz ani nie rozkwasisz mi twarzy, bo wolałbym zachować obecny wygląd.

Zastanawiam się nad tym, co właśnie powiedział. Linki wrzynają mi się w skórę... tak, to byłaby wielka ulga z nich się wyzwolić.

– Obiecuję, że kiedy będziesz zdejmował mi więzy, to cię nie kopnę.

Ma sceptyczną minę, ale pochyła się, wyciąga z buta groźnie wyglądający nóż i zaczyna rozcinać linki. Dlaczego nie mam przy sobie ukrytej broni? – myślę z zalem, obserwując, jak twarde sznury przecina łatwo niczym masło. Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę, zawsze będę nosiła przy sobie nóż. Mogłabym go sobie przytroczyć do uda. Próbuję wziąć się w garść, bo znów zaczyna mi się kręcić w głowie i robi mi się niedobrze. Powinam się skupić na ucieczce. Chyba mam wstrząśnienie mózgu. Wszystko znów mi wiruje przed oczami i przechyla się pod dziwnym kątem.

– Ziiim... ci? – pyta Finn, kiedy kończy zdejmować mi pęta.

Nie odpowiadam, tylko gapię się na niego, bo nie rozumiem, co mówi. Słowa się zlewają, rozmywają.

– Trzęsiesz się, zimno ci? Chcesz koc? – próbuje znowu.

Zupełnie zdrętwiałam, nie mam pojęcia, czy mi zimno, czy ciepło, chyba wpadam szok – myślę, ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa.

Finn zwraca się do gościa obok. Nazywa go Ninian. Ten przeszywa mnie przerażającym spojrzeniem staloszarych oczu, aż przebiega mnie dreszcz. Po chwili kieruje wzrok na Finna. Zdaje się czytać najdrobniejsze sygnały mowy jego ciała, kiedy ten coś mu cicho tłumaczy. Chwytam pojedyncze słowa: Brennus, koc, szok. Ale nic nie rozumiem. To odzyskuję, to tracę przytomność. To mam mętlik w głowie, to znów myślę jasno. W jednej chwili Ninian znika na schodach prowadzących na górę.

Potrafią się ruszać jak anioły – myślę przybita. Już po kilku sekundach Ninian wraca z futrzaną narzutą, która może być z norek albo soboli podbitych jedwabiem. Podaje ją Finnowi i z uszanowaniem cofa się nieco, kiedy ten ją bierze, podchodzi do mnie i delikatnie okrywa nią moje ramiona i skrzydła, starając się mnie nie dotknąć. Zapadam się w krzesło, przygnieciona ciężarem futra.

Powinam bardziej walczyć – myślę, kiedy przypomina mi się biblioteka. – Zastosować wobec nich Bruce'a Lee. Mogłam przynajmniej paru unieszkodliwić. Dość uników... Jeśli trafi mi się szansa, czas dać z siebie wszystko, popamiętają mnie – obiecuję sobie w duchu, zanim zapadam się w ciemność.



Kiedy znów otwieram oczy, mój wzrok pada na ogień płonący w jednym z ogromnych kominków, których jest cały szereg w tej kamiennej sali, dokąd mnie wcześniej wniesiono. Cała zeszywniała patrzę w dół i orientuję się, że leżę na drewnianym stole. Jest długi, ciągnie się przez wiele metrów. Nadal jestem okryta narzutą, która otulił mnie wcześniej Finn. Głowa boli mnie tak, jakbym dostała w nią cegłą. Nie próbuję jej jeszcze unosić. Obserwuję tylko taniec płomieni, który rzuca złowróżbne cienie po sali i sklepieniu nade mną. Mój umysł stara się zebrać w jakąś całość bezsensowne bodźce, które do mnie docierają. Całkowity surrealizm. Jak to może się dziać naprawdę?

– Obudziła się? – pyta ktoś z drugiego końca stołu.

Znam ten głos, ale nie potrafię go przypisać do konkretnej osoby. Serce zaczyna mi jednak walić. Niezdolna się unieść, próbuję obrócić głowę, żeby zobaczyć, kto to mówi. Ale zaraz gwałtowny ból przeszywa mi skronie, więc daję temu spokój.

Podciągam kolana do piersi, kulę się i czekam, aż znów się odezwie, żeby go rozpoznać. Mija dłuższa chwila, ale w pobliżu słychać tylko jakieś bzyczenie, coś jakby uruchomiona piła tarczowa. Zamieram.

Z wściekłości zaczyna mi łupać w głowie. Śmierć... ból... kara... błagaj! Będzie mnie błagał, ale nie ma zmiłowania. Żadnej litości.

– Alfred? To znowu ty, mój skarbie? – pytam w stylu Buns, pozostając na swoim miejscu.

– Stęskniłaś się za mną, co?

Obchodzi stół, by znaleźć się w polu mojego widzenia. Jak miło, że dostosowuje się do mnie. Jest rozebrany do pasa. Zdjął koszulę, żeby uwolnić skrzydła. Od czasu do czasu trzepoczą z podniecenia, które go ogarnia. Widzę ich opalizujący połysk, nawet w czeluściach tej sali, dokąd nie dociera światło słoneczne. Jest piękny. Naprawdę musiał się bardzo postarać, żeby wyglądać zwyczajnie, kiedy go poznałam. Myślę, że w ukryciu anielskich rysów bardzo pomagała przybliżona fryzura à la ludziki lego.

– Tęskniłam za tobą każdego dnia – mówię z ironią. – Martwiłam się, że jeszcze dorwie cię jakiś Upadły i porozrywa ci skrzydła na strzępy, zanim sama się z tobą rozprawię. Na szczęście nadal żyjesz.

– Evie! Co za brutalność. Co oni zrobili z moją słodką, niewinną, ufną dziewczuszką? – pyta z udanym wyrzutem, sięgając do mojego policzka.

– Ani się waż! – powstrzymuje go ostry głos z końca stołu.

Z obrażoną miną Alfred cofa dłoń i się prostuje.

– Masz jej nie dotykać. Rozumiesz? – rozkazuje tonem nieznoszącym sprzeciwu Brennus.

Alfred cały sztywnieje.

Jestem świadkiem wojny, jaka toczy się w jego głowie, i aż chce mi się śmiać. Nadal uważa mnie za swoją własność. I że tak już będzie zawsze. Ale z jakiegoś powodu jest z tymi Irlandczykami – i to nie jako jeden z nich, a pewnie też nie jako ktoś ważny. Ciekawe.

– Oczywiście. – Znów robi wrażenie wyluzowanego, pełnego ogłady. – Zależy mi tylko na duszy... Z przyjemnością oddam ci całą resztę. – Uśmiecha się już mniej arogancko, bo widzi, że się boję.

Oblizuję spierzchnięte wargi.

– Brennus, nie wiem, co powiedział ci Alfred, ale ja nie mogę przeżyć bez duszy. Jeśli pozwolisz, żeby ktoś mi ją odebrał, umrę – oświadczam jasno.

– No tak... ale wtedy zostaniesz jedną z nas... będziesz moja – odpowiada w zadumie Brennus.

– Kim jesteście? – Żałuję, że nie widzę jego twarzy, ale jeszcze nie jestem w stanie unieść głowy.

– Gankanagami – odpowiada, jakbym wiedziała, co to takiego.

Muszę mu spojrzeć w oczy. Muszę się zorientować, co się tu dzieje. Podpieram się rękami, pomału udaje mi się usiąść. Kiedy unoszę głowę, wszystko zaczyna wirować jak szalone i sama nie wiem, czy wierzyć własnym oczom: za długim stołem siedzi kilkunastu „chłopaków” i w milczeniu mnie obserwuje. Nie słyszałam ich oddechów, bo ani drgną, nieruchomi jak posągi przypatrują mi się z wielkim zainteresowaniem. Wszyscy wydzielają identyczny słodki zapach, ale w tej duchocie nie wychwyciłam, że są tak blisko.

Twarz Brennusa wyróżnia się spośród innych wyjątkowo męskimi, uderzająco pięknymi rysami. Aż myślę, że wiele aniołów mogłoby mu pozazdrościć urody. Siedzi u szczytu stołu z Finnem po swojej prawicy. Krzesło z lewej strony jest wolne. Przez moment myślę, że pewnie czeka na Alfreda, ale coś mi mówi, że chyba jednak nie. To miejsce honorowe i nie zostałyby przydzielone komuś spoza ich grona. Tworzą klan... rodzinę. To jasne, jak się na nich patrzy. Idealnie zgrany zespół.

Alfred wie, że nigdy nie słyszałam o Gankanagach.

– W zasadzie to elfy, ale ich gatunek bardzo przypomina inny, który, jak sądzę, znasz.

– Tak? – pytam, bo wyraźnie oczekuje, żeby powiedzieć mi więcej.

Aż się do tego pali i ogarnia mnie coraz większy lęk, ponieważ Alfreda cieszy tylko to, co straszne. Czyli teraz będzie naprawdę okropnie, bo koleś wprost nie posiada się z radości.

– Tak, są podobni do... wampirów.

Na te słowa każdy Gankanag siedzący przy stole posykuje na niego groźnie. Akurat dla mnie dobrze się składa, potrzebuję chwili, żeby otrząsnąć się z szoku. Alfred uspokajająco unosi ręce.

– Mówię tylko tak, dla porównania, żeby zrozumiała. Wiem, że bardzo się od nich różnicie, ale ona dorastała jako człowiek. Nic nie wie o innych gatunkach. Nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że jest aniołem, dopóki nie zaczęła się przeistaczać.

Ich uwaga skupia się teraz na mnie. Próbują sobie wyobrazić, jak to ze mną było.

– Naprawdę, Genevieve? – odzywa się Finn. – Nie wiedziałaś, że jesteś aniołkiem?

– Nie. Trochę potrwało, zanim się domyśliłam – odpowiadam szczerze, bo nie widzę powodu, żeby kłamać. Na razie.

– To... nie jesteś z raju?

– Nie wiem... Znam tylko to życie – przyznaję. Obserwuję Brennusa, który milczy, ale na pewno uważnie słucha tej rozmowy.

– Jeśli nigdy nie byłeś w raj, nie będziesz za nim tęsknić – stwierdza wreszcie, jakby dokładnie przemyślał moją sytuację.

Jestem urażona jego uwagą.

– Nie powiedziałam, że nigdy tam nie byłam, ja czy moja dusza. Tylko że nie pamiętam żadnego innego życia poza tym teraz – oponuję gwałtownie, bo przecież wcale mnie nie zna i nie powinien wydawać sądów.

– Twój przyjaciel... – zaczyna Brennus, wskazując na Alfreda, ale nie daję mu skończyć.

– Żaden przyjaciel. To mój wróg i ja go zabiję – stwierdzam najspokojniej, jak mogę.

Widzę, że przez twarz Finna przemyka cień uśmiechu. Brennus nie zdradza żadnych uczuć.

– Alfred... – poprawia się i czeka, czy coś powiem, a kiedy milczę, ciągnie dalej – przyszedł do nas z pewnym planem... propozycją. Powiedział o twoich problemach, że polują na ciebie Upadłe i Boskie, bo posiadasz duszę, jesteś i człowiekiem, i aniołem. Mówi, że może wyrwać ci duszę, ale wtedy umrzesz.

Czeka, czy zaprzeczę. Fakty się zgadzają, więc się nie odzywam.

– Chyba że my interweniujemy, kiedy twoje życie będzie się kończyć. Mogę sprawić, że znów staniesz się nieśmiertelna. Mogę cię uczynić jedną z nas.

Totalnie oniemiałam. Co to niby znaczy „jedną z nas”? Mam być jakimś zwariowanym duchem? Czymś w rodzaju wampira? Na ile podobnym do wampira? I nagle niczym pocisk przeszywa mnie pewna myśl. Te duchy nie są dobre... Wyczułam to instynktownie w bibliotece. Boję się ich. Czy Boskie polują na nie tak jak na Upadłe? Jeśli stanę się jedną z nich, to czy Reed będzie musiał mnie zabić, kiedy mnie odnajdzie? Tak mi źle jak jeszcze nigdy w życiu. Zrobią z nas wrogów – stanę się demonem, którego Reed będzie zmuszony zlikwidować. Nie będzie miał wyjścia. Może uzna, że w ten sposób wybawi mnie od dalszej niedoli. Patrząc na Alfreda, widzę radość w jego twarzy i wiem, że doszłam do właściwych wniosków.

– Twierdzisz, że jak przemienię się w Gankanaga, to Boscy przestaną na mnie polować? – pytam Brennusa, bo choć nie biorę pod uwagę, że zasilę ich szeregi, chcę wiedzieć, jakie jest ich miejsce w tym porządku rzeczy.

– No nieee. Mówię, że nie będą cię już prześladowali Upadli, a przed Boskimi cię ochronimy, jako członka mojego klanu – odpowiada, potwierdzając moje obawy.

Oni są źli. Upadli pewnie nie interesują się Gankanagami, bo ci nie mają dusz do sprzedania. Mogą być nawet w przyjaznych stosunkach, sądząc po tym, że Alfred wystąpił do nich z propozycją.

– Czemu chcesz, żebym wstąpiła do waszego klanu? Sprowadziłabym na was niebezpieczeństwo. Tak jak wspomniałeś, jestem ścigana. Co ci z tego przyjdzie? – Słyszę ich gromki śmiech, jakbym powiedziała coś przekomicznego.

Chciałabym, żeby istoty nadprzyrodzone przestały tak reagować na moje pytania. Zaczyna mnie to irytować.

– Chyba będę się z tobą o nią pojedynkował – mówi Finn do Brennusa.

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił, braciszku, brakowałoby mi ciebie – odpowiada Brennus bez cienia uśmiechu. A do mnie rzuca: – Co wiesz o Gankanagach?

Zastanawiam się, czy powiedzieć mu, że śmierzdzą, ale to nie poprawiłoby mojej sytuacji. Próbuję zebrać myśli.

– No zaraz... Ci, których poznałam, mają irlandzki akcent i nie interesują się specjalnie książkami z biblioteki. Lubią szybkie auta, ale nienawidzą, jak ktoś rzyga na tylnym siedzeniu. Mieszkają w opuszczonych kopalniach na wzgórzach Górnego Półwyspu, a jeśli chodzi o wystrój wewnątrz, to wyraźnie mają słabość do gotyku i mistycznych klimatów. I cechuje ich bardzo kiepski gust w dobieraniu sobie sojuszników. – W tym momencie popatruję na Alfreda i dodaję: – Poruszają się szybko jak anioły. A co do ich siły... to na pewno zaraz się przekonam. – Kończę i obserwuję reakcję Brennusa. Nie wydaje się ubawiony.

– No to wiesz tyle, co nic – kwituje, a ja nie zamierzam z nim dyskutować. Nie pochlebia mu moja ignorancja. – Torin, poproś je tutaj, łatwiej pokazać, niż opowiadać.

Wstaje jeden z gości siedzących blisko nas. Kiedy mu się przyglądam, niechętnie muszę przyznać, że oni wszyscy są, na swój sposób, naprawdę przystojni. W brązowych oczach tego szatyna skrzą się diabelskie ogniki, jakby skrywał coś bardzo zabawnego. Finn i Brennus są inni w kolorycie, to zielonooccy bruneci. Ale wszyscy mają niemal białą karnację, która jakby emanowała chłodem. Czuję zimny powiew, kiedy Torin przechodzi obok mnie.

W mgnieniu oka znika na schodach pośrodku sali. Tych, które prowadzą na górę.

Reszta bacznie mnie obserwuje. Jestem tym coraz bardziej skrępowana. Powoli staram się przesunąć na brzeg stołu. Zaplątuję się w futro, które częściowo mnie okrywa. Kiedy jakimś cudem udaje mi się wreszcie zsunąć z blatu nogi, ktoś mnie łapie i podnosi. Wzdrygam się na zimno piersi, do której mnie przyciska, i na nieznajomy dotyk. Unoszę głowę. Napotykam wzrok Brennusa. Patrzy na mnie przenikliwie, jakby mnie oceniał. Chciałabym uciec przed tym spojrzeniem.

Nie wolno mi okazać strachu. Stracę szansę na jakąkolwiek przewagę, jeśli poczuje, że się go boję. Nie odwracam więc oczu, ale pozwalam, żeby mnie niósł. Idzie ze mną z powrotem tam, gdzie przed chwilą siedział.

Nawet nie sądziłam, że tak trudno mi będzie ukryć panikę, kiedy znajdę się blisko niego. Naprawdę jest przerażający. Podobnej budowy co Russell i Reed, wzrostem plasuje się gdzieś między nimi. Wręcz perfekcyjna rzeźba sylwetki nie byłaby osiągalna dla żadnego człowieka. Twarz niesamowicie przystojna, czarne włosy, wysklepione łuki brwi, cudowne szmaragdowe

oczy. Ale jest zimny... potwornie lodowaty. Powoli opuszcza mnie na krzesło, które stoi po lewej stronie jego miejsca. Nie! Wszystko we mnie krzyczy, kiedy łagodnie gładzi mój policzek – nadal spuchnięty i bolący po ciosie jego pięści. Zastanawiam się, czy teraz żałuje, że mnie uderzył, czy raczej podziwia swoje dzieło.

– Jak tam stopa? – pytam szybko, bo mam wrażenie, że zaraz się nachyli i mnie pocałuje.

Widzę, jak lekko mruży oczy. Oczekiwał innej reakcji, na coś czeka. Czy liczy, że poddam się jego chłodnym pocałunkom? Robi mi się słabo, na samą myśl przebiega mnie dreszcz.

– Już się prawie zagoiła. A twoja?

– Nieźle – kłamię, bo pulsuje bólem palącym bardziej, niż gdyby ktoś przykładał do niej rozżarzone węgle z kominka.

– Oszukujesz. – Uśmiecha się i patrzy na mnie z podziwem.

Nie daje się zwieść.

Na szczęście nie muszę odpowiadać, bo jego uwagę odwraca jakiś gwar. Do sali wchodzi grupa rozszczebiotanych kobiet. Są młode, a ubrane... no, nie wiem... jak w jakimś haremie... a raczej burdelu. Ich bielizna nie pozostawia wiele wyobraźni. Większość jest bardzo piękna – wysokie, zgrabne dziewczyny. Niektóre nie mówią po angielsku, może pochodzą z Ukrainy albo innego słowiańskiego kraju. Wydają się bezgranicznie szczęśliwe, że zostały tu zaproszone. Żadnej z nich nie dziwi atmosfera ani to, że jesteśmy w opuszczonej kopalni.

Laski z importu? Pewnie Brennus wpadł na świetny pomysł, żeby posprowadzać dziewczyny z daleka, a nie z miasteczek Górnego Półwyspu. Jeśli to nielegalne imigrantki, przemycone w porcie Houghton albo w Marquette, nikt się o nie nie upomni, gdyby nie uszły z życiem z rąk tych gości. Przyglądam się uśmiechniętym kobietom. Kiedy podchodzą bliżej, widzę, że niektóre są lekko przymulone, jak ćpunka na głodzie.

Kiedy zabierają się za facetów wokół stołu, jasno uświadamiam sobie kilka spraw. Przede wszystkim nie są tu przetrzymywane wbrew własnej woli. Przeciwnie. Wydają się wdzięczne, że dostały takie zaproszenie... jakby każda z nich była naprawdę zakochana w facecie, którym się zajmuje. I nie można powiedzieć, aby to zauroczenie nie było odwzajemnione. Oni są dla nich więcej niż czuli. Aż mnie to trochę krępuje. Patrzę, jak jakaś dziewczyna podchodzi do Brennusa i siada mu na kolanach. Jak kochanka. On mnie obserwuje, stara się odgadnąć moją reakcję. Kiedy po prostu patrzę na niego, marszczy brwi. Niesamowite. Spodziewa się, że pęknie z zazdrości?

Poza tym dostrzegam, że kiedy tylko jakaś dziewczyna, a czasem kilka z nich, odnajduje swojego faceta, to jego dotyk wprawia je w upojny błogostan – właściwie zachowują się tak, jakby zażyły ecstazy. Czy ci kolesie mają w sobie coś zniewalającego jak wampiry z filmów, które widziałam? Przypatruję się im uważnie. Kobiety, które wydawały się jeszcze chwilę wcześniej zamulone, teraz są wyraźnie na haju, jak po narkotykach.

Brennus nie spuszcza mnie z oczu, choć jego mała przyjaciółeczka oplata go coraz ciaśniej. Mało mnie to obchodzi, ale wołałabym, żeby przenieśli się z tymi zabawami gdzie indziej, bo po co mam na to patrzeć. Sądzę, że niechęć do obserwowania tego show widać po mojej minie.

– Finn, zabierz ją – rozkazuje Brennus.

Finn wyciąga rękę i delikatnie muska policzek dziewczyny siedzącej bratu na kolanach.

Kobieta natychmiast wstaje i jak pociągnięta niewidzialną smyczą idzie do Finna.

Kiedy Brennus jest wolny, podnosi dłoń i sięga do mojej twarzy. Odsuwam się, ale mnie powstrzymuje.

– Nie ruszaj się.

Znów delikatnie kładzie rękę na moim policzku i przesuwając palce aż do szyi. Mam wrażenie, jakby dotykał mnie kostką lodu. Ani drgnę, tylko wpatruję się w niego zdumiona. Wyciąga drugą rękę do dziewczyny, którą przed chwilą przekazał Finnowi. Teraz gładzi palcami jej policzek, tak jak mój, a ona natychmiast do niego wraca i od razu siada mu na kolanach, ale jego to chyba wcale nie zachwyca. Jest zirytowany.

Chciałby, żebym reagowała tak jak ona. Też coś! Nigdy w życiu! Nie jesteś w moim typie – rzucam mu w duchu z niesmakiem.

Rozglądając się wokół stołu po innych Gankanagach, widzę, że atmosfera szybko robi się gorąca. Podniecenie rośnie i dzieje się to, czego miałam nadzieję nie zobaczyć. Pożądanie ustępuje miejsca żądzy krwi. Słyszę kliknięcie jak przy otwieraniu kapsla. Oglądam się na Brennusa. Nadal mnie obserwuje z uwodzicielskim uśmiechem. Pozwala mi zobaczyć kły, które wyskoczyły z ukrycia. Po chwili z haniebną fascynacją patrzę, jak czule wtula twarz w szyję dziewczyny, zanim przebija zębami jej skórę. Ona jęczy z rozkoszy, kiedy maleńka strużka krwi wycieka z silnych szczęk Gankanaga i powoli spływa po jej ramieniu.

Cholerny wampir! – klnę go w myślach, a po plecach przebiega mi dreszcz obrzydzenia. Ręce zaczynają mi się trząść, kiedy dociera do mnie potworność tego, co się tu dzieje, w co nie chcę uwierzyć.

Odrywam wzrok od tego ucztowania, spoglądam na drugi koniec stołu. Alfred siedzi samotnie, z zaciekawieniem patrzy, jak reaguję. Moje zmieszanie bardzo go bawi. Ogarnia mnie dzika wściekłość, coś we mnie pęka. Siedzę przy stole z kimś, kto zamordował mojego wujka Jima. I kiedy to do mnie dociera, nie liczy się już nic więcej. Nic. Przemyka mi przez głowę, jak mogłabym go zabić, na różne sposoby, tak jakbym to wcześniej dokładnie zaplanowała. Ale z rozpaczą uświadamiam sobie, że każdy z tych sposobów wymaga, żebym przynajmniej chodziła.

Wolnietko, żeby nie przeszkadzać w pieszczotach odchodzących dokoła, pochylam się i wspinam na stół. Zaczynam się czołgać w kierunku swojej ofiary. Alfred wyraźnie nie wie, co o tym sądzić, kiedy widzi, jak się pomału do niego zbliżam. Wreszcie uświadamia sobie moje intencje i nerwowo się rozgląda. Jakby chciał zwrócić uwagę innych przy stole na to, co się święci, ale nie był pewien, jak to zrobić, żeby ich nie rozzłościć.

Sunąc środkiem, odnoszę wrażenie, że drewniany blat nie ma końca, odległość od celu wydaje się ogromna. Jestem chyba w połowie drogi, kiedy mijam Niniana. Moja dłoń przypadkowo muska jego buciór, bo oparł nogę o stół, racząc się swoją kolacją. Znam tę pannę. To Autumn. Musiała być włączona w ich intrygę dziś wieczorem. Dlatego tak mnie pilnowała. Chodziła za mną krok w krok, prawdopodobnie chciała mieć pewność, że nie wyjdę przed ich przybyciem. Teraz jest zachwycona, że Ninian poświęca jej tyle uwagi. Cieszę się, że on upaja się jej krwią – na zdrowie, Ninian.

Nagle moją uwagę przyciąga błysk noża wystającego Ninianowi z buta. Nie zwalniam ani na chwilę, bez trudu wyciągam tę broń z wiązania na kostce i dalej brnę naprzód.

Alfred odsuwa krzesło od stołu, szykuje się na atak frontalny. Jego skrzydła wibrują głośno. Mam ochotę mu je wyrwać. Uciszyć ten odgłos, który przypomina mi zdarzenia w 7-Eleven, kiedy po raz pierwszy go usłyszałam. W wybałuszonych oczach Alfreda widać lęk, kiedy gorączkowo rozgląda się po sali, rozważając drogi ucieczki. Wpatruję się w niego, staram się odgadnąć, w którą stronę zamierza się rzucić.

Ktoś głośno odchrząkuje gdzieś za mną. Nie zwracam na to uwagi. Skupiam się wyłącznie na tym, co mówią oczy Alfreda. Chce skoczyć pod sufit i uciec na skrzydłach przed atakiem.

– Genevieve, co ty wyprawiasz? – odzywa się za mną Brennus.

Z tego co słyszę, nadal siedzi u szczytu stołu.

Nie przystaję, dalej powoli zbliżam się do swojego śmiertelnego wroga. Siedzi jak zahipnotyzowany, ale w końcu się otrząsa. Mięśnie mu tężeją, szykuje się do skoku. Ja też się sprężam i nawet nie czuję bólu, kiedy odbijam się pociętą piętą, by rzucić się za nim, wyciągając nóż. Zamierzałam wbić mu ostrze prosto w pierś, w to samo miejsce, w które on dźgnął Russella, ale chybiam, bo przez poranioną stopę nie mam jeszcze dość sił. Jestem nieco rozczarowana, kiedy trafiam zaledwie w udo. Tnę mocno w dół, głęboko rozcinając mięsień czworogłowy, i na pocięchę słyszę wycie z bólu.

Spadam na posadzkę, miotam się, żeby chwycić Alfreda za stopę i go za sobą pociągnąć. Chcę go zabić i nic poza tym do mnie nie dociera. Widząc, że z podłogi go nie dosięgnę, wskakuję z powrotem na stół. Chcę wybić się z niego na żyrandol nad moją głową. Ale zanim to robię, ktoś mnie porywa z blatu. Brennus trzyma mnie w stalowym uścisku. Aż się duszę, ciemne plamki wirują mi przed oczami.

Ze wszystkich stron rozlegają się protesty.

– Kurde, po co on ją powstrzymał? – woła ktoś. – To było coś najseksowniejszego, co w życiu widziałem.

– Ależ ona pełzała po tym stole. Myślałem, że umrę, jak jej zaraz nie dotknę – mówi Ninian.

Najwyraźniej musiał jednak zauważyć, jak podbierałam mu nóż.

– Nie będziesz zabijać moich gości, kotku – szepcze mi do ucha Brennus.

Chce mi się krzyżeć, ale nie jestem w stanie nabrać dość powietrza. Dzikim wzrokiem toczę dokoła, żeby wytropić Alfreda, ale najwyraźniej zwiął. Pewnie uznał, że krwawienie w

towarzystwie Gankanagów jest niezbyt fortunne. A może naprawdę się mnie boi. Powinien. Powinien trząść się ze strachu na mój widok, bo jestem jego przeznaczeniem – jego końcem.

Nie poddaję się, wręcz przeciwnie – jeszcze bardziej się szarpie, żeby wyrwać się Brennusowi, ściska mnie tak mocno, że jestem bliska utraty przytomności. Ale tylko upuszczam nóż, który skradłam Ninianowi.

– Dobra, chłopaki, mamy tu zabójczą Serafinkę. Doceniamy to. Ale póki nie należy do klanu, nie jest jedną z nas, bez względu na to, jaka z niej uroczą łaska – stwierdza Brennus.

Unosi mnie i ciska w kierunku jednych ze schodów. Prowadzą w dół.

– Finn, idź, sprawdź, czy są jakieś wiadomości o tym drugim. Coś musiało pójść nie tak.

Wlecze mnie kilka kondygnacji niżej, aż na sam dół, skąd odchodzi kilka ciemnych korytarzy. Skręca w lewo i to ciągnie mnie, to niesie w kierunku czegoś, co można jedynie nazwać szeregiem więziennych cel. Niektóre z grubych stalowych drzwi o solidnych zawiasach są uchylone, inne szczelnie zamknięte. Wydaje się, że wybiera jakąś na chybił trafił i wrzuca mnie do środka. Nie ma tu nic. Nic. Tylko klepisko i kamienne ściany. Bez słowa wychodzi i zatrząskuje za sobą drzwi. Słyszę, jak zamyka zasuwę. Musiałam go wystraszyć – myślę, rozglądając się po celi, która chyba nie ma więcej niż trzy na trzy metry.

Adrenalina krąży mi w żyłach. Zdaję sobie sprawę, że mam w tej chwili najwięcej sił, na jakie mnie będzie stać w tej niewoli. Obracam się i napieram na stalowe drzwi, które trzymają mnie w tej pułapce. Uginają się nieco z gniewnym zgrzytem. Jednak nie puszczają. Odsuwam się od nich, cofam do ściany i z impetem rzucam się na nie niczym taran. Lekko zadrżały, a w murze wokół nich pojawiają się rysy, ale nadal tkwią mocno na miejscu. Próbuję raz jeszcze, ale to naprawdę boli. Na pewno złamałam bark, a przez to przecięte ścięgno i brak miejsca i tak nie mogę się wystarczająco rozpędzić, żeby wyważyć drzwi.

Kuśtykam, odsuwam się od nich, przytrzymując bezwładną, połamaną od uderzenia w drzwi rękę. Pokonana padam na ziemię. Chwilę tak leżę z nienaturalnie podkulonymi nogami. Muszę odpocząć. Wygoić obrażenia i zaplanować ucieczkę. Tymczasem robię sobie listę. Po pierwsze Alfred, po drugie Brennus, po trzecie Finn...



Kiedy moja stopa jest już prawie zdrowa, zaczynam chodzić po celi. Musi być dobrze po południu, minęło ponad dwanaście godzin, a nikt się tu nie pojawił, by sprawdzić, co się ze mną dzieje. Strasznie chce mi się pić. W ustach mam tak sucho, że robią mi się tam ranki. Myślę, że to proces gojenia ran sprawia, że potrzebuję więcej płynów. Czuję się odwodniona. Uświadamiam sobie, że nie powinnam chodzić, ale usiąść, żeby nie pogarszać sprawy.

Po jakichś szesnastu godzinach bez wody zaczynam się podłamywać. Bolać mnie mięśnie, łąpią bolesne kurcze. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że tak bardzo może mi brakować picia. Potrzebuję wody. Naprawdę.

Przychodzi mi na myśl, że to zupełnie jak w tamtych snach, które nawiedzały mnie zaraz po tym, kiedy dowiedziałam się, co Alfred zrobił wujkowi. Śniło mi się, że umieram, jakby z

jakiegoś potwornego głodu, ale nie towarzyszyły temu żadne obrazy. Może dlatego, że tkwię zamknięta w ciemnej kopalni i widzę tylko mgliste zarysy ścian, dzięki czemu wiem, że w ogóle jeszcze gdzieś jestem.

Później zaczynam mieć wrażenie, że to wszystko mnie nie dotyczy, jakbym już nie istniała. Nie wrócą tu po mnie – myślę coraz bardziej osłabiona, a żal, że zostanę w tym miejscu na zawsze, przeszywa mnie bólem niczym cios noża.

Tracę rachubę czasu, ale wieczność później w drzwiach otwiera się maleńka klapka i słyszę:

– Chcesz trochę wody, kotku?

Od razu poznaję – to Brennus.

– Tak – chrypię szeptem, w ogóle ledwie mogę wydobyć z siebie głos.

Jestem zrozpaczona.

Do celi wpadają dwie małe buteleczki wody. Brennus już się nie odzywa, a klapka od razu się zatrzaskuje. Z trudem podnoszę się z podłogi, żeby wziąć butelki z wodą. Pierwszą natychmiast wypijam, starając się nie uronić ani kropelki. Drugą próbuję sobie racjonować. Po zaspokojeniu pragnienia zastanawiam się na tym, jaką taktykę stosuje wobec mnie Brennus. Czego ode mnie chce? Żebym go całkiem znienawidziła? No to misja wypełniona. Nie znoszę go.

Dzieje się tu kilka rzeczy. Muszę przeanalizować każdy ich element z osobna, by zrozumieć, o co chodzi. Tak uczył mnie Zefir w Crestwood. Ogarnia mnie nagła tęsknota na myśl o przyjacielu. Gdzie teraz jesteś, Zefir? – zastanawiam się bliska płaczu, ale zaraz biorę się w garść, żeby skupić się na tym, co naprawdę ważne.

No dobrze. Brennus czegoś ode mnie chce. Mojej krwi? Możliwe, że lubi przekąski z aniołów. Możemy smakować Gankanagom. No ale w takim razie dlaczego jej sobie nie wypije? Jestem sama, ich kilkunastu. Powiedział, że zmieni mnie w jedną z nich. Pozwoli Alfredowi zabrać mi duszę i umrę albo prawie umrę, a potem co? W jakiś sposób przeistoczy mnie w Gankanaga. Jak to się dzieje? Może sama musiałabym tego chcieć. Jak mówiła Buns, muszę oddać Alfredowi duszę dobrowolnie. Czy w Gankanaga też mogę się zmienić tylko na własne życzenie?

Wygląda na to, że wszystko w moim życiu to sprawa wyboru. To do mnie w pewnym stopniu należy decyzja, co się stanie z moją duszą. Teraz, kiedy wiem, gdzie może trafić, jestem jeszcze mniej skłonna oddać ją cuchnącemu demonowi. Poczułam przez chwilę, czym jest raj, i niesamowicie go pragnę. Czy gdybym postąpiła wtedy inaczej, Russell mógłby się już nim cieszyć zamiast tkwić tu na Górnym Półwyspie blisko Gankanagów i Alfreda? Pewnie na niego polują. To musiał mieć na myśli Brennus, mówiąc o „tym drugim”. Kazał Finnowi sprawdzić, co poszło nie tak z Russellem.

Dawaj, Russell! Modlę się w duchu, żeby był już daleko, w drodze do miejsca, które sobie wybrał. Wiem, że jeszcze go nie dorwali, bo Alfred już by targował się ze mną o jego życie, żądając w zamian mojej duszy.



Mija co najmniej kolejny dzień, zanim znów słyszę, jak przesuwana się klapka. Woda, którą usiłowałam sobie racjonować, skończyła mi się co najmniej dwanaście godzin temu. Jestem jak w malignie, nie do końca wiem, czy mi się tylko nie zdaje, że słyszę głos Brennusa.

– Chcesz trochę wody, kotku? – powtarza to samo pytanie.

– Brenn... – zaczynam ochryple, ale zanim jestem w stanie wyjąkać coś więcej, klapka się zamyka.

Jestem na skraju płaczu. Odszedł, a ja tak bardzo potrzebuję wody. Potrzebuję, chcę, pragnę. Leżąc na podłodze, jak przez większość dnia, staram się powstrzymać łzy.

Jakąś godzinę później klapka znów się otwiera.

– Chcesz wody, kotku? – pyta Brennus.

– Ja... – próbuję coś powiedzieć, ale zamyka klapkę.

Wtulam twarz w zgięcie łokcia i wybucham dzikim szlochem.

Około dwóch godzin później klapka jeszcze raz się otwiera.

– Chcesz trochę wody, kotku? – pyta Brennus.

– Tak.

Przez otwór wpada mała buteleczka. Nagle wszystkie elementy układanki zaczynają do siebie pasować i już dokładnie rozumiem, co się tu dzieje. Klapka się zasuwa. Podczołguję się do drzwi i podnoszę ofiarowaną buteleczkę. Wiem, że przez kolejny dzień nie będzie następnej. Dobrze wiem, co on robi. Łamie mnie. Nie dostanę nic, chyba że od niego. Jestem zdana na jego widzimisię. A jeśli nie będę przestrzegać zasad przez niego ustalonych, srogo za to odpokutuję. Sadystyczny demon. No i stało się, gra skończona. Czuję bolesne ukłucie w sercu.

Jestem skazana na przegraną. Muszę skończyć jako zwierzątko-zabawka Brennusa. Jako zimny Gankanag, pozbawiona duszy faworyta, która siedzi niczym wierny piesek u jego boku i jest przywiązana do swojego pana na wieczność. Muszę to przerwać albo coś zmienić poprzez świadomy wybór... Trzeba dokonać go teraz. Jeśli wypiję wodę, wzmocnię się na chwilę, ale potem szybciej opadnę z sił. A jutro, co zrobię dla Brennusa, jeśli będę tak słaba, a on wydzieli mi tylko pół buteleczki... Czy całkiem mu się podporządkuję, byle dostać odrobinę wody? Niewykluczone. Może nawet nie będę na tyle przytomna, żeby mi na czymkolwiek jeszcze zależało. To teraz muszę zdecydować, czego chcę. Czy żyć i żyjąc, umrzeć, stać się Gankanagiem i oddać Alfredowi duszę? Czy też od razu umrzeć? Może moja dusza zostanie wpuszczona do raju, gdzie pewnego dnia znów spotkam Reeda... a przynajmniej moja dusza... bo reszta mnie pozostanie tutaj, by po wieczne czasy gnić w podziemnym lochu. Tyle mam do wyboru. Nic dziwnego, że po policzkach płyną mi łzy, potem wsiąkają w suche, spękane klepisko pod moją głową.

Jeśli ulegnę, jeśli zgodzę się zostać Gankanagiem, to pewnego dnia, kiedy znów zobaczę Reeda, będzie musiał mnie zabić, bo stanę się demonem. A jeśli teraz umrę, to przynajmniej

moja dusza zobaczy go kiedyś w raju. Muszę zdobyć się na największy wysiłek, żeby nie otworzyć buteleczki z wodą, którą dostałam. Kładę ją z powrotem przy klapce w drzwiach i odczułuję się na swoje stałe miejsce. Kolejna łza spływa mi po policzku i ginie na zimnej ziemi pod moją szyją, kiedy tak czekam na śmierć.



Czas mija i już nawet nie jestem w stanie zmienić pozycji. Leżę skulona. Obserwuję, jak pracowity pająk tka sieć w rogu celi. Drżące, jedwabiste nitki są niewidoczne od drugiej strony. Nogi pająka poruszają się bardzo precyzyjnie, kształtując i lepiąc pułapkę, w którą dadzą się zwabić kolejne bezradne ofiary. Kiedy już do niej trafią, nie będzie ucieczki. Przyjdzie pająk i sparaliżuje je swoim jadem. Będzie się nimi sycił, czekając na następne, które zajmą ich miejsce w sieci.

Gdybym mogła się podnieść, zabiłabym pająka. Ale nie jestem w stanie się ruszyć, czekam więc cierpliwie, razem z tym małym drapieżką, żeby zobaczyć, czy pojawi się jakiś smakowity kąsek. Kiedy tak godzinami gapię się na sprytnego ośmionoga, zaczynam sobie uświadamiać, że on robi tylko to, co wszystkie istoty jemu podobne. Chce przeżyć tak samo jak ja. Kierują nim te same instynkty co mną. Zaczynam się zastanawiać, jak bym sobie radziła, gdybym była pająkiem. Czy ot tak, jak gdyby nigdy nic przędłabym sieci? Czy współczułabym swoim ofiarom, z upiorną sprawnością wysysając ich krew? Czy byłabym potworem?

Nie wiem dokładnie, kiedy zaczynam mówić do pająka, ale w pewnym momencie czuję, że się z nim solidaryzuję. Chyba dlatego, że tak bardzo chciałabym, by choć jedno z nas w tej celi przeżyło. Pewnie zdaję sobie sprawę, że on ma na to dużo większe szanse.

Przemawiam do niego już chyba całą wieczność. A może lepiej powiedzieć: majaczę. Od czasu do czasu coś się tu rusza. Odwracam głowę, by popatrzeć na kształty i cienie, które przybierają formy groźnych demonów. Przez ich skórę przeświecają szkielety. Sterczące kości. Podkradają się do mnie. Ich przerażające szczęki i pazury zdają się stworzone, żeby rozdzierać i szarpać ciało na strzępy. Nie potrafię pohamować krzyku, choć wiem, że nikt mnie stąd nie usłyszy. Gardło mam tak wyschnięte, że aż dziw, że w ogóle wydaję z siebie jakikolwiek dźwięk. Ale to nie ma znaczenia. Żebym nie wiem jak błagała, nikt mi nie pomoże.

Patrzę, jak warczące, upiorne bestie rosną, są coraz bliżej. Wtem ktoś chwytą mnie mocno za rękę. Powoli odwracam głowę i kilka razy mrugam ze zdumienia, bo mam przed sobą oczy wujka Jima. Szaroniebieskie tęczówki są takie same, jak je zapamiętałam. Patrzy łagodnie i uśmiecha się, leżąc na ziemi obok mnie. Na widok jego pięknej twarzy dech mi zapiera, łzy napływają do oczu. Tak bardzo za nim tęskniłam.

Mówi do mnie. Jego usta się poruszają, ale nie słyszę ani słowa. To nieważne, bo czuję jego obecność, jego dłoń w swojej i wiem, że to nie złudzenie. Jest ze mną. Może był od

początku? Może zawsze tu byliśmy razem? W tym miejscu? Gdybym mogła, zostałabym tu na zawsze, z wujkiem Jimem, i trzymałabym go za rękę.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – szepczę resztką sił.

A on znów się do mnie uśmiecha.

Zupełnie nie wiem, co wygaduję, kiedy klapka się otwiera i tamten przerażający głos odzywa się znowu. Zadaje pytanie, które dudni mi w głowie co kilka minut. Czy, kotku, trochę ty wody? Wody, ty kotku, czy? Ty czy wody, kotku? Chyba śmieję się, kiedy wreszcie formułuje je poprawnie. To śmiech szaleńca. Może Brennus zauważył, że butelka z wodą leży przy drzwiach. A może nie. Nieważne. Mam wrażenie, że unoszę się na całym oceanie wody, więc nie zależy mi na odrobinie, którą mogłabym dostać. Już nie.



– Ale z ciebie głupi, uparty anioł – słyszę ostry głos Brennusa.

Silny policzek sprowadza mnie z powrotem... stamtąd... gdziekolwiek odleciałam. A gdzie to właściwie było? – zastanawiam się, podnosząc wzrok na swojego oprawcę. Nadal leżę na klepisku celi w tej ohydnej kopalni miedzi, tyle że wujek Jim zniknął. Półprzytomnie rozglądam się za nim, ale nigdzie go nie ma. Pewnie nie mógł zostać. Właściwie cieszę się z tego, że odszedł, bo nie chciałam, żeby utknął w tym piekle. Ale jednocześnie chce mi się płakać, bo żałuję, że nie zabrał mnie ze sobą.

W każdym razie nie jestem już sama. Alfred krąży pod drzwiami mojego więzienia. Finn klęczy przy mojej ręce i ją przytrzymuje, bo podłączyli mi kroplówkę. Lodowate palce Finna delikatnie gładzą mój nadgarstek, jakby się o mnie martwił. Kiedy uświadamiam sobie, co oznacza kroplówka i że Brennus znów stara się przemienić mnie w demona, od razu próbuję wyrwać wenflon.

– Ani się waż – warczy. Pociąga mnie do góry za bluzkę i piorunuje wzrokiem.

– Co mówisz, kotku? – mamrocze nieprzytomnie.

Mam wrażenie, że chętnie by mnie zamordował. Chyba nie może uwierzyć, że wolałabym umrzeć, niż stać się jego kotkiem. Lepiej przyjmij to do wiadomości, popaprańcu – mówię w duchu. Śledzę krople spływające do wenflonu. Postawi mnie na nogi i wtedy dopiero zacznie się zabawa. Dostaję dreszczy. Kiedy pierwsza porcja kroplówki się kończy, Finn podłącza następną. Widząc, jak płyn wolno skapuje rurką, uświadamiam sobie, że pewnie tego dnia jeszcze nie umrę. Na tę myśl robi mi się zimno, a w dodatku mrozi mnie chłód bijący od Gankanagów.

– Wyjdź – rozkazuje Finnowi Brennus, a ja powoli odwracam się od kroplówki, by odgadnąć, co zamierza zrobić.

Wygląda tak, jakby chciał mną rzucić o ścianę, a nie dalej pielęgnować, żebym wróciła do zdrowia. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego w ogóle zawraca sobie głowę utrzymywaniem mnie przy życiu.

Finn się ociąga. Najwyraźniej woli zostać. Ale w końcu wstaje z kolan i podaje torebkę z kroplówką Brennusowi. Odwraca się i idzie do drzwi, za którymi Alfred zaczyna mu ostro klarować, że najwyraźniej wolę umrzeć niż im się podporządkować i oddać duszę.

– Wasze metody są do niczego, Finn. Nie obchodzi mnie, przez ile wieków je stosowaliście, by łamać wolę opornych, ale mówimy o Serafinie, ona ewoluowała, od kiedy ją poznałem. Jest silna. Sugerowałbym...

Ryk Brennusa jest tak przerażający, że aż się kulę.

– Finn, zabierz go stąd! – woła.

Alfred od razu zostaje usunięty spod drzwi.

– Powinieneś pozwolić mi go dla was zabić – mruczę.

Nie jestem w stanie wydać z siebie nic więcej ponad szept, kiedy patrzę na Brennusa. Puszczam moją bluzkę, żebym znów położyła się na ziemi. Nadal jest wściekły. Nie potrafi pogodzić się z moim oporem. Czy jest zaskoczony, że przejrzałam jego grę i wybrałam inną opcję? – zastanawiam się.

– Wiesz, że złamałaś tradycję starszą, niż sięgam pamięcią? – pyta groźnie i pilnie przypatruje się, jak zareaguję. – Tak było od zawsze. Poddajesz się i stajesz jedną z nas.

– O... mówisz, że naruszyłam tradycję? Przepraszam... myślałam, że to tylko taka gra, którą prowadzisz. Zabawa w pana i sługę. Znudziła mi się. Zdecydowałam, że mam dosyć – odpowiadam, ale coraz brutalniej dociera do mnie twarda rzeczywistość.

A wraz z tym ogarnia mnie obezwładniający strach, że to jeszcze nie koniec, mój plan ucieczki w utratę przytomności został udaremiony. Nadal istnieje szansa, że przerobią mnie na demona.

– Jesteś zdecydowanie najbardziej wkurzającą kreaturą, jaką w życiu spotkałem – prycha. Co za szczerść! Ścisną torbę, żeby płyn szybciej spływał do kroplówki.

– A ty nie jesteś pierwszą kreaturą, która mi coś takiego mówi – odpalam, starając się nie poddać panice.

Nie wolno mi pozwolić, aby kierował mną lęk. Rozpaczliwie szukam wyjścia, jakiegokolwiek szansy, żeby z tego wybrnąć. Może przyjmuję niedobłą strategię wobec Brennusa – rozważam, patrząc, jak marszczy groźnie brwi. – Może powinnam po prostu powiedzieć, że nie chcę być Gankanagiem. Oblizuję usta.

– Brennusie, bardzo mi to pochlebia, że ty i inni chłopcy chcecie, żebym stała się Gankanagiem, ale na razie nie mogę... podjąć takiego zobowiązania... – Natychmiast aż się wewnętrznie kulę, bo jego oczy ciemnieją ze złości. Chyba to nie był najlepszy pomysł, przyznaję sobie w duchu.

– Coś ty powiedziała? Czy ty wiesz, co ja ci proponuję? – pyta zapewne retorycznie, bo zaraz dodaje: – Zdajesz sobie sprawę, co by były gotowe zrobić tamte wszystkie na górze, żeby dostać taką szansę? – Aż się gotuje z oburzenia.

– To czemu właśnie ja? – dociskam.

Jeszcze bardziej marszczy brwi.

– Potrzebujesz ochrony. Jak sądzisz, jak długo przetrwasz tam sama? – pyta ze złością.

– Całkiem nieźle sobie radziłam, póki się nie zjawiłeś – odpowiadam, bo to prawda, w dużej mierze. Fakt, że przez większość czasu czułam, że umieram, ale poza tym żyło mi się dobrze. – A tak przy okazji, myślę, że tam mam więcej szans na przetrwanie niż tutaj.

– Jesteś moja. Chcę ciebie i będę cię miał – wybucha pompatycznie.

– Dlaczego wybierasz sobie kogoś takiego jak ja, skoro masz na górze pełną salę kobiet, które stałyby do ciebie w kolejce?

– No nie... – Kręci głową z niedowierzaniem. – To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie było dziewczyny, która by mi nie uległa... obojętne, jakiego gatunku. Wystarczy, że dotknę, którą zechcę, i już do mnie idzie – urywa, by upewnić się, czy dociera do mnie to, co mówi. – Moja skóra to toksyna, narkotyk. Nikt mu się nie oprze. Ty jedna. Na ciebie to nie działa – stwierdza sfrustrowany.

Teraz rozumiem. Kobiety na górze są od nich uzależnione. Dosłownie. Jak narkomanki.

– Co się dzieje z tymi dziewczynami, kiedy się wam znudzą? – pytam cicho.

Wzrusza ramionami, jakby ich życie nie miało żadnego znaczenia.

– Wypompujemy je – bąka i milknie na widok przerażenia w mojej twarzy. – Lepsza śmierć niż odprawienie ich. Nigdy nie wyjdą z nałogu, same się zabijają, kiedy uświadomią sobie, że nie mogą już tu wrócić.

Robi mi się strasznie żal tych lasek, wiem, jak mogą się czuć. Ja jestem uzależniona od Reeda i to męka starać się żyć bez niego.

– Nie chcecie, żeby te odrzucone was nachodziły, co? – Zdaję sobie jasno sprawę z tego, dlaczego nie pozwalają im po prostu odejść. – Trzeba strzec tajemnic siedliska Gankanagów.

– Tak, to też – przyznaje uczciwie. – Kiedy Alfred przybył do mnie ze swoją propozycją, przyniósł mi prezent. Wiesz, co mi podarował?

– Nie – chrypię.

– Twój portret. Ten w białej sukni. Wyglądasz na nim jak bogini. Twoja twarz... najbardziej urocza, jaką... – Nie kończy.

Zastygam w bezruchu. Alfred kupił mój portret od Sama MacKinnona. Oczywiście. To logiczne. Nie ma anonimowych nabywców, którzy mogliby pojawić się nie wiadomo skąd i kupić takie malowidło. Czasami bywam strasznie głupia. Alfred jest zły – posłużył się moim portretem, by skusić Gankanagów. Zabiję go.

Staram się zbyć sprawę.

– Ten portret to głupota... doświadczenie artystyczne. Wiesz, dziewczyny lubią zaszaleć, chcą poznać granice... – Milknę, bo Brennus spogląda coraz mroczniej.

Po chwili łagodnieje.

– Nawet nie wiesz, jaka jesteś wyjątkowa, co?

– Nie mogę stać się Gankanagiem. Nie mogę! – mówię z rozpaczą. – Jeśli mnie zmienisz, nigdy już nie zobaczę swojej miłości – dodaję błagalnie. – Już nigdy... – Głos mi się załamuje. Nie potrafię powstrzymać łez.

– Sama nie wiesz, czego ci trzeba. Lepiej by było, gdybym stanął do walki o ciebie z tamtym kochankiem, ale nie ma go tu, żeby się o ciebie pojedynkować. Zapomnisz o nim. Nawet nie wymieniasz przy mnie jego imienia. – Zazdrość aż go dławi. – Teraz należysz do mnie.

– Dla mnie liczy się tylko Reed. Nie ty – wybucham, nie owijając w bawełnę.

Jeśli na chwilę zapomniałam, że mam do czynienia z bardzo złym, sadystycznym demonem, od razu mi o tym przypomina. Czuję mocne uderzenie wierzchem dłoni w policzek, aż głowa leci mi na bok.

– I tu się mylisz. Tylko ja się teraz dla ciebie liczę – odpowiada równie zapalczywie.

Nie mogę apelować do jego uczuć wyższych, bo on nie ma skrupułów. Jeśli czegoś chce, to sobie bierze. Żywi się ludźmi, wykorzystuje ich, a potem zabija bez cienia żalu. Jestem jego trofeum, nagrodą. Jeśli dokona mojej przemiany, utracę duszę, a wraz z nią człowieczeństwo. Stanę się Gankanagiem Serafinem, naprawdę złym mieszkańcem... wrogiem Reeda.

Wszystko zaczyna się od początku. To gra na śmierć i życie... Jedno z nas musi zginąć. On albo ja.

Rozdział 12

U GANKANAGÓW

Brennus i ja nie odzywamy się już do siebie. Przez rurki wolno sączy się druga kroplówka, co oznacza, że mam przeżyć kolejny dzień. Płyn się kończy, Brennus wyciąga mi wenflon. Delikatnie, jakby chciał dowieść, że nie jest znów takim potworem, jakim się wydaje. Śmiechu warte. Policzek jeszcze pulsuje mi bólem od jego uderzenia. Aż mnie skręca w brzuchu, kiedy Brennus nachyla się, żeby złożyć zimny pocałunek w miejscu, gdzie tkwiła igła. Zaciskam zęby. Przez głowę przemyka mi wiele sposobów, na jakie mogłabym go zabić, ale jestem jeszcze zbyt słaba, by się z nim mierzyć. Trudno mi się ruszać, cała zeszytniałam z odwodnienia i od leżenia przez długi czas na zimnej ziemi.

Zostawia mnie w moim małym skalnym więzieniu, tak jak mnie zastał, na klepisku zapatrzoną w szary sufit. Cieszę się, że znów jestem sama. Muszę się zastanowić, a przy nim nie da się zebrać myśli. W jego obecności muszę być stale czujna, żeby mnie niczym nie zaskoczył. Kiedy zostaję sama, mogę studiować szachownicę i starać się przewidzieć jego kolejne posunięcia. Muszę, na ile to możliwe, wybiegać myślą naprzód. Bo szach-mat oznaczałby, że stanę się zimnym, martwym „stworzonkiem”. Na moją korzyść działa tylko jedno – Brennus chce ze mnie zrobić swojego skoczka. Sam jest królem.

Czy mam jeszcze jakieś inne atuty w ręku? Niestety, nie posiadam żadnej broni – takiej konkretnej – choć tutaj, jak widać, nietrudno zdobyć nóż. Ninian nawet nie próbował mnie

powstrzymać. Tak naprawdę nikt nie ważył się mnie tknąć. Od kiedy obudziłam się na stole w sali na górze, zbliżał się do mnie tylko Brennus. No i jeszcze Finn, ale pewnie tylko dlatego, że Brennus nie chciał dać mi umrzeć z odwodnienia. Wściekł się na Alfreda, kiedy tamten wyciągnął do mnie rękę. To logiczne. Skoro uważa mnie za swoją własność, nie życzy sobie, by dotykał mnie ktoś inny. Nawykli do kobiet, które odchodzą do tego, kto je dotknie. Na mnie to nie działa, ale założę się, że dobrze się zastanowią, zanim któryś spróbuje mnie tknąć. Należę do Brennusa. Nie wolno wyciągać ręki do własności pana. Takie są tu zwyczaje.

Nie powinnam jednak na to zbyt liczyć. Jestem znanym wrogiem. Wyznaczy się dla mnie nowe reguły, bo Brennus nie jest głupi. Ale niełatwo im będzie się do nich stosować. Trudno wykorzenić stare nawyki, a mam wrażenie, że ci faceci muszą być starzy... bardzo, bardzo starzy. Cholerni czarnoksiężnicy.

Poza tym są przyzwyczajeni do potulnych kobiet. Do absolutnego posłuszeństwa oszołomionych, odurzonych narkotykami dziewczyn. Czy w ogóle spodziewają się, że mogę sprawiać jakieś kłopoty? Przecież mimo wszystko jestem kobietą. Przygryzam wargę, uświadamiając sobie, że dałam im małą próbkę swoich możliwości, kiedy próbowałam zabić Alfreda. Lekko postukuję pięścią o twarde podłoże i wyrzucam sobie, że zobaczyli, na co mnie stać z poranioną piętą. To nie było mądre z mojej strony. Ale co tam! Jak przypomnę sobie wrzask Alfreda, od razu robi mi się lżej na sercu.

Ponieważ praktycznie nie mam broni, będę musiała zdobyć popleczników. To zasadnicza sprawa. Trzeba poszukać niezadowolonych. Muszę też poznać ich słabości – może jest coś, czemu nie potrafią się oprzeć? Chyba łatwo poddają się żądom. Czy seksapil może być bronią? – zastanawiam się. – Czy potrafiłabym ich oczarować? Na tę myśl aż mnie mrozi, ale im dłużej to rozważam, tym wydaje się to bardziej sensowne. Muszę rozbić ich zgrany zespół, jeśli chcę się stąd wydostać. Muszę sprowokować wzajemne pretensje i zburzyć tutejsze porządk. Muszę sprytnie rozegrać tę grę.

Nie mogę prowadzić otwartej wojny. Zaatakuję tam, gdzie się tego najmniej spodziewają. Trzeba za wszelką cenę wydostać się z tej ciemnicy. Jak tego dokonać? To mój pierwszy cel. Żeby go osiągnąć, muszę wpłynąć na dowódcę, na generała, i skłonić go, żeby robił to, co zechcę. On mnie pożąda, trzeba sprawić, żeby nie mógł się beze mnie obejść. Dlatego muszę dowiedzieć się jak najwięcej o nim i Gankanagach. Ten wróg nie jest niezwyciężony, da się go pokonać. Znajdę na to sposób.



Pierwsza okazja nadarza mi się kilka godzin później, kiedy wraca Brennus w asyście czterech przybocznych. Zatrzymują się pod celą, gdy wchodzi do środka. Pięciu na jedną. Nie mam wielkich szans – tłumaczę sobie w duchu. Przypatruję się Brennusowi, który trzyma w dłoniach kajdanki. Solidne i ciężkie. Stalowe obręcze są połączone krótkim łańcuchem, dużo grubszym niż w zwyczajnych więziennych. Są zrobione dla takich istot jak ja. Gapię się na nie i rozważam, czym można coś takiego przeciąć.

– Zakładaj – rozkazuje Brennus, rzucając mi je pod nogi.

– Po co? – pytam jakby nigdy nic.

Dobrze wiem, co to oznacza – wychodzimy z celi, ale chcę się zorientować dokąd.

– Żebym nie musiał znów przecinać ci pięty – odpowiada tak, że nadal nic nie wiem.

Przyklękam, zakładam obręcz na kostki nóg i zatraskuję, ale nie do końca. Prostuję się i widzę, że Brennus marszczy brwi. Kiedy niewinnie patrzę mu w oczy, ciężko wzdycha, potem przykuca u moich stóp i porządnie dociska kajdany, żeby nie było szans na żadne sztuczki. Najważniejszy jest zamek, nie łańcuch czy obręcz – mówię sobie w duchu, żeby trochę uspokoić łomotanie serca. – Wystarczy złamać zapadkę i się uwolnię.

– Chodź. – Wyciąga do mnie rękę.

Chciałabym ją odepchnąć, ale jawny bunt nie pasuje do mojej obecnej taktyki. Dlatego mocno ujmuję jego dłoń. Staram się nie okazać obrzydzenia wobec lodowatego chłodu skóry potwora. Jest zaskoczony. Nie bardzo wie, co myśleć. Tak łatwo go posłuchałam. Twój ruch, Brennusie. Uśmiecham się, czekając cierpliwie.

Wyprowadza mnie z celi i nawet nie przystaje, żeby zapoznać mnie ze swoją asystą. Skręca i ciągnie mnie z powrotem tam, skąd przyszlismy, kiedy włókł mnie tutaj kilka dni temu. Jak długo tu byłam? – zastanawiam się skołowana. Niezdarnie starając się dotrzymać kroku Brennusowi, dochodzę do wniosku, że przynajmniej sześć dni. Myślałam tylko o ucieczce, inne sprawy zeszyły na dalszy plan. Na przykład zupełnie zapomniałam o jedzeniu.

Nie chcę koncentrować się na tym, na co na razie zupełnie nie mam wpływu, więc skupiam uwagę na otoczeniu. Rozpoznaję tylko dwóch z czterech chłopaków, którzy nam towarzyszą. Obserwują mnie uważnie. Zastanawiam się, czy zostali wyznaczeni na stałe, żeby mnie pilnować. Wszyscy wyglądają na zabójców. Mówi mi to sposób, w jaki się poruszają. Chodzą, jakby się skradali, czaili. Prawie ich nie słychać.

Kiedy docieramy do sali, którą pamiętam z pierwszego spotkania z klanem, mglisty blask żyrandoli i gotyckich kominków sprawia, że muszę osłonić oczy. Przywykły do absolutnej ciemności w celi i teraz nawet to blade światło boleśnie mnie razi.

– Brennus, proszę – bąkam błagalnie, lekko opierając się dłoni, która ciągnie mnie naprzód.

Muszę przystanąć, zupełnie oślepią. Osłaniam wolną ręką oczy. Czuję wokół siebie obecność lodowatych istot – reszta zmysłów rekompensuje mi chwilową utratę wzroku. Wiem, skąd śledzą mnie przyczajeni „chłopcy”. I... że jest tu też Alfred. Łatwo go rozpoznać. Jego ciało emanuje ciepłem, a skrzydła wibrują z podekscytowania. Dobrze, że go nie mogę teraz widzieć – myślę, a łzy płyną mi po policzkach. Potrzebuję chwili, by się pozbierać i znów nie rzucić się na niego, żeby go zabić.

– Evie... jesteś jak kot. Ile ty razy możesz wywijać się śmierci? – woła na moje powitanie.

Przysuwam się do Brennusa, ale nie dlatego, że boję się Alfreda. Po prostu chcę, żeby myślał, że szukam u niego ochrony przed swoim wrogiem. To chyba działa, bo otacza mnie ramieniem i obronnie przyciąga do siebie.

– Nie odzywaj się teraz do niej, aniele – rzuca opryskliwie.

Alfred natychmiast milknie. I muszę przyznać, że sprawia mi to wielką radość. Po jakiejś minucie próbuję otworzyć z powrotem oczy. Ale wymaga to trochę więcej czasu, zanim przestają łzawić i powoli odzyskuję zdolność widzenia.

– Dziękuję. Już dobrze – mówię, prostując się i patrząc na Brennusa.

Przygląda mi się uważnie i w jego spojrzeniu widzę coś nowego, czego nie było tam, kiedy znajdowaliśmy się razem w celi. Zanim jestem w stanie to określić, Brennus odwraca się i pociąga mnie za sobą. Uzależniasz swoim dotykiem, może i ja uzależnię cię swoim – myślę, mocniej ściskając jego dłoń, kiedy prowadzi mnie do stołu.

Nie da się iść cicho z łańcuchem, który wlecze się po posadzce, ale przynajmniej próbuję poruszać się z wdziękiem. Prostuję plecy, unoszę głowę. Rozglądam się po twarzach wokół mnie. Liczę i kataloguję je najdokładniej, jak potrafię. Jest Finn. Siedzi na swoim miejscu przy stole. Kiedy się do niego zbliżamy, wypowiadam bezgłośnie „dziękuję”. Pytająco unosi brew, a ja wskazuję wzrokiem miejsce, w które wbijał mi wenflon. Jest najwyraźniej zmieszany, kiedy kiwa głową na znak, że rozumie. Potencjalny sojusznik?

Brennus prowadzi mnie do schodów w tyle sali. Te wiodą na górę, do pokoi, które najwyraźniej należą do pana tych włości. Eleganckie wnętrza o męskim charakterze. Brakuje tylko elektryczności i kanalizacji, ale przez ten brak nowoczesnych udogodnień sprawiają jeszcze bardziej magiczne wrażenie. Nastrojowe światło świec nadaje im bardziej kameralny klimat, niżbym się spodziewała po siedlisku demona.

– To twoje komnaty? – pytam, wchodząc.

Asysta nie przekracza progu razem z nami, zostaje za nim, niczym ochrona. Zastanawiam się, kogo pilnują. Brennusa czy mnie?

– Tak. – Prowadzi mnie przez salon, gdzie stoi trochę rzeźbionych drewnianych foteli z poduszkami o gobelinowych obiciach i politurowane stoły. Ma też biurko. Ciekawe, co trzyma w szufladach.

Przechodzimy do kolejnego pomieszczenia. To sypialnia, o czym dobitnie świadczy ogromne łóżko. Mogłoby w nim wygodnie spać kilka osób. Jedwabna pościel ma kolor kawy. Jest też narzuta z miękkiego brązowego futra, podbitego jedwabiem. Okrywa cały materac. Naśle na niego towarzystwo ochrony zwierząt, jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę – obiecuję sobie, rumieniąc się na myśl, co może wyprawiać się w tym łóżku. Brennus to widzi i uśmiecha się po nosem.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie, kotku – zwraca się do mnie, a ja cała się usztywniam na ten obrzydliwie poufały zwrot.

– Hmm? – Staram się ukryć swoją reakcję.

– Ultan i Driscoll mówili, że w swoim mieszkaniu sypiałaś sama. Czy to prawda?

– Jaki Ultan i Driscoll? Skąd coś takiego wiedzą? – kontruję szybko i od razu widzę, że go zezłościłam, bo nie dałam odpowiedzi. Żeby to załagodzić, dorzucam: – Tak, śpię sama.

– Nie w jednym łóżku ze swoją bratnią duszą? – dociska.

– Nie.

Natychmiast błędę na wspomnienie Russella. Wiedzą o nim – myślę i ogarnia mnie taki lęk, że trudno mi udawać spokój. Ale nie mają go, dochodzę do wniosku. Inaczej Alfred użyłby tego jako karty przetargowej, żeby mnie zmusić do uległości.

– Nigdy? – szepcze.

– W tym sensie, który masz na myśli, nie... nie w tym życiu – odwarkuję zła, że muszę odpowiadać na takie pytania.

Alfred na pewno opowiedział im wszystko o moim związku z Russellem. Po co więc Brennus drąży ten temat?

– To... jesteś dziewicą?

– Tak – rzucam hardo, bo zabrzmiało to jak oskarżenie.

Jego reakcja jest zaskakująca. Wydaje się oszołomiony... jakby alkohol uderzył mu do głowy, jakby tracił równowagę.

– A ten anioł Mocy... – urywa.

– Jest w pełni rozwiniętym, dojrzałym aniołem, a ja nie – wyjaśniam i widzę, jak rozpiera go radość, kiedy wreszcie wszystko zaczyna mu pasować.

Stoję jak sparaliżowana, bo mam już pewność, czego najbardziej pragnie. Przez myśl przemykają mi obrazy, od których robi mi się niedobrze, dławi mnie strach i muszę się powstrzymywać, żeby nie podążyć za instynktem i nie rzucić się do walki z nim na śmierć i życie.

– Tędy, kotku. – Prowadzi mnie od łóża do następnego pomieszczenia.

To staromodna łazienka. Pośrodku stoi wielgachna miedziana wanna. Widzę, że spokojnie zmieściłyby się w niej dwie osoby, i znów się czerwienię. Piec na drewno ogrzewa wnętrze i duże gładkie kamienie w sporej miedzianej misie stojącej na nim. Na drugim piecu miedziany gar pełen parującej wody. Cudowne ciepło. Wchodzę głębiej, rozglądam się i natrafiam na swoje odbicie w wielkim, sięgającym do ziemi lustrze w rogu.

Ledwie się poznaję. Trudno uwierzyć, że bluzka, którą włożyłam kilka dni temu, była biała. Jest na niej zapisane to, co ostatnio przeszłam. Plamy trawy i łez na materiale mieszają się ze śladami potu i krwi. Smugi brudu tworzą niesamowite wzory – obraz mojej beznadziejnej sytuacji na płótnie, w które jestem ubrana.

Noga wygląda jeszcze bardziej interesująco. Na chory, makabryczny sposób. Krew, która tryskała z rany, zostawiła linie na łydce, co przypomina jakąś upiorną sieć, którą upłócił pająk wokół swojej zdobyczy. Jestem jak ktoś, kto przeżył zamach bombowy i cudem z niego wyszedł, a teraz stoi zagubiony i zszokowany, że nadal żyje, choć wie, że według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien zginąć.

Nie chcę dłużej patrzeć na swoje odbicie, odwracam się od lustra i podchodzę do wanny. Pochylam się, zanurzam palce, żeby sprawdzić temperaturę nalanej już tam wcześniej wody. Jest ledwie letnia, ale to nie ma znaczenia. Byle tylko zmyć z siebie ten brud, wtedy poczuje się lepiej.

Brennus podchodzi do pieca i gołymi rękoma podnosi parujący gar.

– Powiesz mi, kiedy wystarczy. – Zaczyna dolewać wrzątku do wanny. Woda szybko się ogrzewa.

– Nie parzysz się w ręce? – pytam zdumiona, bo zdjęte z ognia miedziane naczynie musi palić dłonie.

– Moja skóra nie jest specjalnie wrażliwa na ciepło. Żeby mnie oparzyć, potrzeba dużo wyższej temperatury. – Uśmiecha się do mnie zadowolony, że się o niego troszczę.

Dolewa wodę, póki nie mówię: „Już dość, dziękuję”. Odstawia gar z powrotem na miejsce. Musi być naprawdę silny, skoro podniósł ten kocioł wody jak piórko – stwierdzam przybita.

– Pod jakimi jeszcze względami jesteście inni?

– Jeśli wejdiesz do wanny bez szarpania się ze mną, to ci powiem – mówi, a mnie oczy robią się wielkie z przerażenia, bo myślałam, że wyjdzie, zanim zacznę się kąpać.

Planowałam przeszukać łazienkę pod jego nieobecność. Zobaczyć, czy znajdę tu coś, co mogłoby posłużyć za broń. Teraz mam problem.

Wszystko jest okazją, by zacząć go urabiać, podszeptuje mi wewnętrzny głos. Wyobrażaj sobie, że on to Reed. Na ten pomysł robi mi się niedobrze. To przecież niemożliwe. Jego zimna skóra posyła ku mnie lodowate prądy, od których aż mnie mrozi. Poza tym nie pachnie jak Reed. Czuję w powietrzu silny słodkawy aromat, który przypomina maki, a zapach Reeda jest męski... seksowny.

Powoli odwracam się od Brennusa. Sięgam palcami do górnego guzika bluzki, żeby ją rozpiąć. Odkrywam, że go już nie ma, podobnie jak następnego. Dopiero teraz w pełni zdaję sobie sprawę, że moje ubranie zmieniło się w łachmany, łapię za poły bluzki i jednym pociągnięciem ją rozpinam. Reszta guzików sypie się z brzękiem na posadzkę i rozsypuje na wszystkie strony. Bluzka pomału zsuwa mi się z ramion. Rzucam okiem za siebie, żeby sprawdzić reakcję Brennusa. Stoi nieruchomo. Oczy ma pociemniałe, źrenice rozszerzone. Ręce mi lekko drżą, kiedy sięgam za siebie i odpinam suwak spódnicy. Spada do moich stóp. Majtki zostawiam, bo nie dałabym rady ich zdjąć przez kajdany, a zresztą nie chcę, kiedy on na mnie patrzy. Oslaniając piersi dłońmi, odwracam się do niego. Wolno podchodzę do wanny. Bacznie go obserwuję, żeby mieć pewność, że jest tam gdzie przedtem i nie zbliża się do mnie. Stoi nieruchomo.

Przysiadam na brzegu wanny. Muszę przełożyć do niej obie skute nogi naraz. Kajdany uderzają o metalowe dno, kiedy się pomału zanurzam. Siedzę sztywno. Brennus cały czas mnie obserwuje.

– Zupełnie inaczej – mruczy pod nosem.

Odsuwa się trochę dalej, by oprzeć się o ścianę, skąd gapi się na mnie jakby nigdy nic.

Mrużę oczy.

– O co ci chodzi? – pytam podejrzliwie.

– O to, jak się rozbierałaś... Zwykle kobiety robią to tak, żeby mnie uwieść, a ty wręcz przeciwnie. Nie chcesz prowokować, podkreślać swojej urody... – mówi z uwodzicielskim uśmiechem.

Czuję ulgę, bo myślę, że się nie podniecił, kiedy zdejmowałam ubranie. Jednak szybko wyprowadza mnie z błędu.

– To było niesamowicie seksowne.

Wstrzymując oddech, zanurzam się z głową pod wodę i zostaję tam tak długo, jak tylko jestem w stanie wytrzymać bez powietrza. Kiedy się wynurzam, on nadal tu jest.

– Obiecałeś, że opowiesz mi o Gankanagach, jeśli wejdziesz do wanny bez oporu – przypominam. Staram się naprowadzić rozmowę na pasujący mi temat i trochę ostudzić żądze tego paskudnego typu.

– No, fakt. – Podchodzi do szafki, na której stoi pojemnik z wodą i misa. Otwiera drzwiczki, wyjmując gąbkę i mydło. Zbliży się do wanny i mi je podaje, a ja biorę ostrożnie, patrząc mu w oczy. – A co chcesz wiedzieć?

Jak cię zniszczyć – odpowiadam w duchu.

– Jesteś elfem? – pytam zamiast tego; moczę gąbkę i zaczynam zmywać nią z siebie brud. Patrzę, jak wraca tam, gdzie stał, i znów opiera się o ścianę.

– Byłem – mówi, a na moje zdziwione spojrzenie dodaje: – Byłem, zanim zmieniłem się w Gankanaga... Zanim umarłem.

– O... – Przez głowę przemyka mi mnóstwo pytań. – Jak umarłeś i dlaczego stałeś się Gankanagiem?

– Zostałem schwytyany. Tak jak ty. Byliśmy wojownikami. Ja i Finn. Dawno temu... w miejscu, o którym nigdy nie słyszałaś, bo już nie istnieje. – Zakłada ręce na piersi i czeka na moją reakcję.

Jestem zszokowana tym, co powiedział. Nie mam żadnych odniesień, nie licząc bajek wymyślonych przez ludzi, ale co mi one teraz pomogą? Czuję chłód emanujący od Brennusa. Dociera do mnie jego lepki, słodki zapach, który nasuwa na myśl więdnące kwiaty z liśćmi zbrązowiałymi na brzegach. Ma niski głos, słyszę w nim nutę jakby z innego świata... czy wymiaru. Wcale nie jest Irlandczykiem, jak myślałam. Nie jest nawet człowiekiem i nigdy nim nie był. Bez względu na to, jak łatwo mu się teraz pod człowieka podszywać.

– Zostałem przekształcony metodami, którym tak uparcie się opierałaś – stwierdza ze złością, a moja zanurzona w wodzie dłoń zamiera w bezruchu.

Cierpiał to samo co ja, ale nie chciał umrzeć, więc zmienił się w demona. Niemal mi go żal. No, prawie.

– Moim panem był Aodh – mówi i widzę, że nie ma między nimi wielkiej miłości.

– „Był”, a nie „jest”?

Robi mi się zimno, mimo że woda ciepła.

– Zrobił z nas niewolników – ciągnie z chłodną obojętnością. – Liczyła się tylko jego wola. Jedyнным sposobem, żeby przeżyć, było bezwzględne posłuszeństwo. Kto się nie

podporządkował, ginął – wyjaśnia. – Nie tak jak w tym klanie, w którym łączy nas solidarność. Jesteśmy dla siebie braćmi.

– Tak? A co się stało z Aodhem? – Czuję, że Brennus nie zawdzięcza pozycji przywódcy jedynie urokowi osobistemu.

Mam też nadzieję, że powie mi, jak go zabił, bo to pomoże mi poznać ich słabe strony.

– Pokonałem go. Nikt z nas nie będzie już niewolnikiem. To ja dowodzę, a oni wszyscy słuchają moich rozkazów, ale mają też prawa niedostępne za rządów Aodha. Ty również takie uzyskasz.

Przebiega mnie dreszcz. Jeśli to lepsze niż tamta niewola, to Aodh faktycznie musiał być prawdziwym diabłem.

– Jak zostałeś przemieniony w Gankanaga? Jak to się konkretnie dzieje? – Staram się zadawać te pytania mimochodem, choć serce mało nie wyskoczy mi z piersi, a w głowie mam gonitwę myśli.

– Wkrótce się dowiesz – odpowiada z miłym uśmiechem, a mnie chce się krzyczeć, choć z całych sił staram się robić wrażenie spokojnej.

Myję włosy mydłem, które mi dał, i płuczę w parującej wodzie.

– Masz maszynkę do golenia? – wypalam bez skrępowania.

Od razu nieufnie marszczy brwi.

Unoszę nogi z wanny, żeby zobaczyć odrastające włoski. Przebiega wzrokiem po moich łydkach i kąciki jego ust unoszą się lekko. Znowu podchodzi do szafki i wyciąga z niej prostą brzytwę. Kiedy mi ją podaje, przez myśl po raz kolejny przemykają mi przeróżne wizje mordy. Nie ulegam jednak pokusie, bo za progiem apartamentów stoją czterej zwaliści Gankanagowie, skutecznie blokując drogę do wolności. A w głównej sali jest ich jeszcze kilkunastu.

– Dziękuję – bąkam pod nosem i zastanawiam się, jak ogolić się tak archaicznym sprzętem. Kiedy wreszcie odkrywam sposób, triumfalnie unoszę wzrok i widzę, że Brennus obserwuje mnie zafascynowany.

– Czyli... elf... i co? Na czym to polega? Umiesz latać... masz skrzydła? – Staram się odwrócić jego uwagę od zmysłowych rojeń, które wyczytuję z jego twarzy.

– A widzisz na mnie jakieś skrzydła? – pyta łagodnie i łuk jego ciemnej brwi unosi się lekko.

Robię minę niewiniątka.

– Nie.

I w jednej chwili chowam swoje.

– A ty moje widzisz? – pytam słodko, kiedy całkiem znikają w plecach.

Uśmiech tym razem powoli obejmuje też oczy Brennusa.

– Nie – odpowiada ściszym głosem. – Miałem je, skrzydła, dawno temu, ale jako Gankanag nie dałem rady ich zatrzymać. U elfów nie mogą przetrwać śmierci. – Na pewno

widzi mieszanie w moich oczach, bo zaraz dodaje: – Ty jesteś aniołem. Myślę, że twoje przetrzymają. Dzięki nim staniesz się bardzo groźna po przemianie.

Pozwalam, żeby skrzydła znowu wyskoczyły, bo to, co właśnie powiedział, mocno mnie zaniepokoiło. Moje skrzydła z impetem uderzają o wodę; ochlapuję Brennusa. Rozciera krople na skórze smukłymi palcami, które zdają się zdolne do wszystkiego.

– Nie przejmuj się swoimi skrzydłami. Ja mam, ale nie potrafię latać. Zwykle same z nimi kłopoty – przyznaję, starając się zdławić w zarodku współczucie, jakie się we mnie budzi na myśl o jego stracie.

Próbuję skoncentrować się na tym, żeby się nie skaleczyć na oczach Gankanaga. Nie jestem pewna, czy już dziś coś jadł, więc nie chciałabym robić mu apetytu.

– Dzięki za pocieszenie, Genevieve.

Wydaje się teraz inny, jakby naprawdę z całych sił powstrzymywał uśmiech, ale na próżno.

– Możesz wychodzić w dzień czy tylko nocą? – dopytuję.

– Co? – wypala zaskoczony, jakby naprawdę nie rozumiał.

– Alfred powiedział, że Gankanagowie są jak wampiry, zastanawiałam się więc... – Muszę przerwać, bo śmieje się jak szalony. – Czyli nie jesteś stworzeniem nocnym? – rzucam rozczarowana, a kiedy aż łapie się za brzuch ze śmiechu, drążę dalej: – To możecie wychodzić na światło słoneczne czy nie?

Zgina się w pół, omal nie pada na podłogę z rozbawienia. Kończę się golić, kiedy wreszcie trochę się opanowuje.

Kiedy patrzy się na niego z tymi iskierkami śmiechu w oczach, trudno rozpoznać w nim potwora, który był ze mną w ohydnych podziemnych czeluściach. Jest tak przystojny i zmysłowy w świetle świec. Jego skóra wydaje się w nim mniej alabastrowobiała, nabiera złotawego odcienia i ciepła. To jednak tylko złudzenie optyczne, bo Brennus nie zna litości. Ładne rysy czynią z niego tym groźniejsze monstrum, bo na pewno pomagają mu wabić niczego nieświadome ofiary.

– Dlaczego sądzisz, że wampiry nie mogą wychodzić na światło dzienne? – pyta, a ja bezgłośnie przeklinam Brama Stokera^[4] za brak wyobraźni.

– A niby po co ten podziemny matecznik? – Wskazuję dokoła na pozbawione okien pokoje wykute w skałach.

– To tylko jeden z moich domów, kotku. Dobrze ukryty, z dala od ludzi i innych wścibskich stworzeń – tłumaczy, ale nadal się uśmiecha.

– A co z czosnkiem? – rzucam bez przekonania, a on jeszcze bardziej szczyrzy zęby. – To takie dziwaczne miejsce. Jak je znalazłeś?

Patrzę na płomyki świec, które migocą na półkach pod ścianami. Byłaby to bardzo romantyczna sceneria, gdybym trafiła tu z kimś, kto mnie naprawdę kręci.

– Ta kopalnia została zamknięta kilkadziesiąt lat temu. Kupiłem ją ze względu na bliskość komunikacji wodnej. Sami wszystko wyremontowaliśmy i urządziliśmy. – Spogląda na

ściany łazienki. Podchodzi do pieca, na którym grzeją się gładkie kamienie. Bierze kilka i zbliża się do wanny, po czym ostrożnie umieszcza je na dnie. Woda pomału się nagrzewa. Przysuwam stopy, żeby cieszyć się emanującym ciepłem.

– Kto budował kolumny w wielkiej sali? – pytam, bo są jak dzieła sztuki, choć przez nie to miejsce wydaje się jak z innej epoki, nie z tego świata. Na zwieńczeniach mają misternie rzeźbione maskary i inne figury, reszta, gładka jak szkło, ukazuje żyłki kruszcu zawartego w skałach.

– Musieliśmy podtrzymać sklepienie. Lonan i Driscoll się tym zajęli.

Znowu to imię: Driscoll. To jeden z tych, którzy byli w moim mieszkaniu... i widział, że sypiam sama.

– Czy Driscoll przyszedł tu z nami, czy został na dole? – pytam, bo ten koleś powinien coś wiedzieć o Russellu. Na pewno orientuje się, co pokrzyżowało ich plany wobec niego. Trzeba z Driscollem pogadać.

Od razu spostrzegam, że poruszyłam bolesny temat. Brennus się krzywi. Widać totalną wściekłość... i ból.

– Czemu tak się interesujesz Driscollem? – cedzi przez zaciśnięte zęby.

Driscollowi musiało się stać coś złego, wnioskuję, siląc się, żeby nie zdradzić niczego wyrazem twarzy.

– Myślę, że te kolumny są naprawdę doskonałe. Chciałabym spytać, jak rzeźbił kapitele – odpowiadam z niewinną miną.

– Zabiję go – oznajmia ponuro Brennus.

– Driscolla? – pytam, ale wiem, że nie mówi o Gankanagu. Przebiega mnie dreszcz grozy.

– Twoją bratnią duszę... tego drugiego.

W moim sercu rodzi się lęk, który od razu przenika całe ciało.

– Russella? Dlaczego? Przecież nic ci nie zrobił – szepczę błagalnie i zaciskam palce na brzegach wanny, aż metal lekko się wgniata.

– Zrobił. Zabił Driscolla i Ultana – wyjaśnia Brennus, wyciąga z szafki ogromny ręcznik, rozwija go i przytrzymuje dla mnie.

Nie mam wyjścia. Muszę wstać i pozwolić mu się nim okryć. Jego ręce oplatają mnie od tyłu i przyciągają do piersi. Czuję lodowate zimno warg, kiedy muska nimi skórę na moim ramieniu.

– Wiesz, gdzie on jest? – pytam ściszym głosem w nadziei, że Russell uciekł daleko, gdzie nigdy nie zdołają go znaleźć.

Brennus wynosi mnie z wanny i stawia obok niej. Nie puszcza mnie jednak, nadal trzyma w objęciach.

– Musi być gdzieś blisko – stwierdza pewnie.

Przerażona zamykam oczy. Russell, dlaczego nie trzymasz się planu i nie uciekasz?

– Jakoś nie dociera do niego, że teraz jesteś moja. Ale to zrozumie. Dostanie za swoje – obiecuje solennie Brennus.

Moje postanowienie, żeby ułagodzić Brennusa i w ten sposób skłonić do działania zgodnie z moją wolą, jest wystawione na dramatyczną próbę, bo mam przemożną chęć odwrócić się i skrócić mu kark.

Nie spieram się jednak, nie próbuję prosić o darowanie życia Russellowi. Przekonałam się już, że błaganie złych to strata czasu. Brennus jest Gankanagiem, a oni zabijają, taka już ich natura.

– Chodź – sapie mi w szyję i pociąga mnie za rękę.

Szczęknięcie łańcucha przypomina mi, że muszę stąpać ostrożnie, kiedy wychodzimy z łazienki do sypialni. Znowu czuję przeszywający mnie lodowaty lęk. Czekam, jaki będzie następny ruch Brennusa.

Znów wydaje się zadowolony i absolutnie pewny siebie, kiedy mija ze mną łoże i podchodzi do szafy. W środku jest mnóstwo damskich ubrań. Wyciąga czarną jedwabną sukienkę, która podejrzenie przypomina bieliznę. Przykłada ją do mnie i patrzy, jak bym w czymś takim wyglądała.

– Nie masz dzinsów? – pytam.

Uśmiecha się tylko i podaje mi wybraną kreację. Przyciskam ją do siebie, kiedy pociąga za ręcznik i delikatnie go ze mnie zdejmuje. Zanim mogę zorientować się, co robi, łapie z obu stron za moje majtki i je rozrywa. Spadają na ziemię. Odwracam się od niego szybko i wsuwam na siebie jedwabną suknię. Pleców prawie nie ma, na szczęście, bo wystraszona i zdenerwowana nie jestem w stanie schować w tej chwili skrzydeł.

Jedwab oblepia moje kształty i kończy się w połowie uda. Sądząc po tym, jak Brennusowi pociemniały oczy, wiem, że efekt musi mu się podobać. Z całej siły zaciskam pięści, żeby nie rzucić się na mojego oprawcę i nie rozorać mu twarzy pazurami. Prostuję się dumnie i groźnie patrzę mu w oczy, próbując go zmusić, żeby spuścił wzrok, ale to jakoś nie działa. Zaczyna nachylać się do mnie, jakby znów miał mnie pocałować. Burczy mi w brzuchu. Brennus to wychwytuje i zamiera. Od wielu dni nic nie jadłam. Jakoś to przecierpiałam, bo nie miało to takiego znaczenia jak szukanie sposobu, żeby się stąd wydostać. Ale z każdą sekundą staję się coraz słabsza. Niedługo będę musiała coś zjeść.

– Jesteś głodna, kotku? – pyta Brennus.

Najeżam się, bo to pytanie tak bardzo przypomina mi tamto, czy chcę wody.

– Tak – mówię przez zaciśnięte zęby.

– No to nakarmimy cię.

Nieufnie daję się mu wyprowadzić z apartamentów. Nasza asysta rusza za nami do sali, gdzie siadam na tym samym miejscu, na które zaniósł mnie pierwszego dnia. To krzesło po jego lewicy. Po kilku minutach jeden z chłopaków stawia przede mną miseczkę parującego rosołu i talerz z grubymi pajdami chleba. Siedzący obok Brennus bez słowa obserwuje, jak pochłaniam jedzenie. Kiedy kończę zupę, dostaję skurczów żołądka. Zjadłam za dużo, za szybko.

– Dziękuję – mówię tak grzecznie, jak tylko potrafię, bo naprawdę jestem wdzięczna za każdy uprzejmy gest ze strony tego złego, narcystycznego potwora. Ale możliwe, że to żadna życzliwość. Pewnie nie bez powodu mnie karmi. Tylko jeszcze nie wiem, po co. Jednak moja wdzięczność najwyraźniej go cieszy. To dobry znak.

– Finn. Już pora – mówi i tamten w jednej chwili jest przy nas.

A za nim jakiś inny Gankanag... wszyscy. Sztynię, szykuję się na ich atak, ale czekają na znak Brennusa. Spoglądając na niego, też czekam. Wyciąga do mnie rękę. Natychmiast ją biorę i pozwalam się poprowadzić od stołu na środek sali.

– Ninian – mówi Brennus, a wywołany od razu występuje z szeregu.

Jego szare oczy, odrobinę jaśniejsze od moich, zdradzają niepokój i lęk. Ostrożnie unosi dłoń i dotyka mojego policzka. Patrzy na Brennusa, jakby chciał natychmiast cofnąć rękę, gdyby zobaczył choćby ślad gniewu w twarzy przywódcy. Zimne palce dotykają mnie lekko. Wreszcie Ninian odwraca wzrok od Brennusa i przenosi go na mnie. Widzę ulgę, ale zaraz coś jeszcze. Rozczarowanie? Nie wiem, co myśleć, kiedy pieszczotliwie, niczym kochanek, gładzi wierzchem dłoni moją twarz.

Potem Brennus wzywa Torina. W brązowych oczach kolejnego Gankanaga czai się ten sam lęk co u Niniana. Przerazenie, że na niego zareaguję i to będzie dla niego wyrok śmierci. Staje nieruchomo, po czym przykładá palce do mojego policzka. Z zaskoczeniem dostrzegam, że popatruje na mnie tęsknie. Ich dotyk nie robi na mnie wrażenia, ale mój na nich chyba działa – myślę.

Następni są Eibhear, Lachlan i Goban, a po nich Keegan, Faolan i Lonan. Za każdym razem czuję co najwyżej wstręt do ich lodowatych pieszczot. Korzystam z okazji, żeby poukładać sobie w głowie, kto jest kto. Staram się zapamiętać cechy, żeby ich później rozpoznawać i mieć szansę wykorzystać swoją wiedzę przeciwko nim. Alastar dotyka mojego policzka lewą dłonią. To pewnie jego dominująca ręka. Warto o tym pamiętać, gdybym miała z nim walczyć. Cavan i Declan wyglądają na rodzonych braci, a Eion nie potrafi ukryć, że dotykanie mnie sprawia mu przyjemność.

Brennus obserwuje go uważnie i wygląda tak, jakby miał ochotę coś roztrzaskać. To nasuwa mi pewien pomysł. Kiedy Eion kończy, zanim może się cofnąć, unoszę rękę i przesuwam wierzchem palców po jego policzku, naśladując tę wcześniejszą pieszczotę. Wolniutko gładzę jego skórę. Patrzy na mnie z dzikim pożądaniem. Zafascynowana i przerażona widzę, jak z głośnym kliknięciem wyskakują mu kły. Aż mnie przebiega dreszcz. Odwracam wzrok od jego głęboko osadzonych poważnych oczu. Wszyscy zebrani Gankanagowie zdają się zdumieni. Jak zaczarowani śledzą, co dzieje się pomiędzy mną a Eionem. Szybko odrywam od niego palce, widząc mordercze spojrzenie Brennusa. Zaraz wybuchnie. Popęłniłam wielkie faux pas.

By nie narazić się na jego gniew, odwracam się do niego i podchodzę kilka kroków bliżej. Wzrok wszystkich skupiony jest na mnie, kiedy pomału unoszę dłoń do jego policzka. Wpatruję się w zielone, opalizujące plamki na tęczęwkach oczu Brennusa, które zdają się

mnie przewiercać na wskroś, i widzę, jak się zapalają, gdy moja dłoń zastyga tuż przy jego policzku. To elektryzujące wrażenie. Jakbym czuła go, zanim go dotknę. Pozwalam, żeby narastało w nim oczekiwanie, i wreszcie opuszczam dłoń, leciutko go nią muskając.

Skórę ma gładką i miękką, ale to pozory. Wyczuwam pod spodem twardszą warstwę, coś niczym zbroja. Z tego powodu niełatwo będzie go zabić. Kiedy moje palce łagodnie gładzą jego policzek, źrenice Brennusa się rozszerzają. Przymyka oczy, chłonie ciepło moich palców. On mnie pragnie, a ja igrzm z ogniem, uświadamiam sobie z przejmującym lękiem.

Wolno cofam dłoń. Nic dziwnego, że ręce mi drżą. Brennus patrzy na mnie zimno. Aż podskakuję na dźwięk jego opryskliwego głosu.

– Dobra, chłopaki! Możecie jej dotykać, gdyby zaszła potrzeba, żeby udaremnić ucieczkę mojego aniołka. Pod tym jedynym warunkiem róbcie to bez wahania i nie bójcie się żadnych represji. Bójcie się tylko jednego. Żeby się wam nie wymknęła. Chyba że ktoś ruszy ją w innym celu, niż żeby przytrzymać... Wtedy, wiadomo, zostanie skazany na śmierć. Ona jest moja – mówi, żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości.

– Powinieneś zaaranżować demonstrację jej siły i umiejętności – dobiega głos Alfreda od wejścia. Wskoczył tu przed chwilą i idzie do mnie jakby nigdy nic. Zazdroszczę mu tej swobody. Może stąd wychodzić, kiedy zechce. – Ona trenowała. To jasne, skoro Russellowi udaje się nadal gdzieś tu krążyć na wolności.

– A któż by ją trenował? To tylko dziewczyna. W dodatku jeszcze nie w pełni wyewoluowała – odzywa się skądś zza naszych pleców Finn.

Nie uczestniczył w przeprowadzanych właśnie próbach, może dlatego, że już mnie dotykał.

– Bruce Lee – stwierdza Alfred, unosząc płytę DVD, którą zabrał z mojego mieszkania.

Zabiję cię! – wrzeszczę w duchu.

Uśmiecha się krzywo.

– Potrafi zabijać. Twoi chłopcy powinni być na to przygotowani. Kto tu jest najlepszym wojownikiem?

Brennus patrzy na Alfreda, jakby ten oszalał, bo przecież oczywiste, że to on jest tu najsilniejszy. Inaczej nie zostałby przywódcą bandy krwiożerczych Gankanagów, po prostu już by nie żył.

– Keegan – rzuca Brennus głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Z grupy występuje rudowłosy Gankanag. Poznaję go. To on pilnował tylnego wyjścia z biblioteki.

– Jak tam Lynnette? – Staram się odgadnąć, jakie ma usposobienie.

– Przepyszna – odpowiada ze złośliwym uśmieszkiem, a ja aż się wzdrygam.

Alfred obchodzi mnie szerokim łukiem i siada za stołem. Opiera nogi na blacie, szczerzy do mnie zęby. Pragnie widzieć mój ból, zemścić się za to, że dźgnęłam go nożem.

– Nie jestem najlepiej ubrana do walki – oponuję, bo nie chcę pokazać im, na co mnie stać. To wbrew taktyce, którą przyjąłm.

– A czego ci potrzeba? – Brennus wpatruje się mnie chłodno.

Jest tak nieugięty, że przebiega mnie dreszcz.

– Przynajmniej szortów – odpowiadam, bo przecież nie mogę tak walczyć. Mam na sobie tylko tę koszulkę i nic więcej.

Brennus daje znak Finnowi. Ten w jednej chwili znika i zaraz wraca z parą męskich sportowych bokserów.

– Najlepsze, jakie udało się mi znaleźć. – Lekko się krzywi, kiedy mi je podaje. Musiałam zrobić dziwną minę, bo dorzuca: – Są czyste.

– Nie interesuje mnie, do kogo należą – mruczę i słyszę, jak wszyscy wybuchają gromkim śmiechem.

Kiepsko. Nic nie zyskam na walce, lepiej byłoby jej uniknąć. Pojedynek z Keeganem nie przyniesie mi żadnego pożytku. Zobaczą, że jestem silniejsza, niż na to wygląda, i będą się z tym liczyć. Powinni być przekonani, że jestem słaba. Muszę grać wystraszoną. Nachylam się do Brennusa.

– Nie każ mi tego robić – proszę.

Pozwalam, żeby w moim głosie brzmiał lęk, jaki czuję. Boję się, bo jeszcze nigdy z nikim nie walczyłam naprawdę, a Keegan nie wygląda na kogoś, kto miałby jakiegokolwiek skrupuły.

– Nie daj się zwieść, Brennus. Ona świetnie sobie poradzi z Keeganem. Bez urazy, Keegan – podjudza Alfred, a Keegan ogląda się na niego, jakby go chciał skrócić o głowę. – Serafina potrafi walczyć z najbardziej potężnymi wojownikami. Jest stworzona, żeby zabijać i ochraniać. Sporo już umie. Wierz mi.

Brennus się usztywnia.

– Jaką broń byś sugerował, Kosiarszu? – Patrzy na niego wyczekująco.

On też myśli, że nabijam go w butelkę. Mogę stracić o wiele więcej niż jakiegokolwiek fory. Zagryzam lekko wargę, kiedy patrzę mu w oczy i widzę w nich gniew.

– Ja lubię noże, można nimi zrobić niezłą krzywdę – podsuwa mściwie Alfred, korzystając z okazji do rewanzu.

Strach podchodzi mi do gardła, Alfred uśmiecha się do mnie leniwie. Twarz Brennusa nie zdradza żadnych emocji, ale stojący obok niego Finn jest wyraźnie przerażony.

Wszyscy natychmiast odsuwają się ode mnie i Keegana. Mój lęk ustępuje miejsca panice. Aż mi się robi miękko w nogach. Keegan zdiera z siebie koszulkę i odsłania szerokie, muskularne plecy. Uderza pięścią w ogromną pierś, co wywołuje poruszenie wśród otaczających nas Gankanagów. Potem odwraca się do mnie i łypie złowroźnie. Podskakuje przede mną, jakby rozgrzewał się do zgotowania mi krwawej łaźni.

Podchodzi Finn z kluczem do kajdanów. Pochyla się, odpina je, zdejmuje i zabiera. Lekko kołyszą się w jego dłoni, gdy odchodzi, nie patrząc mi w oczy. Boi się o mnie – myślę, widząc jego lekko zgarbione plecy, i zastanawiam się, czy zyskałam sojusznika. Drżącymi rękoma wciągam bokserki. Wszyscy oferują swoje noże o przeróżnych straszliwych ostrzach. Jest z czego wybierać. O tego typu broni wiem tyle, co nic, więc kiedy Brennus każe mi

zdecydować, nie mam pojęcia, co robić. Rozglądam się, czy ktoś mi doradzi, ale nikt się nie rwie z pomocą. Więc proszę:

– Finn, wybrałbyś za mnie?

Finn patrzy na Brennusa, a kiedy ten kiwa głową, podchodzi i przygląda się ostrzom. Wybiera dwa długie sztylety. Niemal identyczna wielkość i ciężar. Wyraźnie chce, żeby dawały równowagę.

– Ten jest mój, bardzo stary, namaszczone przez kapłanów w dolinie Gehenny. A ten Brennusa, on też był namaszczone. Daję ci je w dobrej wierze, Genevieve, ale nie wiem, jak ci posłużą.

– To znaczy? O co chodzi, Finn? – pytam go równie ściszym głosem i włos mi się jeży na głowie.

Noże w moich dłoniach wydają się nie z tej ziemi i nie tylko rzecz w tym, że to groźna, zabójcza broń.

– One nie poddadzą się nikomu, kto nie jest ich godny – szepcze, a ja czuję, jak lęk pali mi wnętrzności.

– To jakieś czary? – pytam półzartem.

– Tak – odpowiada ze śmiertelną powagą.

Powoli kiwam głową. Mocniej zaciskam dłonie na rękojeściach. Patrzę zza niego na Keegana. Nadal podskakuje i wymienia jakieś głupawe uwagi z kumplami.

Pomału wydecham powietrze. Chcę się uspokoić, zwolnić bicie serca, bo wali jak szalone, aż zastanawiam się, czy oni to słyszą. Alfred słyszy na pewno i próbuje zdenerwować mnie jeszcze bardziej.

– Jak już cię potną na kawałki, Evie – mówi – może pokazesz nam trochę tych sztuczek, jakie wykorzystowałaś, żeby zagoić ranę Russella?

Jakby mnie dźgnął nożem. Skąd to wie? Czy dopadł jednego z moich aniołów? Kto może mieć takie informacje? Tylko najbliżsi i kilka przypadkowych dusz, które były świadkiem zdarzenia. Robi mi się zimno, potem gorąco, ale nie mam czasu na domysły. Keegan z okrutnym warknięciem rzuca się na mnie szybciej niż rozwścieczony byk. Zaskoczona i nieprzygotowana na tak szybki atak odskakuję. O mało nie przeciął mnie na pół. Ale i tak jestem zbyt wolna. Ostrze trafia mnie w plecy i tnie ukośnie przez prawe ramię do lewego biodra. Obracam się. Czuję, że rana nie jest zbyt głęboka, bo skrzydła przyhamowały impet uderzenia. Jednak natychmiast zaczynam krwawić i słyszę kliknięcia wyskakujących kłów, gdy salę wypełnia zapach mojej krwi.

Cięcie pali mnie żywym ogniem. Keegan, który ma z tego niezłą radochę, uśmiecha się do mnie, odsłania kły, kiedy zlizuje z noża krew. Ze zgromadzonego wokół nas tłumu Gankanagów lecą drwiny.

– Nie baw się jedzeniem, Keegan – woła ktoś.

Ktoś inny pyta, czy smakuję jak anielskie ciasto.

Keegan rechocze obleśnie.

– Nie, chłopaki, ona smakuje niesamowicie, nigdy czegoś takiego nie kosztowałem. Ambrozja, dar bogów... Mam apetyt na więcej.

Zaczynam dygotać, kiedy dociera do mnie, że on nie żartuje... Nie zamierza mnie ćwiczyć ani uczyć, jak doskonalić ruchy. Nie obchodzi go, czy jestem osłabiona, przerażona lub załamana. Nie wzrusza go wcale, że choć tak bardzo chciałam być dzielna, nie daję już rady po tak długim czasie postawienia w stan gotowości wszystkich zmysłów. Nie przejmuję się tym, że dopiero co spędziłam kilka dni na zimnym, twardym klepisku, brudna, odwodniona, w miejscu tak bliskim piekła jak jeszcze nigdy w życiu. Tak naprawdę pewnie go to bawi i nie zadrzy mu dłoń, jeśli się potknę lub zawaham. Zaatakuję mnie z całym impetem, na jaki go stać, i zabije, jeśli Brennus na to pozwoli, a jeśli nie, to tylko porani, ale za to bardzo, bardzo dotkliwie.

Nie zmienia taktyki przy drugim podejściu. Zamiast więc odskakiwać do tyłu, odchylam się jak sprężyna, a on przelatuje nade mną. Wykorzystuję sposobność, zahaczam ostrzami o jego bok i zostawiam na nim dwie spore szarpane rany. Krwawi, ale nie wiem, czy to naprawdę jego krew, czy Lynnette. Przykucam, żeby się bronić, kiedy zawróci i przypuści kolejny atak.

Nie jest już taki butny i pewny siebie, kiedy orientuje się, że udało mi się go zranić. Koniec popisów. Zastępuje je teraz czysta brutalność. Próbuje mnie zastraszyć. Zlizuje własną krew z palców i rozmazuje ją sobie po twarzy. Ohyda. Z całych sił staram się trzymać, ale jest taki przerażający, kiedy mnie osacza, czekając na chwilę słabości, że aż chce mi się płakać i prosić o pomoc, choć wiem, że nie mogę na nią liczyć. Nikt tu się za mną nie ujmie. Nagle wzdrygam się na dźwięk jego głosu.

– Wiesz, co zrobię z twoją bratnią duszą, kiedy go znajdę? – Złowrogo szczyrzy zęby i naciera od prawej strony. Jego nóż przeszywa powietrze, bo cudem zdołałam uskoczyć. – Przetnę go na pół, tak że wszystko ze środka wyślizgnie się na ziemię – przechwala się jak zboczony świr, ale obraz, który podsuwa mojej wyobraźni, uruchamia we mnie coś nowego.

Przestaję się cofać. Nigdy nie dostanie Russella, nie dam mu tego dożyć. Cały lęk, od którego tak waliło mi serce, schodzi na drugi plan. Strach się rozplywa, a ja koncentruję się na swojej ofercie. Całą sobą angażuję się w walkę. To ja zaczynam go osaczać, okrążać, staram się wychwycić słabe punkty. Patrzę, jak wywija nożami w powietrzu – trzeba przyznać, jest silny i szybki, ale brak mu finezji. Ostrza wydają groźny poświs, ale nie daje rady mnie dosięgnąć i zranić.

Widzę lukę w jego obronie. Dopadam do najbliższej kolumny. Wskakuję na nią i odbijam się prawą stopą ku następnej. Lekko ląduję na lewej nodze nieco wyżej, od razu odskakuję, zręcznie się rozpędzając, co pozwala mi wrócić na poprzednią kolumnę. Prawa stopa trafia jeszcze wyżej. I tak odbijam się na przemian to od jednej, to od drugiej kolumny. Coraz bliżej sklepienia. Jestem z metr lub więcej nad głową Keegana. Przy kolejnym skoku daję susa i spadam na przeciwnika łukiem, z wyciągniętymi nożami. Uchyła się w ostatniej chwili. Udaje

mu się uniknąć śmiertelnego ciosu. Nie przebiłam go na wylot, ale i tak cięciem otwieram mu klatkę piersiową.

Uderzam o twardą posadzkę i koziółkę, aby impet upadku odrzucił mnie na bezpieczną odległość, gdyby nastąpił kontratak. Kiedy się zrywam, Keegan stoi i patrzy na mnie, ciężko dysząc. Zdumiony przyciska ręce do piersi.

– Utnę ci skrzydła i powieszę sobie jako trofeum na ścianie – grozi, wściekle zgrzyta zębami.

W jednej chwili ciska nożem po mojej prawej stronie i rzuca się na mnie od lewej. Chce, żebym zrobiła unik w lewo przed ostrzem z prawej. Ale jestem szybsza, niż myślał. Rzucam się w prawo, więc nie wpadam w pułapkę. Wirujący nóż ledwie drasnął mi prawe ramię.

W ułamku sekundy podbiegam do kolumny przede mną i z rozpędu bez trudu wskakuję na górę. Stąd mocno odpycham się stopą od kamienia i lecę na sąsiedni filar. Obejmuję go ramieniem i zsuwam się, wirując po gładkiej powierzchni. Łąduję tuż za Keeganem. Wskakuję mu na plecy, zanim może zareagować, oplatom go nogami w pasie i krzyżuję ręce na jego szyi. Mocno pociągam nożami, robiąc na niej znak X. Cięcie jest głębokie. Keegan się wykrwawia. Nogi uginają się pod nim, kiedy go puszczam. Pada na posadzkę u moich stóp. Nie sprawdzam, czy żyje, ale obracam się i ciskam nożami w Alfreda. Kiedy wbijają się w niego, przytwierdzając go do krzesła, słyszę z końca sali krzyk bólu.

Odwracam się i biegnę tak szybko, jak tylko potrafię, do wyjścia z jaskini. Krew dziko pulsuje mi w żyłach. Czepiam się najbliższej klamry w skalnej ścianie, podciągam się i zaczynam wspinaczkę. Rusza za mną pościg, ale wiem, że potrafię dotrzeć do szczytu szybu, zanim którykolwiek z nich mnie dogoni. Moja radość trwa jednak krótko, bo kiedy już jestem na górze, natykam się nieznanego mi Gankanaga. Patrzy na mnie z góry. Pełni wartę przy wejściu. I nie jest sam. Uśmiecha się do mnie jeszcze dwóch innych.

– Witaj, aniołeczku – mówi jeden z nich.

No to już po mnie – myślę. Strażnik, który się do mnie odezwał, łapie mnie i wskakuje do szybu, pociągając ze sobą.

Na widok groźnych twarzy zgromadzonych na dole Gankanagów strach uderza mnie falami, pierwotny, bolesny. Strażnik puszcza mnie natychmiast, kiedy łądujemy. Alfred nadal wrzeszczy, ktoś próbuje wyrwać noże z jego ramion i uwolnić go z krzesła. Chce mi się płakać, bo nie zdołałam zabić drania. Gdybym go uśmierciła, może to wszystko byłoby tego warte. A teraz Gankanagowie zabijają mnie. I tyle – myślę przerażona, ale jednocześnie czuję ulgę. Rozpaczliwie pragnę, żeby wreszcie to się skończyło.

Rzucam okiem w miejsce, gdzie zostawiłam Keegana. Nadal leży nieruchomo w kałuży krwi. Cała się trzęsę, z niepokojem wpatrzona w potężne ciało, niezdolna wyjąkać słowa. Zrobiłam to... Unicestwiłam go... Zamordowałam. Ogarnia mnie dziwne odretwienie. Powinnam rzucić się do walki z chłopakami, którzy mnie otaczają, albo znów próbować uciekać, ale nie jestem w stanie. Czuję się tak, jakby to wszystko mnie nie dotyczyło.

Widzę, jak tłumnie zgromadzeni rozstępują się przed Brennusem. Idzie do mnie. Nie potrafię rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Chłopaki obok mówią wszyscy naraz, a ja łapię strzępy zdań, które nie układają mi się w żadną logiczną całość. „Szok pourazowy”, „patrzy niewidzącym wzrokiem”, „stres bojowy”... trąkocze Gankanag stojący najbliżej mnie.

Kiedy Brennus jest tak blisko, że mogę go dosięgnąć, wyciągam ręce i łapię go za przód koszuli. Ale moje palce są tak słabe, że ledwie daję radę ją przytrzymać. Zaglądam mu w oczy i szepczę:

– Pomóż mi... proszę.

Spogląda już łagodniej.

– Dobrze... *mo chroi* – odpowiada mój wróg i przygarnia mnie do siebie. Szepcze mi do ucha słowa, których nie znam: *muirnin* i *a ghra*, i muska zimnymi ustami moją szyję.

Chcę go odepchnąć, ale jestem taka słaba. Wiem, że nie upadam tylko dlatego, że mnie przytrzymuje. W odrętwieniu słyszę jakieś kliknięcie. Zanim zdążam zareagować, Brennus zaciska potężne szczęki i przebija mi skórę. Wrywa mi się słaby jęk, nogi uginają się pod mną. Brennus mocno mnie przyciska do siebie, wysysa ze mnie krew. Robi mi się ciemno przed oczami. Nie walczę, bo on daje mi wolność... Umieram, a kiedy to się skończy, wyswobodzę się z tego miejsca i od Gankanagów raz na zawsze.

Rozdział 13

ŻĄDZA KRWI

Nie umarłam – stwierdzam z przerażeniem, kiedy dociera do mnie druzgocąca prawda. Nadal jestem więźniem Gankanagów. Jak najbardziej. Unoszę głowę z jedwabistej poduszki na ogromnym łożu Brennusa, czuję pulsujący ból. Jest mi słabo, kładę się więc znowu i patrzę w sufit, póki pokój nie przestaje mi wirować. Coś tu się zmieniło. Leżąc w miękkim, kuszącym ciepłe pościeli, staram się uchwycić, co to jest, i w końcu to sobie uświadamiam. Zapach zepsucia, który przesiąka wszystko... Wcale nie zniknął, ale nie wydaje mi się już aż tak obrzydliwy. Tak naprawdę jest prawie przyjemny.

Serce zaczyna mi walić. Ugryzł mnie! Ogarnia mnie taka złość i obrzydzenie, że aż mruczę ze złości. Mój wróg zrobił sobie ze mnie przekąskę, a ja mu na to pozwoliłam! Krew uderza mi do głowy i ciemny rumieniec pojawia się na policzkach. Przesuwam palcami po śladach ugryzienia na szyi. Odrywam dłoń i patrzę na palce. Jest na nich krew. Nadal krwawię z rany, którą mi zadał. Jak mogłam do czegoś takiego dopuścić? Czy nie chcę już więcej zobaczyć Reeda... albo Russella? – wyrzucam sobie. Jeśli stanę się Gankanagiem, może nigdy już ich nie spotkam. Powinnam walczyć zacieklej. Bardziej się postarać. Jestem już na zagrożonej pozycji i muszę uciekać, bo po tym będzie szach-mat i wtedy gra skończona. Też stanę się potworem... a może już nim jestem? – zastanawiam się i powoli siadam w łóżku.

Niezdarnie wstaję i znów muszę odczekać, aż pokój przestanie się kręcić, nim chwiejnym krokiem ruszam do sąsiadującej z sypialnią łazienki. Gdy wchodzę, widzę w wielkim lustrze swoje odbicie. Otwieram usta i odchylam głowę do tyłu, żeby sprawdzić, czy nie mam kłów jak Gankanagowie. Ale nie, nie dostrzegam nic specjalnego, poza śladami na szyi, gdzie naznaczył mnie jako swoją własność ich przywódca. Oddycham z ulgą.

Na szczęście dalej mam na sobie podartą czarną koszulkę i bokserki, w które byłam ubrana, zanim zrobiło mi się ciemno przed oczami. Wyglądam dziko w tych zlachmanionych ciuchach zbrzyzanych krwią Keegana. Dostaję mdłości i muszę bardzo się starać, żeby nie zwymiotować na podłogę. Zresztą chyba nie miałabym czym, sądząc po tym, jak boleśnie ssie mnie z głodu. Jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie czułam.

Chwiejnym krokiem podchodzę do szafki, gdzie stoją staromodny dzban i miska. Nalewam zimnej wody, kilka razy ochlapuję sobie twarz i ręce. Ściągam podartą koszulkę i bokserki. W szafce pod miską znajduję gąbkę. Zmywam z siebie krew Keegana. Kiedy kończę, wyciągam ręcznik i zamieram na widok brzytwy leżącej na półce. Drżącymi palcami sięgam po nią i otwieram, żeby odsłonić ostrze. Broń – myślę, kiedy składam brzytwę i mocno zaciskam w dłoni. Grzebię w szafce, szukam czegoś jeszcze, co pomogłoby mi uciec, ale na próżno.

Zamykam drzwiczki i porządkuję wszystko, żeby nie było widać, że ktoś coś tu ruszał. A potem wracam do sypialni, żeby znaleźć jakieś ubranie. Owinięta ręcznikiem idę obok łóżka. I nagle zatrzymuję się, czując przenikliwie zimno w powietrzu. Spoglądam za siebie: z rękami splecionymi pod głową na poduszce, z której przed chwilą się podniosłam, leży Brennus. Serce na moment zwalnia i przystaje, gdy do żył uderza adrenalina. Nie słyszałam, jak Brennus wchodzi! Poza tym gdzie się podział ten nieznośny zapach, który zawsze sprawiał, że miałam ochotę zatkać palcami nos?

– Brennus, nie rób tak! Ale mnie wystraszyłeś – ochrzaniam go rozzłoszczona, bo aż podskoczyłam ze strachu na jego widok.

Może wygląda pięknie, anielsko, ale jest bez serca – no, w każdym razie takiego, które bije.

– A co ja takiego zrobiłem, *mo chroi*? – Uśmiecha się do mnie, a jego czarne włosy w artystycznym nieładzie spadają na czoło jak u supermodela.

– Nie podkradaj się tak. To nieprzyjemne. – Ruszam do szafy, zaciskając zęby, bo słyszę, jak się ze mnie śmieje.

– Serio? – pyta z niedowierzaniem, bo przecież oboje wiemy, jakie to idiotyczne spostrzeżenie. Kto lubi być tak zaskakiwany?

– Wiesz dobrze, o co chodzi – rzucam przez ramię i zabieram się do przekopywania szafy, żeby znaleźć coś, co nie przypominałoby bielizny.

Wreszcie trafiam na jakiś obcisły biały top i krótką skórzaną spódnicę. Marszczę brwi. To z tego wszystkiego jest już chyba najlepsze. Udaje mi się też wygrzebać jakieś seksowne figi i parę czarnych zamszowych botków, z cholewką do połowy uda. Wciągam majtki i spódniczkę pod ręcznik, którym się owinęłam. Potem brzytwą nacinam plecy bluzki, żeby dopasować ją do moich skrzydeł. Brennus zauważył już, co trzymam w dłoni, więc lepiej pokazać mu, że nie bez powodu wzięłam sobie to ostre narzędzie.

– Przyszedłem tylko sprawdzić, czy nie jesteś głodna – usprawiedliwia się niewinnie, jakby nie kierowały nim żadne inne motywy. Podejmuje grę.

Zdaje się zadowolony z mojej uwagi. Na pewno w jego obecnym życiu nikt nigdy nie mówił mu, że powinien starać się być miły.

– Jestem głodna... umieram z głodu – mówię w roztargnieniu, kończąc przerabianie bluzkę. Odwracam się do niego tyłem, zrzucam ręcznik i wkładam top na siebie.

Jego oczy błyszczą w rozbawieniu, kiedy obracam się znów do niego. Bawię go... jak jakiś kotek albo piesek. Biorę buty i podchodzę do łóżka. Siadam na brzegu i nachylam się, żeby wciągnąć te idiotycznie długie botki.

– Jak to możliwe, że nie ma tu dzinsów albo jakichś sportowych butów? – pytam nadąsana.

– A co seksownego w takich portkach i trampkach? – dziwi się roześmiany.

– Masakra! – prychem i ukradkiem wsuwam brzytwę za prawą cholewę. – Powinam się domyślić.

– Przyszedłem tu też z innego powodu – oświadcza tajemniczo.

– Nie mów, że się za mną stęskniłeś? – Silę się na swobodny ton, choć ogarnia mnie przerażenie, bo jego niespodzianki nie wróżą nic dobrego.

– To też, ale nie w tym rzecz.

– Może powiesz mi, jak coś zjem. – Próbuję opóźnić przykrości, jakie ma dla mnie w zanadrzu.

– Jeśli tak sobie życzysz – zgadza się z lekkim westchnieniem. – Po co ci ta brzytwa? – pyta, kiedy szybko wstaję z łóżka i obracam się do niego.

– Do obrony – wypalam bez namysłu i surowo patrzę na niego podparta pod boki.

– Teraz nikt nie ośmieli się ciebie skrzywdzić, *mo chroi*. Nie potrzebujesz tej kosy... Ja cię obronię.

Marszczę brwi.

– Też coś! To przed tobą przede wszystkim trzeba mnie chronić – rzucam bojowo i czekam na reakcję. – Nie pasuje mi rola czyjegoś obiadu, Brennus.

– Pewnie nie. A jeśli obiecuję, że następnym razem pozwolę ci, żebyś mnie też ugryzła w rewanżu? – Uśmiecha się kusząco.

– Ty lepiej z tymi swoimi kłami trzymaj się ode mnie z daleka – odparowuję i aż się wzdrygam z obrzydzenia.

A on tylko chichocze i unosi brew, ale nie spiera się ze mną o brzytwę.

– Chodź, nakarmimy cię. – Wstaje z łóżka.

Wyciąga do mnie rękę. Nie biorę jej, ale ruszam przed nim przez sąsiedni pokój do wyjścia na korytarz, który prowadzi do sali głównej. Za progiem apartamentu czekają wartownicy. Teraz znam już ich imiona: Declan, Eion, Lachlan i Faolan.

Idziemy schodami na dół do głównej komnaty. Czuję jakiś nieznan mi zapach. Gankanagowie nie pachną już dla mnie tak mocno, zostałam ugryziona i to coś we mnie zmieniło. Pewnie dlatego wychwytyuję teraz to, co przedtem maskował odór. Żaden z tych zapachów nie jest przyjemny. Nie potrafię określić, czym przepojone jest powietrze. Dopiero na dole widzę, skąd to się bierze. Potworność, cuchnące martwe ciała leżą w stosach pod jednym z kominków w oddali. To zwłoki kobiet, wykorzystanych podczas uczy, z których wyszano krew. Eibhear i Cavan wrzucają je partiami do ognia i palą.

To, co brałam za nastrojowy sposób oświetlenia i ogrzewania sali, okazuje się dla Gankanagów czymś jeszcze. Kominki służą do pozbywania się ciał. Prawdziwy dom grozy. Krzywię się i odwracam wzrok od twarzy kobiety, którą widziałam żywą jeszcze parę dni temu. Zastygła w wyrazie rozkoszy.

– Zwykle nie ma aż tylu trupów, Evie. – Za stołem siedzi Alfred i posila się zupą. – To przez ciebie wszystkie zginęły już wczoraj wieczorem – dodaje. Bierze kęs chleba i śmieje się ze swojego tekstu. – Po tym twoim pokazie żądza krwi była tak wielka, że zupełnie stracili nad sobą panowanie, więc te piękne kobiety musiały umrzeć... Wszystko z twojej winy.

– Jak tam twoje ramię, Alfredzie? – Siadam na krześle, które podsuwa mi Brennus u szczytu stołu, obok swojego miejsca. – Bardzo boli? – Staram się ukryć, jak dotkliwie ugodziły mnie jego słowa.

– Tylko trochę piecze... Do wesela się zagoi – odpowiada, ale wiem, że kłamie, bo widzę, że z trudem podnosi łyżkę do ust.

Podają mi miseczkę rosółu i chleb. Jestem zaszokowana i skonsternowana, że nadal chce mi się jeść, pomimo zapachu rozkładających się ciał i jatki, jaką mam przed oczami. Dziękuję Loganowi za to, że przyniósł jedzenie, i wręcz rzucam się na nie łapczywie. Nie smakuje tak dobrze jak wczoraj. Prawdę mówiąc – ohydnie, ale jestem straszliwie wygłodzona, więc pochłaniam wszystko w jednej chwili, nie potrafię się pohamować. Kiedy kończę, czuję, że najadłam się do syta, że mam pełen brzuch, ale bolesne skurcze z głodu nie mijają. Zdezorientowana myślę, że muszę chwilę odczekać, żeby zrobiło mi się lepiej.

Brennus obserwuje mnie wyczekująco z błyskiem w jasnozielonych oczach, ale nie potrafię odgadnąć, czego się po mnie spodziewa.

– Jeszcze trochę zupy? – Unosi brew.

– Nie, dziękuję – mruczę, bo wiem, że jeśli zjem więcej, to puszczę pawia. Co za dużo, to niezdrowo. Ale nadal skręca mnie z głodu. Tak strasznie, że aż kropelki potu występują mi na czoło.

– Na pewno, Evie? Mam wrażenie, że jesteś nadal bardzo głodna – drażni się ze mną; wyraźnie bawi się cierpieniem, które łatwo wyczytać z mojej twarzy.

– Może ona chętnie przekąsiłaby coś innego, Brennusi? – podrzuca Alfred ze śmiechem.

– Z wielką przyjemnością dam jej, cokolwiek mam do zaoferowania – odpowiada Brennus i to brzmi tak szczerze, że zaskoczona oglądam się na niego.

– O czym wy gadacie? – Od razu załapuję, że prowadzą jakąś grę.

– Zostałaś ugryziona, Genevieve – rozlega się głos Finna z drugiej strony stołu.

Właśnie wszedł i usłyszał, o czym mówimy. Wydaje się zły, tak jakby nie podobało mu się, że bawią się moim kosztem.

– Proszę, Finn, wytłumacz mi, o co tu chodzi. – Patrzę w szmaragdowe oczy, tak bardzo podobne do tych brata, ale nie ma w nich takiej zaciętości, jaka cechuje Brennusa.

– To oznacza, że będziesz pragnęła krwi Gankanaga, który cię ugryzł. Zwykle ten głód za bardzo nie dokucza, bo nasza skóra działa jak narkotyk, więc wystarczy ją musnąć i już czuje się ulgę. Ale nie dla ciebie ten luksus, z tobą jest inaczej, prawda?

Mam wrażenie, że mi współczuje.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jeśli wypiję krew Brennusa, głód zniknie? – Mrugam, żeby opanować lzy, które od razu napływają mi do oczu.

– Tak – mówi łagodnie, aż mnie ściska w sercu.

– Czy to będzie jedyny skutek, jeśli napiję się jego krwi? – drążę, bo mam wrażenie, że nie powiedział wszystkiego.

Finn przenosi wzrok na brata, patrzy na niego tak, jakby na coś czekał. Gdy tamten lekko kiwa głową, Finn odwraca się do mnie, a w jego oczach jest pełno współczucia.

– Kiedy napijesz się krwi Gankanaga, umrzesz i narodzisz się znowu jako jedna z nas.

Szach-mat – kwituję w duchu. Nie jestem już w stanie powstrzymać łez, ciurkiem zaczynają spływać mi po policzkach.

– Och, Evie, nie płacz... albo... płacz, proszę. Jesteś taka piękna, kiedy płaczesz. – Alfred triumfalnie rozpiera się w krześle przeszczęśliwy, że jestem tak bardzo załamana tym, co mnie spotyka.

Finn marszczy brwi.

– Ty gnido! Jeszcze jedno słowo i sam cię zabiję – ucisza ze złością Alfreda i piorunuje go wzrokiem. – Ona jest wojownikiem, a niedługo będzie Gankanagiem i moją siostrą. Lepiej szykuj się, żeby się stąd jak najszybciej ulotnić, kiedy tylko ona skosztuje jego krwi i porwiesz jej duszę. Bo wystarczy, że wtedy poprosi, żebym cię zabił, a nie będzie takiego miejsca pod niebem, gdzie mógłbyś się ukryć. – Finn kręci głową nad bezdenną głupotą Alfreda. – Gdybyś miał choć trochę oleju w głowie, to już by cię tu nie było. Słyszałeś, jak zwraca się do niej Brennus? *Mo chroi*... tam, skąd pochodzimy, to oznacza „serce”. Kiedy stanie się jedną z nas, da jej wszystko, czego tylko ona zechce. Z twoim sercem włącznie.

Nie wiem, kto jest bardziej wstrząśnięty, Alfred czy ja, kiedy Finn kończy tę tyradę. To dlatego Alfred musi czekać. Gdybym zamknęta w celi podjęła grę z wodą, zrobiłabym wszystko, żeby zaspokoić pragnienie, pewnie wypiłabym nawet krew Brennusa, bez względu na to, czyby mnie wcześniej ugryzł, czy nie. Moja dusza byłaby zgubiona i Alfred by się o nią upomniał. Teraz wymyślili inny sposób, żeby przemienić mnie w jedną z nich. Musieli dojść do wniosku, że skoro ich dotyk na mnie nie działa, to po ugryzieniu będę tak bardzo cierpieć, że wreszcie się ugnę i napiję krwi Brennusa, byle tylko ukoić ten ból. Ale to nadal mój wybór, mogę zdecydować się na mękę albo położyć jej kres i zaprzedać duszę.

Finn obraca się do Brennusa i rzuca mu przez stół kopertę.

– Zająłem się tym, o co prosiłeś. Wszystko jest tutaj. – Podchodzi i siada obok brata. Popatruje gniewnie na koniec stołu na Alfreda, który, jak mam wrażenie, zaczyna się teraz pocić tak samo jak ja.

– Dzięki, Finn. – Brennus przesuwając kopertę do mnie i cierpliwie czeka, aż o nią zapytam.

Ze wszystkich sił próbuję skupić się na czymś innym niż ten ból, który mnie trawi, więc biorę kopertę, ale jej nie otwieram.

– Co to? – Ocieram wierzchem pięści łzy z oczu.

– O tym chciałem ci powiedzieć, kiedy byliśmy na górze, ale teraz mogę ci to po prostu pokazać.

Czeka, aż otworzę kopertę. A ja umieram ze strachu.

– Chyba nie zniosę już żadnych dodatkowych niespodzianek, Brennusie.

Nie otwieram koperty i nie patrzę na żadnego z nich.

– To miła niespodzianka – przekonuje Brennus łagodnie, ale wątpię, żeby demon wiedział coś o miłych niespodziankach.

– Niby jaka? – pytam i słyszę, jak Brennus ciężko wzdycha.

Bierze kopertę z moich dłoni i otwiera ją dla mnie. Są tam dokumenty na moje nazwisko. To prawdziwe. Wyglądają na wyciągi bankowe, zaświadczenia i akty prawne. Patrzę zaskoczona. Czy coś mi wyjaśni?

– Pokonałaś Keegana. – Uśmiecha się do mnie dumnie. – Wszelkie jego zasoby przechodzą na ciebie. Nie był specjalnie bogaty. To niecały miliard funtów, porobił trochę inwestycji, które się nie sprawdziły, ale tym się nie martw. Ja posiadam aż nadto, żebyś miała wszystko, czego zapragniesz – zapewnia, podając mi z powrotem kopertę.

Patrząc przez stół na Alfreda, widzę coś w jego oczach. To strach. Finn ma rację – myślę, a ręce znów zaczynają mi się trząść. Brennus robi ze mnie swoją królową, a oni wszyscy będą traktować mnie jak jedną z nich... jak ukochanego demona.

W odrętwieniu odkładam kopertę na stół i przesuwam z powrotem w kierunku Brennusa. Potem wstaję od stołu i ruszam salą w stronę wyjścia z jaskini.

– Co się stało, *mo chroi*? – woła Brennus.

Zatrzymuję się i oglądam na niego.

– Nie mogę tego przyjąć. – Wskazuję na kopertę.

– Czemu? – pyta i zdziwiony marszczy brwi. – Żyłaś jak jakaś prosta chłopka w tej ruderze. Już nigdy nie będziesz musiała znosić takich warunków. Będziesz miała władzę, a jeśli ktoś chciałby na ciebie zapolować, to go tu sprowadzimy i nauczymy, co to naprawdę strach – mówi.

W jego oczach widzę brutalność. Nie rzuca słów na wiatr. Będzie bronił mnie niczym skarb przez wieczność. Nigdy się od niego nie uwolnię.

– Nie mogę wziąć tej koperty, bo go zamordowałam, zamordowałam Keegana. Nie wezmę jego pieniędzy. – Zrozpaczona przykładam dłoń do brzucha, żeby złagodzić ten potworny, palący wewnątrz głód.

– Nie zamordowałaś. Broniłaś się, pokonałaś go jak wojownik. Umarł dobrą śmiercią – oponuje Brennus. Zupełnie nie rozumie, o co mi chodzi. – Nikt nie może powiedzieć, że jesteś niegodna stać się jedną z nas po tym, co zrobiłaś. Będziesz cennym nabytkiem klanu – dodaje, a mnie aż mrozi, kiedy słyszę te słowa.

Mam sprytnie zwabiać ludzi do jaskini, żeby się nimi żywić, aż pozostaną z nich tylko martwe ciała, a potem bez skrupułów wrzucać je do ognia i palić? Zostać ambitnym Gankanagiem, który stara się o ponadprzeciętne wyniki? Mam pokochać Brennusa? Zapomnieć o Reedzie? Nigdy!

Idę dalej. Zostawiam za sobą Brennusa i znów jestem coraz bliżej wyjścia.

– Dokąd ty się wybierasz? – woła, ale nie odpowiadam ani się nie zatrzymuję.

W jednej chwili jest już przy mnie, bo nie próbuję mu uciekać. Po prostu zamierzam wyjść, tak czy inaczej.

– Nie zostanę tutaj. – Wyciągam brzytwę z buta.

– Wyjdiesz stąd tylko jako Gankanag – zaznacza łagodnie, kiedy tak idziemy spacerkiem ramię w ramię, jakby nam się nigdzie specjalnie nie spieszyło. – Wtedy będziesz mogła wędrować sobie, dokąd ci się podoba.

– Nie. Wychodzę teraz. Trzymaj się – rzucam, nie patrząc na niego.

Ciężko wzdycha, jakbym wystawiała jego cierpliwość na wielką próbę.

– Nie mogę cię puścić, *mo chroi* – mówi czule. Zastępuje mi drogę, więc muszę przystanąć. – Jesteś moja.

Przeszywa mnie lęk, bo zaczynam mu wierzyć. On już mnie prawie złamał.

– Proszę. Błagam, nie każ mi robić sobie krzywdy. Nie chcę ci zrobić nic złego.

To prawda. Nie chcę go skrzywdzić i to mnie śmiertelnie przeraża, bo przecież powinnam tego pragnąć z całego serca.

Powolny uśmiech pojawia się na jego pięknych ustach i twarzy, a jego bystre zielone oczy skrzą się niczym morskie fale podczas sztormu. Wygląda jak ktoś, kto właśnie dostał najlepszą wiadomość w życiu.

– W porządku... skrzywdź mnie – mruczy cicho.

Staram się go wyminąć, ale łapie mnie za rękę i przytrzymuje. Nie puszcza. Muszę go do tego zmusić, jeśli mam się stąd wydostać. Szybko, prawie bez namysłu, tnę jego rękę brzytwą. Dzieją się wtedy dwie rzeczy. Po pierwsze Brennus uśmiecha się do mnie w euforii, po drugie zapach tryskającej krwi totalnie mnie obezwładnia. W głowie mi się kręci, ślinka cieknie. Z największym trudem udaje mi się powstrzymać, żeby nie przypaść do jego rany i nie chleptać krwi niczym wściekły pies.

Upuszczam brzytwę, zakrywam dłonią usta i nos, żeby odciąć się od tej pokusy. Cofam się dalej od Brennusa.

– W porządku, to nic złego – odzywa się łagodnie, jakby chciał uspokoić przestraszone dziecko.

Kręcę głową i rozglądam się dzikim wzrokiem za drogą ucieczki, ale Faolan, Eion i Lonan blokują wyjście. Stoją przed nim, obserwując nas uważnie. Nie mogę uciec, ale muszę znaleźć się jak najdalej stąd. Odwracam się i wykorzystuję całą swoją szybkość, żeby pobiec z powrotem do apartamentów Brennusa. Zatraskuję drzwi, rygluję i cofam się od nich prędko. Pędzę do sypialni, a potem do łazienki. Opieram się o przeciwległą ścianę, a potem osuwam po niej powoli na posadzkę.

Ból i panika walczą o pierwszeństwo. Czuję się tak strasznie, że jestem w stanie tylko położyć głowę na zimnych kafelkach łazienki i zwinąć się w kłębek. Jestem najgłupszym stworzeniem na świecie. Jak mogłam sądzić, że mam więcej hartu ducha od wiekowego wojownika, który trzyma wszystkie karty w ręku? Pycho, masz na imię Evie.

Nie otwieram oczu, więc go nie widzę, ale wyczuwam jego obecność. Jest w powietrzu, którym oddycham, duszę się od jego zapachu... on mnie zniewala. Cała drzę. Muszę mu się oprzeć. Jeśli nie będę dość silna, zostanę skazana na taki sam los jak ten drapieznik, który już

skaził mnie swoją chorobą. Ale w tej chwili go pragnę i on o tym wie. Liczył na to, że będę wreszcie musiała ukoić ten pałacy głód. Jakże będzie się napawał, kiedy wreszcie ulegnę. Jeszcze żyję, ale czy długo potrwa, zanim zacznę go błagać, by to przerwał?

– Jesteś taka silna, *mo chroi*. – Podkrada się coraz bliżej.

Nie mogę się ruszyć, boję się, że znów go skaleczę.

Teraz już nie krwawi, wszystko u niego goi się prędzej niż u mnie – zauważam, kiedy przysiadła obok na posadzce i kładzie sobie moją głowę na kolanach. Delikatnie mnie głaszcze po włosach, jakby chciał pocieszyć. Po czyjej ty jesteś stronie, potworze? Staram się nie tracić czujności, muszę przy nim uważać.

Jego głos brzmi uwodzicielsko, kiedy mówi:

– Chyba niewłaściwie na to patrzysz. Dlaczego nie chcesz być jedną z nas? Mieć naszej ochrony i opieki? Zawsze byśmy cię wspierali – zapewnia. – Nigdy byśmy cię nie traktowali jak jakiegoś śmiecia... jakbyś nie miała prawa istnieć.

Co za kpiny. Pragnie przekształcić moją egzystencję według swojej woli.

To przecież nie byłabym ja... ale kto inny, mnie już by nie było.

Odpowiada, jakby czytał w moich myślach.

– W zasadzie będziesz taka sama, ale uwolnisz swoją duszę, która nie za wiele ci pomogła w tym życiu. Przez nią jesteś celem ataków. A potem nigdy już nie byłabyś sama... Zawsze przy tobie będę i nie musiałabyś się już niczego bać – obiecuje.

No i jest... Trafił na to, czego tak rozpaczliwie teraz pragnę.

Jakby to było nigdy więcej nie czuć lęku? Tego przerażenia, że jest się zwierzyną łowną albo że ten, kto na ciebie poluje, skrzywdzi kogoś, kogo kochasz? Ale chyba wtedy nie byłabym też zdolna do prawdziwej miłości.

– Próbuję ci pomóc. Pozwól mi sobie pomóc, *mo chroi* – kusi.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – szepczę.

– Nie rozumiesz swojej sytuacji. Gdybym pozwolił ci odejść, jak długo dasz tam sobie radę sama? – pyta zły, że wolę ryzykować śmierć niż zgodzić się na wieczność, którą mi proponuje.

– Nie wiem, spróbujmy, zobaczmy – odpalam.

Ciężko wzdycha.

– Nie unikniesz przeznaczenia. Co ma być, to będzie. Pozwól mi krwawić dla ciebie. – Czule muska zimnymi ustami moją szyję.

– Nie mogę... – skamle błagalnie, ale wydaje się, że te słowa tylko potęgują moje cierpienie.

– No to daj mi się napić.

Znów wbija się w moją szyję. Tym razem nie tracę przytomności. Pewnie nie wysysa tyle krwi, co poprzednio. Nie zamierza się nasycić, ale wpuścić mi więcej jadu, żebym pragnęła go jeszcze bardziej. I tak się dzieje. Ale moja krew powoduje w nim coś, czego, jak myślę, się nie spodziewał. Robi wrażenie pijanego... albo jakby był po narkotykach, podobnie jak tamte

kobiety, kiedy dotykali ich Gankanagowie. Wygląda tak, jakby zakręciło mu się w głowie. Opiera się plecami o ścianę łazienki, żeby nie upaść.

– Musisz się szybko poddać, *mo chroi*. Im więcej twojej krwi piję, tym bardziej cię potrzebuję. Już dawno wziąłbym cię do łóżka, ale boję się, że cię zabiję, zanim dokonam twojej przemiany.

Wolno unosi ciężkie powieki. W półprzymkniętych oczach czai się dzikie, mroczne pożądanie.

– Jesteś pewien, że to jedyna przyczyna? Bo tak naprawdę powinieneś bardziej bać się tego, że to ja cię zabiję, jeśli byś czegoś próbował – odwarkuję ze złością, a w moim ciele kiełkuje coś, czego nie chcę przyjąć do wiadomości.

Brennus śmieje się tak, że aż echo idzie po łazience.

– Dla ciebie chce mi się żyć przez wieczność. Za każdym razem nie mogę się doczekać, co powiesz. Potrzebuję wieczności, żeby się tobą nacieszyć – dodaje z uśmiechem. – Twoja uroda mnie powala. Nie mogę bez ciebie żyć... Nie potrafię bez ciebie żyć.

Coś bym odpowiedziała, ale muszę zacisnąć zęby, bo wrywa mi się jęk. Bolesne skurcze głodu są silniejsze niż przedtem. Wiję się po podłodze, staram się zwinąć jak najciaśniej w kłębek, żeby złagodzić tę mękę.

– Dość już tego – decyduje. Wstaje i podnosi mnie z posadzki.

Świta mi w głowie myśl, że martwi go moje cierpienie. Ale to jakiś nonsens, bo wszystko, co o nim wiem, przynajmniej na razie, wskazuje, że nie obchodzi go mój ból.

– Dokąd mnie niesiesz? – pytam, kiedy rusza przez sypialnię.

– Do sali. Każę Finnowi się naciąć i wreszcie przerwiemy tę szopkę. – Przyciąga mnie mocno do piersi.

– Nie... proszę... Nie dam rady...

– Tak miało być, Genevieve... tak ci było pisane. Los.

Jego ton brzmi łagodnie. Kręcę głową. Nie zgadzam się.

Kiedy docieramy na miejsce, Brennus siada na swoim krześle przy stole. Mnie bierze na kolana. Alfred już tu na nas czeka. Zastanawiam się, czy słyszał całą naszą rozmowę. Ma doskonały słuch, ale nie jestem pewna, czy to wystarczy, by śledzić głosy z odległej łazienki.

Patrzy na nas radośnie.

– No, wreszcie – mówi. – Kiszę się w tej jaskini od tygodni, gdy ty próbujesz zmusić tę dziewczynę, żeby zgodziła się zostać Gankanagiem. Przyznam, że już straciłem nadzieję, ale widzę, że jednak wasze metody okazują się skuteczne.

– Powinieneś pozwolić mi go zabić – mruczę z ustami tuż przy szyi Brennusa, którego wyraźnie ubodły słowa Alfreda.

– Cierpliwości, kotku, wieczór jeszcze młody, a ja planuję wiele urodzinowych prezentów dla ciebie – szepcze mi do ucha.

Wstrzymuję oddech, bo coś mi mówi, że jednym z nich może być serce Alfreda.

Chcę tego, chcę serca Alfreda. Unoszę głowę z piersi Brennusa i zaglądam mu w oczy. Musiał dostrzec mrok nienawiści w moim spojrzeniu, bo przyciąga mnie do siebie mocniej, w jego twarzy maluje się dzika żądza.

Nie sądzę, żeby Alfred rozumiał, o czym mówimy. Jest tak nakręcony, że ledwie panuje nad sobą. Przyglądam się Gankanagom, którzy obserwują go uważnie. Wydają się równie podekscytowani. Poznają to po tym, jak śledzą każdy jego ruch. Jakby był rzadkim przysmakiem, którego będą mieli okazję skosztować. Uświadamiam sobie, że nie jestem tu jedyną istotą, która ulega złudzeniom. Ale do Alfreda to nie dociera. Gada jak najęty, nie potrafi się zamknąć. Ma nieodpartą potrzebę chełpienia się jak przy naszym ostatnim starciu.

– Czekałem na ten moment, Evie, żeby powiedzieć ci coś naprawdę ważnego – mówi i z uśmiechem patrzy mi w oczy. Chodząc wte i wewte przed nami, radośnie zaciera ręce. – Chciałbym, żebyś nie robiła sobie żadnych wyrzutów, kiedy zaakceptujesz swoją przemianę. To coś w rodzaju mojego prezentu dla was obojga, dla ciebie i Brennusa. Z życzeniami szczęścia na nową drogę – ciągnie w swoim denerwującym, prostackim stylu.

Nie rozumiem, jak mogłam kiedykolwiek wierzyć, że jest w nim choć odrobina dobra.

– Umieram z ciekawości, mów śmiało – rzucam schrypniętym głosem, kiedy chwytam kolejny paroksyzm bólu, tak silny, że aż się cała trzęsę, jakby chlusnęli na mnie kubłem lodowatej wody.

– O co chodzi? – pyta niecierpliwie Brennus. Przykłada mi dłoń do czoła, próbuje przynieść ulgę. Rozgląda się po sali za Finnem.

– Reed już po ciebie nie przyjdzie, Evie. Zadbalem o to – chwali się Alfred i czeka na moją reakcję.

Zęby mi szcękają z bólu, ale patrzę na niego hardo.

– Co takiego?

– Dałem znać Dominion, gdzie przebywa ich zdrajca i jego kumpel... jak mu tam było? A, Zefir, prawda? Obaj zostali aresztowani – oznajmia, a ja czuję, że się duszę. – Naprawdę nieźle ich wystawiłaś. Przysięgam, że sam nie uknułbym tego lepiej... – Urywa, szczerzy do mnie zęby. – Nawet nie wyjechali z Crestwood. Pewnie mieli nadzieję, że do nich wrócisz.

– Kłamiesz! – szepczę, ale wiem, że nie.

Wiem, że mówi prawdę, i pierś przeszywa mi ból bardziej dotkliwy niż jakiegokolwiek udręki, które mogliby mi zadać Gankanagowie. Mam wrażenie, że coś we mnie umiera. Zdradziłam ich.

Już nie słyszę, co mówi Alfred. Dalej coś gada, ale to do mnie nie dociera. Mam gonitwę myśli... Czy oni zginęli? Czy Dominion skaze ich na śmierć?

– Kiedy to się stało? – przerywam mu. Chcę wiedzieć, kiedy zostali ujęci.

– Miesiąc temu – odpowiada.

Miesiąc... cały miesiąc! Postawiono ich przed sądem? Byli przesłuchiwani? Przecież nawet nie wiedzieli, gdzie jestem. Czy Boskie anioły im uwierzyły, czy też torturowano ich, żeby wydobyć z nich informację, której nie byli w stanie udzielić? – zastanawiam się,

obejmuję Brennusa i przyciągam go mocno do siebie, żeby nie stracić kontaktu z rzeczywistością. Rozedrgana staram się zachować dość przytomności, żeby wydobyć z Alfreda coś więcej.

– Żyją? – pytam

– Nie ma szans... Dominium im nie odpuści... – mówi, ale już go nie słucham, bo orientuję się, że nie wie na pewno.

Nie wie, czy żyją, czy nie. Jest więc możliwość, że żyją. Jeszcze mogą ich uratować. Tylko jak? Brennus mówi, że jedyny sposób, bym się stąd wydostała, to zostać Gankanagiem. A jeśli mu pozwolę się przemienić w jedną z nich? Wtedy mnie puści. Będę mogła iść, dokąd zechcę. Mogę uciec od Brennusa i znaleźć Dominium. Jeśli pokażę się Boskim, zobaczą, że nie jestem Nefilimem. Niech mnie nawet zabiją, byle uwolnili Reeda i Zefira. Udam, że ich prawie nie znam. Szczegóły obmyślę później. Na razie muszę się stąd wydostać i dotrzeć do Dominium.

Unoszę głowę z piersi Brennusa i rozglądam się po sali. Alfred dalej coś trąkocze, ale nie zwracam na to uwagi, to jak szum w tle.

– Czego szukasz, *mo chroi*? – szepcze mi do ucha Brennus, gładząc mnie palcami po policzku.

– Gdzie Finn? Musi cię naciąć, żebyś mogła stać się Gankanagiem – odpowiadam bardzo cicho. – Ale obiecaj mi jedno – dodaję, kiedy dostrzegam Finna, który się do nas zbliża.

– Wszystko, co tylko chcesz – zapewnia, a jego oczy błyszczą jak jeszcze nigdy dotąd.

– Alfred nie ma prawa opuścić tej jaskini żywy – mruczę, przesuwając drżącym palcem po jego ustach.

– Obiecuję.

Przyciskam rozpalone usta do jego zimnych warg.

– Dziękuję – mówię i kończę pocałunek.

Muszę z powrotem położyć głowę na jego ramieniu, bo nie mogę zrobić teraz nic innego. Jestem tak osłabiona z bólu, że trudno mi się na czymkolwiek skoncentrować.

Finn ma ponurą minę, kiedy podchodzi do stołu. Nachyla się i mamrocze coś do Brennusa, ten natychmiast podrywa się ze mną na rękach i odwraca do schodów prowadzących w dół. Patrzę na Finna zaskoczona. A potem słyszę głęboki, niski pomruk i głos, z którym już niemal pożegnałam się na zawsze. Łzy rozpaczy napływają mi do oczu, bo przecież miał uciec! Nie powinien nigdy znaleźć się w tym miejscu. Miał przeżyć!

– A ty dokąd się wybierasz z moją dziewczyną? – woła Russell z drugiego końca sali.

Rozdział 14

EKSPLOZJA

Brennus odwraca się do Finna i gniewnie marszczy brwi, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Widywałam go rozszoszczonego, zwykle czymś, co powiedziałam, ale teraz jest inaczej, to prawdziwa wściekłość. Chcę unieść głowę, żeby zorientować się w sytuacji, ale skurcz w brzuchu nie pozwala mi się ruszyć, byle drgnienie powoduje niewiarygodny ból. Pozostaję więc zwinięta w kłębek w ramionach Brennusa, który z powrotem siada u szczytu stołu. Udaje mi się tylko odrobinę obrócić na jego kolanach, żeby patrzeć naprzód, tam gdzie wszyscy. Widok wchodzącego do sali Russella po prostu zapiera dech w piersi.

Jego brązowe włosy lśnią w świetle płomieni, kiedy do nas idzie. Potężna sylwetka wydaje się mniejsza przy jaskrawoszkarałatnych ogromnych skrzydłach, które rozpościerają się za nim jak za aniołem zemsty. Mars na jego czole sugeruje, że brutalność stała się teraz nieodłączną cechą jego charakteru. Jest jak anioł Mocy polujący na demona. Zamieram. To już nie ten sam Russell, którego poznałam w Crestwood, spacerując nad jeziorem. Nie, teraz to dużo więcej niż człowiek. Niebezpieczny, potężny zabójca. Serafin.

Gankanagowie stoją szeregiem po obu jego stronach. Przerazający, wrodzy, ale śmiało ich mija. Nie okazuje im szacunku poprzez kontakt wzrokowy, co nie jest zbyt rozsądne, kiedy ma się do czynienia z groźnymi drapieżnymi łowcami. Russell kieruje się na wprost, wpatrzony w moje oczy. Poznają, że w środku wszystko się w nim gotuje. Złotawe włoski na jego rękach się zjeżyły. Nozdrza rozszerzone, oddech szybszy, podobnie jak bicie serca. A skrzydła są rozpostarte szeroko, jakby miał do nas podlecieć. Wiem, że jeszcze tego nie potrafi, więc musi się to dziać bezwiednie pod wpływem emocji. Ale to ja umiem odczytać te sygnały, bo dobrze je znam. Nie jestem pewna, czy Gankanagowie potrafią je wychwycić, bo ogólnie Russell wygląda na dość pewnego siebie, jak na kogoś, kto właśnie wchodzi do matecznika żywych trupów i znajduje się w obecności kilkunastu takich potworów.

Choć pojawił się tu sam, ma wszystko dokładnie zaplanowane. Od razu widzę, co zamierza, i jestem przerażona. To najgorsza taktyka w świecie! Idiotyzm! Łzy napływają mi do oczu, bo nie mogę uwierzyć, że poważył się na coś takiego. Przecież tyle razy mówiliśmy o tym, że za wszelką cenę musi przeżyć i jak bardzo to dla mnie ważne.

Russell ma na sobie dzinsy, które mu wybrałam w jednym ze sklepów w mieście. Żadne tam markowe, ale to nie ma znaczenia, bo na Russellu wszystko wygląda dobrze. Uznał, że lepiej nie wkładać koszuli, bo spodziewał się, że podczas tej misji wyskoczą skrzydła i tak będzie mu łatwiej. To nie znaczy, że nie ma na sobie nic powyżej pasa. Tyle że to nie jest ubranie. Na dwóch wojskowych pasach skrzyżowanych na piersi widzę co najmniej kilkanaście granatów. W ręku trzyma jeden bez zawlecзки. Palcem dotyka lekko dzwigni zabezpieczającej zapalnik.

– Zły plan, Russell – szepczę do niego, kiedy podchodzi bliżej.

Musiał poczuć tutejszy zapaszek, bo wolną ręką zaczyna lekko pocierać nos. Żal mi go, bo pamiętam, jak mi tu śmierdziało, kiedy odzyskałam przytomność po porwaniu.

– Nie, Ruda, to świetny plan, zobaczysz, bo dusze obojga nas wydostaną się stąd, tak czy inaczej – mówi pewnie. Jego czekoladowobrązowe oczy przypatrują mi się uważnie. –

Minęliśmy się w bibliotece. Przepraszam, przyszedłem za późno, żeby cię uratować – mówi schrypnięty i patrzy mi w oczy.

Po jego spojrzeniu widzę, jak bardzo musiał się bać i martwić, od kiedy zostałam porwana. Po chwili jego oczy odrywają się od moich, kiedy znów lustruje mnie całą, aż wreszcie zatrzymuje wzrok na mojej szyi. Jego twarz się nachmurza. Patrzy surowo na Brennusa i coraz bardziej marszczy brwi, widząc, jak ten trzyma mnie w ramionach.

– Ugryzłeś ją! Ty plugawy wampirze! – rzuca ze złością, zatrzymując się tuż przed nami.

Brennus sztywnieje, pewnie dlatego, że Russell nazwał go wampirem, bo epitet raczej mało go obchodzi.

– A tak. Niedługo stanie się Gankanagiem, ale że najwyraźniej ma do ciebie słabość, jako do swojej bratniej duszy, pozwolę ci teraz swobodnie odejść. Damy ci fory, Serafinie, a potem zobaczymy, czy cię wytropi. Byłbyś dobry na pierwszą ofiarę. – Bawi się kosmykami moich włosów.

Zawirowało mi w głowie na myśl o polowaniu na Russella. Czy razem z duszą stracę resztki serca? Czy mój przyjaciel stanie się dla mnie jedynie łakomą zdobyczą?

Russell robi sceptyczną minę. Kręci głową.

– Kłamiesz. Musiałaby napić się twojej krwi, żeby stać się wampirem. Dalej wyczuwam w niej duszę, więc najwyraźniej tego nie zrobiła.

Brennus przyciska mnie mocniej do siebie, jakby chciał mnie przytrzymać.

Wpatruję się w Russella, bo nie potrafię odgadnąć, skąd ma taką pewność, ale najwyraźniej dowiedział się, czego trzeba.

– Jeśli ci na niej zależy, a widzę, że tak jest, pozwolisz, żeby moją kwią ugasiła ten palący ją ból. Nie możesz zatrzymać tego, co się z nią dzieje. Umrze, jak się nie napije – ostrzega Brennus, gładząc dłonią mój policzek.

– I tego właśnie w was nie znoszę, śmierzące diabły. Kłamiecie, zawsze kłamiecie, póki się was porządnie nie przyciśnie. Dopiero wtedy mówicie prawdę. – Russell znów kręci głową. – Ale chyba poczekam, aż moja dziewczyna będzie bezpieczna, i wtedy dopiero się za ciebie zabiorę... chyba że zdecydujesz, że mamy umrzeć już teraz wszyscy razem. Jeśli tak, to tylko przejdę z nią do innego życia. Niespecjalnie martwi mnie śmierć, bo Evie pójdzie ze mną i przynajmniej już nigdy nie będziemy musieli cię oglądać ani wachać twojego smrodu – oświadcza Russell, marszcząc nos i pocierając go dłonią.

– Skąd masz te wszystkie informacje? – pyta spokojnie Brennus, ale potem mocno zaciska zęby, więc od razu widać, że wściekłość po prostu go rozsadza.

– Od Zoltana i Crisco – rzuca lekko Russell, jakby to już go nudziło.

Na te słowa Lonan i Cavan nachylają się do niego złowrogo. Gdyby Brennus nie nakazał im szybko czegoś w ich języku, jestem pewna, że rzuciliby się na Russella, nie zważając na granat. Myślę, że nie spodobało im się, jak przekręca imiona Driscolla i Ultana. Oni byli członkami ich klanu. To wojownicy, brak poszanowania dla ich poległych to naprawdę zły pomysł, ale Russella najwyraźniej nic to nie obchodzi.

Brennus w pełni panuje nad swoimi ludźmi, bo cokolwiek powiedział, najwyraźniej odnosi skutek. Ale potem Lonan mówi do niego coś, czego znów nie rozumiem. Russell też się temu przysłuchuje. Brennus odpowiada, a Russell tężeje i ogląda się na Lonana.

– Możecie sobie próbować wyrwać mi granat i zabezpieczyć go, zanim wybuchnie, ale nie ryzykowałbym tego, gdybym nie miał duszy, Lonan – mówi. Wszyscy robią wielkie oczy. – Co, nie wiedzieliście, że znam gaelicki? No tak, właściwie zorientowałem się już, że uważacie się za jedynych, którzy znają ten język. Zoltan i Crisco snuli plany ucieczki, siedząc tuż obok mnie. To naprawdę było zabawne, szkoda, że tego nie widziałas. – Patrzy mi w oczy i uśmiecha się do mnie. Odpowiedziałabym uśmiechem, gdybym tak bardzo nie cierpiała. Ależ z niego dzielny, głupi, odważny przemądrzalec. – No, ale dość już tego. Czas, żebym zabrał swoją dziewczynę do domu. Musi wziąć prysznic, żeby zmyć z siebie ten smród. Chodź, Ruda, zwijamy się stąd – mówi Russell.

Staram się ruszyć, ale nie jestem w stanie rozprostować się na tyle, żeby wstać. Kończy się na tym, że jeszcze mocniej czepiam się Brennusa, kiedy chwyta mnie kolejny skurcz, tak silny, że jęczę z bólu.

– Wygląda na to, że ona chce zostać, aniele – stwierdza Brennus, tuląc mnie do siebie i składając pocałunki zimnymi, miękkimi wargami na moim policzku.

– Ona tu nie zostanie! Mówiłem ci, świrze, że odejdziesz, tak czy inaczej – zapewnia Russell, ale widzę, że teraz jest naprawdę zaniepokojony.

– Zabiłbyś ją, gdyby zdecydowała się zostać Gankanagiem? – podpuszcza go szyderczo Brennus.

– Nie, uratuję ją, zanim zmienisz ją w żywego trupa, złego elfa – odpowiada Russell, rozmyślnie grając na zwłokę, a jego palec drga lekko na dźwigni zabezpieczającej zapalnik granatu.

Wie, kim są! Musiał wydobyc właściwe informacje od Ultana i Driscolla. Celowo nazywa ich wampirami, chce ich wyprowadzić z równowagi.

– W takim razie wcale się od siebie nie różnimy, ty i ja – mówi Brennus z zadumą.

Russell unosi brwi.

– Jak to, wampirze?

– Obaj jesteśmy gotowi ją zabić, żeby ją uratować – odpowiada Brennus, a Russell zamiera w bezruchu.

– Sądzisz, że ją kochasz? Przecież nawet nie masz pojęcia, kim ona jest, żeby się na to porywać – cedzi Russell z odrazą, jakby na samą myśl, że Brennus może mnie pragnąć, robiło mu się niedobrze.

– Tak myślisz? Posmakowałem jej. Jest ogniem i niebem, tak stara jak Ziemia i tak świeża jak archetyp. Jest jak najjaśniejsze światło i najciemniejsza noc. Jej krew zdradza jej sekrety, pragnienia. Ja wszystkie je spełnię i nie będę już kochał żadnej innej, tylko ją jedyną – mówi łagodnie Brennus. I to nie brzmi jak groźba, ale jak solenna obietnica.

– Nie chrzań, psycholu, ustaw się lepiej w kolejce, wszyscy jej chcą! Myślisz, że przyszedłem tu dla zabawy? Wiem, jaka jest. Nie musisz mi tłumaczyć. Ale teraz ją zabieram, a sami pogadamy później, jak mężczyzna z mężczyzną czy anioł z wampirem, obojętne – rzuca z desperacją Russell.

Widzę, że naprawdę przejął się tym, co przed chwilą usłyszał.

Brennus ani myśli się ruszyć i nie oddaje mnie.

– Zdradziłeś się, Draculo – dorzuca więc Russell. – Wiem, że ją kochasz, nie pozwolisz, żebym wysadził nas wszystkich w powietrze, bo nie dostałbyś z nią drugiej szansy, tak jak ja. Może następnym razem powinniśmy zagrać o nią w pokera? Puszczę was z dymem, dość tej gry – kończy.

– Ona nie da rady chodzić. Musisz podejść i ją sobie wziąć – oznajmia cicho Brennus. – Ugryzłem ją i teraz to powoduje ogromny ból.

Russell patrzy na niego z gniewem.

– Rzeczywiście bardzo ją kochasz, ty pokręcony potworze – mamrocze pod nosem, podchodząc wolno.

– Jak chcesz, żeby mniej cierpiała, daj jej się napić krwi, od razu poczuje się lepiej. – Brennus wstaje ze mną na rękę, ale wyraźnie tężeje, kiedy tamten po mnie sięga.

Przyciska mnie mocno do piersi i składa delikatny pocałunek na moim czole. Jego usta są zimne, więc to nawet przyjemne, bo mam wrażenie, że płonę. Jad w mojej krwi wywołał taką gorączkę, jakbym wpadła w pułapkę ogni piekielnych, z których nie ma ucieczki.

– Przyjdę po ciebie... jesteś moja, *mo chroi*.

Instynktownie lgnę do niego, bo chłód dotyku przynosi ulgę, a Russell jest ciepły. Brennus mówi coś do mnie pieszczotliwie po gaelicku, delikatnie zdejmuje moją rękę ze swojej szyi i podaje mnie Russellowi, starając się nie potrącić granatu, który ten nadal trzyma w dłoni. Russell ostrożnie przejmuje mnie od niego i czuję, jak jego ciało trochę się rozluźnia, kiedy opieram głowę na jego piersi. Ale zanim może się cofnąć, Brennus wyciąga dłoń i dotyka jego twarzy, przebiegając swoimi silnymi, bladymi palcami po ogorzałej od słońca skórze. Russell zamiera w bezruchu, odrywa wzrok ode mnie i unosi go na Brennusa.

– Daj mi ten granat – rozkazuje Brennus, zagładając mu w oczy.

Ręka Russella drży. Serce mi zamiera. Wstrzymuję oddech, bo jeśli dotyk Gankanagów działa na mojego przyjaciela, to już jest martwy, zabiją go, kiedy tylko zabiorą mu granat. Żołądek mi się skręca, ale nie wiem, czy to od trucizny we krwi, czy ze strachu, że Russell posłucha Brennusa.

– Dotknij mnie jeszcze raz i będziesz musiał zeżreć ten granat. Nie jesteś w moim typie – warczy Russell, krzywiąc z obrzydzeniem górną wargę. Powoli zaczyna się wycofywać. – To jakiś zbok czy co? – rzuca do mnie, kiedy przyspiesza kroku.

– Zamierzasz dać mu tak z nią odejść? – odzywa się Alfred z końca sali, gdzie ukrywał się przed Russellem.

Nie może uwierzyć w obrót wypadków. Trudno mu ścierpieć, że raz jeszcze ktoś sprzątnął mu mnie sprzed nosa. Aż się trzęsie z wściekłości.

– Odzyskam ją, aniołku – mówi Brennus tak pewnie, jakby ani trochę w to nie wątpił, i rusza jak cień za Russellem i za mną aż do połowy komnaty. Tam przystaje i patrzy, jak się oddalamy. Oświetlony ogniem płonącym obok w kominku, zaciska pięści. Tańczące płomienie rzucają hipnotyzujący poblask na rysy jego twarzy.

Alfreda po prostu trafia szlag. Skacze i przeklina nieudolność Gankanagów podczas całej tej akcji. Nie zważając na niego, Russell niesie mnie dalej. Jest w pełni skupiony na jednym, żebyśmy jak najszybciej wydostali się z tych czeluści. Obejmuję go za szyję, kiedy wreszcie obraca się plecami do wroga. Zza jego ramienia widzę Brennusa i innych. Muszę oprzeć brodę na jego ramieniu, bo nie daję rady utrzymać głowy. Russell pędzi do wyjścia, ale Brennus nie rusza za nami, tylko woła:

– *Mo chroi...* to mój prezent dla ciebie na do widzenia. – Ze ściśniętym sercem słyszę, jak wydaje rozkaz: – Zabijcie go.

W jednej chwili Gankanagowie rzucają się na Alfreda niczym sfora psów na osaczonego lisa. Rozdzierają go na strzępy, a jego krzyki odbijają się echem po ścianach jaskini. Szaleńcza jatka wyostza mi zmysły, zapach krwi Alfreda sprawia, że cieknie mi ślina. Wpijam paznokcie w plecy Russella, z całych sił staram się opanować mroczny zew, który nakazuje mi, żebym przyłączyła się do uctowania z rodziną, którą chcę porzucić.

Kiedy Gankanagowie zajadają się Alfredem, mój wzrok wędruje ku Brennusowi. Obserwuje, jak odchodzimy. W jego oczach widzę tęsknotę i niezaspokojone pragnienie. Nie potrafię powstrzymać powolnego uśmiechu, który zakrada się na moje wargi, kiedy na niego patrzę. Dotykam ich lekko, a potem dmucham na palce, żeby posłać pocałunek w podziękowaniu za to, co kazał zrobić z Alfredem. Spogląda na mnie z dzikim pożądaniem.

Docieramy z Russellem do ściany, na którą trzeba się wspiąć, żeby wydostać się z kopalni.

– Musisz mi pomóc, Ruda – szepcze. – Dasz radę mocno złapać się mojej szyi i potrzymać granat, kiedy będę cię niósł na górę?

Wyraźnie się martwi.

– Nie wiem... strasznie boli... – Z trudem łapię oddech i z całych sił staram się oprzytomnieć, żeby zrobić, o co prosi, ale boję się, czy nie ulegnę mrocznej, lęgnącej się we mnie pokusie, kiedy wezmę od niego granat.

– Nie mogę cię tu przecież zostawić. Spróbuj, proszę. Jeśli się nie uda, do zobaczenia w następnym życiu... Pamiętaj, kocham cię, Ruda... Boże, jak ja cię kocham – mówi, ściskając mnie mocno w ramionach i wtulając twarz w moją szyję. – Przepraszam, że nie zdołałem przyjść po ciebie wcześniej – szepcze mi do ucha.

On też cierpi. Może tak samo dotkliwie jak ja.

– Ja też cię kocham, Russell. Daj mi ten granat. Nie upuszczę go. Przysięgam – cedzę przez zaciśnięte zęby, zmagając się z bólem.

Podaje mi tę małą bombę i czeka chwilę, by się upewnić, czy trzymam ją, jak należy, i czy dość mocno uchwyciłam się jego szyi, po czym zaczyna się wspinać.

Kiedy jesteśmy na górze, przysiada i wyciąga mnie na powierzchnię. Zdejmuje pasy, które miał przypięte na piersi i wrzuca je do szybu. A potem sięga po granat, który mam w ręku.

– Nie! – protestuję zaciekle i zaciskam bombę w dłoni, żeby nie mógł mi jej wyrwać i wrzucić na dół.

Russell jest zdumiony. Jego dłoń obejmuje moją, gdy tak uparcie trzymam granat. Zagląda mi w oczy. Musiał dostrzec w nich coś przerażającego, bo przebiega go dreszcz i reaguje równie gwałtownie.

– Masz jeszcze we krwi ten jad Gankanagów. Przecież wiem, że tak naprawdę nie chciałybyś pozwolić ujść z życiem tym podstępny bestiom. Po tym, co ci zrobiły i jak skrzywdziły tych wszystkich ludzi, którzy tam zeszli. Przepadli na zawsze.

Wykorzystuje szok, jaki wywołały jego słowa, i odbiera mi granat. W jednej chwili wpuszcza go do szybu. Nie waha się, ale używa całej swojej anielskiej prędkości, żeby porwać mnie z ziemi, i gna jak najdalej od tej kopalni miedzi, w ciemność pod zachmurzonym nocnym niebem. Ziemią pod nami wstrząsają wybuchy, gdy proch eksploduje, powodując detonacje pozostałych granatów wrzuconych wcześniej na dół. Nad jamą wzbijają się kłęby dymu, niosą ze sobą odłamki i kamienie. Mijamy kilka ciał zabitych Gankanagów. Wśród nich rozpoznaję wartowników, którzy złapali mnie podczas próby ucieczki.

Russell biegnie dalej przez wzgórza i w dół ku dolinom. Przedzieramy się przez gęste lasy klonowe i dębowe. Ich obraz miga mi przed oczami. Daję się nieść, a moja głowa opiera się na piersi Russella. Kiedy docieramy do polany, dostrzegam srebrny kształt, tak dobrze mi znajomy jak sylwetka kochanka. To samochód Reeda. Audi R-8. Nie potrafię zrozumieć, jakim cudem Russell prowadzi auto Reeda... chyba że... Reed nie żyje i nie potrzebuje już samochodu.

Zanim mogę zadać Russellowi jakiegokolwiek pytanie, wsadza mnie na przednie siedzenie od strony pasażera i zatrzaskuje drzwi. Sam wskakuje za kierownicę, włącza silnik i wciska gaz.

– Skąd ty...? – zaczynam niepewnie, ale głos więźnie mi w gardle, bo oszłamia mnie zapach we wnętrzu ze skórzaną tapicerką.

Bardzo przypomina mi Reeda. To tak cudowne wrażenie, że aż serce mi się ściska. Obracam twarz do oparcia, żeby znaleźć się bliżej zapachu kogoś, kogo kochałam najbardziej w świecie. Zmysłowe doznanie jest obezwładniające, a jednocześnie wiję się z bólu, bo tak strasznie chciałabym wczłogać się z powrotem do jaskini, która zostaje za nami, i poddać się wreszcie palącemu pragnieniu krwi tego, który właśnie wyznał mi wieczną miłość i wierność.

Wtulam się w fotel, kiedy Russell stara się zapanować nad autem, które zarzuca i wpada w poślizg na żwirowej starej drodze, którą pędzimy coraz dalej od kopalni miedzi i od rodziny, która na pewno zrobi wszystko, żeby mnie odzyskać.

– Cholera, wiedziałem, że z tej piekielnej dziury muszą być jeszcze inne wyjścia – mruczy Russell pod nosem, kiedy dostrzega jakieś nieoświetlone auta za nami. Po czole spływają mu krople potu. Wrzuca szybszy bieg i wciska gaz do dechy, kiedy tylko z piskiem opon wjeżdżamy na asfalt. – Myślałem, że unieszkodliwiłem wszystkie ich auta, nim wszedłem do środka, ale najwyraźniej kilka przeoczyłem. Ta ich kryjówka przypomina mrowisko z całą masą podziemnych tuneli – mówi Russell i przebiega go dreszcz, jakby dostawał gęsiej skórki na samą myśl o Gankanagach. – Raczej nas nie dogonią tymi SUV-ami, Ruda. Ten wóz naprawdę ma kopa – zapewnia.

Na asfaltowej drodze auta Gankanagów szybko zostają w tyle za zwinnym audi.

W głowie kłębi mi się mnóstwo pytań, ale nie jestem w stanie żadnego z nich zadać. Zwinięta w kłębek ciężko dyszę. Wysoka gorączka wywołuje straszliwe halucynacje. Russell coś do mnie mówi, ale brzmi to jak na starym filmie wideo w czasach, kiedy byłam malutka. Miałam taki ulubiony, z księżniczką. Lubiłam go sobie często puszczać, aż pewnego razu taśma wkręciła się do magnetowidu, przez co głos księżniczki stał się niski, przerażający, jakby opętał ją diabeł, podobnie jak wszystkich jej bajkowych przyjaciół.

Próbuję racjonalizować sobie jakoś to, co się ze mną dzieje. Przecież to trochę tak, jakby ukąsił mnie grzechotnik. Ale patrzę na Russella i widzę, że jego twarz się wykrzywia i nabiera dziwnych kształtów. Przywieram do drzwi auta, byle dalej od niego, na ile to tylko możliwe w tak ograniczonej przestrzeni. Odwracam się do okna, ale zaraz odskakuję od niego przerażona. Zza szyby atakują nas kruki o ostrych szponach. Biją czarnymi skrzydłami w szkło i skrzeczą: „Nigdy już”.

Obraz widziany przez półprzymknięte powieki co chwilę mi się zaciera, a ja robię, co w mojej mocy, żeby zachować przytomność. Całą wieczność pędzimy w kółko po wnętrzu papierowego kubka, aż wreszcie spadamy na dno. Nadlatuje Lynnette z Autumn na kserokopiarce z biblioteki. Zaglądają do szczeliny na opłatę, żeby zobaczyć, czy znajdują tam jakieś drobne. Szczą do mnie zęby zza szyby. Dzwoni telefon Lynnette. Próbuje mi go podać przez okno. Nie chcę odebrać, ale dzwonek ciągle brzęczy. Wyjmuję komórkę z jej dłoni. Przykładam do ucha. Słyszę głos Keegana, który zaczyna dokładnie opisywać, jak będzie rozdierał mnie na strzępy, kiedy wydostanie się z piekła. Ciskam telefon przez okno i czuję, jak zza opuszczonej szyby do auta wdziera się ciężkie powietrze przesycone zapachem wody. Musimy być gdzieś nad morzem... albo nad rzeką.

Kakofonia narasta. Fale wibracji uderzają mnie w pierś, a sosny migają obok, zamazując się w cieniu. Opieram głowę o fotel i patrzę za okno. Widzę Cherubiny. Ścigają się z autem, uśmiechają do mnie. Jeden ma złote włosy – powiewają za nim w tym pędzie. Jego jasnyniebieskie skrzydła mocno biją powietrze, a lwie rysy, które porażają mnie swoją urodą, przekazują wiadomość. Nie całkiem ją rozumiem... Coś o Brennusie i karze... Jego pech, że zapalał do mnie miłością tak wielką jak ta, którą – ku swojej zgubie – darzyły go inne kobiety.

Wychylam się, żeby spytać anioła, co ma na myśli, ale już go nie ma i wszystko zamiera w bezruchu. Uświadamiam sobie, że siedzę obok Russella. Jesteśmy na parkingu za małym sklepem spożywczym, w którym zwykle robiliśmy zakupy. To ten niedaleko naszego mieszkania w Houghton. Russell parkuje auto, a ja bardzo staram się słuchać tego, co mówi. Jego twarz jednak zniekształca się, jakby była z wosku, trudno mi się skupić na słowach. Wyciąga dłoń, chce delikatnie wziąć mnie za rękę, a ja prawie krzyczę, bo najlżejszy dotyk wywołuje przeszywający ból.

Russell wyskakuje z samochodu i zatrzaskuje drzwi. Podchodzi pod tylne wejście sklepu i wypycha żaluzje tak lekko, jakby były z papieru, nie ze stali.

Mijają pełne udręki minuty. Czekam, aż Russell wróci. Kiedy rzucam okiem na pusty fotel kierowcy, drzwi powoli się otwierają i do środka wślizguje się jakaś postać. To Brennus. Z piskiem cofam się od niego. Klamka wpija mi się w plecy, kiedy bezradnie rozglądam się za drogą ucieczki. Brennus patrzy na mnie z politowaniem, a jego zęby robią „klik”. Teraz może nakłuć swoją skórę. Na widok krwi sączącej się z głębokich ran na jego nadgarstku zaczyna mi się kręcić w głowie. Drżącą dłonią przyciągam jego rękę do ust i kosztuję zimnej, gęstej krwi, która natychmiast gasi ogień w moim gardle.

Nie panuję już nad sobą, łączywie wysysam i pochłaniam słonawy płyn o metalicznym posmaku. Ale w miarę jak wypijam go coraz więcej, coś zaczyna do mnie docierać. Głos, który mówi, nie brzmi jak ten Brennusa. Akcent z południowym zaśpiewem przypomina sposób mówienia Russella, kiedy chce mnie o czymś przekonać albo uspokoić, żebym przestała się martwić.

Trwa to jeszcze jakiś czas, zanim orientuję się, że w aucie siedzi ze mną Russell, a nie Brennus. Jego silne palce przytrzymują rurkę, przez którą niezdarnie ssę jakiś płyn z dużego przezroczystego pojemnika, takiego, w jakim kupuje się sałatkę na wagę.

– Tak, grzeczna dziewczynka. Będzie dobrze... Przyniosłem ci... Napij się tej krwi z sarny i jedziemy. Jeszcze trochę, Ruda, wyobraź sobie, że to jakiś koktajl albo coś w tym rodzaju. – Kiedy słyshać siorbanie i charakterystyczne bulgotanie w słonce, zabiera mi pojemnik. – Potrzebujesz więcej?

– Ja... – Znów chwytam mnie ból, choć mniej intensywny niż przed chwilą. Russell podnosi drugi pojemnik z podłogi auta, zdejmuje pokrywkę, wtyka do niego słomkę, którą podaje mi do ust. Tę drugą porcję wypijam równie szybko jak pierwszą.

– Jeszcze? – pyta, kiedy kończę. Niechętnie kiwam głową, a on sięga po kolejną porcję. – Możesz sama go sobie trzymać? Wtedy ja już będę prowadził. – Rozgląda się po parkingu, jakby wypatrywał zagrożeń. – Wolałbym stąd odjechać, bo w środku mógł być alarm, poza tym... – urywa, ale rozumiem, że tu nie jest bezpiecznie.

Chwytam plastikowy pojemnik trzęsącymi się dłońmi i nieudolnie staram się wziąć słomkę do ust.

– Dobra, nie przejmuj się. – Wyjmuje mi z rąk pojemnik i znów przytrzymuje go dla mnie.

Piję tak szybko, jak tylko się da, a kiedy kończę, Russell pyta, czy już dość. Nadal czuję ból, ale przeważa strach. Chcę, żebyśmy znaleźli się daleko od naszego dawnego miejsca zamieszkania.

– Jedź... – chrypię. Mam zbyt ściśnięte gardło, żeby powiedzieć więcej.

Ale Russellowi nie muszę dwa razy powtarzać. Wyrzuca puste pojemniki przez okno i wycofuje się spod zaplecza sklepu tak cicho, jak to możliwe. Jedzie ciemnymi, bocznymi uliczkami przez miasto, przestrzegając ograniczeń prędkości i włączając światła, żebyśmy wyglądali na modelowych normalnych ludzi, którzy zwyczajnie po ludzku dokądś się wybierają.

Co kilka sekund na mnie zerka, chyba chce upewnić się, że naprawdę jestem tu z nim w tym aucie, i sprawdza, jak się czuję. Kiedy dostaje dygotek, zaczyna chaotycznie mówić. Myślę, że bardzo stara się nie wpaść w szok. Zagłębia się w mało ważne szczegóły, ale wiem, o co chodzi. Chce skupić się na czymś innym niż potworność ostatnich doświadczeń.

– Angie, wiesz, żona tego trenera, Blake’a, mówiła mi, jak robi kaszankę. To jedna z tutejszych osobliwych specjalności. Pamiętasz, jak poszedłem do nich na śniadanie parę tygodni temu? – pyta, a ja kiwam głową. – No, wtedy nam to podała. Paskudne, ale zjadłem, bo nie chciałem jej urazić.

Znów kiwam głową bez słowa, bo to cały on. Gotów zjeść coś, czego nie znosi, byle tylko nie zrobić komuś przykrości.

– Czarny kolor, trochę przypalona, z odrobiną sosnowego aromatu. Myślała, że mi smakuje, więc zaczęła mi tłumaczyć, jak to się przyrządza. Powiedziała, że muszę podejść do działu mięsnego i poprosić o kwartę sarniej krwi do zmieszania z mięsem. Nie miałem pojęcia, że w tym tygodniu tak bardzo przyda mi się ta informacja – mruczy, ciężko wzdychając. – W ostatnich dniach robiłem wiele rzeczy, o które się nie podejrzewałem... – dodaje w odrętwieniu. – Wiesz, czemu tu teraz jesteśmy? – zadaje retoryczne pytanie. Powoli kręcę głową. – To przez te cholerne drzwi. Gdybyśmy wybrali jakiegokolwiek inne mieszkanie w Houghton, już bym nie żył, a ty... no, na pewno byś tu nie siedziała... – Na chwilę milknie. – Wysłali po mnie dwóch swoich. Wyczułem ich smród, jak tylko stanęli za progiem. I to zimno. Pamiętasz, że kiedy otwiera się drzwi, trzeba się cofnąć niżej, jeśli nie chce się nimi oberwać i zlecieć na dół? – pyta, mówiąc coraz szybciej, w miarę jak coraz prędzej bije mu serce, a w żyłach na wspomnienie tamtych chwil zaczyna krążyć adrenalina. – Właśnie smażyłem sobie jajecznicę, kiedy usłyszałem, jak podkradają się po schodach. Trzymałem w rękach patelnię, kiedy dotarli na górę. Gwałtownie otworzyłem drzwi. Zmiotło ich z podestu i sturlali się aż na sam dół. Skoczyłem za nimi i natłukłem ich patelnią po głowach.

Jego dłoń drży, kiedy podnosi ją do szyi i bezwiednie pociera skórę, patrząc uważnie na drogę przed nami i co jakiś czas rzucając okiem w lusterko wsteczne.

– Zbiłem ich do nieprzytomności. Potem musiałem zawlec ich z powrotem na górę, do mieszkania, i związałem. Spakowałem trochę rzeczy, wziąłem pieniądze i zaniósłem do auta. Pognałem do biblioteki po ciebie. Chciałem ci powiedzieć, że musimy uciekać. A tam kłębili

się tłum. Nigdzie nie mogłem cię znaleźć. Znikłaś. Wbiegłem do środka. Zobaczyłem salę konferencyjną na głównym piętrze. Zorientowałem się, że ktoś rzucił w okno krzesłem i rozbił szybę. Miałem nadzieję... że może zdołałaś uciec, jeśli ktoś cię gonił, a potem przeraziłem się, bo pomyślałem, że możesz zajrzeć do domu, a ja tam zostawiłem tych drani. Wróciłem więc do mieszkania, ale się nie pojawiłaś... – mówi w przygnębieniu. – Zabili panią Strauss, nawet jej kota. Nie wiem, czemu jego też musieli uśmiercić. Może syczał na nich albo co? Nie wiem. I wysączyli całą krew z biednej staruszki. Ciało zostawili w tym jej dużym zielonym fotelu – dodaje z żalem, ale po chwili wyraz jego twarzy się zmienia. Staje się zacięty. – No tak... – mamrocze ze złością. – W tym tygodniu robiłem rzeczy, które mi się nawet nie śniły. Myślałem, że zostało we mnie dużo człowieczeństwa, ale muszę ci powiedzieć, Ruda, że to złudzenie. Nie miałem litości dla Ultana czy Driscolla... nawet kiedy błagali... a błagali, Ruda... prosili na wszystko. Musiałem ich zabrać z mieszkania. Spaliłem je, żeby nikt nie znalazł nic, co by mogło do nas doprowadzić. Zawiozłem drani tam, gdzie ćwiczyliśmy, i popracowałem nad nimi. Powiedzieli mi wszystko. Jak ciebie przemienią... że Brennus pewnie trzyma cię już w celi i nie daje ci dość wody. Myślałem, że oszaleję, ale wydobyć z nich wiadomości zabrało mi aż cztery dni. Musiałem ich torturować, Ruda, czasami robiłem coś, po czym wychodziłem i tak rzygałem, jakbym miał wypluć całe wnętrzności. Ale nie mogłem pozwolić im umrzeć, dopóki mi wszystkiego nie powiedzieli.

Przez chwilę milczy, kiedy tak jedziemy wśród ciemnej nocy w kierunku Marquette. Nie potrafię spytać, dokąd zmierzamy. Nie mogę myśleć, choć ból powoli ustępuje. Nadal nie jestem w stanie sformułować zdania. Tylko siedzę i słucham jego opowieści. Drzę tak jak i on, niezdolna otrząsnąć się z szoku.

– Byłem pewien, że kupuję te granaty, żeby cię zabić, Ruda – dorzuca niemal szeptem i obraca się, żeby na mnie spojrzeć.

W jego oczach jest rozdzierające cierpienie, a moje zachodzą łzami na myśl, co przeszedł. Wyciągam rękę do jego dłoni. Jest ciepła, lekko spocona, a moja – lodowata i sucha. Czuję na niej uścisk jego palców.

– Musiałem wytropić te objazdowe targi broni palnej i białej, które zawędrowały do Iron Mountain. Znalazłem faceta, od którego kupiłem miecze, a jego kumpel skontaktował mnie z gościem zajmującym się wyposażeniem wojska. Powiedziałem, że potrzebuję granatów do kopalni, choć właściwie ich nic nie obchodzi... Wystarczy, że masz kasę. – Uśmiecha się ponuro. – Planowałem odnaleźć cię i wyzwolić nas oboje. Miałem nadzieję, że twoja dusza już jest gdzie indziej, ale nie miałem zamiaru pozostawić w tym podziemiu twojego cierpiącego ciała. Chciałem, żebyśmy oboje przeszli dalej. Liczyłem na to, że nawet gdyby Freddie dostał już twoją duszę, to będzie musiał ją uwolnić, kiedy moja bomba rozniesie go na kawałki.

– Samobójcza misja – mówię, a mój głos brzmi ciężko i chrapliwie.

– Tak, racja. Sądziłem, że podejmuję walkę skazany na porażkę – mówi. – Tymczasem okazało się, że mam asa w rękawie – dodaje z ironicznym uśmiechem. – To dziwadło cię kocha, Ruda – szepcze i znów jeżą mu się włoski na rękę. – Zabił dla ciebie Freddiego.

– Tak – chrypię. – Jestem jego ulubioną niewolnicą.

– Nie... mylisz się... To on jest twoim niewolnikiem, tylko jeszcze o tym nie wie – stwierdza Russell. – Oszaleje bez ciebie. Dla ciebie skoczyłby w ogień. Dlatego zrobi wszystko, żeby cię odzyskać... i nie wiem, czy sam dam radę go powstrzymać. Nie do wiary, że zdołaliśmy uciec tak daleko... Ich jest blisko dwudziestu...

– Wiem... znam ich wszystkich po imieniu – szepczę. – Jednego zabiłam... Keegan... Zamordowałam go – wyznaję i wiem, że robię się blada jak chusta.

– Jak to się stało?

Potrząsam głową.

– Kazali mi z nim walczyć, chcieli zobaczyć, czy trenowałam. Zranił mnie... chciał, żebym cierpiała i... powiedział, że jak cię dopadnie, to zabije – tłumaczę, a po policzku spływa mi łza. – Dali nam noże, podskoczyłam do niego od tyłu i podcięłam mu gardło... Nie krwawił tak, jak się tego spodziewałam... Krew nie bryznęła z szyi, ale ściekała strużkami po bokach... Prawie odcięłam mu głowę... Umarł.

– O, Boże, Ruda, zmusili cię, żebyś stanęła do walki z jednym z nich? – pyta z niedowierzaniem Russell.

Kiwam głową i widzę, jak zaciska usta i zaczyna oddychać szybciej.

– Naprawdę zamknął cię w celi... i pytał, czy chcesz wody? – Znów kiwam głową. – To jak to możliwe, że nadal masz duszę?

Wyraźnie nie potrafi tego pojąć.

– Zrozumiałam, że... to taka gra. Postanowiłam, że w nią nie wchodzę... – chrypię. W gardle kompletnie mi zaschło, szkoda, że nie mam odrobiny wody.

– Tak? Powiedziałaś mu, że nie podoba ci się ta zabawa, więc zbierasz swoje zabawki i idziesz do domu? – Kąciki ust mu lekko drgają.

Nie daję rady się uśmiechnąć, ale kiwam głową, bo można uznać, że właśnie tak się działo. Zabierałam swoją duszę i ruszałam... dokąd było to dla mnie możliwe. Chcę powiedzieć Russellowi o wujku Jimie. Jak pojawił się obok mnie i trzymał mnie za rękę, kiedy tak bardzo go potrzebowałam, ale nie jestem w stanie ubrać tego w słowa.

– A potem podłączyli kroplówkę... i znalazłam się tam z powrotem. – Unoszę rękę, wskazując miejsce wkłucia wenflonu, ale nie ma już tam ani śladu.

– Nie potrafił znieść myśli, że cię utraci – mówi Russell w zadumie i przygląda mi się badawczo. – Założę się, że to było wbrew ich zasadom. Według Driscolla decyzja musi być świadoma... Powiedział, że to zależy od ciebie, czy zechcesz umrzeć, czy stać się Gankanagiem. Ale Brennus odebrał ci prawo wyboru... Freddie musiał być bardzo przekonujący...

– Portret... Alfred dał mu mój portret. – Krew odpływa mi z twarzy.

Russell zna ten obraz. Kiedy wystawiono go w szkole, każdego dnia szedł na niego popatrzeć.

– Chodzi więc tylko o ciebie. Byłem tego pewien, kiedy dziś wieczorem zobaczyłem, jak siedzisz mu na kolanach. A stale pytałem Ultana, dlaczego padło właśnie na nas. Przecież nie jesteśmy elfami, co dla nich bardzo się liczy. Ultan powiedział, że w zasadzie nie braliby pod uwagę przemieniania kogoś, kto nie jest elfem – dodaje, patrząc mi prosto w oczy. – Twierdził, że na ogół dają spokój innym istotom, ludźmi jedynie się żywią. Mówił, że Brennus słyszał naszą historię i nie miał zamiaru zawracać sobie tym głowy, ale potem coś się stało i zmienił zdanie. Pewnie zobaczył twój portret. To przesądziło sprawę. Zdecydował, że musi cię mieć – domyśla się Russell z goryczą.

– Chyba... – zaczynam, ale muszę odchrząknąć, bo czuję się tak, jakbym miała piasek w gardle.

Russell dostrzega to i sięga do jednej z toreb na tylnym siedzeniu. Coś tam grzebie, drugą ręką nie puszczać kierownicy, i wreszcie udaje mu się wydobyć butelkę wody. Podaje mi, a ja biorę ją z wdzięcznością i wypijam połowę, zanim jestem w stanie dalej mówić.

– Sądzę, że na swój pokręcony sposób Brennus stara się mi pomóc – mruczę, na co Russell aż się krzywi.

– Niby jak przerobienie cię w żywego trupa, wrednego pasożyta, miałyby ci pomóc? – rzuca ze złością.

Nadal się trzęsie, ale w jakiś sposób gniew pozwala mu bardziej nad sobą panować.

– Gdybym nie miała duszy, Upadli już by się mną nie interesowali. Byłabym zła... Stalibyśmy po jednej stronie... Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem – mówię, biorąc kolejny łyk wody, kiedy on zastanawia się nad tym, co mu tłumaczę. – Brennus nie boi się Boskich aniołów. Jest pewien, że rodzina zdołałaby mnie ochronić, gdyby jakiś mnie ścigał... ale nie brał pod uwagę anioła, który by po mnie przybył, nie licząc na przeżycie. Takiego, który ma duszę i się nie boi, bo wołałby umrzeć, niż pozwolić mi się im poddać.

– Tak... on chce, żebyś została jego dziewczyną. *Mo chroi* to znaczy „moje serce”. – Russell wymawia to jak „mo krii”, dokładnie tak jak Brennus.

– A *ghra* i *muirnin*? – pytam i widzę, jak zaciska zęby.

– *Ghra* to „miłość”... czyli ukochana, a *muirnin* „najdroższa” – wyjaśnia. Obiema dłońmi mocniej ujmuję kierownicę i lekko ją odkształca, ale od razu się opamiętuje i odpuszcza. – Te ślady ugryzienia na twojej szyi... jakoś nadal krwawią. Może ci mówił, jak je zagoić?

Kręcę głową, a moje palce wędrują na te małe rany. Nadal sączy się z nich krew, nie krzepnie i nie zasycha jak po zwykłym skaleczeniu.

– To pewnie przez jad... Przeciwdziała gojeniu – mamroczę.

Russell ma ponury wyraz twarzy.

– Może Buns będzie wiedziała, co z tym zrobić – rzuca bez zastanowienia.

– Co takiego? – Aż mi dech zapiera.

– Spotkamy się z nią w Marquette. Brownie też tam jest. Zadzwoiłem do nich, kiedy układałem plan wyprawy do kopalni miedzi – dodaje, nie patrząc na mnie. Broni się, jakby spodziewał się niezłego ochrzantu za to, że zawiadomił dziewczyny. – Chciałem, żeby wiedziały, co się z nami stało. I dały znać moim bliskim, że już nigdy nie wrócę, ale że to był mój wybór.

– I co one na to? – pytam, bo nie jestem w stanie zagadnąć o Reeda.

Jeśli nie żyje, to ja też jestem już martwa.

– Kazały mi powiedzieć, gdzie jestem, a kilka godzin później przyjechały tutaj tym autem. Planowały, że wyruszą ze mną do kopalni – wyjaśnia ponuro. – Musiałem je przekonywać, że pewnie jesteś już Gankanagiem i że nie wydostaniemy się z tej jamy... nawet jeśli wejdę tam razem z nimi, więc... – Ścisza go w gardle, mnie też. Russell zszedł pod ziemię, by umrzeć ze mną. – Brownie kazała mi obiecać, że jeśli uda się nam uciec, spotkamy się z nimi w Marquette i naradzimy, co dalej.

– A Buns... co powiedziała?

– „Do zobaczenia za parę godzin”. – Russell uśmiecha się do mnie leciutko. – W ogóle nie brała pod uwagę, że możemy się stamtąd nie wydostać. Nie godziła się na taką opcję. Nie, i już.

– Dlaczego ty tam zszedłeś? Wiesz przecież, jak bardzo zależy mi na tym, żebyś przeżył... Dlaczego po prostu z nimi nie wyjechałeś?

Postąpił tak głupio. Przecież zanim się tam pojawił, nie miał pojęcia, że nie jestem jeszcze Gankanagiem. Gdyby go złapali, mogliby sprawić, żebym to ja go upolowała, niczym łakomy kąsek. Gdybym przeszła transformację, posiliłabym się nim tak, jakby nic dla mnie nie znaczył... jakbym go nie kochała. Ta myśl doprowadza mnie do rozpacz.

– A dlaczego ty weszłaś do 7-Eleven z Freddiem? – odparowuje cicho.

– To co innego... Musiałam...

– No właśnie, ja też musiałem. Kocham cię tak samo jak ty mnie.

– Russell... powinieneś trzymać się z dala ode mnie. Nie jestem dobra dla nikogo. Działam jak magnes na złe duchy i Upadłych, i różne anioły, które nie mają nic lepszego do roboty niż mnie pragnąć. Dopóki nie poznałam Gankanagów, sądziłam, że nie jestem zła, że nie mam mrocznych żądź, ale teraz przekonuję się, że... – Milknę, bo znów sięga po moją rękę, a ja szybko ją cofam. – Nie, Russell, posłuchaj. Wiesz, co zrobiłam, kiedy Brennus rozkazał zabić Alfreda? – Wpatruję się w jego oczy.

Kręci głową.

– Nie.

– Posłałam mu pocałunek – przyznaję.

Wspominam uniesienie i euforię, które przebiły się w tamtej chwili przez ból. To był moment, kiedy mój wróg stał się ofiarą złożoną w holdzie dla mnie. Leżał na posadzce podziemnej warowni, która – przy jego wydatnej pomocy – stała się moim więzieniem. Moment, kiedy mój wujek został pomszczony. To był odwet za to, co go spotkało przeze

mnie. Wiem, że cząstka mnie kocha Brennusa za ten podarunek, i to mnie niewymownie przeraża.

– Ruda... w twoich żyłach nadal krąży ten trujący jad. Nie myślisz racjonalnie. Spędziłaś sporo czasu w tym piekle i widzę, że nieźle nad tobą popracowali – stara się mnie pocieszyć Russell. – Freddie zamordował kogoś, kto zastępował ci rodziców. I terroryzował cię od wielu miesięcy – dodaje, a kiedy nie podnoszę na niego wzroku, łapie mnie za brodę i zmusza, żebym na niego spojrzała. – Chciał twojego całkowitego unicestwienia i cieszę się, że nie żyje. A gdybym sam miał szansę go zabić, zrobiłbym to z przyjemnością, ale zajęłoby mi to trochę więcej czasu, bo uważam, że nie zasłużył na tak szybką śmierć. Powinien cierpieć dłużej. Tak sędzę i to nie znaczy, że jestem zły. Ale że jestem aniołem.

– Russell, to Alfred... to on doniósł na Reeda i Zee. Zdradziłam ich. Alfred nie mógł ich wydać, dopóki z nimi byłam, bo wtedy nie miałby szans zdobyć mojej duszy. Ale kiedy uciekłam, dałam mu wolne pole. – Nie potrafię popatrzeć na Russella, bo dławi mnie wstyd. – Czy... oni nie żyją? – szepczę.

– Ruda, to nie twoja wina... – zaczyna.

Schrypniętym głosem powtarzam pytanie:

– Czy oni nie żyją?

– Nie wiem – przyznaje. – Dziewczyny mają trudności, żeby się czegoś dowiedzieć, bo nie są aniołami Mocy...

– I nie mają tytułu, by domagać się informacji – kończę za niego.

– No właśnie. – Marszczy brwi. – Polecimy samolotem Zee na jego wyspę. Stamtąd spróbujemy ustalić, gdzie oni są. Na razie Buns ma jakieś kontakty, które...

– Nie... – mruczę.

– Nie? – pyta, a kiedy nie odpowiadam, dorzuca: – Co „nie”?

– Nie lecę na żadną wyspę.

– Nie lecisz?

Kręcę głową.

– No to dokąd mamy jechać? – pyta zdezorientowany.

– Ja do Dominium... A ty z dziewczynami na wyspę.

– A w cholerę, nigdzie cię nie puszczę! – wrzeszczy na mnie, wciska gaz do dechy i wyłącza światła, żeby ludzie nas nie widzieli. Ciężko dyszy i zerka na mnie, jakby mnie chciał zadusić. – Niby jak chcesz im w ten sposób pomóc?

– Jeszcze tego nie obmyśliłam, ale nie pozwolę, żeby oddali za mnie życie.

– Przez ciebie wyjdą na zdrajców. Potwierdzisz tylko ich winę – stara się mnie przekonać Russell.

– Nie jestem Nefilim. Są jeszcze zjawiska nieznanne, które wymagają zbadania. Jesteśmy inni... Nawet Brennus powiedział coś takiego... Jestem czymś zupełnie nowym, jak archetyp. Kiedy ma się do czynienia z nowym modelem, niekoniecznie wiadomo, co z nim zrobić. Może Reed i Zefir przyglądali mi się, żeby sprawdzić, czy jestem zła... i nie chronili mnie,

ale świat przede mną – mówię, podnosząc wzrok na Russella. – Może postanowili obserwować mnie, póki nie będą mieli pewności, że trzeba mnie zniszczyć.

– Nie – upiera się Russell i ociera usta dłonią. – Nie wiesz nawet, czy cię tam wpuszczą, czy rzucą się na ciebie jeszcze, zanim przekroczysz próg – argumentuje przez zaciśnięte zęby. – To najgorszy plan, o jakim w życiu słyszałem.

– Czy może być gorszy od tego, na co ty ostatnio się porwałeś?

– Ten twój nie daje ci żadnych, nawet najmniejszych szans, żeby wyjść z tego cało – stwierdza ponuro.

– Ale tak poza tym rozumię logicznie, prawda? – podsumowuję ze spokojem, choć z trudem opanowuję strach.

– Dlaczego to ma być lepsze? Dlatego, że to ty oddasz za nich życie? – pyta.

– Ich jest dwóch, ja jedna.

– I najprawdopodobniej zginiecie wszyscy troje... – rzuca pesymistycznie.

– A może mnie nie zabiją? Wiesz, jestem jak magnes na niebezpieczeństwa, a oni to uwielbiają. Ryzyko to dla nich frajda.

– Ruda, zrób mi tę grzeczność i wsiądź do samolotu, kiedy dojedziemy na lotnisko w Marquette. Wymyślimy coś, co nie będzie misją samobójczą – mówi teraz już naprawdę zły.

– Mój plan ma sens, Russell – szepczę.

– Jaki sens? Chcesz wpakować się prosto w łapy zabójców, którzy od dawna na ciebie polują – oburza się gwałtownie.

Nie liczy się z tym, jak trudno mi się z nim spierać w tym stanie. Mam wrażenie, że umieram.

– Sam mówiłeś, że nie jesteś pewien, czy zdołasz w pojedynkę obronić mnie przed Brennusem, który będzie starał się mnie odzyskać. On mnie znajdzie, Russell, wiesz o tym. Jest obrzydliwie bogaty i nie pożałuje pieniędzy, żeby nas dopaść. – Muszę przerwać, żeby złapać oddech. – Rozsmakował się we mnie i chce więcej, a ja mam pełną świadomość, że następnym razem już nie zdołam mu się oprzeć – przyznaję i znów zaczynam trząść się ze strachu, kiedy myślę o potwornej podróży, którą właśnie odbyłam. Zupełnie jakbym stopniowo popadała w obłąd. – Jeśli chcemy przeżyć, potrzebujemy Reeda i Zee. Gdyby zginęli, to wszystko na nic. – Używam argumentów, których nie zdoła podważyć. – Teraz Brennus i tobie nie odpuszcę. Chce twojej śmierci, bo zabiłeś Ultana i Driscolla, a poza tym jesteś moją bratnią duszą. Sama go nie powstrzymam, a obawiam się, że anielice z gatunku Kosiarzy okażą się nie dość odporne na dotyk Gankanagów. Jeśli zadziała też na nie, to lepiej nie myśleć, co te potwory zrobią z naszymi dziewczynami.

– Ale... – zaczyna Russell. Widzi, że drzę.

– Russell, on jest wiekowy, nie wiem nawet, czy z tego świata. Ty słyszysz, co mówię? Jeśli inicjacja wejścia do ich rodzinki wygląda tak brutalnie, to pomyśl, co będzie, jeśli naprawdę postanowią nas torturować? – pytam surowo. – Jeśli zgłoszę się do Dominium, to przynajmniej damy sobie cień szansy – dodaję, obejmując się rękami. Rozpadam się niczym

ćpunka, której zabrakło działki. Moje ciało reaguje jak na odwyk. Pocę się i trzęsę. To robi mi się potwornie gorąco, to zimno. Znowu opieram głowę o fotel, wdychając ślad zapachu Reeda.

– Skoro ty tam idziesz, to ja z tobą – oświadcza stanowczo Russell.

– Nie, o tobie nie wiedzą – oponuję. – Wściekną się, jak pomyślą, że mogę sprawić, żeby było nas jeszcze więcej.

– Uważasz, że potrafisz coś takiego zrobić? – pyta całkiem poważnie.

– Nie wiem. Zresztą wolę nie próbować. Nie życzę nikomu, żeby był tak ścigany jak ja. No, może z wyjątkiem Alfreda, ale jemu raczej już nic nie robi różnicy. – Wybucham histerycznym śmiechem.

Nie kontroluję emocji. Łzy napływają mi do oczu, kiedy staram się opanować. To wcale nie jest śmieszne, ale aż się gotuję od chichotu. Muszę wyglądać na totalną wariatkę. Opętało mnie czy co? Ocieram łzy ciekące po policzkach.

– Dlaczego nigdy mnie nie słuchasz? Dlaczego po prostu nie zrobisz, jak mówię? – pyta Russell znużonym tonem. Aż się przygarbił. – Już nie wiem, jak cię ratować... – mruczy pod nosem. – Dlaczego nie pozwolisz mi się ocalić, Ruda?

To samo mówił, kiedy obudził się na posadzce sklepu po tym, jak Alfred dźgnął go nożem w nogę.

– Nie uratujesz mnie, Russ. Choć, Boże, bardzo bym tego chciała – szepczę. – Szkoda, że nie mogę wczłgać ci się na kolana i zostać tam na zawsze. Zrobiłabym to, wiesz, ale to nie takie proste. Chyba kiedyś byłam tam bardzo szczęśliwa, ale teraz tak się już nie da, co innego jest mi pisane.

Chce mi się płakać, szlochać, bo tęsknię za nim i za tamtymi nami.

– Jesteś wyczerpana i chora – stwierdza ze smutkiem w oczach.

– Chciałabym tylko mieć dom, rodzinę, swoje miejsce na ziemi, a to już dla mnie nieosiągalne. Nie dam rady się dalej chować. Nie mamy gdzie się schronić, bo zawsze coś złego nas dopadnie. Pamiętasz, jak powiedziałaś mi, że co ma być, to będzie i nie zatrzymamy biegu zdarzeń? – Robię krótką pauzę. Kiwa głową. – Miałaś rację. Nie zmienimy przeznaczenia.

W jego oczach widzę ból i wiem, że nic, co mogłabym powiedzieć, nie zdejmie z niego tego cierpienia. Przesuwam się nad konsolą i zmuszam go, żeby oderwał rękę od kierownicy, kiedy zwijam się w kłębek na jego kolanach. Zaczynam łkać, aż duszę się od płaczu. Wszystko mnie boli i tak bardzo się boję.

– Dziękuję, że mnie uratowałeś, Russell – szlocham. Tulę do jego piersi twarz mokrą od łez. – Nie chciałam umierać tam pod ziemią.

Obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie mocniej. Opiera brodę na czubku mojej głowy.

– Już dobrze... wszystko będzie dobrze – mruczy z tym swoim miękkim południowym zaśpiewem, żeby mnie uspokoić, ale oboje wiemy, że kłamie. Trzyma mnie w ramionach,

kiedy tak jedziemy przez noc. A ja, z uchem przyciśniętym do jego piersi, usypiam wsłuchana w miarowy rytm bicia jego serca.

Rozdział 15

POŻEGNANIE

Prywatne lotnisko w Marquette jest małe. To zaledwie jeden pas startowy z kilkoma hangarami na samoloty i inne latające pojazdy, które ktoś tu trzyma. Hangar, pod który zgodnie ze wskazówkami Buns podjeżdżamy, to zaledwie dach i ściany z blachy falistej, osadzone na prostej podmurówce.

W środku byle jakiego blaszaka stoi jednak samolot, który stanowi całkowite przeciwieństwo tej osłony. Szokujący kontrast, gdyby ktoś nie znał upodobań aniołów. Ja wcale nie jestem zaskoczona, że samolot Zefira to odrzutowiec. Wyczołguję się z kolan Russella na siedzenie obok i patrzę na smukłą błyszczącą sylwetkę, czarną jak kruk. Jakżeby inaczej?

– Dasz radę iść, Ruda? – Russell otwiera drzwi od swojej strony, a wewnątrz auta rozbłyska od światła górnej lampki.

Oślaniam oczy, bo nawykły do ciemności w kopalni, gdzie jarzyły się tylko w oddali płomyki świec i ognie kominków.

– Nie wiem... – zaczynam, ale nie mogę dodać nic więcej, bo nagle drzwi przy mnie otwierają się na oścież, ktoś bezceremonialnie wyciąga mnie z auta i po chwili już jestem w objęciach Brownie i Buns. Nie zauważyłam, jak nadchodzą.

– Aleś narozrabiła, Evie – mówi Brownie. Łzy spływają jej po policzku, kiedy odsuwa się trochę, żeby na mnie popatrzeć. – Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, to cię zabiję – zapowiada wkurzona, po czym znów mnie przytula.

Buns milczy. Tylko pociąga nosem i ściska mnie mocniej.

– Chodź tu, Russell – rozkazuje Brownie.

A kiedy ten się zbliża, pociąga go za rękę i obejmuje. Przez chwilę stoimy tak wszyscy razem.

– Udało ci się, Russell! Dobra robota – szepcze Brownie.

– Gdybym wiedział, że rzucą się tak na mnie trzy piękne kobiety, wezwałbym was wcześniej. – Russell składa pocałunek na jej platynowych włosach, a potem na miodowozłocistych Buns.

– Dziękuję za samochód – dodaje poważnie. – Miałycie rację, bardzo się przydał. Nie wiem, czy dalej nas gonią, ale lepiej wsiadajmy do samolotu. Gdzie zostawić auto?

Brownie i Russell odłączają się od nas, ale Buns mnie nie puszcza, szłocha wtulona w moje włosy. Ja też cicho płaczę, choć dziwię się, że zostało mi jeszcze trochę łez, bo

myślałam, że wypłakałam wszystkie na piersi Russella po drodze. Russell wsiada z powrotem do auta i wjeżdża powoli do hangaru, naprowadzany przez Brownie. Parkuje obok odrzutowca, kluczyki zostawia w środku, a potem zaczyna wypakowywać bagażnik. Pewnie ma w tych torbach nasze pieniądze i trochę rzeczy, które zabrał z mieszkania, ale go o to nie pytam.

Wreszcie Buns odrywa się ode mnie i ogląda mnie od stóp do głów. Jej wzrok wraca na szyję, która – czuję – nadal krwawi. Ostrożnie dotykam wilgotnych śladów. Te nakłucia piętnują mnie jako własność Brennusa, niczym znak, jaki wypala się bydłu.

– Fajne botki, skarbie, masz w nich nogi do nieba – chwali Buns, patrząc na sięgające do połowy ud obcisłe zamszowe cholewki. Przygryza dolną wargę, żeby nie drżała.

Odchrząkuję.

– Dzięki. – Staram się odetchnąć głęboko, ale głos mi się załamuje. – Gankanagowie mają wypaczony gust, jeśli chodzi o modę.

Buns marszczy brwi.

– Potnę tego Alfreda na drobne kawałeczki i nakarmię nimi gryfy – stwierdza ze złością, a kolejna łza toczy się jej po policzku. Ociera ją szybko wierzchem dłoni.

– Za późno. Gankanagowie już go zjedli – szepczę i widzę, jak robi wielkie oczy.

– O rany, skarbie! Jak to się stało? – pyta, ale dostrzega, że ślaniam się na nogach.

Łapie mnie pod ramię i prowadzi do błyszczącego czarnego odrzutowca.

W milczeniu wsiadamy do środka. Nie wiem, dlaczego spodziewałam się, że tak jak w zwykłych pasażerskich liniach będą tu rzędy foteli – jest zupełnie inaczej. Wnętrze w kolorach czerni i ciepłego beżu, z akcentami kremu i łagodnej bieli wygląda bardzo elegancko. W różnych miejscach rozmieszczono duże piękne fotele. Są obite czarną skórą, tak miękką i delikatną, że na pewno bym w nich zasnęła, gdybym się nie pilnowała. Ale nie ma powodu spać w fotelu, bo są tu dwie sypialnie z łóżkami, z których można skorzystać.

Buns prowadzi mnie obok kuchni. Stalowe urządzenia i ciemne politurowane szafki, wszystko gładkie, w męskim stylu. Łazienka w tyle samolotu, w głównym apartamencie, jest równie imponująca jak reszta. W innych okolicznościach byłabym zachwycona, ale teraz czuję się jak intruz w samolocie, który należy do kogoś, kogo strasznie zawiodłam.

Buns puszcza wodę w prysznicu, żeby się dla mnie nagrzała, i wyciąga przybory toaletowe. Na umywalce kładzie ręcznik i czarny jedwabny szlafrok o kilka numerów na mnie za duży.

– Jak się umyjesz, mam coś, czym możemy owinąć to... tę ranę. – Wyraźnie nie chce użyć słowa „ugryzienie”.

Kiwam głową, nie patrząc jej w oczy, bo nie chcę znów zacząć płakać.

Zanim odchodzi, pytam z rozpaczą:

– Czy oni żyją?

Wiem, że nie ma pojęcia, ale może zobaczę, czy jest jakaś nadzieja, czy Buns już ją straciła.

– Tak – zapewnia żarliwie, zaciskając pięści.

– Dobrze. Zawieźcie mnie do Dominium, a ja zwrócę ci twojego Zee – mówię cicho i po jej chabrowych oczach poznaję, jak walczy sama ze sobą.

– Przecież lecimy na wyspę... – zaczyna, ale nie daje jej skończyć.

– Nie. Ja nie. Muszę dotrzeć do Dominium. Możecie mnie tam podrzucić albo biorę auto Reeda i spróbuję sama znaleźć drogę. Jadę tam, czy mi pomożecie, czy nie. Wezmę teraz prysznic, a kiedy wyjdę, powiesz mi, co zdecydowaliście – oznajmiam stanowczo. Zdzieram z siebie ubrania od Gankanagów i podaję Buns. – Spal to, proszę.

Po chwili wchodzę pod prysznic i zmywam z siebie cały tamten smród, jak to zasugerował wcześniej Russell.

Woda pomaga mi pozbyć się lepkiego, słodkawego zapachu, którym przesiąkałam w tych dniach, ale żebym nie wiem jak się szorowała, nie ma nic, co oczyściłoby moją duszę ze wspomnień. Pozwoliłam, żeby Brennus mnie złamał, dałabym mu wszystko, czego by zażądał, gdyby nie pojawił się Russell i mnie nie uwolnił. Muszę zakryć usta dłonią, żeby nikt nie usłyszał szlochów wrywających mi się z piersi. Powoli odzyskuję panowanie nad sobą. Patrzę, jak moja krew miesza się ze spływającą ze mnie wodą. Ranki po ugryzieniu za nic się nie zasklepiają.

Zakręcam kran i wychodzę spod prysznic. Wkładam szlafrok, zawiązuję pasek w talii. W sypialni zastaję Russella. Leży na łóżku. Wygląda tak, jakby wcześniej przysiadł na brzegu, ale potem padł z wyczerpania, bo jego nogi nadal opierają się o podłogę. Jedna ręka zakrywa oczy przed górnym światłem. Podchodzę do wyłącznika i gaszę je, żeby go nie raziło. Ruszam w kierunku głównego pomieszczenia. Zamierzam poprosić Buns, żeby pożyczyła mi coś do ubrania, ale zatrzymuję się, bo słyszę udręczony głos Russella.

– Ruda, co mam powiedzieć, żebyś zmieniła zdanie i tego nie robiła?

– Muszę tam jechać. Przecież wiesz, prawda? – odpowiadam i obracam się, żeby podejść do łóżka.

– Wiedzieć to coś bardzo innego niż czuć sercem... czy duszą – mówi, nie odsłaniając oczu. – Moja głowa wie, czemu to robisz... ale moje serce z tym się nie godzi. Kocham Zee jak brata, ale jeśli on wróci, a ty nie... – Nie dodaje nic więcej, nie musi, rozumiem, o co mu chodzi.

– Russell... ja... nie mogę inaczej. Muszę tam jechać. – Widzę cierpienie w jego twarzy, więc wdrapuję się na łóżko obok niego i przytulam mokrą głowę do jego piersi.

Obejmuje mnie w pasie i mocniej przyciąga do siebie.

– Gdybyś to ty tam był, też bym to zrobiła... Oddałabym wszystko, co mam i czym jestem, byle cię chronić... Jesteśmy ze sobą związani, ty i ja, ale mnie łączy też więź z Reedem. Jemu też jestem to winna.

– On nie będzie ci wdzięczny za to, że tam wejdiesz, narażając swoje życie. Naprawdę się wkurzy – stwierdza, a ja mu wierzę.

Reed pewnie okropnie się zezłości. Zdradziłam go, a teraz się pojawia, by go „bronić”... No tak, wścieknie się jak jasna cholera.

– Nie robię sobie złudnych nadziei, Russell – odzywam się, leżąc zupełnie nieruchomo, wsłuchana w jego oddech. – Sądziysz, że nie wiem, co sobie pomyślą, jeśli jeszcze żyją? Na pewno są przekonani, że ich zdradziłam, i będą odnosić się wrogo do moich wysiłków, żeby im pomóc, głównie dlatego, że aniołom Mocy absolutnie nie mieści się w głowie, by mogły potrzebować jakiegokolwiek ochrony. – Na samą myśl, co chcę zrobić, boleśnie ściska mnie w dołku.

– No, to akurat po prostu męska cecha, bo to samo czułem, kiedy zobaczyłem cię w 7-Eleven z Freddie’em – stwierdza zaszępił.

– Tak, ale w końcu jakoś się z tym pogodziłeś.

– Ruda, byłaś gotowa oddać za mnie serce. Jak miałem się na ciebie gniewać? – Ciężko wzdycha. – Ale chciałem być na ciebie wściekły.

W zadumie unoszę głowę i patrzę na niego, żeby zapisać sobie w pamięci jego obraz. Po raz pierwszy, od kiedy porwali mnie Gankanagowie, widzę Russella bez skrzydeł. Potargane jasne włosy domagają się podcięcia, spadają mu na oczy, ale i tak wygląda bardzo seksownie. Jego skóra stała się idealnie gładka, anielska pod każdym względem, odporna i promienna. Pewnie przydałoby mu się ogolić, ale przez ten zarost jego uroda jest jeszcze bardziej męska i surowa. Bez skrzydeł wydaje się taki młody, ale to zwodnicze wrażenie, bo choć jego ciało jest młode, dusza jest stara.

– Ile my mamy lat, Russell? – pytam znużona, kładąc z powrotem głowę.

– Jesteśmy bardzo starzy – mówi.

– Czy zawsze byliśmy ludźmi, to znaczy aż do teraz? – dodaję, bo jesteśmy i ludźmi, i aniołami zarazem, ale kim jeszcze mogliśmy być w przeszłości... Skoro mamy dowody, że istnieją i inne istoty wśród nas, które oddychają tym samym powietrzem?

– Wiesz, Ruda, to dobre pytanie... Muszę się zastanowić, ale może później... kiedy będę w stanie. Od wielu dni nie spałem i trudno mi zebrać myśli.

– O... no dobrze... Czuję się tak staro... jakbym miała tysiąc lat... – mówię sennie.

Kiedy słyszę, jak oddech Russella pogłębia się i wyrównuje, wiem, że jeśli poleżę tak jeszcze sekundę, to też zasnę, a teraz nie wolno mi sobie na to pozwolić. Odpycham się od jego piersi i podnoszę z łóżka. Wstając, czuję lekkie zawroty głowy.

Zawiązuję ciaśniej pasek szlafroka i popycham drzwi do części wspólnej. Buns siedzi zwinięta w kłębek na jednym z wielkich foteli naprzeciwko sypialni. Pewnie słyszała całą naszą rozmowę, ale to mi nie przeszkadza, bo nie mam już przed nią sekretów. Teraz, kiedy najgorsze się stało, nie widzę powodu, żeby kłamać albo wprowadzać ją w błąd. Patrzy, jak zajmuję miejsce naprzeciwko niej.

– Gdzie Brownie? – pytam, kiedy samolot rusza i manewruje na małym pasie startowym.

– Podrzuci nas do Quebecu – odpowiada Buns. Wstaje i podchodzi do baru, żeby nalać mi szklankę wody. – Zabrałabym cię do niej, ale ona naprawdę zmartwiła się twoją decyzją, więc myślę, że lepiej przez jakiś czas dać jej spokój, niech trochę ochłonie.

– Dziękuję – mówię, kiedy podaje mi picie, a ona podnosi z jednego z foteli kocyk i otula mi nim plecy. – Dlaczego Quebec? – pytam, zanim jeszcze wezmę łyk, patrząc, jak z powrotem siada w fotelu naprzeciwko mnie.

– To tam jest Dominion, a dokładniej: znajduje się na prywatnej wyspie w Zatoce Świętego Wawrzyńca. Do tej właśnie posiadłości Poganka i jej przyboczni zabrali z Crestwood Zee i Reeda. O ile nam wiadomo, nadal tam są, ale nasz wywiad nie jest najlepszy, bo anioły Mocy naprawdę potrafią dotrzymywać tajemnic – mówi. – Są w tym prawie tak dobre jak Serafiny.

Aż się zakrztuszam wodą, cudem udaje mi się nie udławić. Odstawiam szklankę na pięknie wypolerowany drewniany blat stołu, który stoi pomiędzy nami, i zaglądam jej w oczy.

– Przepraszam, Buns, nie chciałam dopuścić do czegoś takiego. Myślałam, że jeśli wyjadę, będziecie bezpieczni, a okazało się... Jak mogłam być tak ślepa... Próbowałam, a...
– Urywam, bo czuję, że więź, która nas łączy, została nadwyrężona i wystawiona na ciężką próbę. Buns nie chce mi tego okazać, ale sprawiłam jej wielką przykrość. – Jeśli tylko istnieje jakiś sposób, żeby wydostać stamtąd twojego Zee, nie cofnę się przed niczym, przysięgam.

– Wybaczę ci tylko pod jednym warunkiem. Jeżeli i ty stamtąd wrócisz – mówi, znów pociągając nosem. – Wiesz, odkąd odeszłaś, Brownie była nie do wytrzymania – dodaje, trąc oko. – Stale tylko sprawdzała e-maile, nie odchodziła od monitorów Reeda. Wyłapała, że łączyłaś się ze swoją skrzynką poczty głosowej. A nawet, jeszcze zanim Russell do nas zatelefonował, udało jej się ustalić, z którego nadajnika to poszło.

– Znalazłybyście nas? – pytam.

Kiwa głową.

– Reed sądził, że wcześniej czy później sprawdzisz tę skrzynkę. Wysiadywał przed komputerem dniami i nocami, czekając, kiedy się połączysz. Jak pojawiła się Poganka, zdołał usunąć wszystkie ślady z komputerów, ale kazał Brownie obiecać, że dalej będzie cię szukać.

Po moich policzkach spływają łzy.

– Nie może być za późno, Buns, ale jeżeli się spóźniłam, to... Nie, to wykluczone, nie mogłam się spóźnić – mówię błagalnie, jakby miała moc cokolwiek zmienić.

– Evie, jesteś w rozsypce. Musisz przespać się parę godzin. Zbieraj siły. Będą ci potrzebne. Nie możesz tam wejść w tym stanie. – Patrzy na mnie z politowaniem; na pewno wyglądam jak kłębek nerwów. – To są anioły Mocy. Nie znoszą słabości. Musisz im zaimponować. Jesteś Serafinem. Wyższym rangą od nich wszystkich. Muszą cię wysłuchać, inaczej już po was – wali prosto z mostu, ale nie dlatego, że jest na mnie wściekła. Po prostu boi się, tak bardzo, że jeszcze czegoś takiego u niej nie widziałam. Zawsze była przy mnie wyluzowana, swobodna, jakby panowała absolutnie nad każdą sytuacją.

Jej zachowanie porusza we mnie jakąś strunę. Biorę się w garść. Jeśli mam poskromić emocje, odciąć się od nich, to tak zrobię. Jestem gotowa na wszystko, byle udało mi się spełnić tę najważniejszą w moim życiu misję.

– Nie znoszę tej kastowości u aniołów. To paskudne i wątpię, aby patrzyły na mnie jak na istotę nadrzędną, ale postaram się to maksymalnie wykorzystać, jeśli to ma mi pomóc w osiągnięciu tego, czego chcę... co muszę zrobić – mówię spokojnie.

– Większość aniołów Mocy, nie te nasze, ale większość szanuje tylko siłę. Są też wrażliwi na urodę. To twój atut – stwierdza Buns. – Zajmiemy się tym, żeby podkreślić, co trzeba. Użyjemy wszelkich dostępnych nam środków. Mam kilka pomysłów, ale na razie masz iść spać, mówię poważnie. Czeka nas kilka godzin lotu do Quebecu. Tam musimy lądować i wysadzić Russella i Brownie. Russell nie może polecieć z nami. Dominium nie powinno się o nim dowiedzieć.

– Zgoda. – Co za ulga, że chcę chronić Russella.

– Brownie wyczarteruje inny prywatny samolot i zabierze Russella na wyspę Zee. Będzie mógł tam spotkać się z rodziną. Nie musisz się o niego martwić. Zajmiemy się nim – obiecuje.

Wiem, że tak naprawdę zapewnia mnie, że nie porzucą go na łaskę losu, gdybym nie wróciła. Znowu zbiera mi się na płacz, bo jestem jej za to tak bardzo wdzięczna, ale nie pozwalałam sobie na luksus łez. Popłaczę sobie, ile tylko zechcę, kiedy to się skończy... albo już nigdy, z czym też muszę się pogodzić, trudno.

– Możemy mieć problem, kiedy przekroczymy granicę z Kanadą, bo nie zgłosiliśmy planu podróży. Będziemy musieli lecieć bardzo nisko, żeby nie wykrył nas radar. Potem jakoś się wytłumaczymy. Zostawiam to wszystko Brownie, bo jeśli jest w czymś naprawdę dobra, to w manipulowaniu ludźmi.

Zastanawiam się gorączkowo, jak zareagują w Kanadzie na lądowanie samolotu pełnego podróżnych na gapę i w dodatku „nastolatków”, ale mam na głowie większe zmartwienia niż kanadyjska policja.

– Brownie poradzi sobie z każdym – zgadzam się, z trudem opanowując senność.

– Idź odpocząć, Evie. Jesteś wykończona. Obudzę cię, kiedy będziemy dolatywali do Quebecu. – Buns stara się nie dać po sobie poznać, jak bardzo się martwi.

Kiwam głową i ruszam chwiejnym krokiem do sypialni. Wsuwam się do łóżka obok Russella. Kiedy lądujemy, budzę się w jego objęciach. Czuję, jakbym była do nich stworzona. Nie mogę temu zaprzeczyć. Widzę smutek w jego oczach i to mnie boli, bo czas na pożegnanie. Żadne z nas nie wie, czy się jeszcze kiedyś zobaczymy. Przekroczyłam z Russellem pewne granice, których przekraczać nie powinnam. Powinnam bardziej go chronić. Powinnam być dla niego lepszą przyjaciółką. Powinnam dać mu to, czego potrzebuje. Zapłacił słoną cenę za miłość do mnie. Może, kiedy nie będzie zmuszony tkwić blisko mnie, stanie się wolny?

– Russell... – zaczynam.

– Daj spokój. – Zamyka oczy.

– O co ci chodzi?

– Nie mów tego, co chcesz powiedzieć – prosi chłodno.

– Skąd wiesz, co chcę powiedzieć? – mówię nieco urażona, że nie pozwala mi się ze sobą pożegnać.

– Widzę to w twoim spojrzeniu i nie zamierzam tego wysłuchiwać – rzuca szorstko. – Masz się stamtąd wydostać. Wrócić. Gdybym nie wierzył, że jesteś najbardziej upartą laską, jaką kiedykolwiek spotkałem, która zawsze zrobi to, co sobie umyśli, nigdy bym cię tam nie puścił.

– Wcale nie jestem uparta – obruszam się zirytowana.

– Ruda, jesteś jak kot. Nie da się ciebie do niczego zmusić.

Widzę, że nie żartuje.

– Myślałam, że wy wszyscy doskonale potraficie tresować koty.

– Daj spokój, wiem, że nawet nie ma co próbować – odpowiada i nachyla się, żeby musnąć ustami moje wargi.

Kiedy oddaję pocałunek, pogłębia go. Jego dłoń wędruje od mojej szyi we włosy i przyciąga mnie bliżej, a ja przytulam się do jego boku. Jestem w rozterce, chcę go mieć jeszcze bliżej, a zarazem odepchnąć go od siebie. Niezdolna zdobyć się ani na jedno, ani na drugie, decyduję, że skoro nie pozwoli mi pożegnać się słowami, zrobię to w ten sposób.

Całuję go, dopóki sam się nie odsuwa, zaglądając mi w oczy.

– Często powtarzasz, że nie ma nic bezwarunkowego. Ale się mylisz. Moja miłość do ciebie zawsze będzie bezwarunkowa, kocham cię bez względu na wszystko, więc musisz wrócić, żeby nie wiem co.

Przyciągam go do siebie i wtulam twarz w jego szyję, a on trzyma mnie mocno w ramionach, póki nie słyszemy pukania do drzwi.

– Skarbie, musisz się ubrać. Policja eskortuje nas do hangaru i jestem pewna, że zostaniemy zabrani na przesłuchanie. – Buns zagląda do środka.

Przekazuje nam szybko wersję, której mamy się trzymać, kiedy ja pospiesznie przebieram się ze szlafroka w dzinsy i bawełnianą koszulkę. Mamy udawać bogate dzieciaki na wakacjach. Robimy sobie różne wycieczki. Wpadło nam do głowy, żeby zobaczyć Quebec, bo mieliśmy blisko. Buns mówi, żebyśmy zgrywali głupków. Zadanie jest trudniejsze, niżby się wydawało, bo nigdy nie byłam bogatą nastolatką, nie mam więc pojęcia, jak się powinnam zachowywać.

Okazuje się, że Kanadyjczycy nic do nas nie mają. Jednak Sûreté Du Québec – czyli tutejsze służby bezpieczeństwa, SQ – dają nam nieźle popalić z powodu naszego niezapowiedzianego lądowania w ich mieście. Russell idzie na pierwszy ogień w asyście chmary funkcjonariuszy. Myślę, że trochę się go boją, jest taki duży. T-shirt przemókł mu od deszczu. Chłopak musi się mocno pochylić, żeby nie uderzyć głową w dach policyjnego wozu, kiedy każą mu wsiąść na tylne siedzenie. Kiedy z nim odjeżdżają, ogarnia mnie panika.

Boję się o niego. Może najpierw powinnam polecieć na tę wyspę Zee, a dopiero stamtąd do Dominium, ale za późno na zmianę decyzji. Czuję, że jak najszybciej powinnam znaleźć się w Dominium, i muszę zawierzyć intuicji.

Inspektorzy SQ biorą każdego z nas do osobnego pokoju. Zaczynają bombardować mnie pytaniami typu: „Co znajdują na pokładzie waszego samolotu psy, które wyczuwają materiały wybuchowe?”, „Dlaczego nie powiesz, po co naprawdę tu przylecieliście?”.

Dziwnie jest ich słuchać, bo w Quebecu mówi się po francusku, a ja nie znam tego języka, więc zwracają się do mnie po angielsku, ale z francuskokanadyjskim akcentem. Dobrze, że przynajmniej nie są złymi elfami. Z dziwną wymową mogę sobie poradzić. Udamę Lillian Lucas, bo Russell spakował dla mnie ten paszport w dniu, kiedy zostałam porwana przez Gankanagów. On podaje się za Henry’ego Granta i na szczęście cudem zdążyliśmy powiedzieć o tym Brownie i Buns, zanim nas rozdzielili.

Siedząc w pokoju ze stołem z laminatu imitującego drewno i metalowymi składanymi krzesłami, uświadamiam sobie, że jest nie większy niż cela, w której byłam zamknięta u Gankanagów parę dni temu. Ale że śledczy SQ nie mają klów ani toksycznej skóry i dają mi tyle wody, ile zechcę, nie wspominając już o śniadaniu, trudno mi potraktować ich serio. Tak naprawdę zasypiam na chwilę, kiedy zostawiają mnie samą, prawdopodobnie, żeby sprawdzić, czy fakty, które im podałam, się zgadzają. Grzebię w jedzeniu, ale nie bardzo mogę coś przełknąć. Uduje mi się wmusić w siebie tylko grzanekę, ale zalega mi teraz w żołądku, jakby to był sam tłuszcz.

Podejrzenia budzi moja szyja. Stale krwawi i choć zawiązałam sobie na niej jedwabną chustkę od Buns, to po sześciu godzinach zatrzymania na lotnisku, krew zaczyna przesiąkać przez materiał. Mówię policjantom, że mam rzadką chorobę, problem z płytkami, jak się skaleczę, to krew nie krzepnie. Zaskarbiam sobie tym z ich strony odrobinę współczucia i traktują mnie teraz jakby nieco milej.

Mija ponad dziesięć godzin, gdy śledczy Crawford, przysadzisty jegomość ze skłonnością do podciągania zbyt wysoko spodni, wypuszcza mnie z pokoju, w którym byłam przesłuchiwana. Prowadzi mnie tam, gdzie na jaskrawoczerwonej, anemicznie wyglądającej kanapce siedzą Russell i Buns. Rozmawiają ściszymi głosami. Ludzie nie mogą ich słyszeć. Russell pewnie opowiada, co zobaczył pod ziemią u Gankanagów. Kiedy wymienia imię Brennusa, ogarnia mnie przejmujący lęk, aż się lekko potykam. Na mój widok Russell podnosi się i przesuwa dalej, żeby zrobić mi miejsce między sobą a Buns.

– Wszystko w porządku, Ruda? – pyta cicho, obserwując, jak moja byczkowatej budowy eskorta się oddala, kiedy siadam. Nie czeka na odpowiedź, tylko przyciąga mnie bliżej, żeby samemu sprawdzić.

– Taak, zasnęłam i boli mnie kark, bo obudziłam się z głową na stole, ale poza tym nic mi nie jest – mówię i przypatruję się mu, żeby ocenić, czy on sam nie ucierpiał podczas przesłuchania. – Jak poszło?

Przez chwilę w milczeniu rozmasowuje mi ramiona.

– Podoba mi się Kanada – odzywa się w końcu. – Sympatyczni policjanci, aż do przesady. Dali mi śniadanie. – Nie może powstrzymać uśmiechu.

Uwielbiam jego uśmiech, jest taki szczery, zaraźliwy, myślę, starając się dobrze zapamiętać jego przystojną twarz.

Chciałabym odpowiedzieć mu uśmiechem, ale niepokój, który nagromadził się we mnie w ostatnich godzinach, sprawia, że najchętniej zaczęłabym chodzić po pokoju i drapała ściany, żeby jak najszybciej się stąd wydostać. Reed i Zefir nie przebywają w areszcie u miłych policjantów, którzy podadzą im śniadanie. Są u aniołów Mocy, które nie mają litości dla żadnej istoty, którą uznają za wroga. Konsekwencje będą tragiczne... tak powiedział Reed, kiedy go poznałam, o tym, co go czeka, gdyby mi pomógł. Powinnam była go słuchać, odejść z uczelni, jak mi radził. Ale byłam zbyt samolubna, żeby to zrobić.

Buns się uśmiecha.

– Racja, są uprzejmi, ale nie myśl, że wszystkich tak traktują. Oni sądzą, że jesteśmy bogatymi dzieciakami na wakacjach, które z rozkoszą zapłacą im wszystkie mandaty, jakie nam wlepią. – Wzrusza ramionami. – Kiedy wszystko sprawdzili, zaczęli nas podliczać.

– Gdzie Brownie? – przerywam Buns. – Musimy się zbierać! Tracimy czas!

– Wypełnia dokumenty, żebyśmy mogli polecieć do Zatoki Świętego Wawrzyńca. Kontaktuje się też w sprawie wynajęcia samolotu, żeby zająć się Henrym – mówi, nazywając Russella jego fałszywym imieniem. – Uspokój się, skarbie, na razie nie ma rady, trzeba poczekać.

Coś przyciąga jej wzrok. Nachyla się do mnie i dotyka mojej szyi pod chustką, w miejscu, skąd sączy się krew i zostawia ciemny ślad na brzegu koszulki.

– Skarbie, to się wcale nie goi – mówi i marszczy brwi zmartwiona.

– Głupstwo. – Odsuwam jej rękę zirytowana. – Tak naprawdę już mi to wcale nie dokucza.

Kłamię, bo ranki boleśnie pulsują.

– Masz jakieś wiadomości od waszych informatorów z Dominium? Coś nowego?

Buns popatruje przez moje ramię na Russella, który wyciąga papierowe chusteczki z pudełka stojącego na stole. Czuję, jak delikatnie przyciska je do mojej szyi i próbuje zetrzeć krew. Podnoszę rękę, żeby przejąć chusteczki i samej się tym zająć.

– Czemu pytasz? Masz zamiar wypowiedzieć wojnę?

– Tak. Jeśli to będzie konieczne – odpowiadam. – Spalę to miejsce, jak nie dadzą mi tego, czego chcę.

– A gdzie twoja armia? – pyta Buns, nakręcając pasmo włosów na palec.

– Jestem Serafinem. Mam prawo rozkazywać i nie pozwolę, żeby mi odmówili – prychem wkurzona, bo fizycznie czuję się fatalnie, a niepokój, że przetrzymują nas tu tyle godzin, kiedy nic nie wiemy o losie Reeda i Zefira, nie działa na mnie najlepiej.

– Zuch dziewczyna – szepcze pod nosem Russell i nie wiem, czy jest ze mnie dumny, czy to krytyka, ale właśnie pojawia się wyraźnie wkurzona Brownie.

Śledczy, który jej towarzyszy, uśmiecha się do nas krzywo, po czym odchodzi, pewnie żeby spieniężyć wypisane przez nią czeki.

– Lillian, powiem ci to głośno i wyraźnie: twój plan jest do bani! – mówi Brownie, podpierając się pod boki. – Szlag by z tymi aniołami Mocy i tym całym SQ! Powinnaś wsiąść do samolotu i lecieć na wyspę Zee, żebyśmy mogły wygrać w hokeja na trawie w przyszłym semestrze, ale skoro wiem, że i tak mnie nie posłuchasz... – Dolna warga zaczyna jej drżeć. – To pozostaje mi tylko modlić się, żebyś do nas wróciła.

Wstaję z kanapy i rzucając się jej w ramiona.

– Opiekuj się Buns i Russellem. Zrobisz to dla mnie? – szepczę jej do ucha i czuję, jak ściska mnie mocniej.

– Nie, będziesz musiała zająć się tym sama. – Odsuwa się ode mnie i zwraca do Russella: – Jesteś gotów, idiemy, Henry?

Russell wstaje z kanapy, przygarnia mnie do siebie i lekko unosi.

– Nie mogę ci na to pozwolić – mówi, wtulając usta w moje włosy. – Myślałem, że zdołam cię puścić, ale nie mogę, Ruda, błagam... – szepcze.

Ściskam go mocno, mocno. Jest najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam i mieć będę.

– Jeśli tego nie zrobię, to będzie dla mnie koniec. Umrę. Rozpadnę się na drobne kawałki, a ty nie będziesz w stanie ich pozbierać, żebyś nie wiem jak mnie kochał – mówię mu do ucha. – Kocham cię, Russell. Do widzenia.

Przytula mnie tak mocno, że aż boli, i czuję w tym, jak strasznie mu żal.

– Teraz chciałbym powiedzieć coś twojej duszy – szepcze załamującym się głosem, po czym pochyla się i mówi do mojego serca. – Wróc, możesz nachodzić mnie i nękać do woli. Kocham cię i nigdy nie przestanę, zawsze będę cię szukał... bez względu na wszystko.

Aż mnie ściska w piersi, a oczy zachodzą mi łzami. Nie patrzy na mnie, kiedy stawia mnie na ziemi, ale od razu obraca się i rusza za Brownie przez otwarte drzwi. Stoję nieruchomo, wpatrzona w jego plecy, kiedy odchodzi coraz dalej ode mnie, aż wreszcie znika mi z pola widzenia. Nie obejrzał się nawet.

– Jesteś gotowa? – pyta Buns.

Od razu otrząsam się z transu.

– Tak. – Energicznie kiwam głową.

– Skarbie, im więcej myślę o tym planie, tym bardziej zgadzam się z Brownie. To desperacka próba. Nawet nie mamy pewności, czy oni naprawdę są w tej posiadłości, do której cię zabieram. Może okazać się, że tylko wiozę cię na egzekucję.

Kiedy obracam się do niej, widzę w jej chabrowych oczach udrękę.

– Brownie ma rację, nie zdołam cię stamtąd wyrwać, kiedy już pozwolę ci tam wejść. Mnie nie dadzą nawet przekroczyć bramy. Tak to już z nami jest.

Chodzi jej o to, że anielice Kosiarze nie mogą tego, co anioły Mocy.

– Uważają się za jakiś elitarny klub czy co? – prychem zirytowana.

Zastanawiam się, jak w takim razie potraktują to, że do ich snobistycznej siedziby będzie dobijał się mieszaniec.

– Buns, a sądzisz, że ja mam jakąś szansę, żeby mnie wpuścili, czy też zabiją mnie poza swoim terenem? – pytam i widzę, jak blednie i rozgląda się dokoła, czy ktoś nie usłyszał, o czym mówimy.

– Nie wiem, skarbie. – Bierze mnie za rękę i wyprowadza przez drzwi. – To fatalny plan! Spróbujmy dogonić Brownie. Możemy polecieć z nimi, a potem coś wymyślimy. Russell ma rację. To misja samobójcza. Jestem idiotką. Jak mogłam pomyśleć, że coś takiego może się udać.

– Buns... – Zatrzymuję się tuż za szklanymi drzwiami. – Zrobię to, czy mi pomożesz, czy nie. Ale muszę przyznać, że twoja pomoc jest mi bardzo, ale to bardzo potrzebna. Błagam. Obiecuję, że już nigdy cię o nic nie poproszę.

– Łatwo ci będzie dotrzymać słowa, bo pewnie już nigdy cię nie zobaczę – mówi, a z oczu płyną jej łzy.

– Mówiłaś, że masz coś, co mogłybyśmy wykorzystać w walce przeciwko nim. Co to takiego? – Nie chcę, żeby dostrzegła z mojej strony jakiegokolwiek wahanie. Jeśli uwierzy, że i tak zrobię to sama, a zrobię, to jest szansa, że mi jednak pomoże.

– Mam to w samolocie. Musimy poszukać jakiegoś auta, żeby wrócić na lotnisko. – Ociera oczy.

Nie staram się jej pocieszać, bo nie mogę pozwolić sobie na to, że sama też zacznę płakać. Gdybym się rozkleiła, trudno mi będzie się pozbierać. Wkrótce udaje nam się znaleźć kogoś, kto zgadza się podwieźć nas na lotnisko.

Kiedy tylko jesteśmy w samolocie, ogarnia mnie przerażenie. Przecież straciliśmy pilota. Brownie ma poprowadzić tamtą wycarterowaną maszynę.

– Jak my tam dolecimy, Buns? Potrafisz sterować czymś takim?

Przytakuje.

– Oczywiście, skarbie, choć daleko mi do Brownie.

Przypomina mi się, jak jeździła swoją Złotą Gęsią, ogromnym złotym samochodem w Crestwood, i modłę się w duchu, żeby udało nam się bezpiecznie dotrzeć do Zatoki Świętego Wawrzyńca.

– No to jaką masz tu broń? – pytam w nadziei, że uda mi się szybko nauczyć nią posługiwać. – Sądzisz, że mogli ją znaleźć i skonfiskować? – pytam, biorąc pod uwagę, że samolot został przeszukany bardzo dokładnie, z psami i za pomocą nowoczesnych urządzeń.

Buns zerka na mnie, lekko się rumieniać.

– Skarbie, to nie ma nic wspólnego z bronią w stylu aniołów Mocy, którą trenowaliście z Zee. Miałam na myśli bardziej kobiece sposoby – mówi i obserwuje moją reakcję.

– Co takiego?

– Większość aniołów Mocy to faceci. Tobie trafiła się jedna łowczyni, ale to właściwie wyjątek. Sprawimy, że będzie im naprawdę bardzo ciężko cię zabić – mówi, a kiedy nie

odpowiadam, ciężko wzdycha. – Słuchaj, to są anioły z raju. Większość z nich od dawna już tam nie była, więc spróbujemy przypomnieć im, co tracą.

– Co ty wygadujesz?

– Podrażnimy się z nimi.

– Niby jak? – pytam zupełnie zdezorientowana. Nie wiem, co sugeruje.

Przygryza dolną wargę i rusza w kierunku szafy w głównej sypialni samolotu. Na widok tego, co stamtąd przynosi, od razu łapię, o co jej chodzi. Strój, który mi proponuje, jest – delikatnie mówiąc – nieprzyzwoity, chyba że paradowałoby się w nim po brazylijskiej plaży, ale przecież to nie Brazylia. Góra to misternie utkana z metalu miękka kolczuga. Zapinana na szyi szeroką obrozą w kolorze złota sięga mi zaledwie do żeber. Z tyłu ściąga się ją cieniutkim złotym łańcuszkiem. Plecy pozostają nagie, zresztą boki piersi też, bo z przodu zakryte jest bardzo niewiele. Do tego są odpowiednie majtki i spódniczka, jeśli można to tak nazwać, bo to tylko kwadrat z metalowej siateczki na przód i taki sam na tył. Wiąże się je ze sobą skórzanymi troczkami wplecionymi w siatkę. Boki bioder pozostają gołe.

– No nie! – wołam na widok swojego odbicia w lustrze łazienki. – Zaraz wszystko mi wychłupie z tego stanika! – Podnoszę rękę i widzę, jak piersi napierają na siatkę, żeby się spod niej uwolnić. – Wyglądam w tym jak jakiś wojowniczy elfik – dorzucam zgryźliwie.

– Aha – potwierdza Buns bardzo z siebie zadowolona. – To idealny strój. Mam jeszcze złote sandałki, będą do tego pasowały. Tak chciałam się ubrać, gdyby wpuszcili mnie przez bramę, ale nie wpuszczają.

– Nie sądzisz, że wyglądam w tym dość idiotycznie? – Ogólnie strój kojarzy mi się z kostiumami statystów z jakiejś kiczowatej hollywoodzkiej produkcji.

– A jak sądzisz, co oni tam noszą, skarbie, dzinsy i T-shirty? – Buns jest wyraźnie zniecierpliwiona. – To Boskie anioły. Są u siebie i nie muszą nic zakrywać. Niektóre w ogóle nie będą miały na sobie żadnych ciuchów, to ci gwarantuję.

– Czyli na tym tle będę aż za bardzo wystrojona? – Cała się rumienię, kiedy uświadamiam sobie, gdzie się pakuję. Muszę spuścić oczy, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo jestem zażenowana. Nie zastanawiałam się nad tym wszystkim przedtem, a teraz aż ręce mi się pocą na samą myśl.

– Nie martw się, są na ziemi już od dawna. Większość coś tam na siebie nakłada... może jakieś sarongi... – Potrząsa głową. – Jeśli już nawet z tym trudno ci sobie poradzić, to kiepsko.

– Dobra, nie ma sprawy – ucinam ostro i daję mi spokój.

– Nadal krwawisz. – Wpatruje się w krople spływające mi z szyi.

Na szczęście złota obroza przykrywa ranę. Zwijam chusteczkę i wciskam pod metal, żeby krew nie sączyła się na zewnątrz.

– To nic takiego – stwierdzam, unikając sceptycznego spojrzenia.

Nie odzywam się, kiedy przystraja mi ramiona i kostki nóg grubymi złotymi bransoletami. Potem układa mi włosy. Bierze kilka pasemek z przodu i spleta je, potem łączy z tyłu złotą

spinką, a reszcie pozwala opadać swobodnie na plecy. Kiedy dotyka mojej twarzy, odgarniając niesforny kosmyk, nieruchomieje na chwilę, po czym przykładą dłoń do mojego czoła i marszczy brwi.

– Skarbie, jesteś rozpalona... masz gorączkę.

– To pewnie tylko pozostałość po tamtym ugryzieniu. – Staram się zbagatelizować sprawę.

Nie chcę, żeby wiedziała, że czuję się coraz gorzej. Potrzebuję jej pomocy, a jeśli uzna, że jestem chora, to może zmienić zdanie i się wycofać. Udaje mi się ją uspokoić, kiedy robi lekki makijaż.

Kończy i odsuwa się ode mnie na krok, żeby się przyjrzeć swojemu dziełu.

– Świetnie. Teraz tylko musisz się zastanowić, jak wykorzystać broń, w którą cię wyposażyla. – Uśmiecha się smutno. – Postaraj się coś zjeść, zanim dolecimy. Nie powinno nam to zająć więcej niż godzinę. Nie powiadomiłam ich, że się do nich wybieramy. Po lądowaniu musimy liczyć się z wrogim przyjęciem – uprzedza z powagą.

– Dobrze. Założę się, że od dawna nie mieli okazji do walki. Na pewno wyrwiemy ich z nudy. Przecież uwielbiają wyzwania, nie potrafią się im oprzeć.

– Ależ ty się zmieniłaś, skarbie – stwierdza Buns i uważnie mi się przygląda. – Nie jesteś już tą samą dziewczyną, którą poznałam kilka semestrów temu.

– Od tamtej pory sporo się wydarzyło. Ruszajmy – ponaglam, bo nie chcę myśleć o tym wszystkim, przez co przeszłam od czasu, kiedy uważałam się za zwyczajnego człowieka.

Kiwa głową i idziemy razem do kokpitu. Buns przygotowuje się do startu, a ja siedzę w fotelu obok, kiedy ona rozmawia z wieżą. Powoli ustawia samolot na pasie, a potem w nieskończoność czekamy na zielone światło, żeby wreszcie wzbić się w powietrze.

Kiedy już lecimy, zostawiam Buns za sterami, a sama próbuję coś zjeść, ale udaje mi się tylko wmusić w siebie croissant i trochę wody. Smakuje ziemią. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś będę mogła jeść coś zwyczajnego po tym ugryzieniu Brennusa. Na myśl o nim przebiega mnie dreszcz grozy. Przerażenie, że mogłabym go jeszcze kiedyś zobaczyć, sprawia, że lęk przed tym, z czym mam się zaraz zmierzyć, wydaje się niczym. Najgorsze, co mogą mi zrobić anioły Mocy, to mnie zabić. Brennus natomiast by mnie torturował, a potem zamienił w żywego trupa... i swoją kochankę. Dostaję gęziej skórki na całym ciele, przez plecy przebiega mi dreszcz, kiedy wyobrażam sobie taką perspektywę.

Wracam do kokpitu na czas, żeby usłyszeć rozmowę Buns z kimś z wieży. Tamten ktoś mówi po francusku i sądząc po tonie, nie jest zachwycony tym, co przed chwilą powiedziała. Buns odsuwa mikrofon od ust i przykrywa go dłonią.

– Mówią, że nie wolno mi lądować na ich lotnisku... – informuje.

– Powiedz, że masz dla nich coś, na co polowali, i mów po anielsku – podpowiadam.

Wyraz twarzy mojej przyjaciółki od razu się zmienia. Buns wyraźnie się boi. Wiem, co myśli. Jeśli im to powie, nie będzie odwrotu. W gruncie rzeczy przypieczętuje tym mój los.

– Skarbie...

– Zrób to – nalegam. Kładę dłoń na jej ramieniu i lekko je ściskam. – A jeśli nadal będą się upierać, powiedz, że masz tu Nefilima, którego szukali.

Buns staje się blada jak chusta. Zdejmuje dłoń z mikrofonu i zaczyna mówić po anielsku.

Kiedy kończy, z drugiej strony zapada cisza. Czekamy kilka minut, zanim tamten ktoś odzywa się znowu: rzuca ostre polecenia.

– Każą nam natychmiast lądować – prycha zirytowana.

Jej mina wystarczy, żebym wiedziała dokładnie, co sądzi o ich bucie. Uśmiecham się do niej mimowolnie.

– Jeśli kiedykolwiek się taka stanę, masz moje pozwolenie na to, żeby mnie zastrzelić – oznajmiam cierpko.

– Jasne, spoko. – Zdejmuje słuchawki i pokazuje mi środkowy palec.

Okrażamy lądowisko. Wysokościomierz szaleje, aż wreszcie samolot dość twardo uderza o płytę. Buns popatruje na mnie z minką w rodzaju „oj, przepraszam”. Wzruszam ramionami, bo wreszcie wylądowałyśmy całe i zdrowe. Buns zatrzymuje samolot na końcu pasa i spogląda na mnie niepewnie – nikt nie powiedział nam, co teraz.

– Sądzisz, że uznają to za jakiś podstęp? – pytam.

– Możliwe. Oni wszyscy mają paranoję, ale trzeba przyznać, że to nie najlepszy pomysł podchodzić lekkim krokiem do samolotu, jeśli się nie ma pojęcia, co jest w środku – dodaje niechętnie.

– No to chyba muszę wyjść. Nie chciałabym, żeby wpadli tu jak oddział specjalny SWAT. Otworzysz mi drzwi? – Widzę niepokój w jej oczach. – Będzie dobrze... niedługo odzyskasz swojego Zee i polecicie sobie razem na jego wyspę. – Siłę się na optymistyczny ton.

– Czujesz go, skarbie?

Wiem, że chodzi jej o motylki, które fruwały mi w brzuchu, kiedy w pobliżu znajduje się Reed.

– Nie, ale jesteśmy jednak dość daleko od zabudowań.

Wyglądam przez przednią szybę: przed nami rozległa rezydencja o elewacji z piaskowca, na pokrytym trawą wzgórzu nad wodą. Słońce powoli zachodzi. Wody z trzech stron otaczające pałac mieniają się i migocą w jego promieniach niczym diamenty. Wieżyczki pokryte piękną dachówką pną się do nieba. Ciemne burzowe chmury wiszące nad pałacem kontrastują z pomarańczową poświatą nieba. Sylwetka masywnej budowli wydaje się na tym tle baśniowa, magiczna jak istoty, które w niej mieszkają.

Wydaje się przeniesiona żywcem z włoskiego renesansu. Ślady pozostawione przez wodę na piaskowcu przywodzą mi na myśl Wenecję, którą znam ze zdjęć. Tam na murach domów stojących przy kanałach podobnie zapisuje się historia zmiennych poziomów morza. Nie wiem, dlaczego zupełnie inaczej wyobrażałam sobie siedzibę aniołów Mocy. Chyba spodziewałam się czegoś bardziej w stylu wojskowej twierdzy, no ale przecież to jest coś w rodzaju zamku, nawet warowni, więc właściwie wcale nie powinnam się dziwić.

Buns wstaje. Ruszam z nią do drzwi samolotu. Otwiera je i wypuszcza schodki.

– Pójdę z tobą, skarbie – proponuje, ale kręcę głową.

– Nie, zostań tutaj. Bądź gotowa w każdej chwili odlecieć, na wypadek gdybyś musiała to zrobić natychmiast. – Ściskam ją na do widzenia, bo już dłużej nie mogę zwlekać. – Dziękuję za wszystko, Buns.

– Musisz wrócić, skarbie. Jeśli zobaczysz Zee, powiedz mu, że za nim tęsknię. – Przytula mnie mocno.

– Powiem.

Odwracam się i wychodzę z samolotu sama. Stając naprzeciw siedziby butnych aniołów Mocy, prostuję się i ruszam pewnym krokiem w kierunku okazałego zamczyska. Wiaterek od wody rozwiewa pióra moich szkarłatnych skrzydeł. Żałuję, że te skrzydła nie działają i nie mogę wykorzystać ich w tej misji, ale kiedy próbuję nimi poruszyć, udaje mi się co najwyżej trochę je rozprostować.

Kuszący zapach znad wody przypomina mi jezioro Arden w Crestwood, kiedy słońce o zachodzie zbliżało się do linii wody, żeby połączyć się niczym dwoje kochanków, którzy osobno spędzili długi dzień. Zmuszam się, żeby iść wolno. Powinam dać aniołom dość czasu, żeby zobaczyli, że nie jestem uzbrojona i przybyłam sama. A wszystko we mnie chciałoby biec najszybciej, jak potrafię, żeby odnaleźć Reeda i Zefira.

Po zejściu z porośniętego trawą zbocza wchodzę na brukowaną ścieżkę, która prowadzi do kilku kondygnacji sfatygowanych kamiennych schodów. Pną się stromo ku masywnej budowli, którą mam przed sobą. Przystaję przy ich ostatnim odcinku. Wiodą do drewnianych drzwi. Zanim stawiam stopę na kolejnym schodku, zdaję sobie sprawę, że otacza mnie co najmniej dwudziestu aniołów Mocy. I patrzą na mnie wrogo. Pojawili się bezszelestnie, nie zauważyłam ich wcześniej. Włoski na rękach mi się jeżą, kiedy słyszę groźne pomruki, i z jakiegoś powodu nie sędzę, by mówiły, że mnie kochają. Zastanawiam się, czy może powinnam coś powiedzieć, ale nie mam pojęcia co. „Zaprowadźcie mnie do swojego przywódcy” zabrzmiałoby zbyt głupio, więc improwizuję.

– Cześć. Przyjechałam zobaczyć się z Poganką. Możecie dać jej znać, że przyszłam? Nie umawiałam się wcześniej, ale sędzę, że mnie przyjmie – mówię, pozwalając im wyczuć drwinę w moim głosie. Jestem gotowa wszcząć bójkę i równie dobrze możemy zacząć już teraz. – Powiedzcie jej po prostu, że Nefilim chce się z nią widzieć.

Rozdział 16

ZAMEK

Zupełnie nie wiem, co robić dalej, ale anioły Mocy otaczające mnie na schodach do zamku nie mają takiego problemu. Niektóre ostro wydają mi jakieś polecenia po anielsku, a ja

oczywiście tego nie rozumiem. Stoję chwilę, staram się domyślić, czego ode mnie chcą, w końcu się poddaję.

– Przepraszam, nie znam waszego języka. Tylko angielski, trochę łaciny i hiszpańskiego, ale naprawdę nie jestem w nastroju, żeby odgadywać wasze intencje. Czy jest tu może ktoś, kto mówi po angielsku?

Na to odzywa się górujący wzrostem nad resztą anioł o platynowych włosach.

– Chodź. Jeśli będziesz próbowała uciec, skończymy z tobą.

– Jasne – rzucam lekko, jakby mnie to wcale nie ruszało.

Srebrzystowłosey wydaje się przywódcą tej grupy. Ma skrzydła dokładnie takie jak Zee, w ciepłym jasnym odcieniu brązu. Zgodnie z tym, co zapowiadała Buns, drągał ma na sobie tylko sarong, przez co jego skrzydła – na nagim torsie – wydają się jeszcze większe. Unoszę dumnie głowę i stoję przed frontowymi drzwiami. Z całych sił próbuję opanować bicie serca, nie powinni się zorientować, że się boję. Gdyby się domyślili, pewnie zabiliby mnie od razu, a na to nie mogę pozwolić, jeszcze nie. Muszą zrozumieć, że pomoc Reeda i Zee dla mnie nie była jednoznaczna. Potem niech ze mną robią, co zechcą.

Docieramy do szczytu schodów i wchodzę do zamku przed większością z nich. Aż się potykam, kiedy uderza mnie poczucie déjà vu. Rozglądam się i odkrywam, że jestem w renesansowej sali recepcyjnej ze snu, który miałam, kiedy byłam w tamtej górskiej miejscowości z Reedem. Ta sama sceneria. Te same kryształowe żyrandole – myślę. Misternie ułożone we wzory marmurowe posadzki i pięknie tkane dywany w kolorach czerwieni i złota idealnie pasują do obrazów i lusterek w złotych ramach – dzieł, które zdobią gładkie białe ściany.

Anioły wokół mnie są tak rozdrażnione jak tamte ze snu – to sala pełna zabójców. Sama moja obecność jest dla nich nie do zniesienia. Najdrobniejsza oznaka nieposłuszeństwa z mojej strony i rozerwą mnie na kawałki. Pięknie – parskam w duchu z sarkazmem.

Oczy wszystkich skierowane są na mnie, kiedy idę na środek i czekam obok srebrnowłosego. Anioł przystaje, żeby wytłumaczyć coś kolejnej grupie nasrożonych boskich istot. Przeszywają mnie wzrokiem i tylko czekają, żebym poważyla się na jakiś nierozważny ruch. Nie uciekam wzrokiem, patrzę im hardo w oczy, nie wolno mi okazać słabości, jeśli mam pomóc Reedowi i Zee. Gniew i strach są porażające, kiedy myślę, że ci pyszałkowaci żołnierze, którzy z góry uznają mnie za istne wcielenie zła, trzymają w niewoli Reeda.

Żeby nie dać po sobie poznać lęku, rozglądam się po sali, udając, że jestem taka jak oni, choć właściwie nie mam pojęcia, jacy są w większej grupie. Kiedy mija kilka minut i nic się nie dzieje, zaczynam się coraz bardziej denerwować, bo powinnam zbierać informacje, a nikt się do mnie nie odzywa ani nie mówi w znanym mi języku.

– Przepraszam, jak masz na imię? – zagaduję grzecznie wysokiego srebrnowłosego dowódcę.

Piorunuje mnie wzrokiem, po czym znów całkowicie mnie ignoruje.

Ach to tak? Nie wolno rozmawiać ze złym mieszkańcem? Patrę, jak udaje, że mnie nie widzi. Najlepiej zrobić coś takiego, żeby nie mógł traktować mnie jak powietrze. Powinien zobaczyć mnie w innym świetle, jak normalną istotę, nie tylko wcielenie zła. Z namysłem zagryzam dolną wargę.

– Ja mam na imię Genevieve – odzywam się znowu i widzę w jego oczach jakiś inny błysk. – Czy Poganka niedługo przyjdzie? – Usiłuję cokolwiek z niego wyciągnąć, żeby móc zaplanować, co dalej.

Nadal traktuje mnie jak powietrze, więc i ja przestaję zwracać na niego uwagę. Oglądam się na anioła, który stoi po mojej drugiej stronie. Ten też ma włosy blond, ale o wiele ciemniejsze, a jego skrzydła są jasnoszare i krótsze niż u innych. Może to znaczy, że jest młodszy od reszty.

– Cześć. – Uśmiecham się do niego i widzę jego zdumioną minę. Nie spodziewał się, że do niego zagadam. – Jestem Genevieve. A ty?

Natychmiast czuję, jak coś chwyta mnie za ramię, mocno niczym stalowe imadło.

Srebrnowłosy anioł Mocy bezlitośnie ściska moją rękę. Nachyla się do mojej twarzy i cedzi przez zęby:

– Nie odzywaj się nieproszona.

Z bólu marszczę brwi. Zbliżam twarz do jego twarzy jeszcze bardziej, tak że prawie stykamy się nosami, i syczę:

– A jak nie posłucham, to co?

Fizycznie już czuję się fatalnie. Gorączka rośnie. Coraz mniej czasu na to, żeby się przed nimi wytłumaczyć. Suchość w gardle to znak, że choroba postępuje i wreszcie mnie obezwładni. Niedługo zacznę się ślaniać na nogach. Muszę przekazać to, co mam do powiedzenia, jak najszybciej, zanim znów nie zdołam wydobyć z siebie głosu.

– Już wiem, że tutaj umrę. Im szybciej, tym lepiej. Ale muszę przekazać pewne ważne informacje Pogance, potem proszę bardzo, róbcie sobie ze mną, co chcecie.

Chyba go zatkało.

– Wszyscy się zbierają. To trochę potrwa. Zawsze to samo, każą się spieszyć, a później trzeba czekać – narzeka trochę.

Nie wygląda już na tak bardzo złego jak chwilę przedtem, a jego uścisk na moim ramieniu odrobinę zelżał. Buns ma rację, szanują siłę, gardzą słabością. Muszę być silna, inaczej po mnie.

– Dziękuję – szepczę wdzięczna za informację.

Nie umiem ukryć ulgi, na pewno widać ją w moich oczach. Anioł kiwa głową, popatrując na mnie chłodno, i puszcza moją rękę.

Przestępuję z nogi na nogę, czekam niecierpliwie. Staram się nie myśleć o Reedzie, bo jak o nim myślę, niepokój staje się nie do wytrzymania. Nie czuję jego obecności. Jeśli zrobili mu coś złego, zabiję, ilu zdołam, zanim zginę i na zawsze pochłonie mnie ciemność.

Na razie podziwiam misterne freski na suficie. Przedstawiają anioły walczące w niebiosach. Pod pewnymi względami to dość przerażające malowidło. W pełnej okazałości, ze szczegółami ukazuje, co Boskie anioły mają robić z Upadłymi. Aż się wzdrzgam, ale jednocześnie urzeka mnie ten obraz jako dzieło sztuki. Jednak nie jestem w stanie zbyt długo tak zadzierać głowy, bo tracę równowagę i nogi uginają się pod mną. Mimowolnie wyciągam rękę i lekko przytrzymuję się srebrnowłosego anioła, żeby nie upaść. Zdaje się przerażony, kiedy dotykam jego ramienia. Od razu go puszcza.

– Co z tobą? – pyta podejrzliwie, mrużąc oczy.

– Nic – odpowiadam prędko.

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów i zatrzymuje spojrzenie na szyi, tuż pod złotą obrozą.

– Krwawisz – stwierdza.

Nie może zobaczyć śladów po ugryzieniu Brennusa, są zakryte – myślę.

– To tylko drobne skaleczenie. Zdarza się. Może to podczas tego niezbyt fortunego lądowania. Nie na wszystkich rany goją się tak szybko jak na was. – Staram się zbagatelizować sprawę.

Jest zdziwiony, ale nie mówi już nic więcej na ten temat.

Przyjrzałabym się mu bliżej, żeby odgadnąć jego reakcję, ale zamieram, bo czuję w brzuchu jakieś leciutkie drgnienie. Tak drobne, że zastanawiam się, czy mi się tylko nie wydawało. Czekam w potwornym napięciu na coś więcej i zostaję nagrodzona kolejnym małym trzepotem gdzieś wewnątrz siebie. Nie potrafię się powstrzymać. Przyciskam dłoń do brzucha i oddycham z ulgą. Patrzę na anioły wokół siebie, niezdolna ukryć rozpiekającej mnie radości. On żyje... mój anioł żyje! – myślę w uniesieniu. Reed tu jest! Nie spóźniłam się.

Uśmiecham się promiennie. Srebrnowłosy patrzy na mnie, jakby mnie opętało, ale ja czuję w sobie coraz więcej motylków, więc za bardzo się nim nie przejmuję. Zaczynam odchodzić od swojej eskorty, wiedzona magnetyzmem serca. Chcę odnaleźć Reeda. Jest tutaj, gdzieś bardzo blisko, ale kiedy już mam otworzyć szerokie podwójne drzwi, które wskazuje mi intuicja, powstrzymuje mnie szorstki głos:

– A ty dokąd? – odzywa się ktoś tuż za mną.

To srebrnowłosy anioł. Zatrzymuję się, kładę dłoń na drzwiach. Tak bardzo chciałabym pchnąć je i pobiec najszybciej, jak potrafię, do Reeda. Ale wiem, że pewnie nie zdołałabym zrobić nawet kilku kroków, a już by mnie osaczyli, więc tylko opieram czoło o gładką powierzchnię.

Nie bój się łamać zasad. Ich kodeks ciebie nie dotyczy. Rób, co trzeba, nie zwlekaj, podpowiada mi wewnętrzny głos.

Odwracam się do anioła i jeszcze raz pytam:

– Jak ci na imię?

– Preben – odzywa się po chwili wahania.

Uśmiecham się na jego odpowiedź, bo oznacza, że widzi we mnie coś więcej niż diabelskie nasienie.

– Preben, muszę porozmawiać z Poganką. Nie mogę czekać dłużej. – Prostuję się i otwieram drzwi.

W jednej chwili srebrnowłosa jest obok mnie, a kilka innych aniołów zastępuje mi drogę.

– Tak ci spieszno do śmierci? – pyta, ale mnie nie zatrzymuje.

Daje znak boskim istotom przede mną. Odwracają się i prowadzą nas mrocznymi korytarzami. Na ścianach wiszą wspaniałe obrazy, tak piękne, że musiały malować je anioły. Precyzyjne, w pociągnięciach pędzla czuje się siłę i majestat, ale mogę tylko przelotnie rzucić na nie okiem. Motylki w brzuchu trzepoczą coraz gwałtowniej. Wiem, że Reed jest blisko, i upajam się oczekiwaniem na bezbrzeżną radość, która mnie ogarnie, kiedy go zobaczę.

Długie korytarze wiją się po zamku w nieskończoność. Wreszcie Preben wprowadza mnie do okrągłej komnaty o wysokim sklepieniu. Jest tak ogromna, że dałoby się w niej organizować turnieje powietrzne; sufit ginie gdzieś tam hen. Salę wieńczy szklana kopuła na wysokości kilku pięter nad nami. Kiedy spoglądam w górę, zdaje się, że gwiazdy, którymi usiane jest niebo, są tuż za szybami sklepienia. Patrzę z zachwytem.

– Niesamowite – szepczę do Prebena. Pomału wchodzę w głąb sali.

Preben jest zdezorientowany, poznaję to po wyrazie jego srebrzystoblękitnych oczu. Nie potrafi mnie rozgryźć.

Ignoruję jego spojrzenie i rozglądam się za Reedem i Zee. Reed musi być teraz naprawdę blisko, ale jest tu tyle aniołów, że trudno będzie znaleźć kogoś w tym tłumie, nawet jak się ma taki motylkowy radar jak ja. To arena z setkami miejsc, rozmieszczonymi ściśle rząd za rządem, niemal do samej szklanej kopuły. Grupy aniołów przelatują z sektora do sektora, pilnie o czymś rozprawiając w swoim języku, więc sala rozbrzmiewa jakby różnymi symfoniami granymi jednocześnie. Pięknie utkane gobeliny pokrywają ściany – w jaskrawych kolorach przedstawiają sceny walk stoczonych przez anioły na ziemi i w niebie. Przy nich obrazy Boscha, które tak wielbię, wydawałyby się prymitywne.

Kiedy zbliżamy się do środka komnaty, symfonie cichną, a z trybun tego gigantycznego ula rozlegają się wrogie pomruki. Znów dostaję gęsiej skórki na rękach, ale zamiast strachu czuję przemożny gniew. Męczy mnie już to bezzasadne napiętnowanie, chcę jak najszybciej powiedzieć to, co zamierzałam, i z głowy. W skroniach pulsuje mi od gorączki, ale motylki w brzuchu pomagają mi jakoś ścierpieć fizyczny ból, który trawi całe moje ciało.

– Lepiej było poczekać dłużej w części recepcyjnej. Teraz musisz wysłuchiwać ich ryków – mówi mi do ucha Preben.

Rozgląda się po zgromadzonych. W niektórych sektorach tłum jest dość wrogi, ale w innych anioły zdają się zaszokowane i tylko wymieniają niespokojne spojrzenia.

– Chcesz powiedzieć, że na mnie tak warczą? – Udaję zdumienie. – A może są przewrażliwione na punkcie mody i nie podoba im się mój strój – rzucam beztrosko.

– Co by się tu miało nie podobać?

Uśmiecha się, z aprobatą mierząc mnie wzrokiem, po czym prowadzi na środek sali, gdzie jest coś w rodzaju sceny dla „oskarżonych”. To trochę teatralne, ale skoro chcą mieć widowisko, muszę się dostosować.

Preben nadal stoi u mojego boku, razem z kilkoma innymi aniołami Mocy. Chyba czekamy, aż zapełnią się miejsca na platformie położonej wyżej niż nasza. Najwyraźniej tam ma się zgromadzić coś w rodzaju trybunału. Jestem nieco zaskoczona, sądziłam, że będę mówić tylko do Poganki, ale najwyraźniej jest inaczej.

– Czeka mnie sąd? – pytam szeptem Prebena. Wzrusza ramionami, nie wyjaśnia mojej sytuacji. – Jakie mam prawa?

Na jego wargach pojawia się ponury uśmiech.

– Nie masz żadnych praw – odpowiada poważnie. Nie patrzy na mnie, ale na wprost przed siebie.

Czuję się tak, jakby dźgnął mnie prosto w serce.

– Nawet jeńcy mają prawa według konwencji genewskiej – rzucam cicho i widzę, jak się krzywi.

– W naszej wojnie jeńcy to rzadkość, a ci nieliczni mają wyłącznie jedno prawo: modlić się o śmierć.

– Ohyda. Dlaczego nie mogłam urodzić się jako zwyczajny człowiek? W następnym życiu będę na to nalegać. Nigdy więcej tego gównianego ewoluowania. Nikt nie chce cię słuchać i wszyscy biorą cię za potwora. Strasznie męczące – paplam ze znużeniem i widzę, jak z trudem powstrzymuje śmiech. – Wiesz, Preben, czego najbardziej nie znoszę?

Jego szare oczy mieniają się iskierkami rozbawienia, kręci głową.

– Nienawidzę, kiedy tak się ze mnie śmiejecie, jakbym robiła sobie żarty. To nie jest zabawne.

Kilku z pilnujących mnie aniołów Mocy zaczyna chichotać, ale Preben bardzo się stara zachować powagę, choć kąciki jego ust drgają. Decyduję, że nie będę już o nic pytać. Bo po co? I tak nic mi nie powiedzą.

Nadal od czasu do czasu słyhać jakieś wrogie okrzyki z góry. Rozglądam się w poszukiwaniu Reeda, ale na trybunach go nie ma. Na bank. Choć głęboko wierzę, że jest blisko. Musi wiedzieć, że tu jestem. On pewnie też wyczuwa moją obecność. Ciekawe, co teraz myśli. Zamykam oczy i skupiam się na tańczących mi w brzuchu motylach.

Na balkonach robi się poruszenie, kiedy nadlatują jakieś inne anioły i zajmują miejsca na ławie naprzeciwko mnie. To się dzieje tak szybko. Przed chwilą ich nie było, a teraz już siedzą i wpatrują się we mnie. W takiej sytuacji spodziewałabym się starszyny, która miałaby osądzać moje zbrodnie. Tymczasem mam przed sobą uderzająco młode i piękne twarze.

Bardziej przypominają elitarny studencki samorząd, który się zebrał, żeby przedyskutować dekoracje na bal, a nie decydować, czy jestem Nefilimem, członkiem armii Upadłych, czy też czymś zupełnie innym. No, może nie jest to najlepsze porównanie, bo jako

studenci byliby trochę bardziej ubrani, mieliby na sobie coś więcej niż te sarongi. Wyglądają więc raczej na jakąś doborową męską drużynę pływacką, której członkowie poowijali się w ręczniki i usiedli naprzeciwko mnie.

Liczę, ilu ich jest. Dziewięciu. Wszyscy to anioły Mocy, sądząc po skrzydłach w różnych odcieniach szarości, brązu i zieleni. Jedno jest pewne: żaden z nich nie wygląda na choćby trochę znudzonego.

– Kim oni są? – pytam szeptem Prebena.

Po jego uśmiechu nie ma już śladu. Srebrzystowłosa wydaje się śmiertelnie poważny. Przebiega wzrokiem siedzących od lewej do prawej.

– To rada wojenna – odpowiada po chwili.

– A ich imiona?

Marszczy brwi, nie wie, czy powinien mi mówić.

– Lepiej pozwól im zadawać pytania. Staraj się nie przerywać – mruczy pod nosem, jakbym była niegrzecznym dzieckiem, które wystawia na próbę jego cierpliwość.

Naburmuszam się.

– Świetnie. Zobaczymy, jak ja ci pomogę, kiedy to ty staniesz przed sądem – rzucam kąśliwie i widzę, że znów z trudem tłumi uśmiech.

Wygląda tak, jakby zastanawiał się nad tym, o co pytałam. W końcu wzrusza ramionami i wskazuje na anioła o bladej cerze i ciemnobrązowych skrzydłach.

– Ten po lewej to Yesan. Obok niego jest Andor, potem Alvar.

Ci dwaj na „a” wyglądają niemal identycznie. Bajkowo. Obaj mają długie blond włosy związane z tyłu i wielkie piwne oczy. Ich oliwkowe skrzydła w paseczki koloru khaki przypominają kamuflujące drelichy wojskowe. Przychodzi mi na myśl, że byliby zabójczo skuteczni w lasach, w których ćwiczyłam z Russellem. Nie dałoby się ich zauważyć, zanim byliby całkiem blisko, i pewnie o to chodzi. Sądziłabym, że to bliźniaki, ale już wiem, że to niemożliwe, bo oni są tworzonymi, nie rodzą się jak ludzie... tak jak ja się urodziłam.

– Następnym jest Ursus – ciągnie pewnie Preben.

Ursus – wielki jak niedźwiedź, od którego pochodzi jego imię. Ma ciemną skórę i tak gładką, tak idealną, że na pewno inne niebiańskie istoty muszą mu zazdrościć urody. Jego skrzydła są pastelowszare na poszyciu, dopiero parę centymetrów od brzegu stają się ciemne, co tworzy niesamowity, cudowny kontrast z jego cerą.

– A za nimi Gunnar i Cillian. – Preben urywa, potem przesuwa wzrok w prawo. – Dalej Reign, potem Shaw, a ostatni siedzi Rio.

Reign i Shaw są szatynami o jasnobrązowych skrzydłach. A Rio jest niewiarygodnie przystojny. Ma czarne włosy i kruczoczarne skrzydła, może nawet o ton ciemniejsze od tych Reeda. Ciemne, wielkie oczy i oliwkowa ogorzała cera sprawiają, że wygląda na Latynosa albo Hiszpana.

– Dziękuję – mruczę do Prebena. Usiłuję zapamiętać wszystkie imiona.

Członkowie rady czekają, aż zebrani się uciszą, potem ten pośrodku zaczyna coś mówić po anielsku. Słucham pięknych kadencji jego śpiewnego głosu, ale zupełnie nic nie rozumiem. Chyba mam coraz wyższą gorączkę, bo znów odpływam gdzieś daleko stąd, niczym unoszona wiatrem. Lekki kuksaniec Prebena sprawia, że podnoszę na niego wzrok. Widzę jego nachmurzoną minę i w odpowiedzi marszczę brwi tak samo jak on.

– Cillian pytał, jak masz na imię – burczy surowo.

Staram się skupić na trybunale, który mam przed sobą, odchrząkuję i mówię:

– Przepraszam, ale nie znam waszego języka. Nazywam się Genevieve Claremont.

Od razu widzę, że mi nie wierzą. Sądzą, że wszystko doskonale rozumiem, bo Cillian znów przemawia do mnie po anielsku. Wsłuchuję się uważnie, próbując coś z tego wyłowić, jakąś znajomą frazę lub słowo, ale to brzmi dla mnie tylko jak muzyka. Znów gdzieś odpływam, więc Preben raz jeszcze szturcha mnie łokciem. Patrzę na niego pytająco.

– Chcą wiedzieć, ile masz lat i skąd pochodzisz – tłumaczy.

– Aha, osiemnaście i pochodzę spod Detroit, w stanie Michigan... z Ziemi – informuję trybunał.

Wszyscy w ławie sędziowskiej patrzą na mnie ze złością. Zaciskam pięści, żeby nie skulić się ze strachu. Muszą mnie szanować, bo jeśli okażę słabość, rozniosą mnie na proch i nie zdołam ocalić moich aniołów.

Cillian znów zwraca się do mnie po anielsku, a ja stoję na podwyższeniu coraz bardziej zrezygnowana. To naprawdę nie do zniesienia, że te niebiańskie istoty biorą mnie za kłamcę. Rzucam okiem na Prebena w nadziei, że mi będzie tłumaczył, ale zanim może się odezwać, Cillian przechodzi na angielski.

– „Osiemnaście” mówisz? Osiemnaście lat? – pyta gniewnie.

– Tak, osiemnaście lat. – Po wyrazie jego twarzy poznaję, że to dla niego nie do pojęcia. Uważają, że strasznie kłamię. Przez chwilę naradzają się po anielsku.

Kolejny członek trybunału zwraca się do mnie w ich języku. Jego mina wskazuje na to, że mnie za coś ochrzania. Język jest jednak tak piękny, że nie za bardzo się martwię tym, cokolwiek mówi. Kiedy kończy, spoglądam na Prebena, ma ponury wyraz twarzy.

– Co on powiedział?

– Że jeśli nie przestaniesz kłamać, będą zmuszeni oderznąć ci skrzydła.

Cała krew odpływa mi z twarzy. Mam wrażenie, jakby kopnął mnie w brzuch.

Chyba nie miałam racji, że Boskie mogą co najwyżej mnie zabić – myślę, krzywiąc się lekko.

– Powiedz mi jeszcze raz, jak ten anioł ma na imię? – Siłę się na spokój.

– Gunnar.

– Gunnarze, rób, co chcesz, pod warunkiem, że najpierw mnie wysłuchasz – cedzę przez zęby. – Jeszcze kilka miesięcy temu sądziłam, że jestem zwyczajnym człowiekiem. Dorastałam w małym mieście i wokół mnie nie działo się nic specjalnego. Wyjechałam na studia i tam zaczęły mnie dręczyć koszmarnie sny... prorocze, później... wyostrzył mi się

sluch i wzrok i nagle mogłam biec szybko jak wiatr. Potem stało się coś najbardziej zdumiewającego. Wskoczyły mi te czerwone skrzydła. Nie wiem, skąd jestem, poza tym, że moja człowiecza matka zmarła, kiedy mnie rodziła, a mną zaopiekował się cudowny człowiek, mój wujek. – Urywam i czekam, że może coś powie, ale milczy, więc ciągnę: – Spotkałam dwa Boskie anioły. Nie miały zamiaru mi pomóc. Tak naprawdę z początku chciały mnie zabić. Nie potrafiłam im nic powiedzieć na temat swojego ojca, bo nigdy go nie poznałam. Nie wiem, czy jestem dzieckiem Upadłego, czy kimś innym. Obserwowali mnie więc... Mówili, że jeszcze nigdy kogoś takiego nie widzieli. Może jestem archetypem, czymś zupełnie nowym. Nie wiem. Musicie to osądzić sami. Ale te Boskie anioły chroniły mnie tylko przed Upadłymi. Te uważają mnie za zagrożenie, a niektóre polują na moją duszę.

Trybuny znów wypełnia gwar, przeplatają się symfonie dźwięków, kiedy wzburzeni zebrani wymieniają uwagi na temat tego, co powiedziałam.

Czekam, aż się uciszą.

– Nie kojarzę dokładnie, co to znaczy Nefilim. Poganka tak mnie nazwała i groziła, że wyrwie mi złe serce, więc przed nią uciekłam. Nie chciałam umierać – wyjaśniam. Staram się skupić, ale robi się dziwnie gorąco i wszystko wiruje mi przed oczami. – Ale teraz wiem, że są gorsze rzeczy niż śmierć. Dlatego tu przybyłam. Anioły, które uważacie za zdrajców, tylko mnie obserwowały, żeby przekonać się, czy jestem zła. Chroniłyby świat przede mną, gdybym im nie uciekła.

Zaczynają się naradzać. Żałuję, że nie ma tu choć trochę wody, bo w gardle zupełnie mi zaschło. Kiedy kończą te swoje dyskusje, o czymkolwiek tam były, skupiają uwagę na drzwiach za nami. Po chwili na podwyższenie obok mnie wskakuje Poganka. Mierzy mnie gniewnym wzrokiem od stóp do głów. Wygląda tak, jak ją zapamiętałam, z krótko przystrzyżonymi brązowymi włosami i skrzydłami. Jest ode mnie dużo wyższa i robi wrażenie równie silnej jak jej mężczy odpowiednicy. Ma na sobie strój podobny do mojego, ale jej kolczuga jest ze stali, na pewno mocniejszej i twardszej niż złoto.

Mrużę oczy i z gniewną miną prowokująco przybliżam twarz do jej twarzy. Zrobię jej takiego Bruce'a Lee, że polecą jak długa z tej platformy. Szybko rozważam, jak ją zabić. Który sposób najlepszy z tych, co przychodzą mi do głowy.

Preben najwyraźniej odgadł, co zamierzam, bo chwytą mnie za ręce i przytrzymuje, na wypadek gdybym się zdecydowała zaatakować.

Poganka jest trochę zaskoczona. Ciekawe dlaczego. Czy przeczuwa, że jestem gotowa jej dokopać, czy też chodzi o coś innego. Cofa się o krok i odwraca do trybunału. Kiedy mówi coś do nich po anielsku, obserwuję ich twarze. Uważnie słuchają każdego słowa. Potem wszyscy gapią się na mnie wyraźnie zdumieni. Oglądam się na Prebena, który znów walczy, żeby się nie uśmiechnąć, i rozluźnia uścisk na moich rękach, ale całkiem mi nie odpuszcza.

Nachyla się do mojego ucha i pyta cicho:

– Jakim cudem ktoś taki mały jak ty może przegonić w pełni rozwiniętego anioła Mocy?

– Zdziwiłbyś się, do czego jest się zdolnym, jeśli się ma właściwą motywację – mruczę pod nosem, a Preben lekko się uśmiecha.

Odzywa się do mnie Ursus. Tym razem po angielsku.

– To, co mówisz, wydaje się nam bez sensu – stwierdza stanowczo, a jego szarogłębie skrzydła drżą ze wzburzenia. – Skoro uciekłaś aniołom Mocy, to co cię tu dziś sprowadza? – pyta.

Uświadamiam sobie, że naprawdę muszę bardzo uważać, co teraz powiem, bo stąпам po kruchym lodzie.

Nie wolno mi zdradzić, że kocham Reeda i właśnie dla niego tu jestem. To mogłoby tylko bardziej mu zaszkodzić.

– Przyjechałam z kilku powodów. Po pierwsze zależy mi, żebyście się przekonali, że nie jestem Nefilimem. Żebyście zobaczyli, jaką zagadką mogę być dla każdego anioła, który mnie spotka. – Obserwuję ich twarze, żeby się upewnić, czy rozumieją. – W pierwszym odruchu chcielibyście mnie zabić, ale jeśli przyjrzyjecie się dokładnie, zobaczycie, że poza niebezpieczeństwem reprezentuję coś jeszcze, co jest dla was pociągające. – Używam słów Buns, które usłyszałam od niej w tamtej górskiej miejscowości. – Czy naprawdę możecie winić jakiegoś anioła za to, że nie wiedział, jakich zasad powinien się trzymać w stosunku do mnie? – pytam, a z galerii nade mną znów dobiega szmer ożywionych głosów.

Członkowie trybunału chwilę milczą, wyraźnie muszą przetrwać to, co usłyszeli.

– A z jakiej jeszcze innej przyczyny tu jesteś?

– To nieco trudniej wyjaśnić, Ursusie, ale pozwól, że spróbuję. Kiedy opuściłam parasol ochronny boskich aniołów Mocy, nie zauważyłam, że śledzi mnie jeden z Upadłych. Ma na imię Alfred, to Kosiarz. Od pewnego czasu czyhał na moją duszę i wpadł na pomysł, jak może ją zdobyć. Opowiedział o mnie klanowi Gankanagów, a oni zdecydowali, że zrobią mnie jedną z nich. W ten sposób zostałabym pozbawiona duszy i Alfred mógłby ją sobie wziąć.

Urywam, bo robi się tak cicho, że słychać by było upadającą szpilkę. Dłonie Prebena zaciskają się mocniej na moich ramionach. Oglądam się i widzę jego gniewną minę.

Ponieważ nikt się nie odzywa, mówię dalej.

– Udało mi się uciec Gankanagom, ale nie mam już złudzeń. Jestem pewna, że mnie odnajdą, i wiem, że jeśli jeszcze raz zostanę ugryziona, nie ma sposobu, żebym zdołała się im oprzeć. I na pewno skończę jako jedna z nich. Zrozumiałam, że jeśli mnie dopadną, stanę się zimnym, bezdusznym potworem bez szans, by kiedykolwiek dostać się do rajy. Byłabym też wrogiem dla aniołów, które kiedyś próbowały mi pomóc. – Na chwilę milknę, po czym dodaję: – Wiem, że na mnie polujecie i nie mogę was prosić o ochronę, ale pomyślałam, że jeśli tu się pojawię, zabijecie mnie, a wtedy przynajmniej moja dusza trafi do nieba. Sami widzicie, cokolwiek zrobię, jestem skazana na śmierć. Ale jeśli to nastąpi tutaj, przynajmniej istnieje szansa, że dostanę się do rajy, nie pójdę do piekła.

Na trybunach nade mną znów robi się dzikie zamieszanie. Tym razem radzie dość długo nie udaje się uciszyć zebranych.

Kiedy wreszcie jest jakiś spokój, trybunał odbywa krótką naradę.

– Prosisz więc, byśmy wypuścili twoich przyjaciół, a ciebie zabili? – pyta po namyśle Ursus.

Oddycham z ulgą, oglądam się na Prebena i uśmiecham do niego. On jednak wcale nie zmienia ponurego wyrazu twarzy na moją uwagę:

– Nareszcie ktoś słucha tego, co mówię.

Potem głos zabiera Poganka. Melodyjne frazy płyną z jej ust niczym kantata.

– Co ona powiedziała? – zwracam się do Prebena.

– Tak ogólnie... po prostu nazwała cię kłamczuchą – odpowiada, patrząc na mnie ze złością.

– Masz jakikolwiek dowód, że Gankanagowie nadal istnieją? Od dłuższego czasu już ich nie widzimy – atakuje mnie zjadliwie Gunnar. Najwyraźniej bierze stronę Poganki.

– Dowód. Tak... mam dowód. – Odsuwam złotą obrożę na tyle, żeby rada zobaczyła rany klute na mojej szyi, które uporczywie nie chcą się zasklepić. Muszą wyglądać naprawdę paskudnie, bo członkowie trybunału krzywią się z niesmakiem, a ja się rumieniem zawstydzona, że pozwoliłam Brennusowi coś takiego sobie zrobić. – To się nie goi. Inne skaleczenia natychmiast u mnie znikają, ale te nadal krwawią... Znowu zaczynam się czuć fatalnie, tak jak bezpośrednio po ugryzieniu.

– Kiedy to się stało? – pyta ostro Rio, a jego ciemnoszare skrzydła nieruchomieją, kiedy w napięciu czeka na odpowiedź.

– Nie jestem pewna. Jakoś... wczoraj wieczorem. – Dostaję gęziej skórki na rękach, kiedy przypomina mi się to, co przeżyłam niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Mimo wszystko wolę już tutejsze piekło od tamtego. – Brennus ugryzł mnie dwa razy, bo nie chciałam pić jego krwi. Ich ukąszenia mnie boją, ponieważ jad w ich skórze na mnie nie działa. Nie reaguję na ich dotyk. – Ocieram dłonią szyję, na palcach zostają mi czerwone smugi.

Mocno krwawię, aż dziwne, że wcześniej tego nie zauważyli.

– Wiem, że następnym razem, jak mnie ugryzie, w końcu ulegnę i napiję się jego krwi... choćby dlatego, że w malignie nie zdołam się dłużej opierać.

– Gdzie oni stacjonują? – pyta Yesan, a jego brązowe skrzydła rozkładają się, jakby zamierzał natychmiast tam lecieć, kiedy tylko się dowie, gdzie ich znaleźć.

Zaczynam widzieć wszystko jak przez mgłę, ale staram się zachować przytomność na tyle, żeby odpowiadać na pytania.

– Pod Houghton, na Górnym Półwyspie w Michigan. Mogę pokazać na mapie. Wywiercili tunele przy starej kopalni miedzi i przekształcili ją w przytulne siedlisko. Myślę, że swoje ludzkie ofiary przywożą drogami wodnymi z Houghton i Marquette. Powinniście szukać Brennusa de Grahama.

Nie wymieniam imienia Finna. Nie potrafię go wydać... Jego im nie wskażę.

Członkowie rady nie wytrzymują. Wszyscy, jeden przez drugiego, zasypują mnie gradem pytań na temat Gankanagów. Niektórzy mówią po anielsku, inni po angielsku. Przez gwar przebija się donośny głos Poganki.

– Po co Gankanagowie mieliby cię zamieniać w jedną z nich? Nie jesteś nimfą ani elfem.

– Rzuca mi pogardliwe spojrzenie, jakby tylko czekała, żeby wreszcie móc wyrwać mi serce.

– Wiesz, sama długo się nad tym zastanawiałam, kiedy trzymali mnie w podziemnej celi. Dlaczego ja? Dlaczego właśnie na mnie im tak zależy? – W sali znów robi się cicho jak makiem zasiał. – Pytałam o to Brennusa, a on zapytał, jak sądzę, jak długo zdołałabym przetrwać na świecie bez jego ochrony. Powiedział, że może dokonać mojej przemiany, stanę się przyjaciółką Upadłych. A wtedy każdy Boski anioł, który by się ośmielił mnie nękać, boleśnie się przekona, co naprawdę znaczy „strach”. Chce, żebym została jego kochanką na wieki. Żywym trupem. – Zebrani z zapartym tchem słuchają każdego mojego słowa. – Uważa to za akt łaski ze swojej strony. Większość aniołów mnie nienawidzi, a on sprawi, że stanę się kimś innym. Uświadomił mi coś, czego wcale nie chciałam wiedzieć. Przekonał mnie, że mogę liczyć tylko na okrutne, bolesne rozwiązanie. Nie ma dla mnie litości. Teraz rozumiem to aż za dobrze. Jak sądzę, odpowiedziałam już chyba na wszystkie wasze pytania. Przywiozłam ze sobą anielicę z Kosiarzy. Zależy mi, żeby to ona negocjowała prawo do mojej duszy, jeśli nie macie nic przeciwko temu, oczywiście. Jestem zmęczona i chora, czuję się fatalnie. Pragnę już odejść. Nie zwlekajmy więc. Może po prostu... – Ale nie mogę skończyć, bo motylki w brzuchu zaczynają wirować jak szalone. I ktoś pojawia się w polu mojego widzenia. – Reed – szepczę jego imię niczym modlitwę.

Wygląda groźnie i dziko, jakby miał rozszarpać mnie na kawałki. Surowo mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Dokładnie przygląda się mojemu strojowi. Jego spojrzenie zatrzymuje się na szyi, która nadal mocno krwawi. Podobnie jak jego naga pierś ze śladami cięć i zadrapań. Ręce mi drżą, kiedy dociera do mnie, że to rany od noża albo innego ostrego narzędzia. Reed odwraca ode mnie oczy i patrzy wściekle na Prebena, bo ten nadal przytrzymuje mnie za ramiona. Piorunuje go wzrokiem i wydaje z siebie niski pomruk. Dopiero teraz dostrzegam, że ściska w dłoni nóż. W jednej chwili Preben wpycha mnie za siebie i potężnym ciałem osłania przed moim aniołem.

– Nie! – wołam błagalnie.

Wychodzę zza Prebena. Rozkładam ręce, żeby ich powstrzymać, bo mam wrażenie, że zaraz rzucą się na siebie. Obracam się do Reeda tyłem i przerażona podnoszę wzrok na Prebena.

– Spokojnie! Reed nie zrobi mi krzywdy – zapewniam. Zanim znów robię zwrot, dostrzegam, że z Reedem jest Zee.

Obaj są poranieni i cali w sińcach, a Zee dzielnie stawia opór z dwudziestu aniołom Mocy, którzy ostrożnie próbują ich osaczyć od lewej i prawej strony. Jednak Reed nie zwraca uwagi na żadnego z nich. Jest skupiony wyłącznie na mnie. Patrzy, jakby miał zabić.

Unoszę drżącą dłoń, by powstrzymać Mocnych, którzy starają się otoczyć Reeda i Zee. Rzucam im błagalne spojrzenia, żeby zatrzymali się choć na chwilę.

– Proszę, powstrzymaj ich na moment – zwracam się do Prebena. – Ja wszystko wyjaśnię.

Nie czekam, czy wyda im rozkaz, tylko niepewnym krokiem zbliżam się do Reeda. W wyrazie jego twarzy jest coś pierwotnego, jakby nie kierowały nim uczucia wyższe, ale jedynie instynkty.

Najpierw dociera do mnie, że potwornie ciężko oddycha. Tak jakby z bólu nie był w stanie zaczerpnąć dość tchu. Męka, jaką widzę w jego twarzy, prawie zwała mnie z nóg. Wyciągam do niego drżącą dłoń. Łapie moją rękę i przyciąga mnie do siebie tak mocno, jakby chciał mnie udusić.

– Nie odejdiesz beze mnie – szepcze mi do ucha.

Musiał słyszeć, co mówiłam... Czy cały czas był gdzieś blisko? – zastanawiam się.

– Ile z tego słyszałeś? – pytam w nadziei, że oszczędzona mu była część o Brennusie.

– Wszystko. – Wtula twarz w moją szyję.

Obejmuję go jeszcze mocniej, żeby o tym zapomniał, tak samo jak staram się, na próżno, wymazać ze swojej pamięci obrazy tego, co ostatnio przeżyłam.

Spoglądam w błękitne oczy Zefira, który stoi za Reedem. Wygląda na zupełnie wyczerpanego, jakby dał już z siebie wszystko, żeby tu dotrzeć. Ciężko dyszy, powoli cofając się do nas. Wyciągam do niego rękę, bierze ją i obejmuje nas razem, mnie i Reeda.

– Zee, Buns tu jest. Czeka na ciebie w twoim samolocie. Kazała mi powiedzieć, że za tobą tęskni. Może cię oswobodzą, skoro mają już mnie – mruczę cicho.

W niebieskich oczach Zee widać głęboki smutek, ale nic na to nie mówi. Po chwili nas puszcza. Reed jednak nadal trzyma mnie w żelaznym uścisku. Gdzieś w tle słyszę melodyjny niski głos Poganki – coś wyjaśnia członkom rady i stara się ich usilnie o czymś przekonać. Zamknięta w objęciach Reeda czuję, jak jego ciało nagle tężeje. Mruży oczy, robią się wąskie jak szparki. Jest skupiony na tym, co mówi Poganka. Obserwuje ją tak, jakby zaraz miał się na nią rzucić. Jak gdyby szykował się do ataku – wyłapuje wszelkie jej słabości i układa sobie po kolei w głowie.

– O co jej chodzi? – Przyciskam Reeda do siebie, żeby go do niej nie puścić.

– Prosi się o śmierć – odpowiada spokojnie, jakby wszystko już sobie dokładnie zaplanował.

Odzyskuje jasność myślenia, analizuje na chłodno każdy szczegół sytuacji. Obserwuje kilka planów jednocześnie – radę, Pogankę, tłumy na trybunach, Prebena i moją eskortę, która jak dotąd nie próbuje nas rozdzielić. Preben też słucha uważnie Poganki. Każde jej zdanie wywołuje grymas na jego twarzy.

A ona jest wyraźnie zadowolona z siebie. Rada wojenna dyskutuje nad czymś, ale jakoś nie mogą dojść do porozumienia. Szczególnie Cillian i Gunnar kłócą się ze sobą zażarcie. Rzucam okiem na Reeda, żeby wyczytać coś z jego twarzy. Przygląda się Pogance, coraz bardziej pewny swego.

– Co? Co się dzieje? – pytam, ale Reed tylko przygarnia mnie mocniej do swojego boku i hipnotycznie gładzi pióra moich skrzydeł. To wywołuje we mnie totalnie zwariowane reakcje.

Gunnar wygrywa spór z Cillianem i mówi coś bezpośrednio do Poganki. Zimne, taksujące spojrzenie zastępuje jej uśmiech samozadowolenia, kiedy odwraca się od rady do mnie. Przygląda mi się jak drapieżnik ofierze. Przed chwilą podobnie patrzył na nią Reed. Dostaję gęsiej skórki na rękach, przebiega mnie dreszcz. Ale zaraz mrużę oczy i teraz to ja zaczynam się w nią wpatrywać. Wyłapuję wszystkie słabe strony, jakie tylko udaje mi się dostrzec.

Reed odzywa się po anielsku. Po raz pierwszy zwraca się do rady. Ponieważ nic nie rozumiem, patrzę na Zefira i próbuję odgadnąć, co o tym sądzi. Zee wydaje się zachwycony. Rzucam okiem na Prebena, który spogląda na Reeda z coraz większym szacunkiem, a zarazem rozbawieniem. Poganka z kolei już nie robi wrażenia tak nadętej. Jak gdyby słowa Reeda zupełnie ją rozstroili.

Cillian uśmiecha się i kiwa głową. Gunnar ma obrażoną, gniewną minę. Ni stąd, ni zowąd Reed coś wykrzykuje. Aż się kulę, bo się tego nie spodziewałam... To jakieś słowo po anielsku. Nie mam pojęcia, co znaczy, ale Zee wznosi ten sam okrzyk... Potem Preben, na co Reed unosi głowę i powarkuje na niego groźnie, przytulając mnie do siebie mocniej. Srebrzystowłosa wcale się tym nie przejmuje. Uśmiecha się tylko i puszcza do mnie oczko. I wtedy dzieje się coś najbardziej zdumiewającego. Z trybun rozlega się ten sam okrzyk, który wznosił Reed. Dźwięczy ze wszystkich poziomów i stron.

Reed, trochę zaskoczony, rozgląda się dokoła, obraca do mnie. Widzi, że totalnie nie kapuję, o co chodzi, delikatnie ujmuję mnie więc za ramiona i wyjaśnia:

– Poganka wyzywa cię na pojedynek, starcie wręcz, na tej arenie. To ma być walka na śmierć i życie.

Ogarnia mnie przerażenie, kiedy patrzę na Pogankę, choć ta wcale już się tak nie puszy. Reed bierze mnie za brodę, żebym znów na niego spojrzała. Skupiam się na jego pięknych zielonych oczach i staram się skoncentrować na tym, co mówi.

– Ma prawo cię wyzwać, bo to ona cię ścigała. To jej misja i nie chce z niej zrezygnować, choć nie zostało dowiedzione, że jesteś zła. Jednak, jako Serafin, możesz wskazać mistrza, który będzie walczył zamiast ciebie, bo jesteś wyższą rangą od anioła Mocy i nie należysz do Upadłych. – Uśmiecha się do mnie i odgarnia mi włosy za ucho.

Znalazł jakąś lukę w zasadach na moją korzyść. Nie jestem Upadłym i nie są w stanie dowieść, że jestem zła.

– Czyli mogę sobie wybrać, kto ma walczyć za mnie? – pytam lekko zdezorientowana.

– Nie. Możesz wybrać tylko mnie – odpowiada łagodnie.

– Może wskazać każdego, kto krzyknął słowo „mistrz” – wtrąca się Preben. – A sądzę, że to pewnie wszyscy w tej sali, więc właściwie ma prawo wybrać, kogo tylko zechce – precyzuje.

– Nic z tego – oponuje twardo Reed. Znów kieruje moją brodą tak, żebym patrzyła mu w oczy. – Możesz wybrać tylko mnie. Zasłużyłem sobie na to, by o ciebie walczyć. Nie pozwolę, abyś oddała swoje życie w ręce kogoś innego. Musisz wybrać mnie...

Cała zamieram.

– Dam radę sama z nią walczyć... Tylko żeby mi pozwolili trochę odpocząć. Trenowałam i jestem już dość dobra – zapewniam.

Lekko chwieję się na nogach. Sala wiruje mi przed oczami i wszystko zdaje się jakieś nierealne, jakby to był jakiś zwariowany koszmarny sen, z którego lada chwila się obudzę. Reed wyraźnie zaniepokojony przykładą mi dłoń do czoła. Jego chłodny dotyk jest tak przyjemny, że chciałabym, by już nigdy nie cofnął ręki.

– Genevieve... – Jego głos brzmi surowo.

Kręci głową. Najwyraźniej nie odpuści. Będzie walczył za mnie. Oglądam się na Zee, a ten daje mi znak, że jeśli wiem, co dla mnie dobre, powinnam wybrać Reeda.

– Ale... Nie mogę żyć bez ciebie. Próbowалам, ale to było tak, jakbym powoli umierała, dzień po dniu – szepczę i widzę, jak patrzy na mnie łagodniej. Znów ściska mnie bardzo mocno, aż brakuje mi tchu. – Co mam zrobić, żeby wybrać ciebie? – pytam cicho.

– Po prostu wypowiedz moje imię – szepcze.

Czuję jego oddech na swojej szyi. Głos ma tak zmysłowy, że nie potrafię mu się oprzeć.

– A oni mnie zabiją, jeśli zginiesz? – upewniam się, bo muszę wiedzieć, czy pójdę za nim, jeśli przegra.

– Tak, ale ja zwyciężę – oznajmia bez cienia wątpliwości.

Zamykam oczy i odmawiam krótką modlitwę, po czym wywołuję imię tego, który znaczy dla mnie wszystko.

– Reed!

Jego ciało się odpręża. Całe to potworne napięcie go opuszcza, gdy przytula mnie do siebie. A potem podnosi mnie i podaje w wyciągnięte ramiona Zefira. Moje serce traci rytm, gdy opieram się o pierś przyjaciela. Trudno mi oddychać, chwytam powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. Zefir próbuje mnie uspokoić, przemawia do mnie cicho po anielsku i gładzi moje włosy.

To gorsze niż cokolwiek, co mogłam sobie wyobrazić. Wolałabym już znów zmierzyć się z Brennusem, Faolanem, Gobanem i Declanem na dokładkę, którzy chętnie rozplataliby mnie na pół, niż patrzeć, jak Reed staje naprzeciwko tej potwornie zwinnej i zabójczej anielicy Mocy, żadnej naszej śmierci. Boże, to tak strasznie boli – myślę, gdy Zefir odsuwa się ze środka sali, nieufnie popatruje na inne anioły i obejmuje mnie opiekuńczo. Preben też trzyma się blisko mnie. Nie jestem już pewna, czy pilnuje, żebym nie uciekła, czy raczej, żeby nic mi się nie stało. Obserwuje mnie ze strapioną miną, ale nie mogę mu się przypatrywać, kiedy Reed i Poganka słuchają, co mówi do nich rada, a prawdopodobnie udziela im wskazówek.

Broń! Aż się wzdrygam, gdy Poganka wybiera topór i coś w rodzaju włóczni. Ta ma na końcu straszliwe ostrze, stworzone, by przebijać i ciąć. Nawet nie umiem tego nazwać, bo

nigdy nie ćwiczyłam czymś, co tak potwornie wygląda. Wstrzymuję oddech, gdy po chwili Reed się uzbraja. Bierze dwa nieduże sztylety, które przypominają karciane piki. Nie wiem, co o tym myśleć. Noże są ostre, ale nie większe od jego dłoni. Nie mają nawet tradycyjnych rękojeści, tylko małe, poziome uchwyty na palce.

Na widok wyboru Reeda Zefir odchrząkuje nerwowo.

Blednę i zaglądam Zefirowi w oczy.

– Co jest, Zee?

– Reed się za ciebie zemści – stwierdza z aprobatą.

– Skąd wiesz? – rzucam ponuro.

Przebiegam wzrokiem każdy mięsień i kształt idealnej sylwetki Reeda. Biały sarong, taki jak nosili Egipcjanie, tworzy ostry kontrast z jego kruczoczarnymi skrzydłami.

– Wybrał... intymną broń. Zabija się z bardzo bliska, a śmierć jest niezwykle bolesna... – wyjaśnia.

Reed stoi całkiem nieruchomo, spokojnie. Nawet nie napina mięśni, żeby zademonstrować siłę. Nie potrafię go rozszyfrować. Nie wiem, co myśli ani jak zamierza zaatakować Pogankę. Nie umiem powiedzieć, czy jest wyczerpany, czy boli go pierś od skaleczeń i sińców, które znaczą piękną skórę. Nie wyraża żadnych uczuć, jest jak czysta karta, jest nieprzewidywalny.

Kiedy Poganka staje naprzeciwko niego, mam wrażenie, że się duszę. Ogrom tego miejsca przytłacza mnie niczym lawina. Nie jestem w stanie znieść ciężaru masy powietrza, muszę wycofać się w siebie, oderwać od zewnętrznego świata. Wszystkie dźwięki docierają tu do mnie przytłumione, jakby z oddali, kolory tracą jaskrawość i tak naprawdę nic już nie ma sensu. Ze swojej kryjówki mogę obserwować bieg zdarzeń, bo zdają się nierealne i nie wywołują tak skrajnych emocji. Tak jakby to się działo, ale poza mną, beze mnie.

Na znak Gunnara zaczyna się jatka. Reed śmiga w powietrzu tak prędko, że ledwie jestem w stanie go śledzić. Myślę, że Poganka też nie spodziewała się tak szybkiego ataku. Kiedy udaje się jej wzbic, Reed jest już nad nią. Potężnym ciosem posyła ją z powrotem na ziemię, zostawiając szarpaną ranę na jej lewym policzku. Mocno krwawi, kiedy pada i turla się po posadzce, a potem wstaje, tylko po to, by Reed raz jeszcze zwałił ją z nóg. Rozcina jej drugi policzek. Topór wypada jej z dłoni.

Leżąc, rozpaczliwie wymachuje oszczepem, żeby dosięgnąć Reeda. Wreszcie udaje się jej trafić go w przedramię. On nawet się nie krzywi, kiedy tryska krew, tylko uskakuje, by uniknąć kolejnego ciosu.

I nagle coś sobie uświadamiam. Dochodzę do tego wniosku, kiedy Poganka wstaje i próbuje przebić oszczepem lewą pierś przeciwnika, a on uniemożliwia jej ten ruch – łapie za drzewce, pociąga ku sobie i głęboko, boleśnie nacina jej bok. Reed jest najwyższej klasy wojownikiem. Nikt nie może się z nim równać. Zabija ją powoli, stopniowo, centymetr po centymetrze. Odplaca jej za każdą gałąź, którą cisnęła we mnie w lesie, kiedy musiałam się ratować ucieczką, bo nie byłam w stanie inaczej się bronić. Odplaca jej za to, że gonila mnie ponad sto pięćdziesiąt kilometrów przez śniegi, na mrozie, a ja umierałam ze strachu, że

wyrwie mi serce. Odpłaca za każdy dzień, który spędziliśmy z dala od siebie, bo bałam się, że Reed zostanie osądzony przez Dominium. Odpłaca za to, co mi zrobili Gankanagowie, kiedy byłam pozbawiona jego ochrony. Zabija ją najbardziej brutalnie i bezlitośnie, bo tak właśnie postąpiłaby ze mną, gdyby tylko pozwolono mi walczyć. Kiedy rozglądam się po twarzach aniołów, widzę, że uważają to za sprawiedliwe.

Odpycham Zefira i chwiejnym krokiem ruszam w stronę Reeda na środku sali. Zefir natychmiast mnie przytrzymuje, przygarnia do siebie i chce wziąć na ręce, ale patrzę mu w oczy i kręcę głową. Zefir jednak nie pozwala mi podejść ani trochę bliżej, więc wołam do Reeda:

– Litości... proszę, Reed... zlituj się... błagam...

Reed sztywnieje i zamiera nad Poganką, która prawie nie jest już w stanie się bronić. Krwawi z wielu ran. On nie ma prawa pozwolić, by uszła z życiem, ale brutalność, z jaką zadaje jej śmierć – tego nie mogę wytrzymać. Jej ból mnie zabija.

I nagle przekonuję się, że „litość” u ludzi znaczy coś zupełnie innego niż u aniołów. W jednej chwili, pomiędzy tym, jak wypowiadam te słowa, a tym, co się dzieje potem, nabieram pewności, że nikt nie zdołałby im wyjaśnić różnicy. Kiedy Reed słyszy moją prośbę, przyklęka przy Pogance i podcina jej gardło. Skutecznie okazuje anielską litość – zadaje śmierć.

Zefir szepcze mi do ucha, że Reed nie może darować jej życia. Gdyby to zrobił, rada i tak zażądałaby, żeby ją dobił, a inne anioły uznałyby go za słabego. On musi pokazać wszystkim, że jeśli zechcą na mnie polować, to będzie ich koniec, bo nie cofnie się przed niczym, by mnie chronić, i nie mogą oczekiwać innego zmiłowania poza śmiercią.

Rozdział 17

POŁĄCZENIE

Rada wojenna gromadzi się ponownie, gdy ciało Poganki zostaje wyniesione z sali. Ta śmierć nie jest niczym wzniosłym. Nie widzę w niej nic szlachetnego i głęboko nad nią boleję, ponieważ dla mnie to wszystko nie ma sensu. Jestem naprawdę bardzo wdzięczna Reedowi, że walczył za mnie, bo Poganka ma pewno zabiłaby mnie bez wahania i żalu, ale nie potrafię zrozumieć, dlaczego w ogóle do czegoś takiego doszło. Może nadal jestem zbyt ludzka, by pojąć ich świat. Choć sądzę, że stoję po ich stronie, to większość z nich traktuje to inaczej. Nie wolno mi o tym zapominać. Muszę pamiętać, że jestem tu tylko pionkiem, nikt się ze mną nie liczy – myślę, stojąc między Prebenem a Reedem z Zefirem u boku. Jesteśmy blisko środka sali, ale już nie na podwyższeniu, tylko obok tej dziwnej sceny, dzięki czemu czuję się mniej na celowniku.

Nie rozumiem nic z tego, co mówią, bo nie chcą przejść na angielski. Reed i Zefir odpowiadają na długi szereg pytań. Wydaje mi się, że nawet gdyby używali angielskiego, nie zdołałabym śledzić tej wymiany zdań, bo jest tak szybka, że prawie nie ma przerw między wypowiedziami członka rady, a potem Reeda lub Zefira. Co jakiś czas wszyscy milkną i wpatrują się we mnie, jakby nie wiedzieli, co sądzić. Nie wzruszam ramionami, kiedy wlepiają we mnie zdumione spojrzenia, bo nie znoszą, jak się tak robi.

Muszę bardzo się starać, by czujnie obserwować, co się dzieje, bo zupełnie nie wiem, co dalej. Plan, który sobie ułożyłam przed przyjazdem, jest już wykonany. Chciałam nie dać się zabić od razu i wytrwać na tyle długo, by przekonać Boskie anioły, dlaczego Reed i Zee mogli mieć co do mnie wątpliwości. To się chyba udało, bo najwyraźniej wszystkich tu zaskoczyłam, wszystkich poza Reedem i Zefirem, oczywiście, ponieważ ci dwaj mnie znają i do mnie przywykli.

Przybywając tu, nie miałam żadnego planu B. Myślałam, że jeśli osiągnę swój cel, to wystarczy. Nieważne, co stanie się potem, bo wreszcie nastąpi koniec. Nie będę już uciekać ani się ukrywać. Dość już wlokących się w nieskończoność dni, kiedy próbowałam nie myśleć bez przerwy o Reedzie. Dość Gankanagów czy Brennusa... koniec. Wydawało mi się, że wreszcie osiągnę spokój po szaleńczej ucieczce z jaskini Gankanagów i podróży na wyspę, gdzie stoi zamek aniołów Mocy. Ale teraz czuję obok siebie ciepło promieniujące od Reeda, jego zmysłowy zapach w powietrzu, w moich włosach, wokół mnie i odkrywam, że pragnę czegoś więcej... o wiele więcej, a przecież nie prosiłam o więcej. Nie prosiłam o życie. Ile czasu mi pozostało? Czy pozwolą mi się pożegnać?

Powoli uświadamiam sobie, że zebrani znów na mnie patrzą. Reed stoi najbliżej, ma zasępioną minę. Zefir też wyraźnie się martwi. Czy mój czas dobiegł końca? – zastanawiam się, kiedy palce Reeda w mojej dłoni się napinają.

– Rada chce cię wypytać o Gankanagów. Potrzebują dokładnych informacji. Ilu ich widziałaś, jak działają, kto jest ich przywódcą i gdzie dokładnie mieści się ich siedziba.

Kiwam głową, bo to wiem.

– Rada zdaje sobie sprawę, że odniosłaś obrażenia, starając się wyrwać z niewoli. Chcą, żebyś opowiedziała, co tylko pamiętasz. Dasz radę? – pyta, a ja znów przytakuję.

– A mogę dostać trochę wody? – proszę, bo w gardle mam tak sucho jak poprzedniego wieczoru, kiedy traciłam przytomność i majaczyłam. Na szczęście tamten potworny głód nie wraca. Tak naprawdę w ogóle nie chce mi się jeść. Miałabym tylko ochotę położyć się na posadzce i przez dłuższy czas się nie ruszać.

Dają mi pić, potem zaczynają się pytania. Odpowiadam na wszystkie wyczerpująco; nie wymieniam jedynie Finna. Wiem, że to nie ma większego sensu, bo on będzie wszędzie tam, gdzie Brennus, ale mam dziwne poczucie, że jestem mu winna lojalność, bo mi pomógł, kiedy tego potrzebowałam, i nie potrafię tego zapomnieć mimo roli, jaką odegrał w moim porwaniu.

Nie wspominam też o Russellu, bo muszę go chronić. Mówię radzie, że udało mi się wykraść granat ze zbrojowni Gankanagów i zagroziłam, że wysadzę ich w powietrze, jeśli

mnie nie wypuszczą. To brzmi prawdopodobnie i wydaje się, że nikt nie wyczuwa kłamstwa. Poza Reedem – uważnie obserwuje mnie lekko zmrużonymi oczami. Zaciska zęby, kiedy opisuję celę i to, jak nie dostawałam wody przez wiele dni. A kiedy mówię o pojedynku z Keeganem, nerwowo chodzi tam i z powrotem. Zamiera w bezruchu, gdy wspominam Brennusa. W napięciu wsłuchuje się w każde słowo i przypatruje śladom na mojej szyi, kiedy rada domaga się, żebym je pokazała raz jeszcze.

Przynoszą mapy, a ja staram się, najlepiej, jak potrafię, wskazać dokładne położenie jaskini i opisać wejście. Mówię, że jak się stamtąd wydostałam, wrzuciłam do środka granat, żeby uniemożliwić Gankanagom natychmiastowy pościg. Podkreślam jednak, że dróg prowadzących z kopalni i do niej jest wiele. Ale jedyna, którą widziałam, to ta ukryta za wielkim głazem – pewnie postawili go tam specjalnie, żeby maskować wejście.

Wiem, że w mojej historii jest dużo białych plam, które mogą ich zastanowić i mnie zdradzić. Na pewno z czasem dotrze do nich, że byłam dwukrotnie ugryziona i nie miałam sił chodzić, a co dopiero zdobyć się na coś więcej. Ale liczę na to, że uznają moją wersję za prawdopodobną, bo przecież jestem inna od aniołów. Może dojdą do wniosku, że nie reaguję na ugryzienia Gankanagów jak oni, bo po części pozostaję człowiekiem? Reed czuje, że w moim opowiadaniu coś się nie zgadza. Mam tylko nadzieję, że załapał, co robię – chronię Russella.

Członkowie rady szybko wydają jakieś polecenia. Najwyraźniej mobilizują się, żeby sprawdzić moje informacje. Organizują zespoły. Widzę, jak niektóre anioły przejmują dowodzenie na rozkaz Cilliana i Ursusa. Na chwilę zapominają o mnie. Co za ulga. Półprzytomna znów gdzieś odpływam, gdy wokół robi się coraz większe zamieszanie.

Ktoś gwałtownie szarpie mnie od tyłu. To natychmiast mnie otrzeźwia. Jakiś anioł Mocy łapie mnie za rękę i je krępuje. Zbliża się też kilku innych. Idą jakby nigdy nic. Reed próbuje ich o czymś przekonać, mówi po anielsku. Kiedy przerażona się oglądam, widzę zmartwioną minę Prebena. Patrzy, jak mnie chwytają, ale nie stara się ich powstrzymać. Przebiega mnie dreszcz grozy, bo dostrzegam, jak Zee odwraca się, żeby nie widzieć, co się zaraz stanie.

Z zapartym tchem skupiam wzrok na aniele Mocy, który do mnie podchodzi. W jego twarzy nie widać ani śladu rozbawienia. Wydaje się, że chciałby jak najszybciej spełnić przykry obowiązek i wrócić do swoich zajęć. Przemykają mi przez myśl różne sposoby, jak może mnie zabić, kiedy unosi nóż. Wyciągnął go spośród palących się szczap, które przyniosły jakieś inne boskie istoty. Rozgrzane ostrze jarzy się złowieszczo. Nie mam wątpliwości co do intencji anioła. Uśmierci mnie tym potwornym rozpalonym szpikulcem. Próbuję się wyrwać aniołom Mocy. Trzymają mnie z całych sił. Serce mi tak wali, że poza tym łomotem nie słyszę już nic. Nie było mi dane się pożegnać – rozpaczam w duchu, patrząc na zbliżające się do mnie ostrze.

I wtedy coś we mnie pęka. Przestaję daremnie szarpać skrępowane z tyłu rękę. Zamiast tego z całej siły wybijam się nogami i robię salto ponad głową przytrzymującego mnie anioła.

Silą rozpędu udaje mi się wyrwać dłonie z uścisku. Kiedy opadam tuż za aniołem, uderzam stopami w jego plecy i popycham go na anioła z nożem.

Preben łapie mnie, kiedy już mam zrobić unik przed kolejnym aniołem, który rzuca się na mnie od lewej strony. Próbuję kopnąć Prebena, ale z łatwością chwyta moją nogę, przez chwilę się jej przypatruje, potem przyciąga mnie do siebie. Z tyłu rozlega się niski pomruk. To podchodzi do nas Reed.

– Kto cię tak wyćwiczył? – Preben nie puszcza mojej nogi, uśmiecha się.

– Zefir... i Bruce Lee – odpowiadam zachrypniętym głosem, starając się wyszarpnąć nogę, ale Preben trzyma mocno.

W jego twarzy widzę rozbawienie i coś, co przypomina... pożądanie.

– Puść ją – rozkazuje Reed.

Srebrzystowłosa uparcie patrzy mi w oczy. Delikatnie rozluźnia palce. Kiedy opuszczam nogę, przesuwają się po udzie na moje biodro.

Reed przyciąga mnie do siebie. Całe towarzystwo znów skupia się na nas, ale co tam, pewnie i tak zostało mi kilka sekund, zanim ktoś następny spróbuje mnie zabić, a muszę się pożegnać. Mocno obejmuję ramiona Reeda i wtulam twarz w jego szyję.

– Przepraszam. Nie chcę tchórzyc, ale nie zdążyłam się z tobą pożegnać, a tak bardzo pragnę to zrobić. A potem... trudno... Muszę ci powiedzieć... jak bardzo chciałabym... – szepczę, ale ściska mnie w gardle i ledwie jestem w stanie wydobyć z siebie głos. Jednak to zbyt ważne, nie mogę się poddać, próbuję więc znowu. – Chcę ci powiedzieć, jak bardzo... – Zupełnie brak mi tchu. Ostatkiem sił kończę: – Kocham cię.

Przytula mnie mocniej.

– Ciii, cicho już, cicho, nie zamierzali cię zabić, kochanie, już dobrze, jestem z tobą. Nikt tu nie nazwie cię więcej tchórzem, Evie – mówi szybko, stara się mnie pocieszyć. Delikatnie gładzi moje skrzydła, aż robi mi się miękko w kolanach.

– Ale myślałam... – bełkoczę.

– Ciii, wszystko w porządku. Ciii – powtarza. Dotyka czołem do mojego czoła. – Chcą zająć się raną na twojej szyi. Sama nie przestanie krwawić. Musimy ją przypalić, żeby się zamknęła. Wtedy się zagoi – wyjaśnia, nie wypuszczając mnie z objęć.

– To nie zabiją mnie teraz? – Nadal nic nie rozumiem.

Pozwolą mi żyć dalej? Dlaczego?

– Okazałaś się zbyt intrygująca, by się ciebie pozbyć – odpowiada łagodnie.

– A co z tobą? Wypuszczą cię i Zee?

– Jeszcze nie podjęli decyzji, ale sprawy wyglądają obiecująco.

Tulę się do niego jeszcze mocniej. Wstępuje we mnie nadzieja.

– Musimy zająć się teraz tym ugryzieniem, Evie. – Delikatnie wyswobadza się z moich objęć, żeby spojrzeć mi w oczy. Martwi się. Wie, że to będzie bolało. – Pomożesz mi, Zee? – pyta przez ramię.

Zefir podchodzi do mnie od tyłu i przyciąga mnie do siebie, aż opieram się na jego piersi. Pochyla się do mojego ucha.

– Trochę zapieczę, Evie.

– Bardzo? – pytam słabym głosem.

– Bardziej niż uleczenie mnie... mniej niż uleczenie Russella – mówi zatroskany.

Zaciskam zęby i patrzę na Reeda. Udaje mu się nakłonić gromadę aniołów Mocy, żeby się cofnęły. Potem podchodzi do paleniska i wyciąga z niego następny rozgrzany nóż. Zee odpina złotą obrozę na mojej szyi i bierze ją w dłoń. Drugą ręką mocno przytrzymuje mnie przy swojej piersi, żebym się nie poruszyła.

– Wiesz co? – Nerwowo oblizuję wargi na widok jarzącego się, rozgrzanego ostrza. – Może nie warto tego robić. Czuję się coraz lepiej – kłamię.

Reed marszczy brwi.

– Nie wolno nam dłużej zwlekać. Masz gorączkę i tracisz coraz więcej krwi. Musimy zrobić to teraz – stwierdza ze współczuciem.

– Ale może rada ma do mnie więcej pytań, naprawdę powinnam się na tym skupić, a nie...

– urywam, bo Reed podchodzi bliżej. – No dobrze... to wygląda na naprawdę gorące; obawiam się, że w tym przypadku leczenie może okazać się gorsze od bólu. Darujmy sobie, proszę, porozmawiajmy rozsądnie – staram się go przekonać, bo już z tej odległości, metra czy dwóch, czuję żar i widzę, że to nie będzie nic przyjemnego.

– Przykro mi – cedzi Reed przez zaciśnięte zęby i jedną ręką zasłania mi oczy.

Łagodnie popycha moją głowę na pierś Zee i obraca ją tak, żeby odsłonić ranki.

– Mnie też – szepczę, zanim rozgrzana stal wtapia mi się w skórę. Przeszywa mnie ból.

Czuję zapach palącej się skóry, ten swąd wdziera mi się w nozdrza brutalniej niż smród Gankanagów. Nie potrafię powstrzymać krzyku, choć na pewno Reed i Zee czuliby się lepiej, gdybym nie wrzeszczała. A potem, jak lawina, wytaczają mi się z ust najbrzydsze słowa, jakie słyszałam, dorastając. Kolana uginają się pode mną; nie upadam tylko dlatego, że Zee mnie podtrzymuje. Reed wreszcie odrywa ostrze od mojej szyi. Upuszcza je i bierze mnie na rękę. Gardło pulsuje mi bólem, jakby nadal mnie przypalał. Ledwie więc jestem w stanie wydukać chrapliwie:

– Chcę do domu. – Próbuję powstrzymać łzy, bo nie wolno mi okazać słabości.

– Już niedługo – obiecuje Reed. Bierze coś od Zefira i wciera mi to w szyję.

To jakaś maść, tłusta i lepka. Po chwili zaczyna mnie piec jeszcze bardziej niż przedtem. Wpijam paznokcie w plecy Reeda, żeby jakoś wytrzymać ten ból. Mija trochę czasu, zanim wreszcie staje się ciut lżejszy, do zniesienia.

– Następnym razem daj mi najpierw koniaku – sapię, kiedy znów jestem w stanie wydusić z siebie słowo.

Zefir i Preben śmieją się, jakbym powiedziała dowcip, a ja przecież mówię całkiem serio.

– Chciałabyś trochę odpocząć, Genevieve? – pyta Preben.

Kiwam głową, ale natychmiast muszę znieruchomieć, bo ruch skóry na szyi wywołuje potworny ból.

– Zabiorę cię do pokoju, gdzie spokojnie się prześpisz, zanim rada znów zechce z tobą rozmawiać.

– Zostaję w zamku? – upewniam się, bo nie spodziewałam się gościny u aniołów Mocy. Sądziłam, że skażą mnie na śmierć i zabiją.

– Na razie – potwierdza zadowolony.

– Jako gość? – Próbuję wybadać, jaki jest tu mój status.

Znów szczerzy zęby w uśmiechu, jakby usłyszał coś bardzo zabawnego.

– Jeśli tak ci pasuje.

A to co niby znaczy? – zastanawiam się.

– Mogę stąd wyjść?

– Nie – wyjaśnia Preben i zaczyna do mnie docierać, w czym rzecz.

– A Reed? – Wstrzymuję oddech, czekając na odpowiedź.

Mam nadzieję, że on nie musi już tu tkwić. Tego życzy mu malutka, szlachetna cząstka mnie. Ale jednocześnie rozpaczliwie pragnę, żeby został ze mną.

– Nie wiem. Nie jestem wtajemniczony w jego sprawy. Zajmuję się tylko tobą. – Preben ogląda się na Reeda i zwraca się do niego po anielsku, specjalnie, żebym nie zrozumiała.

Robi to celowo, więc natychmiast się wkurzam.

– Co on powiedział? – pytam, przytrzymując się Reeda jeszcze mocniej.

– Że powinienem przekonać cię, żebyś z nim teraz poszła, bo musisz się zregenerować. Dopilnuje, żeby nie spotkała cię żadna krzywda. Ja mam zostać tutaj i odpowiedzieć na więcej pytań, ale ty potrzebujesz odpoczynku. – Wskazuje na podwyższenie, gdzie toczy się ożywiona narada dowódców.

W całej sali panuje straszna wrzawa. To odwraca uwagę od nas.

– Czuję się świetnie. Zostanę z tobą. – Przywieram do niego z całych sił.

– Musisz trochę odsapnąć, mnie nic nie będzie. Zobaczmy się za parę godzin, obiecuję – zapewnia, głaszcząc mój policzek.

– Oczywiście, tobie nic nie będzie, ale co z Zee? Może mnie potrzebować. Nie zostawię go, przyrzekłam Buns, że jej oddam chłopaka. Zabije mnie, jeśli coś mu się stanie. – Zmieniam taktykę.

I widzę uśmiech Zee nawet w jego oczach. Podchodzi do mnie i leciutko poklepuje mnie po głowie.

– Idź się połóż. Mam już dość martwienia się o ciebie. Zobaczę, może namówię ich, żeby wpuścili tu Buns. A jak nie, będą musieli pozwolić mi wyskoczyć stąd na chwilkę do samolotu. – Robi znaczącą minę, a ja się czerwienię.

Rozumiem ich argumenty i w zwykłych okolicznościach można byłoby to uznać za rozsądne. Powinnam pójść z Prebenem i się przespać. Wiem, że zaraz padnę. Poza tym jasno widać, że każdy, kto ma tu jakąś władzę, jest przyzwyczajony egzekwować swoją wolę. Mają

uzasadnione oczekiwania, że cokolwiek nakażą, zostaje wykonane. Ja nie mam takich zapędów, ale kiedy mój stróż się zbliża, jeszcze mocniej czepiam się Reeda. Preben widzi, że musiałby odrywać mnie od niego siłą, umawia się więc z eskortą Reeda, by razem z moimi wartownikami odprowadzili mnie do pokoju.

Robię, co w mojej mocy, by wyjść z tej ogromnej, wysoko sklepionej sali o własnych siłach. Nikt nie musi mi powtarzać, jak bardzo to jest istotne, żebym możliwie najlepiej ukryła słabość. Żadna z boskich istot, które mijam, już na mnie nie warczy. Nie jestem pewna, czy dlatego, że zaskarbiłam sobie odrobinę szacunku z ich strony, czy też ze względu na towarzystwo Reeda, ale nie są już jawnie wrody wobec mnie. Patrzą na mnie teraz bardziej jak na jakąś ciekawostkę czy coś w tym rodzaju. Może to ten strój od Buns robi swoje, bo niektóre anioły na jego widok stają jak oniemiałe.

Kiedy ruszamy przez bogate wnętrza zamku, ledwie dostrzegam arcydzieła zdobiące korytarze i alkowy ogromnej warowni, bo nie mogę oderwać oczu od ideału, który mam przed sobą. Obecność innych się nie liczy. Jest tak, jakby oni szli w cieniu, a ja tuż obok słońca, ale im dalej się posuwamy, tym większy niepokój mnie ogarnia. Nie potrafię odgadnąć, co dzieje się w głowie Reeda. Ma nieprzenikniony wyraz twarzy. Nawet kiedy zaglądam mu w oczy, nie potrafię z nich nic wyczytać. Zastanawiam się, czy zdaje sobie sprawę, jak łatwo mógłby rzucić mnie na kolana, co nigdy nie udałooby się Gankanagom czy radzie wojennej aniołów Mocy.

Kiedy dochodzimy na parter kolejnej ogromnej wieży, wielu członków naszej eskorty wzbija się w powietrze. Najwyraźniej mamy kierować się w górę. Wszyscy poza Reedem popatrują na mnie dziwnie, kiedy pozostaję na ziemi i zadzieram głowę, by spojrzeć na galeryjki, które wznoszą się nade mną aż po dach. Mam wrażenie, że utknęłam w ogromnym gnieździe os. Horda aniołów lata dokoła, jakby czegoś szukała. Nietrudno mi wyobrazić sobie, jak wyglądałaby wojna tych istot z Gankanagami. Przypominałaby atak os na mrowisko. Stają mi w oczach okrutne obrazy, robi mi się słabo.

Nie wiadomo czemu serce ściska mi się z żalu. Gankanagowie są źli, ale zaoferowali mi miejsce w swojej rodzinie, no może „zaoferowali” to nie najlepsze słowo, bo przecież zamierzali wymusić na mnie przyjęcie tej propozycji. A jednak mam jakieś niejasne poczucie, że ich zdradziłam. Już on mi odpłaci za to podburzanie przeciwko nim – myślę, a w wyobraźni widzę piękną postać Brennusa i czuję mróz w żyłach. Jak to powiedział Finn? Że niezłe ziółko ze mnie i że umrę, a potem będę miała wieczność, żeby wszystko wynagrodzić Brennusowi. Ściska mnie w dołku. To odzywa się ta częśćka mnie, która kusila, by do nich dołączyć, gdy na moich oczach rozdzielali Alfreda na strzępy. Bolesna ciemna strona mojej duszy. Nie wolno mi jej ujawnić przed tutejszymi aniołami, bo skończyliby ze mną bez chwili wahania. Ogarnia mnie strach na myśl, że ta częśćka zła nadal we mnie istnieje.

Reed dostrzega coś w moich oczach, zanim zdążę ukryć, co czuję. Obserwuje mnie uważnie, ale nic nie mówi, tylko obejmuje mnie ramieniem i razem ze mną wzbija się w

powietrze. Lecimy za Prebenem do jednej z najwyższych galerii tej wieży. Na wszystkich balkonach widać szeregi drzwi, tak jakby były tam osobne cele dla larw.

Stajemy przed jedną z nich. Wprowadzają mnie do środka, jednak za drzwiami nie ma lekkiej larwy, jest za to sypialnia – urządzona pięknie, choć raczej po męsku. Powolutku idę przed siebie, zachwycona, że to całkowite przeciwieństwo tego, czego się spodziewałam. Myślałam, że przydzielą mi jakiś wolny pokój i nie będzie tam wiele więcej niż wojskowa prycza. A to urocze wnętrze z ogromnym łóżem, przykrytym najdelikatniejszą pościelą. Jest tu osobna łazienka, prysznic i wszystko, co można sobie wymarzyć, poza wanną. Na pięknym dywanie stoi palisandrowe biurko, a przy nim krzesło. Po drugiej stronie przeszklone drzwi prowadzą na niewielki balkon z widokiem na morze.

Ruszam w kierunku tego balkonu i nagle przystaję. Na gładkiej ścianie pokoju w złoconej ramie wisi obraz. Namalowane miejsce nie może istnieć w rzeczywistości, bo wszystkie jego elementy są zbyt doskonałe, mistyczne. Budzi ono we mnie jakieś pierwotne emocje – bezwiednie zbaczam z drogi, zbliżam się do krajobrazu wiszącego na ścianie. Nie mam słów, by opisać, co widzę, poza płaszącymi aniołami. Są tu też kolory, których nie umiem określić, bo nie istnieją w świecie ludzkim. Splatam przed sobą ręce. Boję się, że jeśli tego nie zrobię, wyciągnę dłoń, by dotknąć obrazu, co wydawałoby się świętokradztwem.

Za mną wchodzi jedynie Reed i Preben. Obaj obserwują w milczeniu, jak przyglądam się malowidłu. Nie zdaję sobie sprawy, że płaczę, póki łzy nie zaczynają kapać mi na skrzyżowane na piersi ręce. Podnoszę drżącą dłoń do twarzy, dostaję gęsiej skórki.

– Jak nazywacie to w waszym świecie? – szepczę, bo ledwie jestem w stanie wydobyć z siebie głos.

Wskazują na coś świetlistego na obrazie. Obaj odpowiadają mi po anielsku. Widocznie nie ma na to określenia w mowie ludzi. Kiwam głową, bo tylko przekonuję się, jak bardzo jest ograniczony mój język.

– Myślę, że Brennus się mylił – mówię cicho, dalej przypatrując się obrazowi. – Powiedział, że nie mogę tęsknić za czymś, czego nigdy nie zaznałam, ale chyba jednak mogę.

Reed zwraca się do Prebena tonem, który trudno nazwać melodyjnym. Srebrzystowłosy zaczyna się z nim spierać po anielsku, mierzy mnie krytycznym wzrokiem, po czym w końcu się poddaje i kiwa głową.

– Będę tuż pod drzwiami, gdybyś mnie potrzebowała – informuje po angielsku. – Nie próbuj uciekać – dodaje surowo, wymownie zerkając na balkon.

Przytakuję, ale myślami jestem gdzie indziej, nie potrafię oderwać oczu od obrazu. Kiedy Preben zamyka za sobą drzwi, rzucam się w ramiona Reeda. Jedną dłonią ujmuje tył mojej głowy. Drugą przygarnia mnie do siebie. Nasze usta spotykają się w pocałunku, od którego robi mi się miękko w kolanach, a zmysłowy żar ogarnia całe ciało.

Wyrywa mi się cichy jęk rozkoszy, gdy jego wargi zsuwają się na zdrową stronę szyi. Mam wrażenie, że ręce mam dziwnie ciężkie, kiedy obejmuję Reeda, żeby nie upaść, choć wiem, że trzyma mnie przy sobie mocno i nie da mi runąć na posadzkę. Palcami delikatnie

wodzę po napiętych mięśniach jego ramion i pleców, wyczuwam ich siłę i drzemiącą w nich moc.

Jego usta znów odnajdują moje, gdy bierze mnie na ręce i podchodzi powoli do łóżka. Materac miękko zapada się pode mną. Reed jedną dłonią odgarnia mi włosy z policzka, drugą opiera się na łóżku, tuż przy mojej talii. Unosi się nade mną. Widzę, jak jego oczy płoną pożądaniem, gdy kolano napiera na materac pomiędzy moimi udami. Wodzę dłońmi po jego ramionach, w jakiś pierwotny sposób zapamiętuję wyraziste kontury. Jego dotyk, zapach, smak.

Opiera czoło o moje.

– Muszę już iść – mówi z żalem.

Nie od razu rozumiem. Moje ciało reaguje instynktownie, unosi się ukochanemu na spotkanie, kiedy czuję go tak blisko siebie.

– Że co? – udaje mi się wykrztusić. Wychylam się, by ustami musnąć czubek jego ucha.

– Muszę wracać. Pozwolili mi tylko cię odprowadzić. Ale... – urywa, żeby trochę ochłonać i nie ulec namiętności, która przyciąga nas ku sobie. – Nie mam tu wiele do powiedzenia. Sądzę jednak, że uda mi się teraz wszystko wyjaśnić, bo rada wojenna zobaczyła, jaka jesteś. Choć na pewno trzeba będzie trochę ponegocjować, bo odmówiłem współpracy, kiedy mnie tu przywieźli.

Waham się chwilę.

– Co ty wygadujesz? Przecież to zwariowani zabójcy. Jak można takim odmówić? – pytam, kiedy dociera do mnie, co słyszę.

Ile wycierpiał, bo nie powiedział im tego, co chcieli o mnie wiedzieć? W moim przypadku zagrozili, że obetną mi skrzydła przez samo podejrzenie, że kłamię, choć mówiłam prawdę.

– No wiesz, ból to sprawa względna. Ja wolę fizyczny od... Zresztą bardzo uważali, żeby nas nie zabić podczas przesłuchań.

Odwraca twarz i nie chce mówić nic więcej, ale i tak rozumiem. Tortury, jakie zapewne mu codziennie zadawano, były bardziej znośne niż ból, na który go naraziłam swoim odejściem.

Zaciskam powieki i odwracam głowę. Nie potrafię spojrzeć mu w oczy po tym, co zafundowałam jemu, a także Zee. Robi mi się tak ciężko na sercu, jakby zostało przywalone kamieniem.

– Jakim cudem was nie zabili? – Muszę wiedzieć, jak to możliwe, że zdołał przeżyć ten koszmar i jest teraz ze mną.

– Nie było żadnych dowodów przeciwko tobie, poza oszczerstwami Poganki. Ponadto mam wysoką rangę. Muszą więc uważać, jak traktują mnie czy Zefira – odpowiada. Bierze mnie pod brodę, żebym na niego spojrzała.

– Kim jesteś? Generałem? – Staram się nie poddać smutkowi, który mnie ogarnia.

– Niezupełnie... rzadko dowodzę innymi... moja dziedzina to raczej operacje specjalne. – Odgarnia i gładzi moje włosy.

– Samotny zabójca? – pytam, gdy tak leży obok i patrzy, jakby widział mnie po raz pierwszy, a w kącikach jego ust pojawia się uśmiech.

– Tęskniłem za tobą – mruczy, biorąc w palce kosmyk moich włosów.

– Dlaczego? Przeze mnie masz same kłopoty – mówię ze ściśniętym gardłem, zakrywam oczy ręką.

Odciąga mi ją z twarzy, żebym na niego popatrzyła. To nie do wyobrażenia, żeby mógł być jeszcze bardziej przystojny niż w tej chwili. Włosy ma rozczochrane po walce, którą stoczył, by mnie ocalić. Idealna skóra nosi ślady krwi, jego i mojej. Znaczy ją mnóstwo ran i sińców w różnym stadium gojenia – jedne czarne, inne żółtawe. Ale w oczach płonie dziki żar pożądania.

– Bo ty jesteś sensem mojego życia – oświadczam z mocą.

– A ty mojego. Straciłabym duszę, gdyby nie ty. – Przysuwam się do niego i siadam mu na biodrach. Jestem teraz nad nim, patrzę z góry na jego twarz. – W tamtej celi zdałam sobie sprawę, że jeśli pozwolę im odebrać sobie duszę i zmienić siebie w Gankanaga, nie będę już mogła cię zobaczyć... a pewnego dnia, gdybyśmy się jednak spotkali, ty musiałbyś mnie zabić – szepczę.

Delikatnie odgarnia mi włosy z twarzy.

– Przeceniasz mnie, Evie... Nie byłbym w stanie cię zabić. Pewnie błagałbym, żeby mnie też przemienili – mówi ze smutnym uśmiechem i czule gładzi mnie po policzku. – Próbowałem żyć bez ciebie... I już nigdy więcej nie zamierzam tego powtórzyć.

– Reed, nie wolno ci tak myśleć.

– Czemu nie? Jesteś jedynym, czego mi potrzeba, i za żadne skarby świata z ciebie nie zrezygnuję. Jedyna istota, która zdołałaby mnie na to skazać, to ty – mówi z przekonaniem. – Jesteś dla mnie najważniejsza. Niech biorą sobie wszystko, co zechcą, ale ciebie nie dostaną... nigdy, dopóki żyję, do ostatniego tchu będę o ciebie walczył.

– Zwariowałaś... powinieneś uciekać... jestem jak bomba zegarowa, która zaraz wybuchnie... przyciągam zło... Jestem... – trąkoczę jak nakręcona, ale Reed siada, nasze piersi się stykają, i całuje mnie czule, gładząc kciukiem mój policzek. Drugą ręką tuli mnie do siebie.

Znów przykładam czoło do mojego.

– Bardzo cię skrzywdził?

Czuję, jak jego ciało tężeje. Wiem, że pyta o Brennusa. Gorączkowo myślę, co robić, z mojej winy już krwawił fizycznie, nie chciałabym dodawać do tego cierpień psychicznych. Szczęki mu sztywnieją, gdy widzi, że się waham.

– Proszę, powiedz.

Znów ściska mnie w gardle i jestem w stanie wydobyć z siebie ledwie szept.

– Złamał mnie. – Ramiona mu się spinają. – Uratował mnie Russell... gdyby nie on i kilkanaście granatów, stałabym się jedną z nich. Po jego ugryzieniach ból był nie do wytrzymania. Potem to już była tylko kwestia czasu. Nie miałam wyboru, czy zechcę napić

się krwi Brennusa. Musiałabym to zrobić. Gdybym wreszcie uległa, uczyniłby mnie żywym trupem i ostatecznie kochanką.

– Więc nie zdążył zrobić z ciebie swojej kochanki? – Wstrzymuje oddech.

– Nie. Zostało mi to oszczędzone, bo bał się, że mnie zabije, zanim zdoła dokonać mojej przemiany – odpowiadam. – Ale ostatecznie to by się stało... Zaczynałam go pragnąć i wiem, że w końcu zrobiłabym wszystko, co tylko by chciał – przyznaję i ze wstydu zaczynam płakać wtulona w jego ramię. – Czuję się taka słaba.

– Nie gadaj głupstw, Evie. – Przygarnia mnie do siebie. – Wytrzymałaś więcej niż którykolwiek z tych Gankanagów, kiedy stawiałaś opór. To znaczy, że jesteś silna, silniejsza niż oni wszyscy.

Ale ja nie czuję się silna, tylko strasznie mała. Reed próbuje mnie pocieszyć. Gładzi moje skrzydła i przemawia do mnie w swoim melodyjnym języku.

– Brennus zrobił mi prezent, zanim odeszłam... Wiesz, co to było? – pytam, łkając, ale nie czekam na odpowiedź. – Rozkazał chłopakom zabić Alfreda. Rozszarpali go na kawałki na posadzce tej sali w kopalni miedzi, a ja... ja się cieszyłam.

Reed opuszkami palców ociera mi łzę z policzka.

– Jesteś aniołem. Mściwość to częśćka twojej natury. Nie oczekuj, że będziesz reagować jak człowiek na widok niszczenia któregoś z Upadłych – tłumaczy spokojnie, jakby moje wyznanie wcale nie wydało mu się obrzydliwe.

– Nie. W tym było coś więcej... Alfred powiedział mi, że to on ciebie wydał... że kiedy uciekłam, to on zawiadomił Dominionium i przekazał informację, gdzie znaleźć ciebie i Zee. Kupił mój portret i posłużył się nim, żeby zachęcić Brennusa do porwania. Zabił mojego wujka i gdyby nie Russell, dołączyłabym do nich, żeby razem z nimi rozdzierać go gołymi rękami – wyznaję z rozpaczą, bo wiem, że to dowód, jak bardzo jestem zła.

– To też całkiem uzasadniona reakcja u Serafina. – Jego słowa są jak balsam na moje udręczone serce. Pociągam nosem wtulona twarzą w jego ramię. – No już, już... nic ci nie grozi... jestem z tobą.

Kręcę głową.

– Nie... Boję się. On jest we mnie. Jad Brennusa krąży mi w żyłach i ja nadal go łaknę... To jak narkotyk i nie wiem, co zrobić, gdy mnie znajdzie, a znajdzie na pewno. – Zaczynam dygotać w jego ramionach. Uspokajająco gładzi moje skrzydła, ale ja już nie potrafię powstrzymać potoku słów. – Powiedział, że po mnie przyjdzie, bo jestem jego, i ja mu wierzę – wybucham. – On mnie odnajdzie. Nazywa mnie swoim kotkiem i *mo chroi*. Nie masz pojęcia, co robi z nim moja krew. Jak się jej napije... To na niego też działa jak narkotyk. Cherubin mówił, że to kara. Że on będzie mnie pragnął tak strasznie, jak tamte kobiety pragnęły jego.

Nie mogę pohamować szlochów. Reed unosi mnie, kładzie na poduszce i otula kołdrą. Przyciąga do swojego boku i daje mi się wyplakać, aż wreszcie się opanowuję.

– Co do wielu spraw on bardzo się myli – stwierdza, zaglądając mi w oczy. – Jesteś moja i zostaniesz pomszczona.

– Nie! – protestuję ochryplym głosem. – Brennus chce się z tobą pojedynkować, bo powiedziałam mu, że dla mnie nie istnieje i kocham tylko ciebie. Zamierza cię zabić, a ja nie mogę...

Rozpacz odbiera mi głos. Ledwie mogę oddychać, ale muszę przekonać Reeda, że nigdy nie powinno dojść do tej walki. Nie wolno mu wszcząć wojny, bo ja nie mogę go stracić. Przecież dopiero co go odzyskałam. Robi mi się ciemno przed oczami, brak mi tchu. Reed zdaje się przerażony, mówi coś do mnie szybko po anielsku, ale w tym oszołomieniu nic do mnie nie dociera. Jego melodyjny głos zanika, a po chwili wszystko zapada się w ciemność.



Powoli się budzę. Z otwartego balkonu do sypialni wlewa się światło słoneczne. Delikatny wietrzyk muska pióra moich skrzydeł, bo jestem okryta tylko do pasa. Leżąc na brzuchu, przeciągam się. Czuję miękkość łóżka pod sobą. Dopiero po kilku minutach orientuję się, że nie mam na sobie nic prócz prześcieradła. Zaskoczona rozglądam się i dostrzegam, że nie jestem sama. Obok mnie leży Reed. Mija kolejna chwila, zanim zdaję sobie sprawę, że śpi. Nigdy nie widziałam go śpiącego, bo on potrzebuje tak mało snu, że zawsze był na chodzie, kiedy się budziłam.

Przez moment myślę, że został tu ze mną poprzedniego wieczoru, ale najwyraźniej wziął prysznic i przebrał się w inny, niebieski sarong. Pachnie przepięknie. Po tak długiej rozłące nie tracę czasu, z zachwytem wodzę oczami po jego pięknych rysach i muskularnej sylwetce. W promieniach słońca, łagodnych niczym dotyk nieba, patrzę na ukochanego, za którym tak bardzo tęskniłam.

Nagle coś przyciąga moją uwagę. Jakiś malutki biały punkcik na jednym z piór po wewnętrznej stronie skrzydła. Sięgam dłonią i chwytam paznokciami tę białą drobinę, a kiedy ją pociągam, okazuje się, że to kawałek papieru. Starannie poskładany w maciupęńki kwadrat. Brzegi są poskręcane. Rozkładam go i rozprostowuję. Moja dłoń lekko drży, gdy widzę na nim swoje własne pismo. To fragment listu, który napisałam do Reeda, kiedy uciekaliśmy z Russellem parę miesięcy temu. Cytat, który przytoczyłam z Szekspira:

Wątp, czy gwiazdy lśnią na niebie;

Wątp o tym, czy słońce wschodzi;

Wątp, czy prawdy blask nie zwodzi;

Lecz nie wątp, że kocham ciebie.

– To moje – mówi zaspanym niskim głosem Reed.

Zabiera z mojej dłoni karteczkę. Z wojskową sprawnością składa ją ponownie i chowa między piórami skrzydła.

Robię okrągłe oczy ze zdziwienia.

– Pozwolili ci tu wrócić? – pytam głupio, bo to oczywiste, skoro tu jest.

Uśmiecha się do mnie sennie.

– Tak. Wolno ci przyjmować gości. Martwią się tylko, że będziesz próbowała uciekać. Przy obu wyjściach są strażę. Preben ze swoimi ludźmi patroluje w tej chwili okolice, zaglądają tu co parę godzin, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku – wyjaśnia. Wygląda na bardzo zmęczonego.

– Przepraszam, że cię obudziłam... Jak długo spaliśmy? – Usiłuję otrząsnąć się z szoku, że nosi na sobie ukryte listy.

Rzuca okiem na zegar stojący na biurku.

– Ty spałaś trzynaście godzin dziewiętnaście minut, a ja sześć godzin i czterdzieści siedem minut.

Szczęka mi opada. On nigdy nie śpi więcej niż parę godzin na dobę. Musi być chory – myślę zmartwiona i marszczę brwi. Odruchowo sięgam dłonią do jego czoła, by sprawdzić, czy ma gorączkę.

– Nic mi nie jest. – Uśmiecha się słodko. – Ostatnio źle spałem. Myślę, że po prostu musiałem to nadrobić.

Zdejmuje moją dłoń ze swojego czoła i ją całuje.

– Dlaczego chowasz sobie tę karteczkę w skrzydle? – pytam pełna podziwu, jak sprytnie zdołał ukryć to przed aniołami, które za wszelką cenę chciały mnie znaleźć. List był dowodem, że istnieje.

Znów się uśmiecha, ale to może być też grymas, bo mówi:

– Wczoraj pytałaś mnie, jak udało mi się odmówić współpracy zabójcom. Trzymałem to na te chwile, kiedy bardzo trudno było się nie poddać.

Aż sztywnieję, kiedy słyszę to wyjaśnienie.

– Tak? – mruczę, bo ta wiadomość, którą mu napisałam, ciągle wywoływała we mnie frustrację. Nie potrafiłam w niej przekazać, jak mocno, namiętnie go kocham, jak bardzo będę za nim tęskniła. – Powinieneś ustąpić. Powiedzieć im o mnie wszystko, co chcieli wiedzieć. – Kręcę głową nad tym, co przeze mnie przeszedł. – Nie do wiary, że zachowałeś tę kartkę. Nie masz pojęcia, jak bardzo się martwiłam, że zostawiam ci taki list, w którym nie zdołałam opisać, jak mocno cię kocham i jak bardzo chciałabym z tobą zostać.

– Trzeba było zostać. – Patrzy na mnie z tak rozdzierającym żalem, że serce mi pęka.

– Teraz to wiem. – Spuszczam oczy. Mnę w palcach prześcieradło, zanim znów podnoszę na niego wzrok. – Tak mi przykro... Myślałam, że robię to, co najlepsze dla wszystkich.

Nachmurza się.

– Naprawdę sądziłaś, że bez ciebie będzie mi najlepiej?

Ściska mnie w gardle.

– Uważałam, że dzięki temu nie uznają cię za zdrajcę – wyjaśniam. – Ale przegrywałam walkę ze sobą, by trzymać się od ciebie z daleka. Tuż przed pojawieniem się Brennusa zadzwoniłam na swoją pocztę głosową, bo musiałam cię choć usłyszeć – przyznaję szczerze i widzę ten jego uroczy uśmiech, któremu nie potrafię się oprzeć.

– Naprawdę? – pyta z czułością, jakby moja słabość do niego była czymś dobrym.

Kiwam głową i wpatruję się w jego oczy.

– Nie potrafiłam się powstrzymać. Nie mogę bez ciebie żyć. Tęskniłam za tobą każdego dnia.

W jego spojrzeniu pojawia się pożądanie, gdy powoli nachylam się nad nim, skupiając się na jego przepięknych ustach. Muskam je wargami, czuję ich jędrność. Kiedy znów opieram głowę na jego piersi, od razu uświadamiam sobie, że przecież nie mam na sobie nic. Wrywa mi się leciutki jęk rozkoszy, gdy Reed przyciąga mnie bliżej i obejmuje.

Skubie moją dolną wargę, delikatnie pociąga ją zębami, jakby się ze mną droczył. A potem z westchnieniem puszcza, by szepnąć mi prosto do ust:

– Musimy porozmawiać.

– Nie... pozwól pokazać mi, jak bardzo za tobą tęskniłam – mówię cicho i w nagrodę słyszę seksowny pomruk.

Stara się ukryć, jak bardzo mnie pragnie. Przybiera surowy wyraz twarzy.

– Rada wojenna – zaczyna, ale przerywa, gdy obsypuję jego pierś delikatnymi pocałunkami.

Powoli, z rozmysłem wysuwam język, potem dotykam nim skóry. Chwilę później leżę na plecach, a Reed jest nade mną, wygląda, jakby chciał mnie zjeść.

Całuje mnie raz jeszcze.

– Evie, to, co mam ci do powiedzenia, jest bardzo ważne – zaznacza. Odwraca wzrok, żeby nie patrzeć na moje ciało.

– To, co ja chcę ci uzmysłwić, jest jeszcze ważniejsze – upieram się, próbując go zmusić, żeby znów na mnie spojrzał.

– Chodzi o Brennusa i Russella – podejmuje łagodnie.

Zamieram, jakby zadał mi cios w brzuch. Chyba widzi, że nie potrafię wydobyć z siebie słowa, bo te dwa imiona, wypowiedziane naraz, powodują w mojej głowie bolesną gonitwę myśli.

– Russell jest cały i zdrowy. Podróżuje z Brownie. Powiadomiliśmy ich, co się dzieje, mają się przemieszczać z miejsca na miejsce, póki do nich nie dołączymy. Zefir jest z nimi w niemal stałym kontakcie i zawiaduje ich ruchami – zapewnia Reed, ale to mnie jakoś nie uspokaja.

Robi mi się zimno, niedobrze, jakby chlusnął na mnie kubłem lodowatej wody.

Pewnie to zauważa, bo bierze mnie w ramiona i przytula do siebie.

– Wysłano zwiadowców, żeby sprawdzić informacje, które przekazałaś radzie, i odkryto jaskinię. Znaleźli tam sporo ciał i kilka kobiet, którym udało się przeżyć, ale Gankanagów tam nie było. Najprawdopodobniej szukają ciebie i Russella. – Urywa, żeby pogłodzić moje włosy. – Na szczęście te ocalałe dziewczyny nie widziały, co zaszło pomiędzy Russellem a Gankanagami. Nie mówiły nic o nim, tylko o tobie. Potwierdziły to, co powiedziałaś radzie.

Najwyraźniej Gankanagowie dyskutowali na twój temat. Żołnierze Brennusa byli bardzo podekscytowani, że staniesz się jedną z nich – stwierdza ponuro.

Czuję wielką ulgę na wieść o Russellu. Ale zaraz potem dociera do mnie, że Brennus na nas poluje. Nie odpuści nam po tym, co mu zrobiliśmy. Zniszczy Russella, a potem będzie mnie dręczył przez wieczność.

– Rada zamierza jeszcze raz z tobą pomówić – ciągnie Reed. – Chcą wiedzieć, czy słyszałaś coś o jego innych posiadłościach, rezydencjach, interesach, czymś, co naprowadziłoby ich na jego trop.

Kręcę głową.

– Sądysz, że on wie, gdzie jestem? – pytam Reeda zdrętwiała z przerażenia.

– Gankanagowie mają świetnie rozwinięty węch. Łatwo mu było iść za twoim zapachem, bo krwawiłaś. Ale nie wiem, czy mógł cię śledzić, od kiedy wsiadłaś do samolotu i opuściłaś okolice kopalni. Czy domyśla się, dokąd zmierzasz?

Zastanawiam się chwilę i przytakuję.

– Alfred powiedział nam, że wydał cię Dominium i że zostałeś aresztowany. Mówiłam Brennusowi, co do ciebie czuję. Jest bystry, istnieje od tak dawna... pewnie wie, ile to dwa razy dwa – mówię i zamykam oczy. Serce mi wali. – Jeśli zgadnie, że poleciliśmy do Quebecu, wystarczy, że wejdzie do budynku straży granicznej, od razu poczuje mój zapach. Spędziłam tam przynajmniej dziesięć godzin, a moja szyja stale krwawiła. Musieliśmy wypełniać formularze dotyczące planu dalszego lotu, żeby wiedzieli dokładnie, dokąd się wybieramy. A skoro potrafi mnie wytropić, to i Russella, bo używał swojego podrobionego paszportu, a Brennus zna nasze imiona i nazwiska. Te prawdziwe i fałszywe – mówię z oczami wielkimi ze strachu.

Lęk kompletnie mnie poraża.

– Musisz zadzwonić do Russella! – błagam. – Musisz ich ostrzec. O Boże! Co ja zrobię? Nie mogę chronić Russella, kiedy tu jestem! Musimy uciekać, Reed – mówię, wyswobodzając się z jego objęć i rozglądając za tym idiotycznym strojem, który na sobie miałam. Nigdzie go nie widzę, więc owijam się prześcieradłem i podbiegam do niewielkiej szafki. Ale w środku są tylko jakieś sarongi.

Reed idzie za mną i stara się zwrócić na siebie moją uwagę.

– Russell jest względnie bezpieczny. Razem z Brownie są stale w drodze. Teraz gdzieś w Europie. Traktują to jak wycieczkę turystyczną.

Obracam się, by spojrzeć na Reeda.

– Rzeczywiście, Reed! Fantastyczne wakacje! Być zwierzyną łowną dla demonów i ludzi się nadzieją, że się nie wpadnie na jakiegoś Upadłego anioła. Albo, Boże uchwaj, na anioła Mocy, który uzna cię za potwora!

Podchodzę do szafy i szukam czegoś do ubrania.

Reed ciężko wzdycha.

– Mogłoby być lepiej – mówi. – Ale radzą sobie. Zefir jest bardzo dobrym taktykiem. Zadba o to, by wyprzedzali ruchy Gankanagów, zanim będziemy mogli ich lepiej chronić.

Chciałabym mu wierzyć. Ale po tym, co przeszłam u Gankanagów, wiem, że nie możemy pozwolić sobie na żadne pomyłki. Każdy błąd może oznaczać dla Russella i Brownie śmierć.

– Kiedy możemy stąd wyjechać? – Wreszcie się poddaję i nie szukam dłużej, tylko siadam na łóżku owinięta w prześcieradło.

– O tym właśnie musimy pomówić, Evie. – Reed zajmuje miejsce obok mnie.

Marszczy lekko czoło, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

Coraz bardziej przerażona pytam:

– O Boże! Co poszło nie tak, Reed? – Cała krew odpływa mi z twarzy.

Od razu łapie mnie za rękę i mocno ją ściska.

– Rada uznała, że Zefir i ja działaliśmy zgodnie z naszym prawem. Nie popełniliśmy wykroczenia. Zgodzili się natychmiast nas uwolnić – mówi uspokajającym tonem, przypatrując się mojej małej dłoni w swojej, o wiele większej.

Oddycham z ulgą. Puszczą go. Jest wolny – myślę, ale nagle dociera do mnie znaczenie tego, co naprawdę powiedział. On jest wolny, ale nie mówi, że ja też.

– Kiedy wyjedziesz? – pytam spokojnie, nawet trochę z siebie dumna, że głos mi się nie załamuje, ale nie jestem w stanie spojrzeć na Reeda.

– To zależy od ciebie – odpowiada z seksowym pomrukiem.

Szybko unoszę głowę i zaglądam w jego piękne zielone oczy. Chce czegoś ode mnie. Wie, że kiedy mówi w ten sposób, nie umiem mu się oprzeć. Słyszę fale uderzające o nabrzeże zatoki pod otwartym balkonem; upajam się zapachem wody i Reeda, jestem jak urzeczona. Czuję, że wpadam w pułapkę.

– Teraz nie mogę stawać w twojej obronie – tłumaczy łagodnie. – Nie mam wpływu na radę wojenną ani na to, jak cię potraktują, czy też co z tobą zrobią. – Bezwiednie ściska mocniej moją dłoń.

– A jak mnie potraktują? – Uśmiecham się ze smutkiem. Waha się chwilę i widzę, jak w jego oczach pojawia się złość. – Powiedz mi, proszę.

– To rada wojenna, oni prowadzą wojnę. Odkryli nową broń i niektórzy z nich aż się palą, żeby ją wypróbować. Chcieliby sprawdzić, czy rzeczywiście tak bardzo przyciągasz Upadłych – wyjaśnia.

Robię się biała jak chusta. Mam być przynętą? Wystawią mnie, by zwabić tu wszystko, co złe?

– Ach tak... – Staram się usztywnić rękę, żeby nie dało się wyczuć, jak drży.

Dość już ze mną przeszedł. Nie zasługuje na to, żebym wpędzała go w poczucie winy, że mnie tu zostawia. W końcu nie ma innego wyjścia, prawda?

– Będziesz musiała tu z nimi zostać, a mnie każą odejść. Nie należę do Dominium, nie pozwolą mi dłużej się tu zatrzymać – tłumaczy.

– To ile mamy czasu na pożegnanie? – pytam, zła na radę wojenną za to, że tak brutalnie ingeruje w moje życie. Powinnam mieć prawo odejść, skoro nie uznali mnie za dość złą, żeby mnie zniszczyć.

– Nie mogę cię opuścić – mówi Reed.

– Ale właśnie powiedziałaś, że nie pozwolą ci zostać – przypominam, zaglądając mu w oczy.

– Tak, ale nie potrafię cię tu zostawić – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– No ale... oni nie dadzą mi odejść – mruczę, zastanawiając się, co mi umyka.

– Mogą nie mieć wyboru – odpowiada z uwodzicielskim uśmiechem.

– Co ty mówisz? Znowy wynalazłeś jakiś kruczek prawny? – pytam, gdy zaczyna kielkować we mnie wiara w lepsze jutro.

– Tak – mruczy mi jak kot do ucha.

Oddycham z ulgą.

– Uff! Jesteś niesamowity! O co chodzi? Zgadzam się na wszystko – mówię z wdzięcznością i widzę, jak jego oczy rozświetla nadzieja. Zaczyna w nich też płonąć pożądanie.

– Zwiąż się ze mną, wtedy nie będą mogli nas rozdzielić – prosi. Pieści ustami moją szyję tak kusząco, że cała się rozpływam.

– Co masz na myśli? – pytam zafascynowana tym, jak na mnie patrzy. Zaborczo i opiekuńczo zarazem. – Chcesz powiedzieć, że powinniśmy się pobrać czy co? – dodaję trochę głupio, bo przecież mówił mi kiedyś, że anioły się nie żenią.

– Nie. Ludzie zawierają śluby, ale to sakrament nie dla nas, bo obowiązuje tylko na czas ziemskiego życia. Związanie się to coś starszego i innego... anielskiego... trochę bardziej intensywnego – wyjaśnia. Przesuwa palcem po moim obojczyku, tuż nad prześcieradłem, w które się owinęłam.

– Jak to: bardziej intensywnego? – szepczę. Z trudem skupiam się bardziej na tym, co mówi, niż na tym, co robi.

– Gdy przysięgamy sobie związek, który czyni nas jednością, wtedy mogę w twoim imieniu występować przed radą. Stracą władzę nad tobą, bo twoja droga będzie też moją, więc jakikolwiek czeka cię los, ten sam jest pisany i mnie. – Jego palec ześlizguje się po moim ramieniu na rękę, śledzi bieg żył i tętnicy wiodącej jej wewnętrzną stroną aż do dłoni. – Nie będą mogli postąpić ze mną tak, jak zamierzają postąpić z tobą, bo nie jestem półczłowiekiem. Jeśli staniemy się jednością, muszą traktować cię tak jak mnie.

Przymykam oczy, przez chwilę rozkoszując się jego dotykiem. Ale zaraz je otwieram, bo dociera do mnie, co powiedział.

– Jesteś pewien, że będą traktować mnie tak jak ciebie? A może to ciebie potraktują tak jak mnie? – pytam sceptycznie.

Co, jeśli to nie zadziała, jak chciałby Reed, i on podzieli los, jaki miał spotkać mnie? Na samą myśl robi mi się słabo. Zniosę wszystko, cokolwiek stanie się ze mną, ale jeśli Reed ma cierpieć za to, czym jestem, to tego już nie wytrzymam.

– Zaufaj mi, jestem tego całkowicie pewien – mówi bez wahania, ale jest dobry w zwodzeniu mnie, jeśli boi się, że coś może mi zagrażać.

– No, a ta przysięga... co ona oznacza? – pytam i widzę, jak w jego oczach pojawia się radość, że biorę pod uwagę jego plan.

To takie dziwne, wyraźnie się cieszy, choć dyskutujemy o tak poważnych sprawach. Zdaje się szczęśliwy.

Uśmiecha się do mnie pięknie.

– Oznacza, że jesteś moja, a ja twój i nikt nie może stanąć pomiędzy nami. Oznacza, że scalimy się w jedno, i to nieodwołalnie.

– A jeśli ty będziesz właściwie mną, a ja tobą... to co się stanie, kiedy ktoś uzna, że jestem zła i trzeba mnie zniszczyć? – pytam skołowana.

– Wtedy będę mógł walczyć za nas oboje – mówi dumnie, bardzo z siebie zadowolony.

Wyjście, które mi proponuje, może być tragiczne w skutkach. Jakby miał zamiar skoczyć za mną w ogień. Przygryzam dolną wargę.

– A jeśli walka nie wchodzi w rachubę? Gdyby to było coś w rodzaju wyroku i zdecydują, że trzeba mnie stracić?

Odpowiada prosto i jasno.

– To i ja umrę. Podzielimy ten sam los.

Skaczę na równe nogi.

– O nie! Nie ma mowy!

Potrząsam głową. Czy on zwariował? Sądzi, że pozwolę mu pójść na dno razem ze mną?

– Genevieve – wzdycha.

– Reed! – upominam go ostro.

– Co ci się w tym nie podoba? – pyta poważnie.

– Wszystko! – ucinam i zaczynam przed nim chodzić tam i z powrotem, załamując ręce.

Nagle mam dłonie mokre od potu.

– Nie chcesz być moja? – pyta cicho i jakaś nowa emocja pojawia się w jego oczach... czuje się urażony. – Jestem pewien, że i Zefir związałyby się z tobą, jeśli wolisz, ale pomyśl chwilę o Buns.

W jego głosie słyszę napięcie. Nie spodziewałam się takiej reakcji, kiedy mu odpowiadałam. Zatrzymuję się, by na niego spojrzeć.

– Reed, chyba żartujesz. Nigdy nie brałabym pod uwagę, żeby wiązać się z kim innym poza tobą.

Znów się rozpromienia, kąciki jego ust unoszą się lekko.

– Po prostu nie mogę pozwolić, żebyś coś takiego dla mnie zrobił. Nie wolno mi cię narażać.

– Genevieve, ja już jestem z tobą związany... Nie boję się niczego w świecie. Nie ma nic, czym Upadłe mogłyby mnie zaskoczyć, ale ty... – Wstaje, chwytając mnie w ramiona i przyciąga do siebie. – Nie znasz naszego języka, jesteś taka młoda i nawet nie oczekujesz, że potraktują cię sprawiedliwie.

Ma bardzo poważny wyraz twarzy, kiedy dodaje:

– Jestem pewien, że Poganka miała tu wielu przyjaciół. Nie było im przyjemnie patrzeć, jak umiera. Natknąłem się na kilku, którzy choć nie są wobec mnie otwarcie wrodo, mogą się nie hamować wobec ciebie, gdybym ja stąd wyjechał.

Rozumiem, co ma na myśli. Z nim nie podjęliby walki, bo on należy do elity wojowników, ale ja to co innego.

– Preben i jego drużyna zostali ci przydzieleni do ochrony, ale nie wszystkim im ufam. Zrobiliśmy sobie potężnego wroga z Gunnara. Myślę, że ma jakieś plany wobec ciebie, bo bardzo zależy mu na tym, by jak najszybciej pozbyć się stąd mnie i Zefira.

Przebiega mnie dreszcz. To, że rada oficjalnie darowała mi życie, nie oznacza wcale, że mnie tu nie zabiją. Jeśli komuś zależy na mojej śmierci, są sposoby, by zrobić to po cichu. Może te anioły Mocy nie są tak wysokiej klasy zabójcami jak Reed czy Zefir, ale zapewne wszyscy potrafią skutecznie mordować.

– Mógłbyś przestać być taki szlachetny? – pytam z ciężkim westchnieniem. – Powinnam zrobić to, o co prosiłeś, kiedy się tylko poznaliśmy. Odejść, jak mi kazałeś. A ja nie wiedziałam... nie słuchałam i teraz ty starasz się mnie chronić. Ale umiem odróżnić dobre od złego. A korzystanie z twojej pomocy byłoby złe. Jak się kogoś kocha, to nie wystawia się go na niebezpieczeństwo. Jeśli kogoś kochasz, to musisz robić, co najlepsze dla niego, nie dla ciebie.

– To jest dla mnie najlepsze. Tylko ty zdołasz mnie ocalić. Nie mogę od ciebie odejść, więc będę musiał zostać i walczyć z nimi wszystkimi, żeby nas nie rozłączyli. Jeśli będę zmuszony tak zrobić, zrobię to. Sądzisz, że kłamałem, kiedy powiedziałem, że cię kocham? Dowiodę ci, że taka jest prawda – obiecuje, a jego usta ściągają się surowo i nie mam wątpliwości, że mówi serio.

Odwracam twarz ku jego piersi i kiwam głową w przód i w tył, wyobrażając sobie, jak walczy, by zostać tu ze mną. Mija kilka pełnych udręki sekund, zanim jestem w stanie podnieść na niego oczy.

– A jeśli się z tobą związę, nie będziesz musiał z nimi wszystkimi walczyć, żeby ze mną zostać?

Chcę mieć co do tego absolutną pewność.

– Zabiorę cię ze sobą, nie będą mogli mi tego zabronić, bo jestem wolny, a bylibyśmy jednością. Nie jesteś Upadłym aniołem, nie jesteś skalana, oznaczona tak jak one wszystkie – mówi i na chwilę zamiera w bezruchu. – Podobnie nie jesteś Nefilimem... Może twoje pochodzenie jest podobne, ale masz duszę, a to znaczy, że dane ci jest odkupienie.

– Będziesz więc musiał kochać mnie przez wieczność czy coś w tym rodzaju? – pytam, bo nie potrafię wyobrazić sobie nieskończoności, którą chce mi przysiąc.

On z kolei wie dokładnie, o jakim czasie mówimy, i wydaje się, że to go wcale nie przeraża.

– Tak – stwierdza, jakby wypowiadał mantrę – i będziemy zawsze ja i ty. Nigdy nie zostaniesz sama, bo będziesz miała mnie... zawsze – szepcze cicho.

Każda komórka mojego ciała reaguje na te słowa.

– Dobrze, wchodzę w to – mówię, zanim mogę się pohamować.

I uśmiecham się, czując, jak ogarnia mnie euforia.

Ale danych jest mi ledwie kilka chwil radosnego uniesienia, bo zaraz przypominam sobie o Russellu. Mam wielkie wyrzuty sumienia, a na dodatek moja dusza każe mi się opierać, bo przecież Reed to nie Russell, nie moja druga połowa, bratnia dusza. Co stanie się z Russellem, jeśli podejmę taką decyzję? Ostry ból ściska mi serce. Jednak Russell błagał, żebym wróciła. To, co chcę zrobić, jest jedynym sposobem, by się stąd wydostać. Jeśli nie zwiążę się z Reedem, będę musiała zostać tu z aniołami Mocy, bo dobrowolnie mnie stąd nie wypuszczą. Pewnie szybko obrażę któregoś z nich, nawet przez prosty fakt, że jeszcze oddycham. Russell powiedział, że kocha mnie bez względu na wszystko, jego miłość jest bezwarunkowa. Zobaczymy, czy to prawda.

– Co jest potrzebne, żeby związać się z tobą? – Podnoszę wzrok na Reeda.

Natychmiast się rozchmurza. Promienieje radością. Podnosi mnie do góry i niespodziewanie namiętnie całuje. Kręci mi się w głowie, kiedy wreszcie stawia mnie z powrotem na miękkich nogach. Jeszcze czuję na ustach jego wargi, gdy podchodzi do balkonu. Daje komuś znak i cofa się w głąb pokoju. W jednej chwili na balkonie lądują Zefir z Buns i jeszcze ktoś, kogo nie znam.

– Skarbie! Wiedziałaś, że się zgodzisz! – Buns podbiega do mnie i mocno mnie ściska. – Reed bał się, że trzeba będzie cię zmuszać, bo tak bardzo się o nas martwisz, a ja mu mówiłam, że zrozumiesz, dlaczego musisz to zrobić. – Uśmiecha się, popychając mnie do łazienki. Zamyka za nami drzwi. – Ale tak na wszelki wypadek zabraliśmy ci wszystkie ubrania, żebyś nam nie uciekła. – Obejmuje mnie raz jeszcze i dodaje: – Dziękuję. To znaczy dziękuję za Zee. Opowiedział mi, co dla nich zrobiłaś, i... strasznie się na ciebie wkurzyłam... ale jestem ci naprawdę wdzięczna. Wiedziałaś, że zuch z ciebie, ale nie, że aż tak.

– To wszystko nie udało się bez twojej pomocy. Dziękuję, że pomogłaś mi tu dotrzeć – mówię, mocno ją obejmując. – Miałas rację z tym strojem. Dzięki niemu nie byli w stanie mnie zabić.

Buns uśmiecha się do mnie znacząco.

– A nie mówiłam? Trzeba im było przypomnieć, co tracą, i gotowe. Ale teraz musimy się pospieszyć. Nie mamy za dużo czasu, bo nie wiemy, kiedy rada zdecyduje, że chce cię znów widzieć. – Odsuwa się ode mnie.

Znika w drzwiach i w ułamku chwili wraca z torbą pełną rzeczy. Wyciąga batonik proteinowy, wodę i każe mi jeść. Kiedy kończę, popycha mnie pod prysznic. Myję się, a potem układa mi fryzurę, odgarnia włosy z twarzy i przytrzymuje je złotą spinką. Reszta spływa swobodnie na plecy.

Marszczy brwi.

– Przykro mi, że na taką okazję musisz włożyć pożyczoną sukienkę, ale Zee twierdzi, że nie wolno nam zwlekać. Musimy się stąd zwijać jak najszybciej, żeby dołączyć do Brownie i Russella.

Pomaga mi się ubrać. Suknia jest z jedwabnego szyfonu, fason przypomina tunikę z okrągłym wycięciem przy szyi. Z jednej strony materiał ześlizguje mi się z ramienia, obnażając je prowokująco, a jednak wygląda to dość niewinnie. Ma piękny kolor opalizującej pastelowej zieleni; końce złotego sznureczka przewiązanego w pasie zwisają do brzegu spódnicy sięgającej nieco niżej niż do połowy uda. Na widok swojego odbicia w lustrze marszczę brwi, bo choć to piękna sukienka, wyglądam w niej jak jakiś elf. A że nie przepadam za tymi, które poznałam, nie jestem zachwycona.

– Nie podoba ci się – martwi się Buns, widząc moją minę. – Ale wyglądasz cudownie. Nigdy nie widziałam piękniejszego Serafina – dodaje jednym tchem.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Jest śliczna – zapewniam szybko, żeby ją pocieszyć. – Dziękuję, że mi ją przyniosłaś.

Przecież to wszystko nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, co zamierzam za chwilę zrobić. Na myśl o tym ogarnia mnie lekka panika, bo wiem, jakie to samolubne z mojej strony, że przyjąłem propozycję Reeda. Ale skoro już tak się stało, to tego chcę. Bardziej, niż powinienam. Chcę, aby pozostał ze mną związany na wieczność, bo zawsze będę go pragnąć... potrzebować... kochać. Jest idealny i nie potrafię z niego zrezygnować. Ale nie umiem też zrezygnować z Russella, nigdy nie przestanie być moim najlepszym przyjacielem... przenigdy. A co to oznacza dla Reeda?

Buns musiała wyczytać lęk z mojej twarzy, bo łapie mnie za ramiona i zmusza, żebym na nią spojrzała.

– Musisz to zrobić, Evie. Tylko tak zdołamy cię ocalić. Przecież bez ciebie się stąd nie ruszymy. Nie możemy tak po prostu cię tu zostawić, zdaną na własne siły. Mogliby użyć cię jako przynęty na Gankanagów. Zefir podsłuchał, jak rada dyskutowała na ten temat. Jeśli pozwoliliby Gankanagom cię złapać, sukces uśpi czujność Brennusa. Nie będzie spodziewał się ataku i stanie się łatwiejszym celem. Uważają, że to, co widziałas, to tylko czubek góry lodowej, jak to się mówi. W krótkim czasie zdołali zebrać pewne informacje i wszystko wskazuje na to, że Brennus dysponuje całą armią.

– No to ja się wycofuję! Nie mogę ściągać przeciwko wam takich sił – protestuję; czuję, jak cała blednę. Przecież tamci zrobią z nich miazgę.

Buns kręci głową.

– Teraz i my możemy zebrać swoje wojska. Nie musimy już cię ukrywać. Reed i Zee zajmą się tym, a mają wielu przyjaciół, którzy z radością się włączą. Nawet nie myśl o tym, by tu zostać, Evie. Te anioły nie mają na względzie twojego dobra.

– Ale może mnie nie zabiją, wiesz, może uda mi się ich do siebie przekonać? – Szukam wyjścia, które nie narażałoby na niebezpieczeństwo wszystkich, których kocham.

– Evie, nie zdawaj się na ich łaskę. Zee odkrył, że Gunnar był kochankiem Poganki. Knuje coś przeciw tobie, chce... żebyś cierpiała. Rozkazał swoim przybocznym upolować kilku Upadłych. Mają ich wziąć żywcem. Zamierza ich tu sprowadzić i zamknąć was w jednej sali, żeby sprawdzić, jak na ciebie zareagują – wyjawia, nie owijając w bawełnę.

Ze strachu zaczynają mi się trząść ręce.

– Ach tak...

Zaczynam widzieć swoją sytuację z szerszej perspektywy. W ten czy inny sposób Gunnar pomści Pogankę.

– Przykro mi, że ci to mówię. Ale powinnam uświadomić ci, dlaczego musisz posłuchać Reeda. Nie masz wyboru. – Kładzie mi dłoń na policzku i zagląda mi w oczy.

Przytakuję. Ma rację. Jeśli pragnę żyć, to jedyne wyjście. Nie mam dokąd uciekać. Potrzebuję ochrony, a skoro tak, to chcę, by pilnował mnie nie kto inny, tylko Reed, i szczęśliwym trafem losu on mi to sam proponuje. Użyje wszelkich dostępnych mu środków, żeby bronić mnie przed Dominium i Gankanagami.

Buns z wielką ulgą też kiwa głową.

– Jesteś gotowa zrobić to teraz? – pyta, a ja potwierdzam skinieniem, bo chyba nie zdołałabym w tej chwili cegokolwiek powiedzieć.

Z tyłu względów obawiam się tego, co się zaraz stanie. Poczynając od poczucia, że to niewłaściwe, po przerażenie, że doprowadzę Reeda do zguby. Okropnie się boję. Ale muszę kontrolować swój strach, bo inaczej już po mnie. Moje obecne życie i przyszłość, jakiej można się teraz spodziewać, składają się bowiem z samej niepewności.

Buns otwiera drzwi i idzie pierwsza. Staje obok Zefira, blisko balkonu. Wychodzę i widzę Reeda w towarzystwie tego innego anioła. Reed z początku nic nie mówi, kiedy się zbliżam i zatrzymuję przy nim, tylko wpatruje się we mnie jak łowca w ofiarę, na którą rzuci się lada moment. Do porządku doprowadza go znaczące chrząknięcie jego towarzysza.

– Genevieve, to Fedrus – przedstawia mi nieznanego Reed. – Jest tu, żeby być świadkiem naszej przysięgi i nas pobłogosławić. Jest aniołem Cnót.

Uśmiecham się do Fedrusa, który wygląda inaczej niż wszystkie dotąd poznane anioły. Nie ma długich, potężnych skrzydeł o gładkich piórach jak Serafimy, Archaniołowie czy anioły Mocy. Ani takich jak Kosiarze, przypominających skrzydła owadów i motyli. Skrzydła Fedrusa wydają się bardziej puchate, jak u sowy, robią wrażenie kosmatych jak futro. Kolor też jest niesamowity, bo podstawowe pióra są kremowe z ciemnobrązowymi plamkami, a wtórne w barwach karmelu i miedzi, która obramowuje szczyt jego skrzydeł. Jego włosy mają te same odcienie karmelu co skrzydła, ale najbardziej niesamowite w nim są oczy. Zarówno

białko, jak i tęcza są czarne. Wyglądają strasznie i kiedy na nie patrzę, robi mi się nieswojo.

Staram się to ukryć.

– Dziękuję, że tu przybyłeś, Fedrusie – mówię.

– Nie, to ja ci dziękuję – odpowiada, oglądając mnie sobie bez pośpiechu. – Myślałem, że wszystko już widziałem przynajmniej raz, ale okazuje się, że Bóg nadal potrafi mnie zaskoczyć. – Wskazuje na mnie. – Jesteś wyjątkowa – dodaje.

Mam wrażenie, że patrzy na mnie zdumiony, niemal z lękiem. To tak odmienna reakcja od tej, z którą się zwykle spotykam, że od razu go lubię.

– Widzisz, jak mi Pan Bóg pobłogosławił, kiedy najmniej się tego spodziewałem? – Cały się rozpromienia.

Gdyby nie te jego oczy i skrzydła, można byłoby go wziąć za bardzo przystojnego człowieka. Ale z nimi? Jak potrafi się wtopić w środowisko zwyczajnych ludzi, to dla mnie zagadka.

Nie mogę się powstrzymać, uśmiecham się i rumienię na jego komplementy. Podnoszę wzrok na Reeda. Obserwuje mnie z zadowoloną miną, jak dziecko, które dostaje na urodziny wszystko, o czym marzyło.

– Gotowa? – pyta.

– Tak – odpowiadam i zastanawiam się, co teraz nastąpi.

Fedrus podchodzi do nas, kładzie nam dłonie na głowach i mówi coś po anielsku. Przyjemnie jest zamknąć oczy i słuchać jego głosu. Melodyjnych rytmicznych fraz, którym towarzyszy jakieś mruccando w tle, coś, czego jeszcze nigdy nie słyszałam. Wibracje dźwięków zapadają we mnie głęboko, przynosząc ze sobą wielki spokój.

Muzyka wypowiedanych zdań urywa się nagle, kiedy Fedrus zdejmuje dłonie z naszych głów. Reed delikatnie nakierowuje mnie tak, żebym spojrzała na niego. Przemawia do mnie po anielsku i to są najpiękniejsze tony wypowiedane najpiękniejszym głosem. Rzucam okiem na Zefira, kiedy słyszę, jak chrząka z aprobatą na to, co mówi mi Reed. Jednak Buns na jego słowa lekko przewraca oczami i zapisuję sobie w pamięci, by spytać ją później, o co tu chodzi.

Skupiam się znów na Reedzie. Kiedy wreszcie milknie, Fedrus pyta:

– Dasz radę powtarzać po mnie?

– Spróbuję – odpowiadam bez przekonania.

Wśluchuję się uważnie w wypowiedane przez niego frazy, które dla mnie nic nie znaczą. Nieporadnie staram się naśladować kadencje, ale moja wersja nie ma w sobie tej urody co jego zaśpiewy. Kiedy kończę, patrzę na Zee. Przygryza dolną wargę; bardzo się hamuje, żeby nie wybuchnąć śmiechem na to, jak kaleczę ich język.

– Wiesz, co właśnie powiedziałaś? – pyta Fedrus, a ja kręcę głową. Patrzy na Reeda i mówi: – Ona powinna powtórzyć przysięgę w swoim języku, żeby obietnica była ważna i wiążąca. – Znów kieruje wzrok na mnie. – Powtórzysz za mną raz jeszcze?

– Dobrze.

Ta wersja będzie dla mnie dużo łatwiejsza.

– Proszę Boga, by złączył moje życie z twoim, tak aby mój umysł stał się jedną z twoim.

Powtarzam za Fedrusem te słowa, wpatrując się w Reeda i trzymając go za rękę.

– Oby moje serce stało się jedną z twoim – recytuję z lekkim uśmiechem – a moje ciało było jednym z twoim ciałem. – Przy tym lekko się rumienię, widząc w oczach Reeda pożądanie. – Od tej chwili aż po wieczność – powtarzam za Fedrusem przysięgę słowo w słowo.

Na koniec nie potrafię powstrzymać uśmiechu. To naprawdę piękne ślubowanie i jestem trochę zaskoczona, bo zwykle te anielskie sprawy mają w sobie jakiś haczyk, o którym nie mam pojęcia, zanim na niego nie trafię i jest już za późno, by się cofnąć.

Ale ledwo zdołałam to pomyśleć, podchodzi Zefir i podaje Fedrusowi zdobiony klejnotami sztylet. Skonsternowana popatruję to na Zefira, to na Fedrusa, który unosi nóż niczym krzyż i znów mówi coś po anielsku. Po jakimś czasie milknie i odwraca się do Reeda. Wznawiając swoje śpiewy, pionowo nacina ostrzem skórę na jego piersi, tuż nad sercem. Potem zbliża się do mnie, unosi nóż nad moim sercem i wiem, że teraz moja kolej.

Staram się stać najspokojniej, jak to możliwe, gdy Fedrus lekko odsuwa materiał mojej tuniki, by odsłonić miejsce, gdzie bije serce. Robię, co w mojej mocy, by się nie skrzywić, kiedy czuję cięcie. Zaczynam krwawić, a Fedrus odwraca się ode mnie z powrotem do Reeda. Tym samym ostrzem tnę teraz poziomo, tak że w efekcie z dwóch nacięć tworzy się krzyż. Moja krew na nożu łączy się z tą płynącą z rany Reeda. Potem Fedrus obraca się znów do mnie, robi podobne nacięcie i miesza krew Reeda z moją. Wreszcie oddaje sztylet Zefirowi, kładzie nam dłonie na głowach i zaczyna coś śpiewnie recytować.

Ranka nad sercem dziwnie pali, ale powoli się zasklepia. To coś zupełnie innego niż to, czego wcześniej doświadczyłam, bo czuję w tym miejscu jakieś dziwne mrowienie. Popatruję na nacięcia, nie są głębokie, ale skóra nie wygląda normalnie. Chciałabym przyjrzeć się jej dokładniej i porównać z tym, jak to jest u Reeda, ale Fedrus nadal przemawia, więc muszę zaczekać.

Kiedy kończy, zdejmuję dłoń z mojej głowy. Podnoszę wzrok i widzę, że wszyscy wpatrują się we mnie z napięciem. Nie bardzo wiem, co robić, rzucam okiem na Reeda, by coś mi podpowiedział. Uderza mnie euforyczny wyraz jego twarzy. Z uszanowaniem unosi dłoń do mego serca. Buns w jednej chwili jest przy nas i podaje mu mały ręczniczek. Kiedy Reed ściera naszą krew z mojej skóry, odsłania coś, czego się nie spodziewałam. W miejscu nacięć pojawił się znak niczym tatuaż: przedstawia skrzydła Reeda. Ten sam kolor i kształt. Ma średnicę nie większą niż dwa i pół centymetra, ale kiedy mu się przypatruję bliżej, widzę wiernie oddane wszystkie szczegóły.

Mój wzrok wędruje do nacięcia nad sercem Reeda. U niego też się coś zmieniło. Biorę rękawiczkę z jego dłoni i wycieram krew z jego piersi, by odkryć misterny rysunek moich szkarłatnych skrzydeł na jego skórze.

– Wasze śluby zostały przyjęte przez Boga. Szanujcie się nawzajem i traktujcie to jak błogosławieństwo, którym rzeczywiście jest – mówi Fedrus, ale ledwie go słyszę, bo jestem tak zdumiona tym, co się przed chwilą stało, że trudno mi myśleć o czymkolwiek innym.

Reed zwraca się do Fedrusa i dziękuje mu za pomoc w dopełnieniu tej ceremonii. Ja też mu dziękuję, a on znów uśmiecha się do mnie tak, jakby trudno mu było uwierzyć, że coś tak zdumiewającego jak ja istnieje naprawdę.

Po chwili czuję na sobie uradowane spojrzenie Reeda.

– I teraz jesteśmy jednym? – Przesuwam palcami po rysunku moich skrzydeł na jego piersi.

– Tak – odpowiada.

Z uśmiechem, który pokazuje, że to ja zyskałam więcej niż on, pochylam się ku niemu. Przyciskam wargi do znaku na jego piersi i całuję go, a potem odsuwam się, by zajrzeć mu w oczy.

– Dobrze – szepczę. – To dokąd się teraz wybierzemy w podróż poślubną? – żartuję, ale tak naprawdę nie marzę o niczym więcej jak o tym, żeby być z nim przez resztę wieczności.

Na moje słowa wszyscy wybuchają śmiechem, a przecież ja nie żartuję. Reed bez trudu mnie podnosi i oddaje mój pocałunek tak, że nie ma wątpliwości, kto jest wygrany w tym układzie.

Zefir chrząka znacząco.

– Reed, musimy się teraz spotkać z radą. Buns zostanie z Evie, zanim ustalimy warunki naszego wyjazdu. To ważne, żebyśmy załatwili jej zwolnienie.

Zee podchodzi do drzwi balkonu i zamyka je na zamek, którego mogłoby tam wcale nie być, bo przecież każdy anioł bez trudu jednym pchnięciem je otworzy.

– Evie, musisz poczekać w tym pokoju. Nigdzie nie wychodź – nakazuje Reed, marszcząc brwi. – Wrócę po ciebie. Rozumiesz?

Przyglądam się jego twarzy i poznaję, że nie chce mnie tu zostawiać, ale nie chce mnie też ze sobą zabrać. Poza tym nie ufa mi, boi się, że zrobię coś nieprzewidywalnego... na przykład znów mu ucieknę.

– Spróbuję tym razem być posłuszna i zastosuję się ściśle do poleceń – przyrzekam, żeby przestał się martwić.

– Bardzo cię proszę – szepcze mi do ucha i przygarnia mnie do siebie.

– A gdyby wybuchł pożar? – pytam, wtulając się w niego, ciekawa, na ile będzie się upierał.

– Znajdź sposób, żeby go ugasić, ale nie wychodź – odpowiada.

– Reed – pogania go zdesperowany Zefir.

Przyciska mnie mocniej, a potem niechętnie wypuszcza z ramion. Zefir idzie do wyjścia, a za nim Fedrus. Najwyraźniej zabierają go ze sobą, by dowieść, że związek został zawarty. Reed powoli rusza za nimi, a kiedy jest już w progu, ogląda się, jakby chciał zapamiętać mój obraz w najdrobniejszych szczegółach. Nasze oczy się spotykają, a potem on wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi. Teraz wszystko w rękach Reeda. Czy uda mu się wynegocjować nasze życie?

Rozdział 18

NIEBO I ZIEMIA

Przez następnych kilka godzin Buns i ja przemierzamy każdy centymetr pokoju, czekając na powrót Reeda i Zefira z negocjacji z radą wojenną na temat mojego zwolnienia.

– Dlaczego tak przewracałaś oczami, Buns? – pytam w pewnej chwili, kiedy przypominam sobie szczegóły ceremonii połączenia i przemyka mi przez myśl tamta scena.

Wydaje się, że to dość bezpieczny temat, by pogadać i trochę rozładować napięcie, które dręczy nas obie, jak tak czekamy bezradnie na wynik rozmów.

– Ja przewracałam oczami? – pyta w roztargnieniu. Chodzi po pokoju trochę za szybko, żeby to wyglądało normalnie.

– Tak, podczas ceremonii połączenia, kiedy Reed składał mi przysięgę. Zefir chrząknął, a kiedy spojrzałam na ciebie, wzniosłaś oczy do nieba – wyjaśniam. Próbuję usiedzieć chwilę na krześle przy biurku. Ale okazuje się to trudniejsze, niż sądziłam. Wiercę się nerwowo i podryguję kolanem.

– A, o to ci chodzi – mówi z lekkim uśmiechem i przystaje. – No wiesz, przysięga Reeda wobec ciebie była nieco bardziej rozbudowana od twojej. Musisz poprosić go później, żeby ci przetłumaczył. Na osobności.

– A tak z grubsza? – pytam zaciekawiona.

– Skarbie, wiesz przecież, że on jest aniołem Mocy, prawda?

Zawsze po takim wstępie mogę się spodziewać, że zaraz poznam jakiś pikantny sekret.

– Mhm.

– Musiał ci powiedzieć, jaki to z niego wojownik. No wiesz... „wypatroszę twoich wrogów i przypalę ich ogniem męki... bla... bla... bla... jeśli tylko odważą się wypowiedzieć twoje imię, poucinam im języki... bla... bla... bla...”, a potem już mniej więcej złożył tę samą przysięgę co ty – stwierdza i szczerzy do mnie zęby.

Kręcę głową, bo powinnam się domyślić, że to będzie coś takiego.

– Niepoprawny romantyk z tego mojego faceta – zauważam z przekąsem i obie śmiejemy się niemal do łez.

Ale kiedy milkniemy, niepokój powraca. Wsłuchuję się uważnie we wszelkie odgłosy dochodzące z zewnątrz.

Po czterech godzinach bez żadnego znaku od Reeda czy Zefira odpuszczamy sobie wysiłki, by o czymkolwiek rozmawiać lub snuć jakiegokolwiek przypuszczenia. Zjadam drugi batonik proteinowy, który podaje mi Buns, i tylko nasłuchuję, czy nasi chłopcy się zbliżają. Kilka razy otwieram drzwi i wyglądam, czy nie widać ich w dole, ale natykam się tylko na anioły, które mają za zadanie pilnować mojego pokoju. Chodzą tam i z powrotem po galeryjce. Straże są też na zewnętrznych balkonach, tuż nad i pod francuskim oknem – wszystko po to, by mieć pewność, że nie ucieknę. Reed naprawdę nie powinien się martwić, że gdzieś pójdę, bo w gruncie rzeczy jestem tu zamknięta niczym księżniczka w wieży.

Kiedy kończę pić, słyszę dziwny hałas za drzwiami. Jakby spadło tam coś ciężkiego, a potem przez parę sekund cisza. Patrzę na Buns, żeby się zorientować, czy ona też to słyszała. Kiwa głową na moje nieme pytanie. Podchodzę na palcach do drzwi, stoję tuż pod nimi, nastawiam uszu. W tym samym czasie Buns wyciąga ze swojej podręcznej torby zdobiony klejnotami sztylet. Drzwi na balkon są zamknięte, podchodzi i staje obok nich.

Ktoś delikatnie do nas puka. Pytająco patrzę na przyjaciółkę po drugiej stronie pokoju. Wzrusza ramionami. Nie wie, co zrobić.

– Tak? – pytam cicho.

– Genevieve? – odzywa się znajomy głos.

Włosy stają mi dęba, dostaję gęziej skórki. Gwałtownie cofam się od drzwi i dziko rozglądam dokoła, gdzie by się ukryć. Podbiegam do Buns, łapię ją za nadgarstek i wlokę do łazienki. Patrzy na mnie przerażona na widok strachu w moich oczach. Wpycham ją pod prysznic i podnoszę palec do ust – ma siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Zaciągam za nią kotarę, po czym wypadam z łazienki i zamykam za sobą drzwi.

– Podaj hasło? – Staram się zyskać czas do namysłu.

Widzę sztylet na podłodze przy balkonie. Podskakuję, by go złapać.

– Demolka? – mówi głos i ktoś bez trudu popycha drzwi.

Mobilizuję wszystkie siły, by nie skulić się ze strachu na widok Faolana, Lachlana i Declana. Wchodzą do mojego pokoju w najwyższej wieży fortecy pełnej aniołów Mocy.

– O rany... co ja narobiłam? Sforsowałam bramy tego ekskluzywnego klubu i teraz wszystkich tu wpuszczają. – Obserwuję, jak moi zwalisci ochroniarze od Gankanagów wparowują jakby nigdy nic do środka. – Jak mnie znaleźliście?

Declan pociąga nosem i patrzy na mnie z uśmiechem.

– Szliśmy tropem zapachu twojej krwi. Jest wszędzie. Długo krwawiłaś, zanim zdecydowali się ci pomóc? – pyta, a ja wzruszam ramionami. – Wyczuwam ją też na nożu, który trzymasz. Zraniłaś się?

Przytakuję, bo ani mi się śni mówić, że to było podczas ceremonii połączenia.

– Widzisz, Genevieve. Nie można ufać tym aniołom. Nie są dla ciebie dobrzy. Potrzebujesz rodziny. Potrzebujesz nas. Przybywamy ci na ratunek. – Declan

bezcereimonialnie zbliża się do mnie, rozglądając się po pokoju z obojętną miną. – Ale ci dali paskudne lokum. Chyba nie wiedzą, kim jesteś – stwierdza ze współczuciem i kręci głową z niesmakiem.

– O co ci chodzi? Niby kim jestem? – pytam nieufnie, przypatrując się im totalnie zbita z tropu.

– Jak to? Naszą królową – odpowiada absolutnie serio, na jego bladej twarzy nie maluje się nawet odrobina rozbawienia. – Zabieramy cię do domu – dodaje. Podnosi torbę, którą przyniosła Buns. – To ci potrzebne czy możemy zostawić te rzeczy dla kolejnego biednego bękart, którego będą tu przetrzymywać?

– Dlaczego was nie wyczuwam i nie wydajecie mi się już tacy zimni jak dawniej? – pytam Declana, starając się nie zdradzić głosem strachu.

Gram na zwłokę, żeby wymyślić jakieś wyjście. Declan chyba nie dostrzega, że się boję. Rozgląda się po pokoju ze zdziwieniem. Otwiera szuflady biurka. Sprawdza, co jest w środku. Wydaje się zaskoczony tym, co odkrywa.

– Zimni? O, wiesz, że jesteśmy czarodziejami... to czary – odpowiada nonszalancko. – Nauczmy cię tego, kiedy zostaniesz jedną z nas. Gotowa? Idziemy?

Przerywa poszukiwania i patrzy na mnie, unosząc brew. Wszyscy trzej otaczają mnie teraz i czekają na odpowiedź.

– A gdybym powiedziała, że mam chęć zostać tu dłużej? – Pilnie obserwuję ich reakcję.

Declan nachmurza się jeszcze bardziej.

– Brennus uprzedzał, że możesz nie chcieć wracać. Martwi się, że zadał ci zbyt duży ból, kiedy próbował cię przemienić. – Ton ma niemal przeprasający.

Jestem zdumiona, ale zaraz dociera do mnie, że pewnie są gotowi powiedzieć wszystko, byle tylko nakłonić mnie, żebym z nimi poszła.

Nagle wtrąca się Lachlan.

– Okropnie mu przykro z tego powodu. Po prostu zawsze dokonywał przemiany żołnierzy i nie za bardzo wiedział, jak stworzyć królową.

– Poza tym nigdy nie próbował przekształcać anioła, tylko elfy, zdaje więc sobie sprawę, że to mogło być dla ciebie zbyt brutalne – dodaje Faolan. – Finn mówił mi, że tym razem powinien być bardziej delikatny, bo inaczej go znienawidzisz. – Uśmiecha się do mnie. – Nie będzie cię przekształcał od razu po powrocie. Chce, żebyś to wiedziała. Powiedział, że pozwoli ci zdecydować, kiedy rozpocząć przemianę. Pod warunkiem, że nie będziesz za długo zwlekać, bo naprawdę za tobą tęskni – mówi, a ja zdaję sobie sprawę, co rozumie przez tę tęsknotę. – Nachyla się i szturcha mnie lekko w bok, aż się kulę. – Totalnie oszalał na twoim punkcie – dodaje konspiracyjnym szeptem. – Do tego stopnia, że chciał się tu dziś z nami pojawić, ale Finn odwiódł go od tego zamiaru.

Patrzę na niego, a on unosi brew, jakby powinno mi pochwlebiać to, że jestem obiektem obsesji Brennusa, gdy tymczasem mnie ogarnia coraz większe przerażenie.

– No to przekaz Brennusowi ode mnie, że przez niego sporo wycierpiałam, to prawda. Nie mam więc ochoty wracać. Niech sobie znajdzie inną królową. – Podpieram się pod boki i patrzę na nich surowo.

A oni tylko uśmiechają się do mnie.

– Brennus to prawdziwy farciarz – stwierdza Lachlan. – Może masz jakąś przyjaciółkę, aniołka, żeby mnie z nią zapoznać? Podobałaby mi się dokładnie taka jak ty.

Declan zdaje się znudzony naszymi przekomarzankami. Ciężko wzdycha.

– Chodź już, Genevieve, zbieraj się, zanim pojawią się tu te wszystkie cholerne aniołki.

– Nie. Nigdzie z wami nie idę. Uciekajcie, zanim was wykryją – ostrzegam i cofam się o krok, bo Declan rusza w moim kierunku. – Nie zmuszaj mnie, żebym was stąd wyrzuciła – dodaję, siląc się, żeby to zabrzmiało groźnie.

– Daj spokój, Genevieve, nie możesz całe życie być pieprzonym bękartem. Wiesz, że nie wolno nam wracać bez ciebie. On cię kocha. Musisz iść z nami – tłumaczy Declan.

Już ma mnie chwycić, ale wtem słychać jakiś potworny świst i cały pokój drży w posadach, jakby wyspę nawiedziło silne trzęsienie ziemi. Pewnie mam oczy okrągłe ze strachu, bo na widok mojej miny wszyscy trzej wybuchają śmiechem.

Declan ściska moją dłoń.

– Nie bój się, Genevieve. To tylko taka sztuczka, załatwili to nasi chłopcy, dla niepoznaki, żeby cię stąd wyrwać. Nie dopuścimy, żeby ze strony tamtych spotkała cię jakaś krzywda. Brennus chciał oczyścić to miejsce z aniołów i ci je podarować, ale nie spodobało mu się, jak cię tu traktowali. Pozwolili ci tak długo krwawić. Uznał więc, że po prostu spali to wszystko dla ciebie. Wiesz, to taki prezent – mówi jakby nigdy nic, mocniej przytrzymując moją dłoń. – Czy Brennus albo Finn wspominali, że handlujemy bronią? Zaczęło się od hobby, ale to całkiem lukratywne zajęcie. Jeszcze kilka pocisków i nie poznasz tego miejsca – zapewnia z uśmiechem. Prowadzi mnie do przeszklonych drzwi i ciągnie na balkon.

Serce podchodzi mi do gardła. Reed jest w innej części zamku, pewnie tej, którą trafili pociskiem.

– A teraz troszkę sobie zanurkujemy. Umiesz pływać? – pyta Declan, ale zanim mogę cokolwiek odpowiedzieć, dorzuca: – Nieważne. Nie wypuszczę cię z rąk i...

W tym momencie jego dłoń wyślizguje się, jakaś siła porywa go z balkonu i rzuca do zatoki. Patrzę na to osłupiała.

Podbiegam do barierki, patrzę w dół. Declan z impetem uderza o taflę wody. Odwracam się. Lachlan rusza ku mnie... Już prawie mnie łapie, ale nagle jego nogi zawisają nad podłogą i po chwili on zostaje posłany śladem Declana. Podnoszę wzrok i widzę trzepoczące kruczoczarne skrzydła, niewidoczne z pokoju. Faolan ostrożnie wychyla głowę przez drzwi, ale zanim jest w stanie dostrzec Reeda, ten łapie go za włosy. Faolan robi kilka obrotów w powietrzu, przelatuje nad barierką i ląduje w falach zatoki.

W jednej chwili jestem już w ramionach Reeda. Tulę się mocno do jego piersi, a on przemawia do mnie po anielsku. Serce mu wali, kiedy przesuwają po mnie dłońmi, żeby się

upewnić, czy nic mi się nie stało. Nie znajduje żadnych obrażeń. Odsuwa się lekko, patrzy mi w twarz. Muszę robić wrażenie wystraszonej, bo znów przygarnia mnie do siebie. Kolejny pocisk uderza w zamek, gdzieś na zachód od nas.

– Buns! – wołam. Przypominam sobie, że zostawiłam ją w łazience.

– Jest z Zefirem. Kiedy Gankanagowie byli zajęci tobą, udało się jej wymknąć i nas znaleźć. – Reed przytrzymuje mnie, żebym nie pobieгла z powrotem do środka po przyjaciółkę.

– Złap się mnie, odlatujemy – mówi ponuro. Odczekuje chwilę, by mieć pewność, że jestem gotowa, po czym od razu wzbija się w powietrze.

Z wysoka patrzę na obraz zniszczenia. Wzdłuż murów zamku od strony morza widać ogromne wyrwy, a nad nimi kłęby czarnego dymu. Ta część z pokojem, gdzie byłam przetrzymywana, nadal stoi nietknięta. Warownię otaczają setki ślizgaczy, które przypominają hydrodynamiczne torpedy. Sterują nimi faceci o bladych twarzach – z pewnością Gankanagowie. Brennus sprowadził tu sporą część armii, by ratować swoją królową.

Dookoła zniszczonego zamku latają chmary aniołów. Znad wody słychać serie z karabinów maszynowych. Zamykam oczy, nie chcę widzieć walki tam, w dole. Brennus się postarał – myślę z coraz większym przerażeniem. – Ile zajęło mu zebranie tych wszystkich żołnierzy? Czy tym właśnie zajmował się w kopalni? Jest tam z kilkadziesiąt cel. Czy mają jakiś większy plan? Od ilu lat wynajdywali elfy i sprowadzali do podziemi, żeby stworzyć taką armię? Czy to sam Brennus ich przekształcał, czy też ktoś mu pomagał? Nie zdawałam sobie sprawy, że jest aż tak potężny. Chwalił się siłą, ale nie miałam pojęcia, o jakiej skali mówi.

Dziwię się, że w ogóle jeszcze żyję. Brennus mógł tak łatwo mnie zniszczyć, a jednak nie zrobił tego. Przeciwdstawiając się mu, zaskarbiłam sobie jego uczucie. Chce mnie dostać z powrotem w jednym kawałku, żeby znów mnie złamać. Zamierzał zrobić sobie ze mnie zabawkę, kiedy to się zaczęło, a teraz pragnie mnie uczynić królową.

W kilka minut jesteśmy na pasie startowym. Zefir czeka na nas przed małym hangarem, w którym stał jego samolot. Wymieniają z Reedem jakieś szybkie uwagi. Rozglądam się. Gankanagowie już tu byli. Uszkodzili wszystkie maszyny, do których był dostęp. Przekłuli opony przy podwoziach. Duży hangar się tli, po ścianach pełzają płomienie. Ten mały też zaczyna się palić, zaraz zaleje go morze ognia, ale Zee na szczęście zdążył wyprowadzić samolot na zewnątrz.

Natychmiast wsiadamy. Zefir razem z Reedem znikają w kokpicie. Z fotela zrywa się Buns. RzUCA mi się na szyję.

– Przepraszam, że cię tam zostawiłam – mówi roztrzęsiona. – Bałam się, że mnie dotkną, a wtedy zrobię, co tylko zechcę. Pognałam po pomoc i natknęłam się na Reeda i Zee. Szli do twojego pokoju – nawija tak szybko, że ledwie ją rozumiem. – Gankanagowie uważają cię za swoją królową! – dorzuca zszokowana i odsuwa się ode mnie, żeby mi się przypatrzeć.

– Tak – przyznaję i zaraz muszę złapać się fotela obok, bo nagle obie tracimy równowagę, kiedy samolot gwałtownie rusza.

Siadam naprzeciwko Buns. Łapiemy za pasy zwisające luźno po bokach i staramy się zapiąć je jak najciaśniej na biodrach. Samolot gna jak burza, podskakuje na betonie i szybko się rozpędza. Kiedy startuje, słychać brzęk naczyń w zamkniętej kuchence, bo wzbijamy się w górę niemal pionowo.

Leci też z nami Fedrus. Siedzi twarzą do mnie w fotelu ustawionym trochę dalej. Dzięki Bogu, zdołali go zabrać z tego piekła! – myślę i patrzę, czy nie jest ranny. Siedzi spokojnie, jakby wcale nie przejął się tak gwałtownym startem. Obserwuje Buns i mnie z lekkim uśmiechem na idealnie zarysowanych ustach. Ja też próbuję się uśmiechnąć i mam wrażenie, że to go cieszy.

Po jakimś czasie ostrego nabierania wysokości samolot się wyrównuje, choć prędkość nie maleje. Przebijamy się przez atmosferę, lecimy nie wiadomo dokąd.

– Wszystko w porządku, Buns? – pytam, bo widzę, jak rozgląda się skonsternowana.

– Nie. – Kręci głową. – Właśnie zaatakowali siedzibę pełną aniołów Mocy i mieli przewagę – szepcze blada, przypatrując się mojej twarzy.

Nie wiem, jak ją pocieszyć. Nie można powiedzieć nic, co by poprawiło sytuację. Pewnie Buns tak długo była po stronie zwycięzców, że porażka to dla niej coś zupełnie niebywałego. Ja nie miałam takiego szczęścia. Zaczynam się już przyzwyczajać do zmiennych kolei losu.

– Oni zjawili się tam specjalnie po ciebie, skarbie – mamrocze z przerażeniem, a ja znów przytakuję.

Niewiele brakowało. Gdyby nie Reed, nurkowałabym teraz w zatoce z Declanem. A może nawet już byłabym znów z Brennusem. Na tę myśl aż mnie mrozi.

– Tak, ale mnie nie dostali, bo się wymknęłaś i sprowadziłaś pomoc. Dzięki.

Odpinam pasy, przysiadam się do Buns i mocno ją obejmuję, a ona opiera głowę na moim ramieniu. Długo się nie ruszamy. Zdrętwiałe ze strachu nasłuchujemy głosów Reeda i Zefira z kokpitu.

– Do kogo oni gadają? – mruczę wreszcie do Buns, bo nie rozumiem po anielsku, a oni mówią obaj naraz.

– Zefir kontaktuje się z kilkoma miejscami – odpowiada Buns. – Jedno to Dominium. Jakąś godzinę temu przekazał Reedowi, że Gankanagowie przerwali atak wyspy. Musieli się zorientować, że wyleciałaś, więc się wycofali. Dominium planuje kontrofensywę, żeby odciąć im odwrót, ale że Gankanagowie zepsuli wszystkie tamtejsze środki transportu, anioły będą musiały lecieć na ląd po rezerwy, co trochę potrwa. Pewnie nie uda się im osaczyć Brennusa.

– Gankanagowie już nie atakują? – Ulga wypełnia moje ciało i uśmierza ból.

Nie jestem wielką zwolenniczką Dominium, ale nie chciałabym, żeby zniszczyli ich Gankanagowie, zwłaszcza że Declan podkreślał, jakoby Brennus robił to wszystko dla mnie w prezencie.

– Nie. Starają się nas wytropić. Zefir właśnie przekazał Reedowi informację, że Dominion każe nam wracać. Teraz rozumieją twój potencjał. Jesteś przynętą, której zło nie potrafi się oprzeć. Nikt przez kilka tysięcy lat nie považył się zaatakować aniołów Mocy, a tu nagle pojawiaasz się ty i od razu ściągasz na nich armię Gankanagów, którzy tak długo działali w ukryciu – wyjaśnia, słuchając rozmów dobiegających z przodu samolotu.

– Musimy więc zawrócić? – Na samą myśl, że mielibyśmy znów znaleźć się tam po tym wszystkim, co się stało, ogarnia mnie panika.

– Nic nie rozumiesz? – Buns uśmiecha się do mnie po raz pierwszy od chwili, kiedy ta masakra się zaczęła. – Nie oddamy im ciebie. Reed oświadczył stanowczo, że „nie ma mowy”. Zaprosił ich, by przyłączyli się do naszej armii. Ale nie będą mieli nic do powiedzenia w sprawie twoich dalszych losów.

– Może sam zdecydować? – upewniam się, a serce mi rośnie. Tak bardzo go kocham, podziwiam jego siłę i mądrość.

– Owszem, bo dałaś mu do tego prawo. Teraz może im pokazać figę z makiem. – Buns wyraźnie wraca do formy. – W pewien sposób awansowałaś go, skarbie. Ma na piersi skrzydła Serafina. Jest teraz wyższy rangą od nich wszystkich.

– Naprawdę? – Nic z tego nie rozumiem. Jak moje skrzydła mogą mu pomagać? Ale Buns kiwa głową. – No to super. Już myślałam, że będę musiała wrócić do Dominion i pozostanie mi tylko się modlić, żeby to nie skończyło się dla mnie tragicznie.

– Założę się, że Brennus jest wściekły. Sprowadził tylu żołnierzy, żeby cię odbić, a ty mu się wymknęłaś – mówi Buns.

Na samą myśl o tym, jak bardzo może być zły, przebiega mnie dreszcz. Prawie widzę tę wściekłość w jego jasnozielonych oczach. Czy Declan, Faolan i Lachlan nie przypłacą tego życiem?

Buns nie zwraca uwagi na moją reakcję.

– Reed kontaktował się z agentami, pytał o swoje nieruchomości. Mówił Zefirowi, że wiele z nich zostało splądrowanych. Podobno dom w Crestwood wygląda jak obraz nędzy i rozpacz – relacjonuje. Nasłuchuje znowu i tłumaczy: – Reed powiedział Zefirowi, że Gankanagowie tam byli i zabrali wszystko z twojego pokoju, skarbie. Zabrali też to, co zostawiłaś w przechowalni, rzeczy twoje i wujka.

Na tę wiadomość aż mnie skręca. Były tam zdjęcia moje z Jimem, na których bardzo mi zależy... są mi potrzebne. Teraz ma je Brennus. Ukradł mi pamiątki. Czuję się jak ofiara przemocy. On zawłaszcza sobie mnie kawałek po kawałku. Cholerny zboczeniec!

Buns rzeczowym tonem nadaje dalej:

– Zefir rozmawia też ze swoimi agentami, organizuje lądowanie, żebyśmy mogli zostawić samolot, dostać nowe papiery i załatwić sobie inne środki transportu, bo ten samolot łatwo wytropić. Pójdę do nich, zobaczę, czy im w czymś pomóc. Musimy sprawdzić, co z Brownie i Russellem. Tym mogę się zająć. – Prostuje plecy i wstaje z fotela, na którym siedziałyśmy razem.

– A ja? Mogę coś zrobić?

Chciałabym pomóc. Podnoszę się, żeby ruszyć za nią, ale powstrzymuje mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu.

– Skarbie, na tę chwilę nie ma dla ciebie nic do roboty. Nie umiesz mówić po anielsku, spróbuj się więc zrelaksować – radzi, a potem biegnie do kokpitu włączyć się w działania.

Powoli wypuszczam powietrze i opadam na oparcie fotela. Próbuję się odprężyć, bo rzeczywiście na razie mogę jedynie starać się nie przeszkadzać.

Siedzę wpatrzona w drzwi kokpitu i wsłuchuję się w melodyjne głosy aniołów. Próbuję nie myśleć o tym, co się stało, ale to przecież niemożliwe. Brennus nie przestanie mnie ścigać. Uważa mnie za swoją własność. Więc tylko odbiera, co jego. Muszę ułożyć plan. Żebym była gotowa w razie, gdyby sprawy przybrały najgorszy obrót, co zresztą prawie się stało. Powinnam pomówić o tym z Zefirem. Nie wciągać w to Reeda. Dla niego liczy się tylko to, żeby mnie chronić, ale co jeśli nie będzie miał takiej możliwości? Nie opuści mnie nawet za cenę własnego życia? O tym z Reedem nie mogę rozmawiać, pozostaje Zee. Musi obiecać, że Brennus nie dostanie mnie z powrotem. Zrozumie, że nie proszę, by mnie bronił, ale ze mną skończył, gdyby stało się jasne, że Brennus mnie odzyska. Gryzę paznokiec na kciuku i zastanawiam się, jak przekonać Zefira. Jeśli się nie zgodzi, zawsze mogę poprosić Russella, ale wolałabym, żeby zajął się tym Zee. Russell nie przeżyje, gdyby zrobił mi coś złego. To by go zabiło.

– Napij się? – Fedrus podsuwa mi piękny kielich, którego zawartość pachnie winem.

– Chętnie – przystaję z wdzięcznością. Pociągam łyk. – Dziękuję. – Przyjemny, lekko piekący smak rozluźnia mi gardło.

Fedrus siada naprzeciwko mnie ze swoim kieliszkiem w ręku. Przez kilka minut mierzymy się wzrokiem w milczeniu.

– Mam wrażenie, że tak bardzo się tym wszystkim nie przejmujesz. Nie martwisz się? – pytam, bo mnie ręce nadal trochę drżą, a Fedrus zdaje się całkiem spokojny, jakby nasza ucieczka przed Gankanagami nie robiła na nim większego wrażenia.

– A co mi tam. Bóg zwykle wyciąga mnie z najgorszych opałów. Chyba ma do mnie słabość – mówi z uśmiechem.

Od razu czuję się lepiej i nie ma to nic wspólnego z winem. Nie mogę się powstrzymać, też się uśmiecham.

– Widzę, co go tak wobec ciebie nastraja. Jesteś bardzo dobry. Czy wszystkie anioły Cnót są takie jak ty?

– Wolałabym myśleć, że jestem niepowtarzalny. – Bawi się kieliszkiem w dłoni.

– Dla mnie na pewno. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego. Mogę cię o coś zapytać? – Staram się nie wyjść na zbyt wścibską, ale bardzo mnie interesuje on i jego rola.

– Oczywiście – zgadza się, jakby pochlebiali mu, że chcę się dowiedzieć o nim czegoś więcej.

– Czym zajmują się anioły Cnót? – Do tej pory nie słyszałam nic o tym typie aniołów. Wpatruję się w jego czarne oczy, już je uznałam za niesamowicie fajne.

– Zajmujemy się cudami – stwierdza po prostu, jakby to było coś najbardziej zwyczajnego w świecie.

– Cudami! Jak to? – Zastanawiam się gorączkowo, co może mieć na myśli.

– O, to zależy od tego, w jakim celu jestem wysłany – odpowiada tajemniczo, a ja tylko gapię się w nadziei, że powie coś więcej, ale nic z tego.

Pociąga kolejny łyk z kieliszka i patrzy na mnie trochę rozbawiony.

– Czynisz cuda w świecie ludzi?

– Jestem tam, gdzie mnie wyślą. – Wzrusza ramionami. – Zwykle pomagam ludziom, bo oni częściej niż inne istoty o coś proszą. Dużo się modlą – dodaje, mrugając do mnie porozumiewawczo.

– A o co proszą?

Znów się uśmiecha i wzrusza ramionami.

– No, zwykle o wszystko, a dostają to, co mogę im ofiarować w danej chwili. – Pewnie widać, że nie bardzo rozumiem, bo zaraz dodaje z uśmiechem: – Oglądałaś kiedyś w telewizji reportaż o tornado, które rozniosło dom, ale dwoje ludzi akurat ukrytych w wannie ocalało?

W milczeniu kiwam głową.

– No, to ja przytrzymuję tę wannę. Ludzie zwykle są bardzo wdzięczni, dopóki nie zobaczą, że reszty domu już nie ma.

Od razu uśmiecham się do niego, bo nie miałam pojęcia... to znaczy, wiadomo, cud, ale nie myślałam, że w tym celu deleguje się jakiegoś anioła.

– Kto cię wysłał? – pytam, bo jestem bardzo ciekawa, czy on ma bezpośredni kontakt z aniołami w raju.

– Dostaję zdjęcia... a właściwie obrazki przedstawiające miejsca i ludzi, i wyruszam, by ich odszukać.

– Skąd wiesz, dokąd się kierować?

– Bawiłaś się kiedyś w „ciepło-zimno”? – Uśmiecha się skromnie.

– Masz na myśli to, że czegoś się szuka i ktoś ci podpowiada „ciepło”, jeśli jesteś coraz bliżej, a „zimno”, jak się oddalasz od celu?

– Tak, właśnie, tyle że ja po prostu czuję to ciepło.

– Niesamowite! I co się dzieje, kiedy odnajdujesz swój cel?

– Rozwiązanie zwykle samo się nasuwa – odpowiada enigmatycznie.

– A ludzie nic nie podejrzewają, jak najpierw widzą ciebie, a potem bach... problem rozwiązany? – Nie chcę powiedzieć mu tego wprost, ale czułabym się trochę dziwnie jako zwyczajny człowiek, gdybym zobaczyła go z tymi czarnymi oczami, kiedy czekałabym na cud.

Fedrus wybuchła śmiechem.

– Ludzie mnie nie widzą. Dla nich jestem niewidzialny.

Przez moment sędzę, że żartuje.

– Poważnie?

– Tak. To dla mnie miła odmiana, że ty mnie widzisz. – Uśmiecha się promiennie. – Nie zrozum mnie źle, co jakiś czas natykam się na ludzi, którzy mają jakiś szósty zmysł i wyczuwają moją obecność, ale żeby ktoś naprawdę mnie widział, to nie.

– A skąd wiesz, czego chcą? Ci ludzie. – Zupełnie nie mam pojęcia, jak może znać ich prawdziwe życzenia, skoro nie zamieniają ze sobą nawet jednego słowa.

– Słyszę ich myśli.

Po tym stwierdzeniu moje oczy na pewno stają się jeszcze większe. Biorę łyk i pytam go w duchu: A moje myśli też słyszysz?

– Tak. Ale chciałaś, żebym to usłyszał. Ludzi słyszę całkiem dobrze, ciebie nie za bardzo. Chwytam tylko najbardziej intensywne myśli albo te, które kierujesz prosto do mnie. – Patrzy w moje coraz bardziej okrągłe oczy. – Innych aniołów nie słyszę i pewnie dlatego nie wyłapuję też wszystkich twoich myśli.

A co z nich słyszałeś? – zastanawiam się, popatrując na jego puchate skrzydła, które wydają się takie miękkie.

– Polubiłaś mnie od pierwszego wejrzenia – odpowiada. – Trochę się bałaś moich oczu, ale teraz uważasz je za niesamowicie fajne. Ulżyło ci, jak zobaczyłaś, że jestem w samolocie, kiedy startowaliśmy, nie chciałaś, żebym został tam na pastwę Gankanagów.

Dostaję gęziej skórki, bo to tak, jakbym bezwiednie zwracała się wprost do niego.

– Bardzo się martwiłaś, czy to nie błąd, że przyjęłaś propozycję Reeda. Boisz się, że przez to, kim jesteś, stanie mu się coś złego. No i jest jeszcze Russell. Martwisz się, że twoja decyzja go zaboli.

Czerwienię się, bo miał dostęp do moich najbardziej skrytych myśli.

– Jesteś niesamowicie spostrzegawczy. Okropnie nie chciałabym być kimś, kogo umiesz rozszyfrować bez reszty. Jakbyś znał wszystkie moje myśli, to miałbyś wieczny kłopot – przyznaję i staram się do niego uśmiechnąć.

Rzeczywiście, niesamowity dar. Chętnie bym go sobie od niego wypożyczyła. Bardzo by mi się przydał, bo ostatnio mam do czynienia z tak różnymi dziwnymi istotami.

– Musiałem się bardzo skupić, żeby to z ciebie wydobyć. Aż mi teraz trochę słabo – oznajmia całkiem serio. – Muszę przyznać, że twoja obecność uderza do głowy – dodaje, popatrując na mnie spod oka.

– To znaczy? – pytam zaskoczona.

– Emanujesz innym światłem niż anioł albo człowiek. To tak, jakbyś dawała miłość w formie energii – wyjaśnia poważnym tonem. Wiercę się w fotelu, bo czuję się skrępowana tymi słowami. – Martwisz się o tych, których kochasz, ale to się przenosi też na innych. Pewnie dlatego gonią za tobą Gankanagowie. Muszą wyczuwać w tobie tę wszechogarniającą miłość. To bardzo pociągające być blisko ciebie.

Aż otwieram usta ze zdziwienia.

– Żartujesz sobie, prawda?

– Wcale nie. – Kręci głową. – Rozumiem, dlaczego cię chcą. Dla nich jesteś światłem. Istotą, która daje miłość przeklętym. To oszałamia. I mocno uzależnia, co widać po tym, jak na ciebie reagują.

– Kiepsko. Jak to zmienić? – pytam szczerze zmartwiona. – Nie chcę być światłem, które przyciąga całe zło – dodaję całkiem uczciwie i nachylam się ku niemu w nadziei, że otrzymam radę, która pozwoli mi wreszcie przerwać to pasmo szaleńczych zdarzeń.

– To tak jakby pytać mnie, co zrobić, żeby moje oczy miały inny kolor. Są czarne. Mogę to jakoś ukryć, ale to nie zmieni faktu, że są czarne – tłumaczy. – Pewnych rzeczy nie da się kontrolować.

– To dla mnie nie do przyjęcia. – Jestem rozczarowana jego odpowiedzią.

Muszę znaleźć sposób, by mimowolnie nie otaczać miłością demonów. Brennus nazwał mnie najjaśniejszym światłem i najciemniejszą nocą. Czy to miał na myśli? – zastanawiam się ze smutkiem.

– O, bardzo poetycko to ujął i chyba ma rację. Muszę się nad tym zastanowić. Podejdz do tego inaczej... – Fedrus odczytał moje myśli i teraz na nie odpowiada. – Zamiast się głowić, jak się zmienić pod tym względem, może powinnaś zadać sobie pytanie, dlaczego zostałam tak stworzona. W jakim celu istniejesz właśnie taka, a nie inna? – dodaje łagodnie.

Trafia w sedno, łzy stają mi w oczach.

– Nie wiem.

– I może to dobrze, że nie wiesz, na razie – pociesza. – Może wystarczy, żebyś zdawała sobie sprawę, że Bóg ma do ciebie słabość – dorzuca bez krzty wątpliwości.

– Co takiego? – O mało nie wybucham gorzkim śmiechem, ale widzę, że on to mówi całkiem serio. – Dostałam niewiarygodnie trudne zadania. Takie powierza się tylko wybrancom – stwierdza otwarcie. – I nie jesteś zdana tylko na siebie. Pomyśl o aniołach, które ci pomagały. Są najlepsze w swoich dziedzinach. A narzędzia, w jakie zostałam wyposażona, by sprostać wyzwaniom... są idealnie do tego celu dopasowane.

– A niby jakie ja narzędzia dostałam? – wybąkuję w osłupieniu.

– Masz ich zbyt wiele, by je wymieniać, ale wskażę choćby jedno z oczywistych. Nie wydaje ci się dziwne, że jesteś jedyną znaną nam istotą, która nie reaguje na skórę Gankanagów, i że to ty wyciągnęłaś ich z ukrycia? Nie sądzisz chyba, że to przypadek, co?

Rumienię się, bo mam wrażenie, że to rzeczywiście coś więcej.

– Przywykłam patrzeć na to z trochę innej perspektywy, Fedrusie. – Zastanawiam się głęboko nad sensem jego słów.

– Mogę jeszcze coś powiedzieć? – Wpatruje się w swój kieliszek.

– Oczywiście. – Niemożliwe, by dodał coś, co przebiłoby to, co wyjawiał mi do tej pory.

– Słyszałam twoje myśli, te, które pojawiły się w twojej głowie tuż przed tym, jak przysiadłem się bliżej ciebie – przyznaje.

Chwilę trwa, zanim dociera do mnie, że usłyszał, jak układam sobie plan awaryjny. Blednę, bo to miała być moja tajemnica.

– Ach tak. I co, nie pochwalasz? – Wstyd mi trochę, że tchórzę, w razie gdybym znów mogła wpaść w ręce Brennusa. – Staram się znaleźć sposób, żeby ratować duszę, gdyby to było konieczne.

– Jasne, rozumiem twój dylemat. Ale jeśli znajdziesz się w takiej sytuacji, może lepiej módl się o cud? – Głęboko zagląda mi w oczy.

– Może tak zrobię. – Rozważam jego radę. – Fedrusie... a jak ty się teraz czujesz? – wtrącam jakby nigdy nic, ale moje serce zaczyna bić mocniej.

W kącikach jego ust pojawia się uśmiech.

– A konkretnie o co ci chodzi? – dopytuje, choć widzę, że doskonale rozumie.

Pewnie usłyszał moje pytanie, jeszcze zanim je zadałam na głos.

– Ciepło ci czy zimno?

– Trochę tu duszno – odpowiada wymijająco. – Ale trzeba przyznać, rzadko goszczę u aniołów w Dominium.

– Domyślam się.

Trudno mi określić emocje, jakie wywołało we mnie to, co mi powiedział. Nagle ogarnia mnie potworne zmęczenie. To wszystko jest tak przytłaczające, czuję się wobec tego taka mała. Zupełnie jakbym uświadomiła sobie nagle, że cały czas, kiedy zdawało mi się, że gram solo, gdzieś w tle towarzyszyła mi orkiestra, a teraz dźwięki instrumentów przybrały na sile, wybuchły w ogłuszającej symfonii.

– Fedrusie, co robić? – Wpatruję się pytająco w jego czarne oczy. – Nie jestem już taka całkiem zagubiona, ale to, co teraz wiem, jest o wiele straszniejsze.

– Nie mam pojęcia, ale nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć twój następny ruch.

– Zostajesz więc z nami? – pytam zaskoczona.

– Podobno gromadzicie wojska. Mógłbym się przydać, mam w swoich sferach sporo kontaktów.

– Dziękuję – mówię po prostu.

Jestem wzruszona, że ktoś taki jak Fedrus chce mi udzielić wsparcia.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Tak... Bóg jest dla mnie bardzo dobry – stwierdza, wyjmując mi pusty kieliszek z dłoni i wstaje.

Kiedy idzie do kuchni, patrzę na nocne niebo na zewnątrz i nasłuchuję rozmów aniołów, które układają plan naszej ucieczki. Łagodnie kołysanie samolotu mnie usypia. Budzę się w ogromnym łóżku w tyle maszyny, która równym tempem schodzi do lądowania. Z tego, co dostrzegam przez okno, siadamy na płycie małego prywatnego lotniska.

Wchodzi Buns i widzi, że siedzę na brzegu łóżka.

– Skarbie, właśnie wylądowaliśmy w Islandii. Zostaniemy tu, póki nie zdobędziemy nowych paszportów. – Podparta pod boki przygląda mi się krytycznie.

Po chwili wpada do łazienki i wybiega z niej ze szczotką do włosów i swoją kosmetyczką. Samolot toczy się wolno i kieruje do hangaru, a ona wykorzystuje ten czas, by popracować nade mną, żebym prezentowała się jak należy według jej wysokich standardów. Wyciąga aparat cyfrowy, każe mi stanąć pod ścianą i robi kilka zdjęć.

– Do paszportu – wyjaśnia. – Teraz czeka nas tu kilka godzin, zanim załatwimy dokumenty i sprawy związane z kontami bankowymi, bo wszyscy potrzebujemy nowych. Nie mamy pojęcia, co wie o nas Brennus, musimy zmienić tożsamość, trudno. Dlatego przylecieliśmy do Islandii.

– Islandia? – Szybko podchodzę do okna, żeby się rozejrzeć.

Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek przyjadę do tego kraju. Na zewnątrz jest ciemno, ale w oddali widzę światła miasta i góry na horyzoncie.

– Tak, jak chcesz coś zobaczyć, to się pośpiesz, bo nie zatrzymamy się tu dłużej niż kilka godzin. Jesteśmy zbyt blisko – mówi Buns. I zaczyna się pakować. – Przenocujemy w tutejszym SPA. Daj mi swoje rzeczy. Wszystko, co ci potrzebne, bo prawdopodobnie już tu nie wrócimy, polecimy innym samolotem.

– A dokąd się wybierzemy, kiedy już dostaniemy nowe paszporty? – Pomagam jej pakować torby, które ułożyła na łóżku.

– Musimy dołączyć do Brownie i Russella. Są na Ukrainie i jadą do Chin – odpowiada, przeglądając szafę.

– Chiny! – wykrzykuję zaskoczona.

Z jednej strony to wielka przygoda, ale z drugiej coś tak egzotycznego. Przecież nie znam tamtejszego języka, nie będę nawet w stanie przeczytać znaków drogowych czy nazw ulic. Ogarnia mnie lęk, bo pozostanę całkowicie zdana na pomoc innych. Teraz jest niby podobnie, ale jednak zawsze istnieje szansa, że mogę się na coś przydać i mieć wpływ na to, czy ujdę z życiem. A jak poradzę sobie z tym w Chinach? Jak wytrzymuje to Russell? To przecież szok kulturowy.

– Jesteś gotowa, skarbie? – odzywa się łagodnie Buns.

Poznaje po mojej minie, jak bardzo się przeraziłam. Kiwam głową, bo nie chcę być jeszcze słabszym ogniwem, niż już jestem.

Idziemy na przód samolotu. Schodki są już opuszczone na płytę lotniska. Na zewnątrz widzę Reeda i Zefira. Czekają na nas. Ubrani w szare spodnie z kantem i białe koszule, stoją obok niesamowicie lśniącego auta – wyglądają na bogatych zagranicznych turystów. Obaj rozmawiają przez komórki, mówią coś szybko po anielsku. Jednak Reed śledzi każdy mój krok na schodkach. Wyciąga rękę i pomaga mi pokonać kilka ostatnich.

– Gdzie Fedrus? – pytam, kiedy rozglądam się i go nie widzę.

– Zajmie się załatwieniem paszportów – odpowiada Buns. – Ma tu kontakty. Poza tym jest nieznanym członkiem naszej ekipy. Pomyśleliśmy, że najbezpieczniej będzie posłużyć się jego układami – wyjaśnia, kiedy siadam z tyłu auta.

Reed przytrzymuje mi otwarte drzwi. Zefir wpuszcza na przednie siedzenie Buns. Potem idzie na drugą stronę i zajmuje miejsce za kierownicą. Reed siada do tyłu, obejmuje mnie i przyciąga do siebie, nie odrywając słuchawki od ucha.

Opieram głowę na jego ramieniu i patrzę na krajobraz mknący za oknem. Prędko zostawiamy za sobą miasto. Jedziemy ciemnymi drogami do podnóża gór.

– Jesteśmy na miejscu, skarbie! – rzuca przez ramię podekscytowana Buns, uśmiechając się do mnie. – To „Jezioro Ziemi i Nieba”, ośrodek na zboczu wulkanu. Z tyłu jest gorące źródło z najlepszą wodą mineralną, jaką można sobie wymarzyć.

Podjeżdżamy pod budynek z przeszklonym frontonem, wyrastający z wulkanicznych skał. Spowity kłębiastymi chmurami pary wygląda tajemniczo. Biorę Reeda za rękę i wysiadam.

Buns idzie przodem i załatwia apartamenty dla VIP-ów. Będziemy mieć własny dostęp do laguny z gorącym źródłem, oddzielonej wulkanicznymi skałami od części ogólnodostępnej. Patrzę na niesamowite zdjęcia jeziora w świetle dziennym. Błękitna, prawie jak niebo, opalizująca tafla mieni się srebrzyście. Nad nią unosi się kusząca para, snując się aż nad czarny wulkaniczny piasek. Rozsiane na nim oczka wodne łączy mnóstwo drewnianych mostków.

Prowadzą nas do apartamentu. Jest niesamowity, cudowny. Jedna ściana, z surowej czarnej wulkanicznej skały, połyskuje drobkami kwarcu i krzemionki. Ta naprzeciwko niej cała jest przeszklona, dając widok na lagunę. Założę się, że rano, kiedy świeci słońce, kwarcowe okruchy z lawy migocą niczym gwiazdy. Podłoga głównego pokoju jest wyłożona polerowanym drewnem. Meble o prostych kształtach wprowadzają spokój, dają poczucie kojącej wygody. Otaczają wolno stojący kominek pośrodku pokoju.

Obie z Buns od razu widzimy, że Reed i Zee zamierzają wykorzystać tę przerwę w podróży na pracę. Jeden i drugi ledwie rzuca okiem na pokoje. Cały czas gadają przez komórki. Podchodzę do okna. Wyglądam na patio i ciemną lagunę za nim. Buns udaje się zwrócić moją uwagę. Uśmiecha się demonicznie i daje znak palcem, żebym poszła za nią do jednej z sypialni.

– Zamawiam sobie wodospad i kąpiele. Ty z Reedem możesz zabawić się w prywatnej lagunie na zewnątrz.

– Mhm. A jak mam oderwać mu telefon od ucha na tak długo, żeby to zrobić? – pytam sceptycznie. – Jest aniołem Mocy, prowadzi wojnę, stara się zebrać armię. Trudno z tym konkurować, prawda? – pytam, patrząc, jak przyjaciółka grzebie w swojej torbie.

– Jest aniołem Mocy, który marzył o tobie od wielu miesięcy. Poradzisz sobie bez trudu, wierz mi. Masz, to ci pomoże. – Rzuca mi malutkie czerwone bikini. Rumienię się lekko, bo skrawki materiału mało co osłaniają. – Tylko spokojnie. – Buns rusza do drzwi w swoim seksownym czarnym kostiumie. Wchodzi do głównego pokoju. – Skarbie, idę wypróbować SPA. Recepcjonistka zapewniła mnie, że jest ono wyłącznie do naszej dyspozycji i ma własny wodospad! Idziesz ze mną?

Dostrzegam przebiegły uśmieszek i szybko włączam się do gry.

– Na pewno to fajne, Buns... ale wolę najpierw obejrzeć lagunę. Może widać stamtąd zorzę polarną? A potem pewnie pogrzeję się w ciepłym źródle, bo tu jest trochę chłodno.

Stoję plecami do Reeda, żeby zobaczyć, jak niewiele mój kostium zakrywa.

– Szkoda – wzdycha smutno Buns.

Staram się ukryć uśmiech, kiedy widzę, jak Zee na nią patrzy. Tak jakby była rzadkim okazem broni, którą chciałby wypróbować.

– Trudno, pójdę sama – wzdycha i uwodzicielsko wydyma dolną wargę.

Obraca się i rusza do drzwi. Kiedy przekracza próg, w jednej chwili dogania ją Zefir. Oglądam się, a Reed jest tuż za mną. Już nie rozmawia przez telefon.

– Reed! – mówię zaskoczona, bo nie usłyszałam, jak podchodził.

Obejmuje mnie i przyciąga do siebie. Czule, jakby chciał dodać mi odwagi, gładzi mnie po plecach, przesuwa dłońmi to w górę, to w dół.

– Martwisz się? – pyta szeptem, dotykając ustami moich włosów. – Musimy porozmawiać o elfach i czarach, i o tym, co się stało w Dominium.

– Nie, nie w tej chwili... teraz nie chcę o tym myśleć.

Przebiega mnie dreszcz. Reed odsuwa mnie lekko od siebie, żeby zajrzeć mi w oczy.

– Nie wiedziałaś, że on ma tyle wojska, co? – pyta, widząc przerażenie w mojej twarzy.

– Nie. Mówił mi, że jest potężny i wpływowy, a ja na to, że skoro musi się tym przechwalać, to na pewno nieprawda.

W kącikach ust i oczach pojawia się mały uśmiech, którego Reed nie potrafi powstrzymać.

– Nic dziwnego, że tak mu na tobie zależy – mówi łagodnie. – To bardzo cwany i bystry typ, więc już nigdy więcej go nie zlekceważymy. Uprzedzałaś mnie, że się pojawi, by cię zabrać, prawda? – Kiwam głową, bo nie chcę, żeby wyczuł strach w moim głosie. – Wierzyłem ci... ale nie przewidywałem, że zechce ryzykować wszystko, co osiągnął, byle cię zdobyć... jednak to oznacza, że ma słaby punkt. Musimy się dowiedzieć, kim są jego sprzymierzeńcy... – urywa, kiedy przyciskam usta do jego warg, za wszelką cenę starając się, by wreszcie przestał mówić o Brennusie.

– Cicho... Już dość tego gadania – szepczę. – Jestem tu z tobą i nie zamierzam tracić ani sekundy więcej na rozmowy o tym demonie. Pragnę spędzić te chwile z tobą, bez niego.

– Boisz się, że nie zostało nam zbyt wiele czasu razem? – Reed próbuje sprecyzować, co tak mnie przeraża.

Wpatruje się w moje oczy, spuszcza więc wzrok, żeby nie poznał, że trafił w sedno.

– Kiedy byłam w celi u Gankanagów, zrozumiałam coś, co powinnam ci pewnie wyjaśnić do końca. To, co powiedziałam radzie wojennej, nie jest moim wymysłem. Są tylko dwa sposoby, żeby pogoń się skończyła. – Mocno ściskam jego dłoń. – To walka na śmierć i życie. Brennus albo ja. Zostanę królową żywych trupów albo Brennus musi zginąć. On nigdy nie da za wygraną... przenigdy.

– Racja... na pewno nie zrezygnuje z ciebie, a kiedy się pojawi, nie będzie dla niego litości. Zginie – oznajmia stanowczo i bez wahania Reed.

Ale nie przyjmuję tego zapewnienia z satysfakcją, co przeraża mnie jeszcze bardziej, bo przecież powinnam z całego serca życzyć Brennusowi śmierci, podobnie jak pragnęłam jej dla Alfreda.

Odsuwam się od Reeda. Podchodzę do szklanych drzwi, które prowadzą nad jezioro. Reed łapie mnie za rękę i zdecydowanym ruchem przyciąga do siebie.

– Dokąd idziesz? – Nachyla się do mnie, wdycha zapach włosów, wtulony twarzą w moją szyję.

Kiedy jego wzrok pada na znak nad moim sercem, na chwilę zastyga w bezruchu. Na widok rysunku swoich skrzydeł tuż nad moją lewą piersią oczy mu ciemnieją, ogarnia go dzikie pożądanie.

– Chodź ze mną, pokażę ci.

Pociągam go w stronę drzwi.

Wychodzimy na masywne, wysokie patio. Po obu stronach schodzą stopnie z wulkanicznych skał. Prowadzą na dół na tonącą w mroku plażę. Nad ciemnym wulkanicznym piaskiem unosi się gorąca, gęsta mgła, która oblepia nasze ciała wilgocią, jeszcze zanim docieramy do wody. Dla przeciwwagi niebo jest dziewiczo czyste, widać na nim wszystkie gwiazdy, które lśnią niczym płonące diamenty, choć z Reedem u boku nie za bardzo potrafię to docenić.

Ostrożnie zanurzam stopę. Woda jest cudownie ciepła. W ciemnościach zdaje się niemal szafirowa. Mieni się w świetle księżyca. Opalizuje nasycona krzemionką, kontrastując z aksamitnym czarnym piaskiem. Staję na palcach, obejmuję Reeda za szyję i przytulam się do niego całym ciałem. Muskam ustami jego wargi, a potem delikatnie skubię zębami dolną wargę i pociągam ją lekko, patrząc, jak jego oczy zasnuwa tak dobrze mi znany cień nienasycenia.

Odsuwa się ode mnie.

– Evie – szepcze – nie powinniśmy... kiedy czuję... to szaleństwo... Mógłbym zrobić ci krzywdę.

Wiem, co ma na myśli. Od miesięcy nie byliśmy tak blisko siebie, a jeśli nawet, to skrajne wyczerpanie przytępiało nasze zmysły. Teraz motylki w brzuchu czuję wyraźniej niż kiedykolwiek, a może po prostu jestem na nie bardziej uwrażliwiona przez długie rozstanie. Bez względu na przyczyny tak bardzo, zabójczo pragnę Reeda, że cała płonę. I jeśli teraz nie będę mogła go mieć, nic nie zdoła ugasić tego ognia.

Nie patrząc na Reeda, brodzę głębiej. Ciepły nurt opływa mi łydki, kiedy rozwiązuję tasiemki stanika. Pozwalam, by opadł, a moje skrzydła rozwinęły się w pełni. Kiedy się obracam, widzę, jak Reed przesuwając wzrokiem po każdej części mojego ciała, jakby mnie pieścił. Napawam się tym cudownym obezwładniającym uczuciem, które wywołuje we mnie jego namiętne spojrzenie.

– Na pewno myślisz, że lepiej poczekać, aż całkowicie ewoluuję, ale chyba już dłużej tego nie wytrzymam – mruczę. – Jesteś teraz w mojej krwi, a ja w twojej. Jesteśmy ze sobą związani w każdy możliwy sposób, poza tym jednym, a ja... nie wiem nawet, dokąd zmierzam, kim się stałam, ale wiem, że z tobą jestem wolna... jestem w domu. Pozwól mi pokazać, ile dla mnie znaczysz. Pozwól mi wciągnąć cię do mojego świata, tak jak ty wciągnąłeś mnie do swojego.

Z brzegu dobiega mnie trzask rozdzierającej się koszuli, która w strzępach opada na piasek. Potężne skrzydła Reeda unoszą się wysoko. Są niemal czarne w tym świetle. Surowy wyraz jego twarzy wyostreza moje zmysły, lęk miesza się z pożądaniem; pragnę go jeszcze bardziej. Zaczyna chodzić po plaży. Jego skrzydła poruszają się nerwowo, wydają taki furkot jak żagle łopoczące na wietrze. Reed toczy wewnętrzną walkę. Zaciska dłonie w pięści i trzyma je mocno przy sobie, by nie poddać się pożądaniu. Staram się nie uśmiechnąć i ruszam dalej od niego, w kojące ciepło laguny. Czekam, co zrobi.

Ale już w ułamku sekundy tracę grunt pod nogami. Reed porywa mnie na rękę i niesie, a kiedy woda sięga mu do pasa, powoli mnie opuszcza. Moje ciało ześlizguje się po nim, aż stopy dotykają piasku na dnie. Mam wrażenie, że stapiam się z nim, rozpływam. Leciutko gryzie moje ucho i pociąga je zębami, a ja cała płonę.

– Nie potrafię ci się sprzeciwić – szepcze. – Umiem walczyć z każdym, tylko nie tobą. Evie... gdybym zrobił coś, co cię zabolí, musisz mnie powstrzymać... – zaczyna.

– Ciii... odrobina bólu to nic w porównaniu z przyjemnością bycia z tobą – odpowiadam mu cicho, kiedy mgła oddziela nas zasłoną od linii brzegu. Mam wrażenie, że jesteśmy jedynymi istotami na świecie.

Reed powoli przyciąga mnie do siebie, czuję ciepło jego warg na swoich ustach. Ogarnia mnie fala płomiennej namiętności. Jego pocałunki wędrują niżej, na szyję, a potem na symbol zapisany na mojej skórze. Pięści wargami rysunek swoich skrzydeł. Wbijam palce w jego muskularne plecy. Przemawia do mnie po anielsku z ustami na mojej skórze, a ja czuję się piękna, tak zmysłowa, jak jeszcze nigdy przedtem.

Unoszę głowę, wsuwam palce w jego wilgotne włosy.

– Co mówisz?

Ociera się policzkiem o moją twarz i delikatnie gładzi mnie po głowie.

– Że czekałem na ciebie całą wieczność. Uwolniłaś mnie, ale ja i tak zawsze czekałbym na ciebie, bo nie ma w tobie nic, co chciałbym zmienić... jesteś ideałem.

Pragnienie, jakie budzą te słowa, jest zniewalające. Opuszczam dłonie na ramiona Reeda. Moje palce ześlizgują się po jego plecach, pod skrzydła. Czuję na piersiach dotyk jego nagiej skóry i przytulam się do niego coraz mocniej.

– Masz pewność, że jesteś gotowa, że tego właśnie chcesz? – pyta z niepokojem.

Jego głos brzmi tak seksownie, że serce bije mi jeszcze szybciej. Wiem, że chodzi mu o to, czy naprawdę to jego wybrałam.

– Pragnę cię – odpowiadam bez tchu. – To ciebie kocham. Zawsze będziesz tylko ty – szepczę.

– Evie... – mruczy czule, po czym jego usta dotykają moich warg.



– Nigdy nie zdołam trzymać się z dala od ciebie – szepczę rozmarzona.

– Mówisz tak, jakby nasza bliskość to było coś złego – odpowiada. Trzyma mnie mocno w ramionach i niesie na brzeg.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu, bo powtarza właściwie to samo, co ja powiedziałam po naszym pierwszym pocałunku.

Kładzie mnie na piasku i siada obok, a potem znów mnie przyciąga do siebie i obejmuje. Chłodne nocne powietrze cudownie studzi moją skórę po gorącej kąpeli i ogniu, jaki nas trawił. Spoglądam w niebo i zamieram. Na horyzoncie widzę kaskadę szmaragdowego i błękitnego światła. Byłam tak bardzo skupiona na Reedzie, że wcześniej tego nie zauważyłam.

– Reed, zorza polarna! – mówię ściszym głosem.

Wijąca się zielonkawa poświata, przypominająca kolorem oczy Reeda, tańczy na niebie nad nami.

– Evie... obiecaj mi coś – mówi Reed poważnie, podnosząc moją dłoń do ust.

– Co tylko zechcesz – zgadzam się. Czuję, jak całuje moją rękę, kiedy wpatruję się w kolory nieba nad nami.

– Nigdy już mi nie znikaj – prosi cicho.

Serce mi się ściska, bo w jego głosie słychać echo potwornego bólu i cierpienia, jakie mu sprawiłam swoją ucieczką.

Przez chwilę zastanawiam się nad jego życzeniem. Wiem, że może nie zdołam go spełnić.

– Już nigdy z własnej woli cię nie opuszczę... a jeśli gdzieś się zapodziej, bądź pewien, będę walczyć, by do ciebie wrócić.

W ułamku sekundy Reed jest nade mną.

– A ty bądź pewna, że ja nigdy nie przestanę cię szukać, bo ty i ja to jedno. – Patrzy mi głęboko w oczy.

Przyciska mnie do piasku i jeszcze raz kocha się ze mną z siłą huraganu, która nie pozostawia mi żadnych wątpliwości. Wiem, że jestem jego, a on jest mój. Należymy do siebie nawzajem, jak niebo i ziemia.

koniec tomu 2

Słowniczek

a ghra – ukochana, umiłowana, miłość

Gankanag – nieumarły, którego skóra zawiera jad oddziałujący na ofiarę zaledwie poprzez jedno dotknięcie

muirnin – najdroższa

mo chroi – moje serce

mo síorghrá – moja wieczna miłość

síorghrá – ukochana

na – nie

Przypisy

[1] W. Szekspir, *Hamlet*, akt II, scena 2, przeł. Józef Paszkowski (przyp. tłum.).

[2] Earth, Wind and Fire (ang. ziemia, wiatr i ogień); amerykańska grupa soulowa z lat siedemdziesiątych XX w. (przyp. red.).

[3] Edgar Allan Poe, *Kruk*, przeł. Zenon Przesmycki (przyp. tłum.).

[4] Właśc. Abraham Stoker – XIX-wieczny irlandzki pisarz powieści grozy, twórca postaci hrabiego Draculi (przyp. red.).